

GEOFF RYMAN

TLEN

UCZTA WYOBRAŹNI



**GEOFF RYMAN**

**TLEN**  
**(ALBO MIEĆ I NIE MIEĆ)**

**Przełożył Krzysztof Sokołowski**

**Wydawnictwo MAG**  
**Warszawa 2017**

Tytuł oryginału:  
*Air: Or, Have not Have*

Copyright © 2005 by Geoff Ryman  
Copyright for the Polish translation  
© 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:  
Joanna Figlewska

Korekta:  
Elwira Wyszynska

Projekt graficzny serii oraz opracowanie graficzne okładki:  
Piotr Chyliński

Ilustracja na okładce:  
Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:  
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-818-7

Wydanie II

Wydawca:  
Wydawnictwo MAG  
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa  
tel./fax 228 134 743, 691962519  
[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

*Dedykuję Doris McPherson  
i temu, co pozostało z (oryginału) Meadowvale,  
Ontario, Kanada.*

Mae mieszkała we wsi, którą podłączono do Sieci jako ostatnią na świecie.

Potem wszyscy oprócz niej weszli w Tlen.

Mae była ekspertem modowym swej wioski. Oceniała makijaż, sprzedawała kosmetyki, dostarczała dobre sukienki. Każda gospodyni potrzebuje przynajmniej jednej dobrej sukienki. Szkicowała, co się nosi w stolicy. I zawsze dodawała coś od siebie, coś wyjątkowego: jasnozieloną chustę z cekinami, marszczoną koronkową kryzę z kolorowym haftem. Dobrą sukienkę nosi się na pokaz.

– Jesteśmy szczęśliwymi ludźmi, jaskrawe barwy do nas pasują – doradzała.

– Prawda to, prawda – odpowiadały klientki, oczarowane ideą mody jako obrazu szczęścia kultury! – A Japonki wyglądają na zdjęciach tak poważnie!

– I są takie nadęte! – Mae krzywiła wargi, opuszczała głowę, a potem obie z klientką śmiały się i czuły kobietami światowymi, nie gorszymi od innych światowych kobiet.

Źródłem pomysłów Mae, a także źródłem tuszów do rzęs i szminek, było miasteczko. Miasteczko leżało daleko, ktoś zawsze musiał ją tam zawieźć, więc kiedy Sunni Haseem zaproponowała, że weźmie ją ze sobą w zamian za pomoc w kupowaniu strojów, nie miała wyboru. Poza tym musiała odebrać suknię ślubną.

Sunni pochodziła ze starej tutejszej rodziny, ale za żonę wzięła ją wielki brutal ze wsi leżącej niżej na zboczach gór. Palił papierosy. Miał brązowe palce, grube i pomarszczone jak szyje węzów. Kobiety siedziały na tylnym siedzeniu. Sunni chichotała, szturchała Mae w bok i cała aż promieniała radością, że jedzie do miasteczka z przyjaciółką i powierniczką, która zdradzi jej najtajniejsze sekrety podkreślania kobiecej urody. Mae

uśmiechała się, szeptała, obiecywała wiele.

– Mam nadzieję, że moje źródło będzie dziś dostępne – mówiła.  
– Dostarcza mi specjalnych kolorów. Nigdzie indziej się ich nie dostanie. Nawet nie pytam, skąd je bierze. – Mae opuściła wzrok i dodała znacznie ciszej: – Sądzę, że to jej mąż...

Towarzyszący tym słowom gest miał oznaczać, że towar mógł być kradziony. Kto wie, czy nie z dostawy dla zagranicznych dyplomatów? Czubki palców Mae dotknęły ramienia jej klientki raz, prowokacyjnie.

Miasteczko nazywało się Yeshibozkent, czyli „Miasto Zielonej Doliny”. Właśnie do niego wjeżdżali drogą jak korytarz, z blokami mieszkalnymi po obu stronach postawionymi na jasnobrązowej pustynnej ziemi. W mieście były billboardy, nowe więzienie, dyskoteki ze szklanymi kulami odbijającymi obrazy i światło, podświetlane sklepowe szyldy i toyoty z napędem na cztery koła prychające chmurkami niebieskiego dymu. Ale centrum pozostało takie, jakim Mae pamiętała je z dzieciństwa. Tradycyjne drewniane domy, pochylone ze starości, niemal się o siebie opierały. Ich dachy oraz szczyty były kryte gontem. Sklepy miały małe szyldy, wytarte i rozmyte, w większości ręcznie malowane. Stary rynek nadal wypełniali wieśniacy sprzedający warzywa z rozłożonych na ziemi mat. Starsi mężczyźni nadal grali w szachy przy wystawionych na ulicę stolikach kawiarenek, młodzież nadal włączyła się w grupkach.

I ciągle były tu głośniki na słupach wywrzaskujące wiadomości, wygrywające muzykę. Ponad miastem niosły się wieści o najciekawszych lokalnych wydarzeniach, nowych metodach walki z narkomanią, a także postępach w budowie szosy oraz znanych artystach, których występów oczekiwano.

Pan Haseem zaparkował niedaleko rynku. Dobiegające z głośnika dźwięki wypełniały płuca Mae jak papierosowy dym, zapach perfum albo lakieru do włosów. Wysiadła z furgonetki, odetchnęła głęboko. Podniecenie – oto jest w mieście! – czuła aż w żołądku. Głośniki poprawiały jej samopoczucie i cieszyły ją prawie tak, jak okrzyki targujących się farmerów i kupców, jak ryk osłów, jak zapach ropy, przyciętej trawy i ścieków. Spojrzała

w oczy swej klientki, kobiety w średnim wieku, Sunni też spojrziała jej w oczy, po czym obie roześmiały się wesoło.

– A teraz – Mae pogładziła Sunni po włosach i po policzku – czas na całkowitą zmianę wizerunku. Zmienisz się nie do poznania. Zrobimy to, czego nie jestem w stanie zrobić w domu, w górach.

Najpierw zabrała ją do Halat, fryzjerki, którą Sunni wybrałyby i bez porady. Ale Halat powitała Mae okrzykami radości, uśmiechami, cmok, cmok w policzki. Od razu wiadomo było, że klientka Mae zasługuje na wyjątkowe traktowanie. Odbyły się – udawane – konsultacje. Mae radziła, komentowała, ostrzegała: „Ostrożnie! Ma taką delikatną skórę! I chyba należałoby przyciąć trochę, o tutaj”. Halat mówiła do siebie pod nosem, jakby odkrywała coś, co do tej pory było dla niej zakryte, ale Sunni już trzymała palce w miseczce i w ogóle cały świat kręcił się wokół niej, jakby była królową. Przez co miała więcej zapłacić. Mae nie była klientką Halat. Nieruchome spojrzenie bez wyrazu mówiło jej, że nie ma sensu ryzykować. Zyskiwała na prestiżu, a prestiż oznaczał więcej pracy.

Jeszcze ogórki na oczy i Sunni tkwiła bezpiecznie w pułapce.

– Muszę załatwić parę spraw – oznajmiła Mae. – A ty odpręż się i zapomnij o troskach.

Uciekła, nim Sunni zdążyła zaprotestować. Pobiegła po sukienkę. Kaleka dziewczyna, doskonała szwaczka, znana jako panna Soo, otworzyła niedawno własny malutki zakład. Po zwykłych powitaniach kaleka odwróciła się z wysiłkiem i pokuśtykała na zaplecze po sukienkę. Szła bokiem, nie podnosiła nóg, jej stopy głośno szurały po nierównym betonie. Biedna, biedna mała, pomyślała Mae. Jakim cudem udaje się jej szyć?

A jednak panna Soo miała przyjaciela w świecie mody, w prawdziwym świecie mody, daleko stąd, w stolicy, w Balshang. Często pokazywała Mae jego zdjęcie jak wycięte z magazynu, zdjęcie bardzo przystojnego chłopca w lśniącej koszuli, ze starannie ułożonymi włosami. Powtarzała, że oszczędza, żeby do niego dołączyć. Mae nie mogła zrozumieć, że ktoś taki jak on chce mieć coś wspólnego z kaleką dziewczyną. Dlaczego nie zerwał z nią kontaktu? Publicznie, w gronie jej znajomych powtarzała, że

to cud miłości i że jej wybrany to dobry człowiek. Ale w głębi serca wiedziała lepiej: bądź mądra, dziewczyno, nie próbuj się z nim zobaczyć.

Jej chłopiec wysyłał pannie Soo wykroje sukien, zdjęcia, magazyny, nawet całe katalogi. Jeden z nich był szczególnie cenny: katalog branżowy. Okładka wyglądała jak pokrywka pudełka, a w środku prezentowano, w kolorze, to, co kraj ma najlepsze w dziedzinie mody. A modelki! Takie były piękne i takie chude, że wyglądały jak duchy. Wydawało się, że śpią, a ciężar ich bogactwa niosły wyłącznie powieki. Jakby patrzyła na Japonki, na kobiety z Zachodu, a to były przecież ich dziewczyny, takie długonogie, takie nowoczesne, takie eteryczne, niczym stworzone z powietrza. Mae nienawidziła ich mody. Kreacje wyglądały jak zrobione ze spranych ręczników. Jasnobezowe lub szare, jednobarwne, bez żadnych ozdób.

- Dlaczego te bogate kobiety pokazują się publicznie w bieliźnie? - Westchnęła.

Dziewczyna wróciła, niosąc sukienkę. Szła powoli, powłócząc nogami. Po drodze mijała stosy niesprzedanego jasnobezowego materiału. Miała chudą buzię z wielkimi zębami i zawsze sprawiała takie wrażenie, jakby patrzyła przed siebie ze strachem.

- Kiedy jesteś bogaty, nie musisz już próbować sprawiać wrażenia bogatego - powiedziała cicho.

Jej słowa sprawiły, że Mae poczuła się prostą wieśniaczką, choć pannie Soo z pewnością nie o to chodziło. Sprawiała, że Mae zapragnęła przestać być sobą, stać się kimś innym, ten dzieciak bowiem miał talent, z urodzenia, nie z pracy, i bez wysiłku pojmował, co się dzieje w wielkim świecie.

- No tak - odparła - ale moje klientki, wiesz przecież, mieszkają w górach. - Uśmiechnęła się do kaleki konspiracyjnie. - Ten ich gust. A mówiąc o gustach... chciałabym spojrzeć na tę sukienkę jak weselny tort.

Prawdę mówiąc, sukienka miała przypominać weselny tort, białą i różową polewę tortu, tylko takiego, który chodzi o własnych siłach. Biały drut ze styropianowymi pomponami na



końcu podtrzymywał zwoje białego tiulu.

– Czy ona musi być aż tak krzykliwa? – spytała dziewczyna głosem pełnym powątpiewania. Uśmiech Mae dodał jej odwagi.

– Znam swe klientki – odparła Mae zimno, a w duchu powiedziała sobie, że przynajmniej ta suknia wywiera wrażenie.

Sprawdziła jakość wykonanej pracy. Okazała się bez zarzutu, materiał schodził się idealnie, był jak lustro białej śmietany. Biedny dzieciak fenomenalnie szył, nawet to, czego szczerze nienawidził.

– Doskonale. – Mae sięgnęła do torebki.

– To bardzo miło z pani strony. – Panna Soo skłoniła się lekko.

Miała chińskich przodków. Mae także. Nie powinno to robić żadnej różnicy, a jednak robiło. Te dwie kobiety wiedziały, czego się po sobie spodziewać.

Suknia została zapakowana w szary papier przewiązany sznurkiem, z wielką ostrożnością, by się nie pogniotła. Panie pożegnały się i Mae pośpieszyła z powrotem do fryzjerki, która właśnie skończyła pracować z Sunni, otoczoną obłokiem lakieru do włosów i zapachów.

– A oto sukienka. – Mae odgięła papier, ukazując tiul i piankę jej oraz fryzjerce.

– Och – westchnęły panie, jakby we śnie oglądały śnieżnobiałe obłoki.

Halat otrzymała należną zapłatę. Odbył się rytuał pożegnania: uśmiechy, skinienia głową, komplementy.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Mae odetchnęła z udaną ulgą.

– Ach, zmija, zmija! Jest dobra, ale trzeba jej pilnować, trzeba ją zmuszać do pracy. Czy poświęciła ci wystarczająco wiele uwagi?

– Ależ tak, oczywiście, poświęciła mi całą swą uwagę. Jakie szczęście, że jesteś moją przyjaciółką. – Sunni zawahała się. – Pozwól, że wynagrodzę cię za twe wysiłki.

Mae syknęła przez zęby.

– Niczego mi nie zawdzięczasz. Nie chcę o tym słyszeć. – To była jakby część rytuału.

Opryskliwego męża Sunni, zaczerwienionego, na pół pijanego, znalazły w obskurnym klubie o surowych, niemalowanych

ścianach, za to wyposażonym w telewizor. Nie była to już kraina marzeń.

– Wydajesz moje pieniądze – powitał je, patrząc na Mae.

– Moja przyjaciółka nie bierze ode mnie pieniędzy – zaprotestowała Sunni gwałtownie.

– Bierze procent od tego, co płacisz tym innym. – Pan Haseem pęczniał jak burzowa chmura.

– Dzięki niej płacę mniej, nie więcej – powiedziała Sunni. Twarz miała nieruchomą jak maska.

Przyjaciółki wymieniły spojrzenia. Oczy Mae mówiły: „Jak ty to znosisz? Kobieta o takiej kulturze”. Oczy Sunni odpowiadały ze wstydem: „To moja wielka tragedia”.

Gapiąc się w telewizor, czekały cierpliwie, aż pan Haseem wytrzeźwieje. Mae zastanawiała się, dlaczego potraktował ją z taką wrogością i co może się za tym kryć. A z ekranu przemawiała do nich dziennikarka – nazywają je „Talentami” – ubrana w czerwoną sukienkę z dużą złotą broszką. Z jej włosami zrobiono coś takiego, że opadały z boku prawie na oko, a dopiero potem do tyłu. Była bardzo zadbana, gładka i zimna jak lód. Mówiła coś szybko wysokim głosem, radośnie szczerząc tygrysie zęby.

– Ona też chodzi do Halat – szepnęła Mae do Sunni.

A w telewizji pogoda, mapy, czcigodny prezydent i wszyscy członkowie gabinetu, jeden po drugim, podejmujący decyzje wagi państwowej.

W klubie to mężczyźni decydowali, jaki film oglądać. Satelity dały im tę możliwość. Przez te satelity wizyty w mieście przestały sprawiać przyjemność. Przedtem bywało tak, że mężczyźni musieli godzić się z tym, co chciały obejrzeć dzieci lub całe rodziny, więc na telewizję wszyscy zbierali się razem. A kluby musiały sprzyjać mężczyznom. Teraz kobiety prawie nie oglądały telewizji, a w klubach wszyscy pili. Mężczyźni znowu wybrali film karate. Mae i Sunni znosiły to spokojnie, popijając coca-colę. Było boleśnie oczywiste, że pan Haseem nie kupi im nic do jedzenia.

I wreszcie, późnym popołudniem, załadował je do furgonetki. Musiały znieść naprawdę niebezpieczną podróż w góry.

Samochód jechał drogą zygzakiem.

– Bardzo dobrze na tym zarabiasz – powiedział do Mae.

– Ja? Zarabiam. Trochę. Pilnuję, żeby w wiosce były utrzymywane pewne standardy. Nie chcę, żeby ludzie mieli nas za wieśniaków. Tylko dlatego, że żyjemy jak Bóg przykazał.

Mąż Sunni prychnął śmiechem.

– Przecież jesteście wieśniakami! A ty robisz to dla pieniędzy.

Zażenowana Sunni tylko westchnęła głośno. A Mae uśmiechnęła się pod nosem w ciemności i był to uśmiech tryumfu. Zdradziłeś się, wybranku Sunni. Chcesz ziemi mojego męża. Chcesz go od siebie uzależnić. Nie podoba ci się, że pieniądze twojej żony mogą ci w tym przeszkodzić. Chcesz, żebyśmy oboje, ja i mój mąż, stali się twoimi niewolnikami.

Dziwne to, jechać samochodem w ciemności, słuchając ryku silnika, kiedy za kierownicą siedzi mężczyzna, który chce cię zniszczyć.

\*\*\*

Pod koniec maja skończyła się szkoła.

Szkolę kończyło co najmniej sześć dziewczynek. Każda z nich potrzebowała nowej sukienki. Panna Soo szyła dwie, resztę musiała przygotować Mae, ale potrzebowała materiału. Miała telefon komórkowy, potężny symbol mody. Jednakże musiała znów pojechać do Yeshibozkent.

Pan Wing wybierał się do miasta po nowy telewizor dla wioski. Telewizor, który miał być podłączony do Sieci. Pan Wing zachowywał się trochę jak polityk. Złożył podanie o grant państwowy na założenie firmy świadczącej w wiosce usługi telekomunikacyjne. Nazywała się Swallow Communications. Mieszkańcy wioski przepowiadali mu rychłe bogactwo.

Mae uważała Kwan, żonę pana Winga, za swą najbliższą przyjaciółkę. Była to kobieta odpowiedzialna i rozsądna. Przed nią nie trzeba było niczego udawać. Mae odbyła bardzo przyjemną podróż.

Pan Wing zaparkował furgonetkę na rynku. Mae sięgała na tylne siedzenie po kapelusz, kiedy usłyszała donośny głos z głośników.

Talent popiskiwała radośnie: „...niesłychany postęp kultury. Zielona Dolina znalazła się równie blisko centrum świata co Paryż, Singapur czy Tokio”.

- Ich kolejny smakowity robaczek na haczyku - prychnęła pogardliwie.

Pan Wing zatrzymał się przy samochodzie. Stał sztywno, nieruchomo w swej brązowej miejskiej koszuli.

- Chciałbym tego posłuchać - powiedział, uśmiechając się lekko. Zaciągnął się papierosem.

Kwan powachlowała się dłonią.

- Te twoje modne kable mówią, że palenie jest szkodliwe dla zdrowia. Jaka szkoda, że nie stosujesz się do wszystkich wskazówek.

- Ciii... - syknął pan Wing.

Przenikliwy kobiecy głos brzmiał niepohamowanym entuzjazmem.

- Niegdyś postępy techniki nie docierały do Doliny ze względu na okablowanie i konieczny sprzęt. Ale ten postęp zawiera się w tlenie, którym oddychamy. To coś w rodzaju telewizji wprost w głowie. Potrzebne jest wyłącznie okablowanie ludzkiego umysłu.

Kwan upewniła się, że nie zostawiła niczego w samochodzie.

- Cóż to za nonsensy - mruknęła.

- Test zostanie przeprowadzony w niedzielę. W tym samym czasie w Tokio, w Singapurze i tu, w Dolinie. Co Tokio widzi i słyszy, to zobaczymy i usłyszymy my. Opowiedzcie wszystkim, których znacie: w niedzielę odbędzie się Test. Nie ma powodu do niepokoju, strachu czy paniki.

Te słowa bardzo zainteresowały Mae. Jeśli przez głośniki zapewniano, że nie ma powodu do strachu, to powód niewątpliwie był.

- Test? Jaki Test? O co chodzi? - Pani Wing zarzuciła męża pytaniami.

Pan Wing udawał swobodnego, światowego mężczyznę.

- Ho, ho, ho! - zażartował. - A jednak się zainteresowałaś, co?

Blisko nich mężczyzna sprzedawał rzodkiewki. Uniósł głowę, machnął do Kwan pęczkiem. Uśmiechał się.

- Powinna pani częściej oglądać telewizję! – krzyknął.
- O czym mówią? – nie ustępowała Kwan.
- Telewizję będzie można oglądać wprost w głowie – wyjaśnił jej mąż z widocznym żalem; pewnie myślał o swojej nowej firmie.
- Od roku wszyscy bez przerwy o tym mówią. Ale ja osobiście nie sądzę, żeby do tego doszło.

Cały stary rynek brzęczał jak muchy na padlinie, jakby to, co właśnie usłyszano, było jakąś nowością. Dwaj chłopcy w dziwnych luźnych ubraniach obrócili się ku sobie i przybili sobie piątki – dziwny gest, który Mae widziała przedtem zaledwie raz, może dwa. Babuleńka tylko machnęła ręką, nie przerywając kłótni ze sprzedawcą, którego oskarżała, że nie dowożył jej towaru.

Mae ten pomysł wcale się nie spodobał.

- Telewizja w głowie? Nie chcę telewizji w głowie. – Miała na myśli węzową prezenterkę i filmy karate.

- To nie tylko telewizja – wyjaśnił pan Wing – lecz coś znacznie, znacznie większego. To cały świat.

- Cały świat? Nie rozumiem.

- Będiesz miała dostęp do Sieci. W głowie, o to chodzi. Tutejsi głupcy i pijacy nic o tym nie wiedzą. „Sieć” to słowo, którego używają, bo brzmi bardzo nowocześnie. Ale wystarczy przejść się po kawiarenkach. W kawiarenkach wszystko widać. Sieć to wszystko.

- Proszę mi to wyjaśnić. Jak jedna rzecz może być wszystkim?

Wokół nich zebrał się zasluchany tłumek.

- W Sieci jest wszystko. Sami zobaczycie w naszej nowej telewizji. To będzie telewizja sieciowa.

Mąż pani Kwan też nie wiedział.

Spokój tego dnia gdzieś się ulotnił. Fryzjerka Halat wpadła w jakiś dziwny nastrój, chichotała, usta się jej nie zamykały, szczękała zębami, jakby było jej zimno.

- Och, o czym tu mówić – powiedziała, kiedy Mae zaczęła swe zwykłe przedstawienie. – To na ślub? Na jakąś wyjątkową okazję?

- Nie. To dla mojej wyjątkowej przyjaciółki.

A to lafirynda! Zakryła usta dłonią, ośmieliła się udawać

oszołomioną!

– Ojoj!

– Masz zamiar zająć się nią, jak na to zasługuje? – Oczy Mae, bardzo wymowne, mówiły: „Nie widzę nikogo innego w tym twoim zakładzie”.

Och, jak ta dziewczyna pragnęła powiedzieć teraz: „Nic z tego, jestem zajęta, jeśli potrzebujecie czegoś specjalnego, wróćcie jutro”. Ale pieniądze zwyciężyły, oczywiście. Hałas złagodniała.

– Dla pani... oczywiście.

– Regularnie przyprowadzam do ciebie moje przyjaciółki, bo potrafisz tak dobrze się nimi zająć.

– Oczywiście – powtórzyła dziewczyna. – To przez te wiadomości. To przez nie się zapomniałam.

Mae się wyprostowała. Wyglądała godnie, groźnie... wyglądała na starszą, niż rzeczywiście była. Mową ciała przekazywała wiadomość: „Nigdy więcej się tak nie zapomnij”. Sposób, w jaki dzieciak wbił szcztokę we włosy Kwan, wystarczył za odpowiedź: „Wieśniacy”.

Całego dnia nie sposób było uznać za udany. Mae była zmęczona, miała problemy z koncentracją. Popęłniła straszny błąd i – nie mając nic lepszego do roboty – niechcący zabrała Kwan do sklepu, w którym kupowała jej szminki.

– Och, to prawdziwa jaskinia skarbów – wykrzyknęła zachwycona Kwan.

Idiotka! – skarciła się w duszy Mae. Kwan jest dobrą kobietą, nie będzie chować urazy, ale jeśli zaczniesz gadać... Nie wszystkie klientki zechcą zachowywać się tak łaskawie. Nie darują jej, że ich tu nie przyprowadziła.

– Nie wszystkich tu zabieram – szepnęła. – Tylko specjalnych przyjaciół.

Kwan była kobietą pogodną, lecz z całą pewnością nie była głupia. Mae przypomniała sobie teraz, że w szkole była najlepsza z języka i z matematyki. Przeglądała się właśnie w lustrze z przyklepionymi sztucznymi rzęsami.

– Nie bój się, ode mnie nikt się niczego nie dowie – powiedziała szybko i cicho.

Powiedziała to za szybko, zbyt bezpośrednio. Jakby chciała dać przyjaciółce do zrozumienia: „Ekspertko moda, my wszystkie dobrze cię znamy”. Rozejrzała się nawet, uśmiechnęła, zamrużyła wyjątkowo teraz długimi, gęstymi rzęsami, jakby wykpiwała samą modę.

– To nie dla ciebie – powiedziała Mae. – Sztuczne rzęsy. Nie potrzebujesz ich.

Handlarka bardzo chciała coś sprzedać.

– Nie musisz jej słuchać – powiedziała.

Lepiej, żeby mnie słuchała, bo kupuję u ciebie kosmetyki za pięćdziesiąt rielsów, pomyślała Mae.

– Moja przyjaciółka ma rację – zdecydowała Kwan. Trochę to smutne, ale i bez dodatków była kobietą bardzo piękną, jak wprost z magazynu, z wyjątkiem zębów i dziąseł. – Dziękuję za pokazanie mi towaru. – Dotknęła ramienia Mae. – Jeszcze raz dziękuję – pożegnała się z handlarką, od której kupiła tanią szminkę.

Mae i handlarka wymieniły jedno krótkie spojrzenie. Mae obiecała sobie, że następnym razem zrobi zakupy u kogoś innego.

Najgorsze jednak dopiero ją czekało. Sztywny jak kij od szczotki mąż jej przyjaciółki nie był mężczyzną pijącym. Siedział w kawiarence, w której miał na nie czekać, popijając herbatę, z przyciętymi włosami i profesjonalnie ogolony. Towarzyszył mu młody mężczyzna imieniem Sloop, pochodzący z dobrej rodziny. Jako inżynier od telefonów uchodził za arystokratę, przynajmniej w oczach Mae. Miał podłączyć ich nowy aparat.

– Będzie działał jak wasze telefony komórkowe – powiedział kobiecym głosem. – Bez kabli. Nie możemy położyć kabli w górach. Ale przed sieciami multicastowymi przepustowość była zbyt mała dla telewizji.

Mae nic z tego nie rozumiała. Jeśli o nią chodzi, mógł równie dobrze mówić po angielsku. Natomiast pan Wing zachował pogodę ducha.

– Podejdźcie – powiedział do dam. – Pokażę wam, o co tu chodzi.

Podszedł do komunalnego telewizora. Włączył go wprawdzie

niczym ekspert. Na ekranie, zamiast filmu lub lokalnych wiadomości, pojawiły się rzędy przycisków.

– Widzicie? Możecie wybrać, co chcecie. Możecie wybrać wszystko.

Dotknął przycisku. Na ekranie pojawiła się Talent, szczerząca zęby doskonale. Przemawiała piskliwie, entuzjastycznie, głosem mającym być atrakcyjnym dla mężczyzn i młodych obiecujących.

– Dzień dobry. Przedstawiam państwu Agencję Informacyjną „Tlen”. Za długo już świat dzielił się na mających i niemających. – Jedną rękę wyciągnęła ku informacyjnemu niebu, drugą, wyprostowaną, wymierzyła w mieszkańców Zielonej Doliny, podpowiadając im, że powinni uznać się za niemających. – Obywatele rozwiniętego świata mogą używać telewizorów do zdobycia potrzebnych im informacji w dowolnej chwili. Robią to przez Sieć.

Dalej trudno było cokolwiek zrozumieć. Pojawiły się koła i prostokąty, połączone jakby kablami. Wykresy. Wskoczyły w niebo, w powietrze, ale to powietrze było pełne zakrzywiających się linii. „Pole”, tak o tym mówili, tylko że wcale nie przypominało to pola. W Karzistanie używano nazwy „błyskawica”. „Na całym świecie”, tak powiedzieli. Potem pokazano błyskawice bijące w ludzkie głowy. „Przeprowadzono wnikliwe badania medyczne udowadniające, że nie zagraża to zdrowiu i życiu ludzi”.

– Uderzenie pioruna nie zagraża zdrowiu i życiu? – Kwan wydawała się rozbawiona. – Dobrze wiedzieć. Cóż za ulga!

– Jednolitego Pola używa się tylko w procesie formatowania – wyjaśnił Sloop. – Jest to proces jednorazowy. Służy stworzeniu szczegółowej mapy mózgu funkcjonującej w Tlenie, a Tlen to rzecz z innych wymiarów.

– Co?

– Istnieje jedenaście wymiarów – próbował tłumaczyć Sloop, ale niemal natychmiast zorientował się, że to beznadziejne zadanie. – Tyle ich pozostało po Wielkim Wybuchu.

– Wiem, co zainteresuje nasze panie – powiedział mąż Kwan i znów, z demonstracyjną swobodą światowca, dotknął jednego z ekranowych przycisków. – Gdy tylko zechcecie, będziecie mogły



obejrzeć to w głowie.

Cały ekran wypełnił nagle kolor kremowy. Jedna z tych dziewcząt ze stolicy obróciła się płynnie mimo pantofli na wysokich obcasach. Miała na sobie sukienkę najlepszego w kraju projektanta mody. Była to jedna z dziewcząt z sekretnej księgi skarbów Mae.

– Och! – westchnęła Kwan. – Czyż ona nie jest piękna?

– Na tym kanale pokazują wyłącznie modę – wyjaśnił jej mąż.

– Przez cały czas? – Kwan spojrzała na Mae, zachwycona, a potem przeniosła wzrok na ekran. Jej twarz odbiła się w nim, przesłaniając sylwetki modelek. Ale niemal natychmiast, Bogu niech będą dzięki, wróciła dawna dobra Kwan. – Czy to nie robi się nudne?

Jej mąż zachichotał.

– Zawsze możesz wybrać coś innego. Jest z czego wybierać.

Wszystko działa się bardzo szybko. Żołądek podszedł Mae do gardła, nim uświadomiła sobie, że Kwan i jej mąż doskonale sobie z tym poradzą.

– Popatrz, proszę – powiedział pan Wing. – Możesz kupić sukienkę. To działa w obie strony.

Zdumiona Kwan tylko potrząsnęła głową. Głos podał cenę, a cena ta zdumiała ją jeszcze bardziej.

– O tak! Wystarczy, że sprzedam jedną z naszych czterech farm, i będę mogła kupić sobie tę sukienkę.

– Taki styl widziałam już dwa lata temu – powiedziała Mae. – Dla nas jest za prosty. Chcemy, żeby ludzie widzieli, kim jesteśmy.

Kwan posmutniała.

– To dlatego, że jesteśmy biednymi ludźmi z gór. – To było ich wspólne przekonanie, jak wspólna była tęsknota za odmianą.

Kiedyś musiało się skończyć to robienie interesów. Trzeba odpocząć, zaczerpnąć tchu, w końcu znasz tych ludzi, swoich ludzi, przeżyłaś wśród nich całe życie.

– Żadna z nich nie jest tak piękna jak ty, Kwan – powiedziała Mae, i to była prawda. Z wyjątkiem zębów.

– Komplementy ekspertki modowej – zażartowała Kwan. Ale ujęła dłoń Mae. Nie odrywała oczu od ekranu, wylewającego

sekret za sekretem, jak krople krwi. – Z tym wszystkim w głowie – powiedziała do męża – nie będziemy potrzebować twojego telewizora.

\*\*\*

To był bardzo pracowity tydzień. Nie, nie tylko przez sześć sukienek. Z jakiegoś powodu Mae miała mnóstwo dodatkowej roboty.

W środę rano musiała, dyskretnie, odwiedzić Tsang Muhhamed. Lubiła ją. Tsang przypominała z wyglądu brzoskwinie, nieco przejrzałą: okrągłą, miękką w dotyku, ledwie widocznie pomarszczoną. Nic w niej do siebie nie pasowało. Była Chinką zamężną z religijnym Karzem o dziesięć lat od niej starszym. Muzułmaninem pozwalającym – być może nie mógł temu zapobiec – by jego chińska żona trzymała w domu świnie.

Kiedy przysłała, świnie karmiono właśnie w pokoju rodzinnym, całym wypełnionym paszą. Zwierzę wyglądało bardzo dumnie, najwyraźniej doskonale się tu czuło. Czteroletni syn Tsang siedział przy nim grzecznie, podsuwając mu co zieleńsze liście, jakby świnia nie potrafiła znaleźć ich sama.

– Możemy porozmawiać? – szepnęła Mae, spoglądając na chłopca kątem oka. – Kto to? – szepnęła jeszcze ciszej.

Tsang tylko pokiwała palcem, a więc był to ktoś, kogo znali. Mae podejrzewała, że chodzi o najstarszego syna Kwan, Luka. Miał szesnaście lat, ale nadal ubierali go w wyprasowaną białą koszulę i szorty, jak dziecko. Szorty tylko odślaniały jego owłosione łydki piłkarza. Na puciołowatej dziecinnej twarzy chłopca pojawił się ostatnio nowy wyraz niedziecinnej dezorientacji.

– Och, Tsang – westchnęła Mae.

– Ciii. – Tsang zachichotała czerwona jak rzodkiewka. Zupełnie jakby każda z nich mogła być pewna, co ma na myśli przyjaciółka. – Potrzebowałam korekty niewielkich usterek.

A więc to był ktoś młodszy. Niemal na pewno przystojny syn Kwan.

– No cóż, ktoś musi ich tego nauczyć – szepnęła Mae.

Tsang dosłownie rozplynęła się w chichotach. Nie potrafiła się

powstrzymać.

– Nie mogę nic dla ciebie zrobić – oznajmiła Mae. – Bardziej się już nie zarumienisz.

Chinka wybuchła niepohamowanym śmiechem. Mae udała, że odkłada na bok narzędzia, z którymi tu przyszła.

– Stosujesz najlepszy lek na cerę – oznajmiła. – Nie, w tym przypadku jestem bezradna. Niczego nie da się porównać z działaniem silnego młodego mężczyzny.

– Niczego... – Tsang zachłysnęła się śmiechem. – Niczego nie da... nie da się porównać z działaniem dobrego młodego kutaska.

Mae udała oburzoną, zaczęła karcić przyjaciółkę, udawała gniew, Tsang ciągle się śmiała, obie próbowały się nawzajem uciszyć, a Mae obserwowała dokładnie, gdzie na policzkach pojawiają się czerwone plamy, żeby wiedzieć, którymi miejscami ma zająć się przede wszystkim.

Kiedy wreszcie zabrała się do pracy, Tsang wyjaśniła, jak udaje się jej zniknąć z oczu męża.

– Mówię mu, że idę po odpadki dla świni – szeptała – wychodząc z pustym wiadrem...

– A wracasz z pełnym – zakończyła pogodnie Mae.

– Och! – Przyjaciółka udała, że chce ją uderzyć. – Jesteś gorsza nawet ode mnie.

– A jak myślisz, po co ja jeżdżę do miasta? – skłamała Mae bez wahania, unosząc brew.

Miłość – uświadomiła sobie później, idąc ścieżką, przyciskając do ciała płócienną torbę pełną sekretów – miłość nie jest już dla mnie. Myślała o nagich łydkach chłopca.

Na czwartek Kwan zamówiła sobie czyszczenie zębów nicią dentystyczną. To było coś nowego. Nigdy nie była próżna. Dotknęło to Mae, bo oznaczało, że jej przyjaciółka się starzeje. Albo może chodziło o te modelki z telewizji? O ich niesamowite zęby? Jak ludzie mogą mieć takie zęby!

Przystojny syn Kwan pochylił się, wchodząc. Miał na sobie szorty ukazujące gładkie okrągłe uda i to charakterystyczne zgrubienie w kroku. Pochylił się także, wychodząc. Poczucie winy, pomyślała Mae. Tak, to z pewnością on.

Położyła głowę Kwan na poduszce przykrytej ręcznikiem.

Czy powinna ostrzec przyjaciółkę? Zwrócić jej uwagę, że należy pilnować syna? Którą przyjaciółkę ma zdradzić?

Pokręciła głową – nie, między nimi nie może wybierać. Może tylko zachować milczenie.

– Ostrzeż mnie, kiedy trafię na nerw – powiedziała.

Kwan miała zęby starego konia: starte, brązowe, spróchniałe. Na dziąsłach zostały blizny po dziecięcej chorobie i kiedy Mae przesuwiała nić, czuła, jak jej zęby się chwieją. Miała małą czystą torebkę. Wrzucała do niej zużyte nici.

To ona mówiła, bo Kwan nie mogła. Powiedziała, że trzeba by cudu, by udało się jej skończyć sukienki na czas. Nie sposób było zadowolić mam dziewcząt, każda chciała, żeby jej córka była ubrana lepiej od innych. W końcu i tak najlepiej będą wyglądały te z najbogatszych rodzin, bo ich rodziców stać na najlepsze materiały. I och, niektórzy nawet pytali, czy mogą zapłacić później! Jakby było ją stać na kupowanie materiałów na sześć sukienek bez zapłaty.

– Oni wszyscy myślą, że ich ekspertka modowa jest bogatą kobietą – uzalała się nad sobą, choć czasami uważała to za po prostu zabawne.

Kwan uśmiechnęła się oczami załzawionymi z bólu. Cierpiała.

– Powinnaś powiedzieć, że zęby aż tak cię bolą – powiedziała Mae.

Obejrzała dziąsła przyjaciółki, zakrwawione od wewnątrz. Gdybyś była bogata, Kwan, miałybyś zdrowe zęby. Bogaci zawsze mają wszystkie zęby i białe, nie brązowe. Zdjęła włos z jej twarzy.

– Będę musiała kilka usunąć – oznajmiła spokojnie. – Może nie dziś, ale wkrótce.

Kwan zamknęła usta. Przełknęła.

– Będę jak stara babcia. – Udało się jej nawet uśmiechnąć.

– Babuleńka z kosturkiem. – Mae odpowiedziała jej uśmiechem.

– Zastaniająca usta, kiedy się śmieje.

Roześmiały się obie.

– W grubych okularach, w których oczy wyglądają jak rybie.

Kwan położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

– Pamiętasz, jak to było dawno, bardzo dawno temu? Zbierałyśmy się, robiłyśmy stateczki z papieru i muszli, wkładałyśmy do środka świeczki i puszczałyśmy je w rowach.

– Pamiętam. – Mae usiadła prosto. – Już tego nie robimy.

– Nie wypychamy się poduszkami przepasanymi szerokimi pasami.

Kiedyś co roku odbywał się festiwal dobrych życzeń. Rowami płynęły łódki ze świeczkami, płynęły krótko i tonęły z sykiem.

– Ja zawsze prosiłam o miłość – przypomniała sobie Mae.

Następnego ranka Mae wspomniała o łódkach sąsiadce, starej pani Tung. Odwiedzała ją niemal codziennie. Pani Tung była jej nauczycielką w gorączkowych latach udających lata szkolne. Miała dziewięćdziesiąt lat. Całe dni spędzała obrócona twarzą do małego okienka na strychu, z którego rozciągał się widok na Dolinę. Była ślepa, oczy miała białe, poruszające się każde osobno. Przez okno niczego nie mogła zobaczyć. Być może oddychała zapachem pól. Mae przypomniała jej o łódkach i życzeniach.

– Smażyłyśmy nasiona dyni – przypomniała jej pani Tung. – A te niedojedzone przerabiałymy na biżuterię. Pamiętasz?

Nadal była piękna, przynajmniej w oczach Mae. Jej twarz w tym nieprawdopodobnie starym wieku stała się jeszcze delikatniejsza, była jak szkielec kota, mała i krucha. Promieniowała radością życia, śmiała się przy każdej okazji. Zawsze taka była.

– Pamiętam, kiedy przysłaś do mnie po raz pierwszy – powiedziała. Przed powstaniem szkoły i zaangażowaniem Shena pani Tung prowadziła przedszkole, dokładnie tu, na podwórku tego domu. – Pomyślałam wtedy: „czy to ta dziewczynka, której zabili ojca? Jest taka śliczna”. Pamiętam, jak uważnie przyglądałaś się moim sukienkom rozwieszonym na sznurku do suszenia.

– Spytałaś, która z nich podoba mi się najbardziej.

Pani Tung zachichotała.

– Oczywiście! Powiedziałaś: „Motyle”. – Ślepotą oznaczała, że widzi wyłącznie przeszłość. – Mieliśmy korty tenisowe, tu, w Kizuldah, wiesz?

– Naprawdę? – Mae udała, że nigdy przedtem o tym nie słyszała.  
– O tak. O tak! Kiedy Chińczycy tu byli, przed nadejściem komunistów. Stacjonowała u nas część chińskiej armii. To żołnierze wybudowali korty. Wszyscy graliśmy w tenisa w naszych szkolnych mundurkach.

Chińscy oficerowie dostarczyli rakiety tenisowe. Na resztkach kortu, zrujnowanego i zarośniętego chwastami, pan Pin prowadził teraz warsztat samochodowy.

– Och, oni wszyscy byli tacy przystojni! Wszystkie dziewczyny z wioski chodziły zakochane. – Pani Tung znowu zachichotała. – Pamiętam, miałam dziesięć lat, nie więcej. Jeden z nich mnie adoptował. Powiedział, że jestem bardzo podobna do jego córki. Po wojnie przysłał mi pluszowego misia. – Roześmiała się, pokręciła głową. – Byłam już za duża na pluszowe misie. Powtarzałam wszystkim, że to znaczy, że weźmiemy ślub. – Pokiwała głową z żalu nad swą głupotą. – Żałuję, że za niego nie wyszłam – przyznała, jakby w jej słowach było coś nagannie frywolnego. Zawsze tak kończyła tę opowieść.

Nawet tak stara, pani Tung miała tę moc, że Mae uspokajała się przy niej, czuła bezpiecznie. Pochodziła z rodziny wykształconych ludzi, kiedyś jej dom był pełen książek. Książki przepadły w Powodzi wiele lat temu, ale ona ciągle potrafiła recytować poematy Turków, Karzów i Chińczyków. Sadzała małą Mae na kolanach, kołysała, mówiła jej wiersze, a teraz, po latach, powtarzała te same.

„Posłuchaj trzciniowego fletu, jego opowieści”. Ślepe oczy i stara twarz zakołysały się w rytm starego poematu *Masnawi*. „W trzcinie nie słyszysz wiatru, szum trzciny to płomień”.

– Och, jakże chciałabym pamiętać te wszystkie wiersze. – Mae westchnęła. Pani Tung przywoływała jej najpiękniejsze wspomnienia z dzieciństwa.

\*\*\*

Następnie Mae odwiedziła do przymiarki rodzinę Ozdemir.

Matka miała na imię Hatijah, a córka Sezen. Hatijah była drobna, nieśmiała, nieinteligentna i przerażona, że Mae policzy sobie za

wiele, a nie wykona usługi należycie. Atmosferę jej niskiego, starego kamiennego domu przesycił zapach rozżarzonych węgla, potu, łajna i zawsze zbyt długo parzonej herbaty. Zza domu dobiegało ciągłe, bolesne beczenie kozy domagającej się wydojenia. Głos biednego zwierzęcia stawał się coraz donośniejszy i bardziej ochrypliwy. Hatijah zachowywała się tak, jakby go w ogóle nie słyszała. Miała czwórkę dzieci i chudego, niezaradnego męża, prawdopodobnie zarobaczonego. Połowa frontowego pokoju była zavalona kolbami kukurydzy. Najmłodsze dziecko miało na sobie wyłącznie koszulę. Siedziało na kukurydzy brudną gołą pupą.

Och, jakże niechlujny był ten dom. Być może Hatijah była jednak lekko upośledzona umysłowo. Zaproponowała gościowi prażoną kukurydżę. Doprawioną, pomyślała Mae, świeżą kupą twojego dzieciaka. Zdołała odmówić, zresztą bardzo grzecznie.

Sezen, córka, wystąpiła do przymiarki w sukience, lecz boso. Sukienka była cytrynowożółta, w kolorze, od którego bolały oczy. Dziewczyna była prosta, niegrzeczna i niechlujna. Cały czas przewracała oczami, reagowała tak na słowa nerwowej matki i na wysiłki Mae starającej się dopasować jej strój i w ogóle na wszystko, co mówili i robili starsi.

– Czy... może... jutro... – Hatijah próbowała coś powiedzieć.

No tak, pomyślała Mae z odrobiną goryczy, jutro Sezen będzie musiała się umyć. Bose stopy dziewczyny były pokryte zaognionymi skaleczeniami.

– Matce chodzi o to, czy mi zrobisz makijaż – powiedziała. Mrugnęła, bo brudne, rozczochrane włosy przeszkadzały jej patrzeć.

– Tak, oczywiście – powiedziała Mae krótko urażona, że młoda osoba zwróciła się do niej tak bezpośrednio.

– Co? Te wszystkie dziewczynki... w tym samym czasie... my przecież nic nie znaczymy...

W oczach Sezen błysnął gniew. Mae odetchnęła głęboko.

– Nikt nie może sprawić, byście czuły, że nic nie znaczą, jeśli przedtem się z nim nie zgodzicie. – Coś takiego powiedziała jej kiedyś stara pani Tung. Kiedy była bardzo biedna i marzyła o

cudach. – A ty – zwróciła się do dziewczyny – zdejmij sukienkę. Muszę ją zabrać do poprawek.

Sezen zrzuciła sukienkę. Stała naga na brudnej podłodze. Matka nawet jej nie skarciła, za to zaproponowała gościowi herbatę. Ponieważ odmówiła kukurydzy, Mae musiała ją przyjąć. No, herbata przynajmniej jest wrząca.

Hatijah potruchtała do czarnego od sadzy czajnika. Jej córka stała bezczelnie naga, niby-dziewicze łono miała wydepilowane i gładkie jak u niemowlęcia. Mae zajęła się sukienką. Składała ją starannie, żeby mieć na co patrzeć, a Sezen nie spuszczała z niej bezczelnego spojrzenia.

Nie zamierzała dłużej tego znosić.

– Chcesz, żeby ludzie cię zobaczyli? Idź, włóż coś na siebie.

– Nie mam w co się ubrać.

Jej siostry pojechały do miasta kupić prezenty maturalne. Zabrały wszystkie przyzwoite stroje z domu.

– Naprawdę nie masz niczego, czym byłabyś łaskawa się okryć?

– Mae spojrzał na Hatijah. Nie powinna wykonywać pracy tej kobiety za nią. – Z pewnością dysponujesz jakimś starym ubraniem. Włóż je.

Dziewczyna patrzyła na nią w milczeniu, jeszcze bardziej bezczelnie. Mae w końcu straciła cierpliwość.

– Nie pracuję dla świntuchów. Za tę sukienkę jeszcze mi nie zapłaciłyście. Jeśli zamierzasz tak tu stać, to ja wychodzę i sukienka nie będzie twoja. Możesz iść na promocję ubrana, jak ci się podoba. Nawet naga jak dziwka. Mnie to nie obchodzi.

Sezen odwróciła się i powoli odeszła do pokoju z boku domu. Hatijah, jej matka, kuchała przy czajniku, w którym gotowała się woda do rozcieńczenia gulaszu z herbacianych liści. Odżywiała się herbatą i przypaloną kukurydzą, którą inni paśli inwentarz. Odwracała od gościa swe krowie oczy. Pozostawiona sama sobie koza becząła rozpaczliwie jak rozhisteryzowane dziecko.

Mae usiadła. Odetchnęła głęboko, spróbowała się uspokoić. Co za tydzień! Przyjrzała się sukience gospodyni, najwyraźniej pozszywanej ze starych koszul męża. Ale jak pięknie pozszywanej! Ta kobieta umiała szyć, ona nie. Tyle się



pozmieniał, musi przecież znaleźć sobie do roboty coś więcej niż przerysowywanie sukienek z fotografii w katalogach. W jej głowie błysnęła myśl.

– Chciałabyś pracować dla mnie? – spytała.

Propozycja ta sprawiła Hatijah widoczną przyjemność, choć jednocześnie ją przeraziła. Powiedziała, że musi spytać męża, ale w końcu zgodziła się wykończyć trzy sukienki.

Wszystko będzie musiało się zmienić, pomyślała Mae, jakby chciała przekonać o tym samą siebie.

\*\*\*

Tej nocy pracowała nad trzema sukienkami prawie do świtu. Teraz jej stara, hałaśliwa maszyna stała cicha w kącie. Szyła świetnie, ale nie nadawała się do delikatnej pracy przy wykańczaniu promocyjnych sukienek. Blask nagiej żarówki powodował ból głowy. Mąż, Joe, chrapał w kącie. Na górze, na strychu, brat Joego, Siao, i jego ojciec też chrapali, jak co noc od dwudziestu lat. O poranku pobiegną myć się pod beczką, zakrywając rozporoki gaci ręcznikami.

Mae patrzyła na otwarte usta męża, jakby zawierały jakąś tajemnicę. Mając szesnaście lat, ten człowiek był przystojny – przystojny na miarę wioski – trochę szalony i bardzo bystry. Rok po ślubie po raz pierwszy pojechali razem do Yeshibozkent, gdzie w przerwach między żniwami budował dom. Zobaczyła tam bystrego mężczyznę z miasta zajmującego się akupunkturą. Zobaczyła, jak jej męża traktuje się z góry, poniża, czyni z niego głupca, jak zadaje się mu pytania, na które nie znał odpowiedzi. Akupunkturysta zmusił go do wykonania całej pracy powtórnie. W Yeshibozkent jej mąż był wsiowym głupkiem.

A teraz byli tu, oboje w średnim wieku. Ich syn, Lung, służył w wojsku, był oficerem. Stacjonował w Balshang. Wysyłał matce skórki pomarańczy do potpourri, kartki pocztowe i zapałki w tekturowych pudełkach z obrazkami. Poznał dziewczynę z miasta, na wieś już nie wróci. Siostrę, Ying, wciągnął w swoją orbitę. Mieszkała z nim, poznała żołnierzy, w końcu wyszła za mąż za jednego z nich. Mieszkała na oficerskim osiedlu, w domku

z toaletą.

O tej wczesnej porannej godzinie Mae słyszała szum rzeczki spływającej stromym dnem doliny. Od północy dobiegł dźwięk, trzaśnięcie drzwi. Wiedziała, czyje drzwi trzasnęły, to pan Shenylar, ich Muerain, szedł do meczetu. Obszczał go pies pani Doh mieszkającej przy moście.

Mae widziała, że Kwan spoczywa w ramionach męża i że jest piękna, bo pochodzi z narodu Eloi. Eloi zawsze byli piękni. Mężowi Kwan wcale to nie przeszkadzało i dziś już nikt o tym nie wspominał. Teraz, w tej chwili, Mae widziała jednak, jak jej przyjaciółka drży we śnie. Śniła sny, miała wizje, płynęły w krwi jej ludu, to przez nie spała niespokojnie, jakby nocą prowadziła inne, plemienne życie. I wiedziała, że jej czysty, szlachetny i atletycznie zbudowany syn spoczywa w łóżku jak dziecko, trzymając w ramionach młodszego brata.

Nie widziała ich, ale doskonale potrafiła wyobrazić sobie księżyc i chmury na niebie nad wioską. Światło księżycy odbija się, drżące, od powierzchni kanałów irygacyjnych, po których płynęły kiedyś podświetlone od środka ich łódki życzeń. Niedopalone świece tkwią ciągle gdzieś w błocie.

Muerain zaśpiewał dostojnie smutnym głosem. Nawet wzmocniony był to głos głęboki i miękki jak poduszki, na które opada głowa kochanka. Krowy w obórkach już zaczynały się niepokoić. Same dojdą na plac pośrodku wioski, lizną soli, poczekają na pastuchów, którzy wyprowadzą je na pastwiska w dolinie. Wieczorem same wrócą do domu. Mae słyszała już brzęk dzwonek.

W tej chwili coś weszło do domu. Coś, czego nie chciała widzieć, coś ciemnego na kształt wielkiego czarnego psa z pianą na pysku. Usiadło w kącie. Nie dało się wypędzić. Nie miało jeszcze imienia.

Mae szła coraz szybciej.

\*\*\*

Sukienki były gotowe na czas, wszystkie sześć, każda innego koloru. Mae pobiegła oddać je dziewczynom, na bosaka, w luźnej domowej sukience. Matki kłaniały się jej sennie na powitanie.

Dziewczynki podskakiwały z niecierpliwości jak krople wody na rozgrzanej patelni.

Wszystko poszło bardzo dobrze. Dzieciaki stały razem pod transparentami, wśród nich syn Kwan, Luk, Sezen, wszystkie dzieci wioski. Wszystkie uśmiechnięte, w tej jednej chwili wyglądające jak na plakacie reklamującym wspaniałą przyszłość: odważne, zarumienione, pokazujące w uśmiechu doskonałe komplety białych zębów.

Nauczyciel Shen odczytał listę wyjątkowych osiągnięć uczniów. Sezen nie dokonała niczego niezwykłego, choć znała się na zwierzętach domowych, ale ona też odebrała świadectwo wśród hucznych braw. A potem przyjaciel Mae, Shen, zrobił coś niezwykłego. Zaczął opowieść o przyjaciółce wszystkich mieszkańców wioski, osobie, która poświęciła tej ceremonii więcej czasu niż inni i której jedynym celem w życiu jest wzbogacić wioskę o odrobinę piękna. O szwaczce upiększającej innych...

Mówił o niej!

...z jednakowym oddaniem traktującej córki i matki biedne i bogate, promieniującej dobrocią i życzliwością.

Cała wioska biła Mae brawo pod białymi chmurami na błękitnym niebie. Wszyscy się do niej uśmiechali. Ktoś, zapewne Kwan, pchnął ją do przodu i Mae wystąpiła chwiejnie przed szereg.

Jej przyjaciel Shen miał dla niej specjalny certyfikat.

– W naszych czasach, szanowna pani Chung – powiedział – nie było takich szkół, jakie mamy teraz, tylko podstawowe. A więc... proszę, to świadectwo ukończenia naszej szkoły. Od nas wszystkich. Specjalność: „Studia modowe”.

Owacja. Mae próbowała coś powiedzieć, ale okazało się, że nie może wykształcić słowa, wydaje tylko jakieś ciche dźwięki. Widziała otaczające ją uśmiechnięte twarze, przyjaciół i wrogów, krewnych i obcych.

– Nie spodziewałam się tego – powiedziała w końcu. Usłyszała ciche śmiechy. Spojrzała na zaświadczenie ukończenia szkoły zdumiona tym, że miało nad nią władzę, zaskoczona, że mimo

wieku nadal boli ją brak wykształcenia. Nie potrafiła go przeczytać. – Nie interesuję się modą jako jej badaczka.

Wszyscy oczywiście wiedzieli, że zarabia na modzie i że musi bardzo uważać, by to był godny zarobek.

Coś się w niej poruszyło, jakby wiatr powiał wśród chmur.

– Pojutrze nie będziemy już, być może, potrzebować ekspertki modowej. Pojutrze wszystko się zmieni. Będziemy mieli telewizory w głowie i całą wiedzę, jaką zechcemy mieć. Będziemy mogli rozmawiać z prezydentem. Będziemy mogli udawać, że zamawiamy samochody w Tokio. Wszyscy będziemy specjalistami. – Mae spojrzała na swoje zaświadczenie, ręcznie wypisane, takie małe. Uświadomiła sobie, że czuje gniew. Jej głos wydobywał się z brzucha, był o oktawę niższy. – Jestem pewna, że to zmiana na lepsze. Jestem pewna, że ludzie, którzy to robią, uważają, że robią coś dobrego. Troszczą się o nas, jakbyśmy byli dziećmi. – Jej oczy były niczym dwa serca bijące mocno i szybko. – Nie mamy czasu na telewizję czy komputery. Nasz świat to słońce, deszcz, wiatr, choroba, wspólnota. To dobrze, że chcą nam pomóc. – Miała ochotę potrząsać zaświadczeniem, żałowała, że nie jest ono którymś z nich, z tych ludzi, którzy postawili wszystko na głowie. – Ale jak śmiać?! Jak śmiać nazywać nas tymi, którzy nie mają? Biedakami?

Zaczął się nowy dzień. Dzień testu.

Pani Tung odwiedziła Mae wsparta na ramieniu wnuka, pana Kena Kuei.

– Babcia Tung – ucieszyła się Mae, zachwycona i ożywiona.

Robiła pranie, wielki kocioł stał chwiejnie na ruszcie piecyka. Pan Ken zręcznie podprowadził do niej babcię. Nie przebrała się, przyszła w szlafroku i kapciach. Pohukiwała coś do siebie jak sowa.

– Pomyślałam, że wpadnę do ciebie, kochanie – powiedziała.

Dla niej to była wielka przygoda, pójść do kogoś w odwiedzinach. Bawiła się swą śmiałością, kiedy Mae ostrożnie sadzała ją na krześle.

Pan Ken był przystojnym, zrównoważonym mężczyzną.

– Powiedziałem babci o pani świadectwie – wyjaśnił. – Chciała je zobaczyć.

– Och, to przecież niż ważnego, ale proszę, panie Ken, niech pan siada. – Bardzo jej zależało na tym, żeby usiadł. Jego spokój udzielał się innym. – Zamierzałam odwiedzić was dzisiaj z promocyjnymi ciasteczkami. Proszę się poczęstować.

Pan Ken skłonił się lekko, z uśmiechem.

– Skorzystałbym z przyjemnością, ale niestety moja żona robi pranie, a ja obiecałem jej pomóc.

– A może mnie mógłby pan pomóc – zażartowała Mae. Ona nie otrzymywała pomocy.

Pan Ken skłonił się i wyszedł.

Pani Tung przesunęła dłońmi po świadectwie, po szkle i drewnianej ramce.

– Pokazuje, jak cię wszyscy kochamy – powiedziała. – Przeczytaj mi je, kochanie.

Mae nie umiała czytać. Bardzo to było zawstydzające.

Wyrecytowała z pamięci:

DLA CHUNG MAE WANG  
Z PODZIĘKOWANIEM OD ROCZNIKA 2019  
DOWÓD UKOŃCZENIA SZKOŁY  
W SPECJALNOŚCI „STUDIA MODOWE”.

Musiła przerwać. Coś złego działo się z jej oczami. W polu widzenia miała miejsce, w którym wszystko było zamazane.

– Chyba potrzebuję okularów – powiedziała.

Zamazane miejsce przesunęło się, zmieniając wielkość i kształt jak nagi ślimak. Jej palce zabuczały. Pani Tung przechyliła głowę.

– Słyszałaś coś, kochanie? – spytała.

Błysnęło, jakby ktoś robił zdjęcie.

– Och! – krzyknęła Mae zduszonym głosem i opadła na krzesło.

Poczuła mrowienie: w stopach, dłoniach, nawet oczach. Najgorsze, że mrowiło ją także w głowie. Czują, jak jej mózg tańczy. W pokoju zrobiło się ciemno.

– Czekolada. Czuję zapach czekolady – zagruchała stara pani Tung.

Mae czuła zapach wina, perfum, potu, cebuli, kropel deszczu na bruku, przypalonego ryżu i starej skóry butów. Przed oczami tańczyły jej barwy: zielonożółta, czerwono-niebieska, jakby były toffi, które można rozciągać i mieszać. I jeszcze muzyka, najprzeróżniejsza muzyka, jakby jednocześnie włączyły się setki odbiorników radiowych, do czego dochodziło rosnące kłaskanie i ćwierkanie niczym śpiew tysięcy ptaków.

– Nie czuję się dobrze – powiedziała stara pani Tung. Uniosła dłoń do czoła. Mae widziała ten gest jak rozkładający się powoli wachlarz.

– To musi być ten ich Test.

– Mae, kochanie, chcę wrócić do domu.

A Mae doznała naraz uczucia *déjà vu* tak silnego, że miała wrażenie, iż słowa odbijają się echem. Nie wydawało się jej, że już tu kiedyś była. Nie, wydawało się jej, że była tu zawsze i że na zawsze tu będzie. Jakby jej obraz skopiowano wielokrotnie, jakby

warstwy kopii ciągnęły się aż w nieskończoność.

Wstała. Pokój wydawał się jej wypchany gąbkami. Zrobiła krok z największym wysiłkiem, aż zakręciło się jej w głowie.

Barwy, światła, gwiazdy, dźwięki, zapachy... Mae dotknęła dłonią patelni, a przynajmniej tak się jej wydawało. Krzyknęła, odskoczyła w bok. Poczwała dotyk jedwabiu na policzku. Dziecko pocałowało palce jej nóg. Ktoś włożył jej rękę w błoto pola ryżowego.

Pani Tung wstała. Drżała na całym ciele.

– Muchy... – Zaczęła wymachiwać kosturkiem.

Szynka, ser, pomidory, kora dębowa, imbir, wszystkie te smaki tańczyły na języku Mae jednocześnie.

– Ile tu much! – W ślepych oczach starej pani Tung odbiła się panika.

– Jestem przy tobie, babciu.

Mae uważała, by w jej głosie nie było słycać strachu. Z trudem przeciskała się wśród obrazów i dźwięków. Świat trajkotał, zgrzytał, śmierdział, lśnił, marszczył się, dotykał jej, kwaśniał, pocił się, płonął. Samo powietrze jakby twardniało, stawiało jej opór. Musiała przepychać się między sekundami. Sam czas się zlepiał.

Pani Tung odwróciła się.

– Obrzydliwe! Muchy!

Potknęła się, zachwiała, wpadła na kocioł. Babcia Tung!

Wszystko działo się bardzo powoli. Gar zakołysał się jak świat podejmujący decyzję: upaść czy nie. Fala wrzącej wody wylała się na jej uda. Gar uderzył w nią, wydając głęboki dźwięk, jak gong, i przewrócił ją na ziemię. Upadła, a na nią spadło ociekające mętną wodą, parujące prześcieradło i otuliło ją od stóp do głów.

Nagle zapadła cisza.

Mae stała przez chwilę nieruchomo, ciężko dysząc. Miała wrażenie, że wystrzelono ją z armaty. Przeleciała daleko, w jakieś inne miejsce...

Tutaj.

Podskoczyła do leżącej, ściągnęła z niej przerażająco gorące prześcieradło. Wrząca woda wsiąkła w klepisko, zmieniając je w

parujące błoto. Bosa, przestępując z nogi na nogę, Mae chwyciła panią Tung za ramiona i pociągnęła. Pani Tung zawyła z bólu. Skóra na jej dłoniach, czerwona niczym pomidor, wydawała się nie tyle pomarszczona, ile pognieciona. „Sprowadzę pani wnuka”. – Mae miała wrażenie, że setki Mae przemawiają jednocześnie i będą powtarzać te słowa w nieskończoność.

Wybiegła na podwórko. Kury uleciały w powietrze, kręciły się jak wir, formując doskonałe koło. Szczekały wszystkie wiejskie psy, ich szczekanie odbijało się echem od gór otaczających wioskę amfiteatrem. W kącie leżała kupka czegoś, co Mae uznała za pranie pani Ken. Pobiegła do kuchni pana Kena. Coś zabzyczało jej w uchu. Komar. Wynoś się! Potrząsnęła głową. Ale bzyczenie ucichło tylko na chwilę, po czym powróciło, głośniejsze, bardziej natarczywe. Mae pamiętała to wrażenie, raz wesz weszła jej do ucha, a ona nie potrafiła się jej pozbyć. Tego naprawdę nie potrzebowała, nie teraz. Jednakże bzyczenie zmieniło się w ryk. Nie miała wyboru. Przystanęła, włożyła palec do ucha, musiała pozbyć się tego czegoś.

Ryk wpadł jej do głowy, coraz donośniejszy, jakby zmieniał biegi. Było to wycie i ryk, jednocześnie. Nie miała na niego rady, nie pozostało jej nic innego jak zrobić to, po co tu przyszła. Od ryku w głowie zdrętwiały jej ręce, miała kłopoty z otwarciem zasuwki drzwi kuchni pana Kena.

Rodzina – on sam, jego matka, dwie małe dziewczynki – siedziały wokół stołu jak na seansie spirytystycznym, trzymając się za ręce. Wydawało się – Mae nie mogła powiedzieć na pewno, ponieważ nic nie słyszała – że wszyscy razem śpiewają coś zgodnym chórem. Pan Ken wstał od stołu. Powiedział coś do niej, widziała, jak porusza ustami. Prawie rozumiała, co mówi...

„...Nie musisz się martwić, nie musisz się bać...”

– Panie Ken... – spróbowała znowu. Dźwięk w jej głowie jeszcze się wzmógł. Lwi ryk.

Obie dziewczynki i stara pani Ken przyzywały ją gestem, kiwały głowami. Wydawało się, że mówią: „Dołącz do nas”. Wszyscy stali, patrząc na nią, poruszając ustami jak ryby.

„Posłuchaj słów. Mów nimi, z nimi. Zobaczysz, to pomoże”.



Mae słuchała. Ryk osłabł, był teraz niczym fale załamujące się na długiej plaży. Wytężyła uwagę. Wśród huku fal rzeczywiście brzmiał głos, jak syrenie. Próbowała je powtórzyć i wtedy, nagle, stały się całkiem wyraźne.

„Wyobraź sobie, że twój mózg to podwórko. Zagoń te słowa jak inwentarz do zagrody. Są instrukcją. Znajdziesz je w tej zagrodzie, kiedykolwiek będziesz ich potrzebowała”.

Ryk ustał. Mae westchnęła z ulgą, och! Skinęła głową, pokazując Kenowi, że rozumie, o co mu chodzi.

„Spróbujcie przywołać obraz podwórka. Zobaczycie, że on już jest w waszych głowach”.

Budząc echo po każdym słowie, przez dom przetoczyło się jakby jedno wielkie westchnienie, wznoszące się i opadające wraz z głosem Mae. Wszyscy w wiosce wymawiali dokładnie te same słowa dokładnie w tej samej chwili. Mae chwyciła pana Kena za ramię, zaczęła go ciągnąć do siebie.

„Widzicie je? Na podwórku są cztery zagrody. Każda z nich jest oznaczona. Widzicie oznaczenia? Potraficie je przeczytać?”.

– Panie Ken! – krzyknęła Mae. – Pańska babka!

Od tych słów pokój zakołysał się jak statek na wzburzonym morzu, omal jej nie przewracając. Zewsząd dobiegał ogłuszający ryk silnika. Skrzywiła się, dołączyła do chóru.

„Oznaczenia te to »Pomoc«, »Informacja«, »Poczta błyskawiczna« i »Ale zabawa!«,”.

Pan Ken sprawiał wrażenie zdziwionego. Mae gwałtownym, rozpaczliwym gestem wskazała mu swój dom. Natychmiast zorientowała się, że sobie przypomniał. Babcia! Pomachał rękami do matki, do córek i pobiegł za Mae. Gdy znaleźli się na podwórku, głos wioski zabrzmiał wokół nich dźwięcznie, jak tysiąc wezwań do modlitwy.

„Zagrody i to, co się w nich znajduje, nazywamy Formatem”.

Kupka prania w rogu podwórka poruszyła się. Pani Ken Tui usiadła z rękoma przyciśniętymi do uszu. Pan Ken zrobił ruch w jej kierunku. Mae szarpnęła go, pokazała mu ręką: „Nie, nie... tam, w środku!”.

„Skorzystaj z »Pomocy« w przypadku problemów powstałych

podczas użytkowania systemu Tlen. »Informacja« zawiera wiadomości o wszystkim, co może cię zainteresować, począwszy od prognozy pogody, a skończywszy na zaopatrzeniu sklepów”.

Mae zaciągnęła pana Kena do kuchni. Babcia Tung leżała na ziemi, plecy miała wygięte w łuk, a dłonie zaciśnięte z bólu w pięści. Pan Ken chciał do niej podbiec i poślizgnął się na parującym błocie podłogi.

„»Pocztą błyskawiczną« możesz wysyłać wiadomości do ludzi, wszędzie i zawsze”.

Stara pani Tung poczuła dotknięcie dłoni wnuka. Uniosła głowę. Ślepymi oczami patrzyła przed siebie. Na twarzy miała rozmazane ślady łez. Popiskiwała cichutko.

„»Ale zabawa« to Tlen pełen waszych ulubionych filmów...”.

Pan Ken spróbował wyciągnąć babcię z gorącej, parującej wody. Krzyknęła z bólu. Skrzywił się, spojrzał na Mae. Był przerażony.

„Odpocznijmy przez chwilę. Nie śpieszcie się, pomyślcie o Formacie... a za parę chwil dowiecie się, czego może dokonać Tlen”.

Dźwięki umilkły, jakby kamienna lawina dobiegła swego kresu. Słysząc było nawet szum wiatru przelatującego przez podwórko. Czy to już? Czy to oznacza koniec?

– Tak mi przykro, panie Ken... – Poruszyła się gwałtownie, dotknęła piecyka.

– Jest z czego zrobić bandaże? – przerwał jej pan Ken.

– Wygotowałam wszystkie prześcieradła. Ciągłe będą gorące.

Pan Ken skinął głową. Wyprostował się.

– Idę do żony – oznajmił. – Ona będzie coś miała.

Mae przyklekła przy pani Tung.

– Słyszała pani? – spytała. – Pani wnuk Ken Kuei przyniesie bandaże.

Pani Tung ścisnęła jej dłoń. Mae skrzywiła się, czując dotyk okaleczonego ciała.

– Widzę – szepnęła. Jej ślepe oczy poruszały się, poruszały się jednocześnie, w tych samych kierunkach.

Ślepa pani Tung widziała, a coś poruszyło się za kurtyną świata. Bo świat chyba zawsze był kurtyną w głowie Mae, zasuniętą

kurtyną. A teraz kurtyna się rozsunęła.

– O Boże, Boże, błagam. Inszallah.

Wioskowe psy znowu zaczęły wyć.

Świat znikł nagle i Mae stała na niebieskim podwórku. Wszystko było niebieskie, nawet jej lśniące dłonie. Nad zagrodami dla zwierząt płonęły neonowe oznaczenia: zielone, czerwone, żółte, fioletoworóżowe. W trzech językach Karzistanu ozdobnym pismem głosiły coś, co Mae, jak we śnie, potrafiła odczytać. Mae w Tlenie umiała czytać!

„Pomoc”. „Informacja”. „Poczta błyskawiczna”.

Głos Tlenu przemówił:

„Zapewne widzicie teraz Format znacznie wyraźniej. Od tej chwili Tlen będzie wyglądał właśnie tak. Nazywa się to »Tlenowanie« – obraz, który możemy ci wysłać, dostępny na każde życzenie. Zobaczmy teraz, jak wygląda Tlenowanie. Wejdz w przestrzeń oznaczoną »Ale zabawa!«,».

– Mae, Mae – powiedział głos zbyt bliski, przesadnie miękki, jakby ktoś szeptał jej uwodzicielsko wprost do ucha. – Mae, Mae... pomocy.

„Na dziś oferujemy Tlenowanie z Opery Narodowej!”.

– Babcia Tung! – Mae usłyszała swój głos. Ale przecież nic nie powiedziała.

Tlen mówił: „Zobaczymy fragment opery *Turandot*. Mieszkańcy stolicy uważają ją za swą ulubioną”.

I znów ten szept, głos babci Tung:

– Mae, gdzie się podział świat?

– Próbuję cię znaleźć, babciu.

Tlen mówił: „Być może spodoba się nam myśl, że bohater opery, Kalaf, jest Karzem”.

Mae straciła panowanie nad sobą.

– Nie chcę słuchać opery! Muszę porozmawiać z babcią Tung!

Dźwięki muzyki natychmiast ucichły. Nowy, spokojniejszy głos poinformował ją: „Jeśli chcesz przesłać wiadomość, przejdź na pozycję opisaną »Poczta błyskawiczna«,».

Mae skoczyła przed siebie, podbiegła do niebieskiej ściany, przeszła przez nią. I zderzyła się z metaforą. Połknęła ją

informacja. Informacja była niebieska. Zgubiła się w gąszczu informacji.

– Mae! Mae!

„Nie próbuj wysyłać ani odbierać Poczty, póki nie skonfigurujesz swojego prywatnego adresu pocztowego. To jak umieszczenie nazwy domu na skrzynce na listy”.

Gdyby Mae miała głos, krzyknęłaby: „Nie mam czasu! To nagły wypadek!”.

„Celem konfiguracji nagłego przypadku proszę kilkakrotnie wymienić imię”.

Mae powtórzyła swe imię kilka razy.

– Mae! – Wydawało się, że pani Tung krzyczy.

„Mae, Mae, Mae...”.

– Mae!

Coś kliknęło. Coś chyba... zaskoczyło. Była jak mały wstrząs elektryczny, jak zamknięcie obwodu. I w tej samej chwili coś objęło Mae, coś ją przytuliło, mocno, niczym w strachu, jakby była potężnym drzewem wśród powodzi.

– Czujesz? To nas cofa!

Głos Tlenu zwalniał... zwalniał... zwalniał...

– Twoja... skrzynka pocztowa... została... skonfigurowana...

Czas się zatrzymywał.

Stara pani Tung wypowiedziała jedno krótkie, samotne, nieoczekiwane słowo, imię strachu.

– Woda.

Czas pobiegł wstecz. Wszystko: i Format, i głosy, i pobiełałe kamienne ściany, i ludzie zamieszkujący w granicach tych ścian, wszystko zostało zassane wstecz i w dół. Zawaliło się i znikło.

\*\*\*

Przeszłość jest taka inna, wiemy to od razu.

Mae widziała, że jest w przeszłości. Powiedziały jej to zapachy. Drewniane bale wydzielaly woń impregnatu, kreozotu, nieruchome powietrze przesycały stare zapachy ciał, herbaty i fermentujących kiełków fasoli.

Była w domu nocą. Bezświatłą nocą. Ściany znajdowały się w

nieoczekiwanych miejscach. Pod nogami nagle otworzyła się jej jama klatki schodowej. Kobieta potknęła się, stoczyła po schodach i wylądowała po kolana w wodzie.

Moje książki, pomyślał ktoś. Moje piękne książki!

Kobieta wstała chwiejnie. Poszukała świeczki. Świeczki tutaj, głupia? Parła przed siebie przez reprezentacyjny pokój domu, woda sięgała jej kolan. Ile jej tu jest, tej wody? Skąd się wzięła? Wyciągnęła rękę, dotknęła skórzanej oprawy... i w tym momencie uświadomiła sobie, że książki są stracone.

Ktoś roześmiał się za jej plecami. Odwróciła się. Kobiety głos spytał:

– Ile są teraz warte... pieniądze, które poślubiłaś?

Był to głos jednocześnie ochryply i jedwabiście gładki. Głos starej kobiety.

– Nadal napływa?! – krzyknęła pani Tung. Pani Tung była młoda, szczupła i silna.

– Płynie po zboczach ze wszystkich stron. – Na dźwięk tego głosu serce pani Tung zaciążyło jej w piersi od uczucia przygnębienia, niemocy i pogardy. Ciężko szło jej po kolana w wodzie.

– Dzieci są na górze? – spytała.

– Och – rozległ się groźny głos. – Wreszcie przypomniałaś sobie, że masz dzieci. – Głos był groźny, gorzki, tryumfujący i pełen nienawiści.

Pani Tung namacała swój stary pikowany płaszcz. Stara kobieta znów się roześmiała znajomym głuchym śmiechem jak pohukiwanie puszczyka.

Nagle, zza domu, na górujących nad nim zboczach wszczął się trzask, syk i stuk kamieni, jakby one wszystkie zdecydowały się nagle aplauzem wyrazić swój szacunek.

– Lily! Ahmet! – zawołała pani Tung w ciemności do swych dzieci.

Tysiące staczających się w dół kamyków uderzyły w dom jak wielkie krople deszczu, potem rozległo się „bum” i dom zachwiał się w posadach.

Mae próbowała powiedzieć „pani Tung”, ale słowa te

powędrowały gdzie indziej.

– Lily! – krzyknęła pani Tung. Głos się jej łamał. Dom jęczał, gdzieś rozległ się trzask.

Pani Tung uderzyła głową w drzwi. Usłyszała dobiegający z kąta histeryczny płacz. Podniosła dziecko w grubej piżamie. Mae czuła pod palcami zapinaną na guziki flanelową koszulkę. Czuła zapach wilgotnego pyłu.

– Gdzie twój brat?

Dziecko zaniósło się histerycznym płaczem.

– Lily! Gdzie Ahmet?

Dziecko wtuliło się w nią i rozkrzyczało.

Lily? – pomyślała Mae. Ahmet? Pani Tung miała inną rodzinę? Inną rodzinę, przed Kenami? Jaką?

Pani Tung odwróciła się. Do pikowanego płaszcza powiedziała błagalnie:

– Pani Yuksel, proszę... czy widziała pani Ahmeta? Czy zszedł po schodach?

– Tak – powiedział spokojny, groźny głos. – Wyszedł przez frontowe drzwi.

Jaka straszna jest ta pewność: babka Ahmet nie chciała mieć wnuka, półkrwi Chińczyka.

– Pani go wypuściła!

Odpowiedział jej śmiech.

– Skazała go pani na śmierć!

Tuląc do siebie Lily, pani Tung pobiegła do schodów. Minęła teściową.

– Ahmet! Ahmet! – krzyczała z całą siłą złamanego serca.

Spadła ze schodów wprost w sięgające jej do pasa błoto, które blokowało frontowe drzwi. Dziecko w jej ramionach wyrывało się, kopało, zanosilo szlochem. Pani Tung nie miała wyboru, mogła tylko odwrócić się i ruszyć z wysiłkiem z powrotem ku schodom. W chwili, gdy jej stopa uderzyła w najniższy, niewidoczny, bo ukryty w błocie stopień, poczuła, jak coś przesunęło się jej po kolanach. Po warstwie błota płynęła woda. Woda zalewała ich niezmordowanie. Z Lily na rękach weszła z wysiłkiem na piętro.

– Pani Tung! Pani Tung! – rozległ się błagalny głos. Jej własny głos, ale jeśli to był jej głos, kim jest ona sama?

– Pani Tung, to tylko wspomnienie. Pani Tung.

Co? Co?

– To wszystko jest w Tlenie, pani Tung.

– Woda! – krzyknęła.

Powstała z błota. Jej serce wypełniła nienawiść. Dotknęła ściany przy schodach. Na ścianie wisiał rodzinny miecz.

– Nie odziedziczysz mojego pięknego pokoju – powiedział śmiech.

Pani Tung machnęła mieczem. Śmiech umilkł jak ucięty. Odwróciła się, pobiegła korytarzem na piętrze. Drewniane bale trzeszczały jak na statku. Dom drżał cały, chwiały się, przesuwał na fundamentach, a potem przekręcił się i zaczął rozpadać. Pobiegła do ostatniego pokoju, tego z pięknym oknem, wychodzącego w stronę domu, w stronę Kizuldah.

Usłyszała, jak za jej plecami dom się wali. Czuła rozstępujące się bale, słyszała głęboki grzechot przywodzący na myśl toczące się beczki. Udało się jej jakoś wybić kopniakiem szybę. Lily krzyknęła. Na powierzchni szalejącej wody odbijały się języki ognia przeskakującego po dachach. Pani Tung skoczyła. Opadała w przepaść głęboką na wiele stóp, nad stromym zboczem, po którym spływała woda. Opadała przez ciepłe powietrze, aż spadła w lodowaty strumień. I wszystko się... rozeszło. Groźna siła wyrwała Lily z jej ramion. Spływała z prądem bezradnie jak chusta.

– Pani Tung.

Woda była niebieska.

– Pani Tung, to tylko wspomnienie, to się nie dzieje naprawdę.

– Więc dlaczego powietrze jest ciepłe? Dlaczego woda jest zimna? Czy w pamięci można czuć wodę?

Mae stanęła pewniej i pociągnęła. Opierała się powodzi, naciskającej ją wodzie. Gdzieś, z dala dobiegły dźwięki *Turandot*. Trzej starzy mężczyźni śpiewali o utraconych domach. „Kiu... Tsiang... Honan”.

– Tędy, pani Tung. Musimy wrócić. Tędy.

Skądś, z daleka, dobiegł głos starej pani Tung: „To było prawdziwe. Było tak prawdziwe jak teraz i tak samo ważne. Moja Lily była prawdziwa”.

– Musimy wrócić do domu! – powiedziała Mae.

„To był dom! To było prawdziwe. Wszystko uniosła Powódź. Mogę umrzeć, moja śmierć nic nie znaczy, ale cały wszechświat umiera codziennie, powoli, powoli, zasługuje na pamięć, popatrz, czyż nie był piękny, taki piękny...”

– Kochana pani Tung... ciii... ciii... Widzi pani? Widzi?

Życie niczym góra, wielka, zimna, przerażająca, lód i woda wplecione w chmury, w powietrze, w zachód słońca, zbyt wielkie, zbyt dziwne...

I nagle stały na podwórku. Była noc.

– Pani Tung, to był Format – powiedziała Mae.

„Dlaczego są jakieś neony? Pomoc? Rozrywka? Mnie to już niepotrzebne, ja jestem za stara. A w kącie stoi telewizor. Kiedy mieliśmy telewizor? Pokazuje operę. Nigdy nie widziałam opery. To opera, w Balshangu, a ja zawsze chciałam obejrzeć operę, och, och, ta czerwień, to złoto! Śpiewają i tyle klejnotów na ich strojach, tyle drogich kamieni! Słyszałam w radio, jak śpiewają, i marzyłam, oto ona, oto ona, księżniczka, śpiewająca o pięknej kobiecie zmarłej przed wiekami”.

Kobieta śpiewała: „Księżniczka Loo Ling, ma przodkini, słodka i łagodna...”

– Pani Tung? Pani Tung? Ja się boję, pani Tung. Muszę odejść.

„A więc odejdz, dziecko”.

– Muszę wracać.

– Idź. Ja tu zostanę.

Mae odsunęła się. Czuła, jak się rozciąga, jak próbują zatrzymać ją cudze myśli.

Odchodzi. Zawsze myślałam, że Lily będzie tu na mnie czekać. Ale zamiast niej czekała Mae, mała wierna Mae pomogła mi przekroczyć granicę. Nasze ciało jest z ziemi, z ognia pożądania, ogień przepala ciało, a woda oczyszcza. Zostaje powietrze. Powietrze wznosi się ku niebu.



\*\*\*

Wrażenie, że coś się rozdziera, jak przy skręceniu.

Mae i pani Tung rozdzieliły się. Mae została sama w Formacie.

– Jak mam wrócić? – spytała z rozpaczą i strachem.

Tlen odpowiedział.

„Opuszczenie »Poczty błyskawicznej« na wypadek niebezpieczeństwa: każda wiadomość wyposażona jest we własny protokół wejścia, którego celem jest zabezpieczenie dostępu do całego umysłu”.

– Ale ja mam dostęp do całego umysłu! – krzyknęła Mae.

W pani Tung było zimno. Chłód chwycił, trzymał, mroził.

„Protokół może okazać się nieskuteczny w sytuacji choroby lub skrajnych emocji. Jeśli czujesz kontakt umysłowy z więcej niż »Pocztą błyskawiczną« osoby, z którą jesteś w kontakcie, przede wszystkim odwołaj się do swego adresu pocztowego. Skoncentruj się na tej sekcji niczym w medytacji. Powtarzaj swój adres jak mantrę...”.

Adres? Mae przypomniała sobie swój adres.

„Mae, Mae, Mae, Mae, Mae...”.

Coś przemknęło tuż obok niej. Wydawało się jej, że usłyszała słowa „kochane dziecko...”.

„Mae, Mae, Mae, Mae, Mae...”.

To jedno słowo Mae powtarzała raz za razem, kiedy przebudziła się na podłodze przytulona do pani Tung. Wiedziała już, dlaczego ta stara kobieta śmiała się przez ostatnie sześćdziesiąt lat swego życia. Nie, nie dlatego, że śmiech podtrzymuje ducha. Śmiech pani Tung był łkaniem złamanego serca.

A teraz kochana staruszka nie żyła.

Mae miała wrażenie, że wszystko zrobiło się jakieś takie dziwne.

Leżała w łóżku, wciskała się w najdalszy kąt wnęki. Uśmiechała się od ucha do ucha, sama nie wiedząc, dlaczego. Wokół tłoczyli się ludzie, rodzina i przyjaciele. Wiedzieli, że Mae była w pani Tung, kiedy pani Tung umierała.

Matka Mae siedziała przy jej łóżku, w stanie, który określić można tylko jako dziwny. „Allach!” – wykrzyknęła, wzywając imię Boga Proroka z uniesionymi rękami. Matka Mae była buddystką.

– Jakie to straszne – powiedział, kręcąc głową, brat Mae, Ju-mei. Na tę okazję włożył swój miejski garnitur i długi miejski płaszcz. Pocił się i gotował w poczuciu należnego mu szacunku.

Kwan podała Mae herbatę i to też było dziwne. Ktoś umarł, więc zaparzasz herbatę?

– Wielu twierdzi – zaintonowała Kwan – że śmierć nie jest wcale taka straszna.

Mae roześmiała się. Ciche pohukiwanie złamanego serca było teraz jej częścią.

– Jak mogą to twierdzić, skoro umarli? – spytała.

– Lekarze potrafią czasami przywrócić im życie – odparła spokojnie Kwan.

– Nauka! Czyż nie jest wspaniała? – Mae zachichotała. – Pytają ludzi, czy tego chcą?

Matka Mae przeklęła diabła. „To Szejtan, to dzieło Szejtana!”

– Teraz my zaopiekujemy się tobą – obiecał brat Mae. Twarz miał bardzo poważną.

To też ją rozweseliło. Raczej chcecie, żebym dalej się o was troszczyła, pomyślała. Przypomniała sobie żonę pana Kena leżącą na podwórku.

– Co z panią Ken Tui? – spytała.

Zapadła nagle cisza. Joe, siedzący przy kuchennym stole, zdjął czapkę bejsbolową, podrapał się po głowie.

– Tui też nie żyje – odpowiedziała Kwan. Brat Mae pochylił się, ujął jej dłoń. Kwan zamilkła, ale na krótką chwilę. – Wybiegła z podwórka – wyjaśniła. – Płakała, krzyczała, że oszaleje. Skoczyła do studni.

Mae nie zdołała powstrzymać głośnego wybuchu śmiechu. Straszne to było, a jednak się śmiała.

– Wy poszłicie obejrzyć operę, a my, reszta, ją przeżywaliśmy. – Chichotała ciągle, zadając następne pytanie: – Czy Test uznano za sukces?

Pan Wing wyglądał bardzo ponuro, kiedy odpowiedział: „Nie”.

Mae uznała, że to też jest śmieszne. Zachichotała znowu, machnęła ręką.

– Chyba rzeczywiście.

– Twierdzą, że proces okazał się fizycznie bezpieczny, a jednak doszło do paniki. Byli ranni.

– I nikt nie może pić wody ze studni, bo studnię ma zapchaną ciałami sąsiadów. – Mae zaniepokoiło, że ciągle się śmieje. Tego było zdecydowanie za wiele.

Pan Wing udzielał jej informacji powoli, wytrwale. Chciał ją uspokoić, lecz tylko ją bawił.

– Nie włączą Tlenu jeszcze przez rok.

– No to jeszcze rok pożyjemy.

– Zapowiedziano międzynarodowy program edukacyjny.

Mae naśladowała głosy z czystej, szalonej wściekłości. Teraz wy wszyscy macie w głowie chlewy i nie wiecie, jak je oczyścić. Świnia nazywa się „Strach”, Macie także inną sekcję oznaczoną „Śmierć”. Prosimy nie wybierać „Śmierci”. Możecie wybierać między „Strachem” i „Paniką”.

– Jest także świat duchów – powiedziała spokojnie Kwan. – I ten świat ty przemierzyłaś.

Mae nagle przestała się śmiać.

\*\*\*

Następnego ranka Mae spróbowała wrócić do pracy.

Najpierw usiłowała raz jeszcze wygotować pranie. Zajęło jej to cały ranek. Nie mogła się skupić, wszystko leciało jej z rąk. Wiedziała oczywiście, że jako znawczyni mody powinna dobrze wyglądać. Włożyła najlepszą sukienkę, ale ta nie chciała się na niej dobrze leżeć, jakby włożyła ją tył na przód. Zaczęła nakładać makijaż przed lustrem i nagle wybuchła płaczem.

Twarz była żywa, lecz samotna.

Pieczek wystawiono na dwór. W pewnym momencie Mae uświadomiła sobie, że stoi przy nim z wielką drewnianą łyżką do mieszania prania i że wspomina. Wspominała wszystkie dzieci biegające po tym podwórku – dziewczynki w brudnych kwiecistych spodniach, najmłodszy chłopcy w szortach, starsi w bluzach i na sportowo. Widziała ich fale, nadpływające i cofające się. Z głębin jej pamięci wypłynęły wspomnienia o dzieciach takich jak mały Woo, który zginął wciągnięty przez młockarnię.

Przed jej narodzinami.

Mae pamiętała to, czego świadkiem była stara pani Tung. Pamiętała rolniczą wioskę na ziemi wielkiego posiadacza, którego później zabili komuniści. Pamiętała jego samochód: ogromny, kremowy i lśniący, za duży i za szybki na lokalne drogi. Zaprzęgał do niego wołu, a sam, rozparty na tylnym siedzeniu, machał do ludzi. Był gruby, dziecinny. Dał małej panience Hu czekoladkę. Pani Tung nazywała się niegdyś Hu Ai-ling.

Pamiętała plecenie garnków z trzciny. Pamiętała kobiety o twarzach prawie jej znanych i imionach, które niemal pamiętała. Pamiętała, jak wszystkie zgodnie twierdziły, że najlepiej być tą środkową żoną. Bo pierwsza żona musi rządzić i żyje w ciągłym strachu, że straci pozycję, a najmłodsza żona zawsze będzie rodzinnym popychadłem. „Ale jak chcesz zostać środkową żoną, nie będąc przedtem najmłodszą żoną?” – spytała któraś z nich.

Pamiętała, jak zrobić ogórki w occie tak, by przez trzy lata pozostały twarde, kruche i nie przeszły smakiem octu. Pamiętała zbiory fasoli; siedziały w grupach, odrzucając złe, wyłupując nasiona ze strączków, przypiekając je, susząc i pekując. Kobiety wkładały z tej okazji pikowane kurtki, obywaty się bez makijażu i

wszystkie paliły trybulkę w steatytowych fajkach. Usiłowały pozbyć się zębów, bo zęby to tylko kłopot i często bolą.

Pamiętała wiersze.

*Płomień miłości płonie we fletni trzcinie,*

*potęga miłości rozpala się w winie.*

– Pani Chung? – Ken. Stał przed nią Ken.

*Fletnia przyjacielem tych, którzy stracili przyjaciół.*

Porządnie przycięte włosy, okrągła twarz; chodzący obraz niedawnego wdowieństwa. Widziała jego chłopięcą buzię taką, jaką widzi babka: obietnicę przyszłości. Teraz miała przed sobą człowieka dorosłego, samotnego, pozbawionego jej obecności. Otchłań przyszłości, w którą wszyscy wpadamy, ginimy i znikamy. Odcisk pozostawiony na świecie przez ubytek naszego kształtu.

– Och! – Mae przytuliła go mocno. Rozpłakała się na jego ramieniu.

– Pani Chung – powtórzył pan Ken i niezdarnie poklepał ją po plecach.

– Mam... mam wspomnienia twojej babki. – Mae wyrzuciła z siebie to wyznanie szybko, gorączkowo i natychmiast przykryła usta dłonią. – Miałeś niebieski plastikowy samochódzik, ciężarówkę. Pamiętam to i pamiętam, jak doprowadzałeś rodzinę do szału, bawiąc się nią i naśladując warkot silnika. Chciałeś być kierowcą, kiedy dorośniesz. – Na jej twarzy pozostały ślady łez. Wstrząsnęły nią i tajemnice tego świata, i jego smutek. – Dlaczego nie zostałeś kierowcą ciężarówki?

Przystojna twarz Kena Kuei obwisła, intymność tego wyznania pozbawiła ją męskości. To było dobre pytanie. Babka nigdy go nie zadała.

– Gospodarstwo – odparł cicho, niewyraźnie, wzruszając ramionami.

Wzruszenie ramion mówiło, że jest to znacznie bardziej skomplikowane. Pan Ken rozejrzał się po podwórku. Mae ciągle miała na sobie szlafrok, jak o poranku.

– Proszę wrócić do domu, pani Chung. – Wziął ją pod rękę, poprowadził. – Mam zawołać Joego?

– Nie wiem.

Mae chciała mieć przy sobie tylko pana Kena. Chciała z nim porozmawiać. O jego dzieciństwie. Straszne było to niezwykle silne wrażenie, kim był. Nosił to dziecko na rękach. Wiedziała, że nawet jako dziecko był pełen spokojnej, cichej siły. Nie płakał, nie krzyczał. Potrafił się bić, ale robił to tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. I tak dobrze grał w piłkę nożną.

Ahmet też dobrze grał. Wspomnienia te sprawiły, że po policzkach spłynęły jej łzy, zupełnie jakby Kuei był dalekim brzegiem jakiejś pięknej, oddalającej się krainy. Opieka nad długo wyczekiwany wnukiem była dla pani Tung ostatnią w życiu okazją, by zrobić coś użytecznego.

– Przez lata byłam jak... szkielet – powiedziała Mae, nie bardzo wiedząc, co mówi. Mina pana Kena zdradzała, że zaczyna się o nią poważnie niepokoić. – Twoja babka bardzo cię kochała. Kiedy odszedłeś, była taka smutna.

Pan Ken zdołał wprowadzić ją do domu.

– Nie odszedłem – zaprotestował, kiedy znaleźli się w środku.

– Dorosteś – rzuciła mu w twarz oskarżenie i wreszcie rozpląkała się głośno. – Powinniśmy wychodzić ze skorup – wyznała. – Skorupami mogą być dzieci, dzieci trzeba zostawiać za sobą. Żywe. Zostawiać je matkom. Żeby matki układały je w kołyskach.

– Niech pani tu zostanie – powiedział pan Ken. I uciekł.

Mae została sama. Płakała. Płakała po wiosce, która już nie żyła, po starym Kizuldah. Powinno być tak, że wychodzisz za róg i znów znajdujesz się w domu, z jego niezmeliorowanymi bagnami dna doliny. Doliny, której nie ranił pług, pozostawionej na własność ptactwu wodnemu, lisom i młodym kochankom.

Och, pani Tung, byłam pani przyjaciółką, a jednak nic o pani nie wiedziałam. Nigdy się do pani nie zbliżyłam. Nie po tym, jak posadziła mnie pani na kolanach i pokazała zdjęcia pięknych strojów i pięknych kobiet. I chociaż spotykałam panią każdego dnia, nadal pani nie znałam. Nigdy nie zapytałam o japońskie samoloty. Czy to prawda, że właściciel tej ziemi wystawiał głowy kłusowników nadziane na drągi?

Skądś napłynęła ku niej odpowiedź: „Tak”.

Rozumie pani? Teraz nikt w to już nie wierzy. Ludzie myślą, że to komuniści opowiadali takie bajki. Straciliśmy... straciliśmy tak wiele.

Ten sam głos powiedział: „Tylko wszystko”. Było tak, jakby odwiedziła ją stara pani Tung, weszła do domu i usiadła obok.

Kiedyś nagle przyszły takie mrozy, że kiedy zdjęłam upraną koszulę ze sznurka i upuściłam ją, to się złamała.

I Mae zobaczyła ten świat: wstawanie o świcie, grzbiet zgięty przez cały dzień, sadzenie ryżu w błocie.

Rankami słyszało się, jak mężczyźni idą przez wioskę, śpiewając.

„Zaśpiewaj mi ich piosenkę”, poprosiła Mae, w głowie. I wstała do pracy.

Zaśpiewały razem bardzo stare piosenki śpiewane przez mężczyzn przy pracy. Mogła je pamiętać tylko pani Tung. Proste piosenki, o czyichś roboczych spodniach, które nie chciały się trzymać, tylko ciągle opadały, o miłości jeżozwierza do stonogi. Pamiętała żarty opowiadane przez wieśniaków, żarty o ćmach. Kto dziś jest tak niewinny, by opowiadać dowcipy o ćmach, skórzanych podeszwach, o świecach?

Mae rozwiesiła pranie, śpiewając dla siebie, lecz głośno szorstkim wieśniaczym głosem.

– Pani Chung? – usłyszała młody głos.

Mae odwróciła się i musiała zamrugać ze zdziwienia. Ta okrągła twarz mogła pochodzić równie dobrze z lat czterdziestych XX w., jak i z osiemdziesiątych lub z początków nowego wieku. Głęboki, wykończony sznurkiem dekolt sukienki powiedział jej, w którym żyje roku. To była jedna z absolwentek z niedzieli. Han An.

– Przyszłam podziękować pani za promocyjną sukienkę – powiedziała.

– Nie ma za co. – Mae ukloniła się. An była córką jej najlepszej przyjaciółki z dzieciństwa. Teraz prawie w ogóle się nie widywały.

– Słyszeliśmy, że po Teście nie czuje się pani dobrze?

Mae pokręciła głową. Nie, nie czuła się dobrze. Z całą pewnością

nie czuła się dobrze. Dziewczyną wyraźnie to wstrząsnęło.

– Nam wszystkim wydawało się, że jako znawczynie mody będzie pani najłatwiej przyjąć te wszystkie nowe rzeczy...

Mae chciała wyjaśnić, co się stało, ale okazało się, że nie jest w stanie, to była kwestia jednocześnie zbyt skomplikowana i zbyt prosta. Wystarczyły trzy słowa: „Duch mnie nawiedza”. Mogła też powiedzieć: „Ukradłam część duszy pani Tung”. Albo: „Kiedy umierała, byłam w »Poczcie błyskawicznej«,„. Mogła powiedzieć: „Sądzę, że »Poczta błyskawiczna« jest miejscem”. Wszystko to było jednocześnie prawdą i fałszem. Język, jak sama pani Tung, był starym rozpadającym się mostkiem gotowym zawalić się w każdej chwili.

Mae stała ze złożoną pościelą przerzuconą przez ramię. To, co się działo, zbijało ją z tropu. An zauważyła jej zmieszanie.

– Pomogę pani – zaproponowała.

Przyniosła ciasteczka, na podziękowanie. Podała je Mae, żeby nie sięgnął ich pies pana Kena, który już zaczął podgryzać drewniane klamerki do bielizny pozostałe na praniu.

Gdyby nadal obchodził mnie tytuł ekspertki modowej, pomyślała Mae, byłabym pewnie zaniepokojona możliwością utraty pozycji. Ale nie potrafię się tym niepokoić. Nic na to nie poradzę.

An zaprowadziła ją do jej własnej kuchni. Zaparzyła Mae herbatę. Mae rozpakowała ciasteczka i... rozplakała się. Płakała, z jej oczu płynął strumień łez niczym zrodzony z wielkich głębin ziemi. To były staroświeckie ciasteczka, ciasteczka z tych, jakie miejscowi piekli tu od setek lat. Piękne małe ciasteczka zrobione głównie z powietrza, starego ryżu, oszczędzonego cukru, zakonserwowanych cennych słodkości w drobiuteńkich kawałkach. Ciasteczka te opowiadały historię stuleci biedy i wdzięczności. Nagle doznała wrażenia, że stara pani Tung, wszystkie jej przyjaciółki i przyjaciółki jej matki, i w ogóle wszystkie kobiety z wioski w ostatnich kilku ciężkich wiekach, otoczyły ją, pragnąc poczęstować się jednym z nich.

Joe wrócił do domu wcześniej. Przyprowadził ze sobą doktora Bauschu, lekarza okręgowego.



– Nie możesz pracować, żono – powiedział Joe z tak wielkim żalem, jakby zepsuła się jego ulubiona maszyna.

Mae zastanawiała się chwilę, dobierając słowa.

– Moje serce jest zbyt pełne – powiedziała w końcu.

W jednej chwili przypomniała sobie Joego, drobnego urwisa w szortach, takiego, jakim widziała go pani Tung. Och, prawdziwy aniołek! Śliczny, pogodny chłopczyk w szortach, biegający wśród innych dzieci, roześmiany, wichrzący im włosy i nadal śmiejący się wesoło, gdy one mierzwiły włosy jemu. Dorósł za szybko. Za szybko się rozwinął. Joe przestał się uczyć. Nie było w nim teraz nic z dawnej figlarności. I już się nie śmiał.

– Och, mężu, ile straciliśmy my wszyscy, co tracimy zawsze, w całej naszej historii... tego nie da się zważyć. Nie da się zmierzyć.

Przystojny, komicznie śmieszny mąż Mae stał, bezradny, drapiąc się po głowie. Kto słyszał o żonie, która nie może pracować, ponieważ dźwiga ciężar historii?

Doktor Bauschu kazał Mae usiąść i podwinąć rękaw. Był to twardy, chudy mężczyzna, krążący między kilkunastoma wioskami z poobijaną czarną torbą. Nigdy nie krył niechęci do znawczyni mody. Za często masowała olejkami, zbyt chętnie zajmowała się cudzymi zębami, świadczyła usługi z pogranicza medycyny i urody. A teraz podejrzaną przyjemność sprawiało mu najwyraźniej to, że Mae jest chora.

– No i widzi pani – oznajmił – kiedy przyjdzie prawdziwa choroba, nawet pani wzywa doktora.

Do jakiego stopnia można być nieprzyjemnym? Jestem w żałobie, głupcze, w żałobie po całym sposobie życia!

Doktor Bauschu nalegał na zbadanie jej temperatury i zmierzenie tętna. Pomacał ją w poszukiwaniu guzków, zajrzał do gardła.

– Problemy nerwowe wywołane przez ten test – orzekł, kończąc badanie. – Poza tym nie widzę nic niepokojącego. Zalecam odciążenie humorów.

Nawet Mae wiedziała, że w tym momencie doktor skończył z nauką. Zagrzał jej dobre szklanki, ustawił je na plecach pacjentki, nisko. Żeby ssały i odciągały.

– Doktor przyjeżdżał co sześć miesięcy – powiedziała sennie. – Białą furgonetką z czerwonym półksiężycem. My wszystkie ustawiałyśmy się do niego w kolejce, nawet jeśli nic nam nie było. Zresztą zawsze jest co leczyć: ząb, skaleczenie, wszy we włosach.

Okulary lekarza zabłyśły. Zamknął z trzaskiem torbę. Ta kobieta mówiła od rzeczy. Znacznicy mody nie jest przy zdrowych zmysłach.

\*\*\*

Wieczorem prawie cała wioska stłoczyła się w jedynym pokoju Mae. Jej szwagierka, pani Wang, robiła mnóstwo hałasu, rządziła się w kuchni i próbowała zaparzyć herbatę, szukając tego, co potrzebne, nie tam, gdzie należy, i rozrzucając wchodzące jej w drogę drobiazgi. Brat Joego, Siao, chodził za nią po cichu, ustawiając to, co porzuciła. Dziesięcioro Soongów, powiązanych z Mae przeróżnymi małżeństwami, robiło nieprawdopodobny tłok. Nie pamiętała nawet imion ich wszystkich.

– Wola Boża – zadeklamowała matka Mae, kierując te słowa do starej pani Soong. – Grzeszyliśmy i nie zeszlśmy ze ścieżki grzechu, więc Bóg nas karze.

– To bez sensu, mamó – powiedziała Mae. – Bóg nie karze. Bóg nie nagradza. Pozwala nam robić, co chcemy.

– Jej ojciec został zamordowany. – Zrozpaczona matka machnęła trzymaną w dłoni chusteczką w stronę córki, zupełnie jakby jej słowa wszystko wyjaśniały. – Straciła siostrę i córkę...

Wylały się z niej wszystkie rodzinne sekrety. Mae była teraz na nie zbyt zmęczona i zbyt zgnębiona. Zmarnowane miłości są nużące. Jej piękna starsza siostra Missy umarła... jej starsza córka umarła... dlaczego teraz jej o tym przypominać? Wśród ludzi, w chorobie, przypominać jej, co w przeszłości było najgorsze? Mae bardzo chciała, by wszyscy goście wyszli. Chciała zasnąć, ale przecież ci ludzie przyszli w odwiedziny, żeby poprawić jej samopoczucie.

Wszedł nauczyciel Shen, bardzo poważny. Towarzyszyła mu piękna żona Suloi, na wypadek gdyby ktoś źle zrozumiał jego

przyjaźń z Mae.

– Panie nauczycielu Shen... – Jego widok sprawił Mae wielką przyjemność. Suloi miała twarz Kwan, twarz jej mniejszości, Eloi. Pani Shen była tak piękna jak Kwan. I nawet teraz, tutaj, bardzo pogodna.

– Jak się ma nasza ekspertka modowa? – spytała.

– Bardzo zdezorientowana. Jestem teraz bardziej ekspertką od historii niż od mody.

Mae podniosła wzrok, spojrzała w twarz nauczyciela Shena i oczywiście zobaczyła chudego chłopca, nad którym wszyscy się znęcali. Stara pani Tung bardzo się o niego martwiła. Martwiła się, że ma za mało książek dla tego nad wiek poważnego chłopca.

– Powinieneś pójść na ten egzamin – powiedziała. – Ten egzamin na urzędnika służby cywilnej.

Nauczyciel Shen zamrugnął, natychmiast spojrzał na Kwan, która tylko skinęła głową.

– Nie miałem czasu – powiedział cicho. – Nie miałem pieniędzy. Poszedłem na kurs dla nauczycieli.

– Pamiętasz tę cienką białą książeczkę? – spytała niemal szeptem Mae. – Pani Tung ją dla niego znalazła. To była jego własna książka.

Nauczyciel Shen stał, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem. Uśmiechał się lekko. Sięgnął do torby.

– To ona – powiedział.

Cienka, zniszczona książeczka poplamiona przez dziecko. Tytuł napisany w ich języku brzmiał *Piotruś królik*. Nauczyciel obrócił się powoli, patrząc na zgromadzonych w pokoju ludzi. W jego wielkich oczach zabłysły łzy.

– To prawda – szepnęła i powtórzyła: „To prawda”.

Jego żona z Eloich przysunęła się do Mae. Na kolanach, uśmiechnięta. Ujęła ją za wolną rękę.

– Stałaś się prorokinią – oznajmiła chicho, z szacunkiem.

– Przeszłości.

Jak by to było raz, tylko raz, mieć wolną chwilę dla siebie. Pomiędzy jej przyjaciółkami stała Sunni z mężem, panem Haseemem. Pan Haseem pożądał jej domu.

\*\*\*

Następnego dnia odbył się pogrzeb pani Tung.

Mae odprowadziła składaną do ziemi tekturową trumnę spojrzeniem bez wyrazu. Stojący wysoko na wzgórzu meczet wydawał się taki mały. Z jego ścian oblażyła biała farba. Całe wzgórze wyglądało tak, jakby oblażyła z niego farba.

Dziwnie tak było patrzeć, jak cię grzebią, jak ludzie, których właściwie nie znasz, ocierają łzy z policzków. Wiedzieć, że żyłaś tak długo, że nie pozostał już nikt, kto mógłby cię szczerze opłakiwać. Wnukowie pani Tung byli już dorosłymi ludźmi i owszem, niezbyt wygodnie czuli się w garniturach. Jeden pracował jako mechanik w Yeshibozkent, drugi kierował autobusami. Po południu będą już z powrotem w pracy.

Mae nie opłakiwała pani Tung. Dla niej pani Tung nie umarła. Ciało... ciało to był tylko proch. Pani Tung była z nią w Tlenie.

Sunni Haseem podeszła i ujęła jej dłoń.

– Tak mi przykro – złożyła jej konwencjonalne kondolencje.

– Dlaczego? – spytała Mae.

– Żyła pełnią życia – zgodziła się z nią Sunni.

Mae przypomniała sobie panią Tung, kochającą się w trakcie bitwy, na bagnach. Pamiętała czubki trzciny cięte przez kule, pamiętała uścisk mężczyzny. Mężczyzna pani Tung odchylił się i uśmiechnął. Bez troski. Mae pamiętała jego uśmiech. Ten uśmiech mówił: „Życie nie jest warte przeżycia, jeśli nie jest warte tego, by je utracić”. I wiedziała, że ten chłopiec zginął.

– Zmarła w czcigodnym wieku – powiedziała Sunni.

Och, ty modna żono z małą kuchnią, niekochana, co ty możesz o tym wiedzieć? Czy w całym swym życiu coś kiedyś komuś dałaś?

– Czcigodnym? – powtórzyła Mae. Zupełnie jakby przez całe swe życie pani Tung cerowała kuchenne ścierki. – Działała w partyzantce, w szkole ukrywała żołnierzy!

Kwan i Joe podeszli do niej, ujęli ją pod ramiona.

– Odprowadzimy cię do domu – powiedziała Kwan. Ale Mae nie pozwoliła ruszyć się z miejsca.

– Dlaczego ludzie traktują przeszłość tak, jakby przegrała bitwę,

którą wygrała terazniejszość? – spytała z gniewem, zaciskając dłonie w pięści. – Dlaczego traktuje się ją, jakby znikła, rozplynęła się, bo jest za słaba na życie?

Joe był zdumiony. I zmieszany.

– Nie wiem – powiedziała Kwan.

– Przeszłość jest rzeczywistością. Ona ciągle jest tutaj.

– W takim razie, być może, także przyszłość tu jest – powiedziała Kwan.

\*\*\*

Przez kolejne tygodnie, aż do czerwca, Mae sypiała długo i budziła się późno. Przytyła, bo nie pracowała intensywnie. We śnie przeżywała dziewięćdziesiąt lat ludzkich głosów: dziecięcych, dorosłych, szczekanie ukochanych, dawno nieżyjących psów, szum wody ocierającej się o burty łodzi-wypalanek, zgniłych dziś i zapomnianych.

Stopniowo doszła do tego, że znów mogła gotować posiłki, sprzątać, zamiatać. Zdołała wyrzucić szwagierkę z kuchni. Widać było, że jej mąż, Joe, odczuwa wielką ulgę. Znów rankiem czekało na niego gotowe do pracy ubranie i gorące kluski na śniadanie. Ale Mae stała też długo przy małym kuchennym okienku, czekając na choćby najkrótsze pojawienie się pana Kena. Jej serce wyrywało się do niego, późnego ojca dwóch córek, wychodzącego do pracy w polu o najwcześniejszym świcie, na długo przed jej Joem. Jej serce wyrywało się do dziecka, do małego chłopca, którym był, do pucołowatej twarzy, wąskiej talii i szybkich, zręcznych ruchów, kiedy nad czymś pracował.

Nie przestawała myśleć o starej pani Tung w trzcinie. Jak podciągnęła sukienkę, jak opuściła spodnie, jak otworzyła się przed kochankiem cała, szeroko, swobodna, wypełniona radością jak żagiel na wietrze, pragnąc, by mężczyzna wypełnił ją dziećmi, niczego nie oszczędzając i w niczym się nie hamując.

Stara pani Tung знаła to, choć zawsze sprawiała wrażenie takiej skromnej i takiej kruchej.

Ekspertka moda nie znała, choć tyle mówiła o pięknie.

Szminki, olejek we włosach, kwieciste wsuwki... to przecież były

sygnały. „Kochaj mnie, nigdy nie byłam kochana”. To dlatego miały nad nią władzę, dlatego tak ją przyciągały, dlatego tak bardzo ich potrzebowała. Pragnęła ustroić się w szarfy głoszące: „Chodź do mnie, ja nie mogę do ciebie przyjść”.

Po prostu pragnęła pana Kena.

Była noc i Mae zasypiała już, kiedy usłyszała, jak Joe wraca do domu.

Wracali z Herbaciarni. Joe chichotał i posykiwał na brata, na Siao. Był z nimi ktoś jeszcze.

– Gdzie żona? – spytał ten ktoś.

Mae rozpoznała go – jej mężowi i szwagrowi towarzyszył mąż Sunni.

Joe wymruczał coś grzecznego i niezrozumiałego.

– Wróciła do pracy? W biznesie mody?

Tym razem Joe zachichotał. Mąż Sunni zachichotał w odpowiedzi.

– Dobrze znów być mężczyzną we własnym domu, prawda? Ha, ha, ha...

Joe kazał bratu przynieść whisky. Siao burczał pod nosem, miał dość Joego odgrywającego rolę starszego brata.

– Nie! Dla pana Haseema tylko to, co najlepsze – syknął rozzłoszczony Joe.

Joe: czerwona twarz wieczorem, przekrwione oczy rankiem. Pijany był najgorszy, zawsze niepewny siebie i nie całkiem przytomny. Doprawdy, czy mąż Sunni nie mógł powiedzieć mu kilku miłych słów i odejść?

Ponieważ, pomyślała Mae, mąż Sunni nie wypowiadał miłych słów.

– Mogę pomóc – powiedział.

Mae niemal słyszała, jak rozkłada i otwiera portfel. Skopała z siebie pościel. Sięgnęła po szlafrok, ale powiedziała sobie: nie. Powinna wyglądać na znawczynię mody.

Wszystko sprzysięgło się przeciwko niej: ciemność i niechlujny bałagan, który zapanował w jej wnęce. Próbowwała poruszać się jak najciszej, chciała pojawić się nagle, chłodna, nienagannie

ubrana, by powiedzieć: „Nie chcemy twojej pomocy, ty mężczyzno Sunni”.

– Ile? – spytał Joe, nie kryjąc zdumienia.

Mae po omacku szukała w ciemności swej najlepszej sukienki. Namacała wieszak i tak – znalazła. Plisowany kołnierz wydawał się właściwie ułożony. Narzuciła ją przez głowę, palcami przygładziła rozczochrane włosy. Poklepała parapet, znalazła wsuwkę do włosów. Dłonie drżały jej z pośpiechu. Ściągnęła włosy najciaśniej, jak była w stanie to znieść, związała je wsuwką.

Wszystko wydawało się jej jakieś nienaturalne, jakby nie było sobą: twarz, wsuwka, sukienka ześlizgnęła się jej z ramienia, ale jednocześnie cisnęła w brzuchu. Buty... gdzie są buty?

Głos pana Haseema pieścił tak, jak pieści się kobietę.

– Wystarczy na uporządkowanie starej stodoły, nową oborę i kilka kóz. Co? Ha, ha, ha...

Nie, Joe, ty głupcze, przecież on tak zawsze, pożyczka za dużo, a potem odbiera farmę. Sandały. Nie pasują do najlepszej sukienki, muszą wystarczyć, czas, czas. Czuję się jak stóg siana, pomyślała Mae. Odsunęła zasłonę z wystudiowaną, pełną wdzięku powolnością.

Siedzieli przy jej stole, mąż Sunni rozparty wygodnie czuł się tu jak w domu. Butelka żytniej whisky była już w połowie opróżniona.

– Żono! – zawołał Joe, jakby bardzo ucieszył się na jej widok.

Siao spojrział na nią z pijackim smutkiem. Faysal Haseem zmrużył oczy i uśmiechnął się.

– To zaszczyt – powiedział, przysuwając jej szklaneczkę whisky. W jej własnej kuchni! – Włożyła pani dla nas najlepszą sukienkę.

– Nie znalazła innej. – Joe uznał, że udał mu się świetny żart, i roześmiał się, otwierając usta jak kaczka dziób.

– Bardzo uprzejmie oferował pan nam pomoc... – powiedziała Mae.

– To prawda, byłem bardzo uprzejmy. – Mąż Sunni uniósł szklaneczkę.

– Pożył nam sto rielsów! – cieszył się Joe.

– Och! A więc musisz mu je zwrócić, mężu.



– Nie! – warknął mąż Sunni. Posmakował whisky, którą miał w ustach.

– Sto rielsów, żono! Nowa stodoła! Kozy! Będziemy bogaci!

– Pan Haseem jest nazbyt uprzejmy. – Mae usiadła. Pora zmusić się do myślenia o interesach. Jakie to trudne być chytrą właśnie teraz. – Jak zamierzasz spłacić mu dług, mężu?

– Och, jakoś dojdziemy do porozumienia. – Cały Joe, pijany głupiec.

– Nie widzę takiego problemu. – Mąż Sunni nie był aż tak pijany, by w jego oczach nie zabłyśły iskierki kpiny. – Jeśli zajdzie taka potrzeba, może pani spłacić go z biznesu modowego.

– Ach. – W głosie Joego zabrzmiała pogarda. – Przecież nie będzie potrzeby!

– Pan tego nie rozumie. – Mae pozwoliła sobie na cichy, zmęczony śmiech. Czy Joe naprawdę tego nie rozumie? Przez chorobę straciła przecież cały wiosenny sezon.

– Będziemy mieli wołu. Dwa woły! – Jej mąż nabierał pewności siebie.

– Dwa woły nie spłacą stu rielsów. – Mae ujęła głowę w dłonie jakby się bała, że jej mózg rozpadnie się na kawałki. Mogła tylko grać w tę grę, jakby rzeczywiście była grą w otwarte karty. Powiedziała więc wprost: – Panie Haseem, proszę, nie uda się nam spłacić panu tak wielkiej sumy. Dla pana byłby to bardzo zły biznes.

– Jestem przeciwnego zdania – odparł mąż Sunni, czerwony na twarzy. Doskonale wiedział, co robi.

– Pan straci pieniądze!

Och, jaka głupia była, wybierając właśnie tę sukienkę. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego? Żeby mu pokazać, że ciągle ma dodatkowe źródło zarobków? Cała wioska wiedziała, że to akurat nieprawdopodobne. Strojenie się zabrało jej tylko czas i teraz było już za późno. Tyle warta jest moda.

– Nie stracę pieniędzy – powiedział mąż Sunni. – Prawda, Joe?

– Oczywiście, że nie. – Jej mąż wpatrywał się w pieniądze, jakby go olśniły. Rozłożył je nawet w wachlarz.

– Joe, jesteś pijany. – Mae popadła w rozpacz. Spojrzała na jego

brata. Siao palił papierosa wpatrzony we własne buty. Jemu też się to nie podobało. – Siao – powiedziała błagalnym głosem. – Powiedz mu. Przecież to dom twojego ojca. Wytlumacz mu, że nie będziemy w stanie spłacić takich pieniędzy.

Młodszy brat jej męża podniósł na nią wzrok. Przejechał dłonią po twarzy, jeden raz. Udało mu się zapuścić krótką bródkę, nad górną wargą rósł też cienki wąsik. Strącił popiół z papierosa.

– Pan Haseem był bardzo uprzejmy – powiedział – ale dzisiaj wszyscy trochę się napiliśmy. Być może powinniśmy podziękować panu Haseemowi i udzielić mu odpowiedzi jutro.

– Odpowiedzi jutro? – zdumiał się Joe. – Przyjaciel hojnie obdarza nas pieniędzmi, a ty go obrażasz odpowiedzią, że zastanowimy się do jutra?

– Chcę tylko powiedzieć, że być może i pan Haseem, i my, będziemy jutro inaczej patrzeć na tę sprawę.

Joe spojrział na pana Haseema spod oka. Musiał udawać przed nim, że to on rządzi w tym domu.

– Czasami trzeba podjąć ryzyko – powiedział. – Ty nigdy nie zaryzykowałeś. Nie opuściłeś domu.

– Ty też nie – odparł cicho jego brat. – Ale być może wkrótce będziesz musiał.

– Joe, twój brat ma rację – powiedziała Mae.

– Żono, to sprawa między mężczyznami.

Mae przeniosła wzrok na męża przyjaciółki.

– Panie Haseem, proszę, mój mąż nie wie, co robi, niech pan weźmie swoje pieniądze, bardzo proszę, nie ma żadnego sposobu, żebyśmy zwrócili panu pożyczkę. Chyba że oddamy panu gospodarstwo.

Postępowała uczciwie. Została upokorzona. Nie miała jak się bronić.

– Decyzja należy chyba do pani męża – powiedział pan Haseem.

Mae pochyliła się ku niemu.

– Panie Haseem, proszę, niech pan nam nie odbiera gospodarstwa, niech pan nam tego nie robi, jestem przyjaciółką pańskiej żony, proszę, niech pan pomyśli o naszej przyjaźni i niech pan nas nie niszczy. Proszę pana... błagam...

Przerażająca tajemnica Testu, głęboka nienawiść do tego, co się właśnie działo... dla Mae było tego za wiele. Upadła na kolana. Poniżyła się, klęcząc na zakurzonej podłodze w najlepszej sukni z wzorem z serc.

– Niech pan nam nie zabiera gospodarki!

– To raczej twoja żona jest pijana. – Mąż Sunnie zachichotał.

– Żono! – warknął Joe. – Robisz scenę. Jesteś chora. Na głowę. – Stuknął się palcem we własną.

– Niech pan zabierze swoje pieniądze – zaszlochała Mae. Wyjęła banknoty z ręki męża, próbowała wcisnąć je panu Haseemowi. – Proszę.

Pieniądze upadły na podłogę. Zebrała je drżącymi dłońmi, tę truciznę, spróbowała jeszcze raz. Pan Haseem odebrał je, zwinął, sięgnął ponad stołem i wsadził do kieszeni koszuli Joego. Poklepał materiał kieszeni, chrząknął, po czym rozsiadł się wygodnie bardzo z siebie zadowolony. Zupełnie jakby właśnie się smacznie najadł.

Zatem wszystko skończone, pomyślała Mae. Masz swoją pożyczkę, masz nawet mnie padającą przed tobą na klęczki. Wiesz, że wiem... i że jestem bezradna. A mogłam odmówić ci przynajmniej tej wiedzy. Ale nie zdradzę ci już nic więcej.

Mae wstała. Wytarła łzy z policzków. Ból głowy oslepił ją i pokój wydał się jej nagle prostacki, brudny, nie do zniesienia.

– Sto rielsów to nie jest zła cena za farmę – powiedziała. – To dobry interes, panie Haseem. Dobry dla pana.

Joe był zamroczony wypitą whisky.

– Proszę, mężu. – Mae nalała mu kolejną szklaneczkę. – Powinieneś się teraz radować. Powinieneś zapomnieć.

Pogłaskała jego krótkie, tłuste, przyklejone do głowy włosy, a potem poklepała go lekko.

Joe przyjął szklaneczkę. Ruchy miał już niezdarne, ale udawał pewność siebie. Żona nalewa mężowi drinka, to jest tak, jak powinno być. Mae wsunęła mu dłoń do kieszeni, wyjęła pieniądze. Nawet je przeliczyła.

– Sto rielsów – powiedziała do pana Haseema. – Dokładnie.

– Oczywiście, że dokładnie. – Pan Haseem rozsiadł się jeszcze

wygodniej. – Jestem uczciwym człowiekiem.

– Jest uczciwym człowiekiem – powtórzył Joe, unosząc szklaneczkę.

– To żona zawsze trzyma pieniądze.

Mae wsunęła zwitek banknotów za kołnierzyk najlepszej sukienki. Uznała, że mąż Sunni był w pełni zdolny do okradzenia jej męża, gdy straci on przytomność z pijaństwa.

Mąż przyjaciółki uniósł szklaneczkę gestem wyrażającym kpiący szacunek.

Mae nie była w stanie dłużej znosić tej sceny. Wycofała się, zasunęła za sobą kurtynę, ale nie położyła się spać. Stała nieruchomo zeszywniała z paniki. Ma nas, ma nas, zrobi nam, co robił innym, najpierw jedna pożyczka, potem następne i następne, dług, którego nie sposób spłacić, przejęcie domu i ziemi. Przecież cały dom wart jest może trzysta rielów, pola jeszcze około stu. Jeśli doliczyć procenty, musimy zdobyć jakiś dodatkowy roczny dochód!

Pomyślała o Sunni. Męskie sprawy, tak? Te męskie sprawy mogą przecież być także kobiecymi sprawami.

Teraz już mogła zapalić światło. Naga żarówka oświetliła maszynę do szycia, przybory toaletowe, kupki ubrań. A także jej zapadniętą twarz, worki pod oczami, zmarszczki wokół oczu i spuchnięte usta, jakby bił ją mąż. Sięgnęła po grzebień, przeciągnęła nim po włosach. Jeszcze szminka. Umalowała się z wielką uwagą, podkreślając usta, o wiele za cienkie na jej gust. Kilka razy uszczypnęła się w policzki, wyszukała odpowiednie buty, narzuciła sweter.

– Idę na spacer – oznajmiła, pojawiając się w kuchni.

Mąż Sunni ryknął śmiechem. Zasalutował jej kpiąco.

– Miłego spaceru, ekspertko moda.

Mae wyszła na podwórko, a potem na Upper Street. Stromym zboczem wspinała się do domu pana Haseema. Wiedziała, że Sunni nie będzie spała. Że będzie czujna. I gorzka.

Otworzyła furtkę. Weszła do domu przez kuchenne drzwi. Światło było wprawdzie zapalone, ale kuchnia okazała się pusta. Lepiej nie zaskakiwać przyjaciółki, jeśli nie jest gotowa na jej

wizytę.

– Przyjaciółko Sunni! To tylko ja. Przyszłam porozmawiać!

Ale okazało się, że przyjaciółka jest gotowa. Mae powiedział to sposób, w jaki, gwałtownie i ze słyszalnym trzaskiem, rozsunęła się zasłona, a także fryzura Sunni i makijaż, ale przede wszystkim to, jak stanęła, sztywno wyprostowana, z nieruchomą w zaciętym wyrazie pyszą twarzą.

– Trochę za późno jak na wizyty towarzyskie – powiedziała Sunni.

– Wiem. Ale potrzebuję twojej pomocy.

– Potrzebujesz pomocy. Ostatnio nie byłaś sobą. Standardy wyraźnie się obniżyły.

Mae wiedziała już, wyczuła, że nic nie osiągnie. Wiedziała, jaka jest sytuacja. Tyle że kiedyś, w przyszłości, będzie mogła sobie powiedzieć: „Próbowałam”.

– Nie poprosisz, żebyśmy usiadła? Nie zamierzam zostać długo. Jak wiesz i nawet powiedziałaś, nie czułam się ostatnio zbyt dobrze.

Sunni gestem wskazała jej krzesło przy kuchennym stole, nie zaprosiła jej do saloniku. Sama nie usiadła.

– Będę oczywiście nadal zajmować się interesami modowymi – oznajmiła Mae.

Sunni przechyliła lekko głowę.

– Pierwszy raz słyszę, jak przyznajesz, że to jednak był interes. Zawsze wspominałaś go tak, jakby chodziło o przyjacielską poradę.

– Bo to prawda. Większości rad udzielałam za darmo. Po przyjaźni. – Głos Mae brzmiał smutno. Mae była smutna. – A łatwo rozpoznać przyjaciela w potrzebie.

Sunni, Sunni, wiem, jaka jesteś, i wiem, że jesteś lepsza. Od tego. Sunni, nic nie mów.

– Twój mąż – mówiła dalej Mae – prowadzi interes wykupu gospodarstw.

Sunni pozostała nieporuszona. Na razie nie działało się nic, czego by nie przewidziała. Wiedziała przecież, że padnie propozycja pożyczki. Być może nawet próbowała odwieść męża od tego

pomysłu, ale teraz, jeśli o nią chodzi, decyzja została podjęta.

Długo wahała się z odpowiedzią.

– To mądrzejsze niż prowadzić gospodarstwo. W ten sposób dochodzi się do majątku. Majątku, z którego, oczywiście, można także płacić za modę.

– Twój mąż upił Joego, wmówił mu najbardziej nieprawdopodobne marzenia, a potem pożyczył mu sto rielsów.

– Phi! Prędeż twój Joe upił mojego męża, żeby wyciągnąć od niego tak wielką pożyczkę.

– Nie splanujemy jej, Sunni, i ty o tym doskonale wiesz. Równie dobrze jak wiesz, że w ten sposób twój mąż się bogaci. Proszę cię, jako przyjaciółka, byś użyła swych wpływów w pośrednictwie do dobrego celu. Niech teraz odbierze te pieniądze. Albo... – Mae sięgnęła za kołnierz sukienki – sama teraz je ode mnie przyjmij. A potem przemów do niego w naszym imieniu, poproś, by nas oszczędził.

Wyciągnęła do przyjaciółki rękę z banknotami z wydrukowanym na nich tak pięknie portretem prezydenta Kubla Khana. A Sunni chyba się wahała...

– Proszę, bardzo cię proszę. – Mae poczuła, jak wraca słabość jej choroby, głos jej drżał i znów była bliska łez. – Inaczej wszystko stracimy.

Ale Sunni nie wytrzymała długo.

– Te głupie pożyczki – powiedziała w końcu – to męskie sprawy. To sprawa mojego męża. Nie mogę się do niej wtrącać.

– Sunni, on nas zniszczy.

– Nie mogę ci pomóc. – Sunni odwróciła się do drzwi.

– Jeśli kiedykolwiek byłaś mi przyjaciółką... – Mae poszła za nią.

Weszła, nieproszona, do domu bogatego człowieka. Domu haftowanych zasłon, haftowanych i miękkich poduszek, złota i zieleni. Wszystko było tu miękko wyściełane, sam pokój sprawiał takie wrażenie, mały pokój typowego wiejskiego domku, wypełniony szklanymi karafkami i szklanymi kulami, w których padał śnieg. Był tu nawet komplet kul bilardowych, choć nie było stołu.

– To nie jest moja sprawa – powiedziała Sunni znacznie

gwałtowniej niż poprzednio. Przyciskała rękę do brzucha, jakby ją bolał. I nagle zaatakowała. – A skoro o przyjaźni mowa, ty byłaś służącą, rozumiesz? Kupiłam twoje usługi, twoje... twoje... porady, twoje... przymilne wynoszenie się ponad mnie. Kupiłam cię i ty o tym doskonale wiesz.

Sunni, Sunni, jak ty tego nienawidzisz, zachowujesz się niezręcznie, jak nieobyta.

– Oczywiście, że robiłyśmy interesy, i obie o tym doskonale wiemy. – Mae zaczęła się irytować. – Ale nie robi się takich interesów z kimś, kogo się nie zna, a nasza znajomość jest uczciwa i dobra, nie ma między nami niedopowiedzeń. Tak może być dalej. Ale pod warunkiem, że ta głupia, jak ją słusznie nazwałeś, sprawa z pożyczką, zakończy się tu i teraz.

Sunni wyglądała jak zapędzone do kąta zwierzątko. Kręciła głową, „nie, nie, nie”. Wówczas Mae zrozumiała.

– Boisz się go, prawda?

– Cóż za nonsens! Jak śmiesz?!

– Oczywiście, że się go boisz. Ja też się go boję. To brutal, Sunni.

Kobiety mierzyły się wzrokiem. Między nimi stał mur pieniędzy. Mae przyglądała się banknotom, oceniała ich siłę.

– Ale – westchnęła – dzięki niemu jesteś bogata. Dlatego za niego wyszłaś. Dlatego nie możesz podawać w wątpliwość sposobu, w jaki zarabia. Sama powiedziałaś, że za modę się płaci.

Schowała pieniądze za dekolt.

Twarz Sunni zmarszczyła się brzydko, wargi jej drżały. Teraz pragnęła już tylko zemsty. Zemsty za to, że została opisana z tak zimnym okrucieństwem.

– Znacznicy mody! Komu będziesz teraz potrzebna? No, komu? Kto będzie prosił cię o rady teraz, kiedy telewizja twojego przyjaciela, pana Winga, będzie nam radzić na każdy temat, i to lepiej, o wiele lepiej niż ty kiedykolwiek? Chłopka! Chłopska żona!

– Dziwka – powiedziała Mae zimnym głosem. Pożaluję tego, pomyślała. Ale w tej chwili nie mam zamiaru przyjmować obelg w milczeniu. – A ja przynajmniej nie jestem dziwką, Sunni.

Na to Sunni nie miała odpowiedzi. Mae odwróciła się i szybko

wyszła z jej domu.

Dogonił ją krzyk.

– Chciałam go poprosić. Poprosić, żeby wam pomógł. – Sunni dogoniła Mae w kuchni. – Chciałam, ale teraz już nie chcę. Jak śmiesz mi wymyślać? „Przyjaciółka”, co? Ty? Zrobisz wszystko dla pieniędzy, dosłownie wszystko, a ośmielasz się nazywać mnie dziwką?

Mae stała już przy kuchennym wyjściu.

– Daj sobie spokój, Sunni. Po prostu daj sobie spokój. Wszystko, co o mnie powiedziałaś, jest oczywiście prawdą. Bardzo mi przykro, że sprzedałaś się za ten dom. Być może zrobiłabym to samo.

Wyszła w noc, pod wieczne gwiazdy, wieczne chmury. Księżyc zbliżał się do pełni.

I co teraz? – zastanawiała się. Dobry Boże, co teraz?

Kiedy wróciła do domu, jej mąż i mąż Sunni spali już przy stole. Siao poszedł do siebie, na piętro.

– Wynocha! – Mae potrząsnęła panem Haseemem. – Ty pijaku, obudź się! Wstań i wynoś się z mojego domu.

Pan Haseem spojrział na nią niezbyt przytomnie, ale z uśmiechem.

Znam cię, pomyślała Mae. Jesteś mocnym mężczyzną, rządzisz, używając siły. Nadziałybyś nasze głowy na kije, gdybyśmy ci na to pozwolili.

– Wynocha z mojego domu – powiedziała i uderzyła go.

Mąż Sunni krzyknął: „Hej!”. Poszukał wzrokiem pomocy Joego. Beznadziejny mąż Mae chrapał stracony dla świata. Stracony do tego stopnia, że nie mógł pomóc swojemu wrogowi.

– Wynoś się, wynoś, wynoś. – Mae nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Na jej wroga spadł grad uderzeń.

Pan Haseem chichotał, najwyraźniej sytuacja ta go rozbawiła.

– Wilczyca – powiedział ze śmiechem.

Bo to było śmieszne – o tak! – rozgniewana żona wyrzucająca z domu pijanego kompana męża. Mae jeszcze bardziej zdenerwowało, że dała się wpędzić w tak banalną, dobrze znaną sytuację.



– Nie wyrzucam cię, bo jesteś pijany! – krzyknęła. – Wyrzucam cię, bo jesteś naszym wrogiem. Bo próbujesz okraść nas ze wszystkiego, co mamy. Wynoś się, nim ci wydrę oczy!

Złapała duży kuchenny nóż. Pan Haseem przestał się śmiać, odskoczył jak najdalej od stołu. Spojrzał ukradkiem w bok, Mae zobaczyła to spojrzenie i zdążyła chwycić tasak, nim on go chwycił.

– Zabiję cię i nie będziemy musieli zwracać ci pieniędzy. Zabiję cię i wioska odetchnie, bo pozbędzie się dyktatora i brutalą!

To już nie były żarty. Zamachnęła się tasakiem. Pan Haseem wrzasnął, cofnął się o kolejny krok.

– Wariatka! – krzyczał. – Wariatka! Tlen wszedł ci do głowy i...

– Zabiję... – Mae szła za nim, wymachując nożem i tasakiem. – Zabiję cię... zabiję. – Już nie krzyczała, lecz wrzeszczała piskliwie.

Pan Haseem uciekł pod drzwi, po drodze porywając płaszcz. Jego grube, poźółkłe od nikotyny palce drżały, na twarzy miał wyraz zaskoczenia i strachu, i zdumienia. Jego świat stanął na głowie, jakaś wariatka ścigała go z nożem. Wrzasnął po raz ostatni i uciekł z domu.

Mae wybiegła za nim aż na podwórko. Miotła obelgami.

– Uciekaj, psie! Uciekaj, ośle! Uciekaj, wynoś się, ty...

Na ogrodzeniu podwórka paliły się żarówki, we wsi rozbłyskiwały światła. Rozszczękał się obudzony pies pana Kena. Usłyszała kroki pana Haseema, za bramą, człapanie oderwanej podeszwy. Inne wiejskie psy też się rozszczękały. Obudziła się cała wioska. Rano wszyscy będą wiedzieć, co zaszło.

– Pani Chung? – Przed nią stał pan Ken, tylko w gaciach.

Mae rozpląkała się. Upuszczone narzędzia kuchenne zabrzęczały na kamieniach. Zasłoniła oczy, ze wstydu, ze strachu. Jak sprawy mogły wyrwać się spod kontroli tak szybko!

– Co się dzieje? – spytał pan Ken.

Stał jak wrośnięty z ziemię i wpatrywał się w nią ze zdziwieniem. Nie chciała, by uważał ją za wariatkę. Zmusiła się do spokoju.

– Pan Haseem pożyczył Joemu sto rielsów. Upił go i Joe wziął pieniądze.

– Ach! – Pan Ken wiedział doskonale, co to oznacza.  
– Nigdy go nie spłacimy. Odbierze nam gospodarstwo.  
– Nie chce przyjąć zwrotu teraz? – Pan Ken poruszył się niespokojnie. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest prawie nagi.

Mae bardzo pragnęła przytulić się do niego. On by ją pocieszył, świat przestałby kręcić się w tym szalonym tempie i wszystko, co złe, też by się skończyło.

– Nie. On nie chce pieniędzy. Chce mieć nasz dom i naszą ziemię. Chce nas zrobić swoimi niewolnikami. I pana też chciałby zrobić niewolnikiem.

Chwila... krótka jak mgnienie oka. Światła nie gasły.

– Lepiej, żeby wróciła pani do domu – powiedział pan Ken.

Mae stała nieruchomo. Nadal drżała i nadal czuła tę straszliwą bezradność. Pan Ken przyklęknął, by podnieść nóż i tasak, zobaczyła jego kark przechodzący w mocne, szerokie ramiona. I prostą wklęsłą linię ukrytego głęboko kręgosłupa.

Pan Ken objął ją. I poprowadził, ale nie do jej domu, tylko do swojego.

– Ciii... – szepnęła uspokajająco.

Weszli do jego kuchni. Nie zapalił światła. Odłożył nóż i tasak na stół, tak uważnie, że niemal nie słyszało się stuku.

Co robimy tu, w ciemności, on i ja? Czy robimy to, co mi się wydaje, że robimy?

– Moja matka nie śpi – powiedział głosem cichym jak szmer wody opływającej trzciny.

Poczuła zapach jego oddechu, snu i czosnku, ale w jakiś sposób był to przyjemny zapach.

Stara pani Tung przejęła nad nią kontrolę. Stara pani Tung potrafiła wziąć, czego pragnęła. Nawet nie zauważyła, jak jej dłonie spoczęły na jego ramionach, jak przesunęły się na szerokie plecy. Jego dłonie niemal jednocześnie zamknęły się na jej piersiach, a serce biło jej jak młotem i nie mogła oddychać. Było to szaleństwem, było niebezpieczne, ale w tej chwili Mae za nic miała niebezpieczeństwo. Robiła coś, czego nie powinno się robić, coś niewybaczalnego. Mężczyzn trzymało się na

wyciągnięcie ręki – ale całe życie trzymała mężczyznę na wyciągnięcie ręki, postępowała właściwie i za to miała tylko Joego, nic więcej.

Musiała przyciągnąć go do siebie, bo nagle poczuła, jak jego silna, gładka pierś otacza ją ze wszystkich stron. Jak przyciskają się do niej jego mocne, krzywe nogi i bielizna, luźna, ale teraz taka pełna. Nie włożyła majtek. Taki mały fiutek, pomyślała, wejdzie w nią tak szybko, będzie łatwo i krótko, tak prosto, jak prosty jest słodki pocałunek.

Uświadomiła sobie, że podciąga dobrą białą sukienkę. Poczuła pocałunek, zsunęła z niego to, co miał jeszcze na sobie z ubrania, i wreszcie, wreszcie, wreszcie, po raz pierwszy w życiu, dostała... to. Takie głupie to, jak strasznie będzie sobą pogardzać.

Ale przecież dosłownie przed chwilą próbowała zabić kogoś nożem i tasakiem. Nic już jej nie obchodziło. To, co się działo, działo się w ciszy i działo się szybko. Poczuła, jak pan Ken drży, coś uderzyło ją w wewnętrzną ściankę. Czoło dotknęło czoła.

Nie wyszedł z niej, jeszcze nie. I dopiero teraz odczuła coś jak cios w głowę, straciła panowanie nad sobą, coś się w niej zacisnęło, zwilgotniała, nie mogła przestać powtarzać „och, och, och...”.

– Ciii... – odpowiedział pan Ken i wyślizgnął się z niej.

Sukienka opadła, okrywając nagość. Pan Ken wyszedł z leżących na podłodze gaci. Wyszli na podwórko. Światła we wsi pogasły już, księżyc jeszcze nie wzeszedł. Nagi pan Ken wydawał się niebieski, nigdy w życiu nie widziała czegoś tak pięknego.

Patrzyli na siebie. Ich twarze miały identyczny wyraz zdziwienia, jakby pytały: „Co teraz?”. A potem oboje uśmiechnęli się jak na komendę, oszołomieni prędkością, z jaką to się zdarzyło. Jutro niech zatroszczy się samo o siebie.

Pan Ken skinął głową, raz, jakby chciał powiedzieć: „Teraz szybko, ukryjmy się”.

Mae wróciła do siebie. Od progu spojrziała jeszcze, raz, na ciemne, puste drzwi do domu pana Kena.

Weszła do środka. Joe nadal spał. Nie jesteś złym człowiekiem, pomyślała, tylko głupim i nie pragnę cię tak, jak pragnę pana

Kena.

Zostawiła męża śpiącego przy stole. Upadła na ich nieposłane łóżko.

Rankiem Joe miał kaca, jęczał tylko i trzymał się za głowę. Mae traktowała go szorstko. Zabrała mu sprzed nosa talerz z zimnym, niezjedzonym śniadaniem.

– Głowa będzie cię boleć dłużej niż od whisky, będzie cię boleć całe życie, kiedy zostaniesz niewolnikiem pana Haseema.

W oczach Joego był nie tylko ból, lecz i wyraźnie widoczny strach.

– Będziemy musieli zarobić. Możemy kupić kozy i robić sery.

– Nie powinniśmy wydawać tych pieniędzy – powiedziała Mae stanowczo. – Jeśli ich nie wydamy, będziemy musieli zarobić tylko na odsetki.

– Odsetki... – Joe jęknął. Ścisnął głowę dłońmi. – Zgodziliśmy się, że nie będzie odsetek.

– Więc mu to powiemy i oddamy setkę.

Joe nagle się przestraszył.

– To powie, że umówiliśmy się na pięćdziesiąt procent. Zawsze bierze pięćdziesiąt.

– Więc ty lepiej bierz się do roboty. – Mae skończyła rozmowę.

Joe wyszedł. Wyglądał, jakby przygniatało go poczucie winy. Pozostawił żonę samą w domu, przerażoną możliwymi konsekwencjami zdrady.

Jeśli Joe promieniował wręcz poczuciem winy, to co z nią? Wioska nie pobłażała niewiernym żonom. Nie zapominała. Usprawiedliwi pana Kena, jest wdowcem, ma swoje potrzeby. Ale ona? O czym myślała? Nie może być jednocześnie upadłą kobietą i ekspertem modowym, nikt by nie mógł. Mężowie nie wpuszczają jej do domów. Jedyna nadzieja w tym, że zrzucą winę na Tlen. Tylko kto będzie kupował modne drobiazgi od szalonej kobiety, do której głowy dobrał się Tlen? Goniącej mężczyzn z nożem w rękę?

Co ona ma teraz zrobić?

No, Mae, przede wszystkim musisz zarobić pieniądze. Przez całe życie zarabiałaś na tym, że o krok wyprzedzałaś wioskę. Zaczynij od tego, że poznasz tę telewizję i sprawdzisz, co też wszyscy w niej oglądają.

Nie wdając się na razie w szczegóły, Mae wyszła na podwórko. A na podwórku pan Ken zmagął się z taczką wypełnioną wybraną spod inwentarza ściółką.

Po prostu cudownie.

– Dzień dobry, panie Ken – przywitała go głośno i radośnie, tak by cała wioska słyszała to powitanie.

Ku jej przerażeniu pan Ken postawił taczkę i ruszył w jej kierunku. Na twarzy miał niemal uroczysty wyraz jednocześnie zakłopotania i naiwnej szczerości. Ale przynajmniej był ubrany.

Mae przyśpieszyła kroku. Chciała uniknąć jakiegokolwiek bliższego kontaktu z nim, nawet rozmowy, w miejscu publicznym takim jak jej dom. Pan Ken tymczasem uśmiechnął się lekko i także przyśpieszył. Zatrzymał się przy bramie, w najgłupszym ze wszystkich możliwych miejsc. W zmarszczkach twarzy tego dorosłego człowieka pozostał cień uśmiechu.

Zadał jej najbardziej bezpośrednie ze wszystkich pytań.

– Żałujesz tej nocy?

– Nie – odparła, nim uświadomiła sobie, że w ogóle otworzyła usta do odpowiedzi. Jedyne, czego chciała w tej chwili, to uciec stąd.

– Chcesz, żeby to trwało?

Mae poczuła coś w rodzaju paniki. Niech już odejdzie od tej bramy! I niech mówi cicho! W tej chwili wyglądał jak jej mąż i syn jednocześnie.

– Tak – odpowiedziała szybko.

Zatem to była miłość. Przed nią stał Ken Kuei, a ona wolała nawet na niego nie patrzeć. W porównaniu z nim czuła się stara i niezgrabna. To przecież był jej chłopczyk, jej dziecko, widziała w nim piękno i smutek przeszłych pokoleń. Pan Ken był dla niej jakby korytarzem, w głąb którego mogła krzyknąć i usłyszeć echa, przemawiające smutnymi głosami. Utracona przeszłość,

utracone możliwości.

Nic dziwnego, że nigdy nie zaznała miłości. Teraz już wiedziała dlaczego. Bo zawsze jej unikała. Miłość boli. Gdzieś w głębi serca wiedziała, że przez miłość będzie cierpieć. Będzie płakała. Chciała być z Kenem Kuei. Bolało ją, że nie potrafi rozmawiać z nim normalnie, po prostu, że oboje znaleźli się w strasznej sytuacji, że nic nie będzie między nimi proste, że muszą się ukrywać, kochać się gdzieś w ciemnych kątach, jakby robili coś nieprzyzwoitego. To bolało bardziej niż poród, bolało najbardziej ze wszystkiego.

– Zobaczmy się, gdy tylko będzie to możliwe. – Pan Ken otwierał i zamykał usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie potrafił. W końcu udało mu się wykrztusić: – Nie chcę sprawiać ci żadnych kłopotów.

Mae chwyciła się dłońmi za głowę. Och, jakie to miłe! Kłopoty? A co to za kłopot pieprzyć się z mężczyzną, który nie jest twoim mężem? To żaden kłopot, to nieszczęście gotowe zdarzyć się lada chwila.

– Jestem wdowcem, nikt nie będzie mnie za nic winił. – Pan Ken patrzył w ziemię.

– Za długo rozmawiamy i zbyt poważnie – szepnęła. Udała uśmiech sąsiedzki, przyjacielski, narzucający dystans. Po czym podniosła głos. Ściany mają uszy. – Tak mi przykro z powodu pańskiej żony. Bardzo panu współczuję. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę zwrócić się do mojego męża.

Pan Ken nie przestawał się uśmiechać.

– Tutaj nikt nas nie podsłucha.

Mae wiedziała, że jej strach jest głupi, lecz mimo to się bała. Pamiętała nasłuchujące w nocy światła wioski.

– To naprawdę nie będzie dla nas żadnym kłopotem. Wystarczy porozmawiać z Joem. – Mae omal nie rozplakała się z panicznego strachu.

– Kiedy? Gdzie? – zapytał pan Ken.

– Wyjdę z domu. W nocy. Możemy iść na pola. W trzciny. Trzecia w nocy?

W oczach mężczyzny błysnęły dobrze jej znane iskierki,

pewność siebie. Zmieniał się w oczach Mae, szybko, raz był człowiekiem dorosłym, w następnej chwili chłopcem. W tej chwili wydawał się jej starszy, niż był w rzeczywistości. Skinął głową, raz. „Rozumiem”.

– Wszystko dobrze się skończy – obiecał.

Mae potrząsnęła głową, pełna wątpliwości, i odeszła.

I tak los zredukował ją do młodej dziewczyny, ogłupiałej nie przez pieniądze, lecz przez miłość. Jeśli ją ignorujesz, miłość zawsze cię w końcu dopadnie, pomyślała. Chciała być z panem Kenem, i to teraz, w tej chwili. Chciała ssać jego sutki, jakby były piersiami. Uczucia te szokowały ją, przewracały jej porządek świata. Była jak przewrócona łądz.

– Nie mam nadziei, żadnej nadziei – powiedziała. Powiedziała to do starej pani Tung.

Pani Tung odpowiedziała: „Kiedy ja miałam kłopoty, założyłam szkołę”.

Mae odeszła. Do telewizora.

\*\*\*

Przy telewizorze zgromadzili się mężczyźni z wioski. O tej porze, rano, oglądali film karate.

Był wśród nich Joe.

– Wiedziałam! – krzyknęła Mae. – Wiedziałam, że cię tu znajdę. Ty niemrawcu! Ty niezdarco!

Joe wbił wzrok w ziemię. Przesząpił z nogi na nogę. Krzywił się, przez kaca i ze wstydu.

– Jesteś śmieszny – powiedziała Mae. Przemawiały przez nią frustracja i smutek, lecz także i uczucie.

Pan Ali, młody pan Doh, stary pan Doh – wszystkich ich jej słowa tak rozbawiły, że zachichotali.

– Widzę, Joe, że twoja żona wydobrzała wreszcie – powiedział młody pan Doh.

– I że ma rękę do noża – dodał stary pan Doh.

Tym razem mężczyźni roześmieli się głośno. Co oznaczało oczywiście, że wiedzą, jak wyrzuciła z domu pana Haseema. Czyżby Joe? Joe uśmiechał się głupio wyraźnie zbity z tropu.



Mężczyźni przeszkadzali, Mae chciała się ich pozbyć.

– I co mam zrobić z wami, chłopcami – powiedziała, kręcąc głową. – No co? Macie rodziny, macie pola, macie obowiązki, to co wy tu właściwie robicie?

– Oglądamy film? – wyrwał się Joe.

I mężczyźni znów wybuchli śmiechem.

– Ty głupku – rzuciła pod jego adresem, tak po prostu, szybko.

Kolejny wybuch śmiechu.

– Żonine humory – powiedział młody pan Doh, przyznając w ten sposób rację kobiecie. Pochylił się, wcisnął kilka przycisków. – W porządku, zapisałem film. To o której?

Mężczyźni przestępowali z nogi na nogę, kręcili głowami. Rzucali jakieś godziny, ale stary pan Doh był kimś w rodzaju ich przywódcy i to on podjął decyzję.

– Ósma – powiedział.

Jego syn zamasztył gestem przestawił wskazówki zegara na ósmą.

Mae poczuła się tak, jakby w piersi nosiła ostry kawałek lodu. Mogą to zrobić? Wrócić do przerwane filmu? Film zwinął się, jak można zwinąć obrazek, powędrował do różowej świnki-skarbonki. Pan Doh, pomyślała Mae, potrafi tego dokonać, a ja nie?

Mężczyźni ruszyli się wreszcie, pogadywali między sobą, częstowali się papierosami, żegnali się z nią kiwnięciem głowy.

Wreszcie Mae została sama na podwórku. Telewizor pokazywał wyłącznie drzwi.

Usiadła naprzeciw ekranu. Dotknęła drzwi. Zatrzeszczały i się otworzyły. Pod spodem były obrazki i słowa. Mae nie umiała czytać. Ekran pokazywał klepsydrę z przesypującym się piaskiem, jak jej uciekające życie, oraz rzędy obrazków: książki, szkło powiększające, oraz rzeczy, które nie miały dla niej najmniejszego znaczenia. Była wśród nich także podobizna telewizyjnego prezentera wiadomości. Wiadomości, oczywiście! Doskonale. Dotknęła prezentera i ekran wypełnił się słowami.

Zbyt wiele było tych słów i zbyt skomplikowanych. Ta maszyna zakładała zbyt wiele: że rozumiesz oznaczenia, że potrafisz

czytać, że domyślisz się, co kryją kolejne drzwi i kolejne słowa. Mae ogarnęła rezygnacją.

Ale zobaczyła obrazek ucha.

– Dotknij ucha – usłyszała kobiecy głos.

Za nią stała Kwan. Miała na głowie płócienne przybranie, oznakę jej etnicznej mniejszości. Przedtem nigdy go nie nosiła. Podeszła bliżej.

– No, spróbuj.

Mae dotknęła ucha. Telewizja odpowiedziała: „Wybrano opcję głosową”. Poczła ulgę, ale i wstyd. Kwan właśnie dowiedziała się, że ekspertka moda ma kłopoty z czytaniem.

– To dobrze, że się uczysz. – Kwan wyraźnie się rozluźniła. – To dobrze, że się nie boisz.

Bać się? No tak, rzeczywiście, to coś całkiem nowego.

Tymczasem telewizja mówiła dalej: „Lista możliwych tematów jest bardzo długa. Zapewne łatwiej będzie, jeśli powiesz mi, czego chcesz się dowiedzieć”. Zupełnie, jakby w telewizorze zamieszkał duch. Na przykład duch starej pani Tung.

– Moda – powiedziała Mae.

Z jakiegoś powodu, może to był odruch, a może wyraz uczucia, Kwan oparła dłonie na ramionach przyjaciółki i mocno je zacisnęła.

– Jednak masz zamiar walczyć – stwierdziła.

Mae się zawahała. Westchnęła.

– A więc wiesz?

– W tej wiosce? Tu można tylko gadać.

Przestraszona, zawstydzona i rozgniewana Mae zaprotestowała gwałtownie.

– Przecież tu można robić wszystko. – Zdumiała ją pasja, jaka nagle się w niej obudziła. Była jak gorączka. – Wioska to gęś bez głowy ciągle poruszająca łapami. Cały świat umarł, a my mamy rok, żeby od nowa nauczyć się żyć.

Obróciła się, spojrzała na Kwan. Ta aż zamrugła ze zdziwienia.

Telewizja powiedziała słodkim głosem: „Możesz wybrać paryską kolekcję wiosenną, Pekijski Festiwal Kultury i kanał Vogue”.

– Nie powinnam mieć teraz zobowiązań wobec tego... tego psa, nie człowieka! Powinnam zajmować się tym!

– Pauza – powiedziała Kwan do maszyny.

Maszyna zaszumiała.

– Mae, możemy ci pożyczyć pieniądze, żebyś go spłaciła. Jaki procent?

– Joe był tak pijany, że nawet nie zapytał. – Mae dosłownie ugięła się pod ciężarem rzeczywistości.

– My dalibyśmy ci pieniądze bez odsetek – mruknęła Kwan.

Mae poczuła jednocześnie i wdzięczność, i ulgę, i nieufność. Bała się, że w końcu zaczną spłacać pożyczki pożyczkami. Ty i Wing wzbogaciliście się dokładnie tak jak Haseem, jesteście tylko uprzejmiejsi, pomyślała. Kochała Kwan, ale to nie znaczy, by ufała jej bezwarunkowo.

– I tak weszlibyśmy w huczący groźnym echem tunel pożyczek – powiedziała cicho.

– To prawda. – Kwan była doskonale spokojna. – Mimo to oferta jest ważna. Możesz z niej skorzystać, gdy tylko zajdzie taka potrzeba.

– Dziękuję ci, pani żono Winga.

– Nie bądź głupia – powiedziała Kwan, bo przyjaciółka zwróciła się do niej jak wyrobnicza.

Mae westchnęła ciężko.

– Póki nie mamy pieniędzy, jestem służącą wszystkim. Twoja propozycja jest bardzo wielkoduszna i będę o niej, oczywiście, pamiętała. Paryż – powiedziała do telewizji. – Pokaż mi Paryż.

– To ja teraz cię zostawię. – Kwan odwróciła się i odeszła.

Ona też się zmieniła, pomyślała Mae. Wszyscy się zmieniliśmy.

Pogrzyżała się w obserwacji duchów Paryża. I tak jej nie pomogły. Oglądała stroje, których nie włożyłby żaden normalny człowiek, więc co tu mówić o gospodyni z którejś ze wsi Szczęśliwej Prowincji. Telewizja gadała i gadała. Wyjaśniała, dlaczego „bezprzykładną rewolucją” są długie fałdy materiału, bezsensownie opadające z ramion na kolana, i dlaczego ktoś imieniem Gianni zdecydował się na „plamy koloru”.

Mae знаła odpowiedź na te pytania. Tak się po prostu gadało,

żeby gadanie brzmiało uroczyście. Choć w rzeczywistości nic nie znaczyło.

Zadała sobie pytanie, co właściwie pragnie osiągnąć. Przede wszystkim znaleźć sposób na zarobienie pieniędzy, to oczywiste. Sądzi, że jeśli spędzi więcej czasu przed tą maszyną, to dzięki niej wyprzedzi klientki, będzie miała coś, co zechcą od niej kupić. Tylko, że to moje klientki wyprzedziły mnie.

Przed oczami miała paradę paryskiej mody. Mówiła do niej: „Patrz, wieśniaczko, na coś, na co nawet patrzeć jest dla ciebie za drogie. Patrz na coś, czego nawet drobny kawałek na zawsze pozostanie ci niedostępny. Pojmij wreszcie lekcję ubóstwa, zacofania, nieważności”.

Mae rozejrzała się dookoła. Na podwórku Kwan pojawiły się dwie dziewczynki ze wsi. Ich ruchy promieniowały wstydliwą frywolnością właściwą ich wiekowi.

– Kto wam pozwolił wchodzić na podwórko pani Wing? Uciekajcie, ale już!

– Chcemy pooglądać telewizję – powiedziała jedna z dziewczynek zdecydowana zostać za wszelką cenę, pełna nadziei, że jej na to pozwolą.

– Powinnyście być w szkole!

Nie odpowiedziały, ale ich oczy rozbłyły, a na buziach pojawiły się szerokie uśmiechy. Podbiegł do nich mały chłopiec i stanął jak wryty, widząc dorosłą osobę przed telewizorem. Dziewczynki zachichotały frywolnie.

Wolnym krokiem podeszła do nich An, córka Kai-hui. Jej oczy się rozszerzyły. Przywitała Mae skinieniem głowy.

– Dzieci – powiedziała. Sama niedawno skończyła szkołę.

Chichot stał się odrobinę głośniejszy.

Mae sięgnęła do telewizora. Usiłowała znaleźć jakiś sposób, żeby go wyłączyć. Zapisać informacje o modzie. Jak to zrobił młody pan Doh? Dotknęła czegoś, na ekranie znów pojawiło się mnóstwo słów. A nad nimi dwa: „Menu główne”. Czyżby to była lista restauracji?

– Nie, nie musisz zmieniać dla mnie niczego – odezwała się Ann. A potem użyła jeszcze innego słowa: „Wróć”. I na ekran wrócił

pokaz mody.

Słońce wznosiło się na niebie, podwórko się wypełniało. Przyszła przyjaciółka An, Ling-so. Powiedziała, że bardziej podobał się jej pokaz mody z Singapuru, a potem dodała, że i tak nam najbardziej pasuje moda wschodnia.

Mae poczuła się tak, jakby właśnie połknęła wielką kostkę lodu bez rozgryzania. Kiedy ona była chora, kiedy marnowała czas, wioska oglądała telewizję. Wręcz czuła bliski, czyhający na nią atak paniki. Jak bardzo została z tyłu! Przestraszona, nie wiedząc, co robić, zwróciła się do dzieciaków.

– Co chcecie oglądać? – spytała. Oczywiście wiedziała, co chcą oglądać: filmy karate. Ale wiedziała też, że zaraz podbiegną i że będą wiedziały, co nacisnąć.

Dzieciaki z otwartymi ustami gapiły się na bohatera spotykającego człowieka, o którym doskonale wiedziały, że naprawdę jest smokiem. Smok w ludzkiej postaci zionął ogniem. Jakimś cudem umiał latać, z dźwiękiem jak cichnący świst z gwizdka. Nawet An i Ling wydawały się zachwycone, co tylko potwierdziło przekonanie Mae, że ludzie zgodzą się oglądać wszystko, pod warunkiem, że zobaczą to w telewizji. Ona sama nie oglądała filmu. Siedziała i myślała. Szukała odpowiedzi na pytanie: co mam zrobić? Co mam zrobić?

W samo południe wrócił ze szkoły pan Shen. Aż trząśił się z wściekłości.

– Wszyscy z powrotem do klasy! Wszyscy, mówię! Co wy sobie wyobrażacie? Powinniście się teraz uczyć! – Uderzał chłopców lekko w głowę otwartą dłońią. Uciekali przed nim ze śmiechem.

Pan Shen zmierzył Mae złym spojrzeniem.

– Dała się pani opanować tej chorobie!

Mae wstrząsnęło to, że ze wszystkich ludzi ze wsi właśnie nauczyciel Shen robił jej wyrzuty.

– Próbowałam tylko dowiedzieć się czegoś... – zaczęła i umilkła. Nawet w jej własnych uszach jej głos brzmiał tak słabo!

– Och tak, oczywiście, to nawet widać. Hongkońska pobłażliwość. Świat przez nią ginie!

Pan Shen się odwrócił. Podszedł do telewizora. Wyciągnął

wtyczkę. Niemal nieprzytomny z wściekłości zaczął ją ciągnąć i szarpać tak mocno, aż oderwała się od kabla.

– Mam – pochwalił się, potrząsając kablem przed oczami Mae.

Odszedł, nie wypuszczając wtyczki z ręki. Zatrzymał się u stóp kamiennych schodków prowadzących do drzwi domu Wingów.

– Pani Wing, proszę pani! – krzyknął. – Pozwoliłem sobie wyłączyć to wasze urządzenie. Być może uda mi się przekonać was, żebyście trzymali je w domu, z dala od moich uczniów.

Dzieciaki znikły, nie przestając chichotać, jak roześmiane liście przewiewane przez wiatr. Shen odszedł w kłębach kurzu, nawet się nie żegnając. Kwan już schodziła po schodkach. Miała ze sobą śrubokręt i zapasową wtyczkę.

Wioska to łódka zerwana z kotwicy. Mae tylko pokręciła głową.

An dała wyraz pogardzie w bardzo elegancki sposób.

– Boi się, ponieważ jest nauczycielem, a nie ma o tych rzeczach pojęcia.

– Phi! A moi rodzice udają, że nic się nie stało. – Ling-so odwróciła się, bardzo pięknie. Szminkę miała nałożoną nienagannie.

Kwan przyklękała przy telewizorze. Zręcznie wymieniała wtyczkę.

– Dlaczego nie zabierzecie go do środka? – spytała Mae.

– Bo chcemy, żeby korzystała z niego cała wioska – odparła Kwan, nie odwracając się.

– Teraz przynajmniej możemy oglądać modę w spokoju – rzekła An.

Na ekran powrócił Paryż. Kwan wróciła do domu, do prania i szycia. Paryski pokaz się skończył, dziewczynki przestawiły telewizor na kanał Vogue. Kolejna porcja duchów owiniętych w srebro. Mae zorientowała się, że na ten temat ma do powiedzenia nie więcej niż one. Cień, który przepelzł po ścianie i dotknął telewizora, był jak najsmutniejszy z czarów. Mae cicho pożegnała dziewczęta i odeszła. Młode dziewczęta, takie piękne i takie opanowane. Umiejące czytać. Niemuszące gotować obiadów. Ten nowy świat należał do nich.

\*\*\*

W domu czekał na Mae Joe w towarzystwie pana Haseema. Nie wyglądał już jak idiota, zachowywał się sztywno i był bardzo rozgniewany.

– Przepraszam pana Haseema – powiedział rozkazującym tonem.

Twarz pana Haseema wyglądała jak ulepiona ze starej owsianki: nieruchoma, ponura, zastygła w gniewie. Wpatrywał się w Mae, nawet nie mrugając. Mae też nie opuściła wzroku. Myślała szybko, co powinna zrobić, wiedząc doskonale, co się stało. Ktoś powiedział Joemu o jej ataku wściekłości i uczciwego Joego, moralnego Joego, jej atak wyprowadził z równowagi. Joe nie był w stanie pojąć, że moralność czasami nie wystarczy.

Był jeden sposób gwarantujący proste, szybkie wyjście z tej sytuacji.

– Bardzo mi przykro, panie Haseem – powiedziała chłodno. – Ostatnio nie byłam sobą.

Joe skinął głową, raz, energicznie. Skinienie to mówiło: „Oto dobre, oto właściwe załatwienie sprawy”.

– Ale żeby wypędzać gościa z domu z nożem w ręku? – mruknął pod nosem.

Kiedy świat się zmienia, człowiek instynktownie chwyta się czegoś stałego. Dla Joego czymś stałym były zasady. Był sztywny, był formalny, ale był też pełen godności. Serce Mae wyrывało się do niego, tyle że jej mąż po prostu nie rozumiał.

– Szanowny panie Haseem – powiedział – proszę przyjąć zaproszenie na obiad.

Haseem był jak żaba na liściu lilii wodnej, z lepkiem językiem zwiniętym, ale gotowym do zadania ciosu.

– Obawiam się, szanowny panie Chung, że moja żona na to nie przystanie. Wydarzenia tego wieczoru bardzo ją zdenerwowały.

– Och! – Wstrząśnięty Joe spojrzał gniewnie na żonę.

– Padły słowa, których się łatwo nie zapomina. – Pan Haseem bezlitośnie wykorzystywał przewagę. – Przyjmuję przeprosiny, wierząc w pana dobrą wolę, panie Chung, ale muszę powiedzieć, że zachowanie pańskiej żony nie świadczy o tym, by były wystarczająco szczerze.

Próbował przeciągnąć Joego na swoją stronę, wyciągnąć z niej coś więcej. Nie, pomyślała Mae, nie będziesz mnie bezkarnie upokarzał.

– Szanowny panie Haseem, moje przeprosimy były wystarczająco szczere, tak jak szczerze upadłam na kolana i błagałam, by przyjął pan swoje pieniądze. A pan, jeśli nadal czuje się obrażony, może wycofać wspaniałomyślną ofertę pożyczki. – Wyciągnęła ku niemu rękę z banknotami.

Mąż Sunni poderwał się na równe nogi.

– Tego już doprawdy za wiele! Pozwalasz żonie rządzić w domu, Joe. Nie powinna wtrącać się w nasze interesy. Jesteśmy przyjaciółmi, ale z nią nie chcę mieć nic wspólnego.

To dlatego, pomyślała Mae, że nie jestem głupsza od ciebie.

– Od tej chwili interesy załatwiamy u mnie w domu. Ona nie jest tam mile widziana. – Z tymi słowami mąż Sunni wyszedł.

Wściekły Joe patrzył na nią, wytrzeszczając oczy. Nie był w stanie wypowiedzieć słowa. A ona zrobiła się nagle bardzo spokojna, jakby nie dotyczyło jej nic z tego, co się właśnie zdarzyło. Dziwna była ta mieszanka uczuć. O Joem myślała życzliwie, lecz z dystansem. Część piękna ich sposobu życia brała się stąd, że życie to było czymś drobnym, nieważnym, ograniczonym. I że opierało się na przyzwoitym zachowaniu.

Ich sposób na życie właśnie umierał.

– Jaki płacimy procent? – spytała niezbyt głośno, lecz spokojnie i wyraźnie.

– Co? – Joe chwycił się za głowę. Kręcił nią z niedowierzaniem. – Czy ciebie naprawdę obchodzą wyłącznie pieniądze?

Mae pozostała chłodna i spokojna.

– Masz coś na piśmie?

– Tak – odparł gniewnie jej mąż. Myślał pewnie z dumą: „Widzisz, jaki dobry ze mnie człowiek interesu”. Serce ją zabolowało.

– Tak? No to pytam raz jeszcze: jaki procent?

– Dwa procent. – Joe przechylił głowę, jakby chciał dodać: „I widzisz, nie było się czego bać!”

– Miesięcznie?

Mąż spojrział na nią bezmyślnie. Biedny Joe.



– To znaczy, że za rok będziemy musieli zwrócić mu nie tylko sto rielsów, ale znaleźć jeszcze, jakoś, dwadzieścia cztery. – Kwartalny dochód! – I to tylko pod warunkiem, że nie dolicza procentów co miesiąc.

Mae wypuściła banknoty. Upadły na stół jak liście jesienią.

– Masz swoje pieniądze, Joe. Na twoim miejscu nie wydałabym nawet jednego rielsa. I tak trudno będzie nam znaleźć te dwadzieścia cztery.

Nie miała nic więcej do powiedzenia, więc zajęła się przygotowaniem kolacji. Poczerniały kociołek, elektryczny piecyk z jednym pierścieniem. Kiedy znów spojrzała na męża, zobaczyła, że wpatruje się w banknoty.

– I wbij sobie do głowy, Joe, że nie będę pracowała dla pana Haseema. – Zabrzmiało to szczerze. Groźnie.

Groźba zawisła w powietrzu. Ona gotowała. Joe pił.

Niech przyjdzie ciemność, modliła się w duszy Mae. Niech już przyjdzie trzecia w nocy.

\*\*\*

Na podwórku wielkiego domu Wingów Kwan zbierała niedopałki papierosów z miną służącej sprzątającej po przyjęciu.

– Karate, prawda? – spytała Mae ze współczuciem, a Kwan westchnęła głośno, teatralnie. – Zaczynasz żałować hojności?

– Zaczynam żałować, że ludzi to nie nudzi. – Kwan ciężko opadła na krzesło.

– Rozumiem, dobrze to rozumiem. – Oczy Mae, zgadzającej się z przyjaciółką, patrzyły w jeden punkt, wręcz groźnie. – Mnie znudziło. – Kwan rozejrzała się, uniosła brwi w niemym pytaniu. – Czy w tym czymś jest coś oprócz karate i mody?

– Zapytaj.

– Ale o co mam pytać?

– Ach – westchnęła Kwan – i to jest dobre pytanie. Proste wieśniaczki nie mają nawet pojęcia, jakie pytania zadawać.

Myśli Mae zatańczyły w Formacie jak ćmy wokół rozpalonej żarówki.

– Szukaj – powiedziała do telewizora.

Telewizja odpowiedziała: „Proszę podać słowo lub słowo kluczowe”.

– Eloi. – Mae wymieniła nazwę mniejszości etnicznej Kwan. Kwan wyprostowała się w krześle, westchnęła głośno. – Ach, więc to cię nie nudzi?

Dziś, pomyślała Mae, jestem ostra jak nóż.

– Proszę podać interesujący temat w haśle „Eloi” – poprosił telewizor.

– Historia. Polityka – powiedziała szybko Kwan.

Telewizor poszumiał i powarczał cicho.

– Znalezione szesnaście pozycji dotyczących historii lub polityki związanych z mniejszością Eloi.

Twarz Kwan złągodniała.

– Myślałam, że nie będzie ani jednej – przyznała.

– Czternaście z tych pozycji jest przechowywanych w lokalizacjach oznaczonych jako profesjonalne lub akademickie. Jeśli posiadasz subskrypcję profesjonalną lub akademicką, powiedz „tak”. Jeśli jej nie posiadasz, powiedz „nie”.

A więc za rzetelną informację trzeba płacić, a żeby zapłacić, trzeba mieć coś, co nazywają Inteligentną Kartą – dowód, że jesteś wiarygodny.

Kwan powiedziała, że jest dyrektorem Swallow Communications.

– Bardzo nam przykro. Twoje konto obejmuje pozycje popularnej rozrywki i opcję dokumentalną, ale pełne materiały muszą zostać opłacone przez subskrypcję firmową. Jeśli chcesz wykupić taką subskrypcję, powiedz „tak”. Proszę przygotować Inteligentną Kartę.

– Co to takiego ta „Inteligentna Karta”?

Kwan wydała się jej nagle bardzo zmęczona.

– Musisz iść do banku. Musisz mieć paszport. Musisz mieć pieniądze. Więcej pieniędzy, niż mamy.

– Przecież płacisz. Rząd płaci.

– Niewystarczająco. – Kwan westchnęła ciężko. – Niewystarczająco na to. Musimy poprzestać na dwóch darmowych pozycjach.

Jako pierwsze pojawiły się oficjalne akta Karzistanu: zdjęcia szczęśliwych, współczesnych ludzi. Modelka w tradycyjnym stroju wirowała zgrabnie.

– Moda! – krzyknęła Mae i roześmiała się głośno.

Modelka była prawdziwą piękną Balshangu, elegancką w kanciastym pekińskim stylu, z twarzą pokrytą kilkoma warstwami pudrów i makijażu. Mae przyszło nagle do głowy, że jeszcze nigdy nie widziała czegoś aż tak śmiesznego.

– Tradycyjna... kobieta... Eloi... – Śmiała się tak, że nie mogła zaczerpnąć tchu. – Świeżo oderwana od wywożenia nawozu z obory i uklepywania go, żeby dobrze się palił.

Kwan stała nieruchomo, wydawało się, że promieniuje chłodem.

Wśród rządowych zasobów był też film współczesnej Eloi przeniesionej do mieszkania w Balshang. Była to niewątpliwie Eloi, ale wyglądała bardzo zwyczajnie w luźnej białej koszuli i niebieskich spodniach, z włosami ukrytymi pod niedbale związaną chustą, by nie drażnić zamieszkujących miasto muzułmanów. Z dumą prezentowała nową toaletę, nową lodówkę.

Mae ten obrazek przyprawił o kolejny wybuch śmiechu. Cóż za bezczelność! Góry nie istnieją, nie istnieją kuce i terasowe pola. Nie istnieją brudne, głodne dzieci. Nie istnieją zniszczone buddyjskie świątynie. Eloi są, och, jak bardzo nowocześni!

– Hm – Mae zdążyła się już uspokoić – więc to nazywają „informacją”. Sama nazwa z pewnością nie czyni z niej prawdy.

Kwan w milczeniu rozejrzała się dookoła.

– Masz kochanka? – spytała nagle.

Serce Mae przestało bić.

– O co ci chodzi? – odpowiedziała pytaniem.

– Kiedy kobieta staje się dumna, kiedy na nic nie zważa, nagle, jakby przeszła przez próg... kiedy robi się twarda, cyniczna i zaczyna myśleć za siebie... to, rozumiesz...

Ale Mae też coś wiedziała.

– Masz kochanka? – Myślała o pięknej Kwan i jej starszym mężu.

– Miałam, dawno temu. – Kwan stuknęła w ekran, wywołując kolejny materiał.

– Kogo?

– A kim jest ten twój? – Kwan spojrzała na przyjaciółkę z ciekawością.

– Twój był dawno temu i teraz nie ma to żadnego znaczenia.

Następny materiał był niemiecki, z muzeum. Dotyczył jakiejś wystawy czy może pokazu w Berlinie, dawno zakończonego. Kwan przewinęła menu, miała nadzieję, że znajdzie coś jeszcze.

– To był Eloi. Pasterz. Z wysokich gór.

Fascynujące!

– Piękny jak oni wszyscy?

Mężczyźni Eloi często byli bardzo piękni, podobnie jak kobiety. Niektórzy tatuowali nagie smukłe nogi, wyglądali wtedy, jakby nosili pończochy. Włosy mieli wspaniałe, jak końskie grzywy.

– Dla mnie był piękny. – Kwan wyglądała staro w ostrym żółtym świetle. Staro, ale w dobrym znaczeniu tego słowa: przystojna kobieta, już ze zmarszczkami na twarzy, ale uśmiechająca się dzielnie, zdolna przetrwać wszystko. – Nie widział na jedno oko.

– Co się stało?

– Nic niezwykłego. – Wydawała się rozbawiona, nawet dumna z siebie.

– Pytam, jak się to skończyło.

Kwan potrafiła przetrwać więcej niż takie pytania.

– Powiedział, że jestem zbyt chińska. – Wzruszyła ramionami. – Miał rację. Zostałam z Wingiem. – Westchnęła, jakby coś ją martwiło. – Uważaj na siebie, Mae.

– Och, całe życie na siebie uważałam. Nie mów mi, proszę, że mam na siebie uważać.

– To nie mąż Sunni, prawda?

Mae udała, że się dławi. Splunęła.

– Musiałam spytać – usprawiedliwiła się Kwan. – Gonić mężczyznę z nożem... to może znaczyć, że...

– To znaczy tylko tyle, że naprawdę miałam ochotę go zabić! Co za łotr! Chce mieć wszystko.

– Wszyscy się śmiali – zauważyła Kwan.

– Naprawdę? Tobie mogę powiedzieć prawdę: mnie wtedy nie było do śmiechu. A on wiedział, że nie żartuję, i uciekał ile sił w

nogach.

– Nasza ekspertka modowa – zaintonowała Kwan, naśladowując głos Talent – wcielenie delikatnej kobiecości, słodycz kwiatu, smutek porannej rosy, łagodność motyla – potrząsnęła głową – ściga naszego wodza, wymachując tasakiem!

Mae dopiero teraz, nagle, zrozumiała, że to rzeczywiście śmieszne. Bardzo śmieszne.

– Tego roku wszystkie wioskowe ekspertki modowe będą nosić ozdoby z noży. Oto piękność z Kizuldah, pani Chung. Jej naszyjnik sporządzono z morderczych broni użytych przez nią przeciw przyjaciołom pijanego męża. Proszę zauważyć subtelny układ tasaków na ramionach.

Kwan skrzywiła wargi w uśmiechu, ten żart niezbyt się jej spodobał.

– No więc kim on jest? – powtórzyła pytanie.

– Mój nie jest jeszcze przeszłością – zwróciła jej uwagę Mae.

– Mhm. – Kwan wydało się, że zgadła, o kim mowa.

Mae klepnęła ją po ramieniu.

– Uważaj – ostrzegła. – Nic nie wiesz.

– Nie twierdzę, że coś wiem.

Głos mówił coś nieprzerwanie w nieznanym im języku. Reklamy pokazywały rzadkie zdjęcia Eloi. Wszystkie wyglądały, jakby zrobiono je przed stu laty. Tak różniły się od obrazów współczesnego życia Eloi, jak rządowa propaganda. Obce twarze ubrudzone ziemią, linie napiętych mięśni brody i policzków. Za nakrycia głowy i buty służyły im kawałki zwierzęcej skóry. Zmęczeni życiem ludzie patrzyli na nie oskarżycielsko, przez otchłań czasu, z telewizora.

– Och, niech będzie Allah pochwalony. – Mae potrząsnęła głową. Żal jej było Kwan.

– Nie ma nic pomiędzy. – Kwan kręciła głową, szybko, nie, nie, nie. – Istniejemy albo jak aniołki, pojawiające się na końcu jakiegoś starego widowiska, kostiumy i nic więcej, albo jak lodówki dla Karzów.

Dostępnym zasób się skończył. To było to. Twarz Kwan znieruchomiła zacięta.

Telewizor zawarczał, trochę jak maszyna do szycia. Zaczął z niego wypływać papier. Mae zobaczyła najpierw jakieś litery, a potem czubek głowy Eloi.

– Ta maszyna... drukuje? – spytała niemal z rozpaczą.

Kwan skinęła głową.

– Na Zachodzie dzieci robią dla niej screeny. To coś służy im do wszystkiego. Można nawet robić filmy do rozpowszechniania w Tlenie. Ta wypukłość na górze to kamera. W Ameryce dzieci robią w Tlenie muzykę, wprost z głowy, a potem udostępnią ją sobie nawzajem. Nazywają to „ko-la-bou”.

– Jesteśmy tak zacofani... – Mae westchnęła.

– Żyjemy w innym świecie – powiedziała Kwan. – Czasami myślę, że nigdy nie dogonimy współczesności. Teraz, mając Tlen, oni będą gotowi, a my nie będziemy. Będziemy jak dzieci, zagubione, chodzącego w kółko.

Kwan wyciągnęła z telewizora swój arkusz papieru, zapisany informacjami o jej ludzcie, które nie ona zapisywała. W tym momencie jej opanowanie przysło.

– Idę spać – oznajmiła. – A ty bądź grzeczna.

I wreszcie Mae pozostała sam na sam z ekranem.

– Pieniądze – powiedziała.

Pojawiły się informacje o książkach, które może kupić, i kursach, za które może zapłacić. Był wśród nich kurs „Jak zarządzać kontem bankowym”, prowadzony przez Instytut Ludzi Starszych w Balshang. Ktoś z miejsca nazywanego „Mil-Wok-ii” oferował pożyczki. Pojawił się tekst i telewizor go dla niej przeczytał, ale prawie cały wydał się jej bez sensu. A potem, nagle, oberwała się lawina: pożyczki, kursy, „JAK SIĘ SZYBKO WZBOGACIĆ”. Na ekranie pojawiło się mnóstwo okienek, bił z nich straszny bełkot. Jedno wpychało się na drugie, głosy przerywały sobie nawzajem i nawzajem się zagłuszały.

– Stop – powiedziała Mae. Nic się nie stało.

Powiedz „tak”, jeśli chcesz połączyć się z tym numerem telefonicznu, by uzyskać natychmiastową telewizyjną poradę dotyczącą zarabiania pieniędzy. Przygotuj Inteligentną Kartę lub Kartę Wiarygodności. Cena połączenia dwa dolary za minutę. Kup

tę książkę. Załóż konto w tym banku. Tylko powiedz „tak”.

– Nie, nie, nie... – powtarzała Mae.

Informacje oblaży ją jak osy gównem. Małe okienko wykwitowało na większym okienku, jeden piskliwy głos przebijał się spod innego głosu.

– Stop!

– Czasowe przeciążenie systemu – powiedział telewizor i ekran nagle pociemniał.

Z ciemności przemówił cichy głos.

– Dziękujemy za użycie narzędzia Pomocny Bibliotekarz. Niektóre wyszukiwania z użyciem tego darmowego serwisu mogą skutkować płatnymi informacjami pasującymi do twoich zainteresowań.

W ogarniającej ją ciszy Mae słyszała mocne bicie swego serca. I to było to? To był ten wielki świat Sieci? To była ta Sieć, o której pan Wing mówił tyle i z takim naciskiem? Za którą tęsknił, o którą tak walczył?

Trudno się dziwić. Trudno się dziwić, że chcą ją wymienić.

Mae poczuła napływające do oczu łzy rozczarowania i gniewu. Jaki pożytek mają z tego... z tego czegoś? Ktoś bardzo chce im coś sprzedać, okraść biednych ludzi. Jaki z tego pożytek, jeśli nie masz pieniędzy, nie masz konta w banku, nikt ci nie da ani Inteligentnej Karty, ani Karty Wiarygodności? Może Shen miał rację? Wszystko po to, by pokazać nam świat, który nigdy nie będzie naszym światem? Mamy siedzieć, patrzeć, mięknąć, tyć i rozmawiać o modzie w Singapurze, jakbyśmy kiedykolwiek mieli mieć w niej jakiś udział. Przyciskamy twarze do szyby i patrzymy, jak inni jedzą.

– Wyłącz się.

Telewizor wyłączył się posłusznie. Stał groźny i ciemny jak burzowa chmura.

Co mi pozostało? Mae chwyciła się za głowę, mierzwiąc włosy, tłuste, wymagające mycia. Przegapiła sezon modowy, musi znaleźć dodatkowe dwadzieścia cztery rielsy na spłatę pożyczki.

Co ma? Zrób listę, Mae. Na liście znalazły się dom i trzy terasy pola ryżowego. Żadnych zamówień na sukienki?

Miała też wspomnienia pani Tung.

Była chora. Miała długi i niemrawego męża. Miała jego ciężko pracującego brata i starzejącego się ojca. Miała rodzonego, wtrącającego się we wszystko brata i dominującą matkę. Jeśli zwróci się o pomoc do nich, przejmą rządy.

Miała też propozycję pomocy Kwan. Czy to byłoby tak źle być winnym pieniądze Kwan?

Miała Tlen. Tkwiła w Tlenie głębiej niż ktokolwiek. Zatem... co było w Tlenie?

No dobrze. Zamknęła oczy. Próbowwała przejść drogą wstecz.

– Tlen – powiedziała.

Nic się nie stało. Postarała się wrócić na podwórko. Myśлами. Pamiętała, ale nie widziała. Po chwili jednak poczuła coś nieokreślonego, jakby dodatkowy ciężar w głowie. Czuła ten ciężar i spróbowała go wyodrębnić. W odróżnieniu od bólu głowy nie ustąpił jednak po wyodrębnieniu, tylko stał się bardziej określony.

Jeśli Tlen był w ogóle do czegoś podobny, to najbardziej do rzepy. W ryżu czasami wyrastały bulwy. Ciągniesz za coś, co masz za chwast, ale to coś nie chce dać się wyciągnąć. Musisz wcisnąć rękę głęboko w błoto, aż do samego końca korzenia, a dopiero potem go wyciągnąć. No i w końcu, zmaltretowane i do niczego niepodobne, a jednak dostawałeś coś, co daje się do czegoś użyć.

Trzeba to tylko wyciągnąć.

Mae miała wrażenie, że taki właśnie korzeń śledzi, ale myśлами. Coraz głębiej i głębiej. Mocno wrośnięty korzeń. Taki, co ani drgnie. Jakby się wbił głęboko w samą planetę, a nie miękką ziemię na jej powierzchni.

Coś sobie przypomniała. Ma przecież adres, a tym adresem jest jej imię.

– Mae, Mae, Mae, Mae, Mae...

Poczuła, jak coś się układa, trochę jakby była pyłem lub może ptasim piórem unoszącym się w powietrzu w dzień sprzątania. Wirowała w słonecznym promieniu, jak wirują gwiazdy, opadała powoli, aż wreszcie osiadła łagodnie i znieruchomiała. Jakże to było uspokajające! Mae uświadomiła sobie, że uśmiecha się



szeroko. Pożyczka, pieniądze, dom, mąż, pan Haseem – wszystko to odpłynęło od niej daleko i wysoko, w świat słonecznego promienia, pyłu i uspokojenia.

Czuła się tak, jakby wreszcie – wreszcie! – szła do łóżka po długim dniu pracy w polu, kiedy człowieka bolą ramiona i kiedy kolana wydają się wypełnione igłami. Układasz się bardziej w sobie niż w łóżku.

Na właściwe miejsce opadało coraz więcej fragmentów Mae, aż wreszcie opadło ich tyle, że mogła rozejrzeć się dookoła. Wydawało się jej, że stoi na podwórku.

– Witaj – powiedział głos. – Nie masz żadnych wiadomości w skrzynce Poczty błyskawicznej.

Kamienie miały barwę niebieską, jakby oświetlał je blask księżycy. One też były ulepione z pyłu. Mae mogła podплыnąć do nich, jak niesiona przez wiatr, mogła przez nie przepływać. Były tylko obrazkami, jak na ekranie. Czy telewizja robiła obrazki z pyłu?

Poprosiła o „Info”.

Tlen przemówił do niej głosem jej ludu i z wymową jej ludu.

– W tej chwili nie mamy niczego nowego. Dysponujemy materiałami ukazującymi, jak działa Tlen. Możesz zapoznać się z niektórymi z nich.

Głos brzmiał jak jej głos. To mówię ja.

– Rozumiem. Chcę się dowiedzieć, jak zarobić pieniądze.

– Rozumiemy. Ale robisz to po raz pierwszy. Wiele posiadanych przez nas materiałów wygląda jak filmy. Wydają się dobrze znane, ponieważ stworzono je tak, by wyglądały jak filmy. Ale z tym, o co prosisz, jest inaczej. To jakby coś wyrosło ci w głowie. Będzie tak, jakbyś stała się kimś innym. Jeśli ci się to nie spodoba, wypowiedz swoje imię.

– Dobrze... ale nie, zaraz! Czy do działania to coś potrzebuje mojego adresu?

– Poczta błyskawiczna i wszystkie inne usługi oprócz filmów funkcjonują wyłącznie z adresem.

– Jestem jedyną osobą w wiosce posiadającą własny adres?

Rozległo się brzęczenie. Po raz pierwszy Mae poczuła, że jej

mózg jest zrobiony z czegoś. Końce tego czegoś strzępiły się i zwijały jak na krawędzi dekoracyjnej tkaniny przed ich spleceniem.

– Stara pani Tung jest jedyną oprócz ciebie osobą posiadającą adres. Czy chcesz teraz uzyskać dostęp do naszego Eksperta Finansowego?

Skądinąd, gdzie była wielka jak księżyc, Mae skinęła głową, tak. Tlenowi to wystarczyło.

Podwórko, pomyślała Mae. Przecież to moje podwórko.

Pojawiło się w niej coś, czego nie potrafiła wyrazić głosem. Coś nie całkiem określonego, trochę jak rozmowa przez telefon komórkowy na granicy zasięgu. Nie dobierała słów, a jednak rozumiała, a zrozumienie przybrało artykułowany kształt.

– Tak, chcę pomóc ludziom biednym, chcę to zademonstrować, więc potrzebują mnie.

Zupełnie jakby miała jeszcze jedną panią Tung. Ale nie była to pełna osoba. Mówiła za szybko i nie zmierzała wprost do sedna. Była to część osoby, stosunek do zagadnienia. Były to tysiące rzeczy, o których osoba wie, splecionych ze sobą jak dywanik.

– Więc oczywiście powiedziałam „tak”. Pieniądze: co chcesz wiedzieć o pieniądzach?

Mae niemal miała go przed oczami: maleńki ruchliwy duszek pewny siebie, opanowany, z lekka rozbawiony, zakochany w pieniądzach, interesach, inwestycjach i funduszach powierniczych. Fundusze powiernicze? Nagle, pewna siebie, wiedząca i świadoma wiedzy, Mae posiadała sekrety funduszy powierniczych. Nie była to wiedza książkowa, lecz coś przypominającego umiejętność jazdy na rowerze lub chodzenia po zalanym wiosną polu, stawiania stóp na tej kępie trzciny, a potem na tamtej i tak dalej.

– Bank otrzymuje twoje pieniądze i płaci ci za możliwość ich używania...

– Stop! Stop! Chcę sprzedać ludziom coś nowego!

– No cóż, w takim razie lepiej dowiedz się najpierw, czego potrzebują. Jednym ze sposobów jest sporządzenie „Koeh so tong ah”, „Mapy Pytań”.

Mae zobaczyła coś takiego, linie pisma na papierze, angielskiego pisma. Czyjeś wspomnienia.

– Znajdź ludzi, którzy są jak ludzie, o których chcesz się czegoś dowiedzieć. Zazwyczaj jest to tak trudne, że powierza się to zadanie naukowcom. Ty jednak możesz po prostu zapytać wszystkich. Nazywa się to próbką stuprocentową. Upewnij się tylko, że rzeczywiście pytałaś wszystkich.

Mae zobaczyła rzędy czarnych kul w kolumnie: listę tak ułożoną, by łatwo było ją zapamiętać, nazywaną „Dobrze” i „Źle”. Zobaczyła też imię – wiedziała, że jest to imię osoby w jej głowie, zdołała nawet je odczytać. „Kru”. W jej języku „kru” oznaczało „wielkiego nauczyciela”. Było też słowo Kru na coś, czego nie potrafiła wymówić, ale wiedziała, że w języku Karz oznacza „rozwinięcie maty”. Tak jak handlarz rozwija matę na rynku, by mieć na czym rozłożyć rzodkiewki. Bardzo się jej to podobało. Było takie rzeczywiste.

– Nie zadawaj pytań naprowadzających, to znaczy pytań, które mogą skłonić pytanego do pomyślenia czegoś, o czym wcześniej nie myślał. Nie zadawaj pytań, na które można odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Zadawaj to samo pytanie dwu – lub trzykrotnie na różne sposoby, sprawdzaj, czy otrzymałaś jednobrzmiące odpowiedzi...

– Chwileczkę, chwileczkę, jak ja mam to zapamiętać?

Strumień informacji jakby się zatrzymał. Mae miała wrażenie, że słyszy głos mówiący: „Kto pyta?”. Duch, który ją opanował, bał się. Wydawało się, że pyta: „Kogo mam w głowie?”. Mae odpowiedziała „nic, nic”, ucichła, znieruchomiała, zrobiła się bardzo malutka. Znowu myślała w ten nowy sposób. Przesuwający się łańcuch myśli, pobrzękiwanie ogniw. Wiedza przychodziła do niej w sposób bardzo osobisty, jakby była jej własna. Jej myśli, znajome i bliskie. A to coś bardzo chciało podzielić się wiedzą. To był fundament jego istnienia, ta jedna wielka rzecz. Mae już nawet widziała starego białego mężczyznę o błyszczących oczkach.

Zatem co? Umieją jakoś skopiować Kru? Włożyć ci Kru w głowę? Ten Kru to wielki i wspaniały, dobry Kru Rozwinięcia Maty, tak

wielki, wspaniały i dobry, że chętny dać ci swą głowę za darmo. Dawał mądrość z Niebios, by pomóc, bo czuł litość.

Jest na to właściwe słowo: bodhisattwa.

Gdzie indziej można się spodziewać obecności emanacji Buddy, jeśli nie w Niebiesiach? Ale kto by się mógł spodziewać, że wielki dar wiedzy wypełni cię jak przy dmuchaniu balonu, tylko odwrotnie, jakby balon pompował ciebie, wypełniał cię... Tlenem.

Doprawdy, wielki to dar. Mae poczuła, że uśmiecha się szeroko, i poczuła, jak jej realne ciało przyciska dłoń do dłoni. Nawiedziła ją także złośliwa myśl: mam adres. Jedyna w Kizuldah.

Mae siedziała pod innym niebem pustyni i gór. Siedziała z dłońmi złożonymi w wyrazie szacunku. Uczyla się, czego mogła o „Mapie Pytań” i rozwijaniu maty. Nad jej głową powoli wędrowały gwiazdy.

Zmęczyła się wcześniej niż mądry, wytrzymały i niezmienny umysł. Jej wielkie ciało pochyliło się w pełnym szacunku pożegnaniu. Jej duch ruszył z powrotem drogą, którą tu przyszła.

Wymówiła: „Mae, Mae, Mae...”.

Podmuch wiatru rozrzucił ją i uniósł, wracała do materialnego świata, wirując niczym w tańcu.

Mae powróciła do samej siebie, siedzącej naprzeciw ciemnego, bezużytecznego metalowego pudła. Z jej szeroko otwartych oczu płynęły łzy, jakby płakała z radości. Przez cały czas pobytu w Tlenie nie mrugnęła! Ani razu!

Wstała. Odeszła od telewizora. Wiedziała już, co zrobi. Zrobi Mapę Pytań, zapyta wszystkie kobiety we wsi, czego pragną, i da im właśnie to. Zjednoczy się z Kru, by pojąć, jak naprawdę działa magia pieniędzy, bo było już dla niej jasne, że pieniądze pochodzą od bogów, są jednym z ich aspektów. A przynajmniej było tak, póki nie ukradli ich królowie i prezydenci. To portret Buddy winien zdobić monety.

Wróci. Wróci i nauczy się więcej. Jeśli Sieć cała jest o zachłanności i oszustwach na pieniądze, nauczy się i tego. Rozłoży matę. W tym życiu stanie po stronie zwycięzców. Dzięki zdolnościom i ciężkiej pracy.

Tlen jest nowy, Tlen jest mocny, Tlen pomoże jej, z radością.

Czuła, jak długi korzeń poddaje się jej dłoniom. Już wiedziała. To ona była wrośnięta w świat, a świat wrastał w Tlen.

Mae szła Lower Street. Dochodziła trzecia nad ranem. W blasku księżycy przyglądała się swym stopom. Nie chciała potknąć się na nierówno brukowanej uliczce.

Coś zmieniło się w jej oczach, wewnątrz oczu. Doznała wrażenia, że droga zadrżała i... urosła. Ona też urosła, powiększyła się, a jednocześnie rozproszyła jak mgła.

Nagle okazało się, że droga jest gładka, asfaltowa, a od asfaltowej powierzchni odbija się żółte światło. Mae podniosła wzrok. Nad Lower Street świeciła latarnia na wysokim betonowym słupie. Od kiedy to na Lower Street zainstalowano oświetlenie? Latarnie na betonowych słupach?

Rozejrzała się. Miasteczko spływało ze zbocza góry jak naszyjnik: sznury świateł, cekiny świateł. Poniżej, w dolinie, gdzie kiedyś były bagna, świecił neon. „Hotel Bliskość”. Obok hotelu stał jakiś sklep: bielone ściany zalane zimnym niebieskim fluorescencyjnym blaskiem. Wystawę kryła jaskrawoczerwona markiza. Skądś dobiegły krzyki i tupot stóp biegnących dzieci. Dzieci widać w tych czasach zostawały w wiosce. Po co wyjeżdżać? Przecież jest tutaj cały świat. To Tlen sprawił, że dzieci zostawały, gdzie się urodziły. Ze swymi prawnukami Mae widywała się codziennie.

– Gdzie ja jestem? Gdzie to jest?

Powietrze śmierdziało spalinami. I ten hałas: telewizory, strzały z rur wydechowych samochodów, syrena karetki pogotowia. Mae była stara. Bolało ją w krzyżu. Myślała: „To było tutaj. Tutaj stał kiedyś mój dom. Mój i Joego”.

Wspinaczka po stromym zboczu wzgórze sporo ją kosztowała. Przed paroma miesiącami upadła, ciągle dokuczał jej krzyż. Próbowwała chodzić szybko, choć była zeszywniała, obolała i już się garbiła. Byłam tu, pomyślała stara Maggie. Tu, gdzie się

spotkaliśmy, gdzie wszystko się zaczęło, gdzie urodziłam się na nowo.

Powiał wiatr, niosąc ze sobą dźwięki fletni Pana. Mae wydawało się, że niesie i ją.

Przy bramie stał pan Ken. Stara kobieta zobaczyła pana Kena. Był dla niej duchem z przeszłości. Stara Mae zadławiła się, zasłoniła usta dłonią. Dosłownie wszystko: szybko bijące serce, szeroko otwarte oczy, nagłe mdłości, mówiło o panicznym strachu... i o miłości.

Oto jest. Pan Ken. Jej pan Ken. Ma na sobie luźną bluzę, tak, pamiętała ją, pamiętała ją doskonale i lepsze spodnie z taśmą z lycry zamiast paska.

Wiatr powiał mocniej. Porwał ze sobą uczucie strachu, poczucie straty, a także uliczne latarnie. A Mae opadła. Nie jak opadający pył, lecz jak domek z kart rozpadający się w jednej chwili. Pociągnęła za sobą cały świat. Świat zapadł się w sobie i znów był takim, jakim go znała.

Co... co to było? – pomyślała Mae. Przycisnęła dłoń do czoła. Był to powiew szaleństwa.

Tlen, pomyślała Mae. Czy Tlen sięga także w przyszłość?

Rozejrzała się. „Hotel Bliskość” znikł. Wzgórza były ciemne, uliczki wioski ciche.

Może, pomyślała, może nie powinnam tak często wchodzić w Tlen?

Pan Ken przyłożył dłoń do ust. Czekał, dawał jej szansę, by mogła odwrócić się i odejść. Ale Mae poszła dalej, w stronę doliny. A pan Ken poszedł z nią. O trzeciej w nocy na wsi nie ma słuchających światła.

Szum wiatru w trzcinach brzmiał jak wodospad, jakby coś, wszystko, wylewało się jej z głowy. Szli w milczeniu, a kiedy wioska pozostała za nimi, pan Ken, wiedząc, że szum wiatru zagłuszy jego słowa, ośmielił się przemówić.

– Myślałem, że nie przyjdiesz – powiedział. – W domu nie paliło się światło. Gdzie byłaś?

– W przeszłości – usłyszała swą odpowiedź Mae. Przemysłała ją i potwierdziła: – Tak, byłam w przyszłości.

– Oglądałaś telewizję?

Miała wrażenie, że to, co się dzieje, dzieje się gdzieś z boku. Być może była po prostu zmęczona? Pragnęła słuchać świata, wiatru, księżycy. Słyszała, jak księżyc przemyka się wśród chmur.

– Mae? O czym mówisz?

Nie patrzyła na pana Kena, tylko w górę, bardzo daleko.

– Kizuldah stanie się miejscem jak one wszystkie. Będziemy mieli sklepy, latarnie uliczne, parkingi. – Spojrzała za siebie, na ciemne, ciche, ledwie widoczne sylwetki domów. Już żałowała tego, co miało się dopiero stać. Już płakała po swej wiosce.

Na przystojnej twarzy pana Kena pojawił się wyraz niepokoju. W głębi serca jesteś mężem, pomyślała Mae. Łagodnym, przyzwoitym, zdolnym do miłości. Więc dlaczego nic we mnie nie odpowiada?

– Jestem bardzo śpiąca – powiedziała. Było to wytłumaczenie, było kłamstwo, była prawda.

Pan Ken ujął jej dłoń.

– Boisz się? – spytał, szukając wzrokiem odpowiedzi na jej twarzy.

Kobieta, która miała kochanka i wymachiwała nożami, postanowiła być szczerą.

– O czym myślisz, kiedy wspominasz Tui? – spytała.

Mężczyzna zwiesił głowę, lecz zaraz ją uniósł.

– Była moją żoną. – Wzruszył ramionami. – Zawsze była delikatna. Nie lubiła... – miękki gest dłoni w jakiś sposób sugerował seks – drżała wtedy, a ja myślałem, że to miłość. Teraz wiem, że nie, że to był strach. Nie wiem, co ją tak przerażało.

Mae westchnęła.

– Zawsze była taka przestraszona. Źle ją traktowałyśmy. Wiem, że to nie było w porządku, ale śmiałyśmy się z niej, że ma pchły.

– Pamiętam... – W cichym głosie pana Kena brzmiało zdumienie. Czy naprawdę o tym zapomniał?

– Ale ty nigdy z niej nie żartowałeś. Zawsze byłeś takim dobrym chłopcem. – W tych słowach nie było zbyt wiele szacunku. No ale trudno jest być złym chłopcem w szkole, kiedy szkołą rządzi babcia.



– Pamiętam, co robiłaś. Babcia czasami mi pokazywała. Tylko mnie. Myślałem wtedy, że robisz piękne rzeczy.

– Co to było? – spytała Mae.

Ludzie ciągle mówili o tym, co robiła jako dziecko. Dzięki temu mogli uniknąć wspomnienia, jak wolno się uczyła.

– Zbierałaś puste muszle i robiłaś z nich naszyjniki. Raz zrobiłaś groszki w strączkach z kleju do papieru. Pomyślałem „jakie to cudowne”. Babcia próbowała je utrwalić, wypiec, ale popękały. Pamiętasz?

Mae zrozumiała go wreszcie. Chciał, żeby wiedziała, że pragnął jej już wówczas. Prawdą też było, że wówczas właściwie go nie zauważała. Kiedy Ken Kuei wyrósł z cichego chłopca, marzyciela, na szerokiego w ramionach, przystojnego mężczyznę? Kiedy byli młodzi liczył się Joe. Joe był ostry jak nóż. Młody i ostry, buntownik. Może pan Ken był wówczas ekspertem modowym?

– Bardzo wcześnie wyszłaś za mąż.

Chciał powiedzieć, że zbierał odwagę, kiedy rozniosła się wiadomość o jej ślubie.

– Powinieneś się pośpieszyć – powiedziała Mae.

– Wiem. – Chwila milczenia i niepewne pytanie: – Chcesz tego?

Mae wzruszyła ramionami.

– Przecież tu jestem.

– Nie wydajesz się szczęśliwa.

Szczęśliwa? A kto powiedział, że życie ma być szczęśliwe? Jego żona właśnie się zabiła.

– Nie, nie jestem szczęśliwa. Nigdy nie jestem szczęśliwa. – Mae wbiła palce we włosy. – Będziesz musiał się do tego przyzwyczaić.

Zeszli po nasypie, w trzciny. Mae próbowała czuć coś, cokolwiek. Być może była po prostu zmęczona.

A może chcę po prostu wiedzieć, po co to wszystko, jeśli wszystko i tak zniknie, jakby nigdy nie istniało, jeśli wszyscy zredukowani zostaniemy do tych zdjęć Eloj, historia zmieni nas w nagie, oskórowane mięso.

Seks, jak historia, odziera człowieka z tego, czym jest. Robisz, co robią wszyscy, tryumfuje natura w jej najbardziej podstawowej

postaci. Seks wymiecie z nich ich indywidualności, to, czym są Chung Mae i Ken Kuei, jak ulubione chusty uniesione przez wiatr.

To Mae zaczęła. Zapewne chciała, żeby się już skończyło. Przyciągnęła jego twarz do swej twarzy. Pocałowali się. Tu i tam ziemia była mokra. Wierzchołki trzciny tańczyły – niczym w podnieceniu, tańczyły ku czci księżyca. Chmury wydawały się bardzo dziwne, wytepowane wokół księżyca jak rzucony na ścianę tynk gliniany.

Mae zauważyła, że choć pan Ken złożył jej w ofierze piękno swego gładkiego brzucha i krągłych ud, tym razem wcale się nie śpieszył. Pracował długo, podczas gdy ona wpatrywała się w księżyc. Jego wytrwałość znów doprowadziła Mae do stanu, którego nigdy nie osiągnęła z Joem. Stała się nikim, wyłącznie ciałem. Czegóż się jednak nauczyła: malejące pożądanie mężczyzny sprawia, że stara się on bardziej i dłużej, z czego kobieta ma więcej przyjemności. Joe zawsze załatwiał tę sprawę w kilka minut.

– Lepiej chodźmy, chyba robi się późno – powiedziała Mae.

– Raczej wcześniej. – Pan Ken zachichotał.

Znów przyłożył czoło do jej czoła. Co to oznaczało? Ulgę? Wdzięczność? Poddanie? Musiała się uśmiechnąć, ten mężczyzna już zaczął wydawać się jej znajomy.

Kiedy wślizgiwała się do domu, pan Shenyalar zaśpiewał ze swej wieży, a niebo posrebrzało. Parter wyglądał nienaturalnie, jak muzealny eksponat, tyle że pachniał Joem i wypełniało go chrapanie Joego.

Miłość przyszła do Mae tu, dopiero tu. Miłość, przed którą się broniła. Wyrwała się z niej gwałtem, jak gwałtem wyrwa się żywe dziecko z łona matki. Brakowało jej pana Kena. Chciała mieć go tu nie po to, żeby się pieprzyć, lecz po to, by rozmawiać o przeszłości, o wiosce, o wszystkim, o czym nigdy nie rozmawiała z Joem.

Jej małżeństwo właśnie się skończyło. Nie zniosłaby pójścia teraz do łóżka z Joem, więc wzięła się za przygotowywanie śniadania. Gotowała z wściekłości, oliwiła patelnię, stawiała na ogień kluski, a łzy wzbierały jej w oczach.

Siao i stary pan Chung zeszli ze stryszku. Nałożyła im klusek, myśląc o twardych, spracowanych dłoniach pana Kena. Pamiętała jego cichy głos, jego siłę, z trudem dobierane słowa.

Joe wstał godzinę później skacowany i milczący. Zjadł i wyszedł. Powiedział, że idzie do pracy. Zostawił Mae siedzącą bezwładnie na krześle, zmęczoną, nawet wyczerpaną i zdumioną własnym zachowaniem. Zmarnowałam naszą noc, pomyślała, ale tak, jakby chciała zatrzymać tę myśl dla siebie. Muszę przecież zrobić Mapę Pytań. Jak mam zrobić Mapę Pytań? Przecież nie umiem pisać.

Zasypiała już, kiedy w jej głowie pojawiła się myśl: „Zajęciem kierownika jest kierowanie. Zawsze będzie coś, czego sama nie umiesz zrobić. Znajdź kogoś, kto umie”.

Dla Mae była to nowa, cudowna myśl. Jakie to proste, znaleźć kogoś, kto umie. Ogrzała ją i uspokoiła ta myśl, a świat stał się spokojny i wyrozumiały.

Zasnęła. Obudziła się jako nowy człowiek.

Następnego dnia wieczorem odwiedziła matkę Han An. Miała dla jej córki pewną propozycję.

Dom ten był ostatnim na Marsh Street, stał tuż przy terenie zalewowym. Nawet teraz, latem, na podwórku leżało błoto zmieszane z gównem kóz i drobiu. Mae przeszła przez nie ostrożnie na szpilkach. Zapukała do drzwi. Otworzyła je matka An, Kai-hui, wyraźnie zmęczona i potargana. Na widok stroju Mae jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Szanowna pani Han...

Mae była ubrana w białą sukienkę w serca, na którą narzuciła najlepszą szarą kurtkę męża. Włosy zaczesła ciasno do tyłu, włożyła duże okulary, a w rękę trzymała podkładkę do papierów. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że do tej pory nie ubierała się tak żadna wiejska kobieta.

Kai-hui ukryła zaskoczenie za zasłoną grzecznych banałów. Zaprosiła gościa, upewniła go, że dobrze się czuje. A kiedy skończyły się formalności, Mae powiedziała:

– Chciałabym prosić o możliwość rozmowy z twoją córką. Zamierzam złożyć jej pewną propozycję.

An pojawiła się na wezwanie. Ubrana była do pracy, w starą sukienkę w kwiatki i fartuch. Włosy przykryła chustką, ale na widok gościa natychmiast ją zdjęła. Kai-hui zaparzyła i podała herbatę. Rozmawiały o porach roku, o tym, że powinno się już iść na pola ryżowe, ale człowiek ma wrażenie, że okres kocenia się owiec skończył się zaledwie wczoraj.

Mae zaczynała się niecierpliwić. Przecież to martwe, martwe, to wszystko jest martwe! Przeszła do interesów, być może nieco za wcześnie.

– Wkrótce zmieni się całe nasze życie – oznajmiła. – Tlen wróci. Mamy już telewizor pomagający nam się unowocześnić, lecz nikt

nic nie robi, żeby przygotować wioskę na zmiany.

Następnie wyjaśniła, że potrzebuje pomocy kogoś sumiennego i pracowitego. Widziała, jak An najpierw patrzy na nią z zainteresowaniem, a potem jak rozbłyskują jej oczy.

– Od razu wyznaję, że mam dwa cele. Po pierwsze, trzeba mi pomocy w nadaniu nowego kształtu mojemu biznesowi. On też musi się zmienić. Drugi natomiast to pomóc wiosce podjąć decyzję: co my wszyscy chcemy zrobić dla przyszłości?

A także, ale tego już nie powiedziała, to zapisywać odpowiedzi, a potem je odczytywać.

Kai-hui nie wiedziała, co ma myśleć, oderwana od mycia podłóg, wojny z błotem i wygotowywania skarpetek.

– Bardzo nam pochlebia, że uznałaś naszą córkę za zdatną do tak niezwykłej pracy – powiedziała. – Ale muszę przyznać, że nie rozumiem. Proponujesz naszej córce pozycję w biznesie?

– Jeszcze nie – przyznała Mae. – Przecież nawet nie wiem, czy mam biznes. Ludzie mogą powiedzieć mi: „Nic z tego, nie chcemy twojej mody”. Ale jeśli go mam, będzie mi potrzebny młody, inteligentny Talent.

Oczy An błyszczały. Och, rozumiała, rozumiała, jak łatwo ci młodzi rozumieją. Wyczuwała nowy świat, znała jego zapach.

– To bardzo interesujące – powiedziała Kai-hui. – Ale mówimy o czasie, a moja córka jest mi potrzebna. Ma tu wystarczająco wiele zajęć.

Niegrzecznie byłoby powiedzieć teraz: „Twoja córka opuści cię tak czy inaczej, przez małżeństwo lub przez pracę”. Nie byłoby to grzeczne, ale być może grzeczność też umarła.

– An nie zawsze będzie z tobą – powiedziała May. – Jak każdy z nas, ma wybór. Może wybrać wierność staremu sposobowi na życie i skończyć na wygotowywaniu mężowskiej bielizny. Ale może też użyć zręczności w posługiwaniu się słowami i urody na nowy sposób. Taki, że wkładem córki w twój dom będą pieniądze, nie praca.

An z trudem powstrzymała uśmiech. Wciągnęła policzki, nie śmiała spojrzeć wprost ani na matkę, ani na jej gościa.

– Mogę zobaczyć pytania? – W oczach Kai-hui był gniew, bo

przecież została obrażona, choć nie dotkliwie, ból, bo usłyszała prawdę, i skupiona uwaga.

Mae okrągłym gestem wyjęła Mapę Pytań. I nie zdołała powstrzymać cichego okrzyku zdumienia i zachwytu. Wypowiedziała pytania przed telewizorem Kwan, a telewizor posłusznie je wydrukował, linijka po linijce. Wyglądały jak państwowy dokument.

Kai-hui mogła nie robić w życiu wiele więcej niż gotowanie skarpetek męża, ale umiała czytać. Czytając pytania, stawała się coraz smutniejsza.

– Te pytania rzeczywiście trzeba zadać – powiedziała, skończywszy lekturę. – Martwi mnie jednak ich nieskromność. Czy będą zadawane także mężczyznom?

– Mamo! – krzyknęła An i natychmiast ugryzła się w język.

– Owszem, tak. – Mae też była lekko zawstydzona. – Mężczyźni rządzą wioską, więc nie można ich nie zapytać. To jeden z powodów, dla których potrzebuję asystentki. Żeby uniknąć niezręcznych sytuacji. Będziemy występować zawsze we dwójkę.

Oczy Kai-hui mówiły co innego: „Nie jesteś już wzorem przyzwoitości”. Usta powiedziały:

– Byleś tylko nie występowała uzbrojona. – Kai-hui nie poruszyła się. – Rozważymy twoją propozycję, jej zalety i jej wady.

Mae skłoniła głowę, siedząc. A kiedy wstała, An podeszła do niej szybko, ujęła jej ramię.

– Odprowadzę gościa.

Matka ustąpiła. Już przy bramie An dodała jeszcze, szybko i z niezwykłym naciskiem:

– Cokolwiek powie matka, ja pomogę.

Na szczęście jej bunt nie okazał się konieczny. Kai-hui powiedziała „tak”.

Następnego dnia Mae i An wzięły się do roboty. Mae uznała, że pochlebi ludziom, jeśli będzie się z nimi wcześniej umawiała. Dzięki temu zaczną myśleć sami, a także łatwiej przyjmą do wiadomości, że to ona pomyślała pierwsza. Jej sekretarka, jak nazywała An, napisała listy do wszystkich trzydziestu czterech

gospodarstw, prosząc o uzgodnienie wygodnej pory odwiedzin.

Tego wieczoru, gdy tylko usiadła przed telewizorem, Kwan zbiegła po schodkach swego domu, domu gospodarzy posiadających cztery gospodarstwa.

– Mae! – krzyknęła. – Och, ty spryciaro, ty spryciaro! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś o swoim wspaniałym planie!

– Bałam się, że wyjdę na idiotkę – skłamała Mae. – Nie wiedziałam jeszcze, jak to ma wyglądać, nie do końca.

– Ale to jest przecież właśnie to! – Błyszczące oczy Kwan były pełne bólu.

– Och, to tylko ma mi pomóc w interesach z modą.

– Jest czymś większym, o wiele większym! Każe nam myśleć o przyszłości! Potrzebujesz pomocy?

– Och, jesteś taka uprzejma. Nie, dziękuję, mam An, córkę Kaihui. Jest moją sekretarką. Jeśli się uda, zostanie moją współpracowniczką.

– Ach! No tak, oczywiście. Masz tę straszną pożyczkę do spłacenia. – Kwan zamilkła, a po chwili dodała: – Nasza oferta pomocy jest oczywiście aktualna.

Mae poczuła ucisk głęboko w piersi. Znalazła się w trudnej sytuacji. Nie mogła przecież powiedzieć: „Jesteś dobrą kobietą, jesteś moją przyjaciółką, ale uważam cię za mądrzejszą od siebie i sądzę, że odebrałaś mi mój pomysł tak, że stałby się twój”. Jak mam powiedzieć, że ta nienasycona kobieta musiałaby odebrać mi pomysł tak, by stał się jej pomysłem?

– Być może rzeczywiście skorzystam z tej oferty – powiedziała. – Jesteś taka dobra... masz takie dobre serce.

Uśmiech Kwan nie zmienił się, zmienił się tylko wyraz jej oczu.

– Jaką to ma wartość? W nowym świecie?

Wbrew własnym zaleceniom Mae wydała część pieniędzy z pożyczki męża Sunni na ołówki, papier i podkładkę dla An. Źle się czuła z tego powodu. Ale nowy wizerunek poprawiał jej samopoczucie.

An nie trzeba było mówić, jak ma się ubrać. Ona także włożyła męską kurtkę, ojca, i, po raz pierwszy z dumą, duże okulary, które zawsze starała się ukryć. Wyglądała jak prezenterka telewizyjna.

Pracowały wieczorem, po kolacji. Na pierwsze spotkanie umówiły się z Tsang i jej mężem, panem Muhammedem. Wiejskie dzieciaki tłoczyły się przy bramie. Nie chciały przegapić pojawienia się Talentów.

– Zapytajcie ją o syna Kwan. – Jeden z chłopców zaskrzeczał jak zaba, wywołując okrzyki radości i nieprzyjazny, okrutny śmiech.

Tsang ubrała się bardzo elegancko. Zaparzyła herbatę, osłoniła zasłoną pokój wypełniony kolbami kukurydzy. Jej mąż Hasan był żarliwym muzułmaninem, nosił się na czarno i zawsze miał pod ręką egzemplarz Księgi.

Mae wyjaśniła dwa cele wizyty. Ujęła je w następujące słowa: pana domu pragnie spytać o nadejście Tlenu, a jego żonę o modę. Każde z nich może przemówić, kiedy zechce. Jeśli nie zechcą odpowiedzieć na któreś z pytań, to oczywiście nie muszą.

Czy mają jakieś poglądy na nadejście Tlenu?

– Mamy – odparł pan Muhammed.

Przemawiał przez dwadzieścia pięć minut bez przerwy. Religia Pokoju zawsze była przyjazna nauce. Kiedy Zachód pogrążał się w ciemnych wiekach, to Pokój przekazywał nauki Arystotelesa i Platona z pokolenia na pokolenie. Pokój nie miał problemów z pogodzeniem religii i matematyki, duchowości i materialnego świata rządzącego się prawami fizyki.

An kiwała głową, zapisując od czasu do czasu oderwane zdania. Mae witała kolejne objawienia ochami i achami, a jej duch upadał.

Pan Muhammed przerwał, wypił łyk herbaty. Był mężczyzną żylastym, szczupłym i schludnym. Wargi siniały mu z wiekiem, palce miał cienkie. Głowę owijał na biało, przez co wyglądał, jakby zabandażował ranę, którą trzeba było utrzymywać w czystości. Na drugie pytanie, co sądzi o Teście, udzielił odpowiedzi, powtarzając słowo w słowo to, co już słyszały. Dodał jeszcze, że wszystkie informacje świata są niczym wobec woli Boga i że jeśli przez Tlen będzie płynąć bezbożność, okaże się wielkim złem, do wykorzenienia.

Ale... jak zareagował? Jakie było jego doświadczenie? Mae była szczerze zdumiona. Naprawdę chciała wiedzieć.



Pan Muhammed nie przyznał się do żadnego doświadczenia. Opera z Pekinu była całkiem interesująca. Ale nie wolno dopuścić, by wyparła Księżę.

Tsang, pulchna, pogodna i niechlujna, zgodziła się ze swym schludnym mężem. Wszystko, co powiedział, doskonale zgadzało się z tym, co myśli. Poproszona o powiedzenie, czym się zajmuje, wymieniła czyszczenie, gotowanie i pracę w polu. Moda? Och, kobiety zamężne, jak ona, nie potrzebują mody.

An i Mae wymieniły szybkie spojrzenia. Po czym skłoniły się, wyznały, że są zachwycone, podziękowały panu Muhammedowi za jego wkład. Chyba zrobiły mu przyjemność. Odprowadził je do drzwi.

– Jeśli będzie pani potrzebowała pomocy, szanowna pani Chung, pomocy w nauczaniu dzieci tej nowej rzeczy, proszę przyjść do mnie. Powiem pani szczerze, że ma pani wielkiego wroga. Uch! – Gestem głowy wskazał wzgórze. – Tego czczącego zwierzęta Eloj.

Mae nie zrozumiała.

– Bardzo mi przykro, ale jestem zwykłą żoną. Nie wiem, kogo ma pan na myśli.

Surowy wzrok pana Muhammeda złagodniał. Kobiety są takie niewinne, tak niewiele rozumieją.

– Nauczyciela Shena – powiedział łagodnie. – On jej nienawidzi. I jest na panią bardzo zły za to, co pani robi.

– A co ja takiego robię?

– Wpędza w kłopoty – powiedział pan Muhammed, nie przestając się uśmiechać.

Po drugiej stronie mostu znajdowało się wielkie gospodarstwo starego pana Doha. Młody pan Doh był bliskim przyjacielem Joego. Mae i An powitał hałaśliwymi wybuchami wesołości. Proponował ryżowe wino zamiast herbaty, odwracając się przez ramię, rozmawiał z dziećmi swoimi i brata, siedzącymi pod ścianami i próbującymi nie uronić słowa z rozmowy.

Młody pan Doh jednocześnie drażnił i komplementował Mae.

O? Och? Gdzie pani anielskie skrzydła? Gdzie woalki? Gdzie pompony? Nosi pani okulary, więc dlaczego przypadkiem włożyła pani męskie ubranie?

Dzieci chichotały, zasłaniając usta.

– Co młody pan Doh sądzi o Tlenie? – spytała Mae.

– Jakim Tlenie? Gdzie on jest? Mówię pani, on się nigdy nie zdarzy. Ilu ludzi zginęło? Nikt go nie chce.

– Ja chcę filmy – powiedział jego lekko upośledzony brat.

– Ja też – wtrącił się do rozmowy jeden z wnuków. – Wioska jest nudna jak flaki.

– Fut-baaal! – krzyknęli wszyscy chłopcy zgodnym chórem. Tak w swym języku wymawiali nazwę znanego międzynarodowego sportu.

– Wszystko to już mamy. W telewizorze – powiedział pan Doh. – Mówię wam, nic się nie zmieni.

Dwie młode żony Dohów oczywiście pracowały i moda była nie dla nich. Z drugiej strony młoda panna Doh słynęła z noszenia męskich strojów i jazdy na motocyklu. An i Mae pożegnały się, wyszły, a na ulicy i jedna, i druga tylko wzruszyły ramionami.

W domu już czekał na nie Joe. Siedział przy kuchennym stole, nadal w roboczych spodniach i podkoszulku.

– I co, żono, nauczyłaś się czegoś?

An skłoniła się. Joe chrząknął. Siao i stary pan Chung przyglądali się im uważnie. Dlaczego Mae wydało się nagle, że patrzą na nie bezczelnie? Uświadomiła sobie, że nie chce rozmawiać przy nich. Wiedza była dla niej jak jajko, pragnęła chronić je, trzymać w ciepłe, ukryć przed wzrokiem obcych.

Obie kobiety usiadły przy kuchennym stole, pod czujnym spojrzeniem mężczyzn. An spojrzała na Arkusza Pytań.

– Mamy bardzo mało odpowiedzi na pani pytania – powiedziała.

– Będziemy musiały rozmawiać z żonami osobno.

– A to dlaczego? – spytał Joe agresywnie.

– Dlatego że przy mężach nie wyrażają swoich opinii.

– Ach! A wy chcecie je zachęcić? Uch! – Joe popatrzył na ojca i brata. Szukał u nich poparcia.

Siao chrząknął i ukrył twarz w dłoniach.

Mae westchnęła ciężko.

– Joe, próbuję dla nas zarobić, a żeby zarobić, muszę wiedzieć, po co kobietom ubrania.

- Do okrywania nagości. Bez nich byłyby dziwkami.
- Joe, naszym gościem jest dobrze wychowana panienka.

Mąż spojrział złym wzrokiem i na żonę, i na gościa.

Mae zwróciła się do An.

- Wszyscy udają, że nic się nie zmieniło. Nikt nie rozmawia o Teście.

An sprawiała wrażenie nieco skrępowanej.

- To dlatego, że nikt nie wie, co się właściwie zdarzyło. Oprócz pani. - Zawahała się, ale zdecydowała, że będzie mówić dalej. - Pani przypadek to trochę tak, jakby doktor przepisywał śmiertelną truciznę jako jedyne skuteczne lekarstwo na chorobę. Pani już przez to przeszła, przez najgorsze. Ilekroć ludzie panią widzą, przypominają sobie najstraszniejsze rzeczy. Że pani oszalała. Że zmieniła się pani nie do poznania.

W oczach An był smutek.

- No właśnie! - Joe rozżłościł się nagle. - No właśnie! Nie jesteś kobietą, którą wziąłem za żonę.

- Ludzie mogą się pani nawet bać - dodała jeszcze An, spokojnym głosem, lecz z naciskiem.

- Odprowadzę cię do domu - powiedziała Mae.

Joe jej tego zabronił. Wybuchła straszna awantura, przy gościu. Mae dosłownie wyszła z siebie. Naprawdę miała dość.

- Pomyśl, ty głupi mężczyzno, choć wiem, że nie umiesz nawet znaleźć butów! Przecież nie mogę pozwolić, by najpiękniejsza dziewczyna we wsi wracała do domu bez opieki! Co powiedziała by jej matka!

- Ach, więc teraz zaślaniasz się tradycją? Ty, która chodzisz w męskich kurtkach!

- Nie zamierzam dłużej słuchać tych bzdur ani patrzeć, jak robisz z siebie głupca w oczach panienki An!

Mae wybiegła wściekła z domu. Za furtką powiedziała do An:

- To będzie cięższa praca, niż się spodziewałam.

- Myślę o tym jak o połogu - odparła An. - Czuję, że to zaledwie przygotowanie do wielu trudnych zadań czekających mnie w przyszłości. - Zastanowiła się. - Chciałam pani bardzo podziękować za tę szansę.

– A ja chcę ci podziękować za wielką pomoc.

– Dowiemy się, kim są pani przyjaciele, szanowna pani Chung.

Mae bezpiecznie doprowadziła ją do matki, po czym wróciła na wiejski plac. Herbaciarnia, której frontowa ściana wychodziła wprost na zbocze wzgórza, była przyklejona do bocznej ściany domu kuzyna Joego. Wypełniały ją światło, dym i donośne głosy. Mae obeszła ją, przeszła przez mały strumień płynący swobodnie pomiędzy kamieniami bruku. Usiadła w ciemności przed domem pana Kosala, pod wielkim dębem, wśród którego gałęzi bawiły się pokolenia dzieci. Mieszkańcy Kizuldah nazywali go „Tym Drzewem”. Wydawało się, że sięga gwiazd.

Z daleka od męża, z daleka od wszystkich, Mae wezwała Tlen. Na mądrość Kru nie musiała długo czekać.

Jakże oczywistym okazało się, co robiła źle. Mówiła, tylko mówiła. A powinna tłumaczyć ludziom zasady, a potem zadawać krótkie, proste pytania. Jeśli ludzie zostawią pytanie bez odpowiedzi, to znaczy, że albo uznali je za nieważne, czyli jednak udzielili jakiejś informacji, albo mają coś do ukrycia. Zadawaj pytania, na które można odpowiedzieć szybko i obiektywnie, ale nie „tak” lub „nie”. Słuchaj uważnie i naucz się klasyfikować odpowiedzi tak, by można je było później porównać.

Kru nie był głosem. Przypominał raczej bąbelki pełne odpowiedzi pękające w jej głowie. Nie zadawał głupich pytań, takich jak „Dlaczego nie mają sami zapisywać odpowiedzi?”. (Nie umieją pisać). Wiedział to, co wiedziała ona. Był częścią niej.

Tak naprawdę Mae nie miała pojęcia, jak uszyć sukienkę. Tak naprawdę nie miała pojęcia o niczym, ani o Tlenie, ani o starej Sieci, ani o tym, czym są pieniądze, ani nawet, jak wydobyć coś z tych gór. Z wyjątkiem jednego. Jedno wiedziała. Dzięki pomocy Tłenu może zdobyć wiedzę w zupełnie nowy sposób.

Gdzieś daleko, w przyszłości, rozległo się wycie syreny.

Następnego dnia wraz z An poszła w odwiedziny do pana i pani Mack.

Musa Mack wyglądał jak każdy mieszkaniec wioski, z tym wyjątkiem, że miał wijące się rudawe włosy. Był chrześcijaninem, podobnie jak jego żona, pochodząca z daleka, z drugiej strony

Doliny, z jej zboczy tonących we mgle.

Pan Mack był typowym wioskowym Człowiekiem Zachodu, choć jego rodzina mieszkała w Dolinie od przeszło stu lat. Pił whisky, ale się nie upijał. Poruszał się obrzydliwie, był zbyt wielki. Miejscowi obserwowali go uważnie, oczekując objawienia się jakichś zdeprawowanych zachowań. Mówił za głośno.

Pan Mack zaprosił je do środka tak hałaśliwie, że obie aż skuliły się pod ciężarem tego głosu, jakby samą swą siłą mógł rzucić je na ścianę domu. Najobrzydlwsze w nim było to, że ostatnio zapuścił długą rudą brodę. Włosy porastające twarz były widowym dowodem wielkiego szczęścia, wręcz jego symbolem, ale czy ktoś byłby w stanie coś takiego pocałować?

Na ścianie wisiał portret Isy, chrześcijańskiego Boga, także posiadającego wielką brodę szczęścia. Tylko dlaczego bóg miał wspierać kocenie owiec?

Podano im herbatę, co przyjęły z ulgą. Pan Mack nadal ryczał. Mae zorientowała się, że krzyczy tak głośno, bo czuje się niepewnie. Przez całe jego życie ludzie widzieli w nim zagrożenie. Stał się tym, za co go uważano.

– To wielka rzecz. Przyniesie nam wielki świat. – Marginalizowany uwielbiał wszystko, co zagraniczne.

– Jestem przerażona – szepnęła jego żona Mariam. – Nie lubię tego czegoś, co siedzi mi w głowie.

– Pociłem się z przerażenia. – Pan Mack roześmiał się. – Ale wygląda na to, że po pewnym czasie człowiek się przyzwyczaja.

Mówiono, że materac z jego łóżka widywano na podwórku wystawiony do suszenia. Mówiono, że moczy się nocami.

Kiedy później sprawdzały odpowiedzi, okazało się, że mówiła przede wszystkim jego żona. Oboje bali się Tłenu. Oboje chcieli się nauczyć, jak go używać.

Mariam mówiła o modzie długo i szczerze. Mae bardzo żałowała, że wcześniej nie nawiązała z nią bliższych kontaktów. Myliła się w ocenie państwa Macków, jej błąd. Miała ich za niechlujnych i niezainteresowanych modą.

– Chciałabym mieć trzy dobre sukienki. Jedną białą na pogrzeby, jedną bardzo kolorową na święta i jedną bardzo dostojną na

szczęśliwe okazje i do mojego kościoła, który mogę odwiedzać tylko raz do roku.

Mae zrozumiała, że ta kobieta jest samotna.

– W zeszłym roku nie byłeś w kościele – powiedział jej mąż.

Mariam była bardzo smutna.

– To był zły rok w gospodarstwie.

– Jakiego rodzaju „dostojną”? W jakich kolorach?

– Prostą. Bardzo prostą, ale ładną, rozumie pani? Bardzo skromną, proszą, i łatwą do utrzymania, musi dobrze wyglądać po praniu. Ale myślałam, że może być biała z niebieskim, jeśli kolory będą się dobrze trzymały.

Mariam miała ściągniętą skórę twarzy. Przyciskała dłoń do serca. Biała z niebieskim? Tego jeszcze nie było. Mae widziała, jak An zapisuje ten pomysł.

Pożegnali się. Odprężony pan Mack obejmował żonę ramieniem, jakby niósł paczkę.

– Są ze sobą szczęśliwi – powiedziała An, już na ulicy.

Następnie odwiedziły rodzinę Pinów. Jak Mackowie i matka An, mieszkali oni na południe od wioski, nad rzeką.

Pinowie zmienili bagno za Lower Street w cmentarzysko samochodów. Spieczone słońcem koleiny wiły się wokół rzędów pojazdów, wyblakłych zielonych i czerwonych w kolorze rdzy. Starym taksówkom i zniszczonym furgonetkom brakowało drzwi i kół. Przechadzały się wśród nich pokryte pyłem koty i miniaturowe indyki nazywane hindisami. W barakach z falistej blachy kryły się piły, wiertła i przeróżne spawarki zwisające z dachów w radosnym zapomnieniu.

Jądrem rodu byli dwaj bracia i ich żony. Kiedy zrezygnowali z prowadzenia gospodarstwa, by zostać mechanikami, Enver Atakooloo, wiejski kowal, Karz czystej krwi, dostał ataku furii. Strzelił do starszego brata. Pin Xi przeżył. Po kątach szeptano, że żyje jak mąż nie tylko ze swoją żoną, ale też z żoną brata, by nie wspomnieć o jeszcze cichszych szeptach – z mieszkającą z nimi młodszą siostrą żony brata. Gdy się doliczyło dziesięcioro dzieci wraz z bezdomnymi krewnymi, wychodziło na to, że co najmniej dziesięćnaście osób mieszka między wrakami lub w

zabudowaniach gospodarczych przeznaczonych kiedyś dla inwentarza.

Dom było czuć brudnymi nogami i podściółką. Mały pokój reprezentacyjny oddzielało od reszty domu suszące się pranie. Pani Pin Xi ubrana była w spodnie, nosiła też fartuch we wzór z niebieskich i żółtych plam. Pięć córek przyglądało się im zza zasłony prania. Zdumione kontemplowały w milczeniu odmienioną An.

Pięciu synów Pina uważało się za mężczyzn godnych udzielania odpowiedzi na pytania gości. Siedząc na poduszkach sofy, odpowiadali na pytania natychmiast i szczerze. Tlen będzie czymś wspaniałym, chłopcy Dohów mylili się, nie trzeba koniecznie oglądać futbolu, w Tlenie można grać w mnóstwo wspaniałych gier.

Ilekoć zabrał głos ktoś z licznej jej potomstwa, pani Pin aż promieniała z dumy. Moda? Ach, tak! Potrzebuje nowego fartucha. Nie, kilku fartuchów, po jednym na każdy dzień tygodnia, żeby mogła je regularnie prać. Dobra sukienka? No tak, owszem, dobra sukienka to miła rzecz. Tylko nic specjalnego.

Zawsze to samo. „Nic specjalnego”.

Córki? „Wyjdźcie, dziewczynki, wyjdźcie już”. No i wylało się z dziewczęcych serc, wprost do An. Nie chciały wyglądać tradycyjnie. Musiały wiedzieć, co nosi reszta świata. Chociaż – tu rzut oka na ojca – dobrze byłoby pokazać światu, że tradycyjne wartości mogą być nowoczesne.

Wszystkie po kolei opowiedziały swe przeżycia podczas Testu. Mae spytała, czy się bały. Nie, odparły, nie, wcale się nie bały.

Pan i pani Pug wzruszyli ramionami.

– Jesteśmy starzy. Co my tam wiemy?

Pożegnanie: potrząsanie dłońmi i ukłony trwały dobre pół godziny. Wdowa i jej siostra panna, zachowujące do tej pory całkowite milczenie, złożyły formalne podziękowania za niezwykłą przyjemność, jaką sprawiła im ta wizyta.

An i Mae przystanąły dla rozmowy na chwiejnych deskach przykrywających błoto Marsh Street.

– One wszystkie – Mae westchnęła – potrzebują ubrań do pracy,

dobrze wyglądających i trwałych. Tanich, by mieć ich kilka i by można było często je prac. Młode kobiety pragną być „współczesne”, ale nie mają pojęcia, czym będzie ta współczesność. Chcą, żebyśmy im ją pokazały. Aha... moja epoka dekoracyjności. Podobają się im kurtki naszych mężczyzn.

An zareagowała na te słowa uśmiechem.

– Pani Chung jest bardzo mądra. Nie zauważyłam tego, ale czuję, że ma pani rację.

Mae usiadła na ławce pod „Tym Drzewem”, wywołała samą siebie, zatoneła w Tlenie.

Odpowiedzi przelatywały jej przez głowę jedna za drugą.

Kru słyszał śpiew liczb. Liczby chętnie zdradzały mu swe najskrytsze sekrety, i to te sekrety nią wstrząsnęły. Planowała kupić fartuchy, rękawice kuchenne, bluzki i codzienne buty tanio w Yeshibozkent. Kosztowałyby ją to sto dwadzieścia pięć rielsów i przyniosło mniej niż szesnaście procent zysku. Liczby zatańczyły, po czym zobaczyła wynik: by zwracać tylko dwadzieścia pięć rielsów kapitału i spłacać procent, musi zajmować się wyłącznie tym, co przynosi sto procent zysku.

Znalazła się w niemożliwej sytuacji.

Przynajmniej w przypadku najlepszych sukien nie ponosiła żadnego ryzyka. Materiały kupuje się dopiero wtedy, gdy ma się pewność sprzedaży, a przy towarach luksusowych ceny są odpowiednio wyższe. Kolejny fragment tańca. Mae wiedziała, ile dziewcząt ukończy w przyszłym roku szkołę. Ślub będzie najprawdopodobniej tylko jeden. Osiem sukien przy mniej więcej trzydziestu procentach zysku.

Nie robić nic – nie, to nie było wyjście. A więc trzeba się skupić na najlepszych sukniach. A jeśli Mae ma funkcjonować w tym biznesie, potrzebuje szwaczki. Taniej.

Wstała z ławki pod Tym Drzewem. Pora odwiedzić Hatijah Ozdemir.

\*\*\*

Hatijah siedziała zgarbiona na podłodze. Spojrzała na Mae żałośnie, miała głębokie sińce pod oczami. Jej starsza córka



siedziała równie nieruchomo jak ona, znacznie grubsza, nieustannie żałująca się pod nosem góra miękkiego ciasta. Zapomniane pranie, wyschnięte już, sztywne i pogniecione, wisiało na krawędzi skrzynki na drewno do palenia, po podłodze walały się niepomyte naczynia. Kolejne dziecko zanosilo się płaczem gdzieś na podwórku od tyłu. Mae przysięgła sobie dawno temu, że jej noga tam nie postanie. Śmierdziało, przede wszystkim ropą.

Mae musiała zadać sobie pytanie, jakim cudem tak nieszczęsne stworzenie umie wyjątkowo zręcznie szyć. Być może wkładało w szycie całe serce i nie zostawało go na nic innego?

– Jak się dziś czujesz, Hatijah? – spytała Mae, jak pyta się chorą.

– Och! – Hatijah tylko potrząsnęła głową.

– Czyżby źle?

– Wszystko przez ten strach. Pięć osób trzeba wyżywić, a my nie mamy pieniędzy. Edrema bolą stawy, więc trudno mu coś znaleźć, biedakowi. Bywa, że nie może pracować przez wiele dni.

Nigdy nie widziałam go pracującego, pomyślała Mae.

– Chciałabyś zarobić? – spytała.

Hatijah spojrzała na nią tępo, twarz miała obwisłą, pozbawioną wyrazu. Pewnie nie zechce, jeśli zarobienie jakichś pieniędzy wymagałoby wstania z podłogi, pomyślała Mae. Ta kobieta zachowywała się jak zanurzona w wodzie, zbyt zmęczona, by choćby spróbować wypłynąć na powierzchnię o własnych siłach. Nawet nie odpowiedziała.

– Pamiętasz, co powiedziałam ci w maju, przed... Testem? – Mae miała nieustanny kłopot ze znalezieniem dla tego zjawiska właściwego słowa. – Że być może będę miała dla ciebie trochę szycia?

– Tylko jeśli ja też w to wejdę. – Ktoś wtrącił się do ich rozmowy. Sezen!

Na wszystkie gwiazdy na niebie, Sezen była odmieniona nie do poznania. Dziewczyna miała na sobie brudne spodnie i starą czarną skórzaną kurtkę. Nie było w niej nic z ogłady, pogody ducha, wdzięku. Mae poczuła się pewniej.

– A co byś wniosła?

– Siebie.

– Nic nie umiesz. Twoja matka przynajmniej szyje. Byłabyś tylko ciężarem.

– Więc matka pani nie pomoże.

Twarz Sezen zaokrągliła się. Pokrywały ją cętki. Włosy miała niedbale ścięte tak, by nie opadały na oczy. Ręce trzymała w kieszeniach. Nawet stała inaczej, przechylona na bok, z wysuniętym biodrem. Całym ciałem rzucała wyzwanie.

A Hatijah tylko gapiała się przed siebie.

– W porządku. – Mae wzruszyła ramionami. – Jeśli to dom, w którym córka rządzi matką. Twój młodszy brat płacze z głodu, nie macie żadnych ubrań. Poszukajcie pieniędzy gdzie indziej. – Wstała, szykując się do wyjścia.

– Mogę pani mówić, jakie stroje przygotowywać. – Sezen nie spuszczała z niej spojrzenia.

Mae przyjrzała się jej spodniom i kurtce.

– Chyba jakie stroje wyciągać ze śmieci?

Okręgåł głowa Sezen zachwiała się na chudej szyjce.

– Jeśli to jedyne miejsce, gdzie mogę je znaleźć – powiedziała i rzuciła wyzwanie. – Proszę posłuchać, chce pani robić ubrania dla starych kobiet. Na co zameźnej kobiecie najlepsza sukienka? Mogę pani powiedzieć, kto najbardziej interesuje się ubraniami. Młodzi w moim wieku. A my nie chcemy tego, co pani nam daje.

Mae zamarła. Doznała doskonale jej znajomego uczucia towarzyszącego pojawiającej się nieoczekiwanie prawdzie.

– Oglądamy telewizję. Nie chcemy wyglądać jak wieśniacy. Nie chcemy wyglądać modnie. Chcemy wyglądać tak.

Miała ze sobą szkolny zeszyt przywiązany sznurkiem do podstawki. Otworzyła go i przycisnęła, by sam się nie zamykał. Zrobiła to powoli, nie odrywając wzroku od Mae, jakby właśnie prezentowała jej coś niezwykłego.

Zamiast się uczyć, dziewczyna rysowała.

Rysowała samą siebie taką, jaką się widziała. Jej Sezen miała długie, troskliwie ułożone w fale czarne gęste włosy, ubrana zaś była w obciste czarne dzinsy i bluzkę z szerokimi rękawami zebranymi w ciasny mankiet. Mae uczyniła taki gest, jakby

chciała odebrać jej zeszyt, przyjrzeć mu się bliżej.

– Ach! – Dziewczyna chwyciła go, a jej wzrok mówił: „Nie ukradniesz mi tego, co moje, ekspertko moda”.

Mae tylko pokręciła głową.

– I co z tego? Dżinsy i bufiaste rękawy. To ma być coś nowego? Wiele dziewcząt marnuje czas na rysowanie mody. Nie ma w tym nic wyjątkowego.

Sezen przewróciła oczami, manifestując irytację. Ślepcy nie widzą, jakież to denerwujące! Po czym wyciągnęła rękę, by pokazać jeszcze jeden rysunek, ostatni. Miała na nim krótkie, gładkie włosy wystrzyżone w kończące się szpicem pasemka. To była Sezen z jej marzeń. Wyglądała jak chuliganka, cała w czerni. Prezentowała niegrzeczną modę, modę dla niegrzecznych młodych ludzi, a Mae sama wiedziała już, w tej chwili, że gdyby mieli szansę, młodzi ludzie kupowaliby właśnie to.

– No i...? Zaczyna pani rozumieć?

– Dziewczynom muzułmankom nie pozwolą tego włożyć.

– Ha! – prychnęła Sezen z pogardą. – One są najgorsze! Co noszą pod tymi swoimi szatami, to tylko ich interes. Czego nie noszą, czasami nie tylko ich.

Mae zastanawiała się chwilę. Finansowo to nie było to, co sobie zaplanowała.

– W tym, co mówisz, jest coś z prawdy – przyznała – ale ja nie lubię, kiedy mi się grozi, i nie podoba mi się, jak rządysz matką.

Wzruszyła ramionami, pożegnała się i wyszła. Była już na ulicy, kiedy zmienił się szum powietrza wokół niej, a kątem oka zobaczyła czarną plamę. Sezen wybiegła za nią, choć nic na to nie wskazywało.

– Założę własny biznes – powiedziała.

I tak sam ci się weźmie? Znikąd? Mae westchnęła ciężko, zatrzymała się, przyjrzała dziewczynie, budzącej jednocześnie współczucie i niechęć.

– Twoja pozycja przetargowa jest żadna – powiedziała głośno. – Naprawdę tego nie rozumiesz, dziecko?

Sezen milczała, ale patrzyła na nią cały czas bez mrugnięcia. Widać było, że jest zdeterminowana. Głowa dziwnie drżała na jej

szy. Usta też jej drżały, cały czas, nieznacznie, lecz wyraźnie.

– Matka jest beznadziejna – powiedziała w końcu. – Ojciec też.

– Okaż im trochę szacunku – upomniała ją Mae, choć dziewczyna powiedziała oczywiście prawdę.

– Ja muszę robić wszystko. Matka tylko tak siedzi, jak pani widziała.

– Ale niewiele robisz, prawda? Sezen, waszego domu możesz się tylko wstydzić. Na twoim miejscu nie chwaliłabym się, że go prowadzę.

– Nie możecie się ode mnie odczepić? – Dziewczyna nagle straciła panowanie nad sobą. Zaczęła krzyczeć. – Dajcie mi spokój! Wszyscy wiecznie się mnie czepiacie!

– To dlatego, że zachowujesz się odpychająco nieuprzejmie.

– Nienawidzę zajmować się domem. Wszystko inne, byle nie to! Będę ciężko pracowała. No i wiem, czego potrzebują młode dziewczyny. Pani patrzy, proszę!

Potrząsała czerwonym zeszytem przed jej oczami. Mae wzięła go, tym razem bez oporu, i włożyła pod pachę. Kru aż buzował jej w głowie. Liczyła.

– Przyjrę się rysunkom, Sezen, ale problem z dziewczętami w twoim wieku jest taki, że nie mają pieniędzy. Ich matki wydadzą na ubranie może pięć rielsów. A dziewczyny? Jeden? Dwa? – Pokręciła z powątpiewaniem głową.

– Dwa rielsy – powtórzyła Sezen. Policzyła na palcach: – Sześć kompletów. Na rynku za czarny džins zapłaci pani pięć rielsów. Matka szyje, ja sprzedaję dziewczynom. Zarabiamy wszyscy.

– Nie mogę się doliczyć sześciu kompletów.

– Mój chłopak mieszka niżej na zboczach. Mam motocykl. W okolicy jest wielu młodych ludzi, nawet nie zdaje pani sobie sprawy z tego, jak wielu. O jednej dziewczynie nie wie pani nic. – Sezen zrobiła efektowną pauzę. – O An – dokończyła.

To uciszyło Mae. A mała spryciara nie cichła.

– Widzi pani? Pani tak przydatny mały Talent też bardzo pragnie się tak ubierać.

– Pomyślę o tym, Sezen.

– Sześć kompletów... to dwanaście rielsów... siedem rielsów

zysku. Dla mnie jeden, jeden dla matki, jeden dla chłopaka... dla pani zostają cztery!

– Ale muszę wydać pięć na materiał. – Mae znów pokręciła głową. – Musisz postarać się bardziej. Na nic się nie godzę, rozumiesz? Na nic. Zamierzam tylko sprawdzić, czy ten pomysł nie kłóci się z moim biznesplanem.

– Oczywiście, że się nie kłóci!

Mae odeszła, kręcąc głową.

A jednak...

To, co Sezen powiedziała o młodych ludziach pragnących czegoś innego, było niewątpliwie prawdą. Nowa linia „najlepszych strojów” nie była wcale złym pomysłem.

Z Kru wypączkowała informacja. „Możesz być sklepem wielobranżowym, handlować tanim, standardowym towarem. Możesz się też wyspecjalizować. Jeśli się wyspecjalizujesz, musisz zwiększać geograficzny zasięg firmy”.

Jeśli zdołam sprzedawać, co najlepsze, w tej wiosce i w sąsiedniej, tak... to wcale nie będzie źle. Może rzeczywiście potrzebny mi będzie motocykl.

Mąż Sunni ogłosił w wiosce, że on też sprowadza telewizor.

– I widzisz, żono? Twoja przyjaciółka Kwan ma rywala – oznajmił Joe radośnie. Właśnie skończył załatwiać interesy w Herbaciarni. „Załatwianie interesów” oznaczało picie herbaty i grę w szachy aż do kolacji.

Mae nalewała zupę do misek Siao i starego pana Chunga. Zastanowiła się i powiedziała:

– Nie wiem, skąd przyszło ci do głowy to słowo, „rywal”.

– Phi! Nie udawaj mi tu niewiniątka. Wiesz, że Wingowie i Haseemowie są rywalami.

– Rywalami w kradzieżach gospodarstw sąsiadów – burknął pochylony nad miską Siao.

Joe odwrócił się gwałtownie w jego stronę, jak ukłuty, ale w końcu uznał, że to jednak słowa poparcia.

– Tak, żono. Twoja przyjaciółka Kwan nie jest ani gorsza, ani lepsza od Faysala Haseema.

Mae postawiła przed nim zupę.

– Ale Wingom nie jesteśmy winni pieniędzy – zauważyła.

– Haseem może korzystać z telewizora tylko z konta Winga – zauważył Siao. – Zapłaci za używanie go, to działa jak prawo wodne. Wing wzbogaci się jego kosztem. Co oznacza, że jest mądrzejszy.

Siao był dziwnym człowiekiem. Jakimś cudem wiedział znacznie więcej od Joego. Mae już dawno zauważyła, że to on wykonuje wszystkie prace, że co rano o świcie wychodzi ze starym panem Chungiem do roboty, do murarki. To on prowadził rozliczenia w gospodarstwie. Dlaczego zadowalało go spanie na strychu?

Bez wątpienia dwa telewizory we wsi to już była sensacja. Mae i An, przechodząc z wywiadu na wywiad, rozmawiały o tym po drodze. Co pan Haseem zyska na posiadaniu telewizora? Pozycja

społeczna tak, owszem, ale jak można przetworzyć ją na pieniądze? Sam pan Haseem potrafiłby zarobić na telewizji, tylko każąc sobie płacić za jej oglądanie, a skoro pan Wing tego nie robił, on też nie mógł.

O północy Mae poszła do Kwan, by popracować, korzystając z jej telewizora. Uczyła się pakietu finansowo-księgowego. Uznała, że telewizor to znakomita rzecz, jeśli długo nie wchodzisz w Sieć.

Okazało się, że pan Doh, pan Ali i pan Ho oglądają thriller policyjny. Komputerowy system obserwacji właśnie ujawniał tożsamość członków gangu handlarzy narkotyków. Mae pomyślała, że ludzie pozostali wierni Wingom. W takim razie kto ogląda telewizję u Sunni?

Kwan też o tym myślała. Częstowała obecnych herbatą, jak gości. Nie robiła tego od wielu dni. Mae, pragnąc okazać jej poparcie, zaczęła zbierać zużyte kubki, za co otrzymała nagrodę w postaci ślicznego uśmiechu.

Rozmawiały, zmywając naczynia w plastikowej misce, która w gospodarstwie Kwan pełniła rolę kuchennego zlewu.

– Ciekawe, jakie to horrory pan Sunni pokazuje w swoim telewizorze?

– Zapewne horrory przejmowania całych wiosek – odparła Kwan.

– Moim zdaniem chce być tu u nas dyktatorem. Takim jak w bardzo dawnych czasach. Chce, żebyśmy wszyscy na niego pracowali. Gdybyś miała córki, spróbowałby ożenić z nimi któregoś ze swych synów. By stworzyć sojusz polityczny.

Kwan aż zgięła się w pół, tak bardzo, choć cicho, się śmiała. W zmrużonych oczach Mae też błyszczały iskierki wesołości.

– Pewnie myśli, że on ma męski telewizor, a wy macie kobiecy.

Kwan musiała odstawić kubek, by móc śmiać się tak szczerze, jak pragnęła się śmiać.

– Szanowna pani porosła ostatnio kolcami jak głóg.

– Nienawidzę męża Sunni – przyznała Mae, wzruszając ramionami. – Żałuję, że go nie zabiłam.

– To będzie bardzo interesujące, ty przeprowadzająca z nim wywiad dla potrzeb Mapy Pytań.

– Ależ wręcz przeciwnie, bardzo się na to cieszę. Nie mogę się doczekać, kiedy zaczniesz pokazywać te swoje sztuczki.

Kwan nadal się uśmiechała, ale też nagle, choć łagodnie, przycisnęła czubek nosa Mae.

– Tylko nie przesadz z pewnością siebie, Mae.

– Zdaje się, że mam więcej niż jednego wroga.

– Shen – powiedziała Kwan głosem, który nagle stał się kwaśny.

– Nie potrafię pogodzić się ze zmianą, jaka zaszła w tym człowieku.

– Z nim też muszę porozmawiać.

Mae westchnęła. Zorientowała się, że w tej chwili robi już więcej niż tylko kreślenie Mapy. Buduje partię. Zorientowała się też, że, przynajmniej do pewnego stopnia, jest to partia pana Winga.

\*\*\*

Joe dowiedział się skądś o możliwości pracy na budowie w Balshang. Dojazd na miejsce miał trwać trzy dni. On sam, Siao, stary pan Chung i pan Doh mogli pojechać furgonetką pana Haseema do Yeshibozkent, gdzie zbierała się grupa robotników. Mieli wyruszyć jeszcze tego dnia, bez zwłoki.

– To wielka okazja – powiedział Joe. – Budują całe centrum przemysłowe, wiele budynków. Na najętych właśnie teraz robotników czeka tam cały obóz.

– Ile płacą? – zainteresowała się Mae.

Joe westchnął ciężko, perspektywa wyjazdu bardzo go stresowała.

– Nie wiem – przyznał.

– No to mężczyźni zewsząd zjadą się tam, żeby coś zarobić.

– Ale pan Doh mówi, że to na zlecenie rządu, więc starają się rozciągnąć je na cały kraj. Kto wie? Jest szansa, a to i tak lepiej niż siedzieć tutaj.

Mae była bardzo zadowolona, wywnioskowała, że jej mąż zaczął wreszcie pojmować, w jakiej sytuacji naprawdę się znaleźli.

– Zapakuję ci jedzenie i koszule – powiedziała. Tak postępuje każda troskliwa żona.

Joe skinął głową, raz, dając do zrozumienia, że takie jest



właściwe postępowanie, a potem zaciągnął się dymem z cienkiego papierosa. Mae składała koszule. Nawet gdyby miał zarobić cztery rielsy w tygodniu, to i tak cztery tygodnie dają szesnaście rielsów. Jeśli Siao i stary pan Chung też tyle zarobią, skończą się ich problemy. Nawet biorąc pod uwagę stratę drobnych, przypadkowych zajęć, zyskają trzydzieści dwa rielsy.

Siao rzucił jeszcze okiem na rachunki gospodarstwa, a potem na Mae.

– Rychło w czas, co? – spytał.

Skinęła głową. Wiedziała, że oczy jej błyszczą.

Furgonetka pana Haseema zatrzymała się przed ich bramą. Zatrąbiła. Mae nie chciała, by ten człowiek ją widział, wcisnęła więc jedzenie i trzciniowe pudełko z ubraniami w ręce Joego.

– Żegnaj, mężu, pozostań w dobrym zdrowiu, odwagi, wracaj bogato... – Słowa płynęły z jej ust automatyczne jak kichnięcia.

A potem nastąpiła chwila milczenia. Joe patrzył na nią, chciał więcej. Byli kiedyś młodymi kochankami, urodziła mu trójkę dzieci. Przyciągnął ją i pocałował, a ona przytuliła się do niego, przyłożyła policzek do policzka męża. Kiedy wyjedzie, wreszcie będzie wolna. Siao zawołał brata już zza bramy. Klakson odezwał się znowu.

– Idź już – powiedziała Mae – albo twój dobry przyjaciel zostawi cię na lodzie.

W jej oczach zabłysły niechciane łzy. W sam czas, upewniła się, że Joe je widzi. Była w nich odrobina strachu, zostawała przecież sama, i odrobina żalu, bo przecież Joe był stałym elementem gospodarstwa.

– Zobaczę Lunga i naszą córkę – powiedział Joe. – Przywiozę wiadomości. – Joe uwielbiał swego atletycznego, awansującego syna żołnierza.

– To będzie ze wszystkiego najlepsze. Idź już, idź.

Joe uśmiechnął się, jakby znów był chłopcem. Wybiegł z domu, pomachał jej jeszcze od bramy.

On sądzi, że ja go kocham, pomyślała Mae. Jego zdaniem najważniejsze jest to, że jesteśmy małżeństwem. Przypomniała sobie męża jako szesnastolatka, przystojnego chłopaka

rzządzającego wiejską młodzieżą.

Joe nigdy nie dorósł. Usłyszała trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Mężczyźni krzyczeli coś radośnie, entuzjastycznie. Pamiętała Joego z wybrylantowanymi włosami, z wykałaczką w ustach i skradzionymi symbolami marek i modeli samochodów przypiętymi do kurtki na plecach. Usłyszała wycie silnika furgonetki zjeżdżającej stromą górską drogą.

A potem słuchała dźwięku samotności. Dźwięku unoszącego się w powietrzu pyłu. Dom pana Kena stał tam, gdzie zawsze, a w domu był on, jak zawsze – zawsze obecny, zawsze bliski za drzwiami, które mogły zarówno otwierać się, jak i ukrywać.

Mae ruszyła pod siebie, nie zdając sobie sprawy z tego, że idzie. Muszę wyjść na pola, pomyślała, najpóźniej po południu, inaczej ludzie zaczną gadać. Ale teraz ciągle była pora lunchu. W szkole pana Shena drzemią dzieci, matka pana Kena zapewne śpi przed powrotem do pracy w polu. A nawet jeśli nie, zawsze może powiedzieć: „Kto oczyści panu ogród z chwastów, panie Ken? Ja i inne kobiety ze wsi chętnie pomożemy”.

Weszła do kuchni pana Kena. Pan Ken popijał zupę, to było jego późne śniadanie. Podniósł wzrok. Jego twarz lśniła od potu, pracował, odchwaszczając swe pola.

– Joe wyjechał – powiedziała Mae cicho. – Jego brat także.

– Przyjdę – obiecał pan Ken.

Wracała do domu, drząc na całym ciele, jej ciało było jak furgonetka pana Haseema zjeżdżająca z gór wyboistą drogą. Przecież to szaleństwo, jeśli ktoś przyjdzie z wizytą, będzie wiedział. Przypięła zasłony okienne, zasunęła ciężkie zasłony „od wiatru” na drzwiach. Zdjęła kapelusz chroniący przed słońcem, sweter, fartuch do zbierania kompostu i ubrudzone robocze chodaki. Wcisnęła je pod łóżko. Niewidoczne będą mówić dobitnie: „Nikogo nie ma”. Wszystko razem będzie mówić: „Pani Chung wyszła do pracy”. Tylko jak, w takim razie, zaciągnęła zasłony na drzwiach?

Rozsunęła je. Położyła się na łóżku pachnącym Joem. Pachnie Joem, ale wkrótce zapachnie panem Kenem. Sama ta myśl poluzowała jej napięte mięśnie brzucha. Dziś będę zasypiać,

czując jego zapach.

Usłyszała stuk zasuwki. Przestała oddychać. Nie usłyszała swojego imienia. Zasuwka wróciła na miejsce. Mocno bijące serce wyrывało się jej z piersi. Przecież to szaleństwo, jeśli to nie on, jak się wytłumaczy? Powiem, że za długo byłam na słońcu i teraz źle się czuję.

Zasłona jej wnętrza rozsunała się ze stukaniem plastikowych kółek.

To był on. Uśmiechał się. I nie lśnił od potu. Wziął kąpiel.

Pod roboczym kombinezonem był nagi. Odrzucił kombinezon niedbale, położył się obok niej i na niej. Skórę miał cudowną, doskonałą, jak morela.

\*\*\*

Następnego dnia Mae wyszła na ziemię męża.

Chungowie mieli jedno poletko ryżowe w dolinie i dwa długie pola terasowe wysoko w górach. Mae zaniedbała je zaraz po zasadzeniu sadzonek ryżu. Między zielonymi kiełkami ryżu i cebuli wyrastały dziki szczaw i powój.

Rozpoczęła długą wspinaczkę stromą wydeptaną ścieżką. Jaskółki uwijały się wokół niej, chwytając w locie smakowite owady. Terasy wręcz wibrowały od pieśni świerszczy. Woda w kałużach była ciepła jak zupa.

Powietrze ciążyło nad jej polem, gorące, nieruchome, tak ciężkie, że aż dusiło. Drżało od upału i można było odnieść wrażenie, że tańczy. Wydawało się, że tylko krążące wysoko kanie cieszą się chłodem.

Mae wzięła się do pielienia. Wkrótce rozboleły ją plecy. Na ziemię padały krople potu i krople łez. Ten wspaniały ryż, pomyślała, zakonserwuje się w mojej własnej soli.

Nogi w chodakach przy każdym ruchu zapadały się głęboko w kremową ziemię. Błoto wsysało ją, więziło jak ramiona kochanka. Wysoki, szeroki kapelusz ocieniał jej kark, ramiona, nawet ręce, prawie do dłoni, nie był jednak w stanie powstrzymać much i małych muszek. Przylećcie, przyjaciółki jaskółki, czeka was ucztą, oswobodźcie mnie od owadów. Próbowwała odstraszyć je, machała rękami, ale powracały, drażniły, przyklejały się do skóry, która

była jak gotowany ryż, lepka i parująca.

Mae wyprostowała się. Daleko w dole, już na równym terenie, widziała plamy zieleni ryżowych pól. Promienie słońca odbijały się od plam wody jak od luster. A dalej, znacznie dalej, niewyraźne, tracące kształt w oślepiającym słońcu, wznosiły się beżowe, żółte i zielone odległe góry.

Czy tak było za pani czasów, stara pani Tung?

– Nie – przemówił głos niczym szum wiatru.

Mae poczuła szarpnięcie. Upadła. Mała. Świat zapadał się wokół niej, jakby spuszczano z niego powietrze. Była gdzieś... gdzie indziej.

Mała panienka Hu oderwała się od ziemi. Wzleciała ponad kałuże, trzymając się potężnego drewnianego drąga. Było to ramię pompy przesyłającej wodę po zboczach, w górę.

Panienka Hu wisiała przez chwilę między niebem a ziemią, chichocząc trochę ze strachu, ale bardziej z zachwytu. Chłopcy siedzieli na drugim końcu ramienia pompy, jedna wielka kula wyschniętego błota. Panienka Hu odetchnęła głęboko, puściła się i spadła na ziemię. Serce podeszło jej do gardła, zaczęło dusić, ale ziemia przyjęła ją niczym matka, mokrym miękkim uściskiem. Dziewczyna wstała. Brudna jak oni krzyknęła do chłopców z wielkiej tryumfalnej radości. Podskakiwała, przyskajac błotem, nic ją przecież nie obchodziło stare ubranie do pracy na ryżowych polach.

– Jeszcze raz! Jeszcze raz! – krzyknęła do chłopców.

Chłopcy opuścili ramię, a ona znów wzleciała ku niebu. Rozejrzała się po dolinie.

Wzdłuż zbocza stały rzędy pomp, pochylających łby wdzięcznie jak ptaki na bagnisku. Na dole, u stóp zbocza, nie było ani szkoły, ani meczetu. Terasowe pola otulały górę naprzeciw warstwami, jak cebulę. Wspinały się stopniami ku szczytowi, zielone, żyzne, wprost ku wiosce Aynalar. Jej główna ulica wiła się pomiędzy wysokimi, eleganckimi kamiennymi budynkami o bielonych wapnem ścianach i witrażach w oknach. Widać było kopułę i minaret.

Hu Ai-ling przyglądała się wiosce z tęsknotą. Obiecała sobie, że

pewnego dnia w niej zamieszka.

Mała dziewczynka znikła, Mae wynurzyła się z przeszłości.

Spojrzała przed siebie, mrugając szybko. Wzgórze, które widziała przed chwilą, teraz było jednolicie brązowe i gładkie, masa zbitych kamieni. Gdyby się skupić, na kamiennej ścianie byłoby widać ślady, zaledwie ślady, po tym, co było tu przedtem. Powódź spłukiwała terasy jedną po drugiej, jedną na drugą, aż zniszczyła wszystkie. Znikła cała ściana doliny. Rana zagoiła się, została blizna. Zbocze, niegdyś pokryte zielenią, teraz patrzyło na nią oczami ślepeca.

Mae pamiętała starą panią Tung. Siedziała przy oknie strychu z twarzą obróconą na dolinę, wystawioną na wiatr, ślepią. Patrzyła na Aynalar, jakby ta wioska nadal dla niej istniała.

To trochę przerażające, pomyślała. Nie, to naprawdę przerażające, że świat może tak sobie wzruszyć ramionami, od czego nagle pojawia się przeszłość albo przyszłość. Jakbym była chora na głowę.

Nikt nie uprzedzał, że coś takiego może się zdarzyć. Nie uprzedzał, że będzie się wyprawiało w przeszłość. Nikt nie uprzedzał, że umarli przyjaciele pozostaną przy twym boku. Nie rozumieli, czym jest Tlen. Mae poczuła na skórze zimny powiew wiatru, jak strach.

– Gdzie to jest? – spytała pani Tung.

\*\*\*

Mae wracała do domu z jednym marzeniem: chciała spokojnie pomyśleć. Ale w kuchni czekał już na nią jej brat, Wang Ju-mei.

– Dzień dobry, siostró – powiedział. Był ubrany w letni kremowy garnitur.

– Witaj, bracie. Dziękuję ci za odwiedziny. – Mae uśmiechnęła się szeroko.

Dziękuję, że przyszedłeś w porze, kiedy będę musiała poczęstować cię lunchem. Dziękuję, że przyszedłeś w porze, w której chciałabym umyć się, ale nie będę mogła. Dziękuję, że próbujesz, jak zawsze, zaznaczyć, że dom Joego jest w jakiś sposób twoim domem.

- Czy napijesz się czegoś, bracie?
- Herbaty, jeśli jesteś taka uprzejma.

Mae postawiła czajnik na ogniu. Nie, pomyślała, nie dam sobie odebrać kąpieli. Zebrała świeże ubranie, przerzuciła je przez ramię.

- Nie przeszkodzi ci, bracie, że się umyję? - spytała głosem małej dziewczynki.

Czy wolisz, żebym stała nad tobą, aż mój pot będzie ci kapał do lunchu.

Ju-mei machnął ręką, jakby nie miało to żadnego znaczenia. Nadmiar sprzecznych uczuć odebrał mu głos. Jeśli woda się zagotuje i zechce sam sobie zaparzyć herbatę, proszę bardzo.

Mój brat. Chce tego domu. Nie może pogodzić się z faktem, że ten dom nigdy nie będzie jego. Handluje zbożem, sprzedaje ubezpieczenia, nosi garnitur, jego cień musi padać szeroko.

W wielkim gniewie szarpnęła zasłonę odgradzającą wąskie przejście łączące dwa domy. Krzywiąc się, ściągnęła przepoconą podkoszulkę. Kąpiel straciła nagle cały urok. Musiała pomyśleć.

Oblała się zimną wodą z beczki z deszczówką.

Ju-mei spróbuje otoczyć mnie opieką, a może nawet, jako przyzwoitka, zechce zmusić mnie, bym zamieszkała u niego. Nie, o tym nie ma mowy. Ale uzna też, że może mnie odwiedzać, gdy tylko przyjdzie mu ochota. Joe wie, o co mu chodzi, i dlatego braciszek nigdy nie wpada z odwiedzinami, kiedy mój mąż jest w domu. Ale, o Boże, przecież teraz będzie tu dzień i noc, razem z żoną i tym ich nowym dzieckiem, i żona pewnie zaraz zacznie prosić, żebym mu zmieniła pieluchę! Przyprorowadzi matkę, zostawi ją i powie, że teraz moja kolej, żeby się nią opiekować.

A ja chcę spać w ramionach Kena Kuei.

Muszę zachować się na tyle nieuprzejmie, by odszedł i nie zechciał wrócić.

Życiowe konieczności mają na człowieka błogosławiony wpływ. Uspokajają.

Muszę powiedzieć mu otwarcie, bez owijania w bawełnę, co o tym wszystkim myślę. Muszę mu to powiedzieć w sposób, w który zawsze chciałam mu to powiedzieć. Na tę myśl aż się

uśmiechnęła. Powiem mu, co naprawdę czuję. Jestem żoną wieśniaka, przyzwyczajoną do gospodarstwa i twardej chłopskiej rzeczywistości. Kremowe garnitury nie są przed nią żadną osłoną.

Mae wróciła do domu. Uśmiechała się na myśl o tym, co miało nastąpić. Ju-mei siedział i gapił się na czajnik, w którym woda zdążyła się już zagotować.

– Ha, ha, ha, wy mężczyźni. Gapicie się na wrzącą wodę. Nie potrafisz zaparzyć sobie herbaty?

Jej bratu odebrało głos.

– Obiecano... obiecano poczęstować mnie herbatą – wykrztusił.

– To prawda. – Mae energicznie wycierała włosy. – Herbata jest tam. – Wyciągnęła rękę, wskazując ceramiczną skrzynkę, w której suszyły się liście. Wrzuciła brudne ubrania do wiklinowego kosza. – Mam nadzieję, bracie, że nie odwiedziłeś mnie z nadzieją na domowy lunch. Mam umówione spotkania. – Uśmiechnęła się szeroko. Własne zęby nigdy nie wydawały się jej tak szerokie.

Udało się jej kompletnie zbić brata z tropu. Nic nie szło tak, ja się tego spodziewał.

– Zachowujesz się zuchwale, Mae.

– Zuchwale? Odwiedzić sąsiadów, których znam całe życie, cóż w tym jest zuchwałego? Zuchwałe to są te twoje perfumy! Uch! Pachniesz kobietą mocnej od moich klientek. – Zasunęła zasłonę. Musiała przebrać się w strój Talentu. – Powiem ci, co jeszcze jest zuchwałe: odwiedzić dom innego mężczyzny w kilka chwil po jego wyjeździe i spodziewać się lunchu. Żona już dla ciebie nie gotuje?

– Jesteś teraz samotną kobietą.

– Nie. Nie jestem samotną kobietą. Zawsze pracuję wspólnie z panną An, więc nie potrzebuję przyzwoitki. I z pewnością nie potrzebuję przyzwoitki w domu mojego męża. – Mae wyglądała bardzo skromnie w sukience w serca, więc mogła już rozsunąć zasłony. Bardzo chciała zobaczyć twarz brata, obwisłą ze zdumienia. Włożyła buty Talentu. – I nie ma sensu próbować zawłaszczyc sobie jakiegoś prawa do tego domu. Jeśli umrze Joe, odziedziczy go Siao. Jeśli umrze Siao, odziedziczy go stary pan

Chung. Każdy z nich może się ożenić i wówczas nigdy nie wpadnie on w ręce Wangów.

Ju-mei drżał już na całym ciele.

– Mae! Jesteś niemożliwa! Odwiedziłem cię jak brat siostrę!

– Wiem. – Mae strzepnęła kurtkę męża tak, by móc łatwo wsunąć ramiona w rękawy. – Doskonale wiem, co to znaczy. Ju-mei, jeśli ja coś dostanę, ty natychmiast musisz to mieć. Jest tak od dawna, jak daleko sięgnę pamięcią. Chcesz też członka mojego męża? Chcesz odziedziczyć ten dom? Mógłbyś, gdybyś pozwolił Joemu się wypieprzyć. – Prychnęła. Nie ukrywała, że zamierza wyjść. – Wam obu pewnie bardzo by się to podobało.

Krew odpłynęła z twarzy jej brata. Wstał nagle niczym kaleka, drżący, chwiejący się na nogach, macający niezdarnie w poszukiwaniu laski.

– Nie wiem, co cię napadło. Mówisz jak wieśniaczka. Jak prosta chłopka! – Ju-mei stał już bezpiecznie przy drzwiach.

– Bo jestem prostą chłopką.

– Przyszedłem... przyszedłem zaoferować, że spłacę wasz dług.

– Wiedziałam! Wiedziałam! – krzyknęła Mae tryumfalnie. – Taki sposób wymyśliłeś sobie, żeby przejąć gospodarstwo!

Jej podstępny mały braciszek. Twarz mu obwiśla, na ten widok musiała się roześmiać. Ujęła brata za ramię, wyprowadziła go z domu.

– No chodź, braciszku – przemawiała. – Nic się nie stało, nie jest tak źle, wszystkie nasze kłótnie kończyły się w ten sposób, tylko tym razem nie dopuściłam do kłótni.

Przypomniała sobie o czajniku. Podbiegła, zdjęła go z ognia, a kiedy się odwróciła, brat już znikł.

\*\*\*

Przez kilka tygodni każdy jej następny dzień był podobny do poprzedniego. Wczesnym rankiem Mae wykonywała obowiązki domowe, do południa pracowała w polu. W porze lunchu lub później udawało się jej czasem poświęcić kilka chwil panu Kenowi. Późnym popołudniem wraz z An i Mapą Pytań odwiedzała sąsiadów i piła herbatę do późnego wieczora. A po



odprowadzeniu dziewczyny do domu uczyła się operowania telewizorem. Odkryła, że może za jego pomocą dokonywać setek przeróżnych rzeczy. Mogła używać telewizji do sprzedaży i do lokowania produktu w Market Call. Mogła za jego pomocą prowadzić rozmowy telefoniczne w czasie rzeczywistym lub zostawiać wiadomości poczty głosowej. Za rok powinna już umieć przekazywać materiały w formie Tlenowania.

Tlenowanie przypominało film, ale film przeniesiony na Format. Następnie można było przesyłać je bezpośrednio do głowy odbiorcy. Pojawia się więc z pewnością tlenowe wersje filmów. I tlenowe wersje reklam. A jeśli przyglądało się im długo i dokładnie, widać było, że reklamy te mają coś, co nazywa się Ochroną Prywatności. Mae zaczęła się zastanawiać, jak można to zrobić w Tlenie. Kiedy wszystko dzieje się w ludzkiej głowie. Spróbowała kupić w sieci bele materiałów. Ale do tego potrzebne jej być coś nazywanego Kartą Wiarygodności. A naprawdę łatwo było dokonać transakcji Inteligentną Kartą.

Kwan rozmasowała jej plecy.

– Ten świat, tam, zrobił się większy – powiedziała. – Istnieją dwa światy. Jeden się widzi, drugi ludzie musieli wyprodukować, i to on jest większy od prawdziwego. Nazywają go „Info”.

W tym momencie Mae poczuła żądzę. Żądzę stania się częścią tego świata, żądzę poznania mechanizmów jego działania, poznania, jak Sieć i Tlen dodają mu skrzydeł. Z żądzą graniczącą wręcz z rozpaczą chciała być pierwsza, wiedzieć wszystko, zostać panią jego sekretów.

Będę się uczyć, obiecała sobie. Kwan wyjdzie, by spędzić noc we własnym łóżku, a ja będę się uczyć i uczyć, i uczyć, jak działa system księgowy. Pytałam nie o to, o co należało pytać, maszyna nie reagowała czasami na źle sformułowane zdania. Mae zapomniała, czym są „wzory”, jeśli nie dotyczyły mody, i jak się do nich zabrać, wiedziała tylko, że dzięki nim liczby same się dodają. Przez głowę przeleciała jej myśl o Siao, bracie Joego. Ciekawe, co on miałby na ten temat do powiedzenia.

Nauczyła się już, że może zapisywać obrazy z Sieci albo z filmu. Nauczyła się, że może zmieniać ich kolor. Nauczyła się, że może

używać malutkiej kamerki, nagrywać nią rzeczywisty świat i zmieniać go. A przede wszystkim dowiedziała się, że nie musi się już uczyć czytać i pisać.

O trzeciej nad ranem, z trudem stawiając krok za krokiem, wróci do domu tak spocona, jakby i w nocy pielęła pola ryżowe. Być może w drzwi będzie włożony liścik napisany pismem matki: „Twoja mama chciała się z Tobą zobaczyć. Zastanawiała się, gdzie jej córka spędza czas, i chciała spytać, czy nie będziesz łaskawa jej odwiedzić”. Obieca sobie, że złoży jej odwiedziny. Gdy tylko znajdzie chwilę czasu. Padnie na łóżko. W jej łóżku, być może, będzie spał pan Ken, cicho pochrapując. Być może go pocałuje.

Ale częściej spała sama. Pachnącą nim poduszkę wkładała sobie między nogi.

Być może będzie śnić, zawsze o przeszłości. O pięknych ciasteczkach „na dziękuję”, niedoręczonych, szczerstwiałych. Albo o cennej sukience, zapomnianej po praniu na sznurku, spłowiałej od słońca. Uczucie niepokoju pozostanie z nią do rana, gdy wstanie i gdy zacznie się kolejny upalny dzień.

Sezon modowy miał się zacząć dopiero po żniwach, w październiku. Do tego czasu dowie się, ile przywiozą Joe i Siao. I dopiero wówczas będzie musiała zdecydować, co robić ze swym biznesem.

Mae myślała, że robi wszystko, co może.

\*\*\*

A potem Sunni założyła swój własny biznes.

Mae przyszła na rozmowę do Kosalów.

– Och, pani Haseem właśnie od nas wyszła. Zadawała nam identyczne pytania – powiedziała pani Kosal. – Proszę, nawet zostawiła ulotkę.

Przyniosła ulotkę. Zaprezentowała ją, patrząc na gościa niezbyt przyjaźnie. Mae poczuła mdłości. Zdarzyło się coś, czego najbardziej się obawiała. Wróg ukradł jej wiedzę i jej pomysły, nim zdążyła ułożyć z nich całość, którą mogłaby wykorzystać. A w dodatku Sunni była bogata, miała więcej czasu i własny telewizor.

Mae stała na ulicy, zaniepokojona, nieszczęśliwa, trzymając ulotkę przed oczami. Wpatrywała się w profesjonalny druk. Stojąca obok niej An kopnęła zwir.

– Nie zdobędę się, żeby to przeczytać – powiedziała Mae.

Podąła ulotkę An. Czy ona wiedziała już, że Mae nie potrafi czytać? Prawdopodobnie wiedziała.

Dziewczyna czytała głośno.

PRAWDZIWA MODA  
DLA PRAWDZIWYCH DAM.

TERAZ, KIEDY ODKRYLIŚMY, ŻE NIEKTÓRE Z NAS DAJĄ  
INNYM FAŁSZYWE RADY, OTWARŁA SIĘ DROGA DO  
PRAWDY I PIĘKNA.

Szanowna pani Haseem ustanawia nowe standardy mody. Ma oczy otwarte na świat, widzi, jak wygląda świat mody. Odwiedź w wolnej chwili gabinet Lekarki Mody. Sprawdź jej ofertę najlepszych strojów

PRZYGOTOWANYCH PROFESJONALNIE PRZEZ NAJLEPSZE  
DOMY MODY.

Lekarka Mody odwiedzi cię także, by z czystym sercem i prawdziwym poczuciem misji wysłuchać, co masz jej do powiedzenia. Nie trać słów jak ziaren rzucanych na jałową ziemię. Tylko szanowna pani Haseem sprawi, że twe słowa zmieniają się w zielone pole.

Sunni próbowała ją zniszczyć.

Mae zmusiła się do zachowania spokoju przy An. Obserwowała jaskółki. Nadal latały, zmieniając błyskawicznie kierunek, a nad nimi nadal wisiało niebo. Było w tym coś pocieszającego.

– Ta wioska jeszcze nigdy nie widziała ulotki – powiedziała. – Przyznaję, to śmiały ruch, a także wielki komplement. Mówi do nas: „Jesteście równie ważni, jak bogaci ludzie z miasta. Tak was

traktuję i dlatego wydrukowałam wam ulotkę”. – Jej treść była dziełem zawodowego pisarza listów. I to uznała za błąd. Pod wieloma względami. – Popełniła błąd. – Musiała zachować twarz. Ze względu na An. – Pisze do nas niczym pracodawca. Kim są te prawdziwe damy, do których kieruje swe słowa? Jest tu jedna, pani Wing. A sądzę, że pani Wing nadal jest moją przyjaciółką.

– Tak. Rozumiem. – An skinęła głową, ale nadal kopotał żwir.

– Czy możesz mi pomóc dziś wieczorem? Zostać dłużej?

An usiadła przy kuchennym stole i swym pięknym charakterem pisma napisała trzydzieści trzy listy na trzydziestu trzech kartkach wyrwanych z notatnika Mae. Mae dopilnowała, by każdy z tych listów był inny.

*Droga Pani Pin,*

*Pani mąż żywi dzieci, naprawiając samochody. Co czułaby Pani, gdyby ktoś napisał do wszystkich: „Nie korzystajcie z usług pana Pina, on nie potrafi niczego naprawić”?*

*Byłoby to nieuprzejme, a także nieprawdziwe. Sunni wywyższa się, nazywa Szanowną Panią Haseem. Chce, żeby rozmawiała z nią Pani, jakby była Pani szefem.*

*Mnie proszę nazywać Mae, jakbym była służką. Będę ciężko pracowała, by miała Pani dobrą elegancką sukienkę.*

*Pani sługa,*

*Mae.*

*Droga Pani Doh,*

*Nie jestem bogata. Nie mam pieniędzy, by nająć kogoś, kto pisałby za mnie listy. Nie mogę zapłacić za ich wydrukowanie w mieście.*

*Jestem prostą kobietą kochającą piękne stroje. Chcę, by moje przyjaciółki były piękne. Nie musi Pani nazywać mnie „szanowną”.*

*Zawsze robiłam dobre sukienki dla przyjaciółek i zawsze będę je robić.*

*Pani przyjaciółka,*

*Mae.*

I wreszcie:

*Droga Sunni,*

*Mogę być sługą, ale okazuje się, że w dziedzinie mody nie mam sobie równych.*

*Zaczęłam nosić męskie kurtki i Ty zaczęłaś je nosić. Zrobiłem Mapę Pytań no i proszę, Ty też ją zrobiłaś. Pan Wing sprowadził telewizor. Twój mąż, jakie to oryginalne, też sprowadził telewizor.*

*Idziesz moimi śladami, co dowodzi, że w sprawach mody udzielam dobrych rad. W wiosce wszyscy też tak myślą.*

*Dobrze będzie mieć dwie znawczynie mody. Bo obie znawczynie będą musiały pracować ciężiej. Będę miała mnóstwo zabawy, obserwując, jak ciężko pracujesz.*

*Twoja sługa,  
Mae.*

Mae złożyła listy dłońmi trzęsącymi się z wściekłości, zapieczętowała je pastą ryżową.

– Odprowadzę cię do domu – powiedziała do An.

Po drodze dostarczyła listy do trzydziestu trzech domów we wsi. Do domu Sunni także.

Spojrzała w górę, na gwiazdy, jasne jak dusze jej ludu. Coś w niej rzuciło się jak wyciągnięta na brzeg ryba. Najpierw myślała, że to gniew, ale uświadomiła sobie, że raczej potrzeba zrobienia czegoś, zrobienia więcej. Zamiast wracać do siebie, pomaszzerowała w górę wzgórze do domu Kwan.

Przed domem włączony telewizor pokazywał stary film, którego nikt nie oglądał. Mae wzięła się do roboty. Wydawała komendy, zadawała pytania. Pies Kwan zaczął szczekać. Wywołał panią. Na widok Mae Kwan wybuchła śmiechem. Usiadła na schodkach w nocnej koszuli. Potrząsnęła głową.

– Mae! Właśnie napisałaś list do wszystkich w wiosce i teraz... co tu robisz?

– Zakładam szkołę – oznajmiła Mae.

Kwan nie mogła przestać się śmiać.

– Co? Dzisiaj?

– Tak. Dzisiaj. Mam wrażenie, że jeśli sami czegoś nie zrobimy, i to już, teraz, nasza wioska zniknie z powierzchni ziemi. Chodź, zobacz.

Na ekranie pojawił się obraz pięciu zagród. Kwan stanęła za plecami przyjaciółki.

– Ja to zrobiłam. Widzisz obraz pięciu zagród, które Tlen buduje ci w głowie. Zrobię tak, żeby telewizja imitowała Tlen, pokażę ludziom, jak go używać, kiedy wreszcie będzie dostępny. Co o tym myślisz?

– To bardzo dobry pomysł – powiedziała cicho Kwan.

– Odwiedzę wszystkich. Odwiedzę ich wtedy, kiedy nie są zajęci. Mężczyzn zaproszę, żeby przyszli zaraz po śniadaniu, a kobiety, żeby przyszły zaraz po lunchu.

Kwan znów zaczęła się śmiać.

– Właśnie to wymyśliłaś!

– Za wolno myślałam. Wszyscy musimy się uczyć, wiesz? Albo, kiedy wreszcie do nas przyjdzie, Tlen będzie używał nas, a nie my jego. – Mae niemal wpadła w panikę, ale jednocześnie czuła się tak, jakby potrafiła latać. – Audio. Plakat Obrazy – rozkazała. – Ptaki. Jaskółki. Niebieskie na białym.

Jej słowa pojawiały się na ekranie, jakby były jaskółkami. Ekran przemawiał do niej słowami widocznymi pod sylwetką ptaka.

– No i mamy szkołę? Prawda?

Kwan skinęła głową.

Słowa Mae stały się plakatem.

SZKOŁA „JASKÓŁKA”.  
BĄDŹ JASKÓŁKĄ. NAUCZ SIĘ LATAĆ!  
ODETCHNIJ TLENEM

Pani Chung Mae była głęboko w Tlenie. Nauczyła się wiele o tym, jak działa telewizja. Chce, by jej przyjaciele też się tego nauczyli. Pokaże, jak działa Tlen na moim telewizorze, za darmo.

Mężczyźni przychodzą zaraz po śniadaniu.  
Kobiety przychodzą zaraz po lunchu.  
Młodzi hałaśliwi utrapieńcy przychodzą dopiero po szkole,  
nie przed szkołą.  
Pani Wing Kwan  
(Szanowna Pani Sunni, nie potrzebujesz pisarczyka i  
drukarki do zrobienia ulotki. Mae chętnie Ci ją przygotowuje).

Kwan śmiała się głośno.

– Drukuj – poleciła Mae. – Trzydzieści trzy kopie.

Na jednym arkuszu mieściły się dwa egzemplarze, jeden przy drugim.

Rozległ się cichy terkot. Kwan wyjmowała papier z maszyny.

– Mae – powiedziała, czytając wydrukowane na nim słowa. – Jesteś cudem.

Mae tryumfowała.

Na pierwszej lekcji w szkole Mae pojawił się tylko jeden mężczyzna: pan Ken. Cierpliwy, milczący, nie przyprowadził ze sobą nikogo. Nie należał do grupy przywódców wioski.

– Nie warto robić tego tylko dla mnie – powiedział.

– Potrzebuję praktyki.

Samotna, mając naprzeciw siebie kogoś, kto ją akceptował, Mae przemówiła od serca.

– Wszyscy powinniśmy być wdzięczni panu Wingowi, który dał nam tę maszynę w ostatniej chwili. Możemy wreszcie oglądać telewizję. Ale nie chodzi tylko o telewizję i tylko o filmy karate. Najważniejsze jest, ach... Info. Reszta świata dysponuje nim od urodzenia. Wie, jak z niego korzystać, tak jak my wiemy, jak oddychać. Tlen zaczyna się właśnie od tego. Tlen zakłada, że wszyscy wiedzą wszystko o Info. Jeśli my nie będziemy wiedzieli, nie skorzystamy z Tlenu. A jeśli nie skorzystamy z Tlenu, będziemy tak opóźnieni w porównaniu z resztą świata, jak małpy są opóźnione są w porównaniu z nami. Nie uwierzycie, co potrafi Tlen. W Tlenie nie dostajecie tylko programów telewizyjnych. W Tlenie przybywają Krusy gotowe uczyć wszystkiego, co wiedzą. Ich mądrość wnika w nas, używacie jej, jakby była mądrością waszych umysłów. W Tlenie dzieci będą mądrzejsze od rodziców. Będą miały w głowach fragmenty mądrości mądrych dorosłych. Wiem to z własnego doświadczenia. Miałam w głowie wielkiego Kru opowiadającego mi o Rozwijaniu Maty. W Nowym Jorku ludzie już dzielą się mądrością, dzielą się marzeniami, mają do nich dostęp. Stają się one jedną całością, do użytku dla wszystkich. Nazywają to „Collabem”. Mają kluby Collabo, w których wszyscy tańczą, każdy do muzyki wszystkich innych. To wszystko... to wszystko trafi tu w przyszłym roku. A przecież połowa z nas nie skorzystała jeszcze z telefonu! Dlatego musimy



ruszyć z miejsca. Dlatego musimy zacząć się uczyć!

Zacisnęła dłoń w pięść. Pan Ken siedział na krzeselku tak, jakby jego krzeselko przyśpieszało zbyt gwałtownie.

Sunni przyszła na pierwszą popołudniową lekcję, mając na sobie czarną suknię ozdobioną złotym liściem i powiewający szyfonowy szal, różowa i biała, ze lśniącymi włosami szczesanymi w łagodną falę. Polakierowała paznokcie. Włożyła białe buty. Mae wyglądała przy niej, jakby przed chwilą zeszła z pola. I kto tu był ekspertem modowym?

Twarz Sunni zastygła w uśmiechu. Spojrzała na każdą z obecnych kobiet, ukłoniła się każdej z nich.

– Uznałam, że mogę przyjść tu jak wszyscy, szanowna pani Wing – powiedziała, nawet nie patrząc na Mae.

Kwan uśmiechnęła się. Oznajmiła, że wszyscy są mile widziani.

– Mae chętnie pomaga nam wszystkim – dodała.

Sunni przeszła wśród rzędów poduszek, wdzięcznym skinieniem głowy pozdrawiając każdą z mijanych kobiet.

– Przyjdę później z materiałem, który ci obiecałam.

Usiadła z wdziękiem obok swej sojuszniczki, pani Ali. Eleganckie, godne, rozglądały się dookoła, jakby patrzyły na wszystko z wielkiej wysokości.

Sezen przyprowadziła ze sobą chłopaka. Mae nie spodobał się od pierwszego wejrzenia. Twarz miał kamienną, zamarłą w wyrazie pogardy, a na szyi tatuaż. Przyniosła szkicownik dziewczyny, wcisnęła go jej do ręki.

– Porozmawiam z tobą później – powiedziała.

Sezen bez żadnego powodu obróciła się i spojrzała na swego chłopaka z szeroko otwartymi ustami, jakby zdumiało ją złe zachowanie.

Przybywały kolejne kobiety, w grupkach, z przyjaciółkami, rozmawiając i śmiejąc się. Pani Mack przyszła sama, a panie Pin wszystkie razem. Siostra Mae, Soong-Se pojawiła się wraz z żoną Ju-mei; urodziła się w rodzinie Soongów. W miarę jak na miejscu było coraz więcej kobiet, Mae ogarniały coraz większe wątpliwości. Czy potrafi mówić do tak wielu osób?

– Dzień dobry. Miło mi powitać was wszystkie.

Kobiety odpowiedziały jej „dzień dobry”. Cichym chórem, jakby były uczennicami wobec nauczycielki. To zaskoczyło Mae, zawstydziło ją, sprawiło, że instynktownie uciekła w wieśniaczą obcesowość. Próbował zacząć tak, jak zaczęła rozmowę z Kwan, ale tym razem zabrzmiało to banalnie i płasko.

– Kiedy wchodzimy w Tlen, oni wszystko to wiedzą. Więc my też musimy wiedzieć, żeby za nimi nadażyć, prawda?

Telewizor nie chciał się włączyć. Mae dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że kiedy przychodziła do Kwan sama, zawsze był włączony. A teraz stała tu jako nauczycielka i nie potrafiła go włączyć.

– Jest uśpiony – powiedziała Kwan.

Kobiety zachichotały. Nie wiedziały, że ten stan naprawdę się tak nazywa.

– Włączenie – powiedziała Mae z wahaniem.

Na ekranie pojawiło się pięć zagród Tlenu.

Mae czuła na plecach wzrok Sunni czekającej na jej najdrobniejszy błąd.

– Dziełem Testu była zmiana umysłu nas wszystkich. Wnętrze waszych głów wygląda teraz jak wnętrze telewizora. – Mae zaskoczyło, że kobiety znów zaczęły się śmiać – Więc tak – mówiła dalej – macie teraz w głowach pięć zagród. Tlen imituje telewizor. Nauka korzystania z telewizora pomoże nam nauczyć się wykorzystywania Tlenu.

– Ja wykorzystuję tlen do oddychania – wtrąciła pani Ali. Kątem oka, konspiracyjnie, popatrywała na szanowną panią Sunni.

Znów rozległy się chichoty.

One chcą, żeby tu było wesoło, pomyślała Mae. Jak na kobiecej herbatce. Stwierdziła, że wobec wielu osób nie potrafi zrelaksować się na tyle, by wprowadzić odpowiednią atmosferę. Stała wobec wroga, który być może przybył z posiłkami.

– Teraz trzeba będzie wykorzystywać go także do myślenia – powiedziała do pani Ali.

Zabrzmiało to jak nagana. Chłopak Sezen skrzeknął odrażająco i wyszeptał jej do ucha jakąś nieprzyzwoitą uwagę, aż zachichotała i syknęła na niego, żeby był cicho. Sunni patrzyła na panią Ali.

Ledwie widocznie pokręciła głową.

Mae wskazała ekran, pokazując znajomy Format Tlenu.

– Zobaczycie, że już wiecie, jak działa Tlen.

– Świetnie! Możemy iść! – ucieszył się chłopak Sezen, a ona przykryła usta dłonią i roześmiała się.

– Każdy z tych czterech obszarów ma inną zawartość. Dziś zajmiemy się obszarem nazwanym „Pomoc”, bo zawiera on informacje o sposobie uprządkowania „Info”. Otwórz Pomoc.

Pojawiła się lista opcji. Mae nie potrafiła ich wprawdzie przeczytać, ale przecież znała je na pamięć.

– Oto lista rzeczy, które telewizja może zrobić, instrukcji, jak ma zrobić to, co chcecie, jak znaleźć, czego potrzebujecie, co zrobić, kiedy coś nie działa. Odwróciła się, spojrzała na kobiety. – Czy któraś z pań chciałaby się czegoś dowiedzieć?

Milczenie. Sunni wpatrywała się w swą nową suknię. Poprawiła szal, nadając mu perfekcyjny kształt i położenie.

– Szanowna pani Haseem, być może chciałaby pani nauczyć się, jak wydrukować ulotkę?

– Wydrukowałam już sobie ulotkę. – Twarz Sunni zastygła w masce uśmiechu.

– Świetnie. Więc tego nie musimy robić. – Oczy Mae mówiły: „Tego chciałam. Nie nauczę cię drukowania ulotek”.

Pragnęła upokorzyć Sunni publicznie. Zacięła się i brnęła dalej. Nie brakło jej odwagi.

– Jest wiele rzeczy, które może zrobić telewizja. Jeśli wolno, pozwolę sobie teraz pokazać paniom, jak za jej pomocą zaprojektować specjalne stroje w specjalny sposób. Sezen, mogę użyć jednego z twoich rysunków?

Zaskoczona dziewczyna wyprostowała się, zamrugała.

– Co? Aaa? Oczywiście.

Jej chłopak roześmiał się, więc go uderzyła. Mae podeszła do niej, wydała się sobie bardzo niezgrabna, krótkonoga. Wzięła szkicownik.

– Skanuj – poleciła, umieszczając wybrany rysunek przed małą kamerą umieszczoną na górze telewizora. Zabrało to trochę czasu.

– Gdybym gotowała jajko, poszłabym teraz umyć miskę i wróciła na czas. – Ten łagodny wiejski żart wywołał cichy niezłośliwy śmiech.

Mae odwróciła kamerę.

– A teraz, proszę, przeskanuj szanowną panią Haseem.

Na ekranie pojawiły się słuchające jej kobiety. Mae dotknęła postaci pani Haseem, zaznaczając w ten sposób swój wybór.

– Jak panie widzą, już żyjemy w nowych czasach. Sezen poszukiwała wzoru nowych strojów dla nowych ludzi. Telewizja może pokazać nam, jak takie stroje będą wyglądać na prawdziwej kobiecie. By mogła ona wybrać modę najbardziej jej odpowiadającą. Pokażemy tę współczesną na przykładzie pani Haseem.

Co młodsze kobiety roześmiały się. Mae widziała, jak to się robi w dużym domu handlowym w Tokio. Jeśli oni potrafili, ona też potrafi.

Maszyna zawarczała. Kwan jeszcze zachowywała powagę, ale na jej wargach pojawił się pierwszy ślad uśmiechu.

– Maszyna buduje w tej chwili obraz szanownej pani Sunni. Ukończony, obraz ten potrafi bardzo wiele. Chociaż zajmuje to trochę czasu.

Spojrzała na ekran. Telewizor terkotał cicho. Musiała coś powiedzieć.

– A więc zacznijmy robić nowe ubrania dla nowych ludzi. – Odwróciła się do telewizora. – Multitask – powiedziała. Telewizor jej nie zrozumiał. – Multitask – powtórzyła.

– Nie wszyscy słuchają twoich rozkazów – powiedziała Sunni, lekko podnosząc głos.

– To prawda, szanowna pani Haseem. Moja pozycja nie pozwala mi wydawać rozkazów.

Otworzyło się nowe okno. Pojawiła się w nim Sunni w kurtce Sezen. Mae poleciła maszynie, by kurtka miała wymiary modelki; znała je z zamawianych dla niej sukienek. Wywołała fakturę, dodała kolory.

– Och! – westchnęła pani Pin, widząc, jak kurtka rozrasta się i zmienia w coś wyglądającego niemal prawdziwie. Rzeczywiście.

Mae wbiła nóż, obróciła ostrze.

– Zaletą takiego systemu jest, że już nie musimy jechać do miasta, żeby zobaczyć modę. Niepotrzebne nam będą Talenty pokazujące to, co wygląda dobrze na nich.

– Dowodziłoby lepszego wychowania – Sunni nie ukrywała rozżalenia – wypróbowanie tego czegoś na sobie.

Mae pozwoliła sobie na westchnienie.

– Właśnie wróciłam z pracy na polu. W tej chwili nie obchodzi mnie, co mam na sobie.

Zaczęła od džinsów. Czarnych džinsów z kajdankami przy pasie.

– Każdy biznes będzie musiał się zmienić – mówiła. – Nawet gospodarka, nawet biznes wodny, wszystko to zmieni się z powodu „Info”. Dlatego chcę, żebyście panie były gotowe.

Dżinsy były już gotowe. Na wymiar Sunni.

– Inne uczesanie, dla szanownej pani Haseem?

Piękne pasemka, przycięte i gładko przyczesane.

– Będzie pani wyglądała jak nowa.

Mae skupiła uwagę na nowo powstałym komputerowym obrazie Sunni. Na obraz ten można było nanieść zaprojektowane ubranie, osoba mogła wstać, obrócić się, zobaczyć je dokładnie tak, jak ubranie będzie wyglądało na niej. Tylko że Mae nie znała odpowiedniej komendy. Wiedziała, jak nanosić obrazy na siebie, ale wychodziły płaskie, nieruchome, martwe.

Odpowiednią komendę wydawało się po angielsku. Nie potrafiła jej zapamiętać. Sięgnęła w głąb swego skażonego Tlenem umysłu. Poczwała to, co nazwała „korzeniem”, to coś zanurzone w Tlenie.

– Czego potrzebuję? – spytała.

Usłyszała szept, kruchy i krótki jak moment, w którym przychodzi wspomnienie. Mae zobaczyła znak wyglądający jak zrobiony z czerwonych i żółtych klocków: 3-D. Przypomniała też sobie śmieszna, to wznoszącą się, to opadającą angielską wymowę. Nie wiedziała, czy się jej uda, ale wiedziała, że jeśli się uda, wioska nie będzie mówić o niczym innym.

– *Thiii diii kompiutajszon.*

Minęła chwila.

Ekran pociemniał. Usłyszała cichy zgrzyt, usłyszała szum

wiatru. Wietrze, proszę, Tlenie, proszę, Niebo, proszę, ja jestem z Ziemi. Pomóżcie mi.

Stuk. Linie ekranu przebudziły się do życia.

Sezen krzyknęła, wstała, zakryła usta dłonią, zaczęła skakać w górę i w dół, owładnięta radością i nadzieją, mieszkanką uczuć z dodatkiem nienawiści do bogaczy.

Na ekranie bowiem pojawiła się szanowna pani Haseem, siedząca na krześle w stroju przez nią wymarzonej. Kosmyki, czarna skóra, czarne dżinsy, wszystko czarne. Pani Haseem opuściła wzrok, zawstydzona. Podniosła go, budząc litość. Właśnie widziała samą siebie, jej zdaniem za starą i za tęgą, wciśniętą w dżinsy jak jakiś handlarz narkotyków.

– Używam strojów do upiększenia przyjaciółek, a nie wyśmiewania się z kobiet – powiedziała Sunni.

Niegrzeczna Dziewczynka Sunni, ta z ekranu, wypowiedziała dokładnie te same słowa, jak echo.

Sunni wstała, starając się ocalić resztki godności. Na ekranie wyglądało to wręcz komicznie, bo na ekranie szła jak modelka na wybiegu, jakby tam ją sfilmowano. Wyglądała na dumną z tego, że jest Niegrzeczna Dziewczynką.

Pani Pin i pani Doh uśmiechały się szeroko. Wpatrywały się w nią wytrzeszczonymi oczami. Klęska Sunni sprawiła im niewątpliwą przyjemność.

Pani Ali też wstała, szybko. Wyprostowała się oburzona. Wyszła za panią Haseem.

Już wiem, pomyślała Mae, kim są moi przyjaciele. I zadłużyłam się trochę u Sezen.

– A teraz – powiedziała głośno – zwracam się do tych pań, które pozostały. Powróćmy do tego obrazu...

\*\*\*

Po południu do szkoły „Jaskółka” przyszły dzieci, niechlujnie ubrane, w pasiastych podkoszulkach pociemniałych ze starości i od kurzu. Tuliły do piersi zeszyty.

– Chcemy zobaczyć gry – oznajmiły nieskładnym chórem.

Mae wspomniała nauczyciela Shena.

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli zajmiemy się edukacją – powiedziała. Zobaczyła, jak mała dziewczynka imieniem Dawn krzywi buzię. – Nie będzie tak źle – pocieszyła ją, a maszynie wydała polecenie: „Edukacja”.

Na ekranie pojawiła się sowa w locie. Być może w Ameryce sowy są symbolem wiedzy, ale w Karzistanie to ptaki śmierci. A ta w dodatku nosiła okulary, co było wyjątkowo przerażające. Dzieci milczały.

– Hej. – Sowa puszyła się, dreptała w miejscu.

Dawn zakryła oczy.

– Popatrzcie, ona jest przyjazna – powiedziała Mae i zaczęła recytować opcje. – Może wam pomóc w nauce.

Dzieci nadal milczały, ale pogodziły się z rzeczywistością. Pogodziły się z myślą, że poznanie tego czegoś może być użyteczne, no i żadne z nich nigdy nie korzystało z czegoś wychodzącego z sowy.

– Nazywajcie mnie Sową – powiedziała Mae.

Dzieci zachichotały nerwowo.

– Jestem stara. Jestem mądra. Kiedy mnie zawołacie, pomogę.

– Soooowa! – zawołała Dawn prosząco. Wierciła się w krześle, roześmiała się wraz z innymi. Nazwać dorosłego „sową” było czymś wyjątkowo niegrzecznym.

Mae pozwoliła się im wyśmiać.

Postanowiła, że pokaże dzieciakom symfonię z Paryża.

Było ich wiele, nie jedna. Wyświetliła się lista rzeczy, o których Mae nie miała najmniejszego pojęcia.

– Wyjaśnij – powiedziała.

Telewizor przemówił. Podał nazwiska ludzi tworzących muzykę.

– Kto Beee-to-wan?

Usłyszeli o człowieku, o jego życiu, o świecie nieznanym, bardzo dziwnym, który dawno odszedł w przeszłość. Świat jest wielki, a przeszłość robiła go jeszcze większym. Pokazywała różne światy w różnym czasie. Było trochę tak, jakby zagłędała w bezdenną przepaść, i Mae nawet zakręciło się w głowie.

Ale dzieci wołały obejrzeć grupę śpiewających Talentów

nazwaną „Różowe i Złote Dziewczyny”. Pojawiły się więc dziewczyny z piersiami obsypanymi cekinami, ale i pozytywnym przekazem o tym, że wykształcenie jest „Drogą” i dla dziewcząt, i dla chłopców.

Mae znalazła indyjską ragę, hinduskie musicale, pokazała też islamską muzykę z Ligi Arabskiej. Połowa dzieciaków wytrzeszczyła oczy i pochyliła się, ich serca wyrывały się do świata islamu.

Pokazała im także Pucciniego. Głos wyjaśnił, że opera opowiada o miłości, przysięgach, przebieraniu się za kogoś innego i ciosach zadawanych z ukrycia.

Pokazała im Collabo z Nowego Jorku, muzykę płynącą z setki amerykańskich umysłów, zebraną w jedno, dziwną, szarpaną, śmiałą, dumną, głupią i mądrą.

Dzieci z Karzistanu widziały beztroskie twarze nowojorczyków i widziały siebie. Dawn pochyliła się z szeroko otwartymi oczami, w których tańczyły ogniki przyszłości. A kiedy skończyła i dzieci zaczęły się rozchodzić, Mae usłyszała coś, czego nie słyszała nigdy przedtem. Rozmawiały ze sobą, głośno i poważnie, jak dorośli.

Wróciła do domu. Pan Ken przygotował dla niej posiłek. Zobaczyła go, smukłego i szerokiego jednocześnie, przewiązanego fartuchem i uśmiechającego się pod nosem.

– Co ty wyprawiasz? No co? – spytała.

– Gotuję dla ciebie – odparł z wyraźną satysfakcją pan Ken.

Boże, jaki był piękny!

– To moja praca. – Mae roześmiała się.

– Och! Przecież pracowałaś. Usiądź. Zaparzyłem herbatę. Potem coś zjemy.

Mae patrzyła na tego dobrego człowieka. W życiu cuda czasem się jednak zdarzają, kocha cię dobry człowiek i najbliższy sąsiad. Głupotą jest tylko oczekiwać, że coś takiego się zdarzy.

Mae zdjęła kapelusz do pracy w polu. Pocałowała Kena Kuei. Patrząc mu w oczy, pomyślała: „Nie. Prawdziwą głupotą jest nie rozpoznać tego, co dostajesz od życia, nie wziąć tego, co wpada ci w ręce”.



– Świńska kiszka z kluskami – oznajmił pan Ken z dumą.

Ogrom, piękno, cud świata. Pola motyli, tysiącletnie pola, dziecięce buzie, płynące powoli chmury życia.

Mae usiadła przy stole, ujęła miskę z herbatą. Pod pachą nadal trzymała szkicownik Sezen. Otworzyła go. Nienaganne projekty strojów, szcuple twarze twardych ludzi, arkusz za arkuszem, marzenie za marzeniem.

Czyści ludzie, twardzi ludzie, atmosfera coraz mroczniejsza, coraz większe zagrożenie, coraz więcej gniewu.

Żyje w brudzie, z bierną matką, z niechlujnymi dziećmi. Marząc o tym. Nic dziwnego, że czuje gniew. Gniewna i twarda jak skała pożąda czegoś... czegoś. Mae rozumiała to jej nienasycone pragnienie. Pożądała Info. Przeleciała jej przez głowę myśl, szybka i prosta jak pęknięcie mydlanej bańki. Sezen chce mieć za matkę mnie. Jak mam traktować ten wielki komplement?

Teraz, kiedy Sunni odebrała mi połowę biznesu, muszę zrobić coś nowego. Czy powiem jej „tak”? Czy zajmę się jej najlepszymi projektami dla złych dziewczynek?

Pojawiło się jedzenie, przyniesione w pięknych dłoniach, doprawione pięknym uśmiechem. Cichy, radosny śmiech wypłynął z niej sam z siebie. Przytuliła swojego mężczyznę, pocałowała koszulę kryjącą zaokrąglający się już brzusek.

– Gdzie twoja matka? Gdzie dzieci?

– Nie słyszałaś? A nie, dziś rano wyszłaś do pracy, jak zwykle. Wszyscy pojechali do dziadków. – Pan Ken uśmiechnął się. – Jesteśmy naprawdę sami.

– Och! – Mae była zachwycona.

Po kolacji, w alejce między domami, stała przed nim naga. Kuei polał ją wspaniałą zimną wodą. Namydlił i umył jej plecy, a ona oblała wodą i umyła jego. Potem kochali się, nadzy, namydleni. Mae nawet nie marzyła, że kiedykolwiek będzie tak kochać się z mężczyzną. Kuei ukląkł i delikatnie, jak szczeniaczek chłęczący wodę, całował najsekretniejsze miejsca. Było to zwierzęce, psie. Zaledwie rok temu ogarnąłby ją wstyd, teraz jednak czuła się tak, jakby uwolniła się od kolejnej warstwy ubrania.

Otworzyła się dla niego jeszcze szerzej. Wszedł w nią delikatny,

ciepły wilgotny. Zobaczyła sterczący czubek jego penisa, kulisty, koloru brzoskwini. Uklękła, przyjęła go do ust. „Och, przepraszam, przepraszam” – westchnął Kuei, bo owoc pękł jej w ustach, wypełniając ją najsilniejszym możliwym smakiem męskości. Podniósł i – to było najbardziej wstrząsające – przytulił ją, pocałował.

Oblał ich oboje wodą, chłodną, oczyszczającą. Teraz ona poczuła, jak coś zostało wypchnięte z jej środka. Przycisnęła grzbiet dłoni do ciała, jakby próbowała powstrzymać drzenie. Kuei pocałował ją, cofnął się o krok, zaczął wycierać. Spojrzała w dół. Na dłoni miała krew. Zaczął się jej okres. Spłukała dłoń. Wyjaśniła, że nie wiedziała. Bała się, bo niektórych mężczyzn przerażała krew menstruacyjna. Wierzyli, że ich osłabia.

– A więc oboje daliśmy najwięcej, co jest w naszej mocy dać – powiedział Kuei i znów ją pocałował, a ona znów zrobiła się mokra i znów się kochali, tym razem bardziej konwencjonalnie.

Mam w brzuchu krew i nasienie, pomyślała Mae.

Umyli się znowu, a woda była niczym chłodny, kochający język stworzenia, kochającego po równi ich oboje.

Zmyła pył i lepki brud, zmyła ich codzienność. Zasnęli w łóżku, ciemność utuliła ich umysły jak noc.

– Kuei – szepnęła Mae. Dopiero teraz, po raz pierwszy nazwała swego mężczyznę jego pierwszym imieniem.

\*\*\*

Obudziło ich walenie w drzwi. Mężczyzna wykrzykiwał z wściekłością jej imię.

– Joe – westchnęła Mae.

Kuei leżał przy jej boku, nagi. Jego ubrania suszyły się w małej szopie z odpływem wody. W szczelinę między zasuniętymi zasłonami wdzierала się ciemność. Była noc.

– Zostań tu – wyszeptała błagalnie.

– Mae! Chung Mae! – wrzasnął ktoś.

Czy to możliwe, żeby to nie był Joe? Jej serce drżało. W porównaniu z Joem każdy byłby lepszy.

– Muszę z tobą porozmawiać. Otwórz drzwi. Chcę usłyszeć, co

masz do powiedzenia!

Mae narzuciła lekki szlafrok. Mózg się jej oczyszczał, jakby przewiewał go silny wiatr. Zasunęła ciasno zasłony wokół wnęki. Włączyła światła w kuchni.

– Już idę! – odkrzyknęła. – Kim jesteś, żeby tak krzyczeć? – Kuchnia była pełna nieumytych naczyń, ale nic tu nie zdradzało obecności mężczyzny. – Cierpliwości!

Otworzyła drzwi. Ktoś rzucił jej coś w twarz. Coś lekkiego, trzepoczącego, nie zabołało, ale sprawiło, że odwróciła głowę. Kiedy znów spojrzała przed siebie, zobaczyła, że odwiedził ją nauczyciel Shen. I to ją mocno zaniepokoiło.

Przystojna, chuda twarz nauczyciela znieruchomiła z napięcia. W jego oczach płonął gniew. Mae patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Przecież byli przyjaciółmi!

– O co ci chodzi?! – krzyknął nauczyciel. – Co próbujesz osiągnąć! – Z gniewu nie panował nad sobą.

– Mogę spytać cię o to samo. Tak na mnie krzyczeć... Oszalałeś, Shen? O co chodzi?

– Sama dobrze wiesz, o co chodzi.

– Telewizor?

– Ty. I organizacja szkoły.

A więc w tym rzecz. Czeka ją męcząca rozmowa, a w dodatku nie doprowadzi do żadnego rozstrzygnięcia.

– Wejdz – powiedziała zrezygnowana. Pan Ken został uwięziony we wnęcie. – Położyłam się już spać. Pracowałam przez cały dzień.

– Pracowałaś w szkole!

– Nazwałam ją szkołą, bo to jest szkoła, ale nie taka, jak normalna szkoła. Wszyscy o tym wiedzą. Czego uczyć ludzi.

Shen patrzył na nią z wściekłością.

– Uczysz ich oglądać złe filmy. Uczysz ich, że lepiej żyć w Pekinie, Bombaju, gdziekolwiek, byle nie tu.

Popełniłam błąd, pomyślała Mae. Powinnam z nim porozmawiać. Uzyskać jego zgodę. Tego błędu tak szybko nie naprawię. Wbiła palce w rozczochrane włosy.

– Nauczycielu Shen, zawsze byliśmy przyjaciółmi.

– Oczywiście – przytaknął jej Shen z naciskiem.

– Więc wiesz, że jestem osobą impulsywną. Jeśli widzę, że trzeba coś zrobić, robię to. Powinnam najpierw porozmawiać z tobą. Wyjaśnić ci, o co chodzi.

– Nie powinnaś się tak wynosić. Przez tę rywalizację z Sunni posunęłaś się za daleko.

Ops! To akurat była prawda.

– Nauczycielu Shen, czy wiesz coś o Info? – Uraziło go to pytanie, choć jego twarz się nie zmieniła. – No więc właśnie tego musimy się wszyscy nauczyć. Dlatego że wkrótce będziemy spędzali w Info połowę życia. Tymczasem nikt z nas, ale to nikt, nie wie o nim nic. Wszyscy znów staniemy się dziećmi. Albo czegoś się nauczymy, albo jesteśmy zgubieni.

Wyraz twarzy nauczyciela nie zmienił się, ale w całej jego postawie było też coś... bezradnego. Zastygłego. Oto biedny wiejski chłopak, walczący ciężko, by móc się uczyć. Chłopak, który oddał wszystko, by zostać nauczycielem. A także jej przyjaciel, łagodny Shen, mądry Shen, biedny Shen. Wyraz jego twarzy świadczył o strachu, nauczyciel obawiał się, że stracił wszystko. Mieszkał w wiosce na wzgórzu, w istnej norze, poświęcał życie próbie nauczania dzieci.

– Masz rację co do Sunni – powiedziała cicho. – Sunni próbuje odebrać mi gospodarstwo i interes. Chce mi zabrać wszystko, co posiadam.

Widziała, jak broda nauczyciela zaczyna drżeć. Och, doskonale znał to uczucie.

– Przecież większość z nich nie umie nawet czytać – powiedział po długiej chwili milczenia. Spojrzał w sufit. – Co im dziś pokazałaś?

– Beee-to-wana. Wysłuchaliśmy fragmentu symfonii i sprawdziliśmy jego Info. Nie widziałam nic o tym Beee-to-wanie.

– Ale... przecież te dzieciaki nie znają nawet tabliczki mnożenia! Czy mówisz im, że wszystko będzie takie łatwe, takie proste, po prostu zdradź marzenia maszynie? Nie musisz pracować, nie musisz się uczyć... – Nauczyciel Shen patrzył na Mae, nie kryjąc gniewu. – Zrobisz z nich niewolników!

– Nie – odparła Mae cicho. – Nie, wręcz przeciwnie.

– A kto włożył im Tlen do głowy? Kto go kontroluje? Kto tworzy to, co w nim widzą? One same? Nie. Tworzą je wielkie, ogromne potężne rzeczy z naszego świata. Czy wiesz, kobieto, jak działa komputer? Działa dzięki liczbom! U swej podstawy wszystkie te słowa, wszystkie te obrazki to tylko cyfry. A te dzieci nie potrafią nawet dodawać!

Shen wstał. Zabierał się do wyjścia. Nie mógł już znieść ani jej, ani tego, co ze sobą przynosiła.

– Myślisz, że którekolwiek z moich dzieci wróciło dziś do domu i zaczęło odrabiać lekcje arytmetyki? Czy raczej nuciły piosenki, które kazała im nucić Ju... ooo... pah? – Niczym stary socjalista Shen nienawidził Zachodu.

– Powiedz im to, Shen. Powiedz im, że muszą nauczyć się tych cyfr, żeby kontrolować maszynę.

– Kiedy widziały, jak przyzywasz tego Beee-to-wana, ruszając prawym uchem i nazywając się „Panią Sową”? – Shen wyglądał na przegranego, zmiażdżonego, bezsilnego. – Mówisz o Sunni, żeby zdobyć moją sympatię. A zrobiłaś to, co zrobiłaby Sunni. To właśnie mi zrobiłaś, nauczycielko Sowo.

Wstał. Mae pomyślała, że straciła dobrego przyjaciela.

– Nie chcę, żebyśmy zostali nieprzyjaciółmi! – zawołała, ale Shen wyszedł na podwórko, nie oglądając się za siebie. Pobiegła za nim. – Shen! Nauczycielu! Jesteśmy po tej samej stronie. Przyjdź do mojej szkoły, użyj Info! Ty też musisz wszystkiego się o nim dowiedzieć.

Oczywiście było to najgorsze, co mogła powiedzieć w tej sytuacji. Shen obrócił się ku niej błyskawicznie, szczerząc zęby i warcząc jak pies. Nie był w stanie wypowiedzieć choćby słowa. Wstrząśnięta Mae zatrzymała się, jakby nagle wrosła w ziemię. Shen znikł w głębi uliczki.

Wróciła do kuchni. Dopiero teraz zainteresowała się, czym nauczyciel w nią rzucił, gdy otworzyła mu drzwi domu. Była to ulotka, jedna z tych, które napawały ją taką dumą.

W kuchni, przy stole, stał przepasany fartuchem Kuei.

– Okropne było to, co słyszałem – powiedział.

– Och! Powinnam z nim wcześniej porozmawiać. Ale nie miałam czasu. Na nic nie starcza mi czasu! – Mae omal się nie rozpłakała. Podeszła do swego mężczyzny, oparła się o niego, przyłgnęła do niego całym ciałem.

Kuei objął ją i przytulił. Odwróciła głowę, rozejrzała się po wnętrzu.

I dopiero teraz zobaczyła. Nie do końca zasunęła za sobą zasłonę. A przy jej łóżku stały buty pana Kena, doskonale widoczne, a na poduszce pozostały ślady dwóch głów. Pan Ken ukrył się za zasłoną, ale po jej obu stronach pozostały szerokie szpary.

Widział? Nauczyciel Shen był teraz i przyjacielem, i wrogiem. Powie coś? Kiedy i dlaczego coś powie?

\*\*\*

Tej nocy, później, śpiąca we własnym łóżku Mae usłyszała owacje.

Podniosła głowę. Dźwięk dochodził ze wszystkich stron, jakby same zbocza zmieniły się w teatralną widownię zatłoczoną ludźmi. Na pół śpiąca wyszła przed dom.

Bam!

Mae zadrzętała się ze strachu. Na własnym podwórku stała po uda w błocie. Pociła się obficie, obezwładniała ją panika. Rozwodnione błoto wpływało falą przez otwartą bramę. Część jej umysłu musiała zatrzymać działanie, by sprawdzić: tak, to mój dom, mój dom w powodzi. Poza tym cała aż tańczyła: palce, kolana, nawet pęcherz. Z jakiegoś powodu przede wszystkim pomyślała o matce Kena Kuei.

Ta Mae jakimś cudem miała latarkę. Oświetliła nią teraz podwórko, zabite okna, zabite deskami okna, zamknięte drzwi. Z największym trudem przedzierała się w błocie ku domowi pana Kena. Błoto, gęste i lepkie, kryło w sobie ostre kamienie.

Co...? Kiedy...?

– Powódź – usłyszała głos. Przemówiła stara pani Tung.

Mae widziała już warstwy wody układające się na powierzchni błota, każda milimetr wyżej od poprzedniej.

– Mówiłam ci, że będzie Powódź.

– Panie Ken! – zawołała Mae.

Jeśli okaże się, że w starym domu nie ma nikogo, ucieknie. Gdzie pan Ken? Gdzie się wszyscy podziali?

Za jej plecami, za ogrodzeniem gospodarstwa, poruszyło się całe zbocze. Usłyszała to bardzo wyraźnie.

– Zmywa terasy! – krzyknęła przeraźliwie.

W tym momencie Mae wpadła w jakąś wersję terażniejszości. Ociekała potem. Nie wątpiła, że widziała przyszłość.

Powódź wracała.

Sunni wynajęła minibusa z kilkoma rzędami krzeseł, by zawieźć swe klientki do Green Valley City. Z pola, na którym pracowała, Mae widziała busa wyjeżdżającego z wioski. Zatrzymał się na wprost miejsca, gdzie pracowała. Miała dobry wzrok. Sunni też. Wystawiła głowę za okno, spojrzała w górę nad oprawką okularów przeciwsłonecznych. Niebieska chusta kryła doskonałą fryzurę. Powiedziała coś. Pani Ali wychyliła głowę nad jej ramieniem, żeby obejrzeć sobie Panią Sowę przy pracy. Pani Nan, panna Ping... wszystkie się na nią gapiły.

Jakie to głupie, pomyślała Mae. Próbować mnie poniżyć takimi drobiazgami. Uśmiechnęła się wesoło, pomachała do nich jak do przyjaciółek, chociaż miała ochotę odwrócić się i pokazać im tyłek. Naprawdę tak je zachwyca coś, o czym przecież dobrze wiedzą: że musi pracować?

Pani Ali powiedziała coś, po czym poklepała panią Sunni po ramieniu. Prawda została ujawniona: Pani Sowa jest wieśniaczką. Można jechać do miasta.

Mae zorientowała się nagle, że nic a nic jej to nie obchodzi. Zachichotała i wróciła do pracy.

Wzgórza były takie piękne. Mąż znalazł pracę. Cokolwiek się zdarzy, będzie miała z tego jakiś interes, bo szkoła okazała się sukcesem. Joe wróci do domu i wówczas, jak połóg i żałoba, jej bliskość z panem Kenem dobiegnie końca.

Ryż szeptał na wietrze, niezmiennie od dwóch tysięcy lat. Czasami świat wydawał się dobry, spokojny, szczęśliwy. Mae doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że to tylko chwila wytchnienia, życie bowiem jest ciągłą walką. Ptaki zjadają robaki, składają jajka, ich jajka też się zjada. Ryż jest piękny, ale ryż się zbiera. Ludzie stają się ziemią, choć marzyli o niebie.

Po południu Mae uczyła w szkole. O zachodzie słońca, wracając



z lekcji z dziećmi, zobaczyła furgonetkę jadącą zygzakiem Lower Street w jej stronę.

Och, to nie mój cyrk, tylko Sunni, pomyślała. Mogę im przecież pomachać tak ładnie jak z pola.

Furgonetka zatrzymała się, blokując ulicę na jej ostrym zakręcie. Kierowca nie znał drogi. W świetle zachodzącego słońca cały świat wydawał się złoty, ale ten samochód był naprawdę polakierowany pięknymi płatkami metalicznego złota.

– Bardzo przepraszam – powiedział kierowca. Akcent z Balshang, twarz z Balshang. – Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie mieszka pan Wing?

Mae myślała szybko.

– Owszem, mogłabym, ale prościej będzie doprowadzić pana na miejsce. Mogę?

Twarz kierowcy pozostała niezmienną. Milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał, a potem powiedział tylko: „Proszę”. I otworzył przed nią drzwi.

Tylna część furgonetki wypełniona była po brzegi bagażem: narzędziami, książkami, walizkami oraz pośpiesznie złożoną płachtą niebieskiego namiotu. We wgłębieniach metalowych śledzi pozostały okruchy ziemi.

– Jak długo do żniw? – spytał kierowca.

Był młody, nawet bardzo młody. Skąd miał taką wspaniałą furgonetkę? Był także nieprawdopodobnie chudy. Najwięcej miał włosów: młode, gęste, wijące się, jakby siłą wciśnięte pod kapelusz. Doskonale bezużyteczny kapelusz, miękki, w zielonkawym kolorze khaki, pozbawiony runda. Taki kapelusz nie chroni przed słońcem, tylko dodatkowo grzeje głowę. Na nosie chłopak miał maleńkie okulary. Uśmiechał się dobitnie. Otaczała go aura łagodności. Mae miała ochotę go ostrzec: „Uważaj, gdzie rozbijasz ten namiot, kiedy śpisz w nim sam”.

– Niespełna miesiąc – odpowiedziała na jego pytanie. – Mężczyźni zaczną wkrótce wracać.

– Szukają pracy, tak? – Usta chłopaka zadrżały, wyginając się dziwnie, w dół.

Silnik zawarczał głośniejsze na wysokich obrotach, wjeżdżali na

stromie wzgórzu, na którym stał dom pana Winga.

– Dlaczego pan tak... są jakieś problemy z pracą?

– A są. – Zabrzmiało to prawie jak wybuch śmiechu. – Nie słyszała pani?

– My tu nie mamy żadnych informacji.

– Aaa... Nie ma pracy. Cały kraj wędruje, żeby ją znaleźć.

Wjechali na podwórko Wingów. Zabłyśły światełka na desce rozdzielczej, chłopak pstryknął czymś i wysiadł, Mae także. Stał z rękami na biodrach, podziwiając dom.

– Te stare domy z gór są naprawdę piękne – powiedział. – I miło tu, chłodno. Pan Wing trzyma telewizor na podwórku?

– Stoi tu, żeby cała wioska mogła go używać. Uczę z jego pomocą.

Chłopak odwrócił się. Był bardzo młody, ale z kącików jego ust biegły w dół zmarszczki tak charakterystyczne dla chudzielców.

– Czego pani uczy?

– Jak używać telewizji. Jak będzie wyglądał Tlen. Swoją szkołę nazwałam „Jaskółka”. Chodzi mi o to, żeby ludzie mogli latać.

– Hm... Jak się pani nazywa?

– Mae.

– Nie, pytałem o imię i nazwisko. – Kierowca zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Jestem przedstawicielem rządu. – Miał chyba nadzieję, że dzięki tej funkcji zyskuje zaufanie.

– Oto pani Wing – powiedziała Mae, unikając podania nazwiska.

Kwan pojawiła się na schodach z pytającym wyrazem twarzy.

– On pracuje dla rządu – ostrzegła ją Mae, krzywiąc się.

– Pani Wing, czy zastałem pani męża? – spytał chłopak.

– Mój mąż odwiedza swe liczne gospodarstwa, by sprawdzić, jak funkcjonują.

– Ja... – powiedział pan Rządowy i opanował się w ostatniej chwili. Chciał oczywiście powiedzieć: „Nie spodziewałem się tu Eloi”. – Jestem przedstawicielem Centralnego Biura Technologii Informatycznych – oznajmił. – Bardzo interesuje nas przebieg Testu.

– Test odbył się przed wieloma miesiącami. – Kwan zachowywała nienaganną, obojętną grzeczność.

– Oczywiście. Ale jest bardzo wiele wiossek. Odwiedzam je jedną po drugiej, oceniam wyrządzone szkody, pomagam przygotować ludzi na to, co czeka ich w przyszłym roku.

– Robimy to we własnym zakresie. – Kwan skinieniem głowy wskazała Mae. – Mae pomaga nam wszystkim.

– Tak, słyszałem – powiedział pan Rządowy. Uśmiechnął się za aprobatą. – Gdzie indziej inaczej to wygląda.

– U nas właśnie tak – stwierdziła Kwan, nadal uprzejma, lecz chłodna.

– Doskonale. A państwa telewizor? Czy działa?

– Och, jest w jak najlepszym porządku.

Kwan mówiła, jakby nie była sobą. Uprzejmy, obojętny uśmiech zastygł na jej wargach. Błyszczące oczy przekazywały Mae wiadomość. Mam go trzymać jak najdalej od telewizora, pomyślała Mae.

– Doskonale. Centralne Biuro Technologii Informatycznych dało mu na niego grant, prawda?

Kwan drgnęła.

– Obawiam się, że nic nie wiem o interesach męża.

Mae zmieniła temat, jakby wyrывała przybyszowi chodnik spod stóp.

– Ma pan gdzie mieszkać? Bo widzi pan, sąsiad ma wolne pokoje. A samochód można zostawić na moim podwórku.

Kwan sprowadziła go jeszcze dalej na manowce.

– Och tak, biedny pan Ken. Z pewnością zechce pan z nim porozmawiać. Test doprowadził do szaleństwa jego żonę. Utopiła się. A jego babka umarła z szoku.

Pan Rządowy miał bardzo smutną minę. Potrząsnął głową.

– Cóż za głupota!

– Nie mamy wykształcenia. – Kwan skromnie spuściła wzrok.

– Nie to miałem na myśli! Głupotą było wykonanie Testu.

Pan Rządowy przyznający, że rząd się myli? Albo ten chłopak był młody i głupi, albo bardzo, bardzo niebezpieczny. Kwan i Mae wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

– Czy... – pan Rządowy sprawiał wrażenie zażenowanego – ...proszę mi wybaczyć, ale muszę zadać to pytanie, szanowna pani

Wing, ale czy ktoś jeszcze zginął z powodu Testu?

– Nie, tylko one.

– Co za straszna rzecz, dwie kobiety z jednej rodziny.

Kwan znów spojrzała na Mae.

Od bramy dobiegły zachwycone dziecięce szepty.

– Proszę pana – powiedziała Mae – dzieci widziały pańską furgonetkę. Jeśli chce pan gdzieś pojechać, to jest właściwa chwila.

Ta prosta prawda sprawiła, że Kwan i Mae roześmiały się nagle, dźwięk niczym wody w rondlu.

– Ona ma rację – przyznała Kwan.

Kąciaki ust pana Rządowego znów opadły w tym dziwnym grymasie bardzo przypominającym wstyd. Skinął głową, włożył na głowę swój beużyteczny kapelusz, po czym spytał jeszcze:

– Czy mogę wrócić wieczorem, by z panią porozmawiać?

– Oczywiście – odparła Kwan. – Ale tak naprawdę musi pan porozmawiać z Mae.

– Ach! – westchnęła Mae. – Małe niegrzeczne małpki już nas zauważyły.

Uśmiechnięte Dawn i Zanyab gapiły się na nich zza bramy, a za nimi tłoczyli się Pinowie.

– Ops! – westchnął pan Rządowy. Pobiegł do samochodu niezdarnym kłusem.

Jechali z powrotem, w dół Lower Street, kiedy zdarzyło się coś wspaniałego. Wynajęty busik Sunni z wysiłkiem pokonał właśnie grzbiet wzgórza i wjechał na mały placyk. Złota furgonetka musiała skręcić ostro, by uniknąć zderzenia.

Mae wystawiła głowę przez okno, uśmiechnęła się i wesoło pomachała do jego pasażerek. Pani Haseem, pani Ali, panna Ping zobaczyły Chung Mae w jej własnym złotym samochodzie. Patrzyły na nią oniemiałe ze zdumienia. A Mae machała i pozdrowiała je: „Witam, witam”.

Pan Rządowy też się uśmiechał.

– A to konkurencja, nie myślę się, prawda? – spytał.

Mae poczuła się zagrożona.

– Co pan ma na myśli?

Pan Rządowy zmienił bieg. Ruszyli powoli.

– Och, w wioskach takich jak ta Test był przyczyną wielu problemów. Proszę mi teraz powiedzieć, gdzie mam jechać.

A może by tak do Balshang? – pomyślała Mae. Ale nie powiedziała tego głośno.

Rządowa furgonetka gładko wjechała przez bramę na podwórko przy domu Mae. Kury pana Kena rozbiegły się w panice, rozszczękał się pies, najmłodsze córki wybiegły pogapić się na złotą maszynę. Pojawiła się też stara pani Ken, wycierając ręce.

Mae ukloniła się matce swego kochanka. Wymieniły zwyczajowe pozdrowienie, po którym poinformowała ją, że „ten pan potrzebuje pokoju”. Stara pani Ken nie wyglądała na szczęśliwą.

I wtedy pan Rządowy oznajmił:

– Mogę pani dać pięć rielsów za noc.

Mae dosłownie osłupiała. Mój Boże, mogłabym zapłacić procenty od pożyczki!

Musiała jakoś znieść promienny uśmiech starej pani Ken, kłaniającej się jej raz za razem, zachwyconej tak hojnym darem sąsiadki.

– To dla nas honor! Zaszczyt! – wykrzykiwała pani Ken. – Do naszego domu znów zawita szczęście. Droga pani Chung, doprawdy przesadnie troszczy się pani o sąsiadów. Jest pani zbyt uprzejma. Ach nie, proszę pana, weźmiemy pańskie rzeczy. Kuei! Kuei!

Z domu wyszedł Ken Kuei, tuż po kąpieli. Zawstydza człowieka z miasta, pomyślała Mae, patrząc, jak podchodzi i bierze jego walizkę. Był okrągły jak dojrzały owoc, on zaś przypominał raczej usychające krzaki na bezkresnej równinie.

– Pani Chung – powiedział pan Rządowy – będę musiał porozmawiać z panią, gdy już się jakoś rozgoszczę.

– Oczywiście – zgodziła się Mae.

Weszła do mrocznego domu. Napiła się wody, zjadła zimny ryż. Nagle poczuła się samotna. Dziwnie było widzieć uśmiechającą się do niej starą panią Ken. Gdyby matka Kueiego знаła prawdę,

biłaby się w piersi i na całą wioskę wykrzykiwała: „Skandal! Skandal!”.

Myśli Mae były zimne jak ryż, jak milczenie. Jak wybrnąć z tej sytuacji?

W tym momencie pojawił się rządowy szpieg.

– Proszę o wybaczenie – powiedział.

– Pan jest z rządu – odparła.

Wzruszyła ramionami, oznajmiając w ten sposób: „A kimże ja jestem, by stawać na drodze rządu?”. Żółty samochód tego chłopca miał barwę zachodzącego słońca, którego promienie wpadały przez jedno małe okienko jej domu. Bieda szpeciła ją niczym zakrywający ramiona szal nadjedzony przez mole.

– Nie jestem „z rządu”. To znaczy tak, zatrudnia mnie rząd, ale wszyscy jesteśmy z Karzistanu. Dbamy o nasz kraj. Mogę?

Wskazał krzesło. Co byś powiedział, panie Rządowy, gdybym powiedziała „nie”.

Mae musiała jednak przyznać, że chłopak prawdopodobnie nic by nie powiedział. Ale przynajmniej przypomniał sobie o dobrych manierach i podał swoje nazwisko. Mae, słysząc je, zamknęła oczy. Zawstydziła się za niego.

Nazywał się Oz Oz.

Nazwiska zaczęto przyjmować zaledwie w zeszłym wieku. Ludzie wybierali sobie te przynoszące szczęście. „Oz” w tureckim języku Karz oznacza „prawdziwy”, „oryginalny”, czasami także „naiwny”. Prawdziwe imię i nazwisko pana Rządowego brzmiało więc „Prawdziwie Szczery”.

Pan Szczery postukał w blat stołu.

– Test odbył się zdecydowanie za wcześnie – oznajmił. – Karzistan nie jest krajem wystarczająco potężnym, by mógł go powstrzymać. No i – westchnął – byłoby błędem powstrzymać go, ponieważ w końcu i tak by się odbył, tylko przeprowadziłyby go wielkie firmy.

Mae patrzyła na niego w milczeniu.

– Wielkie firmy należące do bardzo bogatych ludzi. One przeprowadziłyby Test. Czy wie pani coś o O En Zet? Narodach Zjednoczonych?

Potrząsnęła głową. Jestem zwykłą, nieuczoną wieśniaczką.

- To Organizacja Narodów Zjednoczonych zdecydowała o przeprowadzeniu Testu. Rząd światowy. Wiem, rząd to nie ludzie, ale i tak jest lepszy od wielkich firm. Czy wie pani, jak działa Tlen?

- Zależy, o co pan pyta.

- W porządku. No więc w komputerze jest taki talerz. Przeznaczony na Info. - Wziął jeden z jej talerzy, by móc demonstrować, o czym mówi. - By móc zapisać informacje, trzeba nanieść na niego specjalny wzór.

- Jak haft?

- Trzeba podzielić go na kręgi. O tak. I kawałki, jak ciasto. A potem tworzy się na nim pewne obszary.

- Jak zagrody - odezwała się Mae. - Mówi pan o Formacie.

- No właśnie! Format. Pojawiło się pytanie: czy chcemy, by wielkie firmy, bogaci ludzie, kształtowali w ten sposób ludzkie umysły?

Mae spoważniała. Wyprostowała się na krześle.

- Rozumiem.

Oczy w dziwnej, pociągłej, chudej twarzy mnicha wpatrywały się w nią uważnie. Czy aby naprawdę rozumiała?

- O En Zet uznały, że muszą temu zapobiec. Wystąpiły z innym Formatem. Ich Format... ich Format dopuszczał możliwość dołączenia większej liczby firm i większej liczby krajów.

- Nie chcieliście, żeby wielkie firmy rządziły ludzkimi mózgami - skomentowała jego słowa Mae.

- Tak. - Pan Szczery skinął głową.

- I doprowadziliście do tego, że Test O En Zet był pierwszy? - To właśnie, pomyślała, zabiło ludzi.

- Ja do tego nie doprowadziłem - powiedział chłopak cicho.

Ach, wy, Rządowi. Nigdy się nie przyznacie, że coś jest waszą winą.

- Phi. Wielcy ludzie zachowują się jak wieśniacy z małych wiosek.

\*\*\*

Wrócili spacerkiem do domu Kwan. Mae starała się zatrzymać pana Rządowego najdłużej, jak to możliwe. Opowiadała mu o śmierci pani Ken Tui i starej pani Tung, aż zaczął zdradzać oznaki irytacji. Kiedy szli razem uliczką wioski, małe dzieci, które powinny już dawno spać, otoczyły ich ciasnym kręgiem.

– Pan pracuje dla rządu? – zapisał Pin Soon. Patrzył na pana Rządowego z czymś w rodzaju podziwu.

– Owszem, dla rządu.

– Jest pan bogaty?

– Nie. – Pan Szczerzy zachichotał. – Nikt, kto pracuje dla rządu, nie jest bogaty.

– Mój brat jest w wojsku i jest bogaty!

– Ach! Wojsko! No cóż, wojsko to zupełnie inna rzecz. Jakiej rangi?

Pin Soon spojrzał na niego zdziwiony i nieco zawstydzony. Nie wiedział.

– Kieruje ciężarówką – pochwalił się.

– Chodźcie do szkoły pani Mae?

– Ta, tak! Nazywamy ją „Starą Panią Śmierć”.

– Ale dlaczego? – spytał pan Rządowy, tracąc pewność siebie.

– Bo znakiem Edukacji jest sowa. – Dawn zachichotała, ciągle nie potrafiąc zrozumieć takiej głupoty.

Mae tylko na to czekała. Zobaczyła, jak usta pana Rządowego wyginają się w dół. Z zawstydzenia tego rodzaju niezręcznością świata. Przypomina mu, kim jest, pomyślała Mae.

– Poprosiłam je, żeby nazywały mnie Panią Sową. Żeby zaczęły myśleć o sowach inaczej.

– Miejmy nadzieję, że to się pani uda.

Podeszli do furtki Kwan. Pan Rządowy obrócił się i powiedział do dzieci:

– Słuchajcie! Idziemy w odwiedziny do pani Kwan, a ona z pewnością nie chciałaby, żeby przeszkadzało nam tyle dzieci. Więc wróćcie teraz wszystkie do domu.

– Chcemy zadać panu mnóstwo pytań. – Dawn włożyła na próbę rękę do kieszeni pana Rządowego.

Wyjął ją, ale nie dał dziewczynce po łapach.



– Nie mam słodczy – powiedział. Już się nie uśmiechał. – Nie mam żadnych słodczy.

Dawn zachichotała.

– Szukałam pieniędzy – oznajmiła.

Beznadziejna sprawa, pomyślała Mae.

– Dawn, wytargam cię za uszy!

Dziewczynka śmiała się tak, że nie była w stanie odpowiedzieć. Próbowała wyrwać się panu Rządowemu.

– Dawn! – Głos Mae zabrzmiał groźnie.

– Dobrze już, dobrze. – Dziewczynka zachichotała i cofnęła się.

– A wy wszyscy do domu i do łóżek – powiedziała Mae najlepszym głosem Pani Sowy.

Pan Rządowy uśmiechnął się.

– Wszędzie jest tak samo – zauważył.

Dlaczego więc nie nauczyłeś się, jak sobie radzić? Mae zamknęła furtkę na zasuwkę.

W tej chwili pan Rządowy zadał jej nieoczekiwane pytanie.

– Czy powiedziałaaby pani, że tutejsza opozycja tworzy się według podziałów religijnych?

Mae wybałuszyła w ciemności oczy. Tego rodzaju pytania trzeba zadawać z wielką ostrożnością, nawet gdy w pobliżu nie ma nikogo.

– Podziałów religijnych?

Pan Rządowy roześmiał się głośno.

– Och, oczywiście. W wielu miejscach tak było. Niektóre plemiona, mniejszości, są bardzo przesądne. Uważają, że głosami, które słyszą, przemawiają duchy, demony czy coś takiego. Muzułmanie z kolei wydają się bardzo otwarci.

– Nie mieliśmy takich kłopotów.

– Hm... W takim razie ta wioska jest wśród najlepszych, jakie widziałem.

Kwan siedziała po turecku na podłodze. Wyglądało na to, że pisze listy. Na ich widok zebrała je szybko. Wymieniły spojrzenia i Mae zobaczyła tańczące w jej oczach wesołe iskierki. Cokolwiek trzeba było zrobić z telewizorem, zrobiła to. Poszła zaparzyć herbatę, serdeczna i wesoła.

Pan Rządowy zadawał pytania, jedno za drugim. Było ich tyle, co ziarenek ryżu na polu. Kwan ziewnęła.

– Proszę pana, jeśli chce pan dostać odpowiedź na nie wszystkie, to Mae zrobiła Mapę Pytań.

– Co? – Pan Rządowy wyprostował się w krześle.

No doprawdy, dziękuję ci z całego serca, Kwan.

– To nie było nic takiego. – Mae spiorunowała przyjaciółkę wzrokiem.

– Jak to „nic takiego”! Co pani zrobiła?

Kwan natychmiast zdała sobie sprawę z tego, jaki popełniła błąd.

– Och, to był tylko taki drobiazg.

– Mapa pytań. To znaczy, że odwiedziła pani wszystkich w wiosce i zadała im takie same pytania. Czy to właśnie pani zrobiła?

Mae nadal nie potrafiła kłamać.

– Owszem – przyznała. – Ale ja pytałam o modę.

– Pani pytania nie miały nic wspólnego z Testem? Nic a nic? Z tym, co ludzie o nim myślą? Mógłbym zobaczyć tę Mapę?

Mae zmrużyła oczy. Gniewnym spojrzeniem przeszywała Kwan na wylot. Niewidoczna dla gościa, bo stojąca za jego plecami, przyjaciółka skłoniła się jej przepraszająco, krótko, lecz nisko.

– Dałam ją Kwan – powiedziała Mae rozgniewana mimo przeprosin.

– Och, oczywiście! Gdzie ja ją mogłam położyć? Wiesz, jestem prawie pewna, że Luk ją wyrzucił. Pomyślał pewnie, że to bezużyteczny kawałek papieru.

– Proszę, pozwólcie mi ją zobaczyć. Proszę. – Pan Rządowy błagał, z jego spojrzenia biła szczerość. – Nie wiecie, panie, jakie to jest ważne. Nikt nie chce ze mną rozmawiać. Mam przeprowadzić badania, ale jeśli będę próbował przeprowadzić je tak, jak chcą oni, nikt nie zechce ze mną rozmawiać. A my musimy wiedzieć. Jeśli mamy wam pomóc.

Przeskakiwał spojrzeniem z Mae na Kwan i z powrotem. Mogłabym ci nawet uwierzyć, pomyślała Mae, ale przecież jesteś rządowym szpiegiem.

Pan Rządowy był w rozpacz. Przesunął dłonią po czole.

– Większość ludzi udaje, że to się w ogóle nie zdarzyło. Niczego się nie uczą. Nie przygotowują się do tego, co musi nadejść. A Tlen nadejdzie, to pewne, jak nadchodzi zima. W kwietniu przyszłego roku. – Młody człowiek niespokojnie poruszył się w krześle. – Muszę mieć coś, co mógłbym przekazać rządowi. Musi zacząć wydawać pieniądze. Wysłać do wiosek nauczycieli przygotowujących ludzi. Test był nieszczęściem, był klęską, ale wyjście w Tlen będzie jeszcze większym. – Pan Rządowy niezdarnie bił pięściami powietrze.

W porządku, więc ci wierzę, pomyślała Mae. Jesteś miłym, smutnym, bezradnym chłopcem. Dlaczego miałabym zaufać rządowi?

Pan Rządowy był jeszcze chłopcem, ale z całą pewnością nie był głupi.

– Nikomu nie powiem, że pokazałaś mi swoją Mapę. Wiem, wiem, sąsiedzi uznaliby, że ich zdradziłaś rządowemu szpiegowi. Ale proszę, pokażcie mi Mapę, niech wiem, jaki wpływ wywarł na nich Test. Nie muszę znać nazwisk. Ale kiedy wrócę, muszę mieć dowody, by powiedzieć rządowi: „Potrzebują pomocy”. Musimy przecież wysłuchać ludzi, żeby się dowiedzieć, jak możemy im pomóc.

Dwie wymachujące w powietrzu zaciśnięte pięści zderzyły się ze sobą. Mae została pokonana.

– Pan i ja czujemy tak samo – przyznała. Pan Rządowy odetchnął z ulgą. – Tylko że rząd nigdy nie pomaga ludziom takim jak my. Żyjemy za daleko od wszystkiego.

– Właśnie dlatego muszę wiedzieć, czego pani tu dokonała! Proszę zrozumieć, ludzie z rządu mają synów w armii. Wszyscy macie synów w armii. Czy sądzicie, że nasi synowie chcą krzywdzić ludzi? Czy może wolą, byśmy wszyscy tu, w Karzistanie, jednak odnieśli sukces?

– Nie wszyscy jesteśmy Karzami – zauważyła Kwan. Jej twarz i głos zdradzały niezwykle napięcie.

Z tym stwierdzeniem pan Szczery nie mógł się spierać. Przygarbił się nieznacznie, lecz widocznie.

– Popełniono straszny błąd. Jeśli rząd wam nie pomoże, to kto?  
– Pomożemy sami sobie – powiedziała Kwan.  
– To chyba wy jedyni – mruknął pan Rządowy.  
– Moja Mapa Pytań dotyczyła mody – powiedziała Mae. Sam pomysł wydał jej się teraz głupi, wręcz absurdalny. – Zrobiłam ją, żeby się dowiedzieć, jaki wpływ Tlen będzie miał na moje interesy.

– I czego się pani dowiedziała? – spytał cicho pan Rządowy.  
– Że wioska umarła – odparła równie cicho Mae. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu słyszy tykanie zegara. Skąd tu zegar? Gdzie?

– Jak to?  
– Tak... tak, że nasze dzieci przestaną się różnić od wszystkich innych. Będą grały w gry komputerowe, będą uczyć się wszystkiego i nasz stary styl życia odejdzie w przeszłość. W przeszłość odejdzie wszystko, co znamy i kochamy. Pojawią się supermarkety, światła na ulicach, a mężczyźni będą jeździć fordami, nie traktorami albo furgonetkami.

Mae rozejrzała się po pokoju Kwan. Nie, z pewnością nie było tu zegara. A jednak tykał.

Znów usłyszała syreny. Odwróciła się powoli. Zobaczyła, że świat za oknem domu Kwan przesycony jest pomarańczowym światłem, jakby wioskę ogarnął pożar. Wiedziała już, że znów patrzy w przyszłość. Wstała. Niczym po pokładzie statku na morzu podeszła do umieszczonego pod dachem okna.

Sterowiec, przywiązany do bramy i oświetlony neonowym światłem, reklamował adres elektroniczny. Podwórko wypełniały stoliki i siedzący przy stolikach ludzie. W tym domu powstała restauracja. Żółte uliczne światła ciągnęły się daleko, daleko, przez całą dolinę i pod górę z jej drugiej strony, wszędzie widać było ruchome jasne punkty reflektorów samochodowych. Muzyka dobiegała dosłownie zewsząd.

– Mae? – W głosie Kwan brzmiał niepokój. – Mae! – Położyła przyjaciółce dłoń na ramieniu.

Mae przemówiła głosem, który tylko w części należał do niej. Bo w części był głosem starej pani Tung.

– Stare piosenki... dobre stare maniery... one też odejdą w przeszłość. – Na dole, w restauracji, jakiś pijak roześmiał się głośno. – Pracowałyśmy wszystkie razem, w Kręgach, każda z nas po kolei przynosiła drugie śniadanie, a wszystkie te, które umiały czytać, recytowały poematy dla kobiet. Nie... nie piosenki pop... nie piosenki po angielsku, tylko naszą poezję, wielką poezję, w której słowa mają sens. Czytaliśmy Rumiego Mevlanę. – Rozpłakała się: Mae, może pani Tung, a może ktoś inny? – „Posłuchaj trzciniowego fletu, jego opowieści”.

– Mae, Mae, Mae... – powtarzała Kwan raz za razem. – Mae, wróc.

– Same szyłyśmy sobie ubrania. Paliłyśmy własny tytoń, nie obchodziły nas lakier do włosów i makijaż. Liczyło się, jak silna jest kobieta, ile może unieść. Zimą żony gotowały w grupach, jedna grupa cały dzień zupę, druga grupa cały dzień gulasz, wszyscy jedli, nikt nie był sam. Pierwszego dnia Muerain wzywał Boga, by przyszedł i dał nam mądrość, następnego dnia kapłan w uroczystych szatach błogosławił jedzenie, a trzeciego komunista czytał z małej czerwonej książeczki. W Kizuldah to był jeden i ten sam mężczyzna! – Mae widziała, jak jej ręce skręcają ściereczkę, nie przestają jej skręcać. – A teraz musimy to zniszczyć! Musimy to zniszczyć, by przeżyć!

Kwan mówiła cicho. Mówiła do pana Rządowego.

– Zapytał mnie pan, kto jeszcze zmarł w trakcie Testu. Mae. Była w czyjejs głowie. Umarły i w jej miejsce wróciła inna osoba. Zmienia się jak teraz, wiąże się z umarłymi, traci kontrolę nad sobą. A zawsze była taka piękna! Pański Test zrobił to mej przyjaciółce. Jestem bardzo zła na pański Test. Jestem bardzo zła na was wszystkich!

I Mae zobaczyła, jak po surowej twarzy Kwan spływa łza.

Pan Rządowy siedział z dłonią przyciśniętą do ust.

Czy to, co powiedziała Kwan, było prawdą? Czy ona, Mae, rzeczywiście znajdowała się w tym stanie?

– Bardzo mi przykro. – Z ust pana Rządowego z trudem wydostał się szept.

– Aha. – To było wszystko, co Kwan miała do powiedzenia. Co dają takie przeprosiny?

Dobiegające z restauracji na dole hałasy cichły. W pokoju zrobiło się jaśniej, jakby ktoś włączył mocne, dodatkowe oświetlenie.

Mae podjęła decyzję.

– Pokażę panu moją Mapę Pytań.

\*\*\*

Wrócili do domu Mae. Pan Szczery czytał Mapę Pytań, nie przestając kręcić głową.

– Pozwolę panu wziąć ją ze sobą – powiedziała Mae – jeśli pan powie mi wszystko, co wie o Tlenie. – Pan Szczery czytał Mapę Pytań, nie przestając kręcić głową. – O En Zet. Gates. Wszystko.

Pan Rządowy uniósł głowę i spojrzał na nią.

– Jak? – spytał. – Dane liczbowe zostały wprowadzone do arkusza kalkulacyjnego i przeliczone. Dane jakościowe... skąd pani wiedziała, jak to zrobić? To jest przecież uporządkowany materiał badawczy.

– Tlen. W Tlenie jest Kru.

Pan Rządowy zamarł. Był nieruchomy jak głaz.

– Wróciła pani w Tlen? Nie powinna pani mieć takich możliwości.

– To było wtedy, kiedy zdarzył się ten... wypadek. Żeby się wydostać, stworzyłam sobie adres Poczty błyskawicznej.

– Jak pani to zrobiła?

– Użyłam mojego imienia.

– Przecież jeszcze nie Tlenują – wykrztusił bezbrzeżnie zdumiony młody człowiek.

– Kru nadal tam jest.

– Nie powinien być. Chroni go prawo autorskie. Zgodził się robić to tylko dla potrzeb Testu. – Usta znów wygięły mu się w dół.

– Wy, ludzie, też nie wiecie, jak działa Tlen, prawda?

– To prawda – przyznał pan Rządowy. – Nie wiemy.

Wyjaśnił, że Kru to wielki biznesmen, rywal firmy, która przygotowała Format Gatesa. Swoje kompetencje przekazał Formatowi O En Zet dla potrzeb Testu. Umowa nie przewidywała, by do końca życia miał dzielić się swoimi doświadczeniami za

darmo. Przyjęto, że skończy się na Teście.

– Pani Tung zawsze jest ze mną – powiedziała Mae.

Pan Szczery wyszedł. Słyszała jego kroki na podwórku. Słyszała też, jak stara pani Ken wita go z entuzjazmem odpowiadającym sumie pięciu rielsów za noc. Mae poczuła zapach kurczaka gotującego się w darze dla hojnego gościa. Usiadła. Zastanawiała się, czy Kuei będzie w stanie odwiedzać ją teraz, kiedy w jego domu panuje taki bałagan.

Jakbym była w żałobie.

Oczywiście, że jesteś w żałobie. Po starej pani Tung.

Stłumiony głos był bardzo łagodny.

Wszyscy potrzebujemy kotwicy. Wszyscy chcemy skrócić na rogu i wrócić do domu. Ale dom cały czas się oddala. Dom zostawia nas za sobą. A my starzejemy się i starzejemy i jesteśmy coraz dalej od domu. Coraz dalej od nas samych. Umieramy, nim umrzemy, kochanie. Wioskowe piękności zmieniają się w stare wiedźmy, rozdokazywane dzieciaki w zmęczonych życiem dorosłych, piękne panny przepełnione miłością w gorzkie, zużyte kobiety przepełnione goryczą. Jedyne, co mamy, to miłość, a nie mamy kogo kochać. Zostaje tylko miłość, próbuje się z nas wyrwać, szuka po omacku innej miłości, ale nigdy nie zostaje odwzajemniona.

Tylko trzciny i jaskółki, mgła zawieszona w powietrzu, słońce przenikające powietrze, szum wiatru. Tylko to się nie zmienia. To nasz jedyny dom, innego nie mamy.

Droga stara pani Tung.

Śpij, kochanie.

Śnij całe piękno, które utraciliśmy, i to, które jeszcze utracimy.

Następnego dnia na podwórku państwa Wingów pan Szczery i Mae zastali dwie grupy uzbrojonych mężczyzn. Naprzeciw siebie stali pan Shen, pan Koi i pan Masud z jednej strony, wszyscy albo Eloi, albo tradycyjni muzułmanie, po drugiej pan Mack, pan Pin, pan Ali i stary pan Doh.

– Koniec z tym – powiedział Shen.

Mae potrafiła rozszyfrować sens takiego składu obu grup. Pan Ali należał do partii Sunni, był tu, by ocalić telewizor Kwan. A więc sojusz przeciwko Shenowi! Tak szybko! Pan Ali przyszedł uzbrojony, co oznaczało, że Shen groził wcześniej panu Haseemowi.

Rozległ się krótki, donośny stuk. Na schodach swojego domu stanął szczupły, opalony, twardy pan Wing. W rękę trzymał rosyjski karabin, zarepetowany.

– On nie należy do ciebie, Shen – powiedział.

Za jego plecami stanął Enver Atakoloo. Uzbrojony.

Mae zrobiła krok przed siebie. Przywitała członków obu grup pełnym szacunku ukłonem.

– Z czym koniec, nauczycielu? – spytała Shena cicho, spokojnie.

Shen machnął ręką w stronę telewizora.

– Nie chcemy tego czegoś w naszej wiosce!

– Jestem pewna, że decyzja w tej sprawie należy do mężczyzn – oświadczyła Mae słodko. Jak koty wobec ludzi, ona też dysponowała rodzajem głosu, którego używała wyłącznie wobec mężczyzn. – Lecz proszę cię, nad jednym się zastanów, nauczycielu. Kiedy już nadejdzie, Tlenu nie powstrzymamy.

Pan Rządowy uznał, że w tym momencie musi interweniować całą siłą swego autorytetu.

– Pani Chung ma rację. Telewizja pomoże wam przygotować się na kwiecień.



Mae miała ochotę uśmiechnąć się do niego i rozplakać jednocześnie. To, co się teraz dzieje, dzieje się, bo tu przyjechałeś, biedny chłopcze. Dla nich jesteś niewidzialny, jak anioł. Nietykalny, lecz także niewidzialny.

W odpowiedzi pan Shen podszedł do telewizora. Strzelbę trzymał za lufę, ze wzniesioną do uderzenia kolbą.

Niebo rozdarło się z trzaskiem. Strzały zawsze przypominały Mae dźwięk towarzyszący odpalaniu fajerwerków. Stuk i trzask. I zawsze zaskakiwało ją, że wydawał się taki cichy. Jednakże teraz, na zamkniętej przestrzeni podwórka, huk odbił się wielokrotnym echem. Aż podskoczyła, zakryła uszy dłońmi. Proszę, Boże, tylko niech nikt nie zostanie ranny. Powoli uniosła wzrok. Lufy wskazywały niebo, wszystkie, bez wyjątku, a w całej wiosce poderwały się ptaki, kracząc, skrzecząc i wrzeszcząc.

Na dziedzińcu życie zamarło. Nikt się nie poruszył.

– Przynajmniej przepłoszyliście szkodniki z ryżu – przerwała ciszę Mae. Wypowiedziała pierwszą myśl, która przysła jej do głowy.

Pan Doh, pan Ali i pan Mack jednocześnie wybuchli śmiechem.

– Przecież to prawda – dodała.

Pan Mack skinął głową. Oczywiście, święta prawda.

Shen stał nieruchomo, nadal z uniesioną lufą broni. Drżał na całym ciele.

– Nie bądź wandalem, Shen – przestrzegł go pan Wing. – Jest tu człowiek z rządu, trafisz przed sąd i wcale nie dlatego, że ktoś z nas cię zdradził. Co ty na to? Nie bądź głupcem.

Shen wymierzył, ale trudno było powiedzieć, czy w Winga, czy w Kwan.

– Trzymaj... się... z daleka... od mojej żony.

Śmiech ucichł jak nożem uciął. Co?!

Pan Wing zdumiał się.

– A cóż to za nowe szaleństwo, nauczycielu?

Cisza. Tylko gdzieś, po zachodniej stronie wioski, ryknął silnik motocykla.

Kwan zrobiła krok przed siebie, od kanapy w stronę schodków.

– Jemu chodzi o mnie – wyjaśniła. – Suloi i ja pracujemy

wspólnie nad pewnym projektem.

Mae natychmiast zrobiła się podejrzliwa. Kwan i żona Shena? Od kiedy? Czym się zajmowały?

Jest coś, o czym moja przyjaciółka Kwan postanowiła mi nie mówić.

Ryk motocyklowego silnika stawał się coraz głośniejszy. Przez otwartą bramę na podwórko wjechał chłopak Sezen, wioząc ją na tylnym siedzeniu. Za nimi, na zaolejonej maszynie, jechał jeszcze jeden Zły Chłopiec z Wyschniętej Wioski Kurulmushkoy. Chłopak Sezen zeskoczył z siodła, pękaty, trzymając w ręku kawałek rurki.

– Maszyna zostaje – oznajmił.

Shen nie miał szans. Spojrzał na starych ludzi ze swojej grupy.

– Sami widzicie, komu to służy i kto będzie tryumfował. – Rozpłakał się. – Popatrzcie na nich! Oni myślą, że to film z Hongkongu! Strzelby i motocykle. Tak teraz będzie wyglądał świat. Świat kobiet niekontrolowanych przez mężów, z głowami pełnymi głupich pomysłów i puszczonej luzem, niewychowanych dzieci.

Mae poczuła się nagle tak, jakby głowa, w środku, zaczynała jej pękać na połowy, bo krew znalazła nową drogę, którą mogła popłynąć. Przypomniała sobie nagle gniewne, zdeterminowane dziecko ukryte dziś w ciele nauczyciela Shena. Widziała je jako duszyczkę, którą należy chronić. Widok przed oczami zamazał się jej, jakby ich gałki wypełniło mleko, a gardło skręciło się, zmieniając głos na bełkotliwy.

– Zawsze tak było – usłyszała wypowiedziane przez siebie słowa. Wydawało się jej, że siedzi spokojnie i słucha kogoś innego. Przemówił wewnętrzny głos. – Zmiany następowały zawsze i zawsze były ogromne. Ale my zawsze myślimy, że przed naszą wielką zmianą świat był stały. Shen, mój drogi chłopcze, taki inteligentny, twój świat pojawił się zaraz po tym, jak Rosjanie wyparli Chińczyków. Nim się urodziłeś, Eloi walczyli z Chińczykami. Partyzanci zajmowali nasze domy, mężów rozstrzeliwano nam jako buntowników, bo ukrywali buntowników. Musieliśmy oddawać ziarno Czerwonej Gwardii. A

jeszcze przedtem wioski miały przywódców, wodzów. Nie ma przeszłości, do której można by wrócić, Shen, mój najinteligentniejszy chłopcze. Nadal jesteś za młody, by to zrozumieć?

Shen wyglądał jak duch samego siebie. Łzy na jego policzkach wydawały się zamrożone i w promieniach słońca kremowe od soli. Mae kręciło się w głowie, jakby oddalała się od swego fizycznego ciała. Traciła czucie w palcach.

– Nie można przywrócić starego świata. Który stary świat chciałbyś przywrócić?

Pan Rządowy tylko się na nią gapił. Mack, Doh, oni wszyscy wpatrywali się we własne buty.

Czoło Mae pokrył zimny pot. W kącikach oczu zatańczyły czarne plamy, a gałki oczne w tych miejscach wydawały się jej suche, ziarniste.

– Muszę usiąść – powiedziała i zemdlała.

\*\*\*

Ocknęła się w pokoju gościnnym domu Kwan, obłożona poduszkami. Bardzo poważna Kwan ocierała jej czoło.

– Ocaliliśmy telewizor – oznajmiła.

Czas wracać do interesów.

– Mieliśmy ludzi Sunni po swojej stronie – zwróciła jej uwagę Mae.

Kwan energicznie skinęła głową.

– Będę walczyć z bratem, póki nie napadnie na niego kuzyn.

– Pan Rządowy ich wystraszył.

– Wszystkiego się boją. – Kwan nie ukrywała szczerej pogardy. – Nigdy nie miałam krzty szacunku dla nauczycieli.

Mae zachichotała.

– W szkole dobrze to ukrywałaś.

– Oni mieli klucze – Kwan tylko wzruszyła ramionami.

– Co wymyśliłyście? Ty i pani Shen?

Kwan przez chwilę milczała, choć poruszała wargami.

– Powinam ci powiedzieć – przyznała w końcu.

Mae była gotowa. Pożądanie Info. To uczy ludzi ukrywania

uczuć.

– Suloi i ja umieściliśmy w Sieci screeny.

Mae nie rozumiała, o co jej chodzi.

– Umieściliśmy screeny o naszym ludzie. W telewizji.

Mae aż usiadła ze zdumienia.

– Co zrobiłyście?

W oczach przyglądającej się jej Kwan było trochę winy, ale była też zaczepność, bo to przecież nie twój interes.

– Nie leż. Czujesz się już wystarczająco dobrze, żeby to zobaczyć.

Mae przeszła za Kwan przez zacienione pokoje aż na ganek przed domem. Telewizor przeniesiono z podwórka na podest pomiędzy prowadzącymi do domu dwoma biegami schodów. Na podwórku została zastygająca plama ciemniejącej cieczy. Krew? Olej?

Palce Kwan zatańczyły na klawiaturze. Na ekranie, w rytmie jednostajnego stukania, pojawiały się angielskie słowa.

– Audio. Na, Karz. Z, Eloi – rozkazała Kwan. – Siła dźwięku w dół.

Następnie zaczęła wydawać polecenia w języku swego ludu. Język ten krakał jak kruk i jak kruk łopotał skrzydłami. Wydawało się, że czyni z Kwan innego człowieka, mniej rozważnego, gwałtowniejszego.

Pojawiło się zdjęcie tradycyjnego haftu Eloi. A telewizor wymruczał cicho, jakby do siebie: „Eloi to stara rasa, żyjąca obecnie w górskim regionie Karzistanu. Karzistan graniczy z Chinami, Tybetem i Kazachstanem. Screeny stworzyli przedstawiciele tego ludu”.

Screeny prezentowały „Sztukę”. Pod tym hasłem Suloi i Kwan śpiewały wysokimi, napiętymi głosami. Na wideo opowiadały stare historie, a wokół nich tańczyły angielskie słowa. Pokazywały wzory tatuaży, których znaczenie wyjaśniał cierpliwy głos Kwan. Mae zauważyła precyzję i niezwykły stopień skomplikowania czystych linii. Kwan je rysowała. Wzory, jak ich autorka, wydawały się czymś prywatnym i bardzo wstrzemięźliwym.

Jako następne: wyjaśnienie znaczenia wyszywanych napierśników, noszonych zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn Eloi. Nosili je młodzi mężczyźni, podbijający serca przyszłych żon, a także zaręczone kobiety. „Proszę zwrócić uwagę”, powiedział telewizor, „że linie paciorków biegną prosto i równolegle. Symbolizują dwa połączone ze sobą życia”.

Fotografie starych umocnień, opowieści o bohaterach Eloi walczących z Kozakami, Turkami i z Chińczykami.

Sekcja „Bohaterowie”, czyli mężczyźni walczący z komunistami.

„Niewielu ludzi na Zachodzie wie o tym konflikcie. Walki trwały dziesięciolecia, a skończyły się pokonaniem komunistów i stworzeniem nowej republiki. Myśleliśmy, że będzie ojczyzną wszystkich ludzi, nie tylko większości Karzów”.

Za plecami Kwan rozlega się głos, pasterze zaczynają śpiewać. Śpiewają o bohaterstwie, o życiu na wzgórzach, o modlitwach do ich przeróżnych bóstw, palą cienkie papierosy na lodowatym wietrze, pod czystymi gwiazdami. Bohaterowie stacjali głazy na głowy żołnierzy tylko po to, by zobaczyć, że miażdżyły ciała ich kuzynów wcielonych do komunistycznych armii.

Pojawiły się czarno-białe, niewyraźne fotografie. Przystojni młodzi Eloi, martwi, wpatrzeni w niebo, pozbawieni dolnych zuchw. Przystojni młodzi Eloi, żywi, siedzący przy ognisku. Ich oczy mówiły: „Możemy zginąć, ale za coś, co jest warte śmierci. Jesteśmy z ludu, który zatrzymał Chińczyków, zatrzymał Arabów. Eloi są najsilniejszą tajną armią do walki z tyranami”.

Skąd Kwan wzięła te fotografie?

Mae nagle przypomniała sobie jej ojca, drogiego starego pana Kowoloia.

Drogi stary pan Kowoloia musiał być terrorystą. To jej fotografie. Zachowała je, nic nikomu nie mówiąc.

Dlatego chciała, żeby pan Rządowy jak najszybciej się od niej wyniósł.

– Kwan, czy to mądre?

– Ta strona nie reaguje na polecenia wydawane w karz. Tylko w eloi lub po angielsku.

Pojawiło się wideo Karzistanki w jej nowym mieszkaniu w

Balshang. Głos Kwan stał się ostry, surowy.

„Posłuchajcie uważnie tej kobiety Eloi, oderwanej od swego ludu, chwalać lodówkę. Mówi, jakby recytowała cudze słowa, a w oczach ma strach. Ona wie: jej lud jest niszczonej”.

Mae obejrzała się przez ramię. Co będzie, jeśli usłyszy to pan Rządowy? A kiedy znów spojrzała przed siebie, zobaczyła, że Kwan zaciska ręce w pięści i że te pięści są niemal białe. Z wściekłości.

„Apelujemy do świata: nie pozwólcie, by ten wielki, piękny lud wymazano z kart historii. Wystarczy, byś okazał, że jesteś nami zainteresowany, jak byłeś zainteresowany wtedy, gdy kontrolowaliśmy przełęcz, przez które biegł Jedwabny Szlak do Chin”.

– Sleep – rozkazała Kwan.

Mae odetchnęła głęboko.

– Będę trzymała tego szpiega z dala od ciebie – obiecała.

Nic dziwnego, że mi się nie zwierzałaś. No, Mae, powiedz prawdę.

– Jestem zazdrosna. Miałam pewne nieokreślone plany, żeby nauczyć się tej funkcji. A ty wzięłaś i ją wykorzystałaś. Jak?

– Po twoim wyjściu.

– Od czwartej do siódmej rano? Każdego dnia?

Kwan skinęła głową.

– Razem to robiłyśmy, Suloi i ja.

– Wing nie wie?

– Jego to nie obchodzi.

Kwan wstała, zręcznie i z wdziękiem. Eloi, pomyślała Mae. Każda cząsteczka jej duszy jest Eloi, a ja tego nie wiedziałam, zatem nie znałam jej. Jak jej screeny, jest zamknięta w sobie. Żeby dostać klucz, musisz mówić w eloi.

– Czy... czy nauczysz mnie, jak to robić? – To była teraz najważniejsza, paląca kwestia.

Kwan wyglądała na półprzytomną ze zmęczenia i z trudnej spowiedzi.

– Telewizor zrobi to lepiej ode mnie – powiedziała.

Uderzyła dłonią w dłoń Mae, jakby na przeprosiny. Nie bądź

taka zaskoczona. Jesteś moją drogą Mae, ale jesteś także Chinką i w ostatecznym rezultacie – wrogiem.

Kwan zapaliła papierosa. Zdjęła z języka okruch tytoniu.

– Ważne pytanie brzmi: co jest istotą naszego sojuszu z Sunni?

Mae pokręciła głową. To wszystko działo się za szybko, za szybko!

– Niezbyt mocnego sojuszu.

Przyjaciółka spojrzała jej w oczy.

– Chcesz zniszczyć Sunni? – spytała.

– Ona chce zniszczyć mnie.

– Chcesz zrobić z niej nędzarkę?

Mae wzruszyła ramionami.

– Nie. Nikogo we wsi nie chciałabym zrobić nędzarzem.

Dlaczego pytasz?

Kwan zachowywała się dziwnie. Gdy oddalała się od telewizora, wydawało się, że się rozwija jak wąż. Westchnęła.

– Telewizja nie jest darmowa, wiesz? – Mae czekała, co dalej. – Rozlicza się ją jak rozmowy z telefonu komórkowego. Płacisz za każdym razem, kiedy coś wybierzesz. Subsydium rządowe pokrywa rachunek telefoniczny pana Winga, żeby z telewizora mogła korzystać cała wieś. Ale firma telefoniczna wystawia rachunki wszystkim innym. My tym administrujemy. – Kwan rozłożyła niebieski, urzędowo wyglądający papier. – Powiedziałam to Faysalowi Haseemowi, ale sama wiesz, jaki on jest. „Och, naliczacie podwójnie, próbujecie mnie oszukać, nie będę wam płacił!”. – Kwan udawała go zdumiewająco dobrze. – Więc nie rozmawiałam z nim o tym powtórnie. Rachunek za pierwszy miesiąc to pięćdziesiąt rielsów.

Mae nie poczuła nic, a raczej poczuła, jak szale wagi doskonale się równoważą.

– Jest nam potrzebny jako sojusznik.

– Miałam zamiar zrobić to tak, że poczekam, aż rachunek urośnie do stu dwudziestu rielsów, a potem pójdę i powiem: „Firma mojego męża pokryje te koszty, chociaż pana ostrzegaliśmy. Zrobimy to, jeśli uzna pan za sflaconą pożyczkę udzieloną Chung Mae”.

– To bardzo miłe. – Mae potrafiła wyobrazić sobie siebie twarz Sunni, gotową rozpaść się na okruchy niczym delikatna porcelana, bo Mae zatrzyma sobie ich pieniądze, nie zwróci ani grosza. Potrafiła wyobrazić sobie wściekłą minę Faysala Haseema.

Ale wiedziała także samą siebie zadłużoną u Wing Kwan na inne sposoby.

– Zapomnijmy o rywalizacji – powiedziała. – W końcu zawsze jest tak, że wspiera się swoich przeciwko rządowi. Albo i firmie telefonicznej.

Kwan uśmiechnęła się. Ta odpowiedź sprawiła jej przyjemność.

– Tak właśnie myślałam.

\*\*\*

Telewizor Sunni był włączony nawet o jedenastej wieczorem. Mżył światłem na podwórku pana Haseema nastawiony na pokaz mody. Mae ukryła uśmiech. Czy Sunni dowiedziała się tylko tego? Jak wybierać prezentacje wizualne?

Pokaz oglądała tylko jedna osoba. Pani Ali odwróciła się i na widok Mae zamrugnęła szybko ze zdziwienia.

– Dobry wieczór, pani Chung – powiedziała po wyraźnie słyszalnej przerwie.

– Pani Ali? – Mae ukłoniła się uprzejmie. – Chciałabym porozmawiać z szanowną panią Haseem.

Pani Ali znów milczała przez chwilę.

– Powiem jej, że pani tu jest – zdecydowała.

– Zamierzam rozmawiać z nią w cztery oczy.

Nie doczekała się odpowiedzi. Pani Ali odepchnęła krzesło i poszła w stronę kuchni. A tymczasem przez podwórko niósł się głos Talentu: „Jak się wydaje, jaskrawe barwy znów zdobią odzież na Zachodzie. Czyżby nasi miejscowi projektanci z Doliny wyszli na prowadzenie?”.

Z kuchni dobiegał pomruk rozmów prawdziwych ludzi. Rozpoznała niski nieprzyjemny głos pana Haseema, ale uznała, że będzie trzymał się na uboczu, chyba że dojdzie do kłótni. Kłótnia dałaby mu powód do obraźliwego zachowania.



Niesprowokowany nie może zachować się obraźliwie.

Mae nie przysłała tu, by przeproszać, lecz po to, by przemówić obu stronom do rozsądku. I z tego rozsądku mieć coś dla siebie.

Pani Ali stała w kuchennych drzwiach, czarna sylwetka na tle plamy elektrycznego światła.

– Proszę wejść – powiedziała cicho.

Odsunęła się, dając Mae drogę, uspokoiła także poskomiwującego psa Sunni. Mae jeszcze raz ukloniła się jej grzecznie i weszła do domu.

W małych oknach wisały nowe firanki, kuchenny zlew był wprawiony w nową szafkę z metalowym ociekaczem. Oznaczało to nowe wydatki. Sunni siedziała za stołem, jak zawsze perfekcyjna, ze sztywnymi włosami polakierowanymi i wyglądającymi jak kask motocyklisty. Sprawiała wrażenie skrępowanej, niepewnej siebie, a jednocześnie aroganckiej. Mae poczuła, że się nad nią lituje, i pozwoliła ujawnić się temu uczuciu.

– Witaj, Sunni – powiedziała.

– Mam tylko nadzieję, że milej mi będzie gościć cię w moim domu niż za poprzedniej wizyty.

Mae wykonała pytający gest: „Czy mogę usiąść?”. Gospodyni skinęła z lekceważeniem głową.

– Poprzednim razem obie byłyśmy zdenerwowane. Obie powiedziałyśmy coś, co nie powinno zostać powiedziane. Ostatnio wydaje mi się, że życie biegnie bardzo szybko i że zdarzyło się to przed wielu laty.

Sunni nie odpowiedziała, ale też nie kryła, że jest odmiennego zdania.

– Po tym, co zdarzyło się dziś rano, nabrałam przekonania, że choć się spieramy, więcej nas łączy, niż dzieli.

Sunni wyduła wargi, ledwie widocznie i na króciutką chwilę. Była to prawda, ale ta prawda nie sprawiała jej przyjemności.

– Możemy współpracować dla powszechnego dobra. Obie chcemy przygotować wioskę na to, co nadejdzie. Możemy umówić się w ten sposób: obie robimy, co w naszej mocy, by nauczyć naszych sąsiadów, jak posługiwać się tym narzędziem. I

obie mamy pełną swobodę w prowadzeniu naszych interesów handlowych.

Sunni tak naprawdę nie dorosła do takich targów. Mae doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że przemawia jak mężczyzna. Tylko w ten sposób można było powstrzymać wybuchy emocji po obu stronach. Oddzielić dwie kwestie.

– Mówisz, jakbyśmy obie były politykami – przerwała milczenie Sunni.

– A nie sądzisz, że obie jesteśmy politykami? Przyszłość ma dla nas wielką wagę. Rywalizujemy, owszem, ale z pewnością nie chcemy, by niszczone telewizory. Obie jesteśmy inteligentnymi kobietami. Mieszkamy w jednej wiosce. Obie nie chcemy przecież, by nasza wioska została z tyłu.

– To prawda – przyznała Sunni.

– Jest jeszcze coś. Coś, o czym dopiero dziś się dowiedziałam.

– Doprawdy? A cóż to może być takiego? – Sunni pozostała niewzruszona. Zapewne sądziła, że Mae po prostu udaje tajemniczą.

– Za użycie tych rzeczy płaci się rachunek telefoniczny.

Z podwórka dobiegał ich komentarz, zdyszany, szczebioczący kobiecy głos: „I znów widzimy przejawy nowego trendu: przewagę jaskrawych kolorów. Współczesne kobiety odkryły, że mają czas, by radośnie wyrazić swoje ja”.

– Wiem – przyznała Sunni.

– A wiesz, ile się płaci?

Twarz gospodyni pozostała nieruchoma.

– Jestem pewna, że mój mąż wie.

„Nieustannie poszukują wyjątkowych dodatków, czegoś nowego, co odmieni nawet najprostszą kreację, wyrazi nowe oblicza ich indywidualności”.

– Po roku to może być nawet sześćset rielsów.

Sunni była dobra. Bardzo dobra. Nawet nie drgnęła, niczym nie dała poznać, że ta informacja ją poruszyła. Tyle tylko, że zaczęła zgarniać nieistniejące okruszki z blatu stołu jedną ręką do podstawionej drugiej. Po czym, nadal w milczeniu, uniosła brwi, jakby chciała spytać: „A więc? Jaka jest twoja propozycja?”.

„Na przykład ta kreacja dowodzi zainteresowania modelki problemami Trzeciego Świata...”.

Mae wyłożyła karty.

– Pan Wing może zagwarantować, że nie będziecie musieli mu płacić. Załatwi to tak, że wasze rachunki obciążą go, a jemu rząd refunduje wydatki.

Sunni pozostała kamiennie spokojna. Jej twarz ani drgnęła.

– W zamian chce, by skończyła się ta nasza wojna.

– Nie prowadzimy żadnej wojny.

– Sunni... – powiedziała Mae ostrzegawczo.

– Powtarzam, nie prowadzimy żadnej wojny.

Mae zacytowała jej własną ulotkę:

– „Teraz, kiedy odkryliśmy, że niektóre z nas dają innym fałszywe rady...”. Napisałaś to o mnie. Jedną rzeczą jest otworzyć interes, ale zupełnie inną nazwać mnie oszustką i skłaniać przyjaciółki, by się ze mnie naśmiewały.

– Pozwolę sobie przypomnieć ci o incydencie na twoim screenie.

– Ależ ja o nim nie zapomniałam. Tak właśnie wygląda wojna. Wojna musi się skończyć, Sunni. My rozgrywamy nasze wiejskie gierki, a tymczasem wielki świat puka do naszych drzwi. Ty będziesz próbowała zniszczyć mnie, ja będę próbował zniszczyć ciebie, a tymczasem on zniszczy nas obie.

– Będę domagała się pełnych publicznych przeprosin.

– Będę domagała się wzajemnych pełnych publicznych przeprosin. Przeprosimy się jednocześnie. W ten sposób wszyscy dowiedzą się, że ludzie telewizji są zjednoczeni.

– Chcę także sama ocenić to, co powiedziałaś o opłatach.

Mae skinęła głową.

– Mogę przyprowadzić do ciebie człowieka z rządu. Nie, Sunni, nie stwarzaj problemów, proszę, tylko mnie wysłuchaj. Załatwię to tak, że będzie wyglądało na normalną przyjacielską wizytę. Sama go zapytasz. „To nowy telewizor” – powiedzmy, że właśnie go kupiliście – „ile będziemy płacić za użytkowanie?”.

Sunni znów zmiatała okruszki. Tylko jej oczy zdradzały, że czuje się zraniona.

– I jeszcze jedna rzecz. Pożyczka. Warunki pożyczki muszą się zmienić. Będzie bezprocentowa.

To Mae ukryła przed Kwan. Nie chciała mieć u niej długu wdzięczności. Sunni skamieniała.

– Wiesz, że nie mogę sama o tym decydować.

– Ale mogłabyś porozmawiać z mężem.

– Spróbuję.

– Tylko pamiętaj, że suma zwiększa się przez cały czas, kiedy telewizor jest włączony.

Sunni westchnęła. Och, przecież to jak chodzenie w za małych butach, to była dla niej nowość: znaleźć się na pozycji słabszego.

– Zawsze mogę porozmawiać z panem Rządowym. I wspomnieć o tym, co robią pani Wing i pani Shen – zagroziła.

– Och – jęknęła Mae. Miała dość. – Ja mówię o sojuszu, na którym skorzystamy wszyscy, a ty mnie straszysz? Sunni, jak wioska nauczy się czegokolwiek, jeśli trzeba będzie racjonować telewizję? Dwa telewizory to o wiele więcej niż jeden. Nie rozumiesz, że jeśli się na to zgodzimy, wygrywamy obydwie? No i tak, oczywiście, możemy obydwie przegrać. Bardzo boleśnie przegrać. Być może jedna z nas pójdzie do więzienia. Ale którą ukocha cała wioska, kiedy dowie się, że to ty wydałaś rządowi pana Winga? Jak myślisz, Sunni?

Tym razem Sunni uciekła spojrzeniem.

– Tego nie powiedziałam.

– Powiedziałaś, że możesz porozmawiać z panem Rządowym. Miało to oznaczać, że możesz zdradzić Kwan. I narobić kłopotów Wingom. Czy nie tak?

Cisza.

– Sunni, ja nigdy, od samego początku, nie chciałam być twoim wrogiem. Jeśli powtórzysz sobie w myśli, jak to naprawdę wyglądało, zobaczysz, że pierwszy nieprzyjazny ruch wykonał twój mąż. A ja nie zawsze jestem najmilszą osobą na świecie, zwłaszcza gdy się zdenerwuję. Więc tak, zachowałam się bardzo źle.

Sunni pragnęła jednego, zawsze: być pierwszą. A Mae zawsze wyprzedzała ją o krok. Nawet teraz przegrała, bo to Mae

pierwsza zaproponowała zawarcie pokoju, i to w taki sposób, że zyskiwała przewagę. Dziwne, ale taka zemsta wydawała się najzupełniej wystarczająca.

– Porozmawiaj z mężem, Sunni. To konieczne. Warunki są proste. W interesach prowadzimy przyjazną konkurencję. I obie uczymy wioskę. Obie walczymy z partią tych, którzy chcą pozbawić nas telewizorów. A jako gest dobrej woli pożyczka staje się bezprocentowa.

Było w tym coś z udawania. Mae tłumaczyła wszystko tak jasno nie dla Sunni, ale dla pana Haseema. Była prawie pewna, że słyszy on każde jej słowo.

Nieruchoma twarz Sunni zastygła wyrazie nie tyle wstydu, ile raczej poczucia krzywdy. Jakże pragnęła przewodzić wiosce, być jej „panią”. Ale tę rolę do śmierci miała pełnić Kwan. Sunni nie będzie wolna, póki Kwan żyje, ale ją zastąpi pewnie An lub ktoś do niej podobny. Mae zorientowała się, że naprawdę jej współczuje. Przez te wszystkie lata nie mieć czym zapełnić czasu, bo mąż nie pozwala pracować? Zasługiwała na litość pozostawiona sama sobie. Przecież zawsze wiedziała, że Sunni nie jest tak mądra jak inni.

– Dysponuję lepszym wyczuciem mody.

Mae zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

– Sądzę, że prawdopodobnie masz rację – przyznała. Dla bogatych dam, nieliczących się z wydatkami, tak... to tak. Ale wiesz co? Na końcu okaże się, że to ja będę zarabiała na tym interesie. Mae zachichotała w duchu. – Z pewnością jesteś młodsza i ładniejsza.

Sunni to nie rozbawiło. Nie kochali jej piękni mężczyźni, nie gotowali dla niej, nie pożąдали jej od dnia, w którym skończyła szesnaście lat. Jak znosi sypianie ze swym mężem prostakiem?

Nie ma sensu być zazdrosnym. Wszyscy jesteśmy ludźmi, wszyscy cierpimy w życiu, tyle że ona cierpi nieco bardziej. Ale to nie daje jej prawa ani do kradzieży moich butów, ani do deptania mi po odciskach.

– Sunni, wiem, że jesteś bardzo zajęta. Pani Ali czasami przychodzi na moje lekcje u pani Wing. Może przekazać mi, co

postanowiłaś.

Bo sama nie zechcesz przecież odwiedzić mojej nory, nie zaryzykujesz też odwiedzin u pani Wing.

– Czy to naprawdę aż tyle, ile powiedziałaś? – spytała Sunni.

Pieniądze, pieniądze, siła napędowa świata.

Pożegnały się uprzejmie i Mae wyszła.

Na ulicy z Mae wylała się szalona radość, jak kiedyś, dawno, gdy wychodziła ze szkoły i wyrzucała aż pod niebo torbę z książkami. Uwolniła się od procentów! Będą spłacali pożyczkę po dwadzieścia pięć rielsów rocznie, a gotówki użyją jako kapitału! Ona może kupować materiały, Joe może zainwestować w gospodarstwo. No i przywiezie więcej pieniędzy!

Znów pomyślała o tym, że musi jakoś utrzymać pana Kena na dystans, albo jej życie przewróci się do góry nogami. Powie Kueiemu, że zawsze będzie go kochała, ale nie mogą już się spotykać. Pamięć o nim pozostanie w niej do śmierci, jak kwiaty zasuszone w szkolnym podręczniku, jak mądra stara pani Tung i jej sekretna miłość. Poza tym będzie uczyć wykorzystywania telewizji i wyciągać informacje od pana Rządowego.

Nauczy się też tworzyć screeny, jak Kwan, tylko to Kwan będzie się zastanawiała, jakim cudem tak szybko opanowała tę wiedzę.

Ale screeny czego. Mody? Mody, oczywiście! Cały świat będzie pożądał mody wprost z górskich szczytów środkowej Azji. Tego przecież nigdy nie mieli! Mae roześmiała się, krzyknęła „Juhu!”, zawirowała i... zobaczyła screeny Kwan przedstawiające hafty Eloi. Tylko że widziała je nieco inaczej. Oferujące hafty Eloi na sprzedaż. Najniezwyklejsza w tym roku deklaracja: „Wyraz zainteresowania modelki problemami Trzeciego Świata”.

Mae powoli przestawała się uśmiechać. Za to podniecenie aż ścisnęło jej żołądek. Oryginalny, narodowy haft Eloi dostępny tylko w tych ekskluzywnych punktach sprzedaży.

– Albo wzbogac ofertę, albo rozszerz zasięg sprzedaży – szepnęła Kru.

Do wielkich sklepów można wysyłać wideo, za darmo. Może poinformować wielkie sklepy o tym, że dysponuje modą Eloi, i jeśli im się spodoba, świetnie. Dopiero wówczas kupi materiał i

koraliiki.

Minimalizuj ryzyko przy każdej sposobności.

Zatem robi tylko to, za co już jej zapłacono.

Przystosowane specjalnie do twoich wymagań.

Och! Och, och, och! Na myśl o własnej bezczelności Mae zaczęła chichotać. Sprzedawać w Singapurze, w Tokio, na Tajwanie. Może nawet w Paryżu i Nowym Jorku? Darmowe rozmowy, dzięki magicznemu telewizorowi Wingów. Wyśle oferty z pięknymi obrazkami, ale nie będą to oferty modowe. Zaproponuje coś realnego, konkretnego, coś z gór, dzieło dawno zapomnianego, a pięknego ludu.

Miłość i nowe pomysły – jakże kochała teraz swe życie!

W głowie tańczyły jej wizje screenów. Oczami wyobraźni już widziała Kwan i Shen Suloi owinięte w swe hafty, słyszała słowa: „Piękności ludu Eloi w jego tradycyjnych strojach”.

„Oto tradycyjny wzór ślubny. Żółte znaki są obietnicą wierności, a błękitne tolerancji dla indywidualności”.

Mae kręciło się w głowie z każdym oddechem, jakby samo powietrze przypominało rzekę tym, że współistnieją w nim przeróżne prądy. I jakby uniósł ją jeden z tych prądów z głową zaledwie cale nad powierzchnią drogi.

Zobaczyła screeny. Zobaczyła je bardzo dokładnie. Zobaczyła je prawdziwe, istniejące, na ekranie telewizora stojącego w pokoju domu Kwan. Niedaleka przyszłość. Przez okno wpadają do środka promienie słońca, jej screeny płoną własnym światłem. Wideo: Wing Kwan obraca się powoli, prezentuje naszyjnik Eloi.

To przyszłość, która stanie się teraźniejszością.

Dlaczego więc siedząca w pokoju, w przyszłości, Mae poczuła, jak żołądek ściska się jej z żalu po stracie? Dlaczego mieszka u Wingów?

Mae zadrżała. Przyszłość, wypełniona obietnicami i poczuciem straty, znikła.

Wyszła na podwórko.

Za furtką stali dwaj mężczyźni. Promień światła latarki padł na jej twarz.

– To ona.

- Kto tam? - Mae zamrugwała oślepiionymi oczami. Dostrzegła tylko ruch, ale już wiedziała kto. Rozpoznała to właśnie w ruchach sylwetek.

Wrócił Joe. Był z nim Shen.

- Co się dzieje? - spytał głośno Joe. - Co to za historia z tym mężczyzną?



Świat znieruchomiał jak hamująca gwałtownie ciężarówka.

– O co chodzi? – wybełkotała Mae, patrząc to na jednego mężczyznę, to na drugiego. Co zrobię, co powiem, czy zaprzeczę, czy będę udawać, że nie mam pojęcia, o co im chodzi?

Shen, wąż, patrzył na nią oczami, której jej wydawały się zielone. Cały wydawał się zrobiony z zaśniedziałej, zielonkawej miedzi, jak posągi w mieście zapomnianych generałów. Znienawidziła go w jednej chwili, bo wiedziała, o co mu chodzi.

Shen postanowił ją zniszczyć.

– Sama wiesz, kobieto – powiedział Joe, podszedł do żony i uderzył ją w twarz.

Policzek Mae był jak staw, w który wrzucono kamień. Skóra i ciało wzniosły się, zmarszczyły, fala dopłynęła do oczu. Poczwała, jak jej nos wygina się, o włos od złamania. Utrzymałaby się na nogach, ale wolała upaść na wznak. Leżała nieruchomo. Kupiła sobie czas konieczny, żeby pomyśleć.

– Joe, Joe... – Łagodny głos Shena. Próbuje powstrzymać Joego?

– Ocknij się, kobieto! – Mąż pochylił się nad nią, aż owiał ją jego oddech. – Mnie nie oszukasz. – Głos mu się załamał. Potrząsnął nią, leżącą bezwładnie.

– To... och... to było przedwczesne – powiedział Shen. – Teraz niczego się od niej nie dowiemy.

– Udaje! Znam lisicę!

– Tylko popatrz na ten siniak!

Mae myślała szybko. Przez szczelinę w zasłonach Shen mógł zobaczyć tylko buty i może cień postaci. Czy zdoła podważyć jego słowa? Nie jest twardym mężczyzną, nie spodoba mu się, że ją biją. Czy zdołam wzbudzić w nim poczucie winy? Wystarczające, by się wycofał?

A Joe? Joe też jest słaby, lecz przepełnia go ból. Założę się, że

wrócił bez pieniędzy.

Mae jęknęła. Pozwoliła zadrapaniom i czarnej opuchliznie mówić za siebie. Rozpłakała się z dłonią przyciśniętą do obolałego policzka. Usiadła na bruku podwórka cała wymazana błotem. Szlochała głośno. Nad nią stali dwaj mężczyźni, lecz teraz jeden powstrzymywał drugiego.

– A płacz sobie, płacz! A płacz sobie, płacz! – wrzeszczał Joe.

Mae płakała po szczęściu, tym, które przeżywała przed zaledwie chwilą. Płakała po swoim małżeństwie, po miłości do pana Kena, po interesach. Ale opłakiwała też śmierć. Będzie teraz wiele śmierci, wszystkich jej małych prawdopodobieństw, troskliwie piastowanych możliwości. Takie jest życie. Pies zjada psa.

– Joe, ona nie może ci nic powiedzieć – powiedział Shen, odwrócił się, usiłował pomóc Mae wstać. – Nie siedź tak. Trzeba przez to przejść.

Jak ma to rozegrać? Może kłamać, może ukrywać, może grać skrzywdzoną żonę niemającą pojęcia, o co chodzi mężowi, ale był pewien problem. Shen miał po swojej stronie prawdę i dobrze o tym wiedział. Widziała to w jego oczach. Była ekspertem modowym, ale aż tak dobrze udawać nie potrafiła. Nie miała do tego serca. Poczula, jak coś wypełnia jej piersi. Napięcie. Postanowiła zyskać siłę przez powiedzenie prawdy.

Nie przyjęła wyciągniętej ręki Shena. A więc, nauczycielu, oczekiwałeś, że mój biedny mąż – wieśniak – zareaguje, jak ty byś zareagował? Rujnij życie, ale bez hałasu i zbędnego bałaganu. Myślałeś, że tego właśnie dokonasz?

Mae się obróciła. Usiadła na bruku zgarbiona, trzymając się blisko ziemi, jakby ziemia mogła ją uleczyć. Patrzyła tylko na Shena i tylko do niego powiedziała:

– To, co robicie, jest bardzo złe.

– Nie moja wina, że do tego doszło – odparł. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

– Chcesz zatrzymać telewizję, to dlatego. Joe cię nie obchodzi. Zniszczysz jego, zniszczysz mnie...

Niech się dzieje, co chce.

– To prawda, Joe – powiedziała do męża.

Bolesna cisza.

– Dziwka – szepnął jej mąż.

– Dziwki robią to dla pieniędzy. Ja zrobiłam to z miłości. – Mae nie podnosiła się z ziemi.

– Nie wstyd ci? – Joe zaczynał się łamać.

– Trochę. Wstyd mi, że dałam się złapać. Jestem jedyną kobietą we wsi, która dała się złapać. – Mae pomacała szczękę. Ależ będzie wyglądała rano!

Udało się jej wstrząsnąć oboma mężczyznami. Parła przed siebie, teraz miała szansę.

– A co ty robisz, Joe, kiedy jesteś z dala od domu? No? Kiedy się upijesz, aż wyglądasz jak komik? Idziesz z kobietą.

Joe wyglądał teraz po prostu komicznie: rozczochrany, z oczami wybałuszonymi od szoku i smutku. Nie zapomni, że zrobiono z niego głupca.

– Nie – zaprotestował słabo. – Tego... nie... nie robię! – Jego głos nabrał siły dopiero przy dwóch ostatnich słowach.

Och, Joe! Zapewne mówisz prawdę. Zapewne nie chodziłeś z kobietami. Tym większym jesteś głupcem.

– Kto to był?

– To nie ma znaczenia. – Shen znów powstrzymał jej męża.

– Oczywiście! Oczywiście, Shen. Nie chcesz, żeby mężczyzna wpadł w kłopoty! Tego nie chcesz, prawda? Rozumiesz mężczyznę. A im bardziej to wszystko się komplikuje, tym większe masz wyrzuty sumienia.

– Kto to był? – Joe, jej głupiec Joe, stawał się groźny, zaciskał pięści.

Shen westchnął.

– A czy to jakaś różnica? – Zapytał o to samo, o co chciała zapytać Mae.

– Byłem taki szczęśliwy. – Joe rozplakał się. Wcisnął grzbiety dłoni w oczy. – Szukałem pracy, gdzie się dało, dwa tygodnie szukałem, wreszcie coś znalazłem, a tu ta strasznie głupia sprawa i musiałem wracać. Marzyłem tylko o tym, żeby wrócić do domu!

– Ja też byłam szczęśliwa – szepnęła Mae.

– Och tak, oczywiście! – Joe oderwał dłonie od oczu. – A ty

znalazłaś sobie tu rozrywkę. Z fiuta na fiuta, co, dziwko?

We wsi płonęły wszystkie wścibskie światła. Ich blask odbijał się od ścian i od chmur.

Mae patrzyła na nauczyciela. Nie odrywała od niego wzroku.

– Jak myślisz, kogo uczyniłeś bardziej nieszczęśliwym, Shen? Mnie czy jego?

Shen nie odpowiedział.

– To byłem ja – rozległ się męski głos.

Głos Kena Kuei.

No pięknie! No świetnie! Jesteś gotów przyjąć swoją część odpowiedzialności, swoją część winy. By mnie chronić. Dokładnie w chwili, gdy wszyscy zaczęliśmy się uspokajać, kiedy oboje z Joem zaczęliśmy rozmawiać.

Dlaczego dobroć zawsze jest taka głupia?

I teraz stał tu, jej przystojny głupi mężczyzna i komiczny smutny mężczyzna, oblani pomarańczowym światłem jak ogniem, który miał ich spalić. Twarz Joego, przerażona (Mae czytała z niej wszystko, co pomyślał), mówiła: „Mój sąsiad? Ken Kuei?”.

Widziała, jak Joe myśli: „Będziemy spotykali się codziennie”.

Shen doznał szoku. Zasłonił dłonią otwarte usta.

– Jesteś z siebie dumny? – zapytała go Mae.

– Bardzo mi przykro, Joe – powiedział Kuei. – Zawsze kochałem twoją żonę.

Jeszcze lepiej. Och!

– Od kiedy?! – krzyknął Joe. Przerażony biegał wzrokiem od żony do jej kochanka i z powrotem. – Od kiedy wy dwoje to robicie?

– Od niedawna – odpowiedziała mu Mae cicho, kręcąc głową.

– Czy Lung jest moim synem?

Wspaniale! O czymś tak wspaniałym nie ośmieliła się nawet marzyć. Jediną dobrą rzeczą w życiu Joego był jego syn.

– Oczywiście – powiedziała. Nie była w stanie mówić głośno. Drżała, ale gdzieś głęboko, w środku. Znów miała mdłości. Spróbowała powtórzyć: „Lung jest twoim synem”.

– Ty świnió! – zawył Joe i rzucił się na pana Kena.

– Nie! – Shen spróbował go powstrzymać, za co, ku wielkiej

radości Mae, dostał potężny cios pięścią w twarz. Aż go obróciło, a spomiędzy palców dłoni, którą złapał się za nos, trysnęła krew.

Mae odkryła, że ma ochotę się roześmiać. Wydarzenia potoczyły się tak dramatycznie, że wioska będzie miała o czym plotkować przez rok. Wszyscy zostaniemy zniszczeni, stracimy pozycję i godność, nikt nie będzie chciał z nami rozmawiać.

Joe próbował uderzyć pana Kena. Kuei chwycił mocno nadlatującą ku niemu pięść.

– Nie chcę z tobą walczyć, Joe.

Bardzo to piękne, pomyślała Mae, ale nie sądzę, byś w tej kwestii miał prawo wyboru.

Joe zamachnął się znowu i tym razem trafił.

– Joe, nie jesteśmy w stanie... – Pan Ken nie dokończył. Oberwał po raz drugi.

To przecież zupełnie jak zabawka. Włączasz ją i patrzysz, jak porusza się i brzęczy aż do wyczerpania baterii. Joe pragnął walczyć, Joe pragnął umrzeć, a pan Ken – rozmawiać. Ich interesy były nie do pogodzenia.

Jej mąż zamachnął się po raz trzeci. Tym razem Ken Kuei odpowiedział ciosem.

– Umiesz bić... kobiety – powiedział. I uderzył po raz drugi.

Joe weźmie niezłe lanie. Och, teraz dopiero się zacznie...

Mae zaczęła krzyczeć. Z rozmysłem, niemal bez emocji, tylko po to, by zainteresować wioskę w stopniu gwarantującym, że ktoś zechce sprawdzić, co się tak naprawdę dzieje. Że ludzie rozdziela walczących. Skandal będzie wręcz niewyobrażalny.

– Przestań, zabijesz go! – Te słowa dobrała bardzo starannie.

I te słowa załatwiły sprawę. Zza bramy dobiegł szcęk otwieranych drzwi, tupot stóp, krzyki mężczyzn i cienkie popiskiwanie kobiet. Stara pani Ken wybiegła z domu, kurczowo ściskając poły szlafroka. Pan Szczery dopiero po drodze wskakiwał w spodnie, taka opanowała go panika, i przede wszystkim podbiegł do swojej złotej furgonetki, sprawdzić, czy nie stało się jej nic złego. Furtka z trzaskiem uderzyła w ogrodzenie. Stał w niej pan Kemal z widłami w rękę.

– Co tu się dzieje? – spytał groźnie.

Po twarzy Shena ciekła krew, Joe i Kuei bili się w najlepsze, a na ziemi siedziała zmaltretowana kobieta.

– Bójka? Co się dzieje? Nauczycielu Shen, zdumiewa mnie, że wplątał się pan w coś takiego.

Przerażenie na twarzy Shena niemal odpłaciło Mae za wszystkie nieszczęścia. Niemal.

„Powinnaś pozostać nieprzytomna” – upomniała ją stara pani Tung.

\*\*\*

Mae musiała wyprowadzić się z domu i zamieszkać u Kwan. U męża pozostać nie mogła, przeprowadzka do pana Kena też nie wchodziła w grę. Joe zamordowałby ich w łóżku.

Brat Mae pojawił się na scenie jakieś pół godziny po bójce. Zażądał, by siostra przeprowadziła się do niego. Usłyszał, że nie ma zamiaru się przeprowadzać. Zastał ją przy pakowaniu osobistych rzeczy do worka. Joem zajął się młody pan Doh.

– Nie masz wyboru – oznajmił Ju-mei.

Szedł za nią całą drogę w górę zbocza, mnożąc wymagania. Ale nie zaoferował siostrze pomocy w dźwiganiu toreb.

– W porządku, bracie – powiedziała w końcu Mae. – Sama wpakowałam się w kłopoty, z całą pewnością nie oczekując pomocy od rodziny.

Odeszła, pozostawiając brata z otwartymi ustami.

– Mój boże – szepnęła Kwan, kiedy zobaczyła posiniaczoną twarz przyjaciółki.

Pozwoliła jej wyspać się spokojnie. Dopiero około południa przyszła z herbatą do jej pokoju na strychu.

– Wyjedziesz z wioski? – spytała, siadając obok niej.

Normalnie właśnie to byłoby wyjściem z sytuacji. Mae i Ken spakowaliby się i wyjechali, by zamieszkać w mieście, najprawdopodobniej w Balshang. Boże, cóż to za los, piec się w upalnych wieżowcach, bez pieniędzy, bez świeżego powietrza, bez przyjaciół. Skończyłoby się na tym, że by się znienawidzili, zwykle tak się kończyło.

Mae pokręciła głową.

– Muszę pomóc ludziom tutaj.

Kwan uniosła rękę.

– W twojej sytuacji trudno będzie komuś pomóc.

– Ciągłe mam swoją szkołę – powiedziała Mae, wzruszając ramionami.

– Nikt nie przyjdzie do szkoły. – Kwan zacisnęła wargi, w jej oczach był smutek. Ścisnęła rękę przyjaciółki.

A więc Mae straciła i szkołę. Spojrzała na dłoń Kwan: była wioską, jedynym, co z niej pozostało. A tak kochała wioskę!

Pola, na których pracowała całe lato, należały do męża. Nie miała prawa już na nich pracować. Ryż, który tak troskliwie pielęgnowała, nawadniała własnym potem, też nie był jej.

Dom, który codziennie sprzątała, nie był jej, nie jej były rondle, piecyk i wszystkie stare łyżki. Wychowała w tym domu trójkę dzieci. Mieszała tam pranie i mieszała tam zupę, a dzieciaki kłóciły się, biły albo płakały uczonej jej kostek.

Dom.

Omów nie straciła prostej starej maszyny do szycia. Pan Wing ją odebrał i musiał przypomnieć Joemu, że prawnie ta maszyna należy do Kwan.

Maszyna stała teraz w kącie pokoju, obok bagaży Mae. W pustym pokoju na strychu wydawało się, że ma ich bardzo niewiele. Jedynym meblem była kanapa wniesiona na górę przez Kwan i Winga. W dachu było okno, przez które wlewały się jasne promienie słońca. Wing nakleił przezroczysty plastik zastępujący tafle szkła. Wszystko było pokryte cienką warstwą szarego pyłu. W południe, bezpośrednio pod dachem, człowiek oblewał się potem. W zimie po prostu zamarznie. Jaskółki z gniazd pod okapem donośnie domagały się pożywienia.

– Niech Shen będzie przeklęty – powiedziała Mae. – Joe przyjechał bez pieniędzy, a kto teraz będzie kupował ode mnie sukienki? Nie mam nawet kredytu, żeby płacić za materiał. – Westchnęła, otrząsnęła się. – Ale przynajmniej nic mi nie złamał. I nadal mam wszystkie zęby.

Szczęście wieśniaczki.

– Joe upija się z młodym panem Dohem – uświadomiła

przyjaciółkę Kwan. – Ludzie mówią, że stracił pracę, bo pił. Siao i stary pan Chung pracują na budowie.

Mae jęknęła ze współczuciem. Jej mąż wrócił z niczym do niczego.

– Co mówią o Shenie? – spytała.

– Do mnie? Nic. Kochanie, przecież jestem twoją obrończynią i orędowniczką! Są ludzie, którzy mijają mnie, jakbym nie istniała.

Mae musiała się chwilę zastanowić. Jaka była jej pozycja w tym domu? Będzie musiała wnieść jakiś wkład, finansowy oczywiście, a także być uważną i wdzięczną. Jak długo może zostać? Nie ma gdzie się wyprowadzić, ale też każda przyjaźń ma swoje granice wytrzymałości.

– Boże, nienawidzę być biedna – powiedziała głośno. Bieda w końcu niszczy wszystko, nawet to, co powinno być święte. Miłość, przyjaźń, marzenia. Decyduje, z kim żyjesz i jak żyjesz.

– Możesz zostać tu, jak długo zechcesz – powiedziała Kwan szybko, by usunąć na bok przynajmniej jedną z wielu wątpliwości.

– Jeśli uda mi się odbudować interesy, czy będę mogła prowadzić je stąd?

Kwan zawahała się, choć niemal niewidocznie. Oczami wyobraźni zobaczyła bele materiałów, maszyny do szycia, obcych ludzi kręcących się po jej domu.

– Mogę pracować w którymś z budynków gospodarczych. Wiem, że to dla ciebie trudne.

Kwan zdobyła się na uczciwość.

– O to będę musiała zapytać pana Winga.

A jeśli nie? Cóż, wszystko źle się ułoży, jeśli tylko może. Wszystko źle się układa i zhańbione wieśniaczki muszą zadowolić się tym, co mogą dostać.

– Czy możesz przekazać Joemu wiadomość ode mnie? Tę o opłatach telewizyjnych. O tym, jak umówiłam się z Sunni? Że nie płacimy odsetek od pożyczki. To go powinno trochę uspokoić.

Kwan skinęła głową. Pogłaskała palcami dłoń przyjaciółki.

– Nadal czujesz coś do Joego, prawda? – spytała.

– Oczywiście! Przecież przeżyłam z nim trzydzieści lat.



- A pan Ken?
- Najsmutniejsze jest to, że właśnie postanowiłam zakończyć tę znajomość.
- Kwan westchnęła, poklepała ją po ramieniu.
- Odpoczywaj – poradziła.
- Mae też zdobyła się na szczerłość.
- Jest jeszcze jedna rzecz...
- Kwan nie zdołała się opanować. Przyłożyła dłoń do czoła. Co jeszcze?
- Zdaje się, że jestem w ciąży.

\*\*\*

Sezen przyszła do niej w odwiedzinach. Jak zawsze mrugała, czarne włosy wpadały jej do oczu.

- Pani w łóżku? – zdziwiła się. – Przecież jest tyle do zrobienia!
- Mae znalazła się w takiej sytuacji, że nie mogła nawet skarcić jej za nieuprzejmość. Same jej odwiedzinach już stawiały ją na pozycji kogoś, komu jest się winnym przysługę.
- Wracam do pracy jutro. Jak najszybciej – powiedziała tylko.
- Pani twarz wygląda strasznie, ale nikt nie musi jej przecież oglądać. Musa i ja możemy zdobyć dla pani materiały, to żaden problem.
- Nie będę robić niczego dla złych dziewczynek.
- Oczywiście, że nie – zgodziła się z nią Sezen. – Zdobędziemy materiały na cokolwiek, co chce pani robić.
- Mae przetrwała tę myśl w milczeniu.
- Fartuchy, rękawice kuchenne – dodała dziewczyna. – Wszystko, co jest ludziom niezbędne na co dzień.
- Co się z tobą dzieje, Sezen? Dlaczego nie potrafisz zrozumieć, czego chcesz? Jednym słowem, dlaczego się mnie trzymasz?
- Sezen szarpnęła się w bok, dziwnie, jak koń w uprzęży. Nigdy przedtem tego nie robiła.
- Mam złą nowinę – oznajmiła. Jej ciało zdradzało niecierpliwość, złość na samą siebie, że nie wie, jak zacząć. – Han An zaczęła pracować dla Sunni. Widziałam je obie, jak chodzą od domu do domu z podkładkami w rękach, udając, że to nie pani

pierwsza wpadła na ten pomysł.

Mae oceniła powagę tego ciosu.

– To najmniejszy z moich problemów – powiedziała w końcu.

– Zdrajczyń! – Sezen wydeła wargi z pogardą.

Mae pomyślała nawet, że powinna bronić An, ale w końcu uznała, że nie warto się wysilać.

– Tak.

– Phi! Lepiej, żeby się do mnie nie zbliżała, bo wyrwę jej wszystkie włosy. Po południu pojedziemy z Musą po materiał dla pani. Będziemy potrzebowali pieniędzy.

Ta jej brązowa, zdeterminowana twarz i ciemne, wymagające oczy. Mae poczuła, że jej zdrętwiała twarz próbuje jednak zdobyć się na uśmiech.

– Nie mam pieniędzy, Sezen – oznajmiła. Dziewczyna zamrugnęła zdziwiona. Trzeba jej to wytłumaczyć. – Pożyczkę zaciągnął mój mąż. To były jego pieniądze.

– No więc musimy znaleźć inny sposób. – Dziewczyna wojowniczo wysunęła szczękę.

My? – zdziwiła się Mae.

– Ten człowiek z rządu musi mieć sporo pieniędzy – zauważyła Sezen.

– Sądzisz, że powinnam zwrócić się do niego? – Ta dziewczyna myślała szybciej od niej!

Sezen wzruszyła ramionami.

– Bez przerwy powtarza, jacy to jesteśmy zaawansowani. A ma na myśli panią. Więc chyba warto? – Pociągnęła nosem. – Nie zniosłabym, gdyby stała się pani miękka jak moja matka.

– Nie zmięknę – powiedziała Mae i to była obietnica.

Wieczorem odwiedził ją pan Szczery. Jego spojrzenie przemawiało dobitnie: „Dlaczego mi to pani zrobiła?”.

– To ogromna komplikacja w naszym programie – powiedział głośno. Cmoknął, wyrażając w ten sposób niezadowolenie. Światło odbiło się od szkiełek jego okularów. – Liczyłem, że będzie pani naszym wzorem do naśladowania.

– Gdybym tylko o tym wiedziała, nie zakochałabym się.

– Muszę napisać raport. – Pan Szczery zachwiał się, jakby

dźwigał ciężar. – A nie mam im nic do powiedzenia. Oprócz tego, że i tu rządzi chaos, jak wszędzie.

– A kiedy nie rządził? – spytała Mae, myśląc: „Jak mogli wysłać takiego chłopca całkiem samego”.

Niżej, na podeście schodów, mężczyźni już zbierali się wokół pudła. Mae usłyszała wywrzaskiwaną informację i westchnienie: „fut-bal”.

– Czy może pani kontynuować działalność szkoły? – spytał stanowczo pan Szczery. – Czy może pani nadal uczyć innych?

Mae zastanawiała się tymczasem, jak bardzo potrzebuje tego młodego człowieka. Chciała powiedzieć mu: „Panie Szczery, w tej chwili sprawą najważniejszą jest moje prywatne życie. Straciłam męża i dom”. Chyba to zrozumiał, bo skrzywił się i pogładził po karku.

– Panie Szczery, czy zechce pan pomóc?

Spojrzał na nią chętny jak szczeniak do zabawy.

– Przecież po to tu przyjechałem!

– Więc proszę nauczyć mnie robić screeny. Żebym mogła sprzedawać swój towar. – Mae usiadła na łóżku. – Chcę się wyspecjalizować i zwiększyć zasięg. Chcę robić coś, co będę mogła sprzedawać za granicą na wyspecjalizowanych rynkach. Coś wyrażającego zainteresowanie kupujących problemami Trzeciego Świata. Chcę sprzedawać moje produkty w Nowym Jorku, Singapurze i Tokio...

Przedstawiciel rządu po prostu się w tym zakochał. Puls mu przyśpieszył, oczy rozbłyły, jakże pragnął pisać takie właśnie raporty.

– Oczywiście, oczywiście, to mogę dla pani zrobić. Mogę je wykonać... mogę pani pokazać, jak się je wykonuje. Mogę pokazać pani, jak można dotrzeć do ludzi ze screenami.

Mae skinęła głową.

– Niestety teraz jestem biedną kobietą zdaną na własne środki. Nie mam pieniędzy do zainwestowania. Pan jest z rządu. Czy ma pan taki wpływ na rząd, bym dostała od niego wymierną pomoc?

Chłopak myślał przez dłuższą chwilę.

– Ja sam nie – przyznał. – Ale... ale przecież mogę pomóc!

Oczywiście, że mogę! Mogę znaleźć formularze. Mogę pomóc pani je wypełnić. Ale, rozumie pani, by dostać grant, potrzebne nam będą bardzo mocne argumenty.

– Mam takie argumenty.

Pan Rządowy, trzeba mu to przyznać, był gotów przystąpić do działania natychmiast.

– No to idziemy. – Poderwał się z miejsca z szerokim uśmiechem na twarzy.

Jakby urodził się wczoraj!

– Panie Oz, jestem kobietą upadłą. Nie mogę wyjść do tych mężczyzn i odpedzić ich od maszyny.

Dobiegające z dołu hałasy zmieniły się w głośny i coraz głośniejszy ryk. „Nie!” – krzyknął ktoś. Drużyna, której kibicowali, przegrywała. Będą w fatalnych humorach.

– Wszystko w porządku, mam swój. Mam komputer w furgonetce. – Pana Rządowego ogarnął taki entuzjazm, że nie istniały dla niego przeszkody.

Będą musieli przejść przez podest schodów. Hałas czyniony przez zgromadzonych tam pijanych mężczyzn bił w niebo jak zapach gotującego się gulaszu.

Mae zeszła ze strychu po drabinie, a potem na schody i do wyłożonej dywanem palarni, z której prowadziło wyjście na podest. Żołądek ścisnął się jej ze zdenerwowania. Czuła się tak, jakby ktoś zdarł z jej ciała wierzchnią warstwę skóry.

Mężczyźni tłoczyli się na niewielkiej przestrzeni tuż za kamiennym łukiem. Wrzaskliwy głos ucichł, rozległa się wesoła muzyka. Mecz właśnie się skończył.

O Allachu, spraw, by oni wszyscy poszli teraz do domu!

Ktoś ziewnął głośno. Rozległ się szurgot przesuwanych krzeseł. Pan Szczery postąpił krok w przód i Mae chwyciła go za rękaw. Obejrzał się na nią zdziwiony. Dopiero teraz zrozumiał, że ta kobieta się boi.

– To co, teraz film? – spytał ktoś.

Znów zaszurały krzesła, nagle zagrzmiała muzyka z Bollywood. Mae puściła pana Szczerego. Skinęła głową, „tak”. Próbowała stać się niewidzialna. Próbowała przepłynąć przez podest jak łagodny

wietrzyk.

Mężczyźni tłoczyli się wokół telewizora. Dostrzegła wśród nich pana Ali, pana Pina i obu Dohów, starego i młodego. Joego wśród nich nie było. Mae próbowała przesunąć się za oparciami krzeseł. Powietrze wydawało się zrobione z gęstego, niedopieczonego ciasta chlebowego po to tylko, by się jej opierać.

– Phi! – prychnął pan Doh z obrzydzeniem.

Mae pilnowała, żeby się nie rozejrzeć.

– Straszny smród – poskarżył się pan Ali. – Kwan nie powinna trzymać w domu świń.

Pan Pin natychmiast się z nim zgodził.

– Och, świnię powinno się trzymać w piwnicy. Lubią tarzać się w gównie.

Ten żart wywołał powszechną radość. Mae dochodziła już prawie do schodków. Łatwo byłoby ją z nich zepchnąć.

– Ciepło ich ciał ogrzewa budynek – zauważył pan Ali.

– Wygląda na to, że gorące świnię pieprzą nawet ludzi z rządu.

– Gorące świnię należy zabijać – orzekł stary pan Doh.

Wydawało się, że nawet powietrze zadrzało. Mae musiała obejrzyć się, ocenić, czy nie najwyższy czas uciekać. Zobaczyła, że młody pan Doh położył dłoń na ramieniu ojca. Patrzył na nią zaniepokojony. Kiwnął głową w kierunku bramy: „Odejdź stąd jak najszybciej”. Pomyślała wtedy: „Jesteś najbliższym przyjacielem Joego, a jednak tylko ty traktujesz mnie jak człowieka”.

Zbiegła po schodach. Jej kroki zastukały jak spadająca z nich piłeczka.

– Panowie – powiedział pan Oz, pan Szczery – dobry wieczór. Jestem bardzo zadowolony, że tak wszechstronnie używacie telewizora.

Pan Szczery stał pewnie na najwyższym stopniu schodów, na lekko rozstawionych nogach.

Mae pobiegła.

\*\*\*

Czekała na niegdyś swoim podwórku, drżąca, ukryta w mroku. Zamknęła bramę na zasuwkę i kucnęła za nią. Mogła tylko mieć

nadzieję, że Joe nie wyjdzie na podwórko. Ani on, ani pan Ken.

Usłyszała pukanie.

- To ja - powiedział pan Szczery.

- Ciii... - Mae podniosła zasuwkę delikatniej, niż gdyby to był kocyk okrywający niemowlę.

Na paluszkach przeszli do stodoły, zamknęli za sobą wrota. Kiedy już siedzieli w furgonetce, pan Szczery powiedział:

- Odwiozę panią do domu. Jeśli ci głupcy jeszcze tam będą, prześpi się pani w samochodzie.

Mae opadła na siedzenie. Poczła coś, jakby żołądek się jej rozluźniał. Musiała oprzeć opadającą głowę na rękach. Groźba mdłości przesunęła się nad nią jak chmura i odplynęła.

Znała te objawy. Była w ciąży.

- Wszystko w porządku? - spytał pan Szczery.

To pytanie doprowadziło ją do wściekłości. Jak to nazwać... czy ten gówniarz dopiero teraz zauważył, że jest pobita, poraniona i że jest wyrzutkiem ze swej społeczności?

- Nie - odparła gniewnie, gwałtownie. - Nie wszystko jest w porządku.

Pan Szczery oczekiwał, że jak zwykle odpowiedzą mu uprzejmością na uprzejmość. Skrzywił się.

- Och, niech pan już przestanie udawać dziecko i pomoże mi, jeśli ma pan zamiar mi pomóc.

Chłopak odchrząknął z głębi gardła. Pochylił się, podłączył przewody, rozległ się cichy jęk, to ożywiła się jakaś maszyna: małe pudełko z odchylanym ekranem, rodzaj minitelewizora.

- Proszę przejść do „Info”, a potem do „Rząd” - polecił.

Wprowadził Mae w zupełnie nowy świat „Info”. Były w nim zasady, prawa, oferty pomocy, a wszystko od jej własnego rządu!

Pojawił się formularz głosowy. Zaczął zadawać impertynenckie pytania. Czy masz powyżej czterdziestu lat? Ile masz dzieci? Czy wszystkie mają powyżej dwudziestu lat? Utrzymujesz kogoś? Jaki jest twój roczny dochód? Dziesięć tysięcy rielsów? Tysiąc rielsów. Nie podawał sumy wystarczająco małej.

- Pięćset rielsów - powiedziała Mae cicho.

- Czy to prawda? - spytał pan Szczery spokojnie. - Podanie

zawyżonych dochodów może być pod pewnymi względami dyskwalifikujące.

Mae powiedziała prawdę: sto rielsów rocznie. Pan Rządowy wyglądał na zasmuconego, ale nie spojrzął jej w oczy.

– To wszystko. Teraz moja kolej – powiedział tylko. – Na co potrzebne pani pieniądze?

Ma odpowiedziała, że musi kupić beżowy materiał, taki, jaki lubią ludzie zamożni, żeby zapłacić tym, którzy wyhaftują na nim tradycyjne wzory Eloi, a następnie oznajmić na Zachodzie i na Wielkim Wschodzie, że dzieła te są manifestem zainteresowania problemami Trzeciego Świata.

Pan Szczery roześmiał się cicho, obrócił przez ramię i spojrzął jej w twarz, a potem przemówił do maszyny. Przetłumaczył to, co Mae mu powiedziała, na język oficjalny. W uszach Mae brzmiało to trochę jak wygłaszanie niezwykle ważnej wiadomości – tak rozmawiają ze sobą bogacze – nie poruszało ani nie interesowało, przynajmniej jej.

– To nudne – powiedziała.

Pan Rządowy wzruszył ramionami. Mae wyobraziła sobie, że po drugiej stronie siedzi ktoś równie znudzony jej odpowiedziami na pytania. Sięgnęła w głąb wzoru, sięgnęła ku nowej, zarządzającej się w jej głowie sieci powiązań i przemówiła wiedzą Kru, nie stając się Kru.

– Propozycja dotyczy wykorzystania potęgi Sieci do sięgnięcia, za pomocą produktu lokalnego rzemiosła, do specjalistycznych rynków niszowych, przede wszystkim w Ameryce, Singapurze i Japonii. – Pan Szczery znów się obejrzał, ale tym razem spojrzął na nią ze zdumieniem. – Nie ma to być tradycyjny marketing bezpośredni. Szczególne wysiłki zostaną skupione na wyszukiwaczach różnego rodzaju informacji, zwłaszcza dotyczących mody i rzemiosła...

– Proszę nie używać słowa „Eloi” – przestrzegł ją pan Rządowy. – „Tradycyjne lokalne rzemiosło”, tak to się nazywa. Ma pani Koniarza?

Koniarze z Karzistanu zajmowali się od stuleci handlem najbardziej mobilną ze wszystkich walut świat: końmi. Tego

rodzaju towar umożliwił im też przynoszenie wieści o tym, gdzie brakowało koni... lub czegokolwiek innego.

Koniarze, jak eksperci modowi, zawsze operowali w biznesie wymiany informacji. Dziś zastąpili ich ludzie, którym płacono za sprzedawanie i porządkowanie Info. Po angielsku nazywali się inaczej, ale w języku Karz pozostawali Koniarzami informacji.

Pan Oz miał już przygotowane nazwiska i adresy.

– Musi pani podać adres Koniarza. Inaczej pomyślą, że nie odrobiła pani pracy domowej.

Do podania dodał też własny raport w postaci załącznika. Jego głos potwierdził tożsamość Mae.

– To kluczowy projekt dla rejonu Green Valley/Red Mountain – powiedział. – Składająca je przejęła przywództwo w uczeniu mieszkańców wioski działania Sieci i nadchodzącego Tlenu. Założyła szkołę „Jaskółka”, instruującą miejscowych, jak korzystać z usługi Info. Używała dobrze skonstruowanej Mapy Pytań celem zbadania opinii społeczności lokalnej na temat Tlenu. Zaproponowany projekt pokaże jej wartość Sieci. W najlepszy sposób wesprze cele zarówno O-En-Zet, jak i wspólnej deklaracji „Rozpostrzeć Skrzydła” Centralnego Biura Technologii Informatycznej i Ministerstwa Rozwoju.

Następnie wysłał formularz.

– Moim zdaniem musi się udać – oznajmił. – Nie wyobrażam sobie lepszego celu. – Był spokojny, zadowolony, pewny, że ta sprawa będzie świetnie wyglądała w jego rządowych papierach.

Więc i ty coś z tego masz. Bardzo dobrze.

– Jak się zostaje koniarzem Info? – spytała Mae. – Jak mogłabym nim zostać?

Tym razem, kiedy chłopak na nią spojrział, oczy miał, dla odmiany, dorosłe.

– Musiałaby pani wiedzieć znacznie więcej, niż pani wie w tej chwili.

– Będę w stanie nauczyć się tego, czego nie wiem?

Chłopak westchnął.

– Musiałaby pani wiedzieć, kto pociąga i za jakie sznurki. Jak funkcjonują pieniądze. System bankowy.



Mae wysunęła szczękę wojowniczo.

– Mam swojego Kru!

– I jeszcze ludzie. Musiałaby pani znać ludzi, ze wszystkich tych światów. Nie mnie wyrokować, czy zdoła pani nauczyć się tego wszystkiego.

Jesteśmy, kim jesteśmy.

– Dziękuję. – Pan Rządowy powiedział „nie” w sposób, który rozumiała i mogła zaakceptować. – W porządku. A teraz proszę nauczyć mnie stawiania screenów.

Pan Oz aż się zgarbił.

– Jest już późno...

Mae przerwała mu bezceremonialnie.

– Żeby tu przyjść, ryzykowałam życie. Nie mogę często tak ryzykować. Obiecał pan, że mi pomoże! Pięknie! No to niech pan pomoże. Pomaganie ludziom zawsze kosztuje, pana – udzielenie mi pomocy, mimo że jest pan zmęczony. Zaczynajmy. Niech pan wykona swą pracę.

Pan Szczery milczał, tylko mięśnie jego twarzy pracowały tak wyraźnie jak męski biceps. Ta twarz wyglądała, jakby wypływała z głębi gniewu ku spokojnej powierzchni uśmiechu.

– To mi bardzo dobrze zrobi – powiedział i uśmiechnął się szeroko. – Dobrze, zaczynajmy. No więc screeny robi się z pomocą czegoś starego, co nazywa się HTML. XML sprawia, że działają na telewizorach, a AML pozwoli im działać nawet w Tlenie.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Musi pani nauczyć się słów – oznajmił pan Szczery. W królestwie Info to on wydawał rozkazy.

\*\*\*

Następnego dnia pojawił się pan Ken. Chciał, żeby Mae została z nim. Mae właśnie sprzątała reprezentacyjny pokój domu Kwan. Wszystkie dywany były zwinięte. Mężczyźni już otoczyli telewizor, już podano wyniki sportowe.

Ktoś za jej plecami zapytał:

– Nie powinnaś odpocząć?

Mae obróciła się. Za nią stał pan Ken. Wyglądał strasznie, wynędzniały z bezsenności.

– Nagadali ci? – spytała, gestem głowy wskazując podest schodów. Ken Kuei musiał przecież przejść wśród tych wszystkich mężczyzn.

– Usłyszałem to i owo.

– Tak też myślałam. Kiedy wyjdiesz, zapytają, czy masz mokrego fiuta.

– Chcę z tobą poważnie porozmawiać.

Idealna grzeczność Kuei kryła jego brak inteligencji. Był pracowity, łagodny, milczący, pełen współczucia i niezbyt bystry. Czy może mężczyźni są głupi z natury rzeczy? A może ona zna tylko głupich?

Jego krągłe szerokie ramiona, okrągła twarz jak brzoskwinia, wargi jak coś miękkiego, doskonale nadającego się do ssania... gdyby teraz dał jej poznać, że ma na nią ochotę tutaj, w tym zalanym promieniami słońca pokoju gościnnym, na wyczyszczonych kamieniach, gdyby zsuwał spodnie, zwilgotniałyby, otworzyła się i przyjęła go.

Ale nie. On chciał poważnie porozmawiać.

Pociągnęła nosem.

– Dobrze. To porozmawiajmy.

– Nie możemy zostać w wiosce.

– Nie mogę wyjechać z wioski – powiedziała cicho.

Pan Ken odchrząknął cicho.

– Proponuję... proponuję, żebyśmy wyjechali. Razem. Zabrali moje dzieci i wyjechali. Pojedziemy, dokądkolwiek zechcesz, ale osobiście proponuję Green Valley City. – Ken Kuei wyglądał, jakby był jednocześnie bezradny i dumny z siebie. – Nienawidzę Balshang – wyznał.

– Chcę tu zostać – powtórzyła Mae.

– Dobrze. Jak chcesz. – Ken skinął głową. Próbował zrozumieć, o czym mówi jego kobieta. – W takim razie będę musiał znaleźć nam nowy dom. Nie moglibyśmy przecież żyć tak blisko Joego.

– Jaki dom? Czyj, panie Ken? Czy we wsi jest jakiś pusty dom? A ja myślałam, że wszystkie są zatłoczone po dach, przepełnione

dziećmi i dziećmi dzieci. I co to za różnica, panie Ken, blisko czy daleko? Przecież mijałabym się z nim każdego dnia, na polu. Pieliałabym jego pole zamiast pańskiego. Przez pomyłkę.

– Wiem, wiem. – Ken energicznie kiwał głową.

– Chcę, żeby to się skończyło.

– Wiem, że do tej pory było źle. – Jej mężczyzna patrzył na nią wzrokiem, który tak bardzo pragnął pozostać dziecinny... i tak bardzo pragnął jej. – Ale może przecież być dobrze. Możemy powiedzieć po prostu: „Tak, to prawda, a teraz będziemy żyli ze sobą otwarcie”. Możemy to zrobić, a przez rok ludzie się do nas przyzwyczają.

– Nie rozumiesz. Tej nocy... przedwczorajszej, a człowiekowi wydaje się, że minęły lata... no więc tej nocy, wracając do domu, podjęłam decyzję. Zdecydowałam wówczas, że to się musi skończyć.

Słyszała rozmowy mężczyzn i ich śmiech, słyszała ptaki na polach i bardzo cichy szum rzeki przepływającej przez serce wioski. Patrzyła w jego ciemne oczy.

– Za ciężko pracowałam – mówiła dalej. – Wiem, czego chcę dokonać. Muszę zrobić to na swój sposób, jeśli mam w ogóle coś zrobić. Klęski nie zniosę.

– Info – powiedział pan Ken niemal z pogardą.

– Ta wioska – poprawiła go delikatnie. – Twoja babka pokazała mi, że wszystko umiera. Nie wystarczy po prostu żyć. Trzeba wiedzieć, że śmierć jest pewnikiem. Nie tylko nasza, ludzi... mówię o śmierci światów. Nasz świat umrze. Już umarł. Jedyne, co mogę zrobić, to pomóc mu, żeby narodził się na nowo. Żebyśmy my mogli przeżyć.

Ken Kuei zbierał coś z najbliższego parapetu.

– Matka nas wszystkich – powiedział z wyczuwalną goryczą.

– Gdyby czasy były inne... – powiedziała Mae.

– Gdybyśmy byli młodszy...

– Gdyby było tak, jak powinno być...

– Gdyby było tak jak kiedyś...

Pan Ken otrząsnął się jak pies. Zadrzał.

– Brrr... – warknął, częściowo jeszcze z gniewu, a częściowo już

się go pozbywając. – Wrócisz do Joego?

Mae nawet chciała zastanowić się nad odpowiedzią, ale odkryła, że nie musi.

– Nie. Skoncentruję się na tym.

– Czyli na czym?! – Pan Ken podniósł głos. – Skoncentrujesz się na swej samotności, Mae? Na pustym domu? Na pokoju w cudzym domu, na pracy będącej formą podziękowania za gościnę?

Mae wciągnęła powietrze nosem tak gwałtownie, że słycać było syk, choć trudno to nazwać westchnieniem. Zbierała siły.

– Na oczyszczeniu podłogi. To moja praca.

Kuei patrzył na nią nieprzytomnie zagubiony i bezradny.

– Jakiej pracy? – ponowił pytanie. Naprawdę nie miał pojęcia.

W tej chwili Mae zapragnęła objąć go, przytulić, pocieszyć, bo był jednym z umarłych. Ale on źle by to zinterpretował.

– Uczeniu, jak używać wszystkich tych nowych rzeczy – odparła. Każde słowo było jak cegła, tak ciężka, że dźwigana z największym wysiłkiem.

– Potrafisz zrobić jedno i drugie?

Mae wyrzuciła ręce w niebo.

– Nie. Nie potrafię. Nie śpię, prawie nie jem, pracuję w domu, pracuję na polu, a potem pracuję nad tym nowym. Nie mam czasu dla siebie. Jestem zmęczona! – krzyknęła. Twarz pana Kena wyrażała tylko sympatię. – Może kiedy to wszystko się skończy – dokończyła ciszej, pojednawczo.

– Będę czekał. – Zabrzmiało to strasznie bezradnie. – Długo na ciebie czekałem.

Rok od dziś? Może nadejdą zmiany, a za nimi, po pewnym czasie, także spokój? Po masakrze cisza?

Skinęła głową, „tak”, ale nie powiedziała nic, by nie dawać temu mężczyźnie fałszywej nadziei. On też skinął głową, „tak”, ale nie uczynił ruchu choćby sugerującego, że chce ją pocałować, bo oboje zgodzili się, że to jest koniec, nie początek. Kuei odwrócił się, zszedł po schodkach do kuchni. Reprezentacyjny pokój wydawał się pokryty białym pyłem.

Mae wbiegła po drewnianych schodkach, by móc wyrzeć przez

wysoko umieszczone okienko na świat oblany spłowiałym niebieskim słonecznym światłem i na niebieskie, spłowiałe dachy. Spuściła wzrok. Pan Ken szedł jakby we mgle. Szedł wysoki, wyprostowany, trzymając kurtkę w ręku, bo na zewnątrz panował upał. Tył podkoszulka miał przepocony, to przez ten upał i nerwy. Mężczyźni zignorowali go, a gdy ich minął, odwrócili się, wszyscy szeroko uśmiechnięci.

Tak odchodzi mój młody mężczyzna, pomyślała Mae.

Miałś tylko jednego – powiedział inny głos.

Pamiętaj go, pamiętaj jego szerokie ramiona, bo oto odchodzi w przeszłość, odchodzi w Krainę Umarłych. Nawet jeśli kiedyś się jeszcze spotkacie, oboje będziecie inni, obcy sobie, a może zaprzyjaźnieni? Pożegnaj go teraz, bo nie dostaniesz drugiej szansy, pożegnaj go za każdą chwilę, która nadejdzie i będzie go pozbawiona. Ale przynajmniej go miałś. Miałaś przynajmniej jego.

I znów pojawia się to odwieczne pytanie: babciu, nauczycielu, dlaczego miłość boli? Dlaczego to jest słodkie, chore cierpienie, ciężar w żołądku, poczucie pustki, tęsknota?

To dlatego że miłość zawsze odchodzi.

Pan Ken zatrzymał się przy bramie. Spojrzał w obie strony, w lewo i w prawo, jakby się zastanawiał, dokąd pójść, choć przecież nie miał wyboru.

I odszedł. A Mae pozwoliła sobie na płacz.

Mae dostała pieniądze.

O trzeciej nad ranem, kiedy pracowała na telewizorze Kwan, pojawiła się informacja, że ma nową wiadomość.

– Przeczytam ją pani – powiedziała maszyna. Wiedziała już, że Mae unika samodzielnego czytania. – „Republika Karzistanu, Ministerstwo Rozwoju, ma przyjemność zawiadomić, że zgodnie z warunkami inicjatywy »Rozpostrzeć Skrzydła« niniejszym zgadza się na pełne finansowanie zgłoszonej nam propozycji pod następującymi warunkami...”.

Mae sparaliżowało. Rząd mówił do niej! Rząd wiedział, kim jest! I właśnie dali jej pieniądze!

Pod jakimi warunkami? Mae spochmurniała. Oczekiwała najgorszych wieści.

Po pierwsze, wymagali pełnej informacji o ofertach i odpowiedziach na nie.

„Inicjatywa »Rozpostrzeć Skrzydła« musi wiedzieć, z jakim skutkiem rozwinęła pani matę. Prosimy o zainstalowanie załączonego zestawu oprogramowania »Obsługi Klienta«. Automatycznie zapisze ono wszystkie potrzebne nam informacje...”.

Była to Mapa Pytań. Zamierzano zachowywać wszystkie istotne informacje, ciągle od nowa: odebrane przez nią listy, zamówienia i ich wysyłkę, i analizować je przez kraj, odrzucenia i przyjęcia, i przez typ transakcji.

Mae wyteńczyła słuch. Czekwała na te naprawdę poważne warunki. Ale takich warunków nie było. Żadnych udziałów? Żadnego procentu? To ją rozgniewało. Jakże głupi musi być rząd, który tak źle prowadzi interesy! Jak może prosperować? Czy oni wszyscy byli dziećmi, jak pan Oz?

Ale niech dzięki będą bogom, szczęściu, jakkolwiek zwał – że

dali im tak naiwnych panów. Ma pieniądze, może znowu prowadzić interesy! Och, czyż opanuje życie jak liść podskakujący na falach wezbranej rzeki podczas burzy?

Musiąca komuś o tym powiedzieć, ale komu można coś powiedzieć o trzeciej nad ranem? Biednej Kwan, która opiekowała się nią, lecz teraz spała głęboko? Panu Rządowemu? Tak, owszem, ale musiałyby wrócić do swego starego domu, do Joego, do pana Kena...

Zatem komu?

Mae poszła do domu Sezen. Zapukała do drzwi. A potem, wbrew wszelkim zasadom, zaczęła walić w nie pięściami. Przecież miała dobre wieści!

Usłyszała szepty, ktoś się poruszył, dziecko zapłakało i zostało uciszone, po podłodze zaszurały kapcie. W otwartych drzwiach pojawiła się Sezen. Miała na sobie koszulkę nocną małej dziewczynki, a przyszcze na policzkach posiniały jej tak, że były niemal czarne od bezlitosnego wyciskania.

Mae chwyciła jej dłoń.

– Mam pieniądze – szepnęła. – Sezen, było tak, jak powiedziałaś. Rząd dał nam pieniądze!

– To jakiś żart! Czy obłąd?

– Dali mi wszystko, do ostatniego rielsa. A poprosiłam o aż za wiele!

– Czy mówi pani, że możemy brać się do pracy?

– Tak, tak, pokochali mój plan!

Sezen pisnęła z radości, przytuliła Mae, a potem obróciła się na pięcie i powiedziała:

– Upijmy się. Ma pani coś do picia?

Mae pokręciła głową.

– Kiedy już się pani wzbogaci, będzie pani miała whisky. I jedwabie.

– Wybudujesz matce nowy dom.

– Phi! Mowy nie ma. Nie. Kupię sobie motocykl. Mój własny.

Mae nadała jej nowe imię.

– Niegrzeczna dziewczynka – powiedziała.

– I pomyśleć tylko, kto nazywa ludzi „niegrzeczными”. No kto?

Pani! Awanturnica. Pani Śmierć. Mężczyzna w rodzinie. Tak teraz panią nazywają.

Sezen wprowadziła Mae do swego biednego domu. Rzuciła poduszki na stos, byle jak. W środku nocy, u schyłku lata, pchły były najgłodniejsze. Oblazły kostki Mae, które wyglądały przez to jak otoczone mgiełką. Zaczęły kąsać.

Sezen uklękała przed małym schowkiem w ścianie.

– O, jest! – ucieszyła się, wyciągając butelkę. – Obrzydliwe, ale mocne. Dzieło ojca. To jedyna rzecz, jaką robi dobrze.

Twórca dobrej rzeczy chrapał za zasłoną. Brzmiał jak akordeon w spelunce.

Wino ryżowe. Wśród wszechobecnego w domu Sezen brudu Mae siedziała, piła i opowiadała ze szczegółami o podaniu o grant i odpowiedzi.

– Kto potrzebuje wioski? – spytała. Wino ryżowe miało mleczną barwę i smakowało jak rozpuszczona kreda, ale człowiekowi wydawało się, że się wspina powoli wzdłuż kręgosłupa, znieczulając go kręgu po kręgu.

– Pfuj, wioska! – Sezen udała, że spluwa. – Oni wszyscy nie rozlatują się tylko dzięki ubraniom.

– Czyżbyśmy w takim razie byli nagie? – zainteresowała się Mae.

– Nagie i dzielne. – Dziewczyna uniosła szklaneczkę.

– Za nagie! – wzniosła toast Mae.

– Za pana Kena – dodała Sezen. – Och, jak ja potrzebuję pieprzenia!

Mae była zbyt pijana, by szczerze się zgorszyć.

– Och, Muso! – To jedyne, co zdołała powiedzieć.

Sezen wyprostowała mały palec w intencji niepodlegającej wątpliwości.

– Wy wszyscy Chińczycy... on co prawda jest muzułmaninem, ale miał ojca Chińczyka. – Potrząsnęła głową, roześmiała się głośno i znów potrząsnęła głową. Nadal się śmiejąc, odstawiła szklaneczkę na podłogę raptownie, jakby nabrała nagle ciężaru nie do udźwignięcia. – Jestem świnią – wyznała. – Cała moja rodzina to świnię. Mężczyźni, których spotykam, wszyscy są



świniami. I będę miała dzieci świnie. – Podniosła szklanę. Zasalutowała nią swej bezsilności, albo może domowi, albo losowi.

Pchły wokół kostek Mae wspinały się to wyżej, to niżej, jak płomień ogniska. Pozbawiona przytomności przez wino strącała ją niepewnymi gestami i drapała. Patrzyła błędnie przed siebie, nie od razu usłyszała, że Sezen przestała się śmiać.

– Przyszła pani do mnie tylko dlatego, że jest pani kobietą upadłą – oskarżyła ją dziewczyna zrzędlawie.

– Jeśli chcesz, by ludzie odwiedzali cię częściej, posprzątaj.

Sezen wpatrywała się w nią maślanym wzrokiem.

– Przecież tu jest posprzątane! – Znów wybuchła śmiechem. – Właśnie skończyłam sprzątanie, czyściej tu nigdy nie będzie! Mówię pani, ten dom brzydzi nawet pchły! – Śmiech dziewczyny był niemal bolesny, gęsta ślina łączyła pasemkami jej górną i dolną wargę. – Jestem damą, pani rozumie? Nudzi mnie sprzątanie. Sprzątanie jest poniżej mojego poziomu. – To wyznanie wcale jej nie zawstydziło.

W przyszłości nie będzie dam, pomyślała Mae. Wszystkie stare kanały, którymi spływamy w życiu, zostaną zamurowane. Damy, wieśniacy, mężczyźni, kobiety, dzieci, bogaci, biedni, czyści, brudni zostaną wymieszani w jedną masę. Będziemy jak masa chmur wirujących na wietrze, przebijanych lotem jaskółek...

– Upiłam się – wyznała głośno, z trudnością.

– Raczej otrułam. – Sezen zajrzała w głąb szklaneczki z mlecznobiałym winem. Wylała je na klepisko pełniące funkcję podłogi. – Może zabije pchły?

– Witamy w Centrum Mody Mae-Sezen – powiedziała Mae.

– Nowy Jork... Paryż... Singapur... Kizul... duh... – Sezen wstała niepewnie, obróciła się jak modelka. Jej nocna koszula miała przetarty rąbek i dziury na kolanach. – Szanowna pani Sezen przedstawia elegancki wykrój i dekoracyjne szczegóły swej najnowszej kreacji. – Uniosła wystrzępiony ze starości rąbek. – W upalne dni przepuszcza powietrze, reprezentuje też dziury w głowie szanownej panny Ozdemir, przez które to dziury przesącza się Tlen. – Uśmiechnęła się, Talent o temperamentie

tygrysa, uwodzicielsko zatrzepotała powiekami. – W świecie mody... oto prawdziwa wielka przygoda!

Mae chichotała. Nie wzruszyło jej, że przewróciła szklankę.

– Wypali pani dziurę w sercu – powiedziała Sezen, mając na myśli wino ojca.

– Dziura w sercu to tegoroczna rewolucja w świecie mody.

Dziewczyna zamarła.

– Pani płacze – powiedziała oskarżycielsko, nagle młoda i bardzo zawiedziona.

Czyżbym płakała?

Mae przesunęła dłoń po policzkach. Były wilgotne.

– To ze śmiechu – zapewniła Sezen. – To ze śmiechu – powtórzyła. Poklepała dziewczynę po dłoni.

– Och! Potrzebujemy radia! – Sezen westchnęła. – Mogłybyśmy zatańczyć!

– Kiedy przyjdzie Tlen – powiedziała Mae – będziemy miały muzykę, gdzie tylko chcemy. Każdy rodzaj muzyki.

– Kiedy przyjdzie Tlen... – w głosie Sezen brzmiały zdumiewające emocje – ...och, kiedy przyjdzie Tlen, puszczyć w niego muzykę, którą mam w głowie, żeby wszyscy mogli ją usłyszeć. – Usiadła, zamknęła oczy.

Mae uświadomiła sobie nagle, że jest świadkiem czegoś całkiem nowego. Sezen należała do tej grupy, która chciała Tlenu, a ona sama przecież się go bała. Dla niej Tlen był jak Powódź, jak ogień, jak lawina – był czymś, czemu trzeba stawić czoło, co trzeba kontrolować.

Dla Mae ta reakcja była czymś zupełnie nowym.

Sezen siedziała nieruchomo z zamkniętymi oczami.

– Gdy nadejdzie Tlen – szepnęła – będziemy mogły śpiewać do siebie, tylko że będzie to brzmiało jak muzyka największego w świecie zespołu. – Poruszała ciałem jakby w rytm muzyki.

– Gdy nadejdzie Tlen – dołączyła do niej Mae – będziemy mogły ubierać się nawzajem w stroje z Tlenu...

– Delikatne jak pajęcza sieć...

– Gdy nadejdzie Tlen, obejrzymy sobie tyłu nagich mężczyzn, ilu będziemy chcieli...

Mae spodziewała się, że Sezen zachichocze teraz złośliwie, jak to Niegrzeczna Dziewczynka, ale nie.

– Tylu pięknych mężczyzn, że zaczną wydawać się nam czymś naturalnym, jak ptaki...

– Gdy nadejdzie Tlen... – wyrecytowała Mae.

– ...wszyscy będziemy ptakami, będziemy nadzy, będziemy dzielni.

Czy to Sezen wypowiedziała te słowa?

A dziewczyna mówiła tymczasem jak w transie:

– Ubrania opadną, opadną pchły i pokrycia, uwolnimy się od ciała i odlecimy, cały świat będzie snem, a sen będzie całym światem... te...

Głos ucichł. Dziewczyna spała. Mae poczuła, jak na jej umysł spada zasłona, zasłona smutku i wyczerpania. Będzie spać tu, wśród pcheł, pomyślała. Bo właśnie widziałam cud. Cud przychodzi, kiedy ktoś zaczyna mówić, naprawdę mówić.

Tlen będzie czymś cudownym. O tym nie wiedziałam.

Mae złożyła głowę na klepisku pachnącym przyprawami i kukurydzą, nie odpadkami. Sezen chrapała. Ujęła ją za rękę, zdołała zdmuchnąć świecę. I znieczulona zasnęła.

Było jeszcze ciemno, kiedy obudziły ją zapachy niechlujnego domu: stęchły smród mieszkających tu ludzi, placków gówna, skwaśniałego psującego się ryżu w skrzyniach. Żarłoczne pchły nie dawały jej spokoju. W dodatku do porażającego kaca miała też dziwne, mdlące uczucie tam, niżej. I wyczuwała wilgoć. Krwawiła.

Własny oddech wydawał się jej płomieniem świecy. Krew znaczy, że nie jestem w ciąży, nie mogę być w ciąży. Ale musiała to sprawdzić, by zyskać pewność. Nie zaryzykuje jednak dotykania kobiecej rany brudnymi rękami, a to znaczy, że nic nie może zrobić w tym domu. Trzeźwa nie mogła nawet w nim spać. Ten dom śmierdział.

Wybacz mi, Sezen. Dotrzymałam ci towarzystwa, przez jakiś czas.

Sezen poruszyła się, wymruczała coś.

– Dobranoc – powiedziała Mae.

Stała na kamieniach podwórka. Podniosła wzrok na górskie niebo, rzekę gwiazd tak mleczną jak wino ojca Sezen. Słodkie powietrze oczyszczało. Tak, Sezen miała rację, Tlen jest cudowny, a ona, Mae, nie jest w ciąży. To, co dobre, nadejdzie, wiele dobrych rzeczy do zrobienia.

Słuchała swej wioski: poszczekiwania psów, wiatru w trzcinach, nurtu rzeki przeskakującego po kamieniach.

Ciąża? – spytał głos w jej głowie.

Mdłości wróciły ciężką falą.

\*\*\*

Rankiem Mae nadal czuła mdłości. Powtarzała sobie, że to przez wino. Jeśli krwawi, nie może być przecież w ciąży. A jeśli choruje, ciężko choruje... odkryła, że wcale jej to nie martwi. Chciała tylko żyć wystarczająco długo, by wprowadzić swą wioskę w Tlen.

Kwan czekała na nią w kuchni bardzo zdenerwowana.

– Gdzieś ty się podziewała!

– Piłam z Sezen – oznajmiła Mae. Miała straszego kaca, oddzielającego ją wręcz od świata. Kwan przyglądała się jej tym bardziej przerażona. – Jest bardzo mądra. Mądrzejsza, niż można by pomyśleć.

Kwan wykrzywiła wargi, jakby chciała powiedzieć: „Nie bądź aż tak nieszczerą i obłudną”.

– Nie jestem w ciąży – oznajmiła Mae.

– Przynajmniej to dobrze.

– Pod pewnymi względami. W dzisiejszych czasach, kto potrafi powiedzieć, co jest dobre, a co złe? – Mae wyprostowała się z wysiłkiem. – Muszę się zobaczyć z człowiekiem z rządu.

Na razie ciągle jeszcze było tak źle, że w świetle dnia nie mogła spacerować po wiosce.

Nikt nie mógł zobaczyć, że idzie do domu pana Kena.

Jej przyjaciółka tylko westchnęła.

– Obawiam się, że znów jestem dla ciebie ciężarem – naciskała Mae.

Na te słowa Kwan tylko machnęła ręką.

– Poślę dzieciaka – zaproponowała.

Odeszła już, kiedy Mae przypomniała sobie, że nie powiedziała jej nic o rządowych pieniądzach. Pomyśli, że to przed nią ukrywam... i może rzeczywiście ukrywam?

Przede wszystkim umyła się. Nadal krwawiła, krew miała kobiecy zapach. Owinęła się czystym płótnem, zesłała na dół. Powiedziała Kwan o rządowych pieniądzach, dygnawszy przedtem przepraszająco.

– Większą ulgę sprawiła mi inna wieść – usprawiedliwiła się.

– Obie są dobre – przyznała Kwan głosem bez wyrazu.

Pojawił się pan Rządowy i także dowiedział się o granicy. Uśmiechnął się, ale nie zademonstrował wielkiej radości.

– Szybko poszło. – Pokręcił głową. – To znaczy, że mają mało podań. Na granty dostali pewną sumę i koniecznie muszą ją wydać.

Mae próbowała odczytać, co myśli: dłoń na czole, roztargnienie.

– Pan się czegoś obawia? – spytała.

– To oznacza, że nikt niczego nie wymyślił. System nie działa.

Z dołu dobiegał hałas robiony przez mężczyzn oglądających telewizję. Czy kobiety i dzieci już wcale nie mają do niej dostępu? Mężczyźni pasjonowali się snookerem. Najbardziej bezsensowna rzecz ze wszystkich bezsensownych rzeczy, na które można zmarnować ranek.

– Proszę tu poczekać – powiedział pan Szczery.

Zszedł po bielonych schodach.

Mae podsłuchiwała ukryta za framugą. W słońcu schody pachniały bielą.

Nagle z dołu dobiegły głośnie okrzyki protestu.

– Spokój – wzniósł się ponad nie rozkazujący głos pana Szczerego. – To ważniejsze od sportu!

Protesty nie cichły.

– Co was obchodzą wyniki snookera w Balshang? – nie ustępował chłopiec. – Bo tych z Balshang wy nic nie obchodzicie, możecie sobie dorzucać gówna do ognia! Balshang nawet nie wie, że istnieje!

Mae aż zamrugowała ze zdumienia. Takie bojowe słowa u tego delikatnego młodzieńca? No, no, kto by pomyślał?

Mężczyźni nagle ucichli. Rozległ się donośny, uroczysty dźwięk, sygnał rządowy. Zawstydzeni, cisi, pomniejszeni ciężarem społeczeństwa przygniatającym ich do ziemi, mężczyźni z wioski pokornie czekali.

A potem usłyszała ciche rozmowy.

Wiedzą, zorientowała się Mae. Wiedzą o pieniądzach. Pokazał im to na telewizorze.

– Dziękuję, panowie – rozległ się głos pana Szczerego.

Naga, lecz dzielna. Dziwka opłacana przez państwo, by stać się bogatszą od mężczyzn. Tak mnie będą nazywali. Od dziś twarz muszę mieć jak z kamienia. Będę musiała być trwała jak góra. Góry zatrzymują wiatr.

Pan Rządowy wrócił, ściskając w ręku kawałek papieru.

Pojawiła się Kwan, zatroskana i ciekawa, wycierając ręce. Na papierze wydrukowane były wszystkie obowiązujące Mae zasady i warunki, do których musiała się stosować.

– Wszystko w porządku – wyjaśnił. – Fundusze mają formę gwarancji bankowych. Wie pani, co to takiego?

Mae pokręciła głową.

– Karta Wiarygodności? – zaryzykowała.

– Coś znacznie lepszego. Ale muszę pojechać z panią celem potwierdzenia. Na tej podstawie otworzą pani konto firmowe. Następnie otworzymy konto „Znak Zapytania”, by mogła pani przesyłać pieniądze przez Sieć. A potem... potem można już robić interesy.

– Co oznacza wyjazd do Green Valley City – ucieszyła się Mae. Serce podskoczyło jej z radości. Nie była w mieście od wiosny.

– Mhm. – Pan Szczery jak zwykle nie miał pojęcia, co taki wyjazd oznacza dla niej. – I bardzo dobrze, bo w tym tygodniu odbędzie się tam wielkie seminarium dla ludzi z inicjatywy „Rozpostrzeć Skrzydła”. Nawet bardzo dobrze. Wingowie także mają zaproszenie.

– Czy Sunni może pojechać z nami? – spytała Mae.

\*\*\*

Sunni wybiegła z domu do czekającej na nią rządowej

furgonetki. Była ubrana w nienaganną miejską kremową sukienkę, głowę przysłoniła beżową chustą. Zbiegła ze wzgórza do mostu szybko, by nikt jej przypadkiem nie zauważył. Wcisnęła się na tylne siedzenie, obok Mae. Pośpiesznie przywitała się z nią, z panem Szczerym i z panem Wing. Widać było, że marzy tylko o tym, by odjechali stąd jak najszybciej.

– Witam, szanowna pani Sunni. – Sezen uśmiechnęła się promiennie.

Z pewnością miło pani mnie widzieć. Jej oczy aż skrzyły się z radości, psia obroża na wilku.

Mae posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Dzień dobry, Sezen – zdołała wykrztusić Sunni.

Aż drgnęła, widząc, że dziewczyna ubrała się w maturalną sukienkę, wzgórza jaskrawej cytrynowej żółci. Nałożyła okulary przeciwśloneczne, jakby ją oślepiała.

– Szanowna pani Haseem... – Siedzący obok kierowcy pan Wing przywitał się z nią niezwykle uroczyście.

Pan Szczery natomiast tylko skinął głową, po czym tyłem wyjechał na Upper Street.

Sunni spojrzała na Mae. Uśmiechnęła się do niej jak za dawnych lat.

– Bardzo to miło z twojej strony, że mnie zaprosiłaś – powiedziała.

– Uznałam, że starzy przyjaciele z partii postępu tylko zyskają, jeśli razem pojedą zobaczyć, co dzieje się w mieście.

– I mamy taki piękny ranek! – Sezen sięgnęła za plecami Mae, położyła dłoń na ramieniu Sunni. – Możemy zatrzymać się po drodze, pomachać pani przyjaciółkom pracującym w polu.

– Jeśli ci, których przyjaźń dopiero się zdobywa, nie odwzajemniają tego, nieszczęście jest nieuniknione. – Mae znów przeszyła dziewczynę gniewnym spojrzeniem.

– Rzeczywiście – przyznała Sunni bardzo cicho. – Dokładnie tak to czuję. – Chowająca się bezpiecznie za okularami, pokonana, wydawała się bardzo krucha, niepewna, nawet przestraszona tym, że aż tak potrzebuje zaufania.

Mae impulsywnie, mocno ścisnęła jej dłoń.

– Dobrze jest być wśród przyjaciół.

– A gdzie lady An? – zaświergotała Sezen.

Sunni zebrała wszystkie siły, by jej odpowiedzieć.

– An się uczy. Przygotowuje się do studiów modowych. Korzysta z Sieci przez mój telewizor. Bardzo się jej to podoba. Może powinnaś z nią porozmawiać, Sezen, sprawdzić, czy takie kursy by ci się nie podobały. Mogłybyście uczyć się razem.

– O niczym innym nie marzę! – ucieszyła się dziewczyna tak entuzjastycznie, że nie pozostawiła wątpliwości: to najgorsze, co jest w stanie sobie wyobrazić. – Naucz mnie prawidłowej wymowy!

A przy okazji może dobrych manier? – pomyślała Mae. Lekko ścisnęła dłoń Sunni. Zdziwiła się, kiedy Sunni odwzajemniła uścisk.

– Jakie to straszne – parła dzielnie przed siebie – że ludzie nie potrafią wykorzystać wszystkich możliwości telewizorów. Pomyśleć tylko, że są tacy, którzy chcieliby je wyłączyć!

– Niektórzy chcą zniszczyć innych. – Tym razem Sezen niczego nie udawała, powiedziała to poważnym, zimnym głosem.

– Rzeczywiście – przyznała Sunni.

Mae odwróciła się i przekazała wzrokiem jedno polecenie: „Dosyć!”. Sezen przyjęła je z uśmiechem zadowolenia i dyskretną oznaką zgody. Jej honor został usatysfakcjonowany.

Zdążyli już wyjechać ze swej małej wioski. Tuż za oknem pana Szczerego ciągnęło się gigantyczne kamienne urwisko.

– Muzyka? – spytał pan Wing i włączył radio.

Echa i maszynowe dźwięki, to była muzyka pokolenia Sezen. Oczarowała ją i uspokoiła ta pieśń godowa, wołanie o dołączenie do współczesności. Starsi po prostu siedzieli w milczeniu. A tymczasem, niczym niematerialne chusty, przemykały obok nich pola ryżowe, pokryte mgiełką terasy, grubi mężczyźni na osłach, kobiety w wielkich słomkowych kapeluszach rozważające perspektywę żniw.

Wjechali do Wyschniętej Wioski. Mae wstrząsnął widok szarych talerzy i kabli na większości domów.

– Mają je od lata – poinformowała ją Sunni, odwracając się. – My



z Kizuldah nie jesteśmy chyba aż tak zaawansowani.

– Zainstalowali sa-tehlajty. – Pan Szczery potrząsnął głową, jakby wszystkich w furgonetce rozbawiło to, co rozbawiło jego. Mimo wszystko... to solidna stara technologia.

Mae nie starczyło śmiałości, by zapytać, co to takiego satelita.

– Popatrzcie tylko. – Sunni wyciągnęła rękę, pokazała palcem. – Oni już młóćą!

Zjazd ze wzgórza był jak zanurzanie się w ich własnej przyszłości. Na lśniącym żółtym wielkim terenie stały potężne wynajęte młockarnie i przyczepy załadowane ciecierzycą. Mężczyźni wrzucali ją widłami do maszyn. Wypluwana przez nie słoma, wiklinowe kosze czekające na nasiona, kobiety i chłopcy wynoszący pełne kosza na plastikowe płachty, małe dziewczynki odganiające gęsi próbujące się do nich dobrać – wszystko to wyglądało jak dawniej.

Za oknem przemykały zamazujące widok ogrodzenia i bramy. Dobry zbiór.

– Ach – westchnęła Sunni, jakby to była jej radość. – Będą się dobrze bawić.

– Wielka uczta – przytaknęła Mae. – Dobrze, że w porównaniu z nami mają tak sucho. My uprawiamy ryż, oni ciecierzycę.

– A potem się wymieniamy. – Mówiły to od dawna, od lat.

Nagle furgonetką przestało trząść. Pojechali gładko, z szumem jak muzyka. Chmura kurzu za nimi znikła jak srebrne smugi za samolotem. Sunni i Mae wymieniły spojrzenia. Wyasfaltowali? Wyasfaltowali naszą drogę?

I obie jednocześnie wybuchły śmiechem.

– Kto... – Sunni podtrzymała dłońmi pokaźny brzusek – ...kto wymyślił, że to się opłaca, asfaltować miejską drogę tutaj!

– Osły mają łzej – dodała Mae, chichocząc.

Myślały o tych wszystkich starych grubych gospodarzach i ich osłach, o zagubionych w świecie żonach starych gospodarzy, bosych dzieciakach i bandytach ze spróchniałymi zębami uzbrojonych w stareńkie strzelby... och, oczywiście, oni wszyscy o niczym nie marzyli tak jak o przyzwoitej szosie!

– To dla motocykli – powiedziała Sezen zaczepnym tonem. W

radiu puścili drugą piosenkę z Balshang. – Wszyscy będziemy mieli motocykle.

– Przecież wiem, Sezen – uspokoiła ją Mae.

– Pamiętasz czasy, kiedy między koleinami rosła trawa? – spytała ją Sunnie.

– Oczywiście! Właśnie mi przypomniałaś!

– A każdego roku, kiedy jechaliśmy nią po raz pierwszy, nie było nawet kolein.

– No przecież! Koła ślizgały się na wiosennej trawie, człowiek bał się, że traktor zsunie się z drogi.

– Ojciec zawsze kazał nam zsiadać i iść piechotą. Wylewał ług, żeby ją wypalić.

Mae spojrzała na Sezen.

– Do miasta – wyjaśniła jej – jeździło się tylko, kiedy ojciec kupował konia...

– Albo części do traktora...

– Ładował dzieci, sześcioro, siedmioro, na przyczepę. Jechało się cały dzień. Noc przesypialiśmy na przyczepie.

– Pamiętasz ogniska?

– Każda rodzina rozkładała obóz na rynku.

– Przy ogniskach gotowało się zupę.

– A muzyka...!

– Wychodzili na środek rynku. Pieśniarze, głównie Koniarze. Śpiewali. Pamiętasz Kozaków? Jacy byli przystojni z tymi ich wąsami? A śpiewali...

Furgonetka podskakiwała i ślizgała się na boki, jakby jechała po trawie. Mae odwróciła się, chciała zwrócić uwagę panu Szczeremu, że źle prowadzi, ale kiedy wychyliła się z tylnego siedzenia, widok przed jej oczami zdrzął i rozmazał się, poczuła dym...

...zobaczyła płomienie.

\*\*\*

Kozacy nosili śnieżnobiałe koszule z wysokimi kołnierzykami. Czuć było od nich dym. Zapachem dymu były przesiąknięte ich wielkie wąsy. Mieli chytre twarze, jak złodzieje, ale ich twarze

rozjaśniały ciepłe uśmiechy. Na kolanie jednego z nich siedziała mała dziewczynka. Twarz tego Kozaka rozjaśniała miłość. Czuła miłość.

– Mam... małą... dziewczynkę – powiedział powoli, w Karz. – Jest śliczna. Jak ty.

Jego ciężarówka, pełna koni, ociekała wilgocią, choć była noc. Kozacy palili fajki. Jej ojciec pił z nimi. Siedział sztywno wyprostowany i odrobinę niespokojny. Bał się Kozaków.

Nie był to ojciec Mae. Nie ona była tą dziewczynką.

– Wysyłam prezenty mojej małej dziewczynce – powiedział Kozak. Jest bardzo źle, listonosz je zabiera. – Kozak wzruszył ramionami. – Och, jak tęsknię za moją małą dziewczynką. Masz szczęście, że mieszkasz z ojcem. Jesteś daleko od wojny.

Jakiej wojny?

Kozak poklepał po głowie małą panienkę Hu i pozwolił jej pobiec do ojca. Jej ojciec był tęgi, miał gładką skórę i nie nosił brody. Czuć go było szczypiorkiem i czosnkiem, nie dymem. Panienka Hu wspięła się na jego kolana. Natychmiast została obsypana pocałunkami, tak świeżymi i wilgotnymi jak nowe liście na małej sadzonce.

– Ai-ling – westchnął pan Hu.

Druga wojna światowa. 1941 rok, powiedzmy.

Ciemny rynek miasteczka oświetlała zaledwie jedna latarnia. Nie było żadnych wysokich budynków. W rzeczywistości rynek otaczały budy, przed którymi siedzieli mężczyźni w znoszonych, porwanych, brudnych ubraniach. Fryzjerzy, bary, sklepy z częściami zamiennymi, herbaciarnie. I światło uliczne. Teraz Mae przypomniała sobie, że było to jedyne światło uliczne w mieście.

Kozak uśmiechnął się. Ujął wiołę: małą, niewerniksowaną, niedbale połączone drewno trzymało się strun. Smyczek zrobiony był z końskiego włosa.

– Dla ślicznych małych dziewczynek – powiedział.

Zagrał coś pogodnego, prostego i słodkiego.

– Ta piosenka mówi: „Czerwone dzieci, czerwone dzieci, bawcie się...” – wyjaśnił i zaczął grać.

Melodia była tak wesoła, że Ai-ling chciało się tańczyć. Wesoła,

ale także w jakiś sposób smutna. Myślała, że nigdy w życiu nie słyszała niczego piękniejszego. Pragnęła zapamiętać tę piosenkę na wieczność. Rozpromieniła się z radości i zachwytu, a ojciec przyglądał się jej pobłaźliwie.

Mała Ai-ling zaczęła tańczyć. Wyciągnęła ręce, obróciła się w swej najlepszej miejskiej sukience, sztywna piana koronek, wstążki we włosach, mała księżniczka, wirująca, wirująca. Kozacy, twardzi jak wydeptana droga, miękli niczym na deszczu. „Ach!”, wzdychali za tym, co piękne i co przypominało im dom. Przyszła w końcu chwila, którą panna Hu uwielbiała, ta chwila, w której wyleczyła się z nieśmiałości. Dopiero teraz mogła naprawdę tańczyć.

I tańczyła naprawdę doskonale, wiedząc, że jest mała, słodka i śliczna. Kilku odeszło od innych ognisk, mieli ze sobą mandoliny. Muzyka wzbogacała się i rosła. Mała Ai-ling zawstydzila się jednak, przestała tańczyć, ukryła buzię w spodniach ojca. Koniarze roześmieli się. Z miłością.

Mae rzucało jak małą papierową łódką na falach oceanu.

Muzyka się zmieniła. Trzask i brzęk. To muzyka z Balshang płynąca przez radio. Zmieszana z rykiem silnika i ostrym blaskiem słońca.

Mae czuła się fatalnie, szarpały nią fale mdłości. Marzyła, by powiedzieć: „Zatrzymajcie się, muszę zwymiotować”.

Widzisz? Widzisz? – spytała ją stara pani Tung. Widzisz, co niszczysz?

Jakaś młoda osoba przysunęła się do niej zatroskana. Mae nie od razu zorientowała się, kim jest.

– Dobrze się pani czuje? – spytała Sezen. Dotykała ramieniem jej ramienia.

– Mhm. – Nie było to potwierdzenie. – Spałam – wyjaśniła.

– Śpiewałaś – poprawiła ją Sunni. Oczy miała ukryte za okularami przeciwsłonecznym. – W obcym języku.

Wjechali do Green Valley City. Yeshibozkent przykrywało wielki kawał ziemi niczym brudna chustka do nosa. Na obrzeżach miasta stało wiele nowych budynków. Surowy beton wiązał nieregularne plamy cegieł łączonych cienką warstwą zaprawy.

Takie domy rozlecą się przy najbliższym trzęsieniu ziemi. Powietrze było niebieskoszare. Wjechali w jego plamę z góry, otoczyło ich upałem jak koc śmierzący starymi samochodami.

Bród, smród, toyoty z napędem na cztery koła nietrzymające się swego pasa ruchu i stare kobiety wychodzące wprost na ulicę.

Pan Szczery nie zwolnił, tylko cały czas trąbił, niemal rozpaczliwie, zmuszając ludzi, by odskakiwali mu z drogi, i taksówki do ustąpienia mu miejsca. Pan Wing śmiał się cicho z jego sposobu prowadzenia.

– Zawsze się zastanawiałem, jak wy przejeżdżacie tędy tak szybko – powiedział.

Miastowi w krzykliwych ubraniach parli przed siebie i nic ich nie obchodziło, że przemykająca obok furgonetka niemal się o nich ociera. Światło zmieniło się na czerwone, furgonetka zahamowała gwałtownie. Przechodnie wylali się falą na ulicę.

Sezen ożywiła się nagle.

– A to co? – spytała, wskazując palcem.

Przed samochodem przemaszerował młody człowiek w brudnym kolorowym ubraniu, z długimi włosami splecionymi w warkoczki i rażącymi przy naturalnej czerni blond pasemkami. Jego twarz szpeciły dziwne okulary, wyglądały jak coś, co zakłada się do badania wzroku, albo jak obiektywy. Odwrócił głowę niczym ślepiec, zająknął do furgonetki. Błysnęło światło, w obiektywach, w jego oczach. W chudej, niemal wygłodzonej twarzy pojawiły się kły, jaskrawe, żółte, jak rząd bursztynu.

Sezen opuściła szybę, wychyliła się i krzyknęła:

– Czym jesteś?

Odpowiedział jej głośnym krzykiem, ale nie była to odpowiedź na pytanie.

– Właśnie zrobiłem wam zdjęcie! – Zachwiał się lekko, choć nie było ku temu żadnego powodu. – *Dig zee toh el.*

– Jest *Ay oh het* – powiedział pan Szczery.

– A przynajmniej tak sądzi. – Pan Wing uśmiechnął się z wyższością.

Tymczasem mężczyzna nadal do nich wrzeszczał.

– To zdjęcie wieśniaków! – Uśmiechał się wstrętne. – Wszyscy

jesteście martwi!

– To znaczy „Głowa w Tlenie” – wyjaśnił pan Szczery. – Nie może być żadną „Głową w Tlenie”, Tlen jeszcze tutaj nie dotarł, ale z pewnością przeczytał o nim w jakimś magazynie.

– Jesteś głupcem! – odkrzyknęła Sezen i zaśmiała się ironicznie.  
– Tlen jeszcze tu nie dotarł!

– Moje oczy to aparaty foto! – odkrzyknął, ale furgonetka ruszyła spod świateł.

Sezen była bardzo ożywiona, pełna pogardy i podniecenia.

– Widzieliście, co on nosi? Co miał na oczach?

– To komputer – wyjaśnił pan Szczery. – Jego część osadzono mu w głowie.

Dwie starsze kobiety aż syknęły.

– Nic dziwnego, że jest z nim aż tak źle. – Sunni pokręciła głową.

– Tak, tylko proszę sobie wyobrazić, że to ktoś przystojny albo mądry, a nie głupiec – zaprotestowała Sezen.

– Równie dobrze możemy sobie wyobrazić czyste ulice – powiedziała Mae.

Śródmieście było tu bogatsze, ale oznaczało to tylko, że w kanałach ściekowych leżało więcej pogniecionych puszek i starych papierów.

– Yeshibozkent? Czyste? – spytała Sezen z pogardą. – Przecież my wszyscy uważamy, że śmieci gniją. U nas nigdy nie będzie czysto.

– Jesteśmy bardzo czystymi ludźmi – oburzyła się Sunni. – Cały brud naszej wsi to zaledwie dwie rodziny! – Jedną z nich była, oczywiście, rodzina Sezen.

Dziewczyna tylko się roześmiała.

– Dla kogoś z Zachodu my wszyscy niczym nie różnimy się od świań.

Pan Szczery zatrąbił nerwowo. To osioł zboczył nagle z drogi. Zgrzytnęły hamulce, furgonetka zaczęła się beznadziejnie ślizgać bokiem na zablokowanych kołach. I uderzyła biedne zwierzę. Mae poczuła wręcz, przez maskę samochodu, jego żebra, futro, gruzłowate kolana.

– Och!

Pan Wing wyskoczył z samochodu. Oszołomiony osioł zdążył już wstać. Rozglądał się dookoła nieprzytomnie.

– Czyje to zwierzę? – spytał głośno pan Wing.

Tęgie damy w lśniących fioletowych kostiumach wydawały się nieco zdziwione tym pytaniem. Sezen śmiała się tak serdecznie, że nie mogła przestać.

– Czy on też ma obiektywy zamiast oczu? Osioł z głową w Tlenie?

Mae nie była pewna, co właściwie aż tak ją rozbawiło.

Nikt nie odpowiedział na pytanie pana Winga. Nikt nie przyznał się do posiadania osła, on sam natomiast poruszył uszami i odszedł jak gdyby nigdy nic. Być może, jak oni wszyscy, był martwy, tylko o tym nie wiedział.

\*\*\*

Główny rynek targowy nie miał już swego nagłośnienia. Dźwięk, będący czymś w rodzaju sygnału „jesteśmy w mieście”, został skutecznie uciszony. Pozostały jednak stare zapachy warzyw w słońcu i kanalizacji. Niemniej litanie sprzedawców wydawały się dziwnie stłumione, a sam plac większy niż zazwyczaj.

– Dlaczego tak mało tu ludzi? – zdziwiła się Sunni.

Mae rozejrzała się dookoła.

– Przecież jest sobota? Tak tu pusto w sobotę?

– Ludzie są w hipermarkecie – wyjaśniła Sezen, zbierając wokół siebie bogactwo swej cytrynowożółtej sukienki.

– A co to hipermarket?

– Wielki nowy sklep, za miastem. „Ostatnia deska ratunku”.

Sama nazwa sklepu rozbawiła Mae i Sunni. One też wysiadły z furgonetki, narażając się na lekceważące odwracanie wzroku przez miejscowych: „Ot, wieśniaczki”.

– Brzmi jak nagłówek z gazety...

– Albo jak tytuł kiepskiego romansu...

Sezen nie dała odebrać sobie swej nowoczesności. Wzruszyła ramionami wysiadła z samochodu niczym księżniczka. To był jej świat.

– Nazwali go tak, bo wiedzą o wszystkim, co jest u nich

kupowane, więc potrafią przewidzieć, co będzie potrzebne. Codziennie się wyprzedają.

– Jak każdy dobry handlarz tutaj – prychnęła Sunni.

Chociaż chyba już nie. Były tu starsze kobiety, kilka kobiet w średnim wieku, kilku tłustych mężczyzn, którzy przyszli posiedzieć na składanych krzesłkach, pogadać z przyjaciółmi stojącymi obok swoich nierozwiniętych mat. Zaledwie kilku klientów odrywało ich od puszek piwa. Mae poczuła się rozczarowana. Uwielbiała rynek. Wejście nań było jak wstąpienie w otwarte serce miasta.

Żadnych ognisk, żadnych ociekających wilgocią ciężarówek, żadnych pijanych tańczących Kozaków.

Wokół placu tańczył las jaskrawych plastikowych szyldów, otwierających się i zamykających jak kwiaty. Akai. Sony. Yeshiboz Sistemlar..

Zamiast obskurnych restauracyjek ich przeciwieństwo: chłopcy biegnący z tacami zastawionymi szklankami herbaty.

Jesteście martwi, powiedziała Głowa w Tlenie.

– No dobrze, to jakie mamy plany? – spytała Sunni.

– Pan Oz i ja idziemy do banku...

– Ja też – przerwała Mae Sezen. Po oczach łatwo było poznać, jak bardzo zależy jej, by osiąść wiedzę o pieniądzach.

Sunni poprawiła okulary przeciwsłoneczne.

– Ja mam coś do załatwienia – oznajmiła. Niewątpliwie związanego z modą i nie chcę, by Mae cokolwiek o tym wiedziała.

To jest w porządku, pomyślała Mae.

– To może spotkamy się tutaj za... no, powiedzmy, dwie godziny? I pójdziemy na lunch?

– Byłoby cudownie – ucieszyła się Sunni. – Możemy pójść do ogrodów świątynnych...

– Brrr... – otrząsnęła się Sezen.

Do rozmowy włączył się pan Szczery.

– Jeśli chcemy dostać się na kongres, nie mamy tyle czasu. Zamówię lunch teraz.

Wprowadził adres „Ostatniej deski ratunku”.



\*\*\*

Mae udała się do banku pod opieką pana Rządowego. Przywitano ją tam bardzo grzecznie. Oczekiwała, że poczuje się niezręcznie, ale okazało się, że nie umie czuć się jak ktoś gorszy. Okazało się też, że pieniądze czynią ją tak dobrą jak każdego innego.

Pili herbatę w gabinecie dyrektora, bardzo uprzejmego, bardzo przyjacielskiego w białej koszuli i pod krawatem. Był Karzem pełnej krwi, potężnie zbudowanym, o włochatych ramionach i wąsach jak przystrzyżona szczotka do zamiatania. No i nazywał się odpowiednio: pan Saatchi Saatchi.

Jestem tu, pomyślała Mae. Jestem tu, gdzie zawsze chciałam być. Jestem bizneswoman, nowoczesną i szanowaną. Sezen siedziała nieruchoma, kuląc się z podziwu jak zaciśnięta pięść. Mae łzy napłynęły do oczu. Ani się ważyła płakać, przestrzegła samą siebie.

- Pani Chung potrzebuje konta komórkowego. Sprawy z bankiem będzie załatwiać wyłącznie tą drogą.

- Udostępniamy tę usługę od przeszło dziesięciu lat. To dobrze, że zaczyna być coraz częściej wykorzystywana. - Dyrektorowi bardzo zależało, by rząd dowiedział się, jaki nowoczesny jest jego bank. Pan Szczery miał dużo zdrowego rozsądku, bo skinął głową z aprobatą.

- Umowa, jak pan niewątpliwie zauważył, daje pani Chung pełną ochronę inicjatywy RS. Wraz z elastycznym kredytem. Jeśli potwierdzi, że debet wystąpił wskutek prowadzenia interesów sponsorowanych przez inicjatywę, rząd spłaca go w całości. - Pan Oz podkreślił wagę swych słów krótką przerwą. - Kredyt należy więc powiększać na jej żądanie.

Oczy dyrektora rozszerzyły się, ale natychmiast skinął głową.

- Hm... - mruknął, rozważając konsekwencje tego, co mu właśnie uświadomiono.

- No tak. Oznacza to także, że rząd będzie miał pełny, nieograniczony dostęp do Info o tym ustanowionym i gwarantowanym rachunku.

- Oczywiście. - Dyrektor szeroko rozłożył ramiona.

- Będziemy też musieli przedyskutować zabezpieczenie i

kodowanie.

– Mam pełen raport. – Kopia dla Mae była już gotowa.

Dyrektor odprowadził gości do drzwi.

– To był prawdziwy zaszczyt – powiedział do Mae. – Takie przedsięwzięcia radują serca nas wszystkich.

Pożegnał oboje uściskiem dłoni. Pachniał sosną, a pod białą koszulą widać było bielszy, uperfumowany podkoszulek.

Kiedy znikł im z oczu, Sezen kurczowo złapała Mae za rękę.

– Och – jęknęła. Brakowało jej słów.

Mae miała ochotę się roześmiać.

– Gdyby tylko wiedział, kim jesteśmy!

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Zauważyła pani, że nie nosi obrączki? Może mogłabym wyjść za niego, skoro pani nie chce?

Pan Szczery i pan Wing poszli razem podziwiać komputery. Mae miała czas na fryzjera, skierowała więc swe kroki do Halat. Mała lafirynda była nawet bardziej bezczelna i zajęta niż zwykle. Pstryknęła palcami, po czym odesłała Mae i Sezen do praktykantek. Młode dziewczyny pokazały im na screenach, jak będą wyglądały w nowych uczesaniach. Miały przy tym miny triumfatorek, widocznie spodziewały się, że taka „nauka” dosłownie zbije klientki z nóg.

– Phi! – prychnęła. – My to robimy na szczycie Red Mountain.

Dziewczyny przycinały i układały, cały czas popatrując w ekrany. Potrzebowały wskazówek.

– Jak Halat może być taka głupia – powiedziała Mae, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

– Jak to? – zdziwiła się Sezen.

Mae potrząsnęła głową.

– Pokazuje aż za jasno, że sama niczego nie dodaje.

Moda znowu się zmieniała. Pojawiło się więcej krzykliwych kolorów, zwłaszcza wśród młodych kobiet. Moda oszalała, rozeszła się we wszystkich kierunkach naraz.

Na szczęście kiosk z lodami stał tam, gdzie zawsze, a także stare, nadal niepomalowane kino pokazujące filmy z Hongkongu, maleńki gabinet akupunktury z ziołami leczniczymi i

przepowiadaniem przyszłości. Przed wyłożoną płytkami ceramicznymi ścianą rzeźnika ustawiono rząd odciętych kozich głów.

Warsztat kalekiej krawcowej był zamknięty. Mae chciała wykupić od niej kremowy materiał. Tymczasem zielone drzwi przekreślała deska nabita niedbale na skos. Mae przeszła do sąsiedniego małego sklepiku, sprzedającego słodycze i kasztany na nitce nasycone sokiem owocowym. Prowadziła go przygarbiona, kwaśna kobieta.

– Co się stało z panną Soo? – spytała.

– Och! Wyjechała do swojego chłopca.

Mae milczała. Pamiętała wytrzeszczone oczy tej dziewczyny, pokręcone członki. Chciała dowiedzieć się, skąd wzięła pieniądze na wyjazd i co zastała na miejscu?

Sklepiarkka nie owijała w bawełnę.

– Nie są razem, ale i tak znalazła pracę i została w Balshang. Ech! Musiałam sama zabezpieczyć jej warsztat. Przed szkodnikami.

– A co się stało z jej towarem?

To jej nie interesowało.

– Chyba sprzedano go na licytacji.

Mae nie ruszyła się z miejsca. Myślała. Kremowy materiał. Widziała go teraz innymi oczami. Idealny splot z elementami bieli, ścisła osnowa i wątek – doskonale, wręcz wspaniale układałby się obciążony haftowanym wzorem.

– Nic nie zostało?

– Och! Musiałaby pani popytać. Chwileczkę... Hakan? Hakan? – Sklepiarkka zawołała męża, Karza. – Ta pani chce wiedzieć, czy po panie Soo nie został jakiś towar.

Zza zasłony dobiegał dźwięk włączonego telewizora, a teraz dołączył do niego donośny męski głos: „A skąd ja mam wiedzieć?!”.

Sklepiarkka nie marzyła bynajmniej o tym, by donośnie ogłaszano, że należy do niższej klasy i że jest biedna. Uznała więc, że odpowiedź męża jakoś ją nobilituje.

– Jesteś człowiekiem interesu, więc myślałam, że wiesz.

Mae aż zaskoczyło, że jest jej tak przykro i że tak bardzo chciała zobaczyć pannę Soo. I że nie usłyszy jej historii. Spojrzała na zabity deskami warsztat. Brudna sklejka już zaczynała się łuszczyć. Dopiero teraz Mae dowiedziała się, jak bardzo lubiła kalekę i jak bardzo ją podziwiała. I jak bardzo byłaby dla niej przydatna przyjaciółka pracująca w świecie mody, ale w Balshang.

– Jeśli wróci – poprosiła – proszę jej przekazać, że pani Chung przesyła najgorętsze pozdrowienia.

Kiedy wracały spacerem do miejsca, gdzie pan Oz zaparkował furgonetkę, Sezen spytała:

– I co teraz?

Mae prychnęła.

– Mam kredyt. Kupię materiał online.

– Wszystko się kończy – powiedziała stara pani Tung.

\*\*\*

Spotkanie miało się odbyć w Mudharet, ratuszu, z jego popękaną terakotą i brudnymi toaletami. Salę urządzono jak teatr: scena i rzędy krzesel. Było w niej nieprawdopodobnie gorąco, a hałas gorączkowych rozmów wręcz ogłuszał. Na ścianie wisiał prosty kawałek drewna tekowego z charakterystycznym wzorem i kawałkiem białego węgla poczerńskiego metalu, przypominający jakąś ohydłą broszkę. Rzeźba.

Wolne miejsca pozostały tylko w pierwszym rzędzie, jakby uczestnicy byli uczniami bardzo pragnącymi uniknąć spojrzenia surowego nauczyciela.

Mae przeszła przez całą salę i wzdłuż pierwszego rzędu. Widziała twarze. Młodą, orlą twarz mężczyzny w garniturze wyglądającym jednocześnie drogo i tanio, uśmiechającego się, chociaż oczy mu płonęły. Rekin, pomyślała. Zjada ludzi. Obok niego siedziała kobieta wyglądająca jak mężczyzna, bez makijażu, z krótkimi włosami, ubrana w pikowaną kurtkę i wojskowe buty. Mówiła do siebie, a raczej do czegoś w rodzaju mikrofonu. Gruby facet z różowymi włosami głośno smarkał nos, a chłopak na sąsiednim miejscu dumnie podciągnął podkoszulek, by każdy

mógł podziwiać jego tatuaże.

Mary uświadomiła sobie nagle, że ci wszyscy ludzie mają nowe twarze. Ich wyraz mogę odczytać tylko z największym trudem. Zadrzała. Znow drżała ze strachu.

Na scenie pojawił się Talent czytający lokalne wiadomości. Powitały go grzeczne, oszczędne oklaski i głośne okrzyki podziwu. Dziewczyna wyglądała wręcz nieskazitelnie w strażackiej czerwieni, była nawet ładniejsza niż w telewizji i o wiele twardsza. Obdarowała audytorium swym telewizyjnym uśmiechem, powitała zebranych, ale o ciszy można było tylko pomarzyć. Hałas raczej rósł, niż malał.

– Dobry wieczór. Z wielką przyjemnością witam państwa na popołudniowej sesji dzisiejszej bardzo ważnej dyskusji... – Talent wyjaśniła, że pierwsi zaproszeni wykładowcy oświecili i oczarowali audytorium, a teraz przyszedł czas na pożyteczną dyskusję prowadzącą do wniosków, jakie to użyteczne będą dla Green Valley nowe, współczesne technologie.

– Nie warto się tym zajmować! – krzyknął ktoś. – Dlaczego rząd wybrał dla Tlenu przestarzały format?

Mae odwróciła się. Pytanie to zadał chudy mężczyzna w średnim wieku. Talent nadal uśmiechała się promiennie.

– Format ONZ jest uzgodnionym standardem międzynarodowym. Karzistan nie ma takiej siły, by przyjąć Format różniący się od obowiązującego we wszystkich innych krajach.

Rozległy się okrzyki protestu zmieszane z gromkim śmiechem.

Chudy mężczyzna uśmiechnął się, ukazując miejskie, lśniące białe zęby.

– W Tokio nie obowiązuje – powiedział.

– Nie jesteśmy w Tokio. – Talent zachowywał lodowaty spokój.

– To przynajmniej nie róbcie go praktycznie nielegalnym! – krzyknęła kobieta w wojskowych butach.

– Bardzo proszę... – Talent uniosła rękę. – To spotkanie nie ma i nie może mieć żadnego wpływu na Format ONZ!

– W Nowym Jorku dostępny jest równolegle Format Gatesa! – krzyknęła kolejna Głowa.

- Ależ proszę... to spotkanie poświęcone jest przeglądowni przedsięwzięć lokalnych tu, w Szczęśliwej Prowincji!

- Jakich przedsięwzięć lokalnych? - spytał gruby mężczyzna nie przerywając jedzenia. Najwyraźniej dobrze się bawił.

- I o tym, między innymi...

- Jeśli ma być dyskusja, chcemy głosu!

- Właśnie, chcemy głosu - poparł go ktoś.

Talent odwróciła się. Strzeliła z palców. Mae uświadomiła sobie, że ją podziwia. Jej głos nabrał nagle siły.

- Doskonale. Każdy z nas po kolei będzie miał głos, ale proszę też, by wstawał i się przedstawiał. Pan pierwszy.

Gruby mężczyzna o różowych włosach wstał.

- Ali Bey Turkoman - przedstawił się. - Jeszcze raz pytam: jakich przedsięwzięć lokalnych? Na cały region Red Mountain mamy zaledwie jednego funkcjonariusza inicjatywy „Rozpostrzeć Skrzydła”. Czy jest jakiś wspólny adres e-mail dla tych wszystkich wiosek w regionie? Czy to są te przedsięwzięcia?

Chce nam coś sprzedać, pomyślała Mae.

- To właśnie kwestię braku adresu e-mail ma rozwiązać Tlen i powiązane z nim technologie. Następne pytanie?

Talent, wyraźnie napięty, wskazał kogoś. Z krzesła podniósł się starszy mężczyzna, przygarbiony, w okularach, wyglądający bardzo uczenie.

- Profesor Li Ho, Wydział Interfejsu Medycznego Człowiek-Komputer - powiedział, a kiedy wyjął z kieszeni kartkę z tekstem, znów rozległy się śmiechy.

Mówił monotennie. Mae usiłowała go zrozumieć. Po raz pierwszy w życiu mówił do niej profesor, spodziewała się usłyszeć wielkie mądrości, nie było więc dla niej zaskoczeniem, że niewiele rozumie z jego słów.

Ale potem zaczęła mieć problemy z oddychaniem.

Było coś, co nazywali Modyyyf-Gene. Kolejne angielskie słowo, MG. Chodziło o jakieś bardzo małe rzeczy. Chodziło o uprawy. I było też, choć tu związek pozostawał niejasny, o tym, jak sprawić, by ludzie stawali się mądrzejsi. Profesor chciał zmieniać coś w ludziach.

Zaczął mówić o dzieciach, które umiały czytać w wieku sześciu miesięcy, a mając trzynaście lat, rozwiązywały problemy wyższej matematyki. To potrafiła zrozumieć. To potrafiła sobie wyobrazić. Profesor mówił, że ludzie są głupi, ale można wyleczyć ich z głupoty.

W pewnym momencie profesor musiał podnieść głos.

– MG to jedyna dziedzina, w której Karzistan może osiągnąć wielki postęp, może być jego centrum w całym świecie.

– Prędzej będzie centrum działania oszustów! – krzyknął ktoś.

– Karzistan nie jest kubłem na śmieci świata!

Profesora zakrzyczano. W końcu usiadł.

– Jesteśmy tu, by dyskutować o Tlenie. Baw się swymi geeeniiuuu-szaaami gdzie indziej!

Głowa w Tlenie podniecił się doprawdy do przesady. Podskakiwał jak tancerz, nawet nie poprosiło głos. Wrzeszczał łamiącym się głosem:

– Tlen może zrobić wszystko to, co MG! W nowym Jorku łączą umysły dla hobby, żeby robić muzykę! A my nadal mówimy o nim jak o telewizji. Używamy nawet słowa „ekran”!

– Ślepy, a widzi! – ryknęła siedząca koło Mae kobieta w wojskowych butach.

– Szkoła się skończyła! Nie potrzebujemy już nauczycieli!

– Talentów też. To jej prawdziwy problem!

Czy to już wojna? – zastanowiła się Mae. Takie wrzaski zupełnie nie pasowały do Karzu. Były obrzydliwe, oznaczały brak kontroli, brak harmonii, brak nawet mahometańskiej dyscypliny. Brak... wszystkiego. Kim były te... te dzieci? Z ich goglami i zwariowanymi ubraniami?

Czy ludzie są tak głupi, że trzeba ich wymazać, uczynić lepszymi?

Rekin wstał. Uśmiechnął się lekko, wyciągnął palec, wymierzył nim w Talent. Powietrze wokół niego wydawało się jaśniejsze.

– Hikmet Tunch, Green Valley Systems. – Głos miał chropawy, typowy dla Karzów, ale dziwnie wysoki, niemal kobiecy. Nie powiedział nic więcej, lecz sala cichła, choć powoli.

– Profesor Li Ho ma oczywiście rację. MG to technika o

niezwykłym potencjale, której nie wolno nam lekceważyć. My, z Green Valley Systems, przyglądamy się uważnie wszystkim aspektom Interfejsu Medycznego. Mamy też program pozwalający ocenić przydatność Formatu Gatesa do naszego systemu kultury, być może równoległe z Formatem ONZ. Jedną z aplikacji, nad którą pracujemy, umożliwi używanie Tlenu do sztucznego podnoszenia inteligencji, co pozwala na pominięcie niektórych kwestii etycznych, związanych z MG.

Rozległ się pełen podziwu śmiech, a nawet rzadkie oklaski.

Kolejne pytanie zadane zostało z szacunkiem przez bezbarwnego młodego człowieka w luźnej koszuli, nienoszącego żadnych widocznych atrybutów Tlenu.

– Pragnę zapytać szanownego pana Tuncha, czego dowiedział się o Formacie Gatesa, i o to, czym różni się od Formatu ONZ.

Oto ktoś, pomyślała Mae, komu nakazano zadać to pytanie tej osobie. Za rekinami płyną małe rybki zadowolające się odpadkami.

Z jakiegoś powodu ludzie znów zaczęli się śmiać. Kobieta w wojskowych butach krzyknęła z tryumfem, jak na filmie karate.

– Format Gatesa jest bardzo... niejasny – zaczął wyjaśnienia szanowny pan Tunch, wywołując swymi słowami lawinę komentarzy, jakby się do czegoś przyznawał.

Talent skrzywił się z zażenowania, dokładnie tak, jak pan Szczery.

Pan Tunch wydawał się doskonale świadomy tego, jaki wywiera efekt. Jego twarz stała się nagle maską bez wyrazu. Uśmiech wydawał się do niej przylepiony. Przymknął oczy.

– Ale kiedy zastosujemy Gatesa, wszystko się ze sobą łączy. Nie ma żadnych rozpoznawalnych granic. Jest nieco powolniejszy od Formatu ONZ, ale w momencie, gdy zostaje otwarty, staje się bardzo intuicyjny. Z tych właśnie powodów mamy nadzieję, że funkcje wyższe będą w stanie połączyć się nieodczuwalnie z funkcjami własnymi użytkownika.

Uśmiechnął się znowu i Mae zobaczyła jego zęby.

Poczuła, jak kręci się jej w głowie. Nie rozumiała nic z tego, co tu mówiono, nie rozumiała słów, nie rozumiała dyskusji, nie



rozumiała strojów tych ludzi, nie rozumiała nawet sposobu, w jaki się poruszają. Przyszłość wydawała się jej jasna i prosta, była niczym schody pnące się ku drzwiom z wyraźnie widoczną na nich wizytówką „Tlen”. Wystarczyło pokonać je raz, dotrzeć do celu. Ale nie. Przyszłość okazała się otchłanią ułożoną w warstwy, każda następna była dziwniejsza od poprzedniej.

Otchłań bez dna.

Talent interweniowała uśmiechnięta, zawstydzona i tym bardziej skupiona na udzielaniu głosu.

– Jestem pewna, że to bardzo interesujące, co pan Tunch sądzi o Formacie Gatesa. Którego to Formatu nie zna, oczywiście, z własnego doświadczenia, jako że tworzenie drugiego imprintu jest nielegalne.

Cichy śmiech. Jakby wszyscy byli tu w zmowie. Mae poczuła zalewającą ją falę paniki. Przecież tutaj, zaledwie trzydzieści mil od Red Mountain, ludzie mówili nowym językiem o rzeczach, o których nigdy nie słyszała i o których nawet nie marzyła! A dla nich wszystkich były to rzeczy znajome do znudzenia. Istnieje kompletna droga, o której nie wie nic. Z wyjątkiem jednego: że oznacza śmierć dla jej wioski. I nie tylko dla niej, także dla wszystkich ludzi, takich, jakimi byli.

Krew odpłynęła jej z głowy. Czy nikt tu nie kocha bycia człowiekiem? Czy oni wszyscy aż tak bardzo marzą o tym, by stać się maszynami? By można ich było zmierzyć?

Czubki palców i kolana Mae zaczęły wibrować. „Dlaczego wszyscy chcecie, żebyśmy umarli?”

Nagle zdała sobie sprawę, że mówi głośno. Przemówiła głośno, wcale tego nie pragnąc. Odwróciła się, spojrzała na Sunni, chciała wyjaśnić jej, że nie, to nie ja. Krzyczałam, ale to nie byłam ja.

Nie mogła. Ona, Mae, była niema. Siedziała na krześle sztywne, nieruchome, zdrętwiała... tylko jej usta nie zdrętwiały. Wręcz przeciwnie, jej usta poruszały się same z siebie, jak u żółwia. Słyszała, co krzyczy.

– Stworzyliśmy was wszystkich. Wybudowaliśmy to miasto, założyliśmy kanalizację. Pielęgowaliśmy was. A teraz wy chcecie, żebyśmy umarli? Chcecie, żebyśmy dobrowolnie poszli na

rzeń? Żebyście mogli przysypać nas ziemią, żeby pamięć nie przetrwała, żebyście mogli pogardzać nami wy... wy samochody! Wy światła uliczne! Wy, radia... wy gadające papugi!

– Znowu się zaczyna – powiedziała Sunni.

– To nigdy nie wyglądało w ten sposób. – Zaniepokojona Sezen gotowa była zerwać się z krzesła. – Proszę zobaczyć, ona z tym walczy! Próbuje przestać! Mae, Mae, to nie ty mówisz, prawda?

Mae zmusiła ciało, by pokręciło głową: „Nie, nie ja”.

Pan Szczery wydawał się przerażony i zażenowany jednocześnie. Pan Wing obszedł krzesło, na którym siedział, przykląkł przed Mae, zajrzał jej głęboko w oczy.

– Nie poddamy się bez walki! Ludzkość nie podda się bez walki!

– Przestań, Mae – błagała Sunni.

Szeroko otwarte, wpatrzone w nią oczy próbowały powiedzieć: „Nie mogę”.

Sezen wstała nagle. Wysunęła szczękę, machnęła ręką, zwracając na siebie uwagę prowadzącej. A Talent zobaczyła, że są wieśniakami, a bardzo chciała mieć spokój na sali. Poddała się, przekazała jej głos.

– Wy wszyscy, ludzie z miasta – zaczęła Sezen.

Mae krzyczała: „W dawnych czasach przodków się szanowało!”.

– Mówicie jakby większość waszego ludu nie istniała. Jestem wieśniaczką, mieszkam na szczycie Red Mountain. Moja matka trzyma kozę w reprezentacyjnym pokoju. Siedzimy na kolbach kukurydzy, to nasze meble.

„Chcę wrócić do domu! Chcę wrócić do domu!”.

Walczyła, przez co było jeszcze gorzej. Kiedy się walczy z tym czymś, to coś się opiera. Ciii... pani Tung, droga stara pani Tung. Spokojnie, kochanie. Tak mi przykro, że pani nie żyje, ale wszystko kiedyś umiera. Ileż razy umarła nasza wioska, człowiek po człowieku? Sama pani mi to powiedziała.

Coś się zatrzymało, coś przestało być takie pewne siebie. „Gdzie to jest? Kiedy to jest?” – pytało, żałośnie zdezorientowane.

W sali zapanowała cisza.

Sezen, zwrócona twarzą do widowni, wskazywała Mae palcem.

– Ta kobieta, moja zwierchniczka, była w waszym Tlenie wtedy,

kiedy go wypróbowałyście, podczas Testu. Pewna kobieta zmarła w jej ramionach, z powodu waszego Testu. Ale w niej żyje! Jesteście szczęśliwi? Nadal jesteście dumni z waszego MG?

Talent zaniepokoiła się, bardzo profesjonalnie.

– Dlaczego nikt nie złożył w tej sprawie raportu?

– Mieszkamy trzydzieści mil stąd, wysoko w górach – odparła Sezen. – Nie mamy komu składać raportów!

W sali zaszumiało, ale nie sposób było określić, co ten szum oznacza. Sezen nadal krzyczała.

– W naszej wsi jesteśmy partią postępu! I co? Jest też inna partia. Próbuje zniszczyć nasz telewizor. Moja dzielna szefowa, pani Chung Mae, próbuje uczyć nasze dzieci, nasze kobiety, naszych mężczyzn, jak mamy używać Tlenu, kiedy wreszcie nadejdzie. Uczy nas na telewizorze. A nauczyciel szkolny przeszkadza jej w tym jak może. Nauczyciel chce nam uniemożliwić naukę! Chce rozbić telewizor. Stajemy przed takimi wyzwaniem! A wy wszyscy lećcie na księżyc!

Dziewczyna stała, drżąc z wściekłości, a na sali było cicho jak makiem zasiał. Na ten temat nikt nie miał jakoś nic do powiedzenia.

Bezradna w swym ciele, Mae pograżyła się w głębiach umysłu. Jeszcze raz sięgnęła ku czemuś ciężkiemu, potężnemu, niustępliwemu, w czym się zakorzeniła. Wyczuwała tam siebie, wyczuwała korzeń, sękaty, poskręcany, lecz i niepewny. Uświadomiła sobie, że są w nim obie. Jesteśmy tam obie, splecione ze sobą jak korzeń imbiru. Już prawie wszystko zrozumiała, kiedy przywołano ją do świata.

– Mae? – To był pan Wing. – Mae? Ktoś tu jest. Chce ci pomóc.

Kłęczał nad nią rekin w garniturze, mężczyzna o chropawym głosie. Jego ściągnięta twarz i starannie uczesane włosy zmieniały się przed jej oczami, jakby opadała na nie błona. Twarz stała się zielona, a wargi skrzywił sardoniczny uśmiech. Mae zobaczyła diabła.

Czy też zobaczył go ktoś inny. I ten ktoś przebudził się, wstał, stanął twarzą w twarz z wcieleniem tego, co niszczyło jej świat.

Mae poczuła się tak, jakby zabrano jej ciało. Poczuła się jak łódź,

najpierw odcumowana, a potem ulatująca w przestrzeń. Uwolniono ją od niej samej. Świat wokół niej poszarzał, znieruchomiał, ucichł, nie czuła już ani strachu, ani gniewu. Całkiem jasne stało się, nagle, że nic z tego, co się dzieje, nie ma żadnego znaczenia. Przyglądała się temu obojętnie, z daleka, tak jak pewnego dnia przyglądać się będzie własnej śmierci.

Widziała, jak jej ciało uderzyło drapieżnika w twarz; drobna zacięta wiejska kobieta i wielki przedsiębiorca z miasta. Obraz ten wywołał na jej usta lekki uśmiech. Bo widok w gruncie rzeczy był zabawny. Jej uśmiech był, oczywiście, metaforyczny, bo przecież nie miała kontaktu z ciałem.

Pan Wing chwycił ją za ramiona, odciągał od ofiary. Ciało zaczęło śpiewać. Śpiewało, na cały głos, starą pieśń bojową, pieśń – wyzwanie, pieśń śpiewaną na wojnie z komunistami. Sezen i Sunni stały pomiędzy ciałem a mężczyzną, zakrywającym dłonią siniak na twarzy. Głaskały jego włosy. Szalone, o dzikim spojrzeniu, ciało nadal śpiewało stare pieśni, pieśni umarłych, pieśni, których przed pięćdziesięciu laty nauczył ją jej ukochany wojownik.

Stara pani Tung walczyła o życie. A jej jedynym możliwym życiem była Mae.

Mae obudziła się w nie swoim łóżku. Pokój miał bladoniebieskie ściany z białymi gzymsami, a u stóp stojącego w tym pokoju łóżka siedział mężczyzna. Twarz miał znajomą.

Mężczyzną tym był pan Tunch. „Tunch” oznacza „brąz” i rzeczywiście, sprawiał on wrażenie zrobionego z czegoś wypolerowanego. Zmienił garnitur, ten był w czarny wzór na beżu ale, jak poprzedni, też błyszczał.

– Dzień dobry – powiedział grzecznie.

Mae usiadła. W pokoju hotelowym były kwiaty, stały tu telewizor i szafa z polerowanego czerwonego drewna.

– Gdzie moi przyjaciele?

– Wrócili do domu. Pani była gdzie indziej przez wiele dni.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „gdzie indziej”?

– Ach! – Pan Tunch wzruszył ramionami. – Zamiast pani była tu pani Tung.

– Ale po co? Dni? Wiele dni?

Mężczyzna skinął głową. Próbował udawać, że jest mu przykro, ale sprawiał wrażenie raczej podekscytowanego.

Mae dostała gęziej skórki.

– Jak wróciłam? – Najważniejsza była teraz dla niej odpowiedź na to pytanie.

– Ona odeszła. Albo raczej po prostu nie mogła zrozumieć, co tu robi. Nie pamiętała, gdzie jest, więc próbowała odejść. I w końcu się jej udało. Była bardzo sfrustrowana – dodał i roześmiał się cicho.

– Tak już z nimi bywa – powiedziała Mae.

Po tym, jak zabili jej ojca, rodzina przeniosła się, wraz z pokrwawionymi poduszkami z reprezentacyjnego pokoju, do domu Żelaznej Ciotki, Wang Cro. Na początku Mae nie rozumiała, co jest nie tak i dlaczego dorośli szepczą między sobą. Żelazna

Ciotka miała niemal osiemdziesiąt lat, a siły tyle, że mogła sama przesuwać dzbany z olejem, tylko że każdy dzień był dla niej czwartkiem, kolację gotowała o dziewiątej rano i nie mogła zapamiętać, że ona, Mae, nie jest jej matką. Dzieci doprowadzały ją kpinami do furii.

– Pani przyjaciele uznali, że najlepiej będzie, jeśli tu zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Tak, tak. Rozumiem – szepnęła Mae.

Tak, widzę cię teraz, w tym twoim błyszczącym garniturze, grającego wielkiego szefa. Nawet Sezen uspokoiłeś na tyle, że zgodziła się mnie zostawić.

– Może pan coś z tym zrobić? – spytała stanowczo.

Pan Tunch pochylił się, położył rękę na jej ramieniu i dyskretnym gestem dał do zrozumienia, że jest bezradny.

– Musimy wiedzieć więcej – wyjaśnił.

– A więc nie możecie nic. – W jakiś dziwny sposób przyniosło jej to ulgę.

– Jeszcze nie – potwierdził pan Tunch z uśmiechem.

– W takim razie chcę wrócić do domu. Muszę prowadzić interesy.

– Jakie interesy? – Pan Tunch roześmiał się. W jego cichym śmiechu pobrzmiwało coś więcej niż tylko nutka szyderstwa. – Proszę pani, nikt w Karzistanie nie wie tyle o Formacie Tleniu, co moja firma. Jesteśmy ekspertami od Interfejsu Medycznego Człowiek-Komputer. Wie pani, co to znaczy?

Mae nagle zrobiło się zimno. Wiedziała.

– Wkładacie kamery w Głowy w Tlenie.

Zdziwiony Tunch zamrugał szybko.

Mam cię, pomyślała Mae. I wcale cię nie lubię.

Tymczasem mężczyzna odzyskał panowanie nad sobą.

– W tej chwili znacznie bardziej interesują nas szkody wyrządzone przez Test. I bardzo nas martwi wybrany do Testu Format, a to, co się stało z panią, wręcz przeraża. Pani Chung, my wszyscy prowadzimy jakieś interesy, ale pani zdrowie jest znacznie ważniejsze. Proszę wybaczyć mi moje słowa, ale przez ostatnie trzy dni nie zrobiła pani wielu interesów.

Umiesz mówić gładkimi słówkami, jak doktor Bauschu, pomyślała Mae. Wszystko robisz dla własnej korzyści. Ale może być i tak, że cię w tej chwili potrzebuję.

\*\*\*

Mae zawieziono do Yeshiboz Sistemlar nową, pustą drogą. Nagle pojawiło się na niej ogrodzenie z drutu kolczastego, za którym stał budynek przypominający biały lotniczy hangar. Mae zauważyła, że znajdował się tuż poza granicą miasta.

Bramę podniesiono, a potem opuszczono. Młodzi bystrzy ludzie, bystrzejszych w Yeshibozkent Mae jeszcze nie widziała, wyglądali tak czyściutko, jak czyściutki były ściany hangaru, i z jakiegoś powodu wydawali się jej równie tani. Wykonywali swe ludzkie funkcje niedbale, brakowało im urody. Będą się brzydko starzeć.

Pan Brąz był tu królem. Dziewczęta spotkane we frontowym holu, choć uśmiechnięte i nowoczesne, pochylały na jego widok głowy, okazując tym bardzo tradycyjny szacunek.

– Oto pani Chung Mae, nasza pacjentka – powiedział do kobiety siedzącej za pierwszym w rządzie biurkiem. Uśmiechnął się, ale jego uśmiech nie trwał nawet sekundy.

Nikt tu nie przykrywał głowy. Nikt nie nosił wielkiego słomianego kapelusza z rondem białym od zaschniętego potu. Ludzie wyglądali tak, jakby przybyli tu wprost z Florydy. Disney World, pomyślała Mae. Założę się, że biura w Disney World wyglądają dokładnie tak samo.

– Proszę o wybaczenie, pani Chung, ale, podobnie jak pani, ja też muszę dbać o interesy. Pani Akurgal doskonale potrafi się panią zająć.

Pani Akurgal nie miała jeszcze trzydziestu lat. Była ubrana jak pielęgniarka, a na szyi nosiła gumową rurkę. Nazywała Mae pierwszym imieniem, jak służącą.

– Przejdź tędy, Mae. Musimy cię zdezynfekować – powiedziała z uroczym uśmiechem i akcentem telewizyjnej Talent.

Wyprowadziła Mae na korytarz, gdzie owiało ją powietrze, rozległ się dźwięk przypominający odkurzacz, błysnęło fioletowe światło, od którego biały strój pielęgniarki błysnął bielą.

Następnie posadziła Mae na krześle, kazała jej się odprężyć i założyła jej na głowę coś w rodzaju metalowego kapelusza. Mae spodziewała się coś poczuć, ale nie poczuła nic. Pobrano jej krew z ramienia. Dano jej do czytania magazyn, jak w zakładzie fryzjerskim. Lekarze popatrywali na drukowany papier, kręcili głowami i pokazywali go sobie nawzajem. Ignorowali i Mae, i pielęgniarkę. Jeden z nich w końcu pokazał arkusz pacjentce. Był to Chińczyk, należał do jej ludu, zapewne wyznawał buddyzm. Mae miała nadzieję, że łatwo jej będzie się z nim porozumieć.

– Niczego nie znaleźliśmy – powiedział.

Papier był zarysowany kanciastymi liniami.

– Pani Tung tu nie ma – mówił dalej doktor. – Stuknął palcem w papier. – Wszystko wygląda tak, jak powinno. Z wyjątkiem... o, tego. Widzi pani? Ten fragment kory odpowiada, jak sądzimy, za komunikację z Tlenem. Naszym zdaniem cały czas czeka pani na Poczta błyskawiczną. – Wydawał się bardzo zadowolony z siebie. – To obiecujący wynik. Można chyba powiedzieć, że szybko uczymy się używania Tlenu, nawet nie zdając sobie tego sprawy.

– Co to oznacza dla mnie?

Wzruszył ramionami.

– Że wszystko jest w najlepszym porządku z pani mózgiem fizycznym. Potwierdza przekonania nas wszystkich, że problemem jest pani imprint w Tlenie. W jakiś sposób jest powiązany z innym imprintem.

– W takim razie w porządku, wymażcie je z Tlenu.

– Ach! – Doktora zachwyciło piękno tej idei. – Ale przecież w Tlenie wszystko jest stałe.

Wszedł inny doktor. Chińczyk przywitał się z nim serdecznie, wymachując arkuszem papieru, a potem odwrócił się i uprzejmie skinął głową.

– Aha, jest jeszcze jedna rzecz, która powinna panią ucieszyć. Badania krwi wykazały, że czeka panią szczęśliwe wydarzenie. To będzie syn. Miłego dnia.

Pani Akurgal pokręciła głową z dezaprobatą.

– Głupi mężczyźni – syknęła i spojrzała na Mae z żalem.

– Czy jemu chodziło o to, że jestem w ciąży? Nie mogę być w



ciąży.

Jej opiekunka wydawała się bardzo poważna.

– Och, oczywiście, może pani, może.

– Miałam okres! – Mae szeptała gorączkowo, ale obaj lekarze i tak odwrócili się w jej stronę. – Czy pani nie rozumie? Miałam normalny okres!

Kobieta znów pokręciła głową.

– A więc musi to być jakiś poważny problem. Czy krwawienie wystąpiło dziś? Niedawno?

– Nie poroniłam! Miałam okres, ale już się skończył.

Pielęgniarka dotknęła delikatnie jej czoła.

– Coś może być naprawdę źle. Przeprowadzimy badania...

– Nie chcę żadnych badań! Za dużo tu miałam tych badań!

– Proszę się uspokoić, pomyśleć, nie ma pośpiechu. Mam na imię Fatimah. Fatimah Akurgal. Zawsze będę gdzieś blisko pani.

– Co to znaczy, że nie znaleźli nic złego w mojej głowie?

Fatimah aż zgarbiła się pod ciężarem wszystkiego, co poszło nie tak, jak powinno.

– To znaczy, że pani jest pierwsza. Jedyna w swoim rodzaju. Wiemy jeszcze bardzo niewiele.

– Ja nie chcę, żeby ona mnie przejmowała! – Mae omal się nie rozpłakała. – Ona chce mnie przejąć!

– Zbadamy Format pod kątem możliwości kontrolowania intruza, a nawet uniemożliwienia mu kontaktów. – Fatimah zamilkła na chwilę. – Tak mi przykro – dokończyła. – Chciałabym mieć lepsze wiadomości.

I wówczas Mae jednak się rozpłakała. Zasłoniła oczy. Lekarze nadal o niej rozmawiali.

Przez resztę poranka dawano jej coraz to nowe magazyny. Nie była w stanie ich czytać. Myślała o tym, co powiedzieli jej ci ludzie, oraz o tym, jak to powiedzieli.

Fatima zabrała ją do jaskrawej, hałaśliwej kantyny. Poczęstowała gościa lunchem z ostrych czerwonych liści, które Mae widziała po raz pierwszy w życiu.

– Znajdziemy samochód, żeby odwiózł cię do hotelu – oznajmiła.

– Tylko zawiadom pana Tuncha, że od razu wyjadę do domu, do

Kizuldah.

Fatimah zaprotestowała głośno.

– Tylko poproś, żeby pan Tunch zechciał ze mną porozmawiać.

\*\*\*

Pan Tunch odwiózł Mae do hotelu osobiście. Jego samochód miał barwę brązu i w środku czuć go było jak toaletę, fałszywym zapachem sosny.

– Musi pan dać mi coś innego, by mnie zatrzymać – powiedziała Mae.

– Bardzo przepraszam, ale nie rozumiem? – Pan Tunch rozkastał się nagle.

– Jeśli nie może mnie pan wyleczyć, dlaczego miałabym zostać?

– A dlaczego miałyby mi zależeć, żeby pani została?

W oczach mężczyzny zapaliły się iskierki. W samochodzie było chłodno, działała klimatyzacja. Zwykli ludzie, idący wzdłuż drogi, mrużyli oczy, chroniąc je przed jaskrawymi promieniami słońca, i pocili się w upale.

– Panu potrzebne są informacje. Takie, których tylko ja mogę udzielić. A informacje są jak cukier. Informacjami się handluje.

– Bardzo mądrze powiedziane. – Pan Tunch wydawał się bardzo zadowolony, jakby miał do czynienia z wyjątkowo uzdolnioną uczennicą.

– Zawsze jest pan zaskoczony, kiedy nie okazuję się głupia. To mnie obraża.

Mężczyzna skłonił głowę z szacunkiem.

– Bardzo tego żałuję. Miałem jednak wrażenie, że możliwość wyleczenia to powód wystarczający, by pani jednak została.

– Możliwość wyleczenia. To nie jest tak znowu wiele. Co pan dostaje?

– Muszę zrozumieć tę niezwykłą sytuację, w której się pani znalazła. To mi powie bardzo wiele o sposobie funkcjonowania Tlenu.

– Obawiam się więc – Mae westchnęła – że to nie jest dla mnie dobry interes. Nie zamierzam spędzać czasu na poddawaniu się pańskim badaniom tylko po to, by na końcu dowiedzieć się, że ta

choroba jest nie do wyleczenia. Mam co robić.

– Czego by pani chciała? – spytał beznamiętnie pan Tunch.

– Nauczyć się wszystkiego, co pan wie. Wszystkiego o tym, co nadchodzi.

Pan Tunch zachichotał.

– Ależ kobieto droga, po co ci ta wiedza?

– Żebym mogła przygotować mój lud. – Zapadła chwila ciszy. – Nie pański, lecz mój. To jest istotna różnica.

Twarz mężczyzny ani na chwilę nie straciła wyrazu szczerzej życzliwości.

– Nie sądzę, by zdołała się pani nauczyć wszystkiego, co wiem.

– Chcę dowiedzieć się czegoś o tym MoGe. I czym są Gatesy. I co naprawdę zdarzy się w głowach ludzi. Do czego używają Tlenu wielkie potęgi. Co będą z tego miały.

– To wszystko? – Temu pytaniu towarzyszył ironiczny uśmiech, ale ironia ta straciła sporo na lekkości.

– I jeszcze jedno. Chcę poznać pańskie pełne imię.

Pan Tunch cmoknął. Niemal widziała, jak porusza się jego język.

Ależ taka współczesna kobieta jak pani z całą pewnością nie wierzy w Mądrość Imion?

Ty wierzysz, zrozumiała Mae nagle. Dlatego nie chcesz podać imienia.

– Jestem zwykłą wieśniaczką – powiedziała. – Nie jest dobrze robić interesy z kimś, kogo imienia się nie zna.

Pan Tunch pokręcił głową.

– Więc jestem pani klientem? Trafiłem pod pani profesjonalną opiekę? – Już się nie opierał. – Moje pełne imię to Hikmet Tunch.

Pan Mądrość Brąz. Mądry przestępca nie musi brudzić sobie rąk. Zawsze jest lśniący. Ludzie biorą lśniący brąz za złoto. Mądry przestępca może nawet od czasu do czasu pomóc swoim ludziom, lecz nigdy za darmo.

Mae, latasz z jastrzębiami. Strzeż się ich szponów.

– W porządku – powiedziała. – Umawiamy się tak. Zostaję u pana przez tydzień i ani dnia dłużej. Każdego dnia przez trzy godziny pan dowiaduje się, czego chce, i przez trzy godziny ja dowiaduję się, czego chcę. W porządku?

- Zgoda – powiedział pan Tunch po krótkiej chwili wahania.
- Rano ja zacznym – zakończyła układy Mae.

\*\*\*

Drzwi pisnęły, prychnęły i powiedziały panu Tunchowi „dzień dobry”.

- Bardzo za to wszystko przepraszam, ale próbujemy pozbyć się wszechobecnego pyłu.

Ściany jego gabinetu były całe pokryte drewnem. W pozbawionym okien wnętrzu było chłodno, a lampy elektryczne zrobione z brązu nadawały pomieszczeniu staroświecki wygląd.

Powierzchnię biurka pokrywało szkło. Pan Tunch dotknął go, powiedział do niego kilka słów, a ono ożyło, ukazując znajomy Interfejs.

- Kolejność: Intro podstawowe informacje genetyka, kosmologia, historia Tlenu. Opór przeciw MG i jego znaczenie dla rozwoju Tlenu. Podstawa ONZ Format i podstawowa historia. Podstawa Format Gatesa i podstawowa historia. Możliwe przyszłości. – Mężczyzna zawahał się. – To chciała pani wiedzieć?

- Będę musiała sprawdzić to z moją listą.

- Doskonale. Wrócę w porze lunchu. – Dostrzegł, jak Mae się krzywi. – Nie zgodziłem się przecież, że będę panią uczył osobiście! Maszyna jest do tego znacznie lepiej przygotowana ode mnie. I znacznie cierpliwsza. Niemniej proszę informować mnie, gdyby nie mogła czegoś pani wytłumaczyć.

- Nie wiem, jak się nią posługiwać.

- Rzeczywiście. Ale ona wie, jak pani pracuje. Miłego dnia, szanowna pani Chung.

Powiał wiatr i pan Tunch znikł.

Maszyna zaczęła mówić i pokazywać zdjęcia.

Wyglądało na to, że wyciągnęli nitki ludzkości jak z tkanego dywanu.

Wnętrze pięknego białego nasienia, spoczywającego w ciepłym domu łona, wypełniały nici, męskie i kobiece. Dziś wiadomo już było, z czego zrobione są te nici, znano znaczenie każdego szwu, jak haftu Eloi.

Mogli położyć każdy ścieg. Lub zastąpić go lepszym.

Cudownie było się tego uczyć. Mae potrafiła wyobrazić sobie duchy nienarodzonych rozkwitające w nowych kształtach, jak kwiaty uprawiane w nowych kolorach lub zapachach.

Mogli robić ludzi ładniejszymi, silniejszymi, mądrzejszymi. Bierko pana Tuncha przytoczyło argumenty przeciw temu pomysłowi. Korzystne modyfikacje będą dostępne tylko dla najbogatszych. Przepaść między tymi, którzy Mają, i tymi, którzy nie-Mają, jeszcze się pogłębi.

Ale Tlen ze wszystkich zrobi takich, co Mają. Tak przynajmniej twierdzili jego zwolennicy. Ci wszyscy Mający powiększą sobie pamięć, wiedzę i umiejętności. Zdolność obliczeniową oraz łączenia niegdyś niemających ze sobą związku faktów Tlen powiększy im przez udostępnienie Info. Wszystko to ujęte było w logiczną formę, brzmiało rozsądnie i przekonywująco. Briefing dla ludzi Disneya w Yeshiboz Sistemlar.

Mae doskonale wiedziała, kiedy ktoś coś jej próbuje sprzedać. Próbujecie przestraszyć mnie całym tym gadaniem o bogaczach kupujących sobie mądrzejsze dzieci. Chcecie, żebym w odpowiedzi kupiła Tlen. Pochyliła się na krześle. Neutralny, spokojny głos nabrał tonu ostrzeżenia, jak u wioskowych plotkarek, którym trzeba koniecznie uwierzyć. Problemy bezpieczeństwa po odłączeniu mogące oznaczać, że ONZ Format nie jest w pełni kontrolowalny.

Jak jej Kru. Wprowadzili go do Tlenu i teraz nie mogą odłączyć, i cała ich wiedza idzie do wszystkich za darmo. Na niej nie zarobi się pieniędzy. Potrzebuje mnie pan, panie Tunch, by nauczyć się, jak wyłączyć panią Tung i jak wyłączyć mojego Kru.

Mae poczuła łechtanie. Takie łechtanie było sposobem obserwacji świata, relacji o świecie. I nie dawało się uspokoić.

„Dobrodziejstwa Tlenu dla wyrównywania różnic społecznych są ewidentne”, powiedziało biurko pana Tuncha. „Najważniejsze jest jednak bezpieczeństwo użytkownika. Własności intelektualnej należy bronić”.

Łechtanie stało się tak nieznośne jak ból głowy. I nabrało kształtu: to był strach. I poczucie beznadziejności. Paniczny lęk

przed światem za granicami Kizuldah.

Biurko mówiło: „Liberalni ekonomiści chcieli udostępnienia Tlenu na konkurencyjnym rynku. Inni argumentowali, że może być tylko jeden Tlen i że byłoby złem oddać na niego monopol przedsiębiorstwu nastawionemu wyłącznie na zysk. Mając dostępne dwa konkurujące ze sobą Formaty, użytkownicy mają też wybór”.

Chcą posiąść nasze dusze.

– Widzisz! Widzisz!

To ona. Jest tu.

Biurko mówiło: „Międzynarodowe konsorcjum firm softwarowych zgodziło się na ustanowienie standardów. Antymonopoliści zareagowali na to twierdzeniem, że konsorcjum jest w istocie kontrolowane przez Firmę”.

Z tymi ludźmi zawsze jest tak samo.

Rozstrzygające starcie, pomyślała Mae. Ty albo ja.

Biurko mówiło dalej: „Napięcie wzrosło, kiedy dyrektor Międzynarodowego Konsorcjum Tlen zrezygnował, oskarżając Firmę o złą wolę”.

Nie dając czasu świadomej myśli na skontrolowanie tego, co zamierza, Mae powiedziała:

– To takie smutne, śmierć twojej synowej.

– Co? – Mimo to stara nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

„To wówczas dyrektor generalny ONZ powołał nowe konsorcjum dla dalszych prac nad Tlenem”.

– Tui. Zmarła. Tego samego dnia, kiedy ty zmarłaś.

Ktoś odpowiedział jej głośno:

– Co? Nie wolno ci mówić takich strasznych rzeczy!

– Rzuciła się do studni, nie pamiętasz? – spytała Mae. – Wiem, że nie żyjesz, ale przecież mówiono ci to wiele razy. W dniu Testu Tlenu, przed wieloma miesiącami. Zginęła. A przy okazji, do kogo mówisz?

Biurko powiedziało: „Ale nowe konsorcjum cierpiało na brak finansowania”.

– To straszna rzecz, tak przerażać starszą panią!

– Przerażać? Przecież spytałam tylko, do kogo mówisz?

– Mówię... ja... do Mae mówię, oczywiście. – Mae dobrze pamiętała ciotkę Wang Cro. Nic, tylko udawała i udawała, że wszystko jest w najlepszym porządku. W pokoju nie było luster. – Mae? Gdzie jest Mae? Widzisz ją gdzieś tutaj?

Odsunęła się, nie chcąc, by w szkłe na biurku pojawiło się jej odbicie. Biurko przestało uczyć.

„Bardzo przepraszam”, powiedziało, „czy to była instrukcja? Nie rozumiem”.

Mae nacisnęła mocniej.

– W porządku. Kim jesteś?

– Jestem... – coś umilkło. Przez chwilę nie miało tożsamości. – Jestem... – jestem pani Tung Ai-ling!

– W takim razie z kim rozmawiasz? – Mae zadawała ciosy słowami jak nożem.

„Bardzo przepraszam, czy to instrukcja?”.

– Nie wiem! Nie widzę! Jestem ślepa! To straszne, robić coś takiego starej ślepej kobiecie. Wyśmiewać się z niej. Dlaczego mi to robisz?

Coś próbowało wstać. Coś próbowało rozejrzeć się dookoła. Mae czuła drganie nerwów nóg, szyi i oczu. Potrzebuje mojego ciała, żeby żyć, pomyślała. Chce je mieć.

– A więc – spytała Mae beztrąsko – jak ci się podoba w Yeshiboz Sistemlar?

„Bardzo przepraszam, czy to instrukcja?”.

– Nie – zwróciła się Mae bezpośrednio do biurka. – Proszę kontynuować lekcję.

– Do kogo mówisz? – spytała pani Tung z tryumfem w głosie.

– Inteligentnego biurka. Nauczycieli się je robić. Uczy mnie Formatu ONZ.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Oczywiście, że nie wiesz, przecież natychmiast zapominasz, co było przed chwilą. Jesteś w tej chwili w najważniejszym kompleksie medyczno-komputerowym w Karzistanie. A myślałaś, że gdzie?

– Nie wiem... to nie ma znaczenia!

„Gdy międzynarodowe wysiłki, zmierzające do zgromadzenia

kapitału, skończyły się niepowodzeniem, największa Firma zaoferowała sfinansowanie obu formatów. Zadeklarowała, że prace nad oboma prowadzone będą całkowicie niezależnie od siebie”.

Na ekranie pojawił się obraz ważnych ludzi ściskających sobie dłonie. Połowa członków Zgromadzenia Generalnego ONZ wstała i biła brawo. Druga połowa ostentacyjnie siedziała.

– Widzisz biurko? Cała ta część to ekran, rozumiesz? Widzisz ludzi bijących brawo?

– Oczywiście, że widzę.

– No więc kto w Kizuldah ma coś takiego?

Pani Tung walczyła, by zachować równowagę, tak jak walczyła o nią Żelazna Ciotka, udając i improwizując.

– Kwan? Kwan! Jesteśmy w domu Kwan! Wszyscy mówią, że urządziła dom bardzo nowocześnie!

– Widzisz biurko?

– Tak, oczywiście, widzę!

– Jakim cudem? Przecież jesteś ślepa!

– Moje oczy... wzrok... bardzo się poprawił.

– A dawno się tak poprawił?

– Wczoraj! Wczoraj!

– Ach! Wczoraj nastąpił ten cud! A co jeszcze było wczoraj?! – Mae podniosła głos. Krzyczała.

„Konsorcjum funkcjonowało bardzo krótko. Rozpadło się na skutek różnicy zdań, dotyczących zastosowanych rozwiązań, i oskarżeń, że Kompania tak programuje struktury Tlenu, że będą one współpracować tylko z ich rozwiązaniami...”

Stara pani Tung osłabła.

– Ja... Przyszłaś się ze mną zobaczyć?

– Kto? Kto przyszedł się z tobą zobaczyć? Do kogo mówisz?

Odpowiedział jej cichy, zawstydzony śmiech.

– To takie głupie... nie mogę...

– Nie ma tu nikogo. Gdzie ty jesteś?

– Nie wiem! – krzyknęła rozpaczliwie pani Tung.

Mae odpowiedziała jej, także krzycząc:

– Przecież właśnie ci powiedziałam! Dlaczego nie potrafisz



niczego zapamiętać?

Stara pani Tung rozpłakała się.

– Nie mogę... nie potrafię... – Mae pokręciła głową. Przez jej ciało przepłynęła fala obrzydzenia, jakby się struła. Coś tu było bardzo źle, coś nie pasowało, jestem jak duch, jestem niewidzialna, nie mam ciała.

– Nie mogę się ruszać! – krzyknęła stara pani Tung.

Mae zapłakała nad nią, za sprawnym martwym systemem reakcji po drugiej stronie ekranu świata. Poczowała smutek, strach i potworność bycia martwym. I wtedy coś zyskało siłę. Przemówiło, jakby było z nią jednym.

– Stracimy wszystko. To straszne miejsce! Musimy się stąd wydostać!

Mae walczyła o siebie, ale pytanie powtórzyła słabszym głosem.

– Co to za miejsce?

– Nie wiem. Nie zaczynaj znowu.

– Gdzie jesteś? Jaki dziś mamy dzień?

– Przestań mnie zdręzczać! Kim jesteś, żeby zachowywać się tak impertynencko, zadawać mi takie bezczelne pytania?

„Rozpoczęto prace nad nowym formatem. Od samego początku tych prac niektórzy informatycy uznali, że wyznaczone im terminy są zbyt krótkie”.

– O czym mówi to coś? – warknęła pani Tung.

– Mówiłam ci. O Formacie ONZ. Ale ty nie potrafisz pamiętać. Mam ci to wytłumaczyć jeszcze raz?

– Nie! Nie chcę więcej o tym słyszeć!

– Oczywiście, że nie chcesz. Bo się tego boisz, a dlatego, że wiesz, że nie będziesz w stanie zapamiętać. Niczego nie potrafisz zapamiętać. Gdzie jesteśmy? Nie pamiętasz. Przed chwilą powiedziałam ci, gdzie, i co z tego? I co z tego? Nie pamiętasz, jaki mamy dzień, gdzie jesteś ani nawet kim jesteś!

Coś zawyło i wstało, a Mae wstała wraz z nim. Coś dostało ataku wściekłości, czuła, jak szarpie się w niej z frustracji. Gdyby miało pod ręką swą starą laskę, z pewnością zaczęłoby ją nią bić. Zdezorientowane, gniewne, biegało wokół biurka, rzucając się na ściany jej więzienia. Mae wyczuwała drżenie mózgu i ciała, jakby

całe jej jestestwo było pozbawionym czucia jednym wielkim ropniem.

Podniosła rękę i z całej siły uderzyła się w twarz.

Zacisnęła dłoń w pięść. Walczyła, wymachiwała ręką w powietrzu, drżała jak przyciągana przez magnes.

– Czyją twarz uderzyłaś?! – krzyknęła. – Uderzyłaś i poczułaś uderzenie? Jak możesz zadać komuś ból i jednocześnie sama go czuć?

– Nie wiem! Puść mnie! Puść mnie!

„Przepraszam, ale słyszę dźwięki kojarzone z cierpieniem. Czy życzysz sobie wezwania pomocy?”

Ręka uderzyła Mae powtórnie, jeszcze mocniej.

– Uderzyłaś ciało. – Mae musiała walczyć, by wypowiedzieć te słowa. – Czyje ciało?

Coś zawyło ze strachu. Policzkowało ją, raz, drugi, trzeci. Lewa ręka, prawa ręka, lewa ręka.

– Jesteś chora, jesteś stara, jesteś szalona, kompletnie szalona!

Coś potknęło się zranione i zdezorientowane.

– Nie wiem! Nie wiem... aaaaach! – Wyło w ostatecznej rozpacz.

– Nie pamiętasz, zniedołężniałaś, zdziecinniałaś! Jesteś martwa, chora, niedołężna, nie masz rąk, nie masz oczu, nie masz swojego miejsca na świecie, nie istniejesz.

– Daj mi spokój. – Coś szlochało ciężko, urywanie. Z żalu, rozpacz i strachu nie było już w stanie mówić. Wydało z siebie nieartykułowany wrzask, chwyciło Mae i rzuciło ją na biurko.

Nagle zapanował niezwykle spokojny, jak po przejściu tornado.

Mae dyszała ciężko. W pokoju pana Tuncha była sama.

„Czy życzysz sobie wezwania pomocy?”, spytało biurko.

– Nie – odparła Mae cicho, chrapliwie.

Na więcej nie była w stanie się zdobyć, gardło nieznośnie bolało ją od krzyku. Krzyczała przecież za nie obie. Twarz miała mokrą od śliny i łez. Policzki i palce dłoni paliły ją nieznośnie. Usiadła, przyjrzała się swemu odbiciu w szkle pokrywającym biurko. Na jednym z policzków właśnie rozkwitał siniak.

W Mae obudziły się podejrzenia. Podniosła wzrok. W rogu pokoju pod sufitem wisiała kamera. Tunch to wszystko zobaczy,

pomyślała. Szpiegował. No cóż, skoro zobaczy, to niczego więcej się ode mnie nie dowie.

Mae oddychała głęboko, urywanie. Wstała, otarła twarz, spróbowała przygładzić włosy.

Wypędziłam ją. Wiem, jak ją wypędzić. Nie potrzebuję pana Tuncha.

– Kontynuuj wykład – poleciła biurku.

\*\*\*

Pan Tunch dołączył do niej w porze lunchu.

– Pomyślałem, że może chciałaby pani spróbować czegoś, czego nigdy jeszcze pani nie jadła – powiedział.

Po wysłuchaniu wykładu biurka Mae wiedziała, co miał na myśli. Nowe białka, nowe smaki, uzyskiwane z nowych organizmów.

– Zaprojektowano je tak, by były przepyszne.

Zupa była sycąca i orzeźwiająca, coś jak soczewica z cytryną do smaku, z dodatkiem czegoś przypominającego pomidory i wieprzowinę. Smak miała jednocześnie cierpki i słodki, z odrobiną goryczy przywołującej smak kawy.

– I widzi pani? – Zaśmiał się cicho. – Smaczne, prawda?

– To prawda. – Mae musiała przyznać mu rację. – Owszem. Ciekawa jestem, jak zasmakuje mi w domu zimny ryż.

– Być może nie będzie pani musiała. – Znów ten cichy śmiech.

Jestem, przynajmniej w części, Mapą Pytań o przyszłość tego mężczyzny.

– Pan na mnie eksperymentuje – powiedziała zimno.

– To jedzenie zostało opracowane specjalnie dla kobiet spodziewających się dziecka. Składniki odżywcze dostają się do krwiobiegu w ciągu kilku sekund. Efekt jest taki, że zostaje strawione w momencie, kiedy dostało się do ust.

– Chce pan powiedzieć, że wysrywam je, nim przełknę?

Pan Tunch zareagował wyłącznie cichym śmiechem. A potem dotknął jej posiniaczonej twarzy.

– Mae, próbujemy ci pomóc.

Przez chwilę prawie mu wierzyła.

Po południu Fatimah zaprowadziła ją do czegoś, co najbardziej przypominało latający talerz. Położyła się w nim. Znowu nie odczuła fizycznego bólu. Fatimah mlasnęła językiem, wyłączyła tomograf, pomogła Mae z niego zejść.

- I co? Co?

- Dziecko - powiedziała oszołomiona pielęgniarka. - Cięża ulokowana jest w brzuchu!

Mae zamrugnęła ze zdziwienia. W Karz znaczenie słów brzuch, łono i żołądek bywało mylące.

- W żołądku. Tam, gdzie jedzenie.

Jakim cudem? Mae wiedziała, co wiedziała. Niemożliwe.

- Maszyna się myli - oznajmiła.

Odtworzyła plik badania. Na ekranie pojawiła się ruchoma masa czegoś przypominającego przezroczystą szarą owsiankę, z której wyłaniały się jakieś kształty niczym bąble. Coś ruchomego, coś żywego oddychało poruszało się w głębi niej, przesuwano. Przez chwilę widać było nawet jego głowę.

- To dziecko. Utworzyło już ochronny pęcherz płodowy i na razie wydaje się zdrowe. - Fatimah odwróciła się, spojrzała na badaną. Pochylenie głowy pomarszczyło jej podbródek. Wyglądała na starszą i bardziej zaniedbaną, jak ona. - Nosisz je w żołądku.

- Jak to się mogło stać?! - spytała Mae podniesionym głosem.

Ciemnobrązowe oczy pielęgniarki były wpatrzone w jej oczy, jakby oferowały stabilny punkt podparcia.

- Cięża może usadowić się w dowolnym miejscu ciała, gdziekolwiek doszło do zapłodnienia. Prawidłowe pytanie brzmi: jak jajo i męska część mogły spotkać się akurat w żołądku?

Mae wiedziała jak.

- Ilahe Illallah - westchnęła, choć nominalnie była przecież buddystką.

Zasłoniła usta dłonią. Przełknęła Kena i przełknęła własną miesięczną krew. Poczuli się nagle jak wiązka chust w podmuchu nagłego wiatru, tylko one wszystkie były strachem, były panicznym przerażeniem. Obdarto ją do nagości, publicznie ukazano jej seksualność, w prywatnej, sekretnej sypialni

zabrakło, jak się okazuje, jednej ściany i cała wioska mogła dowolnie zaglądać do środka. Naukowcy, zza pleców pana Kena i nad jego ramionami, podglądają jej dziwne obyczaje.

– Czy kiedyś zdarzyło się już coś takiego? – spytała szeptem.

Fatimah wzruszyła ramionami.

– Nawet jeśli, do tej chwili doszłoby już do poronienia.

– Co dalej? – Mae próbowała wyobrazić sobie konsekwencje swego potwornego czynu. Poród przez gardło? Interwencja chirurgiczna?

– Dziecko nie może być zdrowe – powiedziała Fatimah z przekonaniem. – Musiałoby urodzić się przez interwencję chirurgiczną, a jej nie mogę zarekomendować. Możemy... możemy pomóc ci, po cichu, nic nikomu nie mówiąc. – Umilkła. Jej ciepła dłoń dotknęła zimnego ramienia pacjentki.

W prostych wioskach Karzistanu niechciane zimowe dzieci zostawiano, by wykrystalizowały w śniegu. Trzecie córki zabierano matkom, nim mogły je zobaczyć i pokochać. Przepadały na zawsze.

Fatimah coś najwyraźniej zaniepokoiło. Ale nie podniosła głosu.

– Nie możesz urodzić tego dziecka. Nie ma mowy.

Mae czuła się tak, jakby tuliła do siebie kurczowo ściereczkę, starając się rozpaczliwie zasłonić nagie piersi. Jeśli wioska się dowie, to co zrobią ludzie? Już uważali ją za potwora, tylko dlatego, że zdradziła męża. Kobieta gadająca za wiele, a potem rodząca potwora przez usta? Mogą ją wygnać, ciskając za nią kamieniami!

– Musisz zrozumieć. Żołądek wypełniają mocne kwasy. Rozpuszczają jedzenie. Nie wiemy, co mogą zrobić dziecku.

Twarz pana Kena stanęła Mae przed oczami jak żywa. Jej młody kochanek... młody? Oni oboje, młodzi?

Tak, w sercu byli młodzi. W sercu i we wspomnieniach zawsze będą uczniami jednej klasy, nieśmiałymi i tęskniącymi za czymś więcej. Zawsze będą kochankami, którzy spotkali się późno w życiu.

Serce i wspomnienia będą żyły tylko tak długo, jak oni. Ale gdyby mieli dziecko, miłość przeżyłaby ich oboje. A przecież

miłość istnieje właśnie po to, wielkie obietnice i ból, niewygodą, niezręczność, brzydota. Jest po to, by zbudować wyspę bliskości, na której dzieci mogą dorastać i przekazywać ją dalej...

– Mae? Mae, nie wolno ci myśleć...

Mae myślała o odkupieniu. W Karz nazywano ją „Niespodziewanym Kwiatem”. Widywano go późnym babim latem, zaskakującym kwiatami róży. Mój Niespodziewany Kwiat, tak nazwała dziecko. Otaczały ich ciche, niebieskie maszyny.

– Muszę pomyśleć. – To wszystko, co była w stanie powiedzieć.

– Na to masz niewielkie szanse.

Resztę popołudnia poświęcono na badania jakościowe. Mae przedstawiono energicznego łysego mężczyznę w okularach. „To szanowny pan Pakan. Będzie ci zadawał pytania. Witam, szanowna pani Chung. Proszę odpowiadać na pytania szybko, nie musi pani się na nich specjalnie koncentrować”.

Imię Pakan oznaczało „Prawdziwy Mężczyzna”. Mae siedziała ze skrzyżowanymi nogami i skrzyżowanymi ramionami, próbując jakoś się osłonić. Pierwsze pytania okazały się proste: zawód... stan cywilny... czy jest szczęśliwą kobietą. Jaką zmianę wywołał Format? Jaką zmianę wywołał test?

– Czy powiedziałyby pani, że jej zwyczaje seksualne zmieniły się po Formacie?

– Nie – odparła Mae.

– Ale... przecież... jest pani w ciąży. Niezwykłej ciąży.

– Nikt nie wie, jak to możliwe.

– A jednak, jak rozumiemy, pani małżeństwo się rozpadło?

Na to pytanie Mae nie odpowiedziała.

– Czy to prawda? Przed chwilą powiedziała pani, że jest szczęśliwie zamężna. Jak to się stało, że małżeństwo przestało być szczęśliwe?

Mae uśmiechnęła się.

Pan Prawdziwy Mężczyzna nieco się zirytował.

– Pan Tunch sugerował, że być może będę pani musiał przypomnieć o waszej transakcji. Że pomoże nam pani zrozumieć w zamian za pomoc w nauce. Format ONZ wywarł wpływ na pani umysł. Próbuje zrozumieć, co się stało. Żeby móc pomóc

innym. – Pan Prawdziwy Mężczyzna wrócił do swoich papierów. Były drukowane, choć nieco krzywo. – Czy odbywała pani akty seksualne, których wcześniej pani nie próbowała?

Cisza.

– Proszę, pani Chung. To są pytania natury medycznej.

Biedny człowieku, nie wiesz, z kim masz do czynienia, pomyślała Mae.

– Czy przed Formatem słyszała coś pani, lub wiedziała, o seksie oralnym?

Mae nie wytrzymała. Musiała odpowiedzieć.

– A pan sądzi, że jak wieśniaczki unikają ciąży?

Pan Prawdziwy Mężczyzna wyraźnie się rozczarował.

– Och! A więc przed Formatem wiedziała pani o seksie ustami. Nie ma szansy, by to Format podsunął pani ten pomysł?

Znów nie odpowiedziała, tylko jej serce ścisnęło się mocno, tak jak mocno ściśnięte były wargi w grymasie delikatnego uśmiechu upodabniającego jej twarz do maski.

– Czy było to coś, co często pani praktykowała?

Pan Pakan pochylił się nad nią, wysuwając jednocześnie biodra. Nieświadomie zaczął się kołysać w przód i w tył, jakby uprawiał seks z czubkiem swego długiego krawata. Mae wstała i myśląc o panu Haseemie, kopnęła go między nogi.

Pan Prawdziwy Mężczyzna jęknął i złożył się wpół, a wówczas uderzyła go w twarz, aż wykrzywiły mu się okulary. Upadł na kolana. Próbował wypełznąć z pokoju. Kopnęła go w zadek. Rozpłaszczył się na polerowanej, wyłożonej dywanem podłodze na korytarzu.

Zamknęła za nim drzwi. Oddychała tak nierówno, jak nierówno migocze płomień.

Nie jest głupią wieśniaczką czy jakimś zwierzęciem domowym mającym reprodukować się wedle ich życzeń. Muszą nauczyć się traktować ją jako kogoś, kto coś jednak znaczy.

Pan Tunch pojawił się bardzo szybko. Wyglądał na rozbawionego.

– Potwierdza nam pani wyniki bardzo ważnych badań – oznajmił.

– Doprawdy? – Mae miała wrażenie, że jej zęby są ostre jak zęby piły.

– Przed Formatem nie reagowała pani gwałtownie, prawda?

– Przed Formatem nigdy nie spotkałam takiego sukinsyna – odpowiedziała Mae po krótkiej chwili milczenia.

Pan Tunch nadal się uśmiechał. Udało się jej go rozbawić.

– Bardzo żałuję, że tego nie widziałem, biednego pana Prawdziwego Mężczyzny. Zadającego niewinne, schludnie uporządkowane pytania maszyny, a trafiającego na kawałek prawdziwego życia.

Nie poruszył tym Mae ani nie wprowadził jej w błąd.

– Robił to, czego pan od niego wymagał.

– Ma pani zamiar mnie pobić? – Pan Tunch udał przerażonego.

Mae poważnie zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Mogłabym pana zabić, gdyby posunął się pan za daleko.

– Och! – Nawet ten pewny siebie mężczyzna zdumiał się i nagle spowaźniał.

– Jestem osobą bezpośrednią. Czy za to też zamierza pan obwinić ONZ? – Mae słodko zatrzepotała rzęsami.

Teraz to jemu uśmiech zamarł na wargach, a twarz znieruchomiła jak maska.

Mae rozsiadła się wygodniej, jakby otaczali ją przyjaciele obserwujący, jak dokucza wrogowi.

– Dlatego robi pan to wszystko, panie Tunch. Chce pan wcisnąć Format Gatesa. Musi pan powiedzieć, że Format ONZ jest zły. A jest zły, bo daje więcej ludziom takim jak ja. Czy Format Gatesa panu płaci?

Pan Tunch przymknął oczy. Jego uśmiech złagodniał, świadczył o rozbawieniu zmieszanym z odrobiną żalu. Spojrzał na nią z czymś, co można było wziąć za życzliwość.

– Niespodziewany Kwiat – powiedział.

Mae zrobiło się zimno. Jak daleko dotarł ten pan Brązowa Mądrość ze wszystkimi swoimi maszynami i Mapami Pytań? On tymczasem westchnął ciężko.

– Ilekroć zwątpię w nasz lud, uznam, że nie ma dla niego nadziei przez ignorancję, biedę, głębokie podziały, brak środków, pojawia



się ktoś taki jak pani, zaskakuje mnie i wiem – wiem! – że Karzistan może podbić świat.

Wymienili spojrzenia. Oboje byli zaskoczeni.

– Ma pani głęboki uraz.

Jeśli chcesz grzebać mi w życiu, unieś moją bieliznę do słońca, żeby zobaczyć plamy.

Mae szybko odzyskała równowagę.

– Czy pan zarobił na to wszystko, sprzedając narkotyki?

Twarz mężczyzny obwiła.

Mae wzruszyła ramionami.

– Proszę zrozumieć, że pan mną nie wstrząśnie. Mądry człowiek zarabia pieniądze, jak może je zarobić. Nie jest pan z Yeshibozkent. Rozpoznaję to po akcencie. Pochodzi pan z dalekiej głębi doliny, gdzie słońce, ziemia i wszystko inne jest... twarde. Gdzie rosną maki.

Mężczyzna patrzył na nią, jakby się jej bał.

– Nadal jestem pańskim Niespodziewanym Kwiatem?

Jego twarz odzyskała normalny wyraz, ale przynajmniej nie zdradzała już rozbawienia.

– Coraz bardziej – powiedział.

– Bo wie pan, ja pana znam. Jest pan tym mądrym gangsterem. Ojcem Chrzestnym. – Mae udała, że strzela seriami: trrrrrrach... trrrrrrach. – No więc tak. Boję się pana. Wiem, co może pan ze mną zrobić.

– Zrobię to, co muszę zrobić – oznajmił pan Tunch i natychmiast dodał: – Ale to przecież nie jest groźba. Chodziło mi o to, że zrobię, co mogę, żeby ratować nasz lud.

Mae milczała. Zastanawiała się nad sensem tych słów. Pan Błękitna Mądrość dodał pośpiesznie:

– Jak inaczej miałem to zbudować?

Tym razem mu uwierzyła.

– Rzeczywiście. I nienawidzi pan obcych jeszcze bardziej, niż nienawidzi pan nas.

Spojrzał na nią niepewnie.

– Jesteśmy przecież ignorantami. Jesteśmy biedni i głęboko podzieleni. – Mae westchnęła. Ilu z nas musi wchodzić pan w

drogę.

– Próbuję być pani przyjacielem.

– Ach! – Mae wpatrywała się w podłogę. – Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, jaki to przerażający pomysł?

Pan Tunch uśmiechnął się do niej po raz ostatni i wyszedł. Ale wychodząc, wymierzył w nią palec.

Mae uświadomiła sobie, że zna jego historię, jakby ją widziała. Los, nasienie ojca, jajeczko matki – dzięki nim narodził się człowiek bardzo, bardzo inteligentny.

Hikmet Tunch był wesołym, sprytnym wiejskim dzieciakiem, bardzo bystrym i czasami brutalnym. Widziała wyraz zamyślenia na jego twarzy, gdy widłami wrzucał groch do maszyny albo kopniakami odpędzał gęsi od ziarna. Myślał wtedy: „To dobre dla głupców”, mając na myśli ciężką pracę przynoszącą grosze. Widział zdolnych do wszystkiego twardych mężczyzn w lśniących dresach, obwieszonych krzykliwą biżuterią. Dołączył do nich. Prosił o najniebezpieczniejsze zadania, zgłaszał się na ochotnika. Był przemytnikiem. Przemycał, co się dało. Był przemytnikiem, bo za granicą widział, jak funkcjonuje reszta świata.

Mając siedemnaście lat, wyglądał jak typowy szofer, mocno zbudowany, twardy, nieogolony, uśmiechający się przymilnie do żołnierzy straży granicznej. Ilekroć z nimi rozmawiał, jego wesołe oczy były niewinne, choć wiedział, że zbiornik paliwa aż do połowy jest wypełniony białą papką.

Z pewnością widział Berlin, Pragę i St. Petersburg. Studiował świat, pieprząc jego kobiety, ucząc się od nich języków i tego, jak myślą, co cenią. Wracał i nienawidził domów w Karzistanie za to, że stoją krzywo, nienawidził wiecznie zasypanych pyłem dróg. Nienawidził wieśniaków za to, jak się ubierają, nienawidził obrazków na samochodach i starych drewnianych domów.

Mądry Gangster zdobywałby przyjaciół. Otoczyłby się lojalnymi ludźmi z wioski, wielkimi, silnymi, o wiele głępszymi od niego, ale wiernymi i umiejącymi budzić strach.

Zabijał osobiście. Niezbyt często, ale nie przejmuje się handlu narkotykami, zaczynając od zwykłego muła, jeśli nie wie się, kiedy uderzyć, i nie uderza z siłą wystarczającą, by nigdy nie

wrócił do biznesu. Mądry Brązowy palił pola, palił całe wioski, zabijał męskich spadkobierców, kiedy mieli pięć lat. A jednak, pomyślała Mae, jeśli to wszystko odłożymy na bok, okaże się, że mamy wspólny cel: pomóc ludziom.

Pan Mądry Gangster już wiedział, że Info jest nowym narkotykiem.

Do pokoju weszła Fatimah. Nie budziła zaufania, choć trudno było powiedzieć, dlaczego.

– Myślałaś o ciąży? – spytała ze szczerą troską, ale Mae nie miała wątpliwości, że dostała polecenie wydobycia z niej informacji w zastępstwie pana Prawdziwego Mężczyzny.

Stałam się Niespodziewanym Makiem, pomyślała. Z którego wyciska się sok.

– Czy to mogło ci się zdarzyć wcześniej?

Mae postanowiła kłamać. Chcą odpowiedzi? No to napieprzę im w głowach, udzielając fałszywych odpowiedzi.

– Ależ tak, oczywiście. W mojej wiosce ssiemy wszystkie.

Teraz Fatimah może powiedzieć, że zrobiła swoją robotę. Na jej korzyść świadczyło, że najbardziej obchodziło ją jednak nieszczęście pacjentki.

– Mam coś, co rozwiąże twój problem – oznajmiła ściszym głosem.

Naprawdę myślisz, że zrobię cokolwiek tutaj, będąc w waszych łapach? Żebyście mogli wprowadzić to sobie do waszych akt?

– Co to takiego? – Jeśli pigułka, można tylko udać, że się ją bierze.

Ale Fatimah pokazała jej strzykawkę.

– Działa bardzo szybko – wyjaśniła. – Jeden zastrzyk i po kłopotcie, bez żadnych chemicznych śladów. Naturalne poronienie. Biorąc pod uwagę, gdzie zagnieździła się ciąża...

– Nie – powiedziała Mae.

– Zrozum, im wcześniej, tym lepiej. I łatwiej. Pod każdym względem, i fizycznym, i emocjonalnym.

Przyglądając się pielęgniarce, Mae odkryła, że ją też zna. Ładna dziewczyna, bardzo mądra. Bogaty ojciec, dobre wykształcenie, ale gdzie w Karzistanie można je wykorzystać? Tylko tutaj. Pod

rządami Szejtana. Miła, współczująca dziewczyna, co często zdarza się wśród bogatych. Ale też mała. Bogactwo potrafi nadać taką małość jak balon. Bogactwo naciąga ją, aż robi się coraz cieńsza.

– Nie wierzysz w miłość?

– Ja... ale... – To pytanie zaskoczyło Fatimah.

No i postawiłam cię na baczność, kobieto z miasta.

– Nie sądzisz chyba, że w medycynie nie ma miejsca na miłość?

– Nie. – Fatimah poczuła się urażona. – Tego nie powiedziałam.

– Była dumna ze swej wrażliwości, z troski i poświęcenia dla pacjentów.

– Dlaczego więc jesteś ślepa i głucha na fakt, że matka może kochać późny, Niespodziewany Kwiat? – Mae odczekała chwilę, a potem dodała: – Zwłaszcza że jego ojciec jest jedynym mężczyzną, jakiego w życiu kochała.

Wiedziała skądś, że tej dziewczyny nikt nie kochał, i chciała ją zranić.

Fatimah zwiędła na jej oczach.

– Ja... ja nie zrozumiałam sytuacji.

– Więc może spróbujesz mi pomóc, tak dla odmiany?

Dziewczyna wyglądała jak dziecko, któremu dano straszną burę. Wpatrywała się w podłogę.

– Jeśli mi pozwolisz? Ale do tego muszę wiedzieć, co czujesz.

– Ach! – westchnęła Mae. – Sytuacja wygląda tak, że mam ci odpowiadać na pytania, a kiedy zrobisz Mapę, to się mną zajmiesz?

Fatimah wyglądała, jakby mróz przeszył ją do szpiku kości.

– Chcesz być dobra. – Mae uśmiechnęła się, lecz z żalem. – Być może tutaj nie można być dobrym?

Przyszła pora na atak.

– A gdzie można?

W porządku. Dochodzimy do jakiejś prawdy.

– Robimy, co możemy, prawda? No to teraz powiedz mi: jak mam zachować dziecko?

Pielęgniarka zastanawiała się przez długą chwilę.

– To może się okazać niemożliwe – ostrzegła. – Dziecko jest

małe, więc nie da się wykluczyć jakiego rodzaju porodu, ale musimy założyć konieczność użycia metod chirurgicznych.

– Kiedy, twoim zdaniem, będę rodzić?

– Płód rozwija się dziwnie. Powiedziałabym, że maj lub czerwiec. Będziesz mogła tu wrócić. – Oczy w opuszczonej głowie Fatimy patrzyły błagalnie. – Jestem pewna, że tu pomogliśmy ci urodzić. Mamy najnowocześniejszy sprzęt medyczny i naukowy w całym Karzistanie.

– Co oni będą z tego mieli?

– Prawdopodobnie nic więcej, niż już mają. I tak dostaną tyle, że będą mogli pozwolić sobie na hojność.

– A co takiego ode mnie dostaną?

Fatimah westchnęła.

– Naukową sławę? Uznanie w przemyśle? – Uśmiechnęła się krzywo. – Interfejs Medyczny Człowiek-Komputer?

W Karz „interfejs” nazywał się „dwie twarze”, co kojarzyło się ze zdradą. Ani jedna, ani druga nie musiały mówić głośno, że dobrze to pasuje do rzeczywistości.

– Nie wolno ci pracować fizycznie – mówiła dalej Fatimah. – Jeśli poronisz... to znaczy zwymiotujesz... zwymiotuj wszystko, co możesz. Nie dopuść, by coś zostało ci w żołądku. I dzwoń, natychmiast. Zrobię wszystko, by do ciebie dotrzeć.

W pokoju nie było okien, nie było też zegara, ale Mae czuła, że jest późno.

– Chciałabym wrócić już do hotelu – oznajmiła.

Było tak, jak się spodziewała. Twarz Fatimah zastygła w wyrazie wstydu.

– Bardzo mi przykro, ale... ale w twoim stanie wydaje się jak najbardziej wskazane, byś spędziła tę noc tutaj.

– Chcę spędzić ją w hotelu.

W oczach pielęgniarki był autentyczny żal.

– Nasi goście mają zapewnione wszystkie wygody.

– Wiem za wiele i za wiele powiedziałam.

I tak, po cichu, Mae dostała się do niewoli.

\*\*\*

W pałacu diabła pokoje są bardzo komfortowe, chociaż nie mają okien.

Strażnik przyniósł Mae obiad. Był to wielki facet, tak wielki, że mimo sterczącego brzucha wcale nie wyglądał na tłuściocha. Miał włochate ręce i oczy jak obiektywy kamery. Jego też Mae doskonale знаła. Wielki wieśniak, syn wieśniaków, grający z panem Brązowa Mądrość w piłkę na tym samym rzysku.

– Znał pan pana Tuncha, kiedy był chłopcem? – spytała.

Twarz strażnika pozostała nieruchoma. Obserwował ją cały czas, a kiedy skończyła, zabrał talerz i noże.

Migało czerwone światelko, więc nie spuszczano z niej oka. Czekala, aż wyłączy oświetlenie, wówczas będzie niewidzialna. Szeptala do siebie, nie poruszając wargami: Mae Mae Mae Mae Mae...

Prześledziła bieg pokręconego korzenia, samej siebie, aż tam, głęboko. Znalazła spokój, ciszę tu kończyły się wszystkie obawy, kończył strach. A kiedy się od niego odrywała, białe mury Yeshiboz Sistemlar wyglądały na tak cienkie i kruche jak skorupka jajka.

Opadła na dziedziniec delikatnie i gładko jak anioł. Ubranie ciągnęło się za nią jak wstążki, jak jedwabna bielizna. Otoczenie najbardziej przypominało wspaniały dom Kwan. Zamiast zagród stały niebieskie ściany, a przy nich, rzędem, nowe biznesy lśniące złotym światłem. Miały też nowe plastikowe szyldy, wyglądające jak otwierające się i zamykające maki. INFO... POMOC... ALE ZABAWA...

Mae wkroczyła do POMOCY. Była tam ona sama, przebrana za Talent. Mae-asystentka dobrze wiedziała, czego chce Mae. Chciała zobaczyć na własne oczy Format Gatesa.

– Obawiam się, że nie istnieje oprogramowanie umożliwiające komunikację między Formatami Gatesa i ONZ. Nie zdołasz znaleźć żadnych imprintów Formatu Gatesa.

– Czy system ten zawiera informacje na temat Formatu Gates? – zwróciła się Mae do maski.

Mae-asystentka uśmiechnęła się jak sklepowy szyld.

– Funkcja „Pomocy” zawiera wyłącznie informacje o tym

Formacie.

– Czy znajdę coś w „Info”?

Chcę wiedzieć, czym są imprinty i jak działają. Chcę wiedzieć, czym jest Format ONZ i jak tłumaczy myśli. Nie chcę mieć długów u Tuncha.

Mae-asystentka odparła gładko:

– Sekcja „Info” została opracowana dla projektu pilotażowego. Zawiera wyłącznie przykładowe elementy zawartości.

Mae przyglądała się własnej twarzy. Czy do moich klientów uśmiecham się równie odpychająco?

– Dlaczego Tlen nie zawiera niczego?

Czyżby uśmiech stał się nieco szerszy?

– Często wadą projektów IT jest niedocenienie trudności w dostarczeniu odpowiedniego zasobu treści w zaplanowanym czasie.

Tlen głównie wiedział. Mae nie oszukała też jej własna twarz. To wszystko: dziedziniec i fronty sklepów zrobiono wyłącznie na pokaz. Nie są Tlenem, lecz znakami drogowymi prowadzącymi do Tlenu.

Mae odwróciła się i bez słowa weszła w Tlen. Już wiedziała, że Tlen jest wieczny. Tym razem z rozmysłem weszła w błękit informacji. Stopiła się z niebieskimi ścianami, jakby były lśniąca tą barwą mgłą. Szła przed siebie. Ściany znikły w nocnych ciemnościach. Stała wśród chaosu, wyczuwając pokręcony korzeń sięgający głębiej, głębiej, aż nawet dźwięk jej własnych myśli ucichły i ona sama zbladła. Stawał się też coraz grubszy, jakby zmieniał się w konar potężnego drzewa. Kiedyś, w końcu, stanie się Wszystkim. Stanie się światem i wszystkimi światami, wśród których kryje się ten świat. Ona sama zaś była tylko najcieńszą ścieżką prowadzącą do fikcji tego świata.

Nie pamiętała już nawet, czego szuka.

Zdołała tylko pomyśleć: „Nie chcę iść dalej”.

Wracała oślepta, po omacku. Świeciło niebieskie światło, paznokcie miała białe jak szpitalny strój, jakby uśmiechało się wszystko wokół niej.

Wyszła na dziedziniec. Po cichu weszła do ALE ZABAWA.

Wzdłuż ścian stali jednoręczni bandyci i radia, wszędzie te radia. Przestrzeń przesyciła uroczysta muzyka operowa, a naprzeciw telewizora siedziała stara pani Tung wpatrzona w *Turandot*.

– Witaj, babciu – powiedziała łagodnie.

Pani Tung odwróciła się uśmiechnięta. Oczy jej błyszczały. Nie pamiętała ich ostatniego spotkania, pamiętała tylko miłość, głęboko imprintowaną.

– Och, jesteś, kochanie. Właśnie tak sobie myślałam, że może Mae przyjdzie mnie odwiedzić. Prawda, że te telewizory są wspaniałe? Zawsze tak bardzo chciałam obejrzeć *Turandot*! Mówią, że to się zdarzyło w Karzistanie, wiesz?

Widziałas *Turandot* wiele razy, bo to jest jedyna w Tlenie rzecz, którą można obejrzeć w telewizji. Ale i tego nie pamiętasz. Niebo to miejsce, w którym nie możesz się zmienić i w którym nic nie może się nigdy zdarzyć, więc to, co kochasz, pozostaje wieczne. Dokładnie tak, jak w piekle.

Bohater, Kalaf, śpiewał: „Niech nikt nie śpi, niech nikt nie śpi”.

– Chciałam tylko sprawdzić... – powiedziała Mae – ...chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. Chciałam się upewnić, że jesteś tak piękna, jak w moich wspomnieniach.

– Ho, ho, ho. – Serdeczny śmiech. Teraz już wieczny.

Stara pani Tung wyciągnęła rękę, ujęła dłoń Mae. Myślała, że ciągle ma rękę.

– A jak łuskanie fasoli w tym roku? Kiedyś to kochałam. Siedziałyśmy na kocach, rozcinałyśmy strąki...

– Tak – potwierdziła Mae. – To nadal jest bardzo przyjemne.

A potem dodała coś, choć wiedziała, że pani Tung jej nie zrozumie.

– Wiem, że to nie ty mi to robisz. To вина błędu, jaki popełnili, na czymkolwiek polegał ich błąd. Chcę tylko cię w tym upewnić.

Stara pani Tung znów wybuchła śmiechem, jakby doskonale wiedziała, o czym Mae mówi. A Mae znów zaczęła powtarzać swe imię. Jej dłonie i umowne dłonie pani Tung rozplątały się. Jak korzenie.

\*\*\*



Rankiem strażnik przyniósł Mae śniadanie na tacy. Jedzenie opalizowało tęczowo, a jego smaki, od wieprzowiny po dżem, były wszystkimi smakami śniadania w jednym. Wspaniałymi smakami. Wyrzuciła je do kosza, a ono zmieniało barwy nawet tam. Zakryła oczy, zapłakała, a potem starta wilgoć z policzków. Przeprowadzono ją wśród wszystkich pracowników Disney World, wszystkich takich świeżych i takich czyściutkich. Czy wiedzieliście, że trzyma się tu więźniów? – zwróciła się do nich, do ich idealnie wymusztrowanych uśmiechów. I doprowadzono ją do biurka. Powiedziała sobie, że czas zacząć się uczyć.

Biurko zaczęło od pokazania jej wnętrza oka. Wczesne badania interfejsu polegały na naświetlaniu siatkówki kodowymi sygnałami i rejestrowaniu zmian w ich przebiegu. Pojawiały się szczątkowe sygnały aktywności nerwów niemające nic wspólnego ze światłem. Wyglądało na to, że dochodzi do przekazywania innych wiadomości.

Mózg reagował na impulsy słabych ładunków elektrycznych pochodzących spoza ciała. Testowane zwierzęta poddano badaniom, w których zastosowano impulsy zmienne, o maksymalnym ładunku szczytowym. Stymulowały wszystkie obszary mózgu, wszystkie ścieżki nerwowe naraz. Tajemnicze zaś było to, że raz stymulowany ładunek trwał. Mózg wchodził w nowy stan, zawsze naładowanego i zawsze otwartego. Ładunek istniał, choć brakowało źródła energii.

Jak to możliwe? Stały ruch nie może przecież istnieć, nie ma wiecznego źródła tylko oddającego energię. Chyba że... chyba że istnieje w królestwie nieznanym pojęcia czasu, że jest jak radio – nigdy niewyłączane i zasilane z innego świata.

Bo inny świat istniał, a raczej istniało siedem wymiarów poza czasem i w nich właśnie istniał Tlen. Tlen nie miał wymiarów przestrzennych. W Tlenie jeden mózg mógł zajmować miejsce zajęte przez inny mózg. Stymulacje w jednym imprintowanym mózgu korelowały ze zwiększoną aktywnością drugiego.

Jednakże próby współdzielonego myślenia prowadziły do zaburzeń i dolegliwości. Mózgi pracują na wiele różnych sposobów.

Tlen mógł działać wyłącznie pod warunkiem wprowadzenia jednolitego Formatu.

Przynajmniej w teorii Format ów również był informacją. Można było dodać go do imprintu, byle wraz ze wspólnym mechanizmem czyniącym wiadomości kompatybilnymi, a tym samym możliwymi do współdzielenia. Pierwsze Formaty były prostymi równaniami matematycznymi pozwalającymi na komunikowanie się wyłącznie najprostszymi impulsów nerwowych. Pierwszą wiadomością przekazaną Tlenem było „2 plus 2 równa się 4”. Przyjęła ona formę impulsów nerwowych: dwa impulsy, dwa impulsy, a potem cztery jeden po drugim.

Tlen, jeśli miałby służyć celom komercyjnym, musiał potrafić znacznie więcej.

Synestezja to zjawisko znane od dawna, ale niezbyt dobrze rozumiane. Niektórzy ludzie widzą dźwięki, smakują kolory, wyczuwają słowa czubkami palców. Mózg, urządzenie tak delikatne i tak wrażliwe, reagował na drobne zmiany intensywności ładunków spowodowane innymi czynnikami. Dzieci doświadczają tego zjawiska regularnie i uczą się je blokować.

I to w oparciu o synestezję wypracowano metody stymulowania obrazów, dźwięków, nawet smaków. Wypracowano metody przekładu tego systemu najpierw na protokoły, a potem metody dekodowania protokołów, choć zabrało to kilka lat.

Koniec lekcji.

Przyszła pora lunchu. Przyniósł go milczący strażnik. Mae wiedziała już, że Hikmet Tunch, choć tak chętnie się uśmiecha, to jednak się jej boi.

Ten lunch się poruszał. Jego składnikami były przepyszne nowe organizmy umiające mówić. Mówiły jeden przez drugiego, wesołymi wysokimi głosami: „Zaprojektowano nas do dostarczenia wszystkich wymaganych witamin i białek o wartości nieumniejszonej zabijaniem czy gotowaniem. Myśl o nas jako o doskonałej formie szczęśliwego pożywienia”. I, czekając na zjedzenie, zaśpiewały wesołą piosenkę. Wyglądały jak krewetki bez odnóży i skorupki, z małymi kryształkami węgla

umieszczonymi na szczycie jak klejnoty.

– Zabierz to obrzydlistwo i powiedz panu Tunchowi, że raczej się zagłodzę, niż będę jadła coś innego niż normalne jedzenie.

Milczący olbrzym skinął głową raz i wyszedł. Lunch zostawił jednak na stole, jak symbol wraz z jego ciągle podzwaniającymi, inteligentnymi dzwoneczkami. Wrócił z miską zwykłej zupy. Usiadł. Nie spuszczał wzroku z Mae, jakby chciał mieć pewność, że rzeczywiście je. Spojrzał na zegarek.

Dopiero po kilku łykach Mae uświadomiła sobie, że zupa ma jakiś dziwny posmak.

– Co w niej jest? – spytała.

Olbrzym wyszedł.

Kolory nabrały ostrości. Mae doskonale czuła, jak bardzo jest zaniepokojona. Odczuwała wszystko niezwykle ostro.

Drzwi się otworzyły. Wszedł pan Pakan, prowadząc psa z wygolonym łbem i przymocowaną do niego zgrabną małą metalową czapczką wyposażoną w mikrofon.

– Mae, witaj, Mae. – Pies aż się ślinił z miłości. – Mam pracę. Ludzie mi ufają, dają pracę. Uczynili mnie o wiele mądrzejszym. Nauczyli mnie mówić. Psy mogą mieć przyszłość, jeśli nauczą się opowiadać dowcipy i będą kochać swych panów.

Mae cofała się przed nim, aż oparła się plecami o ścianę.

– Proszę, pozwól mi polizać się w rękę. Ja tylko chcę polizać cię w rękę.

Mae zaczęło brzęczeć w głowie. Czuła także gromadzące się napięcie, jakby formowała się tam bańka, rosła i mogła pęknąć lada chwila.

– Sukinsyny... – Tylko tyle zdołała powiedzieć. Robili to specjalnie. Przywoływali panią Tung.

– Nie lubisz mnie? Proszę, lub mnie – błagał pies. Próbował zaskomlać, lecz jego skomlenie też wyposażono w głos. – Kto mnie nakarmi, jeśli nie będę kochany?

Gdzie jesteśmy, kochanie?

Mae usłyszała szelest powietrza w uchu. Jakże jasno zrozumiała, co czuła pani Tung. Podłoga kołysała się pod jej stopami, ściany płynęły.

Wracajmy do domu. Znasz drogę?

Mae opadła na podłogę. Pan Pakan pochylił się, zacisnął opaskę na rzepy na jej ramieniu. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, nim utraciła ciało, był pies pożerający śpiewające jedzenie.

– Och, ale to dobre.

Ciągły brzęk zepchnął ją w najdalszy kąt ciała. Pani Tung wstała, usiadła na krześle.

– Czy byłbyś taki miły i znalazł dla mnie jakiś koc, mój drogi? – zwróciła się do pana Pakana.

Mae próbowała spytać ją: „Kim jest ten mężczyzna?”. Nie wiesz, kim jest ten mężczyzna, prawda?

Kolory zachichotały. Umilkła. Och, och, och, pomyślała pani Tung. Jak dobrze mieć stawy wolne od bólu! Jak dobrze widzieć wszystko tak wyraźnie! Moje książki! Znów będę mogła czytać książki!

Pani Tung wybuchła śmiechem.

Ach, jaka szkoda, pomyślała jeszcze, że nie ma przy mnie Mae.

\*\*\*

Mae ocknęła się bezwładna, jakby połamano jej wszystkie kości ciała. Leżała w łóżku w pokoju wyglądającym jak szpitalna sala, ale sala dla jednej osoby. Na ściennej tablicy ogłoszeń wisiał „Regulamin izby chorych”.

Nadal nie była wolna.

Drzwi uchyliły się, zobaczyła głowę młodego pielęgniarza. Widziała, jak przesuwa wzrokiem po maszynach.

– Jak się pani czuje? – spytał wysokim, cichym głosem. Mógłby być bratem Hikmeta Tuncha.

A myślisz, że jak się czuję?

– Nie za dobrze. Nadal mam dziecko? – zapytała.

– Chyba tak – odparł pielęgniarz po bardzo krótkiej chwili wahania. – Chyba tak. – A jednak nie był pewien. – Ktoś wkrótce do pani przyjdzie – zapewnił ją i znikł.

Gdzieś grała muzyka. Brzęk strun, tęskny, nieco płaski flet, tak, to była muzyka Karzistanu, ale melodię, smutną i rytmiczną, zaadaptowano do europejskiej skali. Drżący głos Mueraina i

elektroniczne brzmienia; ta muzyka zajmowała miejsce dokładnie pośrodku Azji i Europy, starego i nowego. Jak my, pomyślała Mae. Dokładnie tak jak my. Kolejna pieśń o utraconej miłości.

Nie będzie mnie w domu na żniwa, pomyślała Mae. Dno doliny zostanie oczyszczone. Pan Wing wynajmie zielone maszyny oddzielające ryż od jego łodyg. Ryż zostanie skopcowany. W pobliżu stanie czyjś samochód z włączonym silnikiem, by można było posłuchać muzyki przez radio. Być może nawet tej piosenki. Mae widziała to wszystko w wyobraźni, żółto-niebiesko-zielone fartuchy starych kobiet na niebieskich spodniach, barwy stłumione od wielokrotnego prania, wieku i pyłu.

W pokoju stała Fatimah.

– Wy mi to zrobiliście. – Mae nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Specjalnie sprowokowali starą panią Tung do powrotu.

– Bardzo mi przykro. – Pielęgniarka mrugała szybko.

– Mam dziecko? Czy mi je zabraliście?

Ten temat już ją męczył.

– Nie zabraliśmy ci dziecka – powiedziała cicho.

– Dowiedzieliście się, czego chcieliście się dowiedzieć?

Fatimah usiadła na łóżku.

– Wiemy już, co się dzieje, kiedy kontrolę przejmuje inna imprintowana osobowość. Potrzeba jest synergia emocjonalna, obie muszą czuć to samo. Na przykład, jeśli obie czujecie strach...

Powiedz mi coś, czego nie wiem, pomyślała Mae. Poruszyła się w łóżku jakoś tak dziwnie, że dziewczyna umilkła jak nożem uciął. Zmieniła temat.

– Daliśmy ci środki pozwalające utrzymać kontrolę nad... nad tą drugą osobowością. – Trzymała w ręku plastikową folię. Jej oczy mówiły: „Widzisz? Jednak próbujemy ci pomóc”. A jednocześnie widać było, że coś ją bawi. – Pastyłki są tak nowe, że dopiero zastygają.

– A jak działają?

– Redukują synergę emocjonalną. – Fatimah wzruszyła ramionami.

Używała wyłącznie wielkich słów. Albo nie wolno jej było, albo nie potrafiła powiedzieć, jak działają.

Ale Mae widziała. Czuła, z całą pewnością.

– Rozsypią mnie jak wiatr liście.

Dziewczyna westchnęła. Raz. Zabrzmiało to jak prychnięcie. A więc i do tego doszło.

– Tak. Mogą mieć tego rodzaju skutki uboczne.

Zatem nie wrócę do wioski na żniwa. Wioska odetnie się ode mnie, jakbym nigdy nie była jej częścią. Nie mam ryżu do zebrania, cały należy do Joego. Będę stała za granicą pola młócki. Jak duch. Jeśli zechcę powiedzieć ludziom, co tu widziałam, to nie zdołam w szczegółach. Albo na oczach ludzi przebudzimy się obie naraz, ja i stara pani Tung. Szalone.

A potem urodzę ustami i zostanę potworem.

– Proszę odpoczywać. – Fatimah poklepała ją po ramieniu.

Było w Mae coś, co bardzo chciało zapłakać i powiedzieć: „Ja chcę do domu!”. Ale tę jej część zablokowano. Silne emocje i jasne myślenie roztapiają się i znikają.

W którymś momencie Fatimah wyszła. Mae została sama.

Gdzie moje dobre ubranie? – spytała sama siebie. Pojechałam do miasta w dobrym ubraniu i kurtce Talentu. Rozejrzała się po pokoju. Nic tu nie było jej. Strój i kurtka natychmiast straciły na znaczeniu. Usiadła, oparła nogi na podłodze i wstała. Miała na sobie szpitalną nocną koszulę.

Od dawna nic nie przyszło jej łatwiej niż ta decyzja: musi uciec. Po prostu wyszła. Nie powiedziała sobie świadomie: nie bierz lekarstw, lepsza wojna i ból, ale o jasnym umyśle. Folia z tabletkami pozostała na nocnym stoliku.

Otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i zobaczyła psa.

– Odejdź! – warknął pies. Postawił uszy, obnażył kły, wstał. – Wracaj.

Mae założyła, że pod każdym praktycznym względem rozmawia z panem Tunchem.

– Dopełniłam umowy – powiedziała słabym, płaczącym głosem. To nie było w porządku, zrobiła, co obiecała. – Zawarliśmy układ.

- Masz tu zostać - powiedział pies równym, mechanicznym głosem, z dziwnymi zgrzytami i skokami tonu.

- Dlaczego?

Zwierzę przechyliło głowę.

- Jesteś chora.

- Już wyzdrowiałam.

Pies podskoczył do niej zgrabnie, obwąchał ją i polizał jej dłoń.

- Przepraszam, że ugryzłem. - Wzrokiem prosił o wskazówki.

Zbyt rozproszona, by czuć obrzydzenie, Mae dotknęła pudełka na jego łbie. Zażyte lekarstwa pozwoliły jej czuć prawdziwe cuda. Pomyślała o swym Kru. Z psem jest właściwie tak samo. Imprintowali go i podłączyli do zdolności językowych. A może do zdolności całej osoby ludzkiej? Może był Tunczem?

- Teraz potrafisz rozumieć, co się dzieje. Pamiętasz, jak to było przedtem?

- Trochę pamiętam - przyznał pies. - Były wyłącznie zapachy. Pamiętam zapachy. Teraz pamiętam i inne rzeczy.

- Możesz wybierać. Jesteś w stanie podejmować decyzje.

Pomyślała, że może powinna się cofnąć. Świat wokół niej kołysał się jak na falach. Wyjście z budynku, przejście przez miasto, znalezienie drogi w góry... nie, bez pomocy to niemożliwe.

- Możesz pomóc mi wrócić do domu.

Pies przekrzywił łeb i dwukrotnie szybko machnął ogonem.

- Bo tego, co on robi - powiedziała Mae do nikogo szczególnego, w powietrze - nie pozwolono by mu robić w żadnym innym kraju. Dlatego mu płacą. Żeby to robił za nich. Żeby się dla nich dowiadywał.

- Zrobił mnie - powiedział pies.

- Musi zrobić cię takim mądrym, jak to tylko możliwe. Zawsze będziesz tylko jeden.

Pies podszedł jeszcze bliżej. Łeb miał opuszczony, merdał ogonem.

- Tędy nie wyjdiesz - ostrzegł. - Zobaczą cię. Ale to jest dobra droga.

Dotknął nosem podłogi. Węszył.

Mae uświadamiała sobie wyłącznie to, że dobrze jest mieć

towarzystwo. Kiedy była dzieckiem, Żelazna Ciotka miała wielkie chude psisko imieniem Mo. Zwariowane psisko. Bo Mo sikał, gdzie mu się podobało. Wyłaził z kryjówek i chodził z nią na spacer, ale wyłącznie wtedy, kiedy sam chciał. Teraz czuła się jak dziecko.

Skręcali z korytarzy w korytarze. Nagle pies postawił uszy, odwrócił się, próbował szczeknąć.

– Kto? – spytał mechaniczny głos.

Pojawił się mężczyzna ubrany na biało, roześmiał się, podrapał psie ucho.

– Cześć, Ling – powiedział. – Dokąd to, piesku?

Natchnienie nie opuszczało Mae, unosiło ją, więc niewinnie, lecz z koniecznym sprytem odpowiedziała:

– Ling prowadzi mnie tam, gdzie mam się stawić.

– Och! Bardzo dobrze, jest cudowny, prawda? Rozmawiała z nim pani o zapachach? To jak wejście w zupełnie inny świat.

– Trochę. To rzeczywiście cudowne.

– Jak się pani czuje?

– Leki wywarły na mnie doprawdy wielki wpływ.

Uśmiech mężczyzny wydał się jej nagle odrobinę twardszy. Być może rzeczywiście był to wpływ leków, ale miała wrażenie, że jego zęby zabłyśły.

– To dobrze. – Mężczyzna uklonił się i odszedł.

– Nie powiedzieliśmy prawdy – zauważył Ling. Mechaniczny głos nie był w stanie przenieść uczuć.

– Uczymy się – powiedziała Mae.

Z przodu dobiegły przekleństwa i donośny łomot. Mae najpierw pomyślała o burzy i grzmocie, a potem o dźwięku bębnow. Ling przystanął. Czekał z przechylonym łbem, tym uniwersalnym, przekraczającym granice gatunkowe gestem oznaczającym: podrap mnie za uchem. Mae wykonała jego polecenie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Donośny dźwięk wydawały wielkie metalowe beczki. Mężczyźni w niebieskich kombinezonach przetaczali je obok nich. Ling warknął, przedstawiając się jako lojalny pies obronny.

– Dobry piesek. – Jeden z nich roześmiał się. Przyjrzał się



spotkanej podczas pracy kobiecie, nie ukrywając pożądaną, mimo że była w średnim wieku. – No dobra, Ling, nie będę ci przeszkadzał. – Erotyczne niedostatki tej kobiety uczyniły z niej przedmiot żartów.

Pies czekał cierpliwie z wywalonym jęzorem. Uniósł pysk, łapał powietrze. Liznął dłoń Mae, po czym ruszył przed siebie, stukając pazurami i ślizgając się na gładkiej podłodze. Podprowadził ją do niebieskich drzwi. Trącił nosem długą metalową klamkę.

– Dziękuję. – Mae była mu wdzięczna za to, czego dokonał. Ale także nieco otępiała.

Pchnęła drzwi. Wyszła na parking smażący się w jaskrawych promieniach słońca. Stały na nim lśniące czystością firmowe busy i trzy limuzyny.

Ling poszedł za nią. Doprowadził ją do wysokiego ogrodzenia z krzyżujących się metalowych prętów, zwieńczonego na całej długości kłębem drutu kolczastego. Mae, obojętna i jakby ledwie obecna w rzeczywistości, dotknęła swych korzeni w Tlenie. Po lekach przyszło jej to znacznie łatwiej. Czuła taki spokój, jakby sama była Tlenem.

– To wszystko jest żartem – powiedziała i nagle się uśmiechnęła.

Oczywiście mówiła prawdę. Świat był żartem. Był opowieścią skręconą z niczego przez grawitację. Był przypadkowym produktem ubocznym Tlenu, wieczności, którą był. Czuła tę wieczność. Mogła wziąć opowieść w swoje ręce. Czuła metalowe ogrodzenie. Było niczym więcej niż fikcją.

Więc je rozerwała.

Sięgnęła w Tlen. Uchwyciła rzeczywistość tak, jak sama została uchwycona, bardzo prosto, bardzo łatwo. Siłą umysłu rozerwała metalowe pręty. Aż zachichotała na myśl, jakie to śmieszne, że ludzie biorą takie ogrodzenia poważnie. Druty kolczaste darła w dłoniach jak kawałek płótna.

– Tego roku – powiedziała – świadome Tlenu młode damy będą nosić własnoręcznie rozerwane ogrodzenia jako znak swej siły.

Luźne metalowe fragmenty tańczyły jak na wietrze.

– Śpiewajcie – rozkazała. Nie mogła przestać chichotać. – Śpiewajcie, czemu nie?

Strzelała z palców, a ostre pręty zaczęły pobrzękiwać melodyjnie, trochę jak jej lunch. Wszystko mogło się zdarzyć.

Wiatr niósł pył, metal tańczył i śpiewał, a Mae wyszła na wolność. Za nią truchtał gadający pies.

Za ogrodzeniem rozciągało się gorące dno doliny porośnięte orlicami i kolczastymi krzewami równymi z nią wzrostem. Rozchylały się przed nią i kłaniały. Przeszła przez nie na bosaka, a one zrastały się za jej plecami, jakby w obronie. Słyszała kroki idącego Linga, psie łapy depczące pył. A w górze było niebo, niezmiennie, i chmury jak za czasów Buddy.

– Idziesz ze mną – powiedziała.

– Tak! To moja praca być przy tobie.

– Jak wrócimy do domu?

– Poprowadzisz, a ja będę szedł za tobą.

Przebiegła przed nimi jaszczurka, ukryła się w cieniu i zamarła, przyglądając się im nieufnie. Tylko jej gardło nadymało się i opadało.

– Co widzisz?

– Wiele korytarzy – odparł pies. – Nie ma sufitu.

– To się nazywa „niebo”.

Pies przystanął. Info pompowało go informacjami.

– Ach, tak! Teraz wiem, że to jest niebo.

Szli przed siebie. Nad ich głowami kołowały jastrzębie szukające polnych myszy.

– Chcę zapolować – powiedział Ling.

– Nie. Nie teraz. Teraz masz pracę.

Przed sobą mieli góry, niżej miękko zaokrąglone, dalej wznoszące się jedna za drugą i przechodzące w pasmo wzgórz, za którymi wyrastały ostre skały zwieńczone śniegiem. Mae miała coś w rodzaju planu: obejść miasto przez niezagospodarowaną część równiny.

W tej właśnie chwili przeciskali się przez żywopłot na wydeptaną ścieżkę prowadzącą do granicy wioski. Jej elegancki zielony meczet górował nad chatami z gliny, powietrze przesycił zapach kozła. Dwie kobiety ugniatały nawóz. Obróciły w ich stronę płaskie, brązowe twarze mieszkańek pustyni. Nie wierzyły

własnym oczom.

– Naga Chinka – mówili potem – z psem w metalowym kapeluszu.

Mae przecisnęła się przez kolejny żywopłot, za którym rozciągało się rżysko.

– Kiedy jemy? – spytał Ling.

– Nie wiem. – W głowie nagle się jej rozjaśniło. Zaczynała myśleć.

Jeśli Ling nie dostanie jeść, poczuje się niekochany – ostrzegł ją wewnętrzny komputer. Zacznie się niepokoić i nie będzie można na nim polegać.

– W domu czeka cię wielki soczysty stek i miska wody – obiecała.

Z wywieszonego jęzora Linga ślina ściekała jak woda.

– Brzmi dobrze – powiedział. – Umieć widzieć stek. Czuję jego zapach. – Komputer udzielał mu informacji.

– Dobry pies. Bardzo dobry. – Mae nagle zrobiło się go żal. Oszukano go, zniewolono. Mieli ze sobą coś wspólnego.

Miasto wylało się poza swoje stare granice. Mae zatrzymała się na poboczu drogi. Nie mogła zrobić nic innego niż iść przed siebie. Ulice były jasne, kręte. Przejeżdżały nimi samochody, w samochodach obracały się głowy. Jakaś kobieta krzyknęła do niej, żeby się okryła, pijaczka. Pies uniósł łeb i zawarczał, błysnęły białe kły w czarnym pysku.

Czego oni się tak przejmują, myślała Mae. Koszulę mam długą do kolan, a niektórzy z nas są tak biedni, że ciągle chodzą boso. Nastolatek ubrany w lśniący pikowany dres wyszedł z małej księgarenki i natychmiast się do niej cofnął, wołając przyjaciół. Mężczyzna, bezradny, bo unieruchomiony we fryzjerskim fotelu, tylko się na nią gapił z otwartymi ustami.

– Świat jest taki wielki – powiedział Ling.

Mężczyzna w starym, sztywnym ubraniu i czapce wieśniaka upuścił torbę z narzędziami.

– To wszystko są domy dla ludzi – wyjaśniła Mae.

– A gdzie się kończy świat?

Mężczyzna poszedł za nimi.

– Świat nie ma końca.

– Twój... twój pies mówi – zdumiał się mężczyzna.

Ling uznał to za komplement. Odwrócił się, żeby go obwąchać, twardego wieśniaka, Karza o twarzy wyglądającej tak, jakby ktoś spłaszczył ją uderzeniem deski; sztywna czarna broda i długi wąs wydawały się na niej jednym. Na widok psa cofnął się przestraszony.

– One tak mają, w Tlenie – tłumaczyła Mae. Nie chciała, by mężczyzna uznał Linga za jakiś niezwykły fenomen. – To tak, jakby miał radio w głowie i w gardle.

Mężczyzna kręcił głową. Na szeroki świat tylko machnął ręką.

– Naprawiam samochody – przedstawił się. Spojrzał na Linga. – Pies rozumie?

– Chciałbym – powiedział Ling.

Mężczyzna patrzył w wyraziste czarne psie ślepia z takim napięciem, jakby mógł w nie wpaść i zniknąć. Ale powiedział tylko „ech!”, jakby to było hasło, przez które zmiany na świecie stają się rzeczywiste. Podniósł torbę, a Ling natychmiast obwąchał ją z zainteresowaniem. Odszedł oszołomiony, drapiąc się po głowie.

Chłopcy przyglądali się tej scenie z progu księgarenki. Mae pomachała im i poszła dalej wspinając się stromo ulicą.

– Jak daleko do steku? – spytał Ling.

– Och, mój kochany, mój cudowny piesku! Daleko, ale po drodze będziemy rozmawiać.

– Jaki jest ten świat dla ciebie?

– W tej chwili jestem po narkotykach. Więc wszystko wydaje się bardzo dziwne. Takie dziwne, jak dla ciebie.

Podeszła do nich kobieta. Bez słowa wcisnęła Mae w ręce plastikowe sandały. Plastik był przezroczysty, wypełniony srebrzystymi płatkami odbijającymi promienie słońca. Mocno pomalowane oczy kobiety były pełne współczucia i oburzenia. Miała na sobie fioletową kurtkę, a na nogach robocze buty w zachodnim stylu.

– Jeśli wolno, doradziłabym bladofioletową chustę do kurtki w tak ostrym kolorze – powiedziała Mae i natychmiast przestrzegła

sama siebie: uważaj, twój mózg jeszcze nie pracuje właściwie.

Chociaż jej twarz się nie zmieniła, kobieta odeszła szybko.

Mae szła dalej w srebrzystych sandałach, aż dotarła do miejsca, w którym droga skręcała ku temu czemuś, co – jak wskazywały pewne znaki – może być domem. Obejrzała się na miasto z jego drzewami i światłami. Cienie zrobiły się nieco dłuższe. Równoważyły się ze słonecznym blaskiem w brudnym niebieskim powietrzu, chłodniejszym, żółtawym i ciemnoróżowym. Z tego światła wybiegał w górę meczet Wielkich Saudów zbudowany z matowych kryształów, z tańczącymi cytatami z Koranu chwytającymi słoneczne promienie i świecącymi ze swego wnętrza.

Długa, błyszcząca brązem limuzyna podjechała do niej powoli. Stanęła. Okno rozchyliło się jak ochronna błona na oku jaszczurki. Ukazała się w nim twarz pana Tuncha. Mae przeraziła się, choć ten śmiertelny strach nie był w stanie wydostać się na powierzchnię jej twarzy, nie opanował członków, nie zagnieździł się w żołądku.

Złapali mnie, pomyślała niemal obojętnie.

– Witaj, Mae – powiedział pan Brązowa Mądrość. Przez chwilę milczeli oboje, a potem pan Tunch otworzył drzwi od strony pasażera. – Pozwól, że odwiozę cię do domu.

Mae nie była w stanie się poruszyć. Jakaś jej część marzyła tylko o tym, by wybuchnąć płaczem. Oczy próbowały wylać łzy, lecz leki na to nie pozwalały.

Ling patrzył to na jedno, to na drugie, to na jedno, to na drugie.

– Mae – poprosił o wskazówki.

– Wsiadaj – powiedziała Mae tak cicho, że tylko pies mógł ją usłyszeć.

– Powiedział, że jedziemy do domu. – Pies wskoczył na tylne siedzenie. Ułożył się obok starej, najlepszej miejskiej sukienki Mae.

Pan Tunch przyjechał bez kierowcy.

– Mówiłem prawdę. – Przeciwsłoneczne okulary nie pozwalały odczytać wyrazu jego oczu. – Jest coś, co chciałem ci wyjaśnić.

I znów coś przeskoczyło w głowie Mae. Coś powiedziało jej, że

spacer to była dobra rzecz, osłabiło działanie leków, ale za chwilę koniec spaceru. Ta myśl oznaczała, że jeszcze nie wsiadła do samochodu.

– Nie bądź głupia, kobieto, nie jesteś dla mnie aż tak ważna, żebym miał cię zabijać.

Mae usiadła na przednim siedzeniu.

– Ja – zaskomlał Ling i ze stukiem pazurów przeniósł się na jej kolana. Z trudem łapał równowagę, przestępował z łapy na łapę.

– Uch! – jęknęła Mae.

– Przytrzymaj mnie – poprosił pies.

Mae uświadomiła sobie, że Ling się boi. I bardzo pragnie znaleźć się w świecie za oknem, świecie zapachów, jedynym, w który wierzył.

Objęła go, mógł usiąść wygodniej.

– Gotowi do drogi? – zapytał pan Tunch, jakby byli rodziną wybierającą się na piknik.

Samochód ruszył we właściwym kierunku.

– Co cię czeka w domu? – spytał pan Tunch.

Mae musiała zastanowić się nad odpowiedzią na to pytanie.

– Będę wyrzutkiem – odparła. – Niezdolnym do pomocy wiosce, bo nikt nie zechce mnie słuchać. – Znów ten trzask w głowie, myślenie stawało cię coraz łatwiejsze. Poczula, że jej ciało przenika chłodny powiew strachu.

– Nie będziesz brała leków? – spytał pan Tunch.

Potrząsnęła głową.

Musiał zmienić bieg. Spojrzał w lusterko, na przyszłość rozciągającą się za nimi.

– Prawdopodobnie jest to mądra decyzja. Daje szansę zachowania jasnej głowy. Ale kiedy pomyślicie to samo, ty i pani Tung, pani Tung będzie próbowała wydostać się na powierzchnię.

– Potrafię ją pokonać. Chyba że ktoś się wtrąci.

– Przepraszam – powiedział pan Tunch.

Mae mogła mu na to odpowiedzieć na wiele sposobów. Czy mówisz „przepraszam” żonom mężczyzn, których zabiłeś? Czy może tylko straszysz? Jak udaje ci się utrzymać wszystkie twoje

„ja” z dala od siebie? Mam nadzieję, że drobnego zabójcę separujesz skutecznie od człowieka, który musi rządzić.

Trzask w głowie.

Tymczasem Tunch mówił dalej:

– Jednym z efektów ubocznych będzie... uch... okres podwyższonej wrażliwości nasilającej się w miarę, jak środek przestaje działać. Nie powinnaś być sama.

Trzask.

– Znasz mój adres w Tlenie. To też będziesz nagrywał?

Trzask.

– I sprzedawał informacje za granicą. Czy może już ci zapłacili za wszystko, czego zdołasz się dowiedzieć?

– Stawka zależy od informacji – przyznał Tunch cicho.

– Ling – powiedziała Mae – on może próbować cię zabić. Za wielu ludzi cię widziało, piesku, a ciebie przecież w ogóle nie powinno być. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak – odparł mechaniczny głos bez krzty uczucia.

Mae przytuliła policzek do włochatego pyska i bezwłosego, wygolonego czoła.

– Tak strasznie mi przykro. Nie rozumiałam. Powinnam zostawić cię w ich kompleksie. Strzeż się go, Ling. On też ma swoich panów, tak jak ty. Musi być wobec nich lojalny albo nie je. Jesteście tacy sami, ty i on.

– Rozumiem – przytaknął Ling.

– Dobry piesek, Ling – powiedział Tunch. – Po prostu bądź dobrym pieskiem.

– Zawsze jestem dobry.

– Zmienisz Karzistan w śmietnisko świata – powiedziała Mae.

– Karzistan musi zarabiać na życie.

Jechali dalej, za oknami przemykały zamazane wysokie trawy. To, co najbliższe, pozostawało niewidzialne. Z powodu prędkości.

– Nie rozumiesz mnie, Mae – powiedział Tunch. – Polegam na lekach, przynajmniej częściowo, może pomogą ci zaakceptować, co słyszysz. Powiem ci, co mam do powiedzenia, starannie dobranymi słowami. Możliwie jak najbardziej precyzyjnie.

– Mów, słucham.

– Jestem bohaterem – stwierdził Tunch.

Ling wystawił nos za okno.

– Ten świat pachnie inaczej – oznajmił.

Słowa Tuncha nie wywarły na Mae szczególnego wrażenia.

– Czekam na precyzyjne wyjaśnienie znaczenia tego słowa – powiedziała tylko.

– Bohater myśli. Rozważa dobro i zło. Używa narzędzi zła i może nawet jest zły, lecz czyni to, by dokonać czegoś konstruktywnego. Ludzie potrzebują bohaterów. Tęsknią za bohaterami. To dlatego, że ludzie, którzy nie są bohaterami, uważają bohaterów za dobrych. A zło czynią ludzie pewni, że sami są dobrzy. Dobrzy ludzie szkodzą przez to, że są łagodni, więc nie powstrzymują zła. Dobrzy ludzie walczą w wojnach z miłości. Potrzebują bohaterów, żeby przerwali ten krąg. Żeby ich bronili i żeby budowali.

W głębi oczu Mae zatańczyły czarne cienie. Pani Tung próbowała zebrać myśli.

– To straszne, ale tylko tak idzie się przed siebie. Bohaterowie nie są tacy jak w opowieściach, kiedy wkładają maskę szlachetności. Wszyscy robią rzeczy straszne, piekielne. Robin Hood był złodziejem i mordercą, John Kennedy przeprowadzał inwazje i prowadził wojny. Tak jak Lawrence, który walczył dla Arabów jak wilk. Atatürk burzył meczety i zabijał duchownych. Cudowni, straszni ludzie są zarazem dobrzy i źli.

Środki medyczne każdemu przeszkadzałyby zebrać myśli.

– Próbujesz tłumaczyć, dlaczego nigdy nie zrobisz mi krzywdy – powiedziała Mae. – Teraz, kiedy już dowiedziałeś się tego, czego mogłeś się dowiedzieć, czyniąc mi krzywdę.

– Dokładnie tak. Jesteś zbyt wartościowa. Chcę, żebyś wróciła do swojej wioski, do domu. Wiesz dlaczego?

– Wiem – przyznała Mae pokornie. – Uważasz mnie za bohaterkę.

Tunch tylko uśmiechnął się, nieznacznie, lecz z satysfakcją.

– Jak rozerwałaś ogrodzenie?

Mae opowiedziała mu o tym. Zakończyła słowami:

– Tlen jest rzeczywisty, a my nie.



Pan Brązowa Mądrość skinął głową, jakby uzyskał potwierdzenie jakiegoś swego przypuszczenia.

Mae sama sobie powiedziała coś, czego nie powiedziała jemu. Że udało się im stworzyć sztuczną duszę. Ty i twój format chcecie sprzedać nam dusze, które wcześniej zabraliście. Ale niedługo dowiecie się, że zawsze je mieliśmy.

Jechali dalej, wprost w noc.

\*\*\*

Ling trzymał łeb za oknem. W połowie wzgórza spytał:

– Dlaczego są gwiazdy? Gwiazdy nie pachną.

– Pachną gorącem tak wielkim, że spala zdolność węchu – odparł Tunch.

– Zbliżamy się do nich? – Ling rozejrzał się dookoła.

– Jeszcze nie. Musimy poczekać. Parę ładnych lat.

Mae zrozumiała nagle, że Tunch zamierza stanąć na gwieździe. Choćby musiał czekać wiele lat.

– Chcesz wiedzieć, jak zaczął się wszechświat? – spytał psa.

– Och. Dobrze byłoby wiedzieć – ucieszył się pies.

– Co za straszna pycha! – zauważyła Mae. Tunch uśmiechnął się szeroko, sprawiła mu tymi słowami wielką przyjemność.

– Kiedy jest tylko pustka – zaczął – grawitacja nie przyciąga. – Jest odpychająca. Zapytaj, co znaczą te słowa.

Pies posłusznie skonsultował się z Tlenem, aż pot ściekał mu z wywieszonego jęzora. Już po chwili powiedział:

– Grawitacja ściąga wszystko razem. Dzięki niej mamy ciężar i zostajemy na ziemi. Gdyby nie ona, polecilibyśmy aż do gwiazd.

– Doskonale – ucieszył się Tunch.

– Więc nie spalę sobie nosa?

– Nie.

Pies dyszał, ale wydawało się także, że się uśmiecha.

– Nim cokolwiek zaistniało, grawitacja nie miała nic do roboty, mogła tylko odpychać. Więc odpychała, pustka rozszerzała się jak gumowa opaska, aż wreszcie pękła. Pękła wybuchem światła i ciepła. Tak powstała energia, a z energii różne rzeczy.

– Na razie wszystko rozumiem – pochwalił się pies.

- No więc kiedy było już coś, a nie nic, grawitacja zaczęła przyciągać. Łączyć. Wszechświat, eksplodując, przyciągnął i wykreślił różne rzeczy, nadając im kształt. Powstały chmury gazu, potem kule gazu, a potem gwiazdy.

- Więc grawitacja też jest bohaterem? - zaryzykował pies.

- Tak. - Tunch był bardzo zadowolony z siebie.

- A to czemu? - zdziwiła się Mae.

- Wiemy, że, matematycznie, musi istnieć jednaście wymiarów. Jak wysokość i szerokość, tylko tych innych wymiarów nie naruszył ten wybuch, na samym początku. Mają stałe ten sam rozmiar, spoczywają, zwinięte, w jądrze wszechświata. Tam, gdzie w zasadzie nic się nie zmienia. Pomyśl o punkcie dokładnie pośrodku koła. Koło się obraca, lecz ten punkt nie.

- Co to jest „koło”? - spytał Ling.

- Jedziemy na kołach. Sprawdź matematyczną definicję punktu.

- Tak jest, szefie.

- Wiemy, że w tych zwiniętych wymiarach matematyczne równania, opisujące elektromagnetyzm, opisują też grawitację. W beczczasowych królestwach za granicami naszego wszechświata są one jednym. A teraz, to pytanie, czym jest myśl?

Ling miał już gotową odpowiedź.

- Fenomen elektromagnetyczny. Różnica ładunków wywołuje reakcje chemiczne.

- Grawitacja jest jak myśl. Rządzi wszystkim w tym wszechświecie, ale nie jest z tego wszechświata. Nie ma fali grawitacyjnej, nie ma cząsteczek grawitacji. Istnieje poza czasem. Stwarza rzeczy, kocha rzeczy, rozrywa rzeczy.

Przez chwilę przemawiał tylko samochód, donośny łomot kół na nierównej drodze, szum silnika.

- Wiesz, co zamierzamy zrobić, Mae? Ludzie tacy jak ty i ja? - I znów ten oderwany od ciała uśmiech spływający spod okularów, podświetlony od dołu przez światelka na desce rozdzielczej. - Mamy zamiar udowodnić, że Bóg istnieje. I wysłać mu wiadomość.

Mae myślała:

Jestem uwięziona w samochodzie z szaleńcem, który

przypadkiem mówi prawdę. Jestem uwięziona w samochodzie z kimś aż tak oszalałym od przeceniania samego siebie, że nieuznającym faktu własnej śmiertelności. Ten człowiek myśli, że potrząśnie ręką Boga dzięki maszynom. A naprawdę obrzydliwe jest to, że może mu się udać.

Widziała już jasno, z czym ma do czynienia: z systemem tak żarłocznym, że gotowym pożreć wszystko. Cokolwiek zrobiła i powiedziała: kopnięcie pana Pakana, przyjaźń z Lingiem, kłótnie z nim lub zgadzanie się z jego twierdzeniami, wplatało się w szaleństwo Brązowego, żywiło je. Jedynym, co mogła zrobić, a co by mu nie było przydatne, było milczenie. Milczenie nie da mu pretekstu do wydobywania z niej dodatkowych informacji. Jeśli pomyśli, że może zyskać jeszcze jakieś Info, uwięzi ją na tak długo, aż dostanie, czego chce.

Mae udała, że zasypia.

\*\*\*

Samochód zatrzymał się z trzaskiem na luźnym żwirze. Mae rozejrzała się nieprzytomnie, mrugając zaspanymi oczami.

– Więc jesteśmy na miejscu – powiedziała. Pogłaskała Linga. – Traktuj go dobrze – zwróciła się do pana Tuncha. – Obiecałam mu stek.

Ling spojrzął jej w oczy.

– Chcę, żeby zdjęto mi z głowy to pudło – powiedział. – I chcę, żeby mi zabrano ten głos.

Mae spojrzała na Tuncha. Co teraz?

– Możemy to zrobić. – Tunch podrapał psa za uchem.

– Dziękuję, że przywiózł mnie pan do domu.

Wysiadła. Z zapachu luksusu, skóry i pasty polerskiej przeszła w świat zapachu rynsztoka, małej rzeczki i błota.

– Przyszłość będzie cudowna, wiesz? – Tunch podał jej dobrą sukienkę we wzór serc.

Mae uśmiechnęła się tylko i skinęła głową, najobojętniej, jak potrafiła.

– Pracuj dla tego celu. – Pan Brązowa Mądrość zamknął drzwiczki.

Mae odczekała, aż limuzyna zawróci. Ling wysuwał nos przez szczelinę w niedomkniętym oknie.

– Będę znowu psem – powiedział.

Samochód pojechał w dół zbocza, cichy jak szept. Mae zrobiła kilka kroków, nim poczuła, że nogi się pod nią uginają i drżą ze słabości.

Rozmawia z Bogiem. Szatan też.

Dopiero w połowie drogi do domu Kwan poczuła, że idzie boso. Jej srebrne sandały gdzieś znikły.

*E-mail od: panna Soo Ling*  
*15 września*

Oczywiście, że panią pamiętam, szanowna pani Chung. Zawsze bardzo ceniła sobie pani moją pracę i bardzo hojnie za nią płaciła. Dobrze jest wiedzieć, że ma się tak dobrych, oddanych przyjaciół tam, w domu. Praca w Balshang bardzo mi się podoba. Zajmuję się teraz także projektowaniem, ale krój i szycie pozostają moją sekretną bronią. Nikt nie wierzy, że potrafię, a kiedy pokazuję wykonaną pracę, oczy wychodzą im na wierzch.

Bardzo uprzejmie pyta pani o Bulenta. Z żalem muszę napisać, że nie jesteśmy już ze sobą, choć pozostajemy dobrymi przyjaciółmi. Udzielamy sobie rad, jak pracować z tymi wszystkimi Lisami i Wydrami, rozmawiamy o Green Valley i ludziach, których tam zostawiliśmy.

W sprawie pani uprzejmej oferty wykupienia materiałów pozostałych po moim warsztacie informuję, że zostały one złożone u mojej matki, pani Soo Tung. Napisałam do niej, by załatwiła wysyłkę przez pani bank.

Dziękuję także za fascynujący opis pani pracy w ramach inicjatywy „Rozpostrzeć Skrzydła”. Nie śledzę nowinek technicznych, więc otworzyła mi pani nowe okno na nowy świat. Proszę, pozostajemy w kontakcie. Czy wybiera się pani do Balshang?

*E-mail od: porucznik Chung Lung*  
*6 października*

Pani Chung Mae,

czy moja matka naprawdę używa e-maila? Tata powiedział, że pracujesz na sprzęcie Skrzydeł. Siostra też jest zachwycona. Armia daje nam przydział korespondencji osobistej. Zakładają, że większość z nas nie zna nikogo z adresem e-mail, do kogo mogłaby pisać. Proszę o informację, jeśli napisałem do nie tej pani Chung.

*Plik audio od: pani Chung Mae  
6 października*

Mój synu, nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jaką radość sprawiła mi wiadomość od ciebie. Zachowałeś niezwykłą dyskrecję w kwestii tego, co zaszło, nawet o tym nie wspomniałeś. Tym bardziej jestem szczęśliwa, że się ze mną skontaktowałeś, bo w wiosce nikt ze mną nie rozmawia, i to ja muszę mówić do ludzi, a to dlatego, Lung, że przyszłość nie nadchodzi. Nie, przyszłość już tu jest, ale nikt z Kizuldah nie jest na nią przygotowany. Ludzie zachowują się jak drżące myszki próbujące udawać, że nie istnieją ani jastrzębie, ani koty. Bardzo wiele się nauczyłam, synu. Wprowadziłam w wiosce Mapę Pytań. Najpierw chciałam się dowiedzieć, w co mieszkańcy wioski pragną się ubierać, ale zaczęłam też pytać o wrażenia z testu. I dowiedziałam się, że ich zdaniem Tlen będzie czymś w rodzaju telewizji! Nie chcę zrozumieć, że będą go mieli w głowie i że odmieni im głowy. Myślą, że to tylko futbol i gry. Boją się tego, co nadchodzi, a więc boją się stawić czoła temu wszystkiemu, czego będą musieli się nauczyć. Próbowałam ich uczyć, Lung, założyłam szkołę, przez pewien czas przychodzili, a potem, żeby mi przeszkodzić, Shen powiedział twojemu ojcu, co robiłam, i to był koniec. Och, Lung, tak bardzo mi ciebie żal. Domyślałam się, jak strasznie musiało zamieszać ci w głowie to, co się zdarzyło. Zakochałam się, wielkie głupstwo u starszej kobiety, ale proszę ciebie, ciągle młodego, chętnego, by chwytać życie, byś postarał się zrozumieć, że gdy jesteś w latach, zdarza ci się pojąć nagle, co

straciłeś i co albo weźmiesz sobie teraz, albo nie weźmiesz już nigdy. Mówię o miłości, Lung. Wiem, jak bardzo szanujesz ojca i jak bardzo cenisz dobre zachowanie, jesteś przecież oficerem w armii Prezydenta. Zachowałam się bardzo źle. Jestem kobietą upadłą. Doskonale wiesz, co to znaczy w takiej małej wiosce. Jeśli czujesz się zażenowany, daj mi znać, a już nigdy nie odezwę się do ciebie w ten sposób. Muszę kończyć. A, jeszcze jedno, mam biznes na Sieci, zajrzyj [www.native/fashion/wing.html](http://www.native/fashion/wing.html). Przekaż swojej siostrze, że ją kocham.

### OKO PATRZĄCEGO

Na całym świecie nie ma niczego piękniejszego niż autentyczne dzieło ludowej kultury połączone z prostą elegancją. U nas zobaczycie piękny ludowy haft opracowany na sposób współczesny. Proszę wybrać artykuł szczególnie się podobający, by zobaczyć, jak jest on wykonywany przez ludową artystkę, jedną ze współtwórczyń tej wspaniałej kolekcji.

Jednakże istniejące piękno zostanie stworzone na pięknych oczach patrzącego, bo przecież każdy z całą pewnością chciałby zobaczyć, co jest w stanie stworzyć ten zapomniany kawałek świata.

### NOWI PRZYJACIELE W NOWYCH MIEJSCACH

Jeśli kiedyś już nas odwiedziliście, wiedzcie, że możecie teraz obejrzeć nowe artykuły, które zapewne specjalnie was zainteresują. Proszę o pozostawienie Wizytówki, byśmy mogli zostać przyjaciółmi. Powiedz też nam, co myślisz, to dla nas ważne, bo jesteśmy tylko nieuczonymi wieśniakami z gór marzącymi, byś się z nami skontaktował.

### NASZA MODA ROZPOSTARŁA SKRZYDŁA

Komplet „Rozpostrzeć Skrzydła” w kremowym odcieniu ozdobiony został haftowanymi wstawkami. Nie są one dziełem projektanta. Starożytny wzór „Jaskółki” oznacza szczęście w małżeństwie. Czyni to z niego doskonały strój ślubny lub prezent

dla pełnej nadziei, szczęśliwej panny młodej. Komplet zaprojektowała artystka naszego ludu Shen Suloi, uśmiechająca się szczęśliwie.

### JESTEM RADOSNA, STRÓJ ROBOCZY

Oto w pełni zgodna z miejscową tradycją kurtka z kapturem noszona do pracy w polu, w pełnym słońcu, lub chroniąca przed deszczem. Nie oznacza braku akceptacji czy urazy. Każdy sam wybiera, kim chce być w życiu, byłoby więc głupotą żywić urazę, bo trzeba pracować. Tego rodzaju ubiór jest manifestacją odwagi człowieka stawiającego czoło realiom życia.

Noszona przez Sezen Ozdemir, nie pochodząca z naszego ludu. To dobra dziewczyna, ale bywa też, czasami, odrobinę szalona. Kupcie kurtkę, a ona oszczędzi te pieniądze na motocykl.

### NIEZWYKŁA SUKNIA „SŁUCHAJ BOGA”

Niech ten specjalny wzór przemawia ci w sekrecie do serca, w wyjątkowe dni. Oto niezwykła kreacja na wielką okazję, powiedzmy ślub syna czy bal promocyjny córki. Zadaniem wstawki jest powiedzieć bogom, że ich słuchasz. Człowiek nie potrafi pojąć woli bogów. Wystarczy, byśmy ich słuchali. Jest to więc najszlachetniejszy wzór.

Suknię tę nosi – i przygotowała wszystkie wstawki – Wing Kwan, żona właściciela czterech farm.

Ludzie z tego narodu mają wielu bogów, zgodnie z tradycją szamanizmu. Chińczycy w Karzistanie są buddystami, a Karzowie czystej krwi najczęściej mahometanami. We wsi mieszka także rodzina chrześcijańska. Wszyscy są tu mile widziani.

### ZOBACZ NASZ DOM: WIOSKA KIZULDAH

Weszliśmy z kamerą na dach, by móc pokazać ci rodzinną wioskę i pola ryżowe. Mamy szczęście mieszkać wśród takiego piękna! A piękno to jest tym większe, im więcej ludzi je ogląda.

Na tych terasowych polach sadzimy ryż. Mają one dwa tysiące lat.



OTO MY

Modelki stoją przed maszyną pana Winga, na podwórku jego domu. Pan Wing jest właścicielem czterech farm. Wideo na tym screenie ukazuje nas i dom, w którym prowadzimy interesy. Pracujemy w stodole, wszystkie dziewczęta razem. Jesteśmy bardzo szczęśliwe. Widać nas wszystkie, nawet mnie.

To ja jestem ta zła pani Chung Mae. W naszej wiosce nie cieszę się popularnością. Staram się mówić naszym ludziom o przyszłości. Jestem także kobietą upadłą, lecz przyjaciele mi to wybaczyli. Nazywają mnie Panią Sową, w którym to mianie nie ma krzty szacunku.

*E-mail od porucznika Chung Lunga  
8 października*

Dziękuję za tak długi list. Zamierzałem odpowiedzieć kilkoma zdaniami, ale zaraz zrozumiałem, że uznałybyś wtedy, że się na ciebie gniewam.

Czuję wiele i trudno mi to ubrać w słowa. Dobrze znam ojca i bardzo go cenię, ale jest człowiekiem, ma swoje słabe strony. Nie staję po żadnej stronie. Żałuję, że oboje nie zachowaliście się właściwie i że nie zostaliście ze sobą. Uważam tę miłość za nieszczęście, ale trudno winić o coś ofiarę powodzi. Widzę cię samotną, niemającą już żadnej pozycji, mieszkającą u Kwan na strychu, i bardzo mi ciebie żal. A potem oglądam twe screeny i czuję, że jesteś także, na swój sposób, szczęśliwa, więc muszę zadać sobie pytanie: „Co się stało z moją matką? Jak to możliwe, że czyni takie rzeczy?”.

Pokazałem je kilku przyjacielom, oficerom. Byli pod wielkim wrażeniem. Ich żony uznały kreacje za imponujące i wyglądające bardzo nowocześnie. Przynajmniej niektóre, bo inne uznały, że Karzistan jest nierozwinięty i niecywilizowany. Wydawało mi się, że mówiły to te inteligentniejsze panie, ale nie, bo to było tak, jak

z Amerykanami opowiadającymi o ich indiańskim dziedzictwie. Jedna kobieta powiedziała, że wiesz, że coś kochasz, kiedy to coś pokonałaś i wydorosłałaś. Dla nich nasza wiejska spuścizna to coś, co trzeba przewyciężyć. Czy stroje dobrze się sprzedają?

*Plik audio od panny Soo Ling*  
*10 października*

Szanowna pani Chung,  
przyznaję chętnie, że pani screeny mnie oczarowały zarówno zawartością, jak i pomysłowością w zakresie mody. Są takie oryginalne, doskonale trafiły w swój czas. Gratulacje. Z radością zobaczyłam, że mój kremowy materiał został użyty w tak dobrym celu.

Ma pani rację, Koniarze podnoszą pozycję, ale za opłatą. Nasz dom mody pracuje wyłącznie przez sroki. Szukają okazji do zrobienia interesu, tworzą listy ludzi o szczególnych zainteresowaniach. Rachunki wystawiają dystrybutorom, nie pani. Załączam listę doskonałych srok z nadzieją, że okaże się pomocna.

Wszystko dla dobrej przyjaciółki z dawnych lat.

*Videomail od: bugs@nouvelles*  
*27 października*

Hej. Ludzie mówią mi Bugsy, kieruję srokami modowymi Nouvelles dla Media, Inc i chcę ci tylko powiedzieć, że kocham twoje screeny, kocham to, co sprzedajesz, i sądzę, że są to rzeczy akurat w gustach ludzi, z którymi zbudowaliśmy relacje, więc z największą przyjemnością sprzedamy informacje o tobie do sklepów tu, w Stanach, no i poinformujemy o tobie nasze sroki. Znam swoich klientów, doskonale wiem, że zakochają się w tobie jak ja. Chcę też, żebyś wiedziała, że kupiłam sobie jedną z tych

twoich specjalnych kreacji „Słuchając bogów”. Uwierz mi, potrzebuję odrobiny odnowy duchowej tutaj, w samym centrum Nowego Jorku.

Twoja  
Bugsy (Adele) Harris  
Wydawca, Nouvelles Sroki.

*Plik audio od: pani Chung Mae*  
*28 października*

Droga szanowna Bugsy Nouvelles, nasze serca śpiewają po tak serdecznej wiadomości. Związek z prestiżową firmą cieszy nas niczym ślub w rodzinie, gdyż jak wszystkie małżeństwa przyniesie zarówno miłość, jak i pieniądze. A panie w średnim wieku tu, w Karzistanie, bardzo potrzebują jednego i drugiego. Uprzejmie proszę o przysłanie nam informacji o warunkach współpracy. Z ukłonami i błogosławieństwem.

*Videomail od: bugs@nouvelles*  
*2 listopada*

Hej! Nie ma żadnych warunków, to znaczy jest jeden. Informuj nas, kiedy skontaktuje się z tobą jakiś sklep, a im mów, że ma nawiązywać kontakty przez nas. Obciążymy go znaleźnym i pobierzemy część od sprzedaży dla naszych ludzi. Możesz wierzyć albo nie, ale zaczęliśmy od tego, że nasz software wyszukujący znajdował ludziom programy telewizyjne, które chcieli oglądać. Wyrośliśmy na tym, więc zaczęliśmy prowadzić różne telewizyjne grupy zainteresowań, w tym modą. Potem zrozumieliśmy, że dzięki naszemu oprogramowaniu możemy znaleźć wszystko, nie tylko w telewizji. Wpadliśmy na pomysł, by sprzedawać informacje sprzedawcom, a potem informować nasze grupy, gdzie co można kupić i jak. Więc ty nie płacisz nam nic.

*Plik audio od: Chung Mae*  
*4 listopada*

Lung, proszę, powiedz oficerskim żonom, że Nouvelles Sroki wymieniają nas jako ważne źródło modowe. Powiedz im, że głośno mówi się o nas w nowojorskim świecie mody. Powiedz im, że to one są „nierozwinięte”, bo nie wiedzą, że i dla nich nadeszła przyszłość, i to doprawdy wstyd nic a nic w związku z tym nie robić. Dołączyłam do tego nagrania nasze numery i adresy Ash Sess, z których łatwo odczytasz, jak wielki odniosłyśmy sukces. Pokaż je oficerskim żonom. Powiedz im, że skromna dzika dziewczyna Sezen nauczyła się instruować komputer, jak ma pisać specjalne wiadomości dla każdego z naszych klientów osobno.

Dziękuję ci za twe bardzo uprzejme słowa. Przed paroma tygodniami twoja siostra przysłała mi bardzo uprzejmą kartkę z mnóstwem informacji.

*Plik audio od: porucznik Chung Lung*  
*4 listopada*

Rozgniewałem cię? Chciałem tylko powiedzieć, że jestem dumny z twojej witalności i że wybaczam ci, co zrobiłaś.

*Videomail od: bugs@nouvelles*  
*10 listopada*

Hej. Chcę tylko powiedzieć, że na naszej grupie newsowej mamy mnóstwo komentarzy o was, dziewczyny. Czy pozwolicie mi na kilka sugestii? Umieśćcie na każdym screenie informację, kim jesteście, i adres. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale wiele osób nadal drukuje screeny. Zazwyczaj dają je innym ludziom, a jeśli adres się nie pokazuje, to oni już was nie znajdują. Po drugie, ludzie was kochają. Chcą wiedzieć więcej o tym, jak mieszkacie,

jak wam się układa życie. Naprawdę! Więc więcej gorących ploteczek proszę. I wybaczcie nam naszą ignorancję, lecz ludzie tu nie wiedzą nic a nic o Karzistanie. Wasz prezydent wygląda na cudownego mężczyznę, tylko że wszyscy mamy swoich prezydentów. Stąd prośba o linki do innych stron o Karzistanie, to bardzo by się przydało. I ostatnia sprawa: macie jakąś muzykę, którą mogłybyście wrzucić na stronę? Tutejszy ruch Kolaboracjonistów rozpaczliwie szuka nowych dźwięków, którymi mógłby się podzielić i na których by budował, a coś z dachu świata (czy wy dziewczyny jesteście w Tybecie?) natychmiast stałoby się bardzo popularne. No i pamiętajcie, kochamy was, więc przysyłajcie nam nowości.

*Videomail od: pani Chung Mae*  
*15 listopada*

Droga szanowna Bugsy, bardzo to dziwne, bo ja mówię w moim Karz, usta robią jedno, a głos wychodzi po angielsku, robię to po raz pierwszy, bo okazja jest wyjątkowa. Mamy umowę z wielkim nowojorskim sklepem, a oni utrzymują, że Nouvelles doprowadza ludzi do szaleństwa screenami „Oka patrzącego”. Gra to na naszych sercach jak na harfie. Jesteście dla nas jak rodzina, tak czujemy, i pani Wing Kwan chce wam dać specjalny prezent. Tutejsze kobiety tworzą Kręgi przyjaciółek. Kobiety w Kręgu razem pracują. Przędą, myją, łuskają orzechy, sortują fasolę, ubijają twardą baraninę, szyją... robią razem wszystko z wyjątkiem sprzątania mieszkań. A przy tym śpiewają, opowiadają sobie różne historie i palą fajki. Każda kobieta nosi kołnierzyk Kręgu haftowany przez nie wszystkie. To taki drobny znak przyjaźni. Czy czytelniczki Nouvelles zechciałyby zostać naszymi przyjaciółkami, dołączyć do Kręgu i otrzymać kołnierzyki? Obiecujemy specjalną niską cenę, tyle, co pokrycie kosztów. Dostępne tylko dla przyjaciółek Nouvelles przez duży nowojorski sklep. Aha, załączamy plik z naszymi statystykami

dostępu pokazujący, jakie potężne są Nouvelles w zakresie zawierania nowych przyjaźni w wielu krajach.

I ostatnia prośba: czy możesz mi wysłać posiadane przez was informacje o Tlenie i różnicach między Formatami?

*Plik audio od: bugs@nouvelles*

*16 listopada*

Mae, skarbie, to doprowadzi je do szaleństwa! Sprawa będzie załatwiona natychmiast, ale potrzebuję zdjęć projektu. Muszę powiedzieć, że mimo, iż ruchy warg nie pasują do wypowiedzanych słów, wyglądasz i brzmisz wspaniale. Powinnaś częściej pojawiać się w telewizji. Ale hej, gdzie moje newsy ze screenów z Kizuldah? Jak mówiłam: plotki, dziewczyny, plotki się liczą. Ale hej, ja mówię do ciebie po angielsku, w jakim języku mnie słyszysz?

#### POP KAWAŁKI WRZĄCEJ SEZEN

Witajcie, młodzi ludzie, tu Sezen z włosami w oczach, nieznosząca nikogo oprócz cioteczki Mae. Może i nie wyprawiamy party na sześćdziesiąte urodziny Madonny, ale tu, w Karzistanie, żyjemy muzyką, wspaniałą mieszkanką starego i nowego. Mamy Arabesque, mamy Lectro, mamy tradycyjną, mnóstwo różnej muzyki i tu możecie posłuchać, jak brzmi. I użyć w Collabie tego, co usłyszycie.

#### PŁAĆCIE

Możecie słuchać, ale nie zatrzymujcie sobie muzyki, chyba że za nią zapłacicie. Nasi muzycy to biedni ludzie, rozumiecie? Więc zróbcie, co w waszej mocy, żeby nam coś wysłać. Głodujemy tu, my, ludzie z gór. No dobrze, może nie dosłownie głodujemy, ale moja matka trzyma kolby kukurydzy w naszym pokoju reprezentacyjnym, a sąsiedzi mają świnię w kuchni. Bardzo złą świnię. Więc nie kradnijcie muzyki biednych ludzi, bo nazwę was plackiem gówna.

Ten hałas zrobiła cioteczka Mae. Zakazała mi zachowywać się niegrzecznie. A w ogóle to i tak za dużo mówię. No to macie moje „Top Pop”.

#### „BALSHANG”, CHEN TUI

Zaczynam od tego, co lubię najbardziej. Tui jest Chinką. Sama pisze to, co śpiewa. Gra na karzyjskim flecie i skrzypcach, kiedyś tańczyła Lectro, ale to pochodzi jednocześnie z rzeczywistości i z Tlenu. I jest piękne. Opowiada o dziewczynie zakochującej się i w zonatym mężczyźnie, i w jego mieście. Więc opowiada jednocześnie o mieście i mężczyźnie, używając dokładnie takich samych słów. Mówią, że w Tlenie jest wersja ze zdjęciami i wspomnieniami. Chcę zobaczyć, jak wygląda jej piękny konkurent!

#### „KISH NASHALI”, ERCHAN PEKER

Jak to się dzieje, że głupcy robią taką piękną muzykę? Ten facet myśli, że jest piękny, więc pokazuje swą twarz wszędzie i na wszystkim. Owszem, przystojniak z niego, ale to powinniśmy przecież odkryć same dla siebie. Ta piosenka to żart na temat szkoły, słowa są naprawdę dobre, sam je napisał, ale jest Wydrą Balshangu, a to oznacza kogoś małego, gładkiego i bezwzględного. Wsłuchajcie się w rytm i to, jak skacze jego głos. To Karz czystej krwi. On jest Karzem czystej krwi.

#### „KLASIKLERI”, MUSY

Taki jesteście bystry? Te słowa przyszły do nas z Europy, z waszego świata, wypowiedzcie je i będziecie od razu wiedzieć, co znaczą. To nowa piosenka, ale grana w całkowicie tradycyjny sposób. Opowiada o wszystkich klasycznych rzeczach, który odchodzą, o odchodzącym Karzu i odchodzącym nim samym, Musie, od siebie dodam, że im szybciej, tym lepiej. Wygląda, jak wszyscy w Karz chcieliby wyglądać: wielki, gruby, włochaty, wiecznie najeżony. Wszyscy mówią, że jest bardzo przystojny, on sam sądzi jednak, że jest stary i brzydki, poza tym mówi różne brzydkie rzeczy o nowej muzyce. A jednak wszyscy go kochają i ja

też, na swój sposób, niczym dobrego ojca. Inna jego piosenka nazywa się „Yourgun” co oznacza „Zmęczony”, bardzo odpowiedni tytuł.

„MUT”, YULDUZ

„Mut” oznacza „Przeznaczenie”, a nazwisko piosenkarki „Gwiazda”, z czego wynika, że ma ona o sobie bardzo wysokie mniemanie. Kiedyś śpiewała z Chen Tui, chciałaby być Chen Tui, ale Chen miesza tradycje chińskie, Karz i nowojorski Tlen, a Yulduz to tylko taki sobie Lis Balshangu. Większość tego, co robi, nie wychodzi najlepiej, ale ten utwór jest naprawdę dobry, prawie tak dobry jak Chen, którą tak pracowicie naśladuje. Mówi o naszym kraju, o tym, jak potrafi wszystko w sobie zmieszać i że dziś jest zgubiony, ale kiedyś się odnajdzie.

„HARPA HATAMAHLARI”, BULENT DO-UDAN

Wojenne wspomnienia. Oto historia naszego kraju w latach 80. XX w., kiedy toczyliśmy straszną wojnę. Zamordowano wówczas ojca cioteczki Mae i teraz ona wybiega z pokoju, kiedy tylko usłyszysz piosenkę szorstką, dostojną, groźnie brzmiącą.

A teraz popatrzcie na zdjęcie, jedyne na tej stronie. Czyż piosenkarka nie jest piękna, z jej makijażem, lakierowanymi włosami, szminką...? Lśni jak maska nowiutkiego samochodu. Usłyszycie głos i doznacie szoku, ta osoba bowiem wyglądała kiedyś jak Musa. Ale pewnego dnia Belent zmieniła się na taką, jaką ją widzicie. Bez żadnego wyjaśnienia, tylko głos został ten sam. Nie zmieniło się też imię, nie było powodu. Czyż nasz kraj nie jest dziwnym krajem?

DO WIDZENIA I NIE ZAPOMNIJCIE ZAPŁACIĆ

No więc poznaliście już trochę naszą muzykę. Nie mamy wielu książek, a w telewizji tylko filmy karate. Muzyka jest naszym ciałem i duszą. I mózg też mamy z muzyki, takie małe taśmy. Igrają nam w głowach jak jaskółki nawet tutaj, w takiej dziurze jak Kizuldah.



*Plik audio od: bugs@nouvelles*  
*18 listopada*

Pomyślałam, że sprawi wam to przyjemność: istnieje już Collab, mózg dzielony, nazwany Skrzynką Sezen. Nie znajdziesz w Nowym Jorku klubu, który by nie grał muzyki Karz. Twoja mała dziewczynka jest trendsetterką modową. A teraz uważaj. Dostałam ofertę kołnierzyka wprost do domu. I jeszcze raz dzięki za to, że powiedziałaś nam o tym sklepie. W załączniku znajdziesz artykuł o różnicy między Formatami i kto za nimi stoi. Zaciekawi cię pewnie, jak gwałtownie walczą z tym kablówki. To mój stary przemysł!

*E-mail od: porucznik Chung Lung*  
*20 listopada*

Boli mnie, że tak do ciebie piszę, ale nie mam wyboru. Muszę ci zwrócić uwagę, że wszystko, co umieszczasz w swojej maszynie, jest otwarte dla świata. Sezen Ozdemir przypomina zabójstwo mojego dziadka. Są tu ludzie, którzy błędnie uważają tę witrynę za wsteczną, promującą mniejszościowy nacjonalizm.

Szczerze ci radzę: więcej ostrożności. Nie bądź aż tak niegrzeczną kobietą.

*Plik dźwiękowy od: Chung Mae*  
*20 listopada*

Synu, boli mnie, że tak do ciebie piszę, ale naprawdę nie jestem tu odcięta od świata, jak odcina się nic. To i owo do mnie dociera. Ożeniłeś się i nie zaprosiłeś mnie na ślub, nawet mi o nim nie powiedziałeś. Potrafiłabym zrozumieć, dlaczego nie chcesz widzieć swej matki nawet z tej okazji i że zaprosisz wyłącznie ojca. Gdybyś tylko wyjaśnił, to jestem wystarczająco dorosła, żeby zrozumieć. Ale ty wolałeś nic mi nie powiedzieć. Ja jestem

otwarta przed światem, ty zamykasz się nawet przed rodziną. Czy na tym polega różnica między dobrym zachowaniem i dzikim zachowaniem? Idź się pieprzyć... czy teraz jestem dla ciebie wystarczająco „niegrzeczną” kobietą? A przy okazji: cała moja poczta jest prywatna, czyżbyś czytał ją na armijnych dekoderach? No przyznaj się, na dodatek do wszystkiego jesteś także szpiegiem? Powiedz swoim wojskowym przyjaciołom, że czeka ich świat, którego nie da się kontrolować, i że cieszę się, że oni wszyscy mocno śpią.

*Plik dźwiękowy od: pani Chung Mae  
28 listopada*

Bugsy, tylko ty możesz nam pomóc. Bugsy, mamy przeszło pięćset zamówień na kołnierzyki. Nasze hafty wszystkie są specjalne, nie zrobimy pięciuset kołnierzyków, nie po obniżonej cenie. Okazałyśmy się wyjątkowo głupie, nie pomyślałyśmy o tym, przepraszamy pokornie za trudności, które mają przez nas dobrzy przyjaciele rodziny. Nie chcemy produkować ludowych wzorów maszynowo, to nie jest w naszym stylu, nie po to zaczynałyśmy ten biznes. Co możemy zrobić? I dlaczego właściwie nosisz imię Bugsy?

*Plik dźwiękowy od: bugs@nouvelles  
28 listopada*

Najpierw to, co najważniejsze. Bugsy to imię gangstera, a ludzie nazywają mnie nim dla żartu. Twierdzą, że przypominam im tego gangstera. Po drugie, załączam info o maszynie, która haftuje na zamówienie. Tak, to maszyna, ale posłuchaj: podajesz jej dane identyfikacyjne gości, a ona wpisze w kołnierzyk ich imię i wiadomość. Nie jest to produkcja ręczna, ale z pewnością jest specjalna, a projekt potwierdzi, że chodzi o Krąg Przyjaciółek.

A teraz chwila o dystrybucji. Rozmawiałam ze sklepem i hej, słuchaj, niech żyją zmiany! Nouvelles jest teraz centrum

dystrybucyjnym. Wysyłasz kołnierzyki raz, do nas, a my rozsyłamy je dalej. Ale... ale potrzebujemy własnego konsumenckiego kodu kreskowego na każdym, z informacjami do odczytania celem wysyłki. W załączeniu plik naszych konsumentów z danymi kodu kreskowego. Jeśli zdecydujesz się na maszynę, o której ci wspominałam, to wplecie ona kod kreskowy z tyłu kołnierza, czyli dokładnie tam, gdzie go potrzebujemy. A teraz posłuchaj jeszcze uważniej. Jeśli zdecydujesz się na maszynę, to jest ona taka mądra, że będzie ci robić indywidualne rzeczy dla indywidualnych klientów! Dostosowywać się! Niech żyją zmiany! Działasz w biznesie, nie w muzeum. Nie usprawiedliwiasz się, bo nie wszystko robisz ręcznie. Kocham nowe screeny.

*Plik dźwiękowy od: Chung Mae*  
*29 listopada*

Szanowna Bugsy, nie będę cię okłamywać, potrzebuję przyjaciółki. Kwan była dla mnie lepsza, niż mogłaby być matka, ale nawet matka ma prawo się zmęczyć. Prowadzę biznes w jej stodole. Pozwala mi mieszkać u siebie. Są w wiosce ludzie pragnący powstrzymać przyszłość, a więc powstrzymać mnie. I raz powstrzymali, używając prawdy. Powiedzieli mojemu mężowi, że kocham innego mężczyznę. Tak było. W ten sposób stałam się kobietą upadłą. Rozmawiają ze mną tylko nieliczne kobiety z mojego plemienia. One też cierpią, zwłaszcza dzielna Shen Suloi. To jej mąż próbował nas powstrzymać, to on powiedział o mnie mężowi. Pani Shen jest Eloi i jest wobec mnie lojalna, ponieważ pokazałam światu tradycje jej ludu. Wierz, że duch jej ludu rośnie na świecie, dzięki mnie. Jej mąż to Chińczyk. Nie rozumie.

Wielu mężów uważa, że to coś, składające się z samych kobiet, jest co najmniej dziwne. Więc wraz z Shen Suloi pracuję i śmieję się, pomagamy sobie nawzajem i są rzeczy, których sobie nie powiemy. My wszyscy, mieszkańcy tej wioski, pochowaliśmy

nasze uczucia w małych pudełkach, inaczej już zaczęlibyśmy się zabijać. Kwan mówi, że powinnam wychodzić na ulice, ale ja nie mam serca. Ludzie traktują mnie, jakbym była duchem. Próbuja przejść przeze mnie na wylot, a ja przecież tylko pragnę im pomóc. Zrobili się tak strasznie podejrzliwi, że boją się nawet tego, że ktoś zobaczy mnie w ich towarzystwie. Więc siedzę w ukryciu i mówię do maszyny. Omal nie zagubiłam się w maszynie, spędzam z nią cały czas.

Próbuję dowiedzieć się czegoś o Formacie Gatesa. I o Tlenie, nim Tlen mnie zabije. Teraz rozumiem, dlaczego wypróbowany został Format ONZ, ale też zgadzam się z tymi, którzy chcą dalszych prac nad Gatesem. ONZ imituje maszynę, Gates otwiera jak nasze własne głowy. Mam także osobisty powód, by nienawidzić Formatu ONZ, ale nie chcę cię obciążać opowieścią na ten temat. W każdym razie jestem jego zdeklarowaną przeciwniczką. Czy możesz mi pomóc w ten sposób: powiedzieć swoim potężnym przyjaciółom, że ci, którzy zależą od nich jak dzieci, powinni przynajmniej móc powiedzieć, co chcą, żeby zrobiono z ich głowami? W Kizuldah Test zabił ludzi. Proszę, przemów do nich, niech zrozumieją, że jesteśmy prawdziwi. Że tu mieszkamy. Boimy się, jesteśmy ignorantami, próbujemy nadażyć. Mam nadzieję, że mimo, iż wylałam przed tobą swe żale, nie stracę przyjaciółki.

*Plik audio od: bugs@nouvelles*

*30 października*

Ilekoć dostaję od ciebie wiadomość, muszę się zastanowić, co zrobiliśmy temu światu. Trzy miliardy nas żyją w świątku światła, kamer, akcji, pozostałe cztery miliardy nie mogą doprosić się czystej wody, by już nie wspomnieć o czystym łączu. Przychodzą chwile, kiedy czuję, że muszę, po prostu muszę, napisać artykuł: „Historia Mae”. Ale myślę sobie, że byłoby to świństwo, proste świństwo, zrobić z przyjaciółki materiał. Wiesz, Mae, nieustannie wyprowadzasz mnie z równowagi, przez ciebie

chcę krzyczeć do ludzi: „Rozejrzyjcie się dookoła, zobaczcie, o czym zapomnieliście”. Tylko że to, co chciałbym im pokazać, jest za duże. Ja tego nie dokonam, tylko ty byś mogła. Tylko ty mogłabyś im wszystko powiedzieć. Może proszę o zbyt wiele, ale... czy nie przygotowałabyś czegoś o swoim życiu? I oddała do srokowania mnie?

*Plik audio od: pani Chung Mae*  
*1 grudnia*

Posłuchaj, zachodnia kobieto, wymalowana i w klejnotach, przetrwaliśmy Japończyków, przynajmniej wyglądających jak ludzie. Przetrwaliśmy wojnę wyzwoleńczą, obcinającą głowy naszych mężczyzn i układającą je rzędem wzdłuż drogi. Przetrwaliśmy rodzenie dzieci, zarazy, ból stawów, robaki, głód, zimowe wiatry, susze, Czerwoną Gwardię pożerającą wszystko, partyzantów każących nam płacić podatki, przetrwaliśmy nawet rząd. Jedliśmy zgniłe sadzonki ryżu, gotowaliśmy trawę, sami sobie wyjmowaliśmy zęby z dziąseł, sami sobie szyliśmy rany. Czy naprawdę sądzicie, że zdołacie nas zgładzić waszymi światłami kamera start, waszymi przedstawieniami i waszymi kablami? Nas, zakorzenionych głęboko w ziemi jak drzewa? Waszym zdaniem kto jest silniejszy? Kogo za sto lat nie będzie, was czy nas? Mam nadzieję, że jesteście jak zwykłe myszy i szczury, wy wszyscy.

*Plik audio od: pani Chung Mae*  
*1 grudnia*

Bugsy, ta ostatnia wiadomość nie pochodziła ode mnie. Wysłuchałam ją w przerażeniu. Widzę teraz, że muszę jednak wszystko wytłumaczyć. Mówiłam ci, że Test Tlenu zabijał. Test Tlenu zabił moją sąsiadkę, panią Tung mającą dziewięćdziesiąt lat. Widywałam się z nią codziennie i kochałam ją, kobietę słodką, łagodną, moją nauczycielkę od najmłodszych lat. Zawsze

traktowała mnie wyjątkowo, bo kochała ładne rzeczy, a ja potrafiłam czynić rzeczy ładnymi. Rozmawiałyśmy codziennie, jakby miała dobrego anioła za matkę. Kiedy przyszedł Test, była akurat u mnie. Wszyscy wpadliśmy w panikę, wszyscy strasznie się baliśmy, ten wstrząs zabił moją kochaną starą panią Tung, a ja wzywałam ją, wzywałam ją, wzywałam tak gorączkowo, i poczta umieściła mnie w niej, z nią umarłam, a kiedy oprzytomniałam, była już we mnie. Skopiowała się. Najpierw było tak, jakby w duszy zagnieździł ci się ktoś, kto ci dobrze życzy. Ale to nie jest przecież dobre, a ona skwaśniała jak kozie mleko. Zaczęła nienawidzić. Chce osobnego życia. Przeprowadzono na mnie badania. Powiedziano mi, że coś takiego nie mogłoby się zdarzyć, gdyby Tlen docierał przez otwartego Gatesa, dlatego nienawidzę Formatu ONZ, dlatego go badam, żeby znaleźć sposób na uleczenie tego, co się stało. Zmienił moją ukochaną przyjaciółkę w potwora. Zmienił mnie w kogoś, kogo zaskakuje smok wybuchający mu z ust całkiem nieprzewidzianie. Przemawia przeze mnie przeszłość zamiast przyszłości. Ja walczę o przyszłość, ona walczy o powrót przeszłości. Tylko bardzo cię proszę, błagam, nie sądz, że zwariowałam, że mam chorą głowę. Jeśli mi nie wierzysz, porozmawiaj z Yeshiboz Sistemlar. To oni mnie badali. Tylko uważaj, bo tam się robi rzeczy, które na Zachodzie byłyby bezprawne. Ale i Szatan czasami mówi prawdę, a dobroć kryje sama siebie wśród cichych kłamstw. To nie ja powiedziałam ci tamte rzeczy.

*Plik audio od: bugs@nouvelles*  
*2 grudnia*

Dość tego, Mae. Piszę ten artykuł. Nie po to, żeby zawstydzić ciebie lub twój kraj, ale dlatego, że moi ludzie muszą wiedzieć, co się dzieje. Twoja Stara Pani Tung ma rację. Oderwaliśmy się od ziemi. Mae, nie wiem, co ci powiedzieć oprócz tego, że też jestem

po twojej stronie. Dam ci do przeczytania mój tekst, nim poślę go w świat. Możesz mi już powiedzieć coś o tej maszynie?

*Plik audio od: pani Chung Mae*

*3 grudnia*

Mądra kryminalistko, przywołujesz mnie do interesów. Nie, maszyny jeszcze nie mamy. Kilkakrotnie wysyłałam ponaglenia panu Saatchi Saatchi z banku. Moim zdaniem urządzenie zostało zamówione i nawet zapłacone. Obawiam się najgorszego. Najgorsze jest to, że w tym kraju ktoś zapłacił komuś, żeby zginęło po drodze. Nie możemy więc dostarczyć kołnierzyków tak jak to było planowane. Nasz Krąg szyje dzień i noc, nawet ja szyję dzień i noc, co oznacza, że mam mniej czasu na te wszystkie smutne myśli.

*E-mail od pana Oz Oz*

*4 grudnia*

Mae,

dzięki za twój voicemail. Bardzo mi przykro, że nie odpowiedziałem wam wszystkim, ale nie mogłem nikomu w niczym pomóc, szansa pojawiła się przed zaledwie paroma dniami. Tak bardzo obawiałaś się bandytów w górach... i ja też. Ale na głównej drodze z Yeshibozkent czułem się tak pewnie, że pewnej nocy zjechałem na bok, żeby się przespać. I obudziłem się z lufą przy głowie. Mae, oni zabrali wszystko: furgonetkę, komputer, moje ubrania, nawet ten piękny płaszcz, który od ciebie dostałem. Zostałem sam, na poboczu, bosi. Doszedłem do Sogan, do Ruin – nazwa doskonale oddaje rzeczywistość – i nie otworzyły się tam dla mnie żadne drzwi, wyjąwszy drzwi posterunku policji. Trafiłem do aresztu. Jestem młody, Mae, i niczym dziecko dziwiłem się, że wzięli mnie za złodzieja.

Wkrótce dowiedziałem się tego, ponieważ wszyscy mieli mnie za złodzieja.

Wówczas o tym nie wiedziałem, ale to jest jeden wielki kant. Wysłannicy rządowi wyjeżdżają w teren, a potem wracają bez butów i zeznają, że okradziono ich ze wszystkiego, podczas gdy tak naprawdę sami wszystko sprzedali, przede wszystkim komputery. Byłem trzecim funkcjonariuszem „Rozpostrzeć Skrzydła” wracającym z misji w tym stanie i rząd miał tego szczerze dość. Trzymano mnie w areszcie domowym, póki komputer nie został sprzedany w Balshang, cudzoziemcowi. Złodzieje okazali się tak głupi, że nie wiedzieli nawet o zabezpieczeniu twardego dysku znakiem wodnym! Złodziej, niech będą dzięki niebiosom, okazał się honorowym durniem i zeznał, że owszem, że ten komputer ukradł mnie. W swej głupocie powiedział nawet, że to on skłonił innych, żeby mnie nie zabijali, pewnie wyobrażał sobie, że w ten sposób ocali głowę. Tymczasem ocalił głowę mnie. Rząd oczekuje od swych przedstawicieli, że za wszelką cenę będą bronić jego własności, za cenę życia, lub choćby więzienia. I – taka jest wola Allacha – wszystkie materiały dotyczące twojej wioski, w tym mapy pytań twoje i Sunni, wysłałem wcześniej przez Sieć. Zostały odebrane i uznane za wzór pracy w terenie. Najpierw więc poznałem dolę złodzieja w poważnych kłopotach, by wkrótce potem cieszyć się powrotem na pozycję cenionego współpracownika i jedyne go agenta terenowego, któremu udało się czegoś dokonać.

Dzięki temu Bogu, który przysłał cię do mnie, Mae. To wszystko twoja zasługa, co próbowałem wyjaśnić szefowi, ale szef tylko machnął ręką. Z jego punktu widzenia jesteś przecież zaledwie nieuczoną wieśniaczką, A jednak napisałem kolejny raport, w którym bez ogródek zrelacjonowałem, co zrobił ci nauczyciel Shen. W tym wypadku spodziewam się jakichś rezultatów. Nie chodzi o tanią zemstę, Mae, po prostu nie możemy pozwolić sobie na utrzymywanie nauczycieli, którzy blokują edukację naszych obywateli.



No i teraz znów zajmuję pozycję umożliwiającą mi prześledzenie losów twojej maszyny. Jako uczciwa ofiara kradzieży mogą przekonywująco podnieść problem korupcji. Więc robię wielkie zamieszanie. Prześledziliśmy ją aż do magazynu w Balshang. Mamy nawet podpis. Nie pasuje oczywiście do nikogo tam pracującego, aresztowaliśmy więc spedytora. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego rząd aresztował mnie. Spedytor jest twardym człowiekiem, lecz cywilizowanym. Powtarza, że nic nie wie, i prawdopodobnie rzeczywiście nic nie wie. Niemniej trzymamy go w więzieniu, przejęliśmy wszystkie jego aktywa, a pracujący dla niego ludzie stracili pracę, więc nie mają pieniędzy. Sprawa jest prosta: jako bezrobotny któryś z jego ludzi wyda tego kogoś, kto to zrobił. Wystarczy czekać.

Twoja strona robi pełen użytek z audio, wideo i bazy danych klientów, więc my wszyscy z „Rozpostrzeć Skrzydła” jesteśmy z ciebie dumni. Mam jednak i pewną sugestię: może mogłabyś wspomnieć, ile zjednoczone ludy Karzistanu zawdzięczają rządowi? Wiem, że twoje proste serce przepełnia wdzięczność dla rządu, ponieważ słyszałem twoje słowa wypowiedziane w banku i widziałem twoją twarz, kiedy otwieraliśmy rachunek. Ale tu niektórzy jeszcze cię nie znają i martwią się, że zagranica może dostać niewyważony obraz różnorodności ludów zamieszkujących Szczęśliwą Prowincję.

Twój przyjaciel oczekujący wiadomości.

Pan Oz.

*Plik dźwiękowy od: pani Chung Mae  
4 grudnia*

Szanowny panie Oz, me serce raduje się wiadomościami od pana. Dołączam do chóru głosów mogących zaświadczyć, że jest pan niewinnym młodzieńcem i wcieleniem uczciwości. Oszłamia mnie, że rząd gotów jest czynić takie wysiłki, by zwrócić mi moją maszynę. Doprawdy, nie jestem ich warta.

Bardzo proszę, niech pan dopilnuje, by wiedzieli, jak wiele panu zawdzięczam i że bez pana nie wiedziałabym, jak uczynić pierwszy krok. Bóg nas wszystkich wysłał mi pana niczym anioła. Klękam i dziękuję Allahowi, bo na sobie doświadczyłam nadziei, danej mi przez rząd Karzistanu. Nie sądzę, by zadaniem prostej znawczyni mody było opisywanie działań władzy, znacznie przekraczających me rozumienie. Pańskie napomnienie przekonało mnie jednak, że choć me skromne wysiłki mnie samej mogą wydać się zawstydzające, muszę dodać swój głos do chóru zasłużonych podziękowań. Proszę obejrzeć sobie nowy dodatek do strony i proszę umiejętnie wyrazić mą wdzięczność. Załączam list do pańskiego szefa. Jeśli jest coś wart, proszę mu go przekazać.

*E-mail od: porucznik Chung Lung  
7 grudnia*

Nie jestem z tych synów, którzy chcieliby stracić matki, nawet gdyby ich matki same straciły się w sobie. Materiał na twojej stronie domowej uległ ostatnio znacznej poprawie, ufam, że dlatego, że zdecydowałaś się posłuchać rady syna. Czerpiąc stąd odwagę, ośmieliłem się znów napisać do ciebie.

Tak, jestem żonaty i w zamieszaniu nie powiedziałem o ślubie matce. A moja szczerza siostra na zwykłej szczerzej kartce wypowiedziała za mnie tę prawdę, co mnie zawstydza. Załączam zdjęcie twojej nowej córki. Ma na imię Sarah. Zapewne widzisz już, dlaczego wyznanie ci prawdy nie było łatwe.

Sarah jest Kanadyjką. Zdecydowała się połączyć twój los z losem twego syna, nie potrafię wyobrazić sobie, z jakiego powodu. To piękna, mądra dziewczyna, uważająca twego syna za wykształconego człowieka, skoro ukończył Akademię Wojskową. Związana jest z tutejszym Instytutem Amerykańskim, studiuje historię Attyli Wspaniałego. Nie jest wzorem karzistańskiej kobiecości, przede mną jednak otworzyła cały świat. Jej stosunki z innymi oficerskimi żonami ułożyły się znakomicie, słyszę od

nich, że jest zachwycająca. Widziała twoje screeny i twój ostatni list. Bardzo się jej spodobały.

Ja dekoduję twoje osobiste maile. Gdybym to nie był ja, byłby ktoś inny. Twoja przyjaźń ze sroką modową jest wysoko oceniana przez tutejszych pracowników rządowych. Pomyślałem, że to cię trochę uspokoi.

Twój syn,  
Lung.

*Plik dźwiękowy od: pan Oz Oz*  
*9 grudnia*

Mae, twój list został bardzo dobrze przyjęty. Proste, prawdziwe słowa prostej mieszkanki Karzistanu, tak ciężko pracującej dla dobra swego ludu, rozgrzały nasze serca! Wiemy, co stało się z twoją maszyną. Tego egzemplarza nie dostaniesz, ale aresztowaliśmy twójego pana Saatchi Saatchi. Jego egzekucja odbędzie się w przyszłym tygodniu. Szef magazynu, którego miałem za niewinnego, nie był niewinny. Mój szef osobiście zaaprobował odkupienie ci maszyny koniecznej do prowadzenia interesu. Dostarczy ją armia!

*Plik dźwiękowy od: pan Hikmet Tunch*  
*9 grudnia*

Mae, przepraszam, że narzucam ci się, zapewne niespodziewanie. Nie obawiaj się, nie musisz znowu przede mną uciekać, choć powinnaś wiedzieć, że z wielkim zainteresowaniem obserwowałem rozwój twojego przedsięwzięcia modowego. Czy naprawdę zamierzasz stać się heroiną romansu dla Amerykanów? Lubię mieć swoje zagraniczne pieski – pieszczołki. I jak twoja wewnętrzna przyjaciółka? A właściwie dwie? Odpowiedni plik w załączeniu. To naukowy artykuł o tobie przeznaczony do druku w „Journal of Medical-Computer Interface”. Udowadnia, że nie zaszła w tobie żadna fizyczna

zmiana, lecz doszło do imprintu w Tlenie dwóch połączonych osobowości. I że to się może zdarzyć z powodu poważnych wad Formatu ONZ. A także pokazuje, że tego rodzaju katastrofa byłaby niemożliwa, gdyby Format przeprowadzono w otwartej formule Gatesa. Pojawia się też sugestia, by elementy Formatu Gatesa skopiowano między platformami, by stały się częścią systemu ONZ.

Jest jeszcze jedna rzecz, której ci nie powiedziałem, gdy odwoziłem cię do domu, a zamierzałem. Działasz w biznesie przekazywania informacji, a to znaczy, że wszyscy, których znasz, kiedyś cię zdradzą. Mnie możesz się nie bać. Ja już to zrobiłem.

Twój anioł stróż, Hikmet Tunch.

*Plik dźwiękowy od: Mae Chung*  
*12 grudnia*

Bugsy, sprawiłaś mi wielką przyjemność informacją o twoim nowym apartamencie. Wiem, jak miło jest mieć własne miejsce i jak smutne może być życie wspólnie z nawet najlepszą przyjaciółką. Cieszę się twoim szczęściem. Proszę, przyślij mi zdjęcia, by uradowały moje serce. Och, kobieto, nie wiem, jak ci powiedzieć, co się zdarzyło u nas. Nie wiem, jak zacząć. Życie jest nieodgadnione. Nie mówię, że nieodgadniona jest wola Boga, bo nie jestem pewna, czy Bóg zrobiłby coś takiego. Ostatniej nocy w stodole Kwan paliły się lampy elektryczne. Nasz Krąg szył piękne kołnierzyki aż do późnej nocy. Niegrzeczna dziewczynka Sezen przyniosła wino ryżowe od swojego chłopca z sąsiedniej wsi. Dlaczego by nie? Jej matka Hatijah, która na początku bała się dołączyć do Kręgu, stała się bardzo ożywiona i otwarta. To ona pierwsza rozweseliła się przy winie i rozweseliła nas, tak że w końcu wszystkie zaczęłyśmy śpiewać. Nagle drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem. Stał w nich pan Hasan Muhammed. Jest bardzo wierzącym muzułmaninem, nosi czapkę z koronki, ma piękną długą brodę. Ale miał też bicz. Uderzał nim w ściany stodoły, a myśmy zaczęły krzyczeć i oczywiście chwyciłyśmy haft,

bo nie pozwalamy zakłócić porządku haftowania. Nawet gdyby zatrzęsła się ziemia, żadna z nas nie zgubiłaby ściegu. No więc uciekliśmy pod ścianę, a on chodził tam i z powrotem i przeklinał podłe kobiety. Za co? Stare kobiety, które tylko śpiewały, a wypiły zaledwie odrobinę wina!

Kwan jest odważna. Pojawiła się i powiedziała: „Panie Muhammed, czy pan dziś zostawił głowę w domu? Dlaczego straszy pan gości w mojej stodole, tak ciężko pracujących gości?”. A on na to: „To wszystko dzieło Szejtana, wszystkie te kobiety oszalały, gdy nadeszła ta rzecz, a zwłaszcza oblubienica Szejtana” – i wskazuje na mnie. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, że nie było to bardzo zabawne. Ale posłuchaj, jak to przeznaczenie bawi się niczym kot z twoją przyjaciółką Mae. Bo pan Muhammed, dźgając powietrze palcem jak nożem, pokazuje mnie i mówi: „Ta diabelska kobieta porzuciła męża, a teraz żona zostawiła mnie dla niego”. I strzelił z bicia. A my wszystkie, kobiety, robimy wszystko, żeby się nie roześmiać, nawet Kwan. Bo widzisz, my dobrze znamy jego żonę Tsang. Tsang jest jak poduszczyk do igieł, bierze każdego mężczyznę, którego może dostać. Jest tłusta, dojrzała, bezwstydną, bardzo zabawna i mniej więcej tak wierna, jako żona, jako kobieta, jak myszokoczek. Kiedy byłam jeszcze ekspertem modowym, zawsze kryłam ją i jej najnowszego ukochanego. Biedny stary pan Muhammed odkrył wreszcie tajemnicę znaną całej wiosce. Zawsze otwarte drzwi Tsang zostały wreszcie zamknięte. Ale to, że rozwinęła skrzydła z moim starym, nudnym mężem, ożywiło nasze skromne, wieśniacze poczucie humoru jak uderzenie w łokieć. Tymczasem biedny pan Muhammed wrzeszczał jak postać z komedii: „Uciekli, by zamieszkać w Balshang!”. Może to straszne, bo ten człowiek cierpiał, a myśmy walczyły ze sobą, by się nie roześmiać. Kwan powiedziała łagodnie: „To nie wina Mae, że pańska żona zeszła na złą ścieżkę, a my wszystkie uważamy, że to po prostu skandal”. A pan Muhammed na to, wyciągając palec w moją stronę: „Więc czemu piastujecie tę zmięję na swym łonie?”. Kwan odpowiedziała mu natychmiast: „Bo chociaż ona też zeszła na złą drogę, pomaga

całej wiosce robić interesy”. „Jest matką wszystkich dziwek!” – krzyknął pan Muhammed. „Zatruła umysł mojej słodkiej, wiernej żonie, ona i ta maszyna”. Wtedy Kwan położyła mu dłonie na ramionach i bardzo łagodnie powiedziała: „To nie Mae ją zepsuła. Tej wiosny pańska żona namówiła do seksu mojego młodszego syna. Ja ją poprosiłam, żeby z tym skończyła, bo było z nim coraz gorzej. Przedtem miała obu panów Ali, przed nimi najstarszego syna pana Pina, tuż przed jego małżeństwem. Tsang szkodziła sama sobie, Mae nie miała z tym nic wspólnego”.

Twarz biednego starego pana Muhammeda popłynęła jak topiąca się świeca. „Wiedziałyście?” – spytał. Opuścił bicz. „A pan nie wiedział?”. Kwan odpowiedziała mu pytaniem, ale on już jej nie odpowiedział, tylko pusty w środku, jak zaschnięta sosnowa szyszka, wyszedł ze stodoły. A my zastanawialiśmy się: wiedział czy nie?

Ale posłuchaj, kobieto, bo to jeszcze nie wszystko! Joe sprzedał nasz dom. Sprzedał go panu Haseemowi, a pieniądze zabrał na życie z Tsang, w Balshang. Dom i ziemia, o które walczyłam tyle lat, płaciłam za nie, by ich nam nie zabrali, stoją teraz puste. Kuchnia, którą sprzątałam przez lata, jest ciemna, oświetlają ją tylko promienie księżycowego światła. Piecyk, w którym ogień płonął przez trzydzieści lat, stoi zimny i pokryty kurzem. Krzesła i stoły cierpią na samotność, szafki opróżniono w pośpiechu, jakby grasowali tu złodzieje. Siedzę ubrana we wszystko, co mam, na nieogrzewanym strychu Kwan. Słucham, samotna, o najszcześniejszej porze roku, w żniwa, dźwięków zabawy, rozmów różnych Kręgów. Czuję, jak życie ulatuje niczym dymy z kominów leżącej niżej wioski. Moje życie spruło się, kuzynko, jest jak haft, który trzeba zacząć od nowa. Och, Joe, Joe, zawsze sądziłeś, że pieniądze przychodzą szybko, bo sam jesteś taki powolny. Więc masz swoje szybkie pieniądze. Na nowe miejskie życie, z Tsang. Jak stary materac będzie ugięła się pod ciężarem kolejnych mężczyzn, gdy tylko odwrócisz się do niej plecami. W mieście będziesz tylko głupkiem. Stracisz narzędzia, nie dostaniesz pracy. Wrócisz tu i strasznie się zdziwisz, że twój stary przyjaciel, pan

Haseem, nie chce ci oddać domu. A twój ojciec i twój brat Siao – co z nimi? Poniżyłeś ich, zmusiłeś do życia u brata twojej pierwszej żony, pana Wanga Ju-mei. Och, Joe, co powiesz duchom twoich ojców? Że sprzedałeś ich ziemię? Za ile, Joe? Czy twój dobry przyjaciel pan Haseem, wiedząc, jak bardzo chcesz wyjechać, w jak desperackiej jesteś sytuacji, był tak hojny, że zapłacił ci połowę jej wartości? Och, Joe, będziesz żył gdzieś blisko swego ukochanego, mądrego syna Lunga. Powinieneś go kochać i poważać, syn bowiem jest znacznie mądrzejszy od ojca. Ale ty go nie zrozumiesz. Twój syn jest żołnierzem, oficerem. Twój syn jest lisem Balshang, który poślubił świat Zachodu. Nie chce, żeby ojciec, wiejski głupek, zawstydził go, siedział u niego weekend w weekend, kiedy on powinien zabawiać pułkownika i jego arystokratyczną małżonkę. Och, Joe, wrócisz zagubiony, jak pijany, bez pieniędzy, bez kobiety, bez syna i nie rozumiejąc, gdzie to wszystko się podziało. Nic nie rozumiejąc. Teraz już wiem, jak to jest mieć męską brodę. Goli się ją, do czysta, zdrapuje wszystko to, co niepotrzebne, a to wszystko zaraz odrasta. Zastanawiam się, co jeszcze może się zdarzyć przez ten rok golenia. A wracając do interesów: Oko patrzącego ma coraz mniejszą liczbę odwiedzających. Nie dostajemy nowych zamówień na kołnierzyki, co przynosi nam wielką ulgę, lecz zarazem także strach. Co mogę zrobić, by usłyszeli mnie moi przyjaciele na całym świecie?

*E-mail od: pan Ken Kuei  
13 grudnia*

Witaj.

Jestem bardzo dumny, że przesyłam ci wiadomość w ten sposób. Widzisz, uczę się. Wziąłem twe słowa do serca, uczę się na maszynie Sunni. Muszę się uczyć bez ciebie.

Jestem bardzo dobry w uczeniu się. I dobry w czekaniu.

Twój przyjaciel,  
Pan Ken Kuei.

*E-mail od: panna Soo Ling*

*13 grudnia*

Mae,

słyszałam, że wiele pracowni tutaj naśladuje twój sukces, sprzedaje kołnierzyki i tak dalej. W każdym razie mody przychodzą i odchodzą. Zawsze. Myślałaś już, co robić teraz? Ludzie używają zachodniego powiedzenia: „Żyj zmianą”. To znaczy: „Zdobądź pierwsza i opuść pierwsza”.

*E-mail/wideomail od: brak nadawcy*

Znaleźli stronę Eloi. Będzie atak. Zdejmij swój interes z maszyny Kwan natychmiast. Przenieś go do pana Haseema, jeśli możesz, teraz, dzisiaj, koniecznie za każdą cenę.



Kto mógł wysłać taką wiadomość? Mae nie przestawała o tym myśleć, ślizgając się w kapciach, w ciemności, po gładkiej drewnianej podłodze. Pan Oz? Hikmet Tunch?

Weszła do sypialni przyjaciółki. Poczwała zapach męża i żony, zapach snu.

– Kwan – szepnęła. – Kwan, obudź się.

Usłyszała cichy jęk.

– Kwan, proszę, to pilne, to trzeba zrobić koniecznie. Proszę, obudź się.

Ruch i niewyraźne dźwięki ustały.

– O co chodzi, Mae?

– Właśnie dostałam plik audio. Wyglądał jak pakiet z Ameryki, tylko że były to jakieś bazgroły. No wiesz, symbole. A potem zaczął się uaktywniać jako słowa. Powiedział, że jest szyfrem samodekodującym. Ktokolwiek go wysłał, wie o znaku wodnym na twoim twardym dysku.

– Co powiedział?

– Że znaleźli stronę Eloi i że zaatakują. I jeszcze: zdejmij swój interes z maszyny Kwan natychmiast.

– Mogę zobaczyć tę wiadomość?

– Nie. Uległa samozniszczeniu.

Cisza. Za oknem zawodził lelek kozodój. Przerwał ją pan Wing.

– Jeśli wiedzą o stronie mniejszości, nie ma wielkiego sensu jej przynosić. – Mówił spokojnym chłodnym tonem, jak niegdyś, kiedy naprawiał kanalizację. – Co jest na tej stronie, Kwan?

– Opowiedz o tym, co robi się mojemu ludowi.

Wing odetchnął głęboko, raz, wdech, wydech.

– Jesteś kobietą. Być może potraktują cię łagodnie. Udawaj, że jesteś głupiutka, że reagujesz emocjonalnie. Mae, kimkolwiek jest twój przyjaciel, oni są sprytni. Musisz przesłać wszystkie swoje

dane do maszyny Sunni, a wymazać je z naszej.

– Czy ktoś wie, jak to zrobić?

– Jeśli nie ty, to ja tym bardziej.

Telewizor trzymano teraz w pokoju reprezentacyjnym. Już uznając za stosowne krycie się, nie włączyli światła. Skulili się, ubrani w pikowane kurtki, naokoło ekranu. Mae spróbowała skopiować swój interes na maszynę Sunni. Powtarzała komendy, zmieniając słowa, i w końcu trafiła na właściwe. Telewizor powiedział: „Nawiązywanie połączenia z htv1/sunni/takingwing/htv1.

– Ścisz dźwięk – poleciła Mae. – Możesz sprawić, by wyglądało, jakby te pliki zawsze były na jej maszynie?

Telewizor wydawał takie dźwięki, jakby w jego wnętrzu igrały myszy, a potem szepnął: „Mogę sprawić, by twoja strona wyglądała jakby miała alias na htv1/sunni”.

– Proszę tak zrobić – powiedział pan Wing do Mae. – Zawsze możesz powiedzieć, że trzymałaś ją na dwóch maszynach na wypadek, gdyby jedna z nich się zepsuła.

– W porządku. Wykonaj – poleciła Mae telewizorowi. – Maszyna znów odezwała się tym swoim mysim chrobotem. – A potem wymażemy stronę Eloi – zwróciła się do Kwan.

– Strona zostaje.

– Ależ Kwan! – zaprotestowała. – Strona i tak zostanie wymazana. A kiedy jej nie będzie, kiedy tu przyjadą, przekonasz ich jakąś historią...

Twarz Kwan lśniła jak księżyc, biała i zimna.

– Za późno, Mae. Mam e-maile od profesorów, dotyczące mojej strony. Odpowiadałam na nie. Jeśli rząd czyta moje e-maile, to przecież ma wszystko. Dopadli mnie, Mae.

Kobiety przyglądały się sobie w milczeniu. Zatem taka jest reakcja na cios, pomyślała Mae. Najpierw oszołomienie, nawet nie czujesz bólu. Zorientowała się, że nadśłuchuje cichego, groźnego warkotu silnika wojskowej ciężarówki.

Telewizor zakomunikował cicho: „Odmowa dostępu”.

– Mae – powiedział pan Wing – ocalmy przynajmniej twój biznes. Najwyższy czas iść do Sunni. Poprosić o pozwolenie.

– Racja. Słusznie. Ja to załatwię. A wy oboje uciekajcie stąd.

– A dokąd mamy uciec? – spytała Kwan. – Myślisz, że gdzieś się ukryjemy?

– Potrafimy o siebie zadbać – dodał pan Wing. – Ale do pana Haseema idziemy razem. Może nie chcesz z tobą rozmawiać.

Rzucali kamykami w okiennice domu, by obudzić gospodarza. Kiedy wreszcie jedno z okien otworzyło się, usłyszeli trzask bezpiecznika. Pan Haseem trzymał w ręku broń.

– Trzymaj się z dala od mojego domu, Mae – warknął. – Gospodarstwo twojego męża kupiłem za uczciwą cenę.

– Oczywiście, oczywiście – załagodził pan Wing. – Chodzi o kłopoty z rządem. Wpuść nas, Faysal.

Wpuszczono ich, ale tylko do kuchni. Zaspana Sunni machinalnie skłoniła się Kwan, była pewna, że to wizyta towarzyska.

– Rząd dowiedział się o naszej stronie o Eloi – oznajmiła Kwan.

Pan Haseem nie wydawał się szczególnie poruszony. To była ich sprawa, żeby robić takie rzeczy... Za to Sunni oprzytomniała w jednej chwili i nadstawiła uszu.

– Chciałabym przekopować moją stronę biznesową na waszą maszynę – oznajmiła Mae.

– Och! – prychnął pan Haseem. – Po tym wszystkim, co pomiędzy nami zaszło? – Jego mięsista twarz przybrała naturalny dla niej wyraz pogardy.

A Sunni? Spojrzenia jej i Mae skrzyżowały się. A potem Sunni odwróciła się do męża. Wzruszyła ramionami.

– Nic nie będzie nas to kosztowało – powiedziała. – Mae przestrzegła nas przed kosztami transferu, a to już była duża oszczędność. Grzeczność za grzeczność.

– Nie chcę kłopotów z rządem – burknął jej mąż.

– Widziałeś screeny Mae? Jest tam link do biura rządowego i drugi, do drugiego biura, i sekcja, w której wyśpiewuje swą wdzięczność dla rządu. Trzymanie takiej strony u nas to obrona przed rządem.

Mae i Sunni znów wymieniły spojrzenia. Sunni przekazała tak wyraźnie, jakby powiedziała słowa: „dług spłacony”. Mae

naciskała, póki jeszcze miała przewagę.

– Twój serwer pracuje, ale moja maszyna potrzebuje pozwolenia na przesył.

Sunni skinęła głową, raz.

– Kto przysłał ci wiadomość?

– Ktoś, kto opanował sztukę anonimowości do perfekcji. Albo pan Oz Oz, albo mój przyjaciel Tunch.

– Lepiej już chodźmy – ponaglił kobiety pan Wing. – Panie Haseem... szanowna pani Sunni...

Z nieruchomej twarzy gospodarza patrzyły na niego nieruchome oczy: oceniająco, wyzywająco, lecz nie tryumfalnie.

– Co będzie z wami? – spytał Haseem. Miał się za mężczyznę, a mężczyźni to ludzie poważni. Wieśniacy zawsze zachowywali powagę wobec spraw rządowych, taką, jak wobec rdzy zbożowej.

Piwnie oczy Winga zabłyśły, na jego wargach pojawił się ledwie widoczny, drapieźnych uśmiech.

– Inszallah. – Mężczyźni byli także dzielni.

– Bardzo dziękuję, szanowna pani Sunni – powiedziała Mae.

– Lepiej chodźmy – odezwała się Kwan. – Mamy wrogów. Mogą powiedzieć, że widzieli, jak spiskowaliśmy.

Później, kiedy już wrócili, telewizor Kwan przemówił: „Pozwolenie przedłużone. Rozpocznym przesył”.

Czekali wsłuchani w cichutkie, na granicy słyszalności stuki poruszających się głowic. W cieniach szeptały coś wiatr i przyszłość. Kwan zachowywała niezwykły spokój.

– Mogę się przenieść w góry. Odwiedzić krewnych Suloi i zaczekać, aż wszystko się uspokoi. Spojrzała na pana Winga z uśmiechem. – Możesz powiedzieć, że obudziła się we mnie dzika kobieta i że cię zostawiłam.

Pan Wing wzruszył ramionami.

– Do więzienia wolno zabrać trzy książki. Koran, teksty buddyjskie i *Masnawi* Rumiego. Czekałem do tej pory, by je przeczytać. Porównam wszystkie trzy i w ten sposób poznam prawdę.

– Są tak długie, że pasują do dożywocia. – W głosie Kwan brzmiał gorzki humor.

– Więc mam nadzieję, że moje życie okaże się wystarczająco długie. Wolałbym dożywić od kary śmierci.

– Proszę mi przysiąc – Mae nagle zrobiła się bardzo przesadna – że nawet jeśli nie pošlą pana do więzienia, zacznie je pan czytać od razu.

– Chętnie bym przysiągł, Mae – pan Wing zachichotał – gdybym wierzył, że może to przynieść coś dobrego.

Mae poczuła, jak w jej głowie dojrzewa myśl, jakby drzewo zapuściło w niej korzenie, głębokie korzenie, a potem nagle rozkwitło. Tak, to dobry pomysł.

– Możesz zrobić to samo, co z wiadomością? – spytała telewizor. – Żeby coś przyszło, a potem zniknęło?

Z maszyny dobył się szmer i szept: „Co?”. To znaczy terminem technicznym dała do zrozumienia, że nie rozumie polecenia.

Pan Wing potrząsnął głową.

– Rozpoznaję tego typu interwencję, Mae – ostrzegł.

– Chcę przenieść całą stronę do Bugsy, niech ona ją hostuje. W ten sposób pozostanie widzialna, ale nie z waszej maszyny. Z niej będziemy mogli ją wymazać.

– Dziękuję ci – powiedziała Kwan – ale Bugsy robi z tobą interesy. Możesz mieć kłopoty. A w ogóle nie znasz kodowania. To załatwia sprawę.

Mae nie zamierzała zrezygnować.

– To przynajmniej wymaż stronę. Może wystarczy im, że ją zdejmiesz.

Pan Wing pogładził ją po karku.

– Och, kobieto, kobieto... – powiedział tylko.

– I tak przywróciłabym ją natychmiast po ich wyjściu – oznajmiła Kwan. – Świat musi wiedzieć o Eloi.

– Więc twoja strona działała i teraz świat już wie!

– Ciągle za mało jest tego świata.

Pan Wing uśmiechnął się spokojnie, z dumą.

– Kwan nie zaprzestanie walki. Nie podda się, póki nie zostanie wymierzona sprawiedliwość.

– Dlaczego pan musi walczyć?

Pan Wing uśmiechnął się nieco szerzej.

– Bo nie wolno dopuścić, by rządzący tym krajem durnie powstrzymali nas od mówienia prawdy. Co innego mielibyśmy zrobić? Uciec, skryć się, powtarzać: „O wspaniali władcy, jesteście naszymi dłużnikami, bo pozwalacie nam żyć i wyrywać ziemi ziarno, które i tak zabierzecie na podatki”?

Mae jeszcze nigdy nie słyszała takich słów. Zrozumiała, czym jest ten niezwykle ucisk w piersi: strachem. To była naprawdę niebezpieczna rozmowa.

– Przecież ci ludzie niszczą całe narody tylko dlatego, że ich przodkowie nie potrafili tych narodów podbić! Eloi udowadniają, że kłamstwem jest nazywanie tego kraju Karzistanem, że to kraj muzułmanów pochodzenia tureckiego. Trzeba więc, by Eloi znikli.

Mae poczuła mdłości. Uważała się za dzielną, ale nie miała tego rodzaju odwagi. Stanać twarzą w twarz z ludźmi mającymi swych katów, którzy będą cię torturować, którzy mają rejestry, mają sprzęt szpiegowski, i powiedzieć im wprost: „Zamierzam zrobić dokładnie to, czego zabraniać mi zrobicie?”. A jednak oni oboje mieli rację. Jak ma się poprawić na lepsze, jeśli nikt nie będzie o to walczył? Patrząc na pana Winga, pomyślała: „Ten człowiek mógłby zostać terrorystą”. Gdyby było więcej takich jak on, mojego syna, Lunga, posłaliby pewnie, żeby z nimi walczył. I mogliby się pozabijać przez zasłonę pyłu i dymu.

Poczuła bezdźwięczne brzęczenie głęboko w głowie. Odbijające się echem. To, co się stało, wywołało kolejny atak.

– Znów się zaczyna – powiedziała.

– Starsza pani jest mojego zdania? – spytał pan Wing z uśmiechem.

– Dobrze pamięta wojnę.

Mae zaparła się w sobie. Zaczęła śpiewać do siebie o rzeczach, w które pani Tung nie byłaby w stanie uwierzyć: „Dzięki niebiosom za maszyny, bez nich nie usłyszałyby o nas świat, one pomogą nam zwalczyć panów...”.

Coś w jej głowie otworzyło się, jakby kwiat rozchyłał płatki.

– Jeśli to się zaczyna od nowa, szukaj ukrycia! Jeśli sprzeciwisz się im otwarcie, przyślą swoich żołnierzy!

A Mae odparła: „Rząd zmieni się sam, jego duszę porwie Tlen...”.

– Przybędą i wywiozą cię w środku nocy, albo zapłacą sąsiadom, żeby zwrócili się przeciw tobie.

Stworzymy świat ludzi niedających sobą rządzić...

Obie strony skończą, pożerając swych umarłych.

Ryżowe wino, kiedy się pojawiło, było przezroczyste jak woda, ale aż paliło. Pili je w milczeniu. Choć się starała, Mae nie znalazła właściwych słów.

Telewizor wydał dźwięk jak pianie koguta, ciche i odległe.

– Mae – zaniepokoiła się Kwan – coś wychodzi na ekran.

Na ekranie pojawił się napis: „EMAIL/VIDEOMAIL: BRAK NADAWCY”. Chwilę trwał egipski taniec hieroglifów, a potem pojawiły się litery i słowa, i położone na boku „V”.

– Kod komputerowy – powiedziała Kwan.

Mae pochyliła się ku ekranowi. Wiedziała, co to jest. Ktoś przysłał jej kod. Kazała maszynie go zapisać, użyć i mówiła dalej. Dyktowała wiadomość.

– Plik audio do bugsy@nouvelles. Bugsy, załuję, że pojawiając ci się w ten sposób, ale mam poważne powody. W załączniku do tej rozmowy przesyłam ci całą stronę. Bardzo polityczną, bardzo niebezpieczną. O ludzkiej Eloi. Świat musi wiedzieć, co się z nim dzieje, ale trzymać ją tutaj to zbyt niebezpieczne. Proszę, znajdź maszynę, tylko nie twoją, i postaw stronę tam. Powtarzam: nie stawiaj jej na swojej maszynie! I nikomu o tym nie mów, nigdy, nie odpowiadaj też na tego e-maila, rozumiesz? Od czasu do czasu dostaniesz kodowaną wiadomość jak ta. Będzie do uaktualnienia strony. Jak ta wiadomość, ulegnie samozniszczeniu. I błagam, nie umieszczaj nic z tego w swoim artykule. No i nie odpowiadaj! Twoja przyjaciółka. W porządku, koniec wiadomości.

Mae odwróciła się, podniosła wzrok.

– Kwan? Czy to będzie w porządku? Czy wymażesz stronę, jeśli mi się uda?

Kwan odetchnęła głęboko przez nos.

– W porządku – powiedziała. Skinęła głową. – To w porządku.

\*\*\*

Wzeszło słońce.

Mae próbowała wstać, mimo że jego promienie wpadały do środka przez okna.

Pić ciepłe wino Kwan to był błąd. Palił ją żołądek. Kwas przelewał się w nim jak strach przed żołnierzami, strach przed panią Tung, strach o Kwan, po prostu strach. Żołądek bał się i bała się dusza.

Zadławiła się. I poczuła, że coś się w niej rozdziera.

Moje dziecko. Moje dziwnie umieszczone, nowe-jak-Tlen, poczęte-z-Tlenu dziecko.

Próbuję je zabić.

Żołądek uniósł się jej niczym pięść. Czuła coś ciężkiego, lecz żywego, rozpychającego się, pchającego ku górze.

Nie, nie, tego akurat nie potrzebuję! Nie teraz!

Oczami wyobraźni zobaczyła przystojną twarz pana Kena. To będzie takie piękne dziecko! – pomyślała. Musiała walczyć o oddech. Ciało naparło na przełyk, znów poczuła, jak coś w niej się rozwiera.

Jakby wino Kwan było ogniem, nagły przyptyw soków zapalił jej gardło, osmalił delikatną tkankę nosa.

Dziecko znów uderzyło o wnętrze ciała, odebrało jej oddech.

Nie! Twarz Mae skręciła się jak ścierka. Mae wyrwała się i wyrwała też coś tkwiącego w samym świecie. Ciągnęła to, wykręcała, wyzymała. Świat był w dotyku jak jedwab, rozrywany nierówną linią.

Wokół siebie słyszała brzęk małych dzwoneczków. Czy uszy jej krwawiły?

Mae przypomniała sobie ogrodzenie, to, które rozszarpała, uciekając przed panem Tunchem. Śpiewało, kiedy je rozrywała.

Śpiewaj! – poleciła powietrzu. I powietrze zaśpiewało. Sfałdowało się jak aluminiowa folia. A ze śpiewu wytrysnęło światło. Ślizgało się i drżało n ścianach, jakby odbijało się od wody. Światło mieszało się z cichym szelestem dobiegającym znikąd.

Mae pomyślała o nich wszystkich: Tunchu, starej pani Tung,



Fatimah, kobietach z wioski. Nie! Nie odbierzecie mi mojego dziecka! Żołnierze, armie, ludzie niechący się uczyć, ludzie nienawidzący przyszłości, nie dostaniecie go, o nie, mojego późnego Niespodziewanego Kwiatu.

Będzie żył.

Mae przełknęła. I przełknęła jeszcze raz. Pokój zrobił się naraz bardzo ciemny. Palce jej zdrętwiały. Nadchodziła pani Tung. Wabił ją strach.

Mae odczuwała jej zbliżanie. Dla niej pani Tung weszła, przysiadła na krawędzi łóżka. Tę starą kobietę czarowała domowa zwykłość dzieci... i niestrawności. Natychmiast ofiarowała dobrą radę.

– Na ból brzucha nie ma jak jogurt.

Głos miała słodki i łagodny jak krople soku z gruszki.

Pani Tung zawsze była miła. Mae pamiętała jej słodką ślepą twarz.

Zatem jogurt, pomyślała Mae. Przypomniała sobie ten cierpki zapach. Jogurt. Pamiętała ostry śmietanowy smak i szopy, w których go przechowywano, przepełnione zapachem drzewnego dymu.

I nagle światło oraz śpiew zapachniały jogurtem. Cały pokój pachniał jak te stare szopy.

Mae przełknęła jeszcze raz.

I wszystko się uspokoiło. Jak sztormowe morskie fale, gdy nagle ucichnie wiatr, kwasy w jej żołądku uspokoiły się i już nie paliły. Niczym barka, niezdarna na falach, oddzielne fragmenty jej rozdartego ciała osiadły dostojnie na wodach żołądka. Mae czuła nawet pozostałą po burzliwych falach pianę.

Pani Tung była bardzo dumna z siebie.

– Stare lekarstwa zawsze są najlepsze. Jak sądzę powinniśmy teraz zaznać błokiego snu, nie uważasz?

I chyba niezdarnie, powoli zeszła z łóżka.

Zrobiło się naraz cicho i bardzo spokojnie. A strych domu Kwan znów był po prostu pokojem, cichym, przesyconym słonecznym blaskiem, pokojem pogodnym, nawet wesołym. Mae przycisnęła dłonie do brzucha. Zbuduję ci cichy port, moja mała łódeczko.

Otoczę cię nabrzeżami i falochronami. Nie przerażają cię tak, byś się ode mnie oderwała. Gdybym miała wezwać na pomoc cały Tlen, pozostaniesz ze mną.

Mae poczuła, jak jej twarz rozciąga się w szerokim uśmiechu. Zasnęła.

Wojsko nie przybyło. Nie tego dnia.

\*\*\*

Mae nadal musiała znaleźć sobie jakieś miejsce do pracy. Zawarła pokój z Sunni, ale to nie znaczyło, że mogła spokojnie pracować na jej maszynie dniami i nocami, gdyby zaszła taka konieczność. Lepiej byłoby też, gdyby Krąg nie pracował na terenie jej gospodarstwa. Co mogła zrobić?

*Plik audio od: pani Mae Chung*  
*14 grudnia*

Szanowny panie Oz, wydaje się jasne, że moje interesy osiągnęły poziom, w którym wymagają prowadzenia z własnej maszyny. Grant był więcej niż hojny, zwłaszcza, gdy mówimy o naszej pięknej maszynie tkackiej. Czy dostałabym pieniądze na operowanie własnym centrum usługowym?

*Plik audio od: Pan Oz Oz*  
*14 grudnia*

Droga szanowna pani Chung, jest to możliwe. W załączeniu formularz wystąpienia o grant. Częściowo wypełniony w pani imieniu, ale proszę go nie składać, póki się nie zorientuję, o czym tu ptaszki ćwierkają. Sam pomysł jest jednak bardzo mądry.

Mae przeczytała wiadomość, rozważając każde jej słowo. Szukała w nich wskazówek, czy to on wysłał dwie zakodowane wiadomości. I doszła do wniosku, że owszem, to on. Ćwierkanie

ptaszków oznaczało sprawdzenie, jak rząd zapatruje się na jej kontrowersyjne związki z rodziną Wingów. Mała poczuła się źle, jakby zdradziła przyjaciółkę. „Sam pomysł jest bardzo mądry” – to była pochwała za to, że uwierzyła w jego ostrzeżenia i zrobiła, co polecił.

Następnie przyjrzała się formularzowi. Pan Szczery wypełnił go do końca, wolna pozostała tylko ostatnia rubryka: „Powód wydatku/znaczenie dla społeczności”. Mogłaby powiedzieć, że prowadzi centrum usługowe dla całej doliny, tak by można było postawić więcej komercyjnych stron. Mogłaby powiedzieć, że ma do zaoferowania własne doświadczenie z tworzeniem stron i ich reklamowaniem.

Prawdę mówiąc, to wcale nie był pretekst, tylko bardzo, ale bardzo dobry pomysł.

Rozwinęła go w myślach. Wszystko wydawało się jej takie jasne! Strona dla pana Aha i jego warsztatu samochodowego, zaimplementowanie systemu głosowania elektronicznego, link dla pani Mack i jej kościoła chrześcijańskiego. Widziała w szczegółach Usługi Modowe „Dolina” Sunni, widziała też szkołę „Jaskółka”, ale szkołę w pełni sieciową, udzielającą rad, wyjaśniającą podstawowe terminy, handlującą Info z innymi kupcami Sieci.

Miała przed oczami nową gałąź przyszłości. Była szczęśliwa.

Maszyna znów zapięła jak kogut, choć cichutko.

– Kontynuacja wiadomości – powiedział ekran.

– Mae. – Pan Oz pojawił się w trybie wideo. – Moja przyjaciółko, zdarzyła się rzecz doprawdy przedziwna. Otwórz drugie okno, włączę transmisję.

Zrobiła, czego sobie życzył. Na ekranie pojawiło się mnóstwo słów zapisanych rzymskimi literami i fotografie Kręgu: Kwan, jej samej, Sezen, Suloi, pani Doh, Hatijah.

Wyglądamy tak szczęśliwie, pomyślała Mae. Wyglądamy na najłagodniejszych ludzi na świecie. I najszczęśliwszych.

Pan Oz Oz mówił dalej.

*– Mae, to artykuł z „New York Timesa”. Opublikowany w Sieci i na dysku. Ma tytuł: Historia Mae. Napisała go jedna z twoich klientek, znasz ją, to wydawca nowojorskich srok. Słuchaj, cały jest poświęcony tobie, temu, jak walczyłaś o Info i jak skopowano ci w umysł panią Tung, za co winę ponosi przedwczesny Format. Autorka cytuje twojego przyjaciela, pana Tuncha. Cytuje ciebie mówiącą, że nienawidzisz Formatu ONZ. Ale posłuchaj, Mae. On doskonale pasuje do wersji rządowej! Że Zachód nie może uważać nas za swą własność, tylko musi konsultować Info z nami. Sprawy nie mogły ułożyć się lepiej. Wszystkim tu sprawiłaś ogromną radość. To, co się stało, nazywają wręcz dyplomatycznym zamachem dokonany przez Karzistan.*

Mae wpatrywała się w zdjęcie pięknej twarzy Kwan. Czyżby udało się jej uratować przyjaciółkę? Najzupełniej przypadkowo?

– Czy to znaczy, że dostanę własną maszynę? – spytała.

Pan Szczery roześmiał się. – No chyba tak!

I nagle Mae nabrała absolutnej pewności, że to nie on ją ostrzegł. Nie był tak sprytny i szybki w działaniu. Ucieszyło ją, że zachowała pełną dyskrecję w swym e-mailu do niego.

Tak, to musiał być Tunch. To on interweniował.

– Może dokończę wypełnianie formularza i wyślę go? – powiedziała głośno.

Zatem równania szyfrujące także wysłał Tunch. Co oznacza, że Tunch obserwuje mnie bez chwili przerwy. Prawdziwy anioł stróż.

Oz drzał z rozkoszy jak żrebak. Mae pomyślała: najpierw cię okradli, potem szefowie wpakowali cię do więzienia, a ciągle jesteś chłopcem. Na zawsze zostaniesz chłopcem.

– Wiesz, co wpisać w formularz? – spytał.

– Dokładnie wiem, do czego potrzebna mi maszyna, ale będę wdzięczna za rady.

– Doskonale. Chcesz zachować sobie ten artykuł? Twoja maszyna może ci go przeczytać.

Mae zastanawiała się przez chwilę.

– Nie – powiedziała w końcu cicho. – Raczej nie.

Pan Oz wydawał się więcej niż zdziwiony tą odpowiedzią. Okno się zamknęło. Mae dokończyła wypełnianie formularza i wysłała mu go. Następnie poprosiła telewizor o wysłanie formalnego listu do Sunni.

*Moja wypróbowana przyjaciółko,  
jakże dziwne jest życie. Ostatnio wielokrotnie powtarzam te  
słowa, zwłaszcza wspominając zdarzenia z kilku minionych  
miesięcy. A teraz piszę do ciebie w sprawie dziwnej jak wszystkie.*

*Czy mogę wynająć od ciebie mój stary dom? Rozważ, proszę:  
prawdziwą wartość tego, co kupiliście, stanowi ziemia. W okolicy  
jest wielu gospodarzy, którzy chętnie ją wydzierzawią. Dla was to  
doskonały interes, biorąc pod uwagę, że nie musicie jednocześnie  
zapewniać miejsca zamieszkania. Prosta dzierżawa.*

*Co zrobicie z domem? Wynajmiecie go panu Kenowi na kurnik?  
Ile wam zapłaci za stodołę?*

*Co innego pracownia Kręgu. To już byłby wynajem firmie. Za taki  
wynajem mogłabyś policzyć znacznie więcej. A ja będę miała  
pieniądze, by ci zapłacić, gdy tylko pojawi się moja maszyna.*

*Oto moja oferta: proponuję dziesięć rielsów miesięcznie za  
wynajem otrzymanej za darmo nieruchomości, z której nie  
będziesz miała nic albo śmieszne pięć rielsów rocznie. Ja ich  
proponuję... sto dwadzieścia.*

*Czy zostało coś jeszcze do powiedzenia?*

*Aha, jeszcze jedno. Dla mnie, Sunni, dawne czasy są już martwe i  
zapomniane. Mam tylko nadzieję, że potrafisz mi wybaczyć za  
wszystko złe, co ci zrobiłam.*

*Twoja przyjaciółka  
Mae*

Mae usiadła wygodniej i przeczytała to, co podyktowała maszynie. A więc, pomyślała, moja walka o przyszłość rozpoczyna się od nowa. Walczę o nią dla dziecka. Nowej pieśni nowego życia.

Mae wyjrzała przez okienko strychu. Padał śnieg.

Przyszła zima, pomyślała podekscytowana. Zima jest mroczna, ogarnia cię całego, zapewnia bezpieczeństwo. Tę swoją nową zimę widziała jasno: długie szczęśliwe godziny we własnym starym domu, naprzeciw własnego świecącego ekranu.

O szarym poranku śnieg polatywał w powietrzu jak pierze. Sadowił się na szczycie kamiennego ogrodzenia i na dachówkach. Był to dobry, ciężki śnieg, padający z cichym sykiem, szybko gromadzący się w zaspę, miasteczko wyglądało jak otulone grubymi białymi poduchami.

Mae zawiązała chustkę na głowie. Otuliła się jednym z kozuchów Kwan. Kozuch krzywo wisiał jej na ramionach, był trochę za obszerny i nadal pachniał lanoliną. Wyszła na podest schodów, pstryknęła włącznikiem światła. Schody pozostały niewidoczne w mroku.

– Nie ma światła! – krzyknęła Kwan.

Zeszła na dół po omacku. Przez otwarte frontowe drzwi głównego pokoju wpadało szare światło.

– Wychodzę na śnieg! – krzyknęła. – Chodź ze mną!

Kwan roześmiała się cicho, z uczuciem, lecz także z irytacją. Wojsko nie pojawiło się dotąd, lecz jej przyjaciółka ciągle zachowywała ostrożność.

– Zostanę w domu.

Mae zeszła ostrożnie po śliskich schodach. Śnieg niemal całkiem pokrył już przymę nawozu przy stodole. Jej oddech wypływał z ust obłoczkami pary. Dźwięki wydawały się stłumione. Leżący na bruku podwórka śnieg wyglądał jak koronka, układał się w delikatny wzór zamrażany od spodu.

Mae pchnęła furtkę. Po raz pierwszy od wielu tygodni wyszła do wioski.

Świat wyglądał jak ułożony w łóżku śniegu, niczym przez

troskliwą matkę. Domy i terasowe pola pokrywały płachty śniegu. Po zboczach spływał z wysoka bezdźwięczny stuk dwudziestu, może trzydziestu owczych dzwoneczków, ktoś za długo przetrzymał je na pastwisku. Mae uśmiechnęła się, bo tak się działo rok w rok. Stary pan Pin? Leniwa pani Mack? Kto usiądzie w kącie Herbaciarni i pałac fajkę wodną, będzie uśmiechał się z zażenowaniem?

Mae wspięła się po dróżce, przeszła przez most. Niezniszczalne kaczkę dzielnie chlapały się w wodzie otoczonej pryzmami śniegu. Minęła furtkę gospodarstwa pani Doh, w którym królował jej przerażający pies, słyszała jego oddech i zgrzyt przerażających pazurów tuż obok, po drugiej stronie ogrodzenia. Czuła także zapach kolacji dochodzący przez uchylone kuchenne okno: czosnek, sos fasolowy, ryż.

Następna furtka otwarła się, gdy Mae przechodził obok niej. Wyszła przez nią przyjaciółka Sunni, pani Ali.

– Och! – krzyknęła zaskoczona, ale zaraz rozpoznała, z kim ma do czynienia. Na jej twarzy pojawił się wyraz wahania... i niemal natychmiast znikł.

– Witaj – powiedziała. – Śnieg pada.

Sytuacja była niezręczna. Wiejskie maniery nie pozwoliły im rozstać się bez wymiany choćby kilku zdań. Pani Ali dwukrotnie domykała furtkę, ze zwykłą dla niej dokładnością. Opatulona, wysoka, chuda i królewska, wyglądała nieco absurdalnie, jak chodzący słup telefoniczny.

– Jest bardzo piękny – wyznała Mae. – Dzięki niemu czuję się tak, jakbym wróciła do domu.

Chude babsko nie miało pojęcia, co powinno teraz powiedzieć, bo przecież Mae tylko traciła dom, i to nie raz. Wytrącona z równowagi pani Ali nie okazywała jednak wrogości.

– No cóż, wszystkie mamy miłe wspomnienia związane ze śniegiem. – Wahala się przez chwilę. – Słyszałam, że interes idzie ci dobrze?

Razem zaczęły schodzić ze wzgórza.

– Owszem. Mamy zamówienie z Ameryki na pięćset kołnierzyków. Nie mam pojęcia, jak sobie z nim poradzimy.

Tak daleko przekraczało to horyzonty pani Ali, że nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

– To rzeczywiście sukces – przyznała. Uśmiech na jej ustach wydawał się zamarznęty. – I to przynosi pieniądze?

– Zawarliśmy specjalną umowę. Jesteśmy w dobrych stosunkach z nowojorską sroką modową. Zaproponowałyśmy, że kto dołączy do naszego Kręgu, dostanie kołnierzyk po zaledwie dziesięć dolarów sztuka. – Tak, pomyślała Mae. To naprawdę oznacza pięć tysięcy dolarów. – Więc wśród wszystkich tych strasznych rzeczy, które zdarzyły się ostatnio, było też kilka nie takich strasznych. Panie z Kręgu dzielą się dochodami, a ja i Sunni znów jesteśmy przyjaciółkami.

Mae uniosła i opuściła brwi. To była jej oferta pokoju. Nie zapomnij, że mnie też zraniono.

Zatrzymały się przy gospodarstwie rodziny Okan, ostatnim domu na Upper Street. Pierwsza przystanęła pani Ali.

– Zauważyłam – powiedziała – że twoje przyjaciółki odnoszą wymierne korzyści.

Spojrzała na Mae, a w spojrzeniu tym było coś kompletnie niespodziewanego. Jej oczy uśmiechały się melancholijnie, jakby Mae była jednym więcej gorzkim żartem z tych, których życie nie szczędzi człowiekowi.

– Do zobaczenia. Nie mam smalcu, a że zima tuż-tuż, muszę wybłągać go trochę u Sunni. – Odwróciła się i poszła szybko pod górę, ku okazałemu domowi przyjaciółki.

Rozległ się groźny pomruk, dobiegający jakby wprost z nieba. Mae aż się skrzywiła. Zgrzytnęła skrzynia biegów, ryknął silnik i zza grzbietu wzgórza wyskoczyła ciężarówka. Pędziła Upper Street wprost na nią.

Wielka zielona ciężarówka na wielkich, głęboko żłobkowanych oponach.

Wojsko! Wielka pięść ścisnęła jej serce, aż nie mogło pompować krwi. Przytuliła się do ściany domu Okanów.

Wojsko! Wojsko! Wojsko! Serce Mae walczyło, jak tonący walczy o oddech.

Ciężarówka minęła ją, zielony brezent budy opadający na burty



w barwach maskujących, przymocowany grubą liną oplecioną na bolcach. Wojsko, wojsko, wojsko szturmujące wzgórze.

Zwolnili przed wjazdem na most. I pojechali w stronę domu Kwan.

Mae nie myślała. Pobiegła. Ślizgała się na zaśnieżonym bruku, mróz sięgał jej głęboko w płuca, jakby chciał zapuścić w nich korzenie. Błagam! Błagam! To była modlitwa.

Musi być tam, na miejscu. Musi opowiedzieć swoją historię, musi złożyć wyjaśnienia! Jestem „New York Times”! Jestem „New York Times”! Mae zabrakło tchu, musiała się zatrzymać, pochylić, oprzeć dłonie na kolanach. Płomień cięży wystrzelił jej przez gardło aż do ust. Przełknęła z wysiłkiem, wyprostowała się, ruszyła z wysiłkiem pod górę. Brama na podwórko domu Kwan stała otworem, nieobronna. Samo podwórko wypełniała ciężarówka.

Rozległ się mrozący krew w żyłach wrzask. Otworzyły się zielone drzwiczki. Wyskoczył przez nie mężczyzna wielki jak byk, w łaciatym mundurze polowym. Nim Mae zdążyła pomyśleć cokolwiek, już biegł w jej stronę: szybki jak błyskawica potężnie zbudowany młody mężczyzna. Mae zdążyła wyhamować, ale nie obrócić się i spróbować ucieczki.

Mężczyzna złapał ją... i obrócił. Raz, drugi, trzeci. Jej sznurowane buty oderwały się od ziemi. Wzleciała w powietrze. Podwórko Kwan wirowało wokół niej jak karuzela. Mężczyzna śmiał się, Mae czuła narastające mdłości. Mężczyzna ją pocałował.

– Niespodzianka! – krzyknął głosem rodem z koszmaru.

Mae próbowała stanąć równo na ziemi, ale była bezradna, nogi miała jak pletwy. Spojrzała na mężczyznę, zobaczyła jego błyszczące w uśmiechu zęby.

– To ja!

Świat zmienił bieg, jak poprzednio zmieniła go ciężarówka. Niezdolna zaczerpnąć tchu, z rękami przyciśniętymi do piersi, Mae nie miała pojęcia, co się dzieje.

– Lung? – spytała. – Lung! – krzyknęła przez jedną straszną chwilę pewna, że syn przyjechał tu aresztować jej najlepszą przyjaciółkę.

– Nie spodziewałaś się mnie, prawda? – Lung roześmiał się głośno.

– Nie – przyznała Mae słabym głosem. – Co cię tu sprowadza? Kolejny wybuch głośnego, wesołego śmiechu.

– Przywieźliśmy ci maszynę tkacką. – Grube jak konar ramię wyprostowało się, wskazało przestrzeń ładunkową ciężarówki.

– Och! – Co za ulga. – Och, och, och!

– Ten twój pan Oz powiedział mi, że wyprawiają ją w drogę i że to dla mnie dobra okazja, żeby się z tobą zobaczyć. Przywiozłem ci też nowy telewizor. Nikt cię nie uprzedził?

Ulga spłynęła po Mae powoli, przelała się w inne emocje.

– Och, Lung! – powtórzyła i przytuliła go, mocno, oparła się na nim, jakby był nowym wioskowym Tym Drzewem, zdolnym zakorzenieć wszystko co ważne na właściwym miejscu. Spotkanie z synem stało się nagle radosną okazją. I ta radość, oraz zastępująca niepewność ulga, wycisnęły jej łzy z oczu.

Lung poklepał ją po plecach ze śmiechem.

– Poznaj moich przyjaciół – powiedział.

Z kabiny ciężarówki wysiadło jeszcze dwóch żołnierzy, jeden niski, żyłasty, ukazujący popsute zęby w szerokim uśmiechu, i drugi, niepotrafiący się uśmiechać, smukły w biodrach, lecz o pucołowatej twarzy. W przyszłości miał zostać grubym brutalem. Obaj skłonili się, krótko, lecz grzecznie.

– Szeregowiec Ozer i sierżant Alkanuh – przedstawił ich Lung. – A to moja matka, pani Chung Mae.

Mae drżała z chłodu i zdenerwowania, a jednak zdołała odpowiedzieć na ukłony ich obu, po czym znów zwróciła wzrok na syna. Policzki miała pięknie zarumienione od chłodu. Towarzyszący mu żołnierze doskonale się bawili, łązy i w ogóle wyraz gwałtownych uczuć uznając za naturalne dla rodzinnego spotkania. W oknie stała Kwan, bardzo blada.

– Kwan! – zawołała Mae. – To mój syn Lung. Przywiózł nam maszynę do robótek! – Starła łzy z twarzy. Uśmiechnęła się najszerzej, jak mogła, by pokazać tym uśmiechem, że wszystko jest w największym porządku. – Kwan! Zejdź i zobacz mojego wielkiego nowego syna! To znaczy maszyna jest nowa!

Roześmiali się wszyscy, bo to była święta prawda. Lung wydawał się wręcz ogromny. Opuścił dom jako chudy przyszczaty siedemnastolatek. Poszedł do szkoły wojskowej, nie przyznając, nawet przed sobą, że boi się przyszłości. Wojskowe jedzenie i ćwiczenia sprawiły, że wyrósł, spotęźniał, zyskał na sile i sprawności. No i wyprzystojniał, och, jak wyprzystojniał! Zachwycona matka podziwiała regularne rysy jego twarzy, doskonałe zęby, doskonale przystrzyżone i uczesane czarne jak węgiel włosy.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – spytała i uderzyła syna lekko w ramię.

Jego przyjaciele zaczęli chichotać.

– Myślałem, że pan Oz ci powiedział. – Młody oficer uśmiechnął się nieszczerze, ale z wdziękiem.

– Lung chciał zrobić pani niespodziankę – poprawił go chudy żołnierz.

– I udało mu się, bez dwóch zdań. Byłam pewna, że już nie żyję.

– Oczy znów zdradziły Mae. Wylały łzy. – Od trzech lat go nie widziałam.

Otulona kurczowo przytrzymywaną przy szyi kurtką Kwan zeszła po schodach swego domu, drżąc niczym najdelikatniejsza porcelana ustawiona na chwiejnej półce. Wyglądała, jakby przed chwilą dostała silny cios w żołądek.

– Szanowna pani Wing – powitał ją Lung z wypraktykowaną, dorosłą grzecznością, na którą, wychowywany w domu, nie potrafiłby się zdobyć. Ukłonił się, nie kryjąc radości, ujął kruchą dłoń. – Jak to dobrze znów zobaczyć starych przyjaciół. – Uśmiechnął się. Nie wypuszczając dłoni Kwan, zwrócił się do matki: – Chodźcie, szybko, obejrzyjcie tę waszą piękną maszynę. – Podprowadził ją do ciężarówki od tyłu. Jednym zamaszystym gestem odrzucił brezentową płachtę.

Maszyna tkacka bardzo przypominała jego samego: wielka zielona khaki z brązowym.

– Szanowna pani Wing? – zapytał Lung ze śmiechem. – Gdzie zyczy sobie pani, byśmy ją ustawili?

Na to pytanie odpowiedziała Mae.

– Och, przecież nie tutaj! Wynajęłam nasz stary dom. Tam ją trzeba odwiedzić.

Lung nie uśmiechał się już tak naturalnie, nie patrzył na matkę, ale też udało mu się ukryć zażenowanie i smutek.

Tęgawy żołnierz ze śladem zarostu na brodzie, sierżant, ostrzegł:

– Lepiej jedźmy tam zaraz, panie poruczniku. Nim napada za dużo śniegu.

– I nie ma elektryczności – ostrzegła Mae.

Lungowi wrócił dobry humor.

– No przecież! – Parsknął śmiechem. – Tak jest każdej zimy z pierwszym śniegiem. No dobrze, załatwmy tę sprawę. – Jeszcze raz skłonił się szybko Kwan, po czym ruszył w stronę kabiny. Nogi miał potężnie umięśnione, jak najlepsze szynki. – Mamo, jedziesz z nami.

– Musimy się jeszcze zatrzymać u Sunni – oznajmiła Mae.

Syn wciągnął ją do szoferki. Brakowało w niej miejsca, więc posadził ją sobie na kolanach. Mae wydawało się dziwne to wsparcie ze strony własnego dziecka.

– Pamiętam, kiedy sadzałam sobie ciebie na kolanach – powiedziała.

Lung wyglądał jak beczka pełna jabłek, okrągłych i czerwonych. Wiedziała oczywiście doskonale, że patrzy oczami matki, ale też nie miała żadnych wątpliwości, że jej syn wygląda znacznie lepiej od podwładnych, którzy obok niego wydawali niewidzialni, jakby jego blask odbierał wzrok niczym promienie słońca.

Nic dziwnego, że kochają się w tobie zachodnie dziewczyny, pomyślała Mae. Muszą się w tobie kochać. Sama czuła, że się w nim zakochuje od nowa. A więc taki jest mój dorosły syn porucznik Chung.

Uświadomiła sobie, że Lung jest najprzystojniejszym mężczyzną ze wszystkich, których zdarzyło się jej poznać w życiu. Przystojniejszym od gwiazd filmu. Ale pachniał inaczej niż ci wszyscy śliczni chłopcy i z całą pewnością nie był kruchy, wydelikacony. Ktoś taki jak on, to się rzucało w oczy, skacze z samolotów ze spadochronem, a głębokie wąwozy przekracza po

moście linowym.

Pomyślała o Joem. Nic dziwnego, że taki był dumny z owocu swych lędźwi i tak się nim zachwycał. Nic dziwnego, że nie chciał mówić o niczym innym. Lung był jedynym, co udało mu się w życiu zrobić dobrze.

– Tu stajemy – powiedział do chudego kierowcy.

Prowadzona przez zawodowca ciężarówka zatrzymała się gładko, bez poślizgu na śniegu. Sunni powitała Lunga bardzo uprzejmie, zupełnie tak, jakby rodzina Chungów nie rozpadła się w atmosferze skandalu. W jej kuchni ciągle czuć było gaz. Oświetlała ją gazowa lampa.

Mae powiedziała jej coś cicho o ustawieniu maszyny w starym domu. Sunni tylko machnęła ręką, manifestacyjnie i arystokratycznie, lecz jednocześnie jakoś zrzędlawie. Mae nagle wyobraziła ją sobie jako starą kobietę. Zauważyła też, że Sunni już się starzeje, ale że starość będzie jakoś do niej pasowała.

– Och – oznajmiła Sunni – Już rozmawiałam z moim mężczyzną. Powiedziałam mu, że ten starość nic nam nie przyniesie, że można byłoby go oddać dzierżawcom, a kto by chciał dzierżawców? Same z nimi kłopoty, chcą domu za darmo na dodatek do ziemi. A tak! Piętnaście rielsów miesięcznie...

– Dwanaście – poprawiła ją Mae.

– Dwanaście – zgodziła się Sunni. – Ale dwanaście dlatego, że chcę zobaczyć tę maszynę.

Obie panie musiały usiąść na kolanach Lunga, jedna na jednym, druga na drugim.

Śnieg padał nadal, przemykał smugami za zamkniętymi oczami jadącej ciężarówki. Jego płatki wyglądały jak spadające gwiazdy, mieli wrażenie, że przemierzają kosmos.

Stary dom pojawił się nagle, jakby wyszedł im na powitanie szary niczym duch.

– Otworzę bramę – powiedziała Mae.

Wysiadła. Pochyliła się, podniosła bolce obu skrzydeł. Dziwiła się, że nie czuje nic więcej. Śnieg, brak prądu, Lung, maszyna... za dużo działało się wokół niej, by czuć ból po tym, co się zdarzyło i co straciła. I bardzo dobrze.

Brama otworzyła się, rozsiewając lśniące cekiny błyszczącego odbitym światłem śniegu. Wielka zielona ciężarówka wjechała na podwórko, omal nie zabierając ze sobą nadproża bramy. Wszystkie kury pana Kena na szczęście schroniły się przed chłodem w kurniku, bo inaczej co najmniej kilka zostałoby przejechanych. Wóz skręcił i się cofnął. Dom pana Kena stał ciemny, jakby mieszkańcy go opuścili. Jej sznur do bielizny został zdjęty i porządnie zwinięty, drzwi kuchenne zamknięto, pieńek do rąbania drewna leżał na boku. Mae poszła otworzyć wierzeje stodoły.

Zasuwa mroziła jej dłonie, stare drzwi zaskrzypiały, jakby nie podobało się im, że ktoś je budzi. Klepisko ubite było tak twardo, że bardziej przypominało polerowany kamień. Pochyliło się w jedną stronę, jak całe podwórko.

Z ciężarówki wysiadł Lung. W rękę trzymał coś przypominającego pilota. Sunni chowała się za nim, jakby coś ją przerażało.

Mae podeszła do nich.

- Maszynę musimy na czymś postawić - oznajmiła.
- Dlaczego?
- Bo tu zdarzają się powodzie.

\*\*\*

Pukając do drzwi domu pana Kena, Mae miała wrażenie, że na jej sercu zaciskają się mocno elastyczne opaski. Wpatrywała się w stare szare drewno. Czekwała niezdolna oddychać, czując na plecach spojrzenie Lunga. Usłyszała kroki, drzwi się otworzyły...

Stał w nich on. Pan Ken. Wyglądał starzej, niż go pamiętała, wydawał się bardziej... zużyty, ale od tamtej pory spotkała przecież Hikmeta Tuncha i własnego syna. Na jej widok zamrugął, oczy mu się rozszerzyły, przesunął szybko wzrokiem po jej twarzy, a potem spojrzał nad ramieniem Mae i zobaczył ciężarówkę. Spróbował przycesać włosy. Sprawiał wrażenie oszołomionego, zażenowanego.

- Witaj, Mae - powiedział. - Co tu się dzieje?

Nie było czasu na tęsknotę, na wspomnienia, nawet na

najprostsze danie do zrozumienia, że coś się kiedyś zdarzyło. Nie na oczach syna Joego.

– Witaj – przywitała gospodarza jak gdyby nigdy nic. – Przykro mi, że tak ci się narzucam, ale chcemy wstawić nową maszynę do stodoły...

– O tym musiałybyś porozmawiać z moją matką...

Mae przerwała mu bezceremonialnie.

– Tak naprawdę stodoła należy do Sunni, a z nią już rozmawiałam. Wspominałeś kiedyś, że nie korzystasz z kamiennych koryt. Mógłbyś mi je pożyczyć?

Ken patrzył na nią z wyrazem twarzy niemożliwym do odczytania. Spotykamy się znowu, ty i ja, i o tym rozmawiamy?

– Wracam do tego domu – oznajmiła Mae. – Niedawno zdecydowałam.

Stojąca za nią Sunni powiedziała do Lunga:

– Mam klucze. Wnieśmy telewizor do środka.

Kuei bezradnie machnął ręką.

– Bierzcie je, jeśli chcecie. Są bardzo stare. Po co wam one?

Nie byłoby uczciwie nie ostrzec sąsiada.

– Przyjdzie Powódź. Zmyje wszystko. Muszę postawić maszynę wyżej, bo i ją stracę.

Pan Ken przyglądał się jej nieufnie.

– Mówisz jak moja babcia. Każdej zimy ostrzegała nas przed Powodzią.

– Tym razem to prawda.

W porządku, możesz mi nie wierzyć, jeśli chcesz, pomyślała. Nie mam czasu na spory. Silnik ciężarówki cały czas pracuje, Lung też. Obejrzała się przez ramię. Telewizor wyładowano już z paki ciężarówki.

– Mogę dostać te koryta? Zapłacę ci za nie, ile chcesz.

Pan Ken podniósł dłoń.

– Ależ proszę, bierzcie je.

Mae skinęła głową. Uśmiechnęła się. Miała nadzieję, że jej oczy powiedziały mu coś, nawet w tak krótkiej chwili. W jakiejś formie powiedziały: „pamiętam”.

– Ale odbiorę je, jeśli Powódź nie przyjdzie – dodał jeszcze pan

Ken ponuro i zamknął jej drzwi przed nosem.

Zamrugła zaskoczona, bo było to takie nagłe. Odwróciła się powoli i weszła do domu za telewizorem, z wysiłkiem dźwiganym do środka.

- Jest, jest, ma swoje miejsce - cieszyła się głośno Sunni, za szeroko uśmiechnięta, zbyt szczęśliwa. Odwracała uwagę od Mae.

Mały, ciemny dom pachniał kurzem. W stojących na stole talerzach zeszywniały kluski. Kilka starych sukienek nadal wisało na ścianie, jakby zakonserwował je chłód. Lung wbił wzrok w podłogę zawstydzony.

- Konwertuje do Tlenowania? - zainteresowała się Sunni, postukując w obudowę telewizora.

- O tak! Spodziewam się, że Sezen użyje go dla swego Collabo.

- Mogę go wynająć? - Kiedy Mae zawahała się, Sunni pośpieszyła z wyjaśnieniem: - Ja chcę prezentować modę z najwyższej półki. Możemy podzielić rynek.

- Widzę w tym pewne możliwości. Porozmawiamy jutro.

Dwie ekspertki modowe skinęły jednocześnie głowami, przymykając oczy. A potem coś się wydarzyło. Jakby powiedziały sobie „tylko nas posłuchaj!”. I obie jednocześnie wybuchły śmiechem. Śmiały się same z siebie.

- Rekiny przemysłu - powiedział Lung. On też się uśmiechał.

\*\*\*

Rycząc silnikiem, ciężarówka wjechała na podwórko Kwan. Trwały tu gorączkowe przygotowania do zabawy. Traktor z pracującym silnikiem oświetlał tę scenę reflektorami, Pan Wing i Pan Atakooloo ustawiali stoły. Dzieciaki, wystawiające głowy za bramę, odwróciły się i uciekły do domu. Pierwszy śnieg świętowano zawsze, a tego roku miano go świętować w Wielkim Domu.

Podwórko od frontu szybko wypełniło się ludźmi. Ciepłe wino stało na piecach, wydzielając obłoki pary tak gęste, jak obłoki pary wydostające się z ludzkich ust. Mężczyźni, z kubkami z winem w dłoniach, stali na stopniach domu pana Winga. Lung wkroczył w ich tłum, potrząsając dłońmi i popisując się pamięcią



do nazwisk. Mae towarzyszyła mu, jak wypadło matce.

– Ach, jak wyrosłeś – powtarzali mężczyźni, zdejmując czapki z głów na znak szacunku.

Pan Ali zastąpił mu drogę.

– Twój ojciec dużo nam o tobie opowiadał. Jesteś już porucznikiem, prawda?

– Tak. Miałem szczęście. Awansowano mnie przedterminowo.

– Ojciec jest z ciebie bardzo dumny. – Pan Ali spojrzął na Mae, upadłą matkę.

– Miło mi to słyszeć. Teraz mieszka w Balshang, więc codziennie się widzimy. – Lung uśmiechnął się uprzejmie i odszedł. Nie ukrywał, że pragnie przerwania tej rozmowy.

– Dobry wieczór, panie Ali. – Mae dopilnowała, by wyglądać i mówić jak ktoś bardzo z siebie zadowolony. – Lung kupił mi wielką maszynę tkacką. Jest automatyczna i inteligentna. Dzięki niej Krąg Pań będzie w stanie wykonać wszystkie zamówienia.

Pan Ali był lotny niczym blok ołowiu. Gapił się na Mae gniewnie, lecz w milczeniu.

– Pan też świetnie wygląda – dodała Mae głosem dzwoneczka. – Jest pan taki pulchny. Oczywiście nie chciałam pana urazić.

Pan Ali przepchnął się obok niej, udając, że idzie dolać sobie czerwonego wina.

Pojawiła się jej rodzina: Ju-mei, jego żona, matka Mae i, z pewnością po głębokim zastanowieniu, Siao i stary pan Chung.

– Lung! Lung! – zawołał Ju-mei.

– Wujek!

I znów Mae musiała się zastanowić. Po namyśle uznała, że powinna pozwolić Lungowi na przywitanie z wujem bez jej udziału. Mężczyźni objęli się, poklepywali po plecach. Ju-mei miał na sobie ciężką rosyjską kurtkę i kapelusz Pork Pie. Wyglądał jak przywódca partii politycznej. Lung zatrzymał się na widok swego wujka Siao, aż zamrugał ze zdziwienia, kiedy zorientował się, że rodziny są ze sobą w przyjaźni. Siao potrząsnął jego dłonią, a potem puścił do niego oczko. Też się objęli i przytulili, ale nie tak mocno, nie na pokaz. Lung dorastał z Siao będącym dla niego bardziej starszym braciszkiem niż wujkiem.

Siao podniósł wzrok, zobaczył Mae i gestem poprosił, by podeszła bliżej.

Doskonale, pomyślała Mae. Robię to dla ciebie. Pamiętam, że nigdy się ze mną nie kłóciłeś, nigdy mnie nie przeżywałeś. Zaskoczona stwierdziła, że jest, jak spodziewała się w głębi serca: Siao prowadził trudne sprawy spokojnie, tak że w końcu wszystko obracało się na dobre.

Za to, gdy tylko podeszła kilka kroków bliżej, twarz jej matki zamknęła się jak torebka. Stara pani Wang cofnęła się za obszerną rosyjską kurtkę Ju-mei, którego twarz była jak biały steatyt.

Milczenie przerwał Siao.

- Mae, co u ciebie słyhać? – spytał.
- Mogę z radością stwierdzić, że interesy idą doskonale.
- I cieszysz się, że widzisz Lunga – dodał Siao.
- Rzeczywiście. – Mae roześmiała się cicho.

Stara pani Chung powoli mrugała. Wyglądała jak żółw. Ale ukloniła się, z szacunku, a może tylko po to, by formom stało się zadość.

– Wszyscy jesteśmy szczęśliwi, że cię widzimy, Lung.

Ju-mei uśmiechnął się nienaturalnie i skłonił w pasie ze sztywną górną połową ciała, jak kruk dziobiący coś, co samochód rozjechał na drodze. Starał się wyrazić szacunek oficerowi będącemu jednocześnie jego siostrzeńcem. Nikt nie czuł się tu swobodnie. Mae rozejrzała się dyskretnie. Skupione w grupę rodziny Ali i Doh przyglądały się im przez ramię. Miały niezłe przedstawienie: oto rodzina porzuconego męża w towarzystwie zdradzającej go żony i jej brata.

– Ludzie się gapią – szepnęła matka Mae żałośnie.

Córce zrobiło się jej żal, była taka drobna i taka przestraszona.

- Nie zwracaj na nich uwagi – poradziła.
- Łatwo ci powiedzieć. Jesteś kobietą bez twarzy, nie możesz jej stracić. Nawet nie przyszłaś do nas z wizytą.

No to jak, mamó? Wstydzisz się mnie czy jesteś na mnie wściekła, bo nie przyszłam z wizytą? Czy może szukasz jakiegoś trzeciego powodu, by być nieszczęśliwą?

Do rozmowy włączył się Siao.

– Być może Mae zawstydzona, że rodzina jej męża mieszka z panią, szanowna pani Wang.

– Przypisujesz jej delikatność – zaprotestowała matka Mae. – Ju-mej, ja tego nie zniosę. Robią ze mnie przedstawienie. Całe życie robiono sobie ze mnie przedstawienie. Myślałam, że to się już skończyło, ale zawsze coś się dzieje. Tak bardzo czekałam na pierwszą zimową zabawę, ale muszę... muszę... – I matka Mae zaczęła drzeć.

– Zostań tu, mam. Właśnie szłam do kuchni.

Lung sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

– Przyjdę tam za jakiś czas – obiecał matce.

Mae uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, po czym pożegnała się ze wszystkimi po kolei. Wyprostowała się na całą swą wysokość, obróciła bokiem, by łatwiej przedrzeć się przez tłum. Zeszła po schodach do kuchni domu Kwan.

Zastała ją przy pracy, ubraną w najlepszą sukienkę. Na stołach już piętrzyło się jedzenie.

– Dobrze myślałam, że zabawa przeniesie się tutaj – powiedziała na widok przyjaciółki.

Jeśli z pierwszym śniegiem następowała też awaria elektryczności, bawiono się zawsze na czymś podwórku.

Mae poczuła nagle ciężar w żołądku. Musiała usiąść. Były same, więc powiedziała szybko:

– Nie mam pojęcia, co jeszcze wiedzą ci żołnierze, więc lepiej zachować ostrożność.

W panującym w kuchni półmroku kobiety wymieniły spojrzenia. Mae ujawniła, wobec kogo zamierza być lojalna. Z zewnątrz dobiegł wybuch śmiechu. To Lung dokończył jakąś historyjkę.

– Mogę pomóc? – spytała Sunni.

Kwan odwróciła się do niej z szerokim uśmiechem. Nie dała się zaskoczyć.

– Sunni! – krzyknęła radośnie. – Witaj! Oczywiście! Jest mnóstwo do zrobienia.

W kuchni Kwan były same, tylko we trzy. Na ścianie wisiały

warkocze czosnku, nie brakowało też stosu wiejskiego chleba.

– Mogę odświeżyć chleb – zaoferowała się Sunni. Wiejski chleb był suchy, należało go rozmoczyć.

– Ja mogę oczyścić fasolę – powiedziała Mae.

– Och, jak miło będzie popracować tylko we trójkę. – Kwan przyklekła. Wyciągnęła wiadro wody i tacę do namaczania chleba.

– Oczywiście nie ma jak dobre towarzystwo. – Sunni uśmiechnęła się do Mae. Kuchnia pachniała ryżem i wieprzowiną.

– Och! Gotowany ryż z soją i słoniną! Zupełnie jak w domu. – Sunni, choć muzułmanka, wychowywała się w liberalnej rodzinie.

Mae łuskała i czyściła fasolę. Sunni wyjęła kukurydzianą fajkę, Kwan poszła w jej ślady.

– Wyglądamy jak stare babcie – orzekła Sunni.

– Bo już prawie nimi jesteśmy – zauważyła Mae.

– Tak tylko mówisz!

– Lung wkrótce się żeni... – Mae nie powiedziała całej prawdy. Nie mogła przecież przyznać, że własny syn nie zaprosił jej na wesele.

– A pewnie. – Sunni skinęła głową. – Jest prawdziwym skarbem. Każda mądra dziewczyna chciałaby go dla siebie. Jak najszybciej.

– Jego dziewczyna jest z Zachodu. Bardzo ładna, wykształcona i twierdzi, że mnie lubi. Z powodu screenów. Jak można lubić kogoś za screeny?

– Och – zasmuciła się Sunni – więc go stracimy?

Mae nie odpowiedziała od razu. Zastanawiała się.

– Owszem – przyznała w końcu. – Jestem pewna, że zostanie co najmniej w Balshang. A kto wie, może nawet pojedzie za nią do Kanady?

– Wspominał coś o tym, co się stało? – spytała Kwan. Chodziło jej o rozbitcie małżeństwa Mae.

– Owszem. – Mae zajmowała się fasolą, ale zajmowała ją też zaistniała sytuacja. – Przede wszystkim powtarza, że wybacza mi to, co zaszło. Ale nie sędzę, by mi naprawdę przebaczył.

– Ach! – podsumowała sytuację Sunni.

– Nie sędzę, by coś zrozumiał.

– Nie sądzę, żebym ja coś zrozumiała. – Sunni westchnęła.

Kwan pracowała w milczeniu. Siedziała sztywno, jakby czegoś się obawiała.

– To była miłość – powiedziała Mae cicho.

– Och, potrafisz zrozumieć miłość. Rozumiem, dlaczego wyszłaś za Joego. I dlaczego się nim znudziłaś. Przepraszam, jeśli mówię zbyt otwarcie.

– Co prawda, to prawda – mruknęła Kwan. Sunni mówiła bardzo otwarcie.

– O takich sprawach nie da się mówić inaczej. Ale nie rozumiem, dlaczego teraz, kiedy Joe odszedł z tą poduszką na igły, nie jesteś z panem Kenem.

– Och! – Na to pytanie Mae nie miała gotowej odpowiedzi.

Sunni poklepała jej dłoń.

– Joe cię zostawił. To wyrównuje rachunki. Możesz żyć ze swoim panem Kenem. Wszyscy w końcu się do tego przyzwyczaimy.

– Nie boję się wioski, tylko czasem zastanawiam się, czy nie kocham pana Kena dlatego, że tak bardzo kochała go babka.

– Ach! – Dłoń Sunni zadrżała.

– Chyba czasami patrzę na niego oczami starej pani Tung.

Wydawało się, że kuchnia wstrzymała oddech. A potem do środka wszedł Lung, szeroko uśmiechnięty.

– Ach, drogie panie, co macie dla nas pysznego?

Pora wrócić do pracy.

Panie wyniosły kadzie przysmażanej fasoli, wilgotnego puchnącego chleba i dzbanki ryżowego wina, w którym pływały palące chili. Z radia wojskowej ciężarówki płynęła Lectro z radiostacji w Balshang, potężne wojskowe anteny umożliwiały odbieranie sygnału ze stolicy. Kizuldah usłyszało reklamy hipermarketów, papieru toaletowego i klubów, w których można odtwarzać pliki Tlenu na wielkich ekranach telewizyjnych.

Mieszkańcy wioski znienawidzili tę muzykę. Z akumulatora ciężarówki przeprowadzono kabel do odtwarzacza kasetowego i dla starych rozbrzmiała ich ulubiona, tradycyjna.

Na podwórku i w stodole stłoczyło się czterysta osób. Mimo śniegu, padającego i padającego, jakby gwiazdom przestało się

chcieć trzymać nieba.

Ludzie się śmiali. Popijali herbatę z kubków, a potem do tych kubków nakładali ryż i fasolę. Kwan, Sunni i Mae chodziły wśród obecnych, rozdając jedzenie. Mężczyźni musieli brać fasolę od Mae, w tej sytuacji nie mieli innego wyjścia. Patrzyli na nią, nie odzywali się, zachowywali się odpychająco przez lojalność wobec Joego. Tylko że Joego tu nie było. No i Joe uciekł z żoną pan Muhammeda. Zatem brali jedzenie w milczeniu, przez co obecność Mae, choć niechciana, wydawała się naturalna.

Niektórych młodszych mężczyzn pokonał chłód. Rozpierała ich energia. Cieszyli się z końca pracy i końca roku. Zaczęli tańczyć. Dziewczęta piszczały i udawały takie nieśmiałe, ukrywały twarze w dłoniach, odwracały głowy. A potem odwracały je z powrotem, żeby popatrzeć na tańczących. Kobiety zamężne potrząsały głowami z żalem. Starsi mężczyźni zasłaniali sobie uszy, jakby nienawidzili muzyki w ogóle, ale przechylali się na boki i przestępowali z nogi na nogę, a każdy chciał sprawić jak najlepsze wrażenie.

– Zawsze wiedziałam, że mężczyźni bardziej interesują się sami sobą – powiedziała pani Mack.

Pani Mack? Mae roześmiała się, położyła jej dłoń na ramieniu. Pani Mack, traktująca Mae lepiej od innych, też roześmiała się cicho. Śmiała się z siebie.

– Czy ja to naprawdę powiedziałam?

– Obawiam się, że tak. Niegrzeczna z ciebie zachodnia kobieta – zażartowała Mae.

– Och! – Pani Mack niezbyt pasował ten obraz. Nie przy jej odrobinę stęchłym chrześcijaństwie. – I nawet wyglądałam jak dziewczyna na motocyklu.

– Przepraszam. Ale nie zapominaj, że to ja jestem naszą wioskową kobietą upadłą.

– Ach! Wioska. – Pani Mack westchnęła. – Chętniej wybaczą morderstwo.

– Nie zwracaj na nich uwagi, Mae – poradziła pani Pin.

Pani Mack pochyliła się w stronę Mae.

– O ile wiem, brakuje wam rąk do pracy w waszym Kole? Dobrze

szyję i...

Mae nadal bardzo potrzebowała sojuszniczek.

– Ależ tak, oczywiście, jeśli chcesz się do nas przyłączyć, bardzo proszę. Dlaczego nie zrobiłaś tego wcześniej?

Pani Mack była zbyt chrześcijańska, by nie być szczerą.

– Nie wiedziałam, że tyle na tym zarabiacie.

To twierdzenie trudno było skomentować.

– A mówią, że pieniądze nie kupią przyjaźni – powiedziała Mae.

– Bo nie kupią. – Pani Mack pozostała szczerą do końca.

Pani Doh, dla której takt był czymś naturalnym, przewróciła oczami. To była jej ocena zachowania przyjaciółek.

– Rozumiem przez to – powiedziała Mae po krótkiej chwili milczenia – że nasza przyjaźń jest cenniejsza od pieniędzy.

Tym razem to pani Mack milczała dłuższą chwilę.

– Jeśli sobie życzysz... ale ja przecież nie bardzo się dla ciebie liczyłam. Nie liczyłam się dla nikogo w tej wiosce.

Kiedy to mówiła, oczy pani Mack były smutne.

– Jutro będziemy pracować w moim starym domu. Proszę do nas dołączyć. Wszystkie do nas dołączcie.

– Bardzo to z twojej strony uprzejmie skierować do nas tak wartościowe zaproszenie. – Przymrużone oczy pani Doh i drobne zmarszczki na jej czole mówiły dobitnie, co sądzi o chrześcijańskich manierach pani Mack.

Wśród zgromadzonych na dworze zapanowało jakieś poruszenie, którąś z dziewcząt krzyknęła: „Och!”.

Do tancerzy dołączył Lung. Skoczył w ich grupę bez śladu zażenowania, wręcz przeciwnie, widać było, że sprawia mu to wielką przyjemność. Zatańczył, ale tak, jak powinno się tańczyć wiejskie tańce: z rozmachem, z radością, kołysząc biodrami, ramionami, całym ciałem w płynnych, lecz pełnych siły ruchach. Tego właśnie potrzebowała zabawa, by wreszcie się rozkręcić.

Niektóre kobiety krzyknęły, melodyjnie, lecz wojowniczo. Mężczyźni podjęli wyzwanie. Co grubszy i powolniejszy znaleźli się w środku. Siwe brody kpiły z siebie nawzajem lub demonstrowały, że kiedyś potrafiły stawić czoło najlepszym. Ale nikt nie potrafiłby dorównać Lungowi.

Zaczął klaskać w dłonie wzniesione wysoko nad głowę. Obrócił się wokół własnej osi. Co młodsi mężczyźni z wioski zgromadzili się wokół niego, by zatańczyć z podobnym wigorem. Szeregowy Ozer wyłączył radio w kabinie ciężarówki. Ucichło Lectro, podwórko zalała tradycyjna muzyka fletów, skrzypiec i tabli.

Lung zaśpiewał. Umiał śpiewać, a jego głos, im donośniejszy się stawał, tym mniej był głosem Wydry z Balshang czy Żołnierza Karzistanu, a tym bardziej szczęśliwego wieśniaka, najedzonego i tańczącego, by rozgrzać się w zimowy wieczór. Każda wioska ma kogoś takiego, swego Tatlisesa, Słodki Głos. Głos Lunga ślizgał się po nutach, jakby przed nimi uciekał, uciekał przed porządkiem, by płynąć z krwią pompowaną przez serce.

– *Gel, gel, goomooleh gel* – śpiewał. „Wejźdź, wejźdź do gościnnego domu”.

Ludzie tańczyli, klaskali w dłonie, nawet kobiety zaczęły płasać w śniegu, a muzyka mówiła im, kim są.

Serce Mae, tak bardzo spragnione towarzystwa, wypełniło się nim w nadmiarze. Czuła, jak napina się, niczym brzuch, jak wypełnia ją światło, gwar i jej własny syn.

Joe też był bohaterem wioski, pojawiła się w jej głowie nieproszona myśl. W młodości.

Powietrze jest coraz cieplejsze. Jak zawsze, kiedy pada śnieg.

Jest zbyt ciepłe – ostrzegła pani Tung. Tylko to była w stanie powiedzieć. Za ciepłe, za ciepłe – powtarzała raz za razem.

\*\*\*

Ludzie rozeszli się późno, przy okazji zaganiając dzieci do łóżek. Wyuczeni dyscypliny żołnierze zajęli się sprzątaniem. Zebrali misy, kubki i łyżki z szybkością niedostępną kobietom. Kwan tylko potrząsnęła głową.

– Drogie panie, jesteście zbędne – zażartowała.

– Dlaczego armia nie stacjonuje w naszej wiosce przez cały czas? – spytała pani Nan.

W kuchni trzech żołnierze wyczyścili sztućce, a potem zagotowali wodę w garnkach, co oczyściło je z tłuszczu i resztek skrzepłej fasoli.



– Prześpimy się w ciężarówce – oznajmił Lung.

Kwan nalegała, by zostali u niej, twierdząc, że ma gościnne pokoje. Żołnierze podziękowali jej grzecznie i kręcąc głowami, poszli po torby.

– Odprowadzę cię na górę – powiedział Lung do Mae.

– Tu nic złego raczej mi się nie stanie. – Mae uśmiechnęła się. Rozumiała, o co chodzi synowi: musieli porozmawiać.

Wchodzili na piętro, a radość zabawy pozostawała za nimi, coraz dalej i dalej. Lung niósł świeczkę, Mae musiała wziąć go pod ramię w ciemności. Przypomniała się jej ich niedawna, nieprzyjemna wymiana zdań przez pocztę głosową.

W pokoju Lung pomógł matce zdjąć i złożyć porządnie chustę i kożuszek.

– A więc dostałaś moje ostrzeżenie – powiedział raczej, niż zapytał.

W ciemności Mae wydawało się, że widzi parę wydobywającą mu się z ust wraz ze słowami i że ta para mży światłem.

– Więc to byłś ty?

Mae myślała szybko: jeśli to Lung mnie ostrzegł, nie Tunch, to znaczy, że wojsko wie. Czy to on wysłał też ten drugi kod? Jeśli tak, to czy jest przyjacielem? Jeśli nie, nie wolno jej powiedzieć mu ani słowa więcej.

– Tak – szepnęła Lung. – Ciii...

Mae myślała szybko. Kalkulowała.

– Wiesz o Kwan?

– Tak. – Prosta odpowiedź jednym słowem.

– Czy jest w niebezpieczeństwie? – Mae czuła mdłości.

Jej syn westchnął z ulgą.

– Nie sądzę. Już nie. Tamte screeny znikły. Z nią wszystko powinno być w porządku. Cokolwiek by o tym powiedzieć, przyniosła Kizuldah sławę. Możesz zaproponować jej... to by było zdecydowanie najlepsze... by pokazała nowe screeny naświetlające problem z obu stron.

W tym momencie powietrze skisło niczym mleko. Skwaśniało.

– No wiesz, jak rząd opiekuje się Eloi, daje im mieszkania...

– Lodówki w Balshang – mruknęła Mae.

- Oczywiście. - Lung wydawał się tak zadowolony, że w uśmiechu niemal pokazał zęby.

- I dzięki temu nikt nie będzie się zastanawiał, gdzie też przeniosła się strona - dodała Mae.

- Jesteś bardzo mądra - pochwalił ją Lung. - Ale z drugiej strony... zawsze byłaś mądra, mammo.

Mae myślała: przyjechałeś, żeby osiągnąć właśnie to. Żeby strona Kwan wykonała za rząd pracę rządu. Nie, inaczej - przyjechałeś, bo musisz chronić swą karierę w armii.

Lung się rozluźnił. Uznał swe obowiązki za wypełnione.

- Kto by pomyślał, że zdołasz dokonać czegoś tak wielkiego? Strona, interesy... gdzie się tego nauczyłaś?

Mae siedziała w mroku, czujnie mrużąc oczy. Czego chciał się dowiedzieć teraz?

- Och! Twoja matka nie jest aż taka głupia - powiedziała lekko.

- Wszystko można przecież znaleźć w telewizorze.

- No i jest jeszcze pan Hikmet Tunch. - Lung rzucił to nazwisko, jakby nic nie znaczyło.

- Owszem, jest.

- Jak go znalazłaś?

- To on znalazł mnie.

Dziwne uczucie, być przesłuchiwanym przez własnego syna w ciemnym, nieogrzewanym pokoju, jakby oboje umarli i powrócili na ziemię jako demony.

Jej martwy syn roześmiał się krótko i chyba z irytacją.

- Ach nie, chodzi mi raczej o to, co o nim myślisz.

- A ty? Co o nim myślisz?

- Moim zdaniem powinnaś trzymać się od niego z dala.

Mae postanowiła nie zadać mu pytania: „A co myśli o tym armia?”. Uznała, że lepiej będzie go zwodzić, by osłonić Kwan, ja samą i jej Krąg.

- Dlaczego? - spytała niewinnie.

- Posłuchaj mnie. Rząd go toleruje, dostarcza pieniędzy, ale on, tam u siebie, robi rzeczy, które wszędzie indziej są nielegalne. Wiesz, od czego zaczynał?

- Studiował komputery?

- Oj, mammo! Był największym w kraju przemytnikiem narkotyków. Nie ruszają go, bo prowadzi teraz biznes z komputerami.

- Nasz rząd postępowałby w ten sposób? - Mae dobrze udała zdumioną.

- Nasz rząd postępuje na wiele sposobów.

A ty jesteś jego sługą, pomyślała Mae. Patrzysz wprost w twarz temu, co robisz, ale będziesz służył, bo tak zostaje się porucznikiem. Kwan nigdy nie postawi strony takiej, jaką chciałbyś mieć. Wszyscy, synu, możemy skończyć, patrząc ci w oczy... i w wymierzoną w nas lufę.

Przybądź, Tlenie i wywiej ten rząd tak daleko, by nie wrócił.

- Co zamierzasz zrobić z ciężką? - spytał jej syn.

Mae czuła, jak napina się jej skóra twarzy, aż twarz zastygła w maskę.

- To, co robi się zwykle - odparła.

- Ale to nie jest zwykła ciężka.

Mae przyglądała się wiankowi pary wydobywającemu się z jej ust wraz z lodowatym oddechem.

- Kto ci powiedział?

Lung westchnął ciężko.

- Ten facet. Tunch. To znaczy...

- Powiedziała ci to pielęgniarka imieniem Fatimah.

Jej syn drgnął i roześmiał się. Bystrość matki go rozbawiła.

- No tak. Przynajmniej ona naprawdę się o ciebie martwi.

- Owszem. Być może oboje powinniśmy unikać Tuncha?

Nie potrafiła odczytać reakcji Lunga. Wzruszył ramionami, roześmiał się, skinął głową.

- W tym się zgadzamy - powiedział i z troską spytał: - Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

Mae nie miała zamiaru mu odpuścić, przynajmniej na razie.

- Nie. Mam mdłości i, co widziałeś na własne oczy, nie wszędzie jestem mile widziana.

Syn nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy. Wbił wzrok w podłogę, przesunął dłonią po włosach.

- A jak twój ojciec?

– Brrr... – Warknął, nim zdołał się pohamować.  
– Widujecie się często? Odwiedza cię?  
– Nie mogę się przed nim ukryć, mamó. Spędza u nas cały każdy weekend. Czasami muszę mu mówić wprost: „Słuchaj, tato, dziś przychodzą do nas na obiad oficerowie”.

Ciemno, ciemno i zimno jest w tym pokoju na poddaszu, nie jej poddaszu.

– A czy oficerowie mają go za interesującego?

– Nie, mamó. Nie mają go za interesującego. Upija się, przechwala, czego to dokonał, udaje wielkiego biznesmena.

I Tsang, pomyślała Mae. Ciekawa jestem, jak podoba ci się ta przejrzała brzoskwinka, którą ludzie muszą brać za twoją matkę.

– Z pewnością odwiedza także twoją siostrę Ying.

– No tak. U niej też bywa. Ale Ying ma męża oficera.

Mae doskonale potrafiła to sobie wyobrazić: Joe, zdesperowany, beznadziejnie zakochany w synu, marzący tylko o tym, by nie spuszczać z niego wzroku, takiego dużego, takiego mądrego, i równie rozpaczliwie pragnący nie widzieć, że przeszkadza i jemu, i jego siostrze.

Nie jesteś aż taki sprytny, Lung. Syn wart ojca, tego wieczoru z jakiegoś powodu zobaczyłam to bardzo jasno. Wyżej nie zajdziesz, a potem – to nieuniknienie nieuniknione – zaczniesz się staczać.

– Chcesz usłyszeć dobrą radę, synu? – Mae wędrowała przez jedwab zimowej nocy. Położyła dłoń na stwardniałym mięśniu ramienia przy szyi, zaczęła go rozmasowywać. – Armii nie spodoba się, że masz żonę z Zachodu. Twój ojciec też ją rozczaruje. Wiesz, co powinieneś zrobić? Choć bardzo mnie to boli, nie mogę myśleć tylko o tobie. Powinieneś zostać mężem swojej żony i pojechać za nią do Kanady.

– Wiem. – Lung westchnął.

Wyjedziesz, pomyślała Mae, i już nie będziesz nas szpiegował.

*Plik audio od: pan Hikmet Tunch*  
*16 grudnia*

„New York Times”? Jakież to użyteczne. Dla kogo? Z pewnością dla mnie. Dziękuję za aż tak emocjonalne wystąpienie przeciw ONZ. A rządowi spodoba się, że został przedstawiony w tak korzystnym świetle. I twoja przyjaciółka Bugsy. Czym się jej zasługujesz? Ściągasz gości do jej płytkiej, dekadencjonalnej srokwoni. Czy naprawdę sądzisz, że amerykańskie kobiety, dla których zmiana z pastelowych szyfonów na czarną wełnę jest wielką nowiną, mogą być częścią twojego Kręgu? Pamiętaj, Mae, że 2020 to rok wyborczy. Twoja przyjaciółka jest dziennikarką Demokratów. Używa ciebie i twych podziękowań za subsydia rządowe do ataków na republikańskiego prezydenta. Nie jesteś kobietą głupią, Mae, zainteresowało mnie więc odkrycie, że dajesz się wykorzystywać. I wreszcie... zastanawiasz się może, kto dostarczył ci pewien interesujący kod w najbardziej odpowiednim momencie, przed kilku dniami. Nie dziękuj za niego nikomu innemu. I kto tu obserwuje kogo?

\*\*\*

Śniadanie jedli późno. Ciągnęło się długo wśród hałaśliwych rozmów. Lung, z sercem przepelnionym miłością po nocy zabawy, jakoś nie wybierał się w drogę. Żartował, uderzał stopami w wysokich butach o podłogę, pił jedną filiżankę herbaty za drugą.

On i jego żołnierze wstali na długo, nim ktokolwiek się obudził, pojechali i naprawili przewody elektryczne.

– Zobaczyliśmy, że poprzeczka po prostu wisi w powietrzu – opowiadał. – Wisiała na kablach, zamiast je podtrzymywać.

Stanęliśmy jak wryci i tylko się na to gapiliśmy. – Zrobił minę wiejskiego głupka, podrapał się po głowie. – A potem zobaczyliśmy ślady popiołu. Jakiś stary wieśniak palił słomę i przy okazji spalił słup!

Kwan czyściła naczynia. Usta miała zaciśnięte, na policzkach długie, pionowe blade zmarszczki. Jej dłonie zrobiły się nagle wąskie, kruche, poprzecinane niebieskimi żyłkami.

– Ja to zrobię – powiedziała Mae.

Lung był tak rozbawiony, że nie zwracał uwagi na otaczający go świat. Policzki nadal miał jaskrawoczerwone od mroźnego powietrza poranka. Wyglądał jak wypolerowane do połysku jabłuszko. Kwan usiadła z założonymi rękami, oczy miała małe, przymglone. Pojawił się wreszcie pan Wing owinięty kożuszką. Oczy miał czujne, dwa lasery.

– Śnieg pada – oznajmił.

Mały szeregowy zaniepokoił się wyraźnie.

– Może nas tu zasypać.

Lung poruszył się powoli, nie ukrywając żalu. Kwan wstała, bardzo delikatnie potrząsnęła jego dłonią. Nie patrzyła mu w oczy, widać było, że się boi.

Sierżant i szeregowiec pobiegli do swoich pokojów i zaraz wrócili, wymachując torbami khaki. Mae jeszcze przyśpieszyła bieg rzeczy, sama zajęła się torbą syna.

Dopiero na podwórku Lung odzyskał pewność siebie. Sierżant Alkanuh zdążył już włączyć silnik ciężarówki, a on sam zaczynał rozumieć, że nie całkiem wrócił do domu. Bardzo długo i wylewnie podziękował Wingom za gościnność, a potem, nakrywając dłoń Kwan swą dłonią, także za opiekę nad matką.

Kwan niemal całkiem odzyskała panowanie nad sobą. Odpowiedziała niezwykle uprzejmie, choć widziała, że przyjechał, by ją przestraszyć, skłonić do zaniechania działalności, a może nawet na nią donieść. Mae zdumiewała się tym, co mówiły jej oczy – jak potrafili zachować się godnie, zachować człowieczeństwo.

To wioska czyni nas takimi, pomyślała. Znamy się wszyscy i wszyscy mamy nadzieję, że to właśnie pomoże nam zachować równowagę... w pewnych granicach.

A potem syn obrócił się, spojrzął na matkę i oboje, wydawało się, pozbyli się rezerwy. Padli sobie w ramiona. Mae poczuła się tak, jakby tuliła wielkiego, silnego obcego człowieka. Lung pocałował ją w czoło, nazwał kochaną mądrą mamusią. A potem odsunął się o krok. Założył wojskową czapkę i dopiero to niemal złamało serce Mae. Bo był to gest chłopięcy, niewinny i odwieczny. Wszyscy żołnierze w całej historii świata wkładali but, lub może rękawicę, a potem odchodzili od matek i ginęli. Lub wracali na zawsze odmienieni.

Mae żegnała swojego synka. Będzie rósł coraz większy, jak rozpalony czyrak. Widziała to, jakby patrzyła na to własnymi oczami. Rośnie, robi się coraz bardziej zwykły, prostacki, a potem nikt już nie uwierzy, że kiedyś był taki piękny.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem – powiedział Lung, nagle poważniejąc. Wymierzył w nią palec.

– To ty pamiętaj, co ci powiedziałam. – Mae był równie poważna.

Skinął głową, wskoczył do kabiny i gestem kazał sierżantowi zwolnić hamulec. Mae wydawało się, że zrobił to z ulgą. Ciężarówka ruszyła powoli. I wtedy, nagle, Lung uśmiechnął się szeroko, od ucha do ucha, rząd białych zębów między policzkami jak brzoskwinie. Oboje pragnęli, by takim został zapamiętany.

Na włosach Mae osiadł śnieg – i nie dawał się strząsnąć. Wydawało się, że śnieg stroi wioskę w koronkę. Koronka owijała ciasno upchnięte w szufladach przedmioty, żeby się nie niszczyły. Mae stała przez wiele długich minut w padającym wciąż śniegu, słuchając niskiego warkotu silnika ciężarówki. Słyszała, jak przyśpiesza, jak hamuje, jak zmienia biegi. Dźwięk cichł, cichł w głębi doliny, oddalał się stopniowo, powoli, oddalał od niej.

Spojrziała na Kwan.

– Ja też odchodzę – powiedziała.

Kwan zamrugła zdziwiona.

– Co? Ale dlaczego?

– Wynajęłam własny dom. Od Sunni. Przeniosę tam działalność, nie chcę wam siedzieć na głowie.

– Nie siedzisz nam na głowie. – Kwan ujęła jej dłoń.

– A więc odchodzę, nim dojdzie do najgorszego.

Wspięła się po długich schodach do zimnego pokoju na poddaszu. Spakowała torbę. Przekierowała e-mail na nowy telewizor, jej własny. Zeszła do kuchni. Kwan szykowała kolację z resztek po wczorajszej uczcie.

– Przecież nie masz w domu jedzenia – wyjaśniła. – Pomyślałam, że to ci się przyda. W stodole mamy suszony nawóz i drewno na podpałkę. Weź trochę, żeby się ogrzać.

– Jesteś dla mnie zbyt uprzejma.

Kwan zachowała powagę.

– Wiele przeszliśmy razem – powiedziała.

– Och! Możesz powtórzyć to jeszcze dziesięć razy i nadal to będzie za mało.

– Ale ciągle jakoś sobie radzimy.

– Ale ciągle jakoś sobie radzimy.

Kwan przytuliła ją mocno.

– Możesz u nas zostać, jeśli chcesz. Wiesz o tym?

Mae dotknęła lekko jej ramienia.

– Doprawdy nie wiem, co bym zrobiła, gdyby moja przyjaciółka Kwan Wing nie udzieliła mi tak wielkiej pomocy. Gdyby nie ona, nie miałabym dokąd pójść. Ale nawet w rodzinie przychodzi chwila, gdy trzeba odejść.

Kwan poważnie skinęła głową. Mae wzięła płócienną torbę ze swoimi rzeczami i drugą, z jedzeniem i opałem, i poszła przez podwórko. Jej pantofle skrzypiały na śniegu, płynące z ust i rozptywające się niemal natychmiast kłęby pary były jak znikające wspomnienia. Wiedziała, że Kwan obserwuje ją z pokoju reprezentacyjnego. Uniosła rękę, pomachała jej na do widzenia, nawet się nie odwracając.

Pierwszą furtką, którą minęła po drodze, była właśnie furтка Wangów, na rogu dolnej i górnej ulicy. To był jej dom, przez



niemal całe dzieciństwo. Przystanęła, spojrzała na schodki prowadzące do domu. Dolny stopień zawsze był zabłocony. Mae i jej starsza siostra nie chciały uchodzić za niechlujów, więc przez dziesięć lat czyściły go dzień po dniu. Woda w plastikowym wiadrze zawsze była zimna.

Starła śnieg ze stopnia pantoflem. Tutaj, w tym domu, spała w maleńkiej sypialni wraz z dwiema siostrami. Matka zajmowała na noc pokój reprezentacyjny, rozkładała poduszki. Brat i wuj też mieli wspólnie jeden pokój. Żelazna ciotka przeznaczyła główną sypialnię dla siebie. Był to dom bez ojca, tu się pracowało i zawsze było się czego bać.

Mae stwierdziła nagle, że czuje się winna, bo zaniedbywała matkę. Miała do niej żal, posępny i bez złości, o to, że nie przyszła jej odwiedzić. Czuła się niezręcznie, ale czuła też brzydki tryumf. Czuła wiele rzeczy. Nie podobało się jej to, co czuje.

Opanuj się, Mae, nakazała sobie i zapukała do drzwi.

Otworzyła je jej szwagierka. Jednocześnie rozległ się głośny, coraz głośniejszy, płacz dziecka. Twarz szwagierki obwisła ze zdumienia, by natychmiast zmienić się w nieruchomą maskę twarzy z opadniętą szczęką.

– Li-liang, czy mogę wejść? – Mae usłyszała, jak zadaje to pytanie lekko, z wdziękiem, głosem, który ludziom niewychowanym wskazuje ich miejsce.

– Ech... Mae... witaj. – Nie była to kobieta niezależna. Zaskoczona nie podejmowała żadnych działań, tylko zwałała wszystko na męża. – Ju-me! – krzyknęła. – Przyszła twoja siostra!

I nadal stoi na śniegu, pomyślała Mae. Uśmiechała się, ale jednocześnie szczekała zębami z dźwiękiem przypominającym dzwoneczki wiatrowe. Moja rodzina jest dokładnie tak nieudana, za jaką ją mam.

Szwagierka znikła z pola widzenia, zostawiając otwarte drzwi i gościa na progu. Rozległ się odgłos kroków, a potem głos brata:

– Dlaczego drzwi są otwarte?

Mae nie była w zbyt tolerancyjnym nastroju.

– Są otwarte, ponieważ twoja siostra nie chce mnie zaprosić do środka, a nie ma odwagi zamknąć mi ich przed twarzą – wygarnęła.

– Muszę się zająć dzieckiem! – krzyknęła młoda pani Wang.

Ju-mei pojawił się nagle w drzwiach, nieogolony, z koszulą wychodzącą ze spodni. Mae zrozumiała: nie chcą mnie widzieć, kiedy są tacy zwykli, trochę niechlujni. Przez to nienawidzą otwierać drzwi gościom. Sposób na życie rodziny Wang: być nieuprzejmym, by zachować pozory. Być może niczym się od nich nie różnię.

– Wprowadzam się do mojego starego domu – oznajmiła. – Stać mnie na to, żeby wynająć go od przyjaciółki, Sunni Haseem.

Ju-mei prychnął. Przyjaciółka? Haseem? A jednak miał wątpliwości. Co, jeśli naprawdę znów się zaprzyjaźniły?

– Przeniosę tam także swoje interesy. – Mae nie przestawała się uśmiechać. – Z pewnością ucieszy was wiadomość, że idzie bardzo dobrze. A ponieważ dom długo należał do Chungów, zastanawiam się, czy stary pan Chung i mój szwagier, pan Chung Siao, nie zechcieliby wrócić tam ze mną. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Ja, widzisz, nie przyszłam, by sprawiać ci kłopoty. Chcę porozmawiać z rodziną Chungów.

– A nie ze swoją rodziną – warknął Ju-mei.

– Moja rodzina nie zaprasza mnie do domu, nawet jeśli pada śnieg, z czego wnoszę, że nie jestem przez nią mile widziana. Nie zamierzam się narzucać.

Udało się jej rozgniewać brata.

– To świetnie – powiedział. I zatrzasnął drzwi.

Mae usłyszała cienki krzyk. To musi być mama, pomyślała. Miała nawet chwilę, by pomyśleć, że może Ju-mei chciał jej oszczędzić sceny? Dla ich matki życie było ciągłą operą tragiczną.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Mama, z tą swoją miną Kwiatu Na Wietrze, stanęła na progu, drżąc na całym ciele. Ale głowę trzymała wysoko, z prowokacyjną dumą.

– Jak śmiesz?! Jak śmiesz pokazać się na moim progu?!

– Mamo, zachowujesz się głupio.

– I jeszcze mi wymyślać! I oceniać! Kiedy zachowałeś się, jak żadnej kobiecie nie wolno się zachowywać. Kiedy przyniosłeś mi wstyd... tak, mnie! A co twoim zdaniem ludzie o mnie mówią? „To ona, kobieta niezdolna kontrolować swej niegrzecznej córeczki, kompromitującej godne szacunku życie wioski”. Nie potrafię uwierzyć, że mi to zrobiłaś.

– Nic tobie nie zrobiłam, mamó. Wyłącznie sobie.

– Wszystko, co robisz, robisz mnie! Kiedy zabili twojego ojca...

Zawsze to samo. Mae westchnęła w myślach. Potrafisz powtarzać prawdę tak często, że staje się kłamstwem. Nie udało się jej spędzić jednego dnia w towarzystwie mamy, by nie usłyszeć całej historii o ojcu, zastrzelonym przez komunistów, i o mamie, pozostawionej samej sobie z trójką małych dzieci. Potem były poświęcenia, ciężka praca, nieustanny strach, a na końcu chłód uczuć i pożegnania. By wreszcie, to było najlepsze, dowiedzieć się, że mama nigdy się nie skarżyła, nic nie mówiła, zostawiła przeszłość za sobą, ale teraz... teraz, takie zachowanie córki zmusiło ją do wspomnienia tego, co było.

– Ty! Ty! Doprowadzałaś mnie do płaczu, kazałaś pamiętać, już przewyciężyłam nieszczęśliwe wspomnienia, a teraz...!

– Chcę porozmawiać z panem Chungiem – powtórzyła Mae.

Matką szarpał już szloch. Ju-mei podtrzymywał ją, gładził po głowie i przeszywał siostrę wściekłym spojrzeniem.

– Sam wi... wi... wi... widzisz, nie przyzna nawet, że źle zrobiła!

– Źle zrobiłam – powiedziała Mae.

– Widzisz! Nie okaże skruchy!

– Wiem, że zakłócałam twój spokój, dobrze wiem.

– Nie ma żadnych uczuć! Ani razu mnie nie odwiedziła! Mieszkaliśmy drzwi w drzwi, a nie zadała sobie nawet tego trudu! Nie obchodzi jej, że jestem stara, chora i samotna!

W tym momencie, nagle, obok Wangów przecisnął się Siao, tylko w podkoszulku. Jego zwykle nieruchoma twarz marszczyła się w zawstydzonym uśmiechu. Nie było w niej oskarżenia, najmnieszego śladu oskarżenia, i Mae zrozumiała, że ma dość tej

rodziny. Zauważyła też jego niebieskoszare oczy Karza, ciemną brodę i smukłe ramiona. Dorósł, pomyślała.

– Wracasz do domu? – spytała po prostu.

Siao skinął głową, niemal niewidocznie. Tak.

– Miło będzie znów zamieszkać w starym domu – powiedział cicho.

– Bardzo żałuję tego, co się stało.

Uśmiechał się nadal, spokojnie. Całym ciałem dawał do zrozumienia, że odpowiada, nie odpowiadając: „To było straszne, co zrobiłaś”.

Mae skinęła głową, owszem. Siao odwrócił się.

– Panie Wang... muszę porozmawiać z ojcem.

– Nie możesz wrócić do domu z tą kobietą po tym, co zrobiła! – ryknął Ju-mei.

Siao zachwiał się, ale nie cofnął.

– Jestem bardzo wdzięczny za to, co dla nas zrobiliście, ale zdaję sobie również sprawę, że nie możemy korzystać z waszej gościny do śmierci. Jesteśmy dla was ciężarem. Proszę. Jest mi bardzo zimno, nam wszystkim jest zimno, czy nie możemy po prostu zaprosić Mae do środka?

– Nigdy! – zawyła matka Mae.

Ju-mei wyprostował się dumnie.

– Słyszałeś, co powiedziała moja matka!

– Dziecko marznie – zapiszczała jego żona.

Siao skinął głową raz, bardzo grzecznie, i z uśmiechem wszedł do domu.

– Jedną chwileczkę, Mae – powiedział z lekkim ukłonem.

Zamknął za sobą drzwi, a kiedy znów je otworzył, obok niego stał stary pan Chung. Wyglądał na zagubionego. Był ubrany w brudną pikowaną kurtkę, niósł pudło narzędzi.

– Mamy pracę? – spytał z nadzieją.

Siao, nadal w podkoszulku, wyszedł za ojcem na śnieg. Zamknął za sobą drzwi.

– Twoja rodzina była dla nas bardzo hojna – powiedział.

Mae spojrzała na jego nagie ramiona i oddała mu swą kurtkę. Wszystkim było zimno.

– Możecie mieszkać w swoim domu tak długo, jak długo płacę za wynajem. Firma zajmie stodołę. Jak pan się miewa, szanowny pani Chung?

– Jestem gotów, jestem gotów – odparł staruszek, przestępując z nogi na nogę, jakby powstrzymywała go uprząż. – Doprowadzają mnie do szaleństwa.

– Ojczy, jesteś bardzo nieuprzejmy.

Stary pan Chung spojrzał na Mae.

– Wiem, że to twoja rodzina...

– Wy jesteście moja rodziną – powiedziała Mae ku własnemu zaskoczeniu. – Cokolwiek było między mną a Joem, zawsze kochałam jego rodzinę.

– A my kochaliśmy ciebie. – Stary szybko zamrugał.

Drzwi otworzyły się nagle, zaskakując ich jak nietaktowna uwaga rzucona w rozmowie. Na progu pojawił się nadal rozgniewany Ju-mei.

– Trzymasz starego człowieka na dworze?! – krzyknął do Mae.

– To może wpuścisz nas jednak pod dach!

Ju-mei poddał się. Choć niechętnie, zostali jednak zaproszeni do środka. Matka Mae siedziała godnie niczym królowa i unikała jej spojrzenia. Młoda pani Wang zabrała gdzieś dziecko. Wnętrze domu było, jak zawsze, puste i czyste niczym góra lodowa. Mały piecyk nie ogrzewał go. Na ścianach wisiały oprawione zdjęcia ich wszystkich jako dzieci, a także fotografia ojca tak znajoma, że w niczym już go nie przypominała.

Matka była ubrana w czarne spodnie, czarny żakiet oraz długą kwiecistą chustę. Wydawała się drobna, krucha i nieszczęśliwa. Nie ma w niej nic, czego można by się było bać, pomyślała Mae... i zdziwiła w myślach. Bać?

Siao skłonił się grzecznie.

– Postanowiliśmy przyjąć wielkoduszną ofertę Mae – oznajmił w taki sposób, z taką intonacją, że Mae pomyślała: teraz on jest

głową rodziny. Joe odszedł i dla niego okazało się to bardzo dobre.

Ju-mei oburzył się jeszcze bardziej.

– Nie chce mi się wierzyć, że przyjdziecie pomoc od tej... tej kobiety.

– Przyjaliśmy bardzo wiele od jej rodziny, nic nam niezawdzięczającej, a jednak tak uprzejmej, że zrobiła nam miejsce w swoim domu. Jesteśmy biedakami, z własnej winy straciliśmy wszystko, co odziedziczyliśmy. Teraz będziemy przynajmniej żyli złudzeniem, że mamy własny dom.

Ju-mei nie spuszczał z Mae gniewnego spojrzenia.

– Twe uczucia są szlachetne, Siao, a ja mogę tylko powiedzieć od siebie, że wstyd mi za własną siostrę, która zostawiła was w tak strasznej sytuacji. Byliście idealnymi gośćmi...

Ach, pomyślała Mae, a więc wy wszyscy doprowadzaliście się wzajemnie do szaleństwa.

– ...więc jako oznakę szacunku i uczucia dla was pomogę wam przenieść pudła i bagaże.

Chce zobaczyć, co się właściwie dzieje, pomyślała Mae.

Zobaczył. Zajrzał do stodoły, w której stała wielka maszyna tkacka z mnóstwem światełek i ekraników, przemawiająca ludzkim głosem. Oczy wyszły mu z orbit.

– Zarabiasz pieniądze dzięki... temu?

Mae użyła swej ulubionej metody prezentacji: pięćset kołnierzyków po dziesięć dolarów sztuka.

Jej brat wyglądał na zagubionego do tego stopnia, że przez chwilę miała ochotę go przytulić. Zachowywał się jak bardzo rozczarowany mały chłopiec: zrobił nadąsaną minę, posmutniał jakby zabrano mu coś, o czym marzył, zwiesił głowę. Zawsze sądził, że jeśli ktoś coś ma, to z pewnością mu to ukradł.

– Phi! Kto będzie pracował dla kobiety takiej jak ty?

– Mniej więcej połowa wioski. – Siao się roześmiał. – Za takie pieniądze! O twojej siostrze pisali w „New York Timesie”. – Posunął się do tego, że objął szwagierkę za ramiona i lekko przytulił.

– Hm... i sądzisz, że zdołasz sama poprowadzić takie wielkie interesy?

– O nie, nie sądzę. – Mae znów użyła lekkiego, kuszącego głosu dzwoneczków. – Ja to wiem. I wiem, że nie będę potrzebowała twojej pomocy.

\*\*\*

Mae wprowadziła się na strych. Tego chciała, żeby – jak wyjaśniła – usunąć telewizor z drogi złodziejom. Ani słowem nie wspomniała o Powodzi.

– Tym lepiej – powiedział Siao. – Mam dość tego strychu. Ale hej, Mae, niech mi będzie wolno powiedzieć ci, że ten strych jest strasznie zimny! Jesteś pewna, że ci to nie będzie przeszkadzać?

– Pamiętaj, jestem kobietą upadłą. Ludzie będą czuli się swobodnie, przychodząc do kuchni i oferując ci pracę, jeśli mnie tam nie będzie.

W oczach Siao pojawił się błysk bólu, ale zaraz potem skinął głową, przyznając szwagierce rację. I, jakby chcąc jej zadośćuczynić, zrobił dla niej blok, wyposażony w mocną sieć do dźwigania ładunków i równie mocne koła. Można nim było spuszczać telewizor na sam dół i wciągać z powrotem.

– To na wypadek, gdybyś chciała wynieść go latem na zewnątrz i uczyć – powiedział.

Nie można było mieć wątpliwości, że Siao bardzo cieszy się z powrotu do domu. Kręcił się tu i tam, przynosił węgiel do piecyka, zrobił nowe łóżko dla ojca, by było mu ciepło przy ogniu, wkręcił haki w belki sufitu. Skakał po nich, wspinał się i zwieszał, zręczny jak najręczniejsza małpa.

Mae podgrzała whisky. Przy swoim starym drewnianym stole wypili za rodzinę Chungów i za ich dom. „Nowy dom”, tak go nazwali, jakby sami przebudowali go czy coś w tym rodzaju.

I wreszcie, otulona przed zimnem we wszystko, co miała, Mae usiadła sama na swym strychu, przed telewizorem, który należał do niej.

– Proszę, powiedz „witaj” – polecił telewizor, zaczynając proces wzajemnego poznawania się.

– Witaj – spełniła jego życzenie Mae. Czuła się tak, jakby pierwszy raz spotykała się z kuzynką, ale już wiedziała, że zostaną przyjaciółkami.

Wpisała swój nowy adres e-mail – kazała maszynie Kwan przekazywać na niego całą pocztę – i wreszcie mogła zacząć pracować na własny rachunek. Wypiła jeszcze trochę podgrzanej whisky. Czas zaczynać.

*Plik audio od: pan Hikmet Tunch*

*17 grudnia*

Zapoznałem się z pewną amerykańską witryną dotyczącą historii. Wydaje mi się bardzo interesująca. Być może twoi przyjaciele chcieliby wiedzieć, że jest dostępna. To bardzo dziwne, jaki robi się z nas użytek. Ja na przykład pochodzę z długiej linii chłopów, żołnierzy Karzów. Przez całą historię porzucaliśmy pługi i chwytailiśmy topory, maszerowaliśmy i próbowaliśmy podbić Szczęśliwą Prowincję. Ale ona jest jak orzech, który nie pęka, lecz tylko głębiej wbija się w ziemię, by móc znów wypuścić zielone pędy. Wygląda na to, że byłem używany do jej sadzenia, ciągle od nowa. Był sobie kiedyś pewien dyktator. Miliony ludzi doprowadził do śmierci na wiele różnych sposobów, wojnami, w więzieniach, albo po prostu każąc im mieszkać na surowych pustyniach, gdzie wymierali, próbując się wyżywić. Burzył świątynie, palił książki, zniszczył sztukę kaligrafii. Pisał straszne wiersze i zmuszał wszystkich do ich czytania, przez co pozbawił gustów literackich jedną czwartą ludzi żyjących na ziemi. Pozostał wojownikiem, nawet będąc Przewodniczącym. Najlepiej grał rolę wojownika, bo jako wojownik walczył o swój lud i marzył za swój lud. Potem już tylko go gnębił. Ale ja mu wybaczam, bo powiedział jedną piękną rzecz: „Kobiety podtrzymują połowę nieba”.

Przewodniczący Mao Zedong.



*Plik audio od: pani Chung Mae  
26 grudnia*

Panie Oz. Kwan otrzymała e-mail z informacją, że nauczyciel Shen stracił pracę i ma zostać zastąpiony. Jak to? Nadeszły śniegi. Naszych dróg nie przejedzie się nawet traktorem. Czy nauczyciel Shen ma uczyć nadal bez wynagrodzenia? Co pomoże naszym dzieciom, jeśli nie będą uczyły się w szkole? Owszem, to się zgadza, nauczyciel Shen zadał mi ciężki cios, wyrzucił Partii Postępu wielkie szkody, ale to akurat nie jest dobry pomysł. Niech pan zresztą posłucha jego żony, naszej przyjaciółki Shen Suloi.

Szanowny panie Oz, jestem pani Shen Suloi, żona nauczyciela Shena. Drogi przyjacielu, byłeś dla nas zawsze bardzo uprzejmy, a teraz znów potrzebujemy twojej pomocy. Mój mąż nie ma racji w sprawie telewizora i w sprawie Tlenu, bo widzi te rzeczy jak wielką Powódź zabierającą ze sobą wszystko, co stoi jej na drodze. Jest jednak dobrym człowiekiem i chce tego, co dobre dla dzieci z naszej wioski. Miły przyjacielu, jest rzeczą bardzo złą, że wiadomość o utracie pracy przyszła przez telewizor i po pańskiej wizycie. Przez to wielu mężczyzn myśli tu o telewizorze jak o wrogu. Myśli, że telewizory szpiegują dla rządu. Myśli, że telewizor odbiera im życie. Wielu mówi, że nie pośle dzieci do szkoły, jeśli uczyć w niej będzie kobieta przysłana przez rząd. Mój mąż uczy teraz bez wynagrodzenia, ale ma złamane serce. Jesteśmy biednymi ludźmi, panie Oz, pan o tym wie, prawda? Trudno nam to wyznać, choć kobietom chyba łatwiej. Mamy czwórkę dzieci, a nie mamy farmy. Mąż chodzi do pracy zgarbiony. Nie czesze włosów. Nocami siedzi przy jednej świeczce i płacze. Przez całe życie uczył się, jak być nauczycielem. Dla chłopca z Kizuldah to było wielkie osiągnięcie, a teraz mu je

odebrano i jego żona zarabia więcej pieniędzy niż on. Pytam więc, czy może pan porozmawiać z ludźmi, którzy to zrobili, i wyjaśnić im, że nie mamy nauczyciela? Czy może ich pan skłonić, by oddali pracę mojemu mężowi?

To pani Chung. Proszę im powiedzieć, że ten e-mail wyszedł ode mnie, kobiety, którą skrzywdził. Zima to pora roku, kiedy nasze dzieci uczą się szczególnie intensywnie. To niedobrze, że akurat teraz nie mamy nauczyciela.

*Plik audio od: pan Oz Oz*  
*27 grudnia*

Mae, ja też jestem zły. Nic mi nie powiedzieli. Tak to już jest, piszesz raport, a oni coś w tej sprawie robią, nawet nie konsultując się z kimś, kto był na miejscu. Centralne Biuro zazwyczaj działa w ten sposób. Doprawdy nie wiem, dlaczego ciągle dla nich pracuję. Nigdy nikogo nie słuchali. Nie mają żadnych umiejętności zarządzania. Czuję się strasznie zawstydzony, ale to naprawdę nie moja wina. Co mogę zrobić?

*Plik audio od: pani Chung Mae*  
*27 grudnia*

Nic mnie to nie obchodzi – co zamierza pan zrobić TERAZ?

*E-mail od pani Wing Kwan*  
*29 grudnia*

Szanowny Sekretarzu Goongoormush,  
jestem partnerką pani Chung Mae. Nasza firma została ostatnio opisana w „New York Timesie”. Dołączone pliki ze statystykami sesji i wynikami finansowymi dowodzą, że osiągnęliśmy jeden z najlepszych wyników w ramach inicjatywy „Rozpostrzeć

Skrzydła”. Mój mąż zarządza Swallow Communications, także finansowaną przez inicjatywę.

Piszę to wyłącznie celem wykazania, że wraz z panią Chung Mae i innymi reprezentuję coś, co nazwaliśmy Partią Postępu. Pański przedstawiciel, pan Oz Oz, zgodnie z prawdą przekazał, że nasze wysiłki powstrzymywał miejscowy nauczyciel, pan Shen Yoh.

Jednakże usunięcie nauczyciela Shena z zajmowanego przezeń stanowiska o tej porze roku spowolni postęp. Jego następcą nie przejedzie w zimie naszymi drogami. Zapewne pozbawi to nasze dzieci możliwości nauki w najważniejszym dla „Rozpostrzeć Skrzydła” roku.

Nauczyciel Shen nie widzi korzyści z Info, jest jednak dobrym człowiekiem i my, z Partii Postępu, prosimy o przywrócenie go na zajmowane poprzednio stanowisko.

Z poważaniem  
Pani Wing Kwan.

*Plik audio od pana Oz Oz  
30 grudnia*

*Mae, oszalałaś? List od Kwan? W Kizuldah nie jest ona najlepiej widzianą osobą. Poruszyłem temat, ale mój szef twierdzi, że wszystko zależy od Biura Dyscypliny i Edukacji i ich kampanii Wizja 2020. Sama widzisz, jak na każdym kroku przeszkadza mi się coś dla was zrobić, gdziekolwiek się obrócę.*

*Plik audio od: pani Chung Mae  
30 grudnia*

Istotnie, widzę, co powstrzymuje pana od udzielenia pomocy.

\*\*\*

Był świt. Siedząca na strychu Mae słyszała odgłosy pracy maszyny tkackiej. Maszyna wydawała z siebie niegłośny furkot kojarzący się z kolibrem. Podczas pracy słysząc go było przez

ściany. Potrafiła wyobrazić sobie jego język na pięknym nowym wzorze dzianiny. Telewizor wisiał w siatce, na skonstruowanym przez Siao bloku. Tworzyła nową stronę. Nie szło jej za dobrze, no ale działał przynajmniej jeden screen.

Stare samochody nie umierają  
One tylko jadą do szanownego pana Pina  
DYNAMICZNA CHIRURGIA SAMOCHODOWA  
Także ich kuzynów: traktorów, przyczep, furgonetek.  
Wszyscy pacjenci doceniają delikatne, zręczne ręce  
CHIRURGA SAMOCHODOWEGO  
oraz jego życzliwość.

Mae napisała już listy informujące wszystkich zainteresowanych o swych nowych usługach sieciowych. Jej pierwszy klient, pan Pin, pojawił się przed dwoma dniami.

Pan Pin nie chciał rozmawiać z Panią Sową. Zignorował ją. Usiadł naprzeciw Siao, mnąc w dłoni list. O Sieci miał tyle pojęcia, że być może uda się jej użyć tak, by uczynić go bardziej nowoczesnym. To znaczy bardziej nowoczesnym od jego wielkiego, śmiertelnego wroga i konkurenta, pana Envera Atakoloo.

Siao próbował przekazać sprawę Mae, do niej kierować pytania pana Pina. Doskonale zdająca sobie sprawę z tego, co się dzieje, Mae wróciła w końcu na strych, unikając żenującej sytuacji.

Słuchała rozmowy, siedząc na górze. Zaskoczyło ją, jak bardzo użyteczny jest Siao. Pan Pin nie należał do mężczyzn, którym łatwo pomóc. Nie rozumiał, po co jest telewizor, bał się, że dzięki niemu rząd będzie wszystko widział i wszystko o nim wiedział. A Siao spokojnie tłumaczył mu najprostsze sprawy. Kosztowało go to kilka godzin... i butelkę ryżowego wina. Miał pomysł, żeby wgrać do maszyny list: „Pomocny Serwis Pana Pina Odpowie Na Wszystkie Twoje Pytania”. Miałyby uczyć ludzi, jak sprawdzić, czy samochód jest w całkowitym porządku, i jak samodzielnie dokonać drobnych napraw. Pan Pin nie rozumiał, jak działa zasada rozłożenia maty Info, dania ludziom czegoś za darmo,

Siao najwyraźniej rozumiał ją doskonale. Wyjaśnił, że darmowe Info czyni z klientów przyjaciół, a także buduje wizerunek udzielającego go eksperta, a co jeszcze ważniejsze, pozwala pozbyć się najmniej zyskowej części biznesu przez udzielanie tych drobnych rad, które i tak nie przynoszą dochodów.

Pin, mocno pijany, wreszcie jednak zrozumiał.

– Ach, szanowny panie Siao, co za umysł, co za umysł! Pan powinien kierować bankiem!

Drobnymi podstępami Siao wydobył z niego wiedzę o tym wszystkim, co może dolegać samochodom oraz co zwykły człowiek sam może naprawić, a jeśli nie, ile może kosztować naprawa. Następnie wspiął się po drabinie z napisanym już listem. Nie okazywał śladu dumy, prawdziwy człowiek interesu. Przeczytał go Mae i wczytał do maszyny.

Mae użyła tej informacji do stworzenia swego pierwszego inteligentnego formularza głosowego. Miał on zadawać pytania oraz zostawiać czas klientowi na formułowanie odpowiedzi do mikrofonu.

– Rodzaj problemu?

– Samochód nie chce zapalić, kiedy...

– Co? Proszę powtórzyć rodzaj problemu.

– Nie zapala...

– Co? Jeśli ma pan problem, proszę umówić się z panem Pinem. Czy może pan przyjechać samochodem? Proszę o odpowiedź „tak” lub „nie”.

– Nie!

– Czy może pan przyjechać samochodem? Proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”

– Nie!

Formularz głosowy wykonał coś w rodzaju fikołka i zaczął się powtarzać.

– Odpowiedz... Odpowiedz... Odpowiedz...

– Gównu – powiedziała Mae. Uderzyła telewizor pięścią. – Stop! Zachowaj! – Wyprostowała się i wygięła, ćwicząc kręgosłup. – Wykonaj e-mail do [sloop@karzphone.co.kz](mailto:sloop@karzphone.co.kz). Dołącz program Pi-form Trzy.

Mae wysłała formularz do Sloopa, inżyniera telefonicznego w Yeshibozkent, który jako pierwszy próbował wyjaśnić jej sekrety działania telewizora. Pomagał jej też w trudnym kodowaniu, za co brał wynagrodzenie. Jak miała zarabiać pieniądze na czymś takim?

Westchnęła i pomyślała o śniadaniu. Zeszła na dół. Zaskoczyło ją, że Siao i stary pan Chung siedzą przy stole tak wcześnie rano. Dopiero potem zobaczyła, która jest godzina. Wpół do dziewiątej. Siao obejmował głowę dłońmi. Na widok Mae podał jej kartkę papieru.

– Twój brat – powiedział. Potrząsnął głową.

– Co on teraz wymyślił? – Mae była zdecydowana lekceważyć brata. Był niedogodnością, jak przypalona owsianka i wymagający skrobania garnek.

Skóra twarzy Siao była tak napięta, że z trudem można było dostrzec wargi.

– Nie uwierzysz. Chce przejąć interesy.

– Co? Jak mógłby tego dokonać! – Mae skrzywiła się jak wtedy, kiedy odganiała muszki od oczu, mrużyła oczy, kręciła głową.

Siao przeczytał jej list od miejskiego prawnika.

W świetle paragrafu 99.54 Światowego Aktu Własności jest oczywiste, że pani Chung Mae, porzuciwszy męża, nie ma prawa do rodzinnej własności. Ponieważ posesja Down Court nr 2 na Lower Street została sprzedana, co pozostawia tylko udziały w interesach rodzinnych. Ponieważ pan Chung mieszka w Balshang, wydaje się oczywistym, że rodzinny interes, obejmujący modę, projektowanie w Sieci i produkcję ubrań, został przejęty przez żonę, która go opuściła, niemającą do niego żadnych praw.

Od czasu nieszczęśliwego wypadku, który nastąpił podczas Testu Tlenu, Pani Chung zdradzała objawy ciągłych problemów z właściwą oceną sytuacji oraz dziwnych zachowań. Zostały one w całości udokumentowane w załączonych pisemnych potwierdzonych notarialnie oświadczeniach doktora Bauschu diagnozującego schizofrenię nabytą podczas Testu.

Dziwne zachowania pani Chung obejmują między innymi: zaatakowanie lokalnego przywódcy tasakiem do mięsa,

opuszczenie męża, utrzymywaną w tajemnicy zdradę oraz całkowite odrzucenie własnej rodziny, powodujące wielkie cierpienia jej starej matki.

Jako mężczyzna, głowa rodziny, niniejszym przejmuję pełną kontrolę nad wymienionymi udziałami w rodzinnym interesie celem ich zachowania i ochrony, a także poddaniu legalnemu zarządowi...

Mae poczuła w tym momencie nienawiść, czystą, kompletną, obejmującą ją całą. Usiadła ciężko. Ju-mei miał wiele szczęścia, że nie było go w tej chwili w kuchni. Gdyby był, z pewnością znów chwyciłaby ten tasak.

– Nie wierzę własnym oczom. Czy on może zrobić coś takiego?

– To stare prawo. Uniemożliwiało przejście kobietom zarządu nad różnymi rzeczami. Ale to prawo rzeczywiście istnieje.

– Zabiję go!

– Zyskasz tyle, że trafisz do więzienia. – Siao zapalił papierosa. Spojrzał Mae w oczy. – Jak bardzo mi ufasz?

Mae zamrugła ze zdziwienia. Nie spodziewała się tego pytania.

– Nie wiem. Nigdy nie musiałam ci ufać, Siao.

Siao skinął głową. Przymknął oczy, jakby patrzył w głąb siebie. Przecież nigdy do niczego się nie wtrącał.

– Moglibyśmy powiedzieć, że to jest rodzinny interes Chungów i niech pan Wang nie wtyka nosa w nie swoje sprawy.

Teraz łatwo już było zrozumieć, skąd wzięło się to pytanie.

– Rzeczywiście moglibyśmy. – I rzeczywiście poczuła nieufność. Nie chciała, by kontrolę przejął Joe. Ale nie chciała też, by przejął ją Siao.

– Mogę powiedzieć, że to rodzinny interes Chungów i że Ju-mei może sobie być głową rodziny, ale to nie ta rodzina. Możemy też powiedzieć, że to, czy jesteś dla niego przydatna, czy nie, nie jest sprawą ani jego, ani wynajętego przez niego adwokata.

Stary pan Chung kręcił głową.

– Zabiorą nam wszystko – powiedział.

– Nie zabiorą, jeśli im nie pozwolimy, tato.

– Będziemy potrzebować prawnika – zdecydowała Mae. – Prawnicy znają ludzi. Wiedzą, jak działa rząd. Inszallah! – Ona też

podparła głowę dłońmi. – Och, przecież nie tego potrzebuję! Mówię ci, takie rzeczy doprowadzą mnie do szaleństwa.

– Takich rzeczy to bym teraz nie mówił – ostrzegł ją szwagier.

Mae podeszła do maszyny i przez pocztę głosową wezwała Kwan. Przyjaciółka podała jej nazwisko prawnika, ale zasugerowała, że lepiej będzie, jeśli to ona napisze list.

– Mae – zakończyła rozmowę – kiedy się rozgniewasz, czasami mówisz za dużo.

– Nie chcę już nigdy w życiu widzieć nikogo z mojej rodziny!

– Dokładnie to miałam na myśli!

Kwan napisała pierwszą wersję listu w swoim imieniu, jako członkini Kręgu. Było to pełne wyjaśnienie sytuacji, dokonane przez rozsądną kobietę, damę, zaznaczające, że ona też ma pewne prawa. Interes najwyraźniej należał do wszystkich członkiń Kręgu, w tym samej Kwan.

Mam nadzieję, pomyślała Mae, że to nie jest początek kłopotów z nią.

Siao siedział zamyślony.

– Można przyjąć i tę linię, być może to nawet lepiej niż powiedzieć, że interes jest własnością rodziny Chungów. Ale zastanów się. Może być tak, że Ju-mei robi to nie dlatego, że wierzy w przejęcie interesów. Może tylko chce coś z tego mieć?

– W porządku, jeśli chce coś z tego mieć, dam mu trochę pieniędzy. Nie wie nic o Info, nie wie nic o Tlenie, nie wie nic o niczym, jest po prostu zazdrosny... i zawsze był.

– To prawda. I trzeba z tą prawdą żyć. Nie zmienisz swojego brata. – Siao dobrze znał sztukę akceptowania trudnego do akceptacji brata.

Mae milczała, a on tymczasem mówił dalej:

– Mae, ja nie sądzę, żeby chciał pieniędzy. Moim zdaniem chce szacunku. Dlatego zawsze chodzi w miejskim płaszczu i miejskim kapeluszu. Dlatego jest naszym agentem ubezpieczeniowym, tu, w górach, gdzie nikt nie ma pieniędzy na ubezpieczenie!

Mae dostała ataku gniewu.

– W życiu słowa do niego nie powiem! Dla mnie on nie żyje. Żabę prędzej docenię niż ten cholerny miejski garnitur



wypełniony pretensjami i zazdrością.

– Rodziną rządzą ty i twoja siostra – uświadomił jej Siao. – Jedyne, co widzi, to siostra, zawsze go wyprzedzająca, zawsze, gromadząca coraz więcej władzy. Marzy o tym, żeby chociaż raz wygrać. Powiedziałbym, że chce, żebyś go potrzebowała.

– Phi! On? Jesteś zbyt dla mnie miły, Siao. Ju-mei chce odnieść sukces i chce łupów.

– Bardziej niż czegokolwiek mężczyzna pragnie tego, by być potrzebnym – powiedział Siao bardzo cicho. – Jeśli mężczyzna nie jest nikomu potrzebny, robi jedno z dwojga. Staje się bardzo gniewny i bardzo spokojny albo staje się bardzo gniewny i głośno krzyczy. Na jedno wychodzi. – Oczywiście Siao mówiły: „Jak dobrze o tym wiem!”

Mae pomyślała: mówi o sobie.

– Ma żonę i dziecko. Oni go potrzebują – powiedziała.

Siao wzruszył ramionami.

– To o wiele za mało, kiedy ma i ciebie jak chmurę nad głową.

– No więc? Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– Moim zdaniem nie powinnaś wyrzucać pieniędzy na prawników. On tego chce: pójść do sądu i tam cię upokorzyć. – Siao pomyślał chwilę i zakończył: – Możesz go przeprosić.

– Co?

Siao nie zdołał się powstrzymać. Musiał się uśmiechnąć.

– Aha! Widzisz! Ty też lubisz mieć rację. Oboje jesteście z tej samej rodziny.

– Za co mam przeproszać?

– Za to, że go okłamałaś.

– Nigdy go nie okłamałam!

– Powiedziałaś mu o swoich planach? Że chcesz zacząć robić interesy?

– Co? Nie, oczywiście, że nie.

– A więc nie powiedziałaś prawdy własnemu bratu. A czym jest niemówienie prawdy?

Mae aż zaniemówiła, tak ją to zdumiało.

– Ale... ja... ja... – wykrztusiła.

Siao zaczął się śmiać.

- Ukryłaś prawdę. Ukrywanie prawdy to kłamstwo.
  - Ale przecież to nie tak, że powiedziałam mu: „Nie robię interesów”. Co go obchodzi, co robię?
  - Jest twoim bratem. I szuka potwierdzenia tego faktu prawnie. Jasne, chce też zrobić to w sposób, który cię zrani, ale to dlatego, że ty zraniłaś jego. Uważa, że zrobiłaś to specjalnie. Dobrze, wiem, nie krzywdziłaś go specjalnie, ale jednak. Co on właściwie chce załatwić? Chce być głową rodziny i chce być twoim bratem. Sercem rozumie, że wyszłaś za mąż i że nie jesteś już Wangiem.
  - Phi. Sercem rozumie, że chce pieniędzy.
  - Ja wiem jego sercem, że chce znacznie więcej. Posłuchaj mnie. I pozwól mi napisać list. – Po czym Siao zażartował: – Kobiety są takie gruboskórne! Nie rozumieją delikatnej męskiej psychiki.
  - Nonsens! – prychnęła Mae.
- Siao poślinił czubek ołówka i zaczął pisać. Pisanie sprawiało mu wyraźną przyjemność, coś, czego Mae nie zauważyła aż do tej pory.

*Najdroższy bracie,  
bardzo mi przykro, że ukryłam przed tobą wszystkie swe  
zamierzenia dotyczące prowadzenia interesów. Nie było to  
uczciwe. Wiele straciłam. Straciłam twoją pomoc i radę, za to  
stałeś się moim wrogiem w czasach, kiedy potrzebuję przyjaciół.  
Mam wspaniałą pomysł, ale nie wiem, jak go zrealizować,  
ponieważ jestem kompletną ignorantką w ubezpieczeniach. A tu,  
pod ręką, mam brata, który wie o nich wszystko! Jak sądzę oboje  
możemy znaleźć bardzo inteligentne sposoby wykorzystania  
telewizora do pokazania mieszkańcom wioski, jak ważne jest  
posiadanie ubezpieczenia.  
Potrzebuję twojej pomocy. Proszę, czy moglibyśmy się spotkać, by  
omówić tę sprawę dokładnie?*

*Twoja siostra,  
Mae.*

Mae prychnęła z pogardą.

– Nie ma żadnej wzmianki o procesie. Nawet nie poprosiłeś go, żeby zrezygnował ze sprawy.

– Ach! Jednak zauważyłaś.

– Radzisz, żebym się położyła i dała wypieprzyć własnemu bratu!

– Radzę ci: daj mu coś, żeby uznał, że opłaci mu się dać coś tobie. Żeby mógł stanąć przy twoim boku, jak wypada bratu. Jestem gotów się założyć, że dałby wszystko, by móc stanąć przy tobie jak brat.

– W porządku – warknęła Mae. – W porządku, wyślemy twój list, może być? I zobaczymy, jakiej odpowiedzi udzieli nam mój uroczy młodszy brat.

\*\*\*

Mae,

*twój pomysł telewizyjnych ubezpieczeń jest interesujący. Oczywiście muszą być powiązane z Yeshibozkent Home Guardian, którego interesy reprezentuję, ale jestem pewien, że nie będą mieli zastrzeżeń do screenów z naszą marką, sprzedających ich produkty w sposób odpowiedni do miejscowych warunków. Ale będą musiał porozmawiać z nimi w tej sprawie.*

*Zastanawiam się jednak nad tym, czy możemy pracować razem. Zachowania z przeszłości budzą poważne wątpliwości co do stanu twojego umysłu. Jednakże rodziny muszą stawać lojalnie wobec przeciwności. Jeśli zezwolisz, by moja większa znajomość na tym polu dyktowała postępowanie, zapewne będziemy mogli przejść do dalszych ustaleń.*

*Twój brat,  
Pan Wang Ju-mei,  
Przedstawiciel Sprzedaży na Szczęśliwą Prowincję,  
Yeshibozkent Home Guardian.*

Mae znów wpadła w furję.

– Moje zachowania! Stan umysłu! A co z jego stanem umysłu, że

skarży do sądu własną siostrę! Zabrać jej wszystko, do czego doszła!

Siao wypił łyk herbaty.

– A może sprawdzimy, co naprawdę napisał? Po pierwsze, ma poważne wątpliwości, czy zdołacie pracować razem. Czy to nie coś, z czym chętnie się zgodzisz?

Mae prychnęła.

– Przynajmniej z tym tak.

– No tak. Czy możemy uznać to za proste stwierdzenie faktu?

– To on oskarżył mnie, nie ja jego – dodała, wzruszając ramionami.

– Jeszcze cię nie oskarżył, tylko wyraził taką intencję. Prawdę mówiąc, uczciwie cię ostrzegł. Czy to nie jest tak, Mae? Sama przyznaj.

– Jesteś mężczyzną, więc stajesz po jego stronie.

– Masz absolutną rację, nazywając go zazdrosnym intrygantem. Ale spójrzmy, co naprawdę napisał. No więc wspomniał o twoim zachowaniu i o stanie twego umysłu. Czy przypadkiem nie ściagałaś pewnego mężczyzny uzbrojona w tasak? Czy nie miałaś przygody z sąsiadem? Czy nie zachowaliście się bardzo nieostrożnie? Czy nie groziłaś Ju-mei śmiercią?

Mae bardzo się to nie podobało. Chciała się kłócić, tylko nie było o co.

– On się ciebie boi – szepnęła jej szwagier. – Jest przerażony. Jesteś jego władczą, dzielną starszą siostrą, wie, że byłaś w „New York Timesie”, że wygoniłaś z domu samego pana Haseema, takiego wielkiego i silnego, i boi się.

Coś w jego głosie sprawiło, że Mae zaczęła się śmiać.

– „Ja się ciebie boję, Mae. Cała wioska żyje w przerażeniu”. Nienawidzi go Pani Sowa, taka nieopanowana i agresywna. A ludzie wiedzą, kiedy się ich nienawidzi. Wiedzą także, kiedy się ich kocha.

Mae nadal się uśmiechała.

– No więc pisze, że skonsultuje się ze swą firmą. I że rodzina powinna trzymać się razem. Mae, ty już zwyciężyłaś! Teraz musisz tylko zachować się jak zwycięzca.

Mae zaczęła się uspokajać, a Siao zakończył:

– Musisz pójść z wizytą rodzinną. Musisz go jakoś wynagrodzić.

\*\*\*

Mae zostawiono samą sobie w lodowatym pokoju reprezentacyjnym. Jej rodzina zużywała bardzo mało węgla, w piecyku żarzyły się dwa szare kawałki. Siedziała na poduszkach, próbowała jakoś rozgrzać stopy i opanować drżenie w dłoniach oraz uczucie mdłości. Ach, czego się tak boisz? No, czego się tak boisz?

Słyszała, jak szepczą za drzwiami. Czego oni się tak boją? Dlaczego cała rodzina Wangów boi się siebie nawzajem?

Ju-mej musi znać to doskonale. Odwiedza ludzi w ich domach, ludzie nie chcą być niegrzeczni, więc zapraszają go, sadzają w najlepszym pokoju, a za zasłoną kłócą się szeptem, przekonując się nawzajem, że gościowi należy się uprzejmość. A jemu pozostaje tylko udawać, że nie słyszy.

Ale najmniejsze, co można zrobić, to kazać ludziom czekać w cieple. Jeśli węgiel jest takim luksusem, palcie suszonym łąjnem. Niestety rodzinie Wangów nie wolno palić suszonym łąjnem, tylko wieśniacy palą suszonym łąjnem.

Prezenty urodzinowe pakowaliśmy zwykle w czerwone papierowe serwetki, takie, jakie dodają do herbaty w herbaciarni. Otulaliśmy nimi coś cennego, jak pomarańcza. Taśmę zdejmowaliśmy bardzo ostrożnie, żeby serwetkę można było użyć powtórnie. Każdy, nawet najmniejszy prezent dostawało się owinięty czerwoną serwetką.

Biedna mama. Do jedzenia mieliśmy tylko zupę, jedna miska zupy na każde z nas dziennie. Pamiętam nawet dzień, kiedy musieliśmy jeść gotowaną trawę, by wypełnić żołądek. Następnego dnia mama odwiedziła każdy dom we wsi. Żebrała. Ktoś dał jej kurze łapki, ktoś inny cebulę. Zrobiła zupę z niemal niczego, a któreś z nas, mała małpka, wylał do niej przypadkiem naftę z lampy. Matka upadła wtedy na podłogę i zaczęła płakać. Nie ukarała żadnego z nas, tylko płakała.

Mae jeszcze raz spojrzała na wiszące na ścianie zdjęcia. Oto oni

wszyscy, wszystkie dzieci stojące rzędem, w Złoty Czesach, tak nazywała mama te lata, kiedy ojciec jeszcze żył. Nawet wtedy prała ubrania do czysta, biła nimi w kamienie pod mostem.

I tata – zdjęcie, na którym jego twarz jest jak polerowany brąz. Ma na sobie miejski garnitur, nosi wąsy, w zębach trzyma fajkę. Mae pamiętała nawet dzień, kiedy zostało zrobione. Wszyscy razem pojechali wozem do Kurulmushkoy, siedziała sztywno, taka dumna ze swego najlepszego ubrania. Tata był kandydatem Partii Jedności Narodowej w lokalnych wyborach, dlatego miano zrobić mu zdjęcie. I dlatego zginął. Dla niej i dla Missy to nie była aż tak wielka tragedia, urodziły się dziewczynkami, dorastały jako dziewczynki. Ale Ju-mei? Skąd miał wiedzieć, jak być mężczyzną? Dlatego zdjęcie taty wisiało teraz pośrodku ściany.

Mae przypomniała sobie: przez pół roku po śmierci ojca jej brat nie odzywał się ani słowem, tylko siedział wpatrzony w swe małe zniszczone buciki.

Mae przypomniała sobie: to Ju-mei znalazł go, umierającego, w reprezentacyjnym pokoju. Musieliśmy potem używać poduszek zaplamionych krwią taty.

Rozsunęła się zasłona reprezentacyjnego pokoju, szarpnięta tak gwałtownie, jakby Ju-mei pragnął ją rozerwać. Stał przed nią jej brat, z wojowniczo wysuniętą szczęką, ubrany w swój ceremonialny królewski strój, założył nawet okulary.

Mae przypomniała sobie nagle: martwa twarz ojca. I zrozumiwała.

Boi się przeszłości. Robi, co w jego mocy, by przed nią uciec, a im bardziej walczy, tym głębiej tkwi w pułapce. Ja też. Coś w niej pękło, coś przestało ją uciskać. Biedny Ju-mei, nigdy nie przestaniesz walczyć. Nawet na chwilę.

Wstała. Ukłoniła się bratu z szacunkiem. Nawet ją zdumiało to, że nie żywi przy tym żadnej urazy.

– Bracie – powiedziała cicho.

– Sostro – warknął Ju-mei, pochylając głowę i natychmiast ją podnosząc. Wyglądało to bardziej, jakby chciał uderzyć ją czołem, niż na ukłon.

Nie wiedział, co powiedzieć. Przez chwilę oboje stali w

milczeniu.

– Mogę usiąść? – spytała Mae.

– Zdumiewa mnie, że czujesz się w obowiązku zapytać. – Gospodarz był pewien, że w ten sposób wytyka mu się złe manieri. Co oczywiście oznaczało, że wie, jak bardzo nieuprzejmie zachował się, pozostawiając gościa samego przez tak długi czas.

Mae usiadła. Powiodła wzrokiem po ścianach. „Och, do diabła z tym”, powiedziała sobie w myśli. Nie zamierzała dłużej manifestować czegokolwiek.

– Twoje zdjęcia przywołały wspomnienia z dawnych dni, kiedy mieszkaliśmy tu wszyscy, wraz z ciocią.

– Phi! Jestem zbyt zajęty, by myśleć o przeszłości.

– Ja też, przynajmniej przez większość czasu. Ale wiesz... nie było nam wówczas aż tak źle. Dobrze pamiętać, jak bardzo mama starała się, byśmy mieli czyste ubrania i coś do zjedzenia. I to się jej jakoś udawało.

– Miło mi słyszeć, jak przyznajesz, że mama zrobiła jednak coś dobrego.

Mae nie miała najmniejszej ochoty się kłócić.

– Matka zawsze będzie matką. Było jej bardzo trudno. Polegała na tacie zawsze i we wszystkim. W tamtych czasach można jeszcze było wierzyć, że jeśli jesteś kobietą, możesz nigdy nie dorosnąć, tylko żyć jak zawsze, wykonywać polecenia. I nagle – puf! – nie ma komu wydawać poleceń.

– Po śmierci ojca nigdy nie doszła do siebie.

– Nikomu z nas się to nie udało. Upadliśmy tak nisko, że nie wiemy nawet, co to znaczy „dojść do siebie”. Jacy moglibyśmy być, gdyby tata żył, to dla nas coś niepojętego. Nie potrafimy sobie tego nawet wyobrazić. A jednak, jak sądzę, nadal wierzymy, że pewnego dnia dorośniemy i staniemy się tą rodziną.

Ju-mei wstał nagle.

– Czego chcesz? – spytał wprost.

Mae nie wiedziała, czy jest zły, czy czuje się zagrożony, smutny, niecierpliwi się, lub nudzi.

Nic jej nie zaszkodzi powiedzieć prawdę. Siedziała i myślała

przez chwilę, a kiedy odpowiedziała, ta odpowiedź i dla niej była niespodzianką.

– Chcę odrobiny ciszy i spokoju.

– Phi! Małe są na to szanse, kiedy jesteś w pobliżu.

W tym stwierdzeniu było zapewne trochę racji.

– Może dlatego tak bardzo ich potrzebuję?

Ju-mei jeszcze bardziej się wyprostował.

– Jesteśmy tu, by przedyskutować pewną propozycję – przypomniał.

Mae poczuła, jak ciężkie powieki opadają jej na oczy. Miała wybór. Mogli pokłócić się, czego wyraźnie chciał jej brat, ale mogła też trzymać się tego, co pokazał jej Siao: czegoś nowego. Postanowiła zrobić coś dla niego.

– „Ubezpieczenie” to słowo zbyt wielkie dla ludzi robiących świece na własne potrzeby – zaczęła. – Oni muszą to zobaczyć. Zobaczyć to na własne oczy. No więc... twoja firma musi mieć coś, co nazywa się *daj-ne*. Jest to Info używane przez firmę do oceny odpowiedzi na pytania o ubezpieczenie. Może ma też nagrania, może prawdziwych ludzi, którym pomogła? – Poczowała się tak, jakby w jej ciele zapłonął ogień. Wyprostowała się nagle. – Więc co musimy zrobić? Poskładać to razem. W przedstawienie. Mamy Eksperta Pierwszej Klasy – to ty. Może pokazemy to przedstawienie na podwórku Wingów? Zrobimy z tego okazję towarzyską. Może na wiosnę. Jedzenie, kwiaty... wtedy wszystkiego jest tak wiele. Ach! I ty pojawisz się, wyjaśnisz, o co chodzi. Pokazujesz filmy, ale też prosisz ludzi, żeby porozmawiali z telewizorem. Dostaną odpowiedzi przygotowane specjalnie dla nich.

Zrobiła coś nie tak. Twarz Ju-mei traciła wyraz.

– Mae, ja sprzedaję w tej wsi ubezpieczenia od bardzo wielu lat. Nie potrzebuję ciebie, żebyś uczyła mnie, jak to się robi.

– Ja... dałam się ponieść entuzjazmowi. To oczywiście jasne, że wszystko, co zrobimy, musi zależeć od ciebie.

– Ty sama nigdy nie kupiłaś żadnego ubezpieczenia.

Co? Miałam wydawać wszystko, co zarobiłam, u ciebie, bo jesteś moim bratem? Mae musiała tłamsić rodzący się gniew. Pamiętaj,



powiedziała sobie, że jego żona kupowała ubrania u ciebie. W rodzinie kupuje się u siebie, nawzajem. Solidarność.

– To była decyzja mojego męża – usprawiedliwiła się.

– Joego? Joe w życiu nie podjął decyzji.

Ju-mei szczerzej z tobą rozmawia, niż ty z nim, Mae.

– Po prostu nie sądziłam, byśmy ich potrzebowali.

Aż do teraz. Bo teraz potrzebowali ubezpieczenia, z bardzo dobrego powodu.

– Nie spodziewam się, że mi uwierzysz, Ju-mei, ale dopiero teraz uświadomiłam sobie, co chcę z tego mieć.

– Pieniądze. – Głos jej brata był bezdźwięczny, gorzki, pozbawiony cienia nadziei.

– Chcę, żebyś ubezpieczył całą wioskę. Przeciw Powodzi. – Przerwała, zastanawiała się przez chwilę. – I chcę mieć swoją rodzinę. – Poczula szczypanie, w oczach miała łzy.

Była pewna, że przyszła na próżno. Spotkanie skończyło się jak każde spotkanie w interesach, Ju-mei obiecał, że „rozważy jej propozycję”. Nim odwróciła się i wyszła, rozejrzała się jeszcze po domu. Na podłodze leżały małe, cienkie dywaniki. Była tu też wycięta z magazynu, oprawiona fotografia. Puste półki, tylko na jednej stała encyklopedia, którą Ju-mei kupił, używaną, żeby dzieci miały się z czego uczyć. Poza tym pokój był czysty, schludny... tyle pracy, a taki chłód. Matka w ogóle się nie pokazała.

Wróciła do domu. Postanowiła wykupić jakieś ubezpieczenie od powodzi. Zaparzyła herbatę, wspięła się na strych Pani Sowy. Już czekał na nią e-mail.

*Siostro,*

*rozmawiałem z rodziną. Wspólnie zdecydowaliśmy się zaakceptować twą propozycję. Sądzimy, że lepiej będzie zorganizować pokaz tutaj, w naszym domu. Mama już planuje dekoracje i posiłek. Czy ty lub pani Wing mogłybyście pożyczyć nam telewizor?*

*Jest coś, czego nie rozumiem. Wcześniej nie rozumiałem, jak wiele z tego, co robisz, robisz dla wioski. Myślałem, że chodzi ci tylko o*

*pieniądze. Napominałaś ludzi, robiłaś sobie złą opinię, a ja sądziłem, że się wynosisz nad innych – pokazujesz, że jesteś kimś. Nie przyszło mi po prostu do głowy, jak wiele z tego, co robiłaś, robiłaś, w ogóle nie myśląc o sobie.*

*Zorientowałem się, że będę więcej niż szczęśliwy, mogąc współpracować z tobą przy tym projekcie.*

*Wspólnie ubezpieczymy całe Kizuldah.*

*Twój brat.*

*Ju-mei.*

– Siao, Siao! – zawołała Mae, nie posiadając się z radości. – Chodź! Chodź, zobacz!

\*\*\*

Prezentację przygotowali wspólnie Mae i Sloop, inżynier z Yeshibozkent. Siao i Ju-mei przenieśli telewizor do domu Wangów. Naprawdę udekorowanego kwiatami, lecz kwiatami zimowymi, papierowymi, a stoły ugięły się pod ciężarem jedzenia. Przyszedł ktoś z każdego gospodarstwa we wsi. Piecyki wypełnione były węglem po brzegi. Nie brakowało ryżowego wina.

Ju-mei stanął naprzeciw zaproszonych. Pokazał im, ile mogą zarobić, płacąc tygodniowo tyle i tyle, bardzo niewiele. Zwykli gospodarze – twarze w telewizorze – tłumaczyli: kupiliśmy ubezpieczenie. I nie zaprezentowano nagrań, Yeshibozkent Home Guardian zorganizował połączenia na żywo. Na pytania odpowiadali ludzie o ciemnych, pomarszczonych twarzach, podobni do słuchaczy. „Tak, wszystkie nasze owce padły na zarazę pyska i racic, ale firma wyrównała nam straty”.

Dyrektor Home Guardian także pojawił się na żywo. Powiedział Ju-mei, że jego pokaz może służyć za wzór tego, jak upowszechniać ideę ubezpieczeń wśród zwykłych ludzi.

Siao był na miejscu i to on wykupił ubezpieczenie w imieniu rodziny Chungów. Jego osobistym pięknym gestem było ubezpieczenie maszyny tkackiej. Mae przez cały czas siedziała w kącie, ubrana w swą najpiękniejszą białą sukienkę.

A potem nastąpiły pożegnania, wszyscy ściskali dłonie wszystkim, Ju-mei uśmiechał się szeroko, radośnie, a kiedy dom opustoszał, Mae wspięła się na strych i poszła spać. Sama, jeśli nie liczyć wspomnień z przyjęcia, sama. Tuliła je do siebie całą noc, tuliła do nabierającego kształtów nienarodzonego dziecka.

Ale nie mogła przestać myśleć o gładkich ramionach Siao.

Z wizytą przyszedł nauczyciel Shen. Mae otworzyła drzwi, zobaczyła go na tle jasnego, niebieskoszarego nieba i serce uderzyło jej mocniej.

– Nauczycielu... – przywitała go grzecznie, formalnym ukłonem.

Shen wyglądał strasznie. Z dolnej szczęki wyrastały mu nieporządnie pojedyncze, wijące się włosy, siwe jak wąsy starej kobiety. Oczy otaczały mu koncentryczne kręgi spuchniętego ciała. Stał na progu i tylko na nią patrzył.

– Marznie pan. Proszę, wejdź do środka, nauczycielu.

Wyglądał bardzo źle i pachniał bardzo źle. Kurtkę miał starą, czarną, musiał przytrzymywać ją ręką, żeby się nie rozchyliła. Coś kiedyś się na nią rozlało. Miał przepiękne mitenki Eloi, zrobione przez żonę.

Mae czuła przymus mówienia.

– Och, to nie jest pogoda na odwiedzin, pan pozwoli, zaparzę panu herbatę...

– Nie jest zimno – przerwał jej Shen. – Jest bardzo ciepło, jak na tę porę roku.

– Proszę... proszę, niech pan usiądzie przy stole. – Uprzątnęła resztki śniadania Siao. – Tak, wiem, co pan ma namyśli, mówiąc, że jest ciepło. Tyle śniegu w górach, a taka ciepła pogoda. Obawiam się Powodzi.

Shen się skrzywił. Mae ciągle się uśmiechała. Stukały filiżanki do herbaty.

– Była już taka Powódź, wie pan, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Woda zmyła wówczas wioskę Aynalar. Musimy być przygotowani. To znów może się zdarzyć.

Przestań, powiedziała sobie. Wszystkim to powtarzasz. Papłasz bez sensu. On nie po to tu przyszedł.

Postawiła czajnik na piecyku. Postawiła filiżanki dla nich obojga. Poczowała zapach oddechu nauczyciela, stare, skwaśniałe

wino. Chińczycy nie umieją pić, ten stan nazywa się „kizul”, „czerwony”, i oznacza zaczerwienione policzki, a także gniew. Powinno się go także nazywać „biały”, bo potem byli bladzi, rozedrgani, jak łatwo przełamany lód.

Shen westchnął. Wbił palce w gęste czarne włosy.

Zawsze byłeś taki przystojny, pomyślała Mae. Przyjaźń popłynęła dobrze pamiętanymi kanałami.

– Nie przespałem nocy – powiedział nauczyciel.

– Wcale mnie to nie dziwi. Usunięto cię z bardzo zaszczytnej pozycji. Wyjątkowo niesprawiedliwie.

– Och. – Spojrzał na nią, jakby była telewizorem. To spojrzenie mówiło: „Twoja вина”.

– Niczego nie zrobiłam, wiesz. – Mae usiadła po przeciwnej stronie stołu. Zorientowała się, że ocenia, jak daleko musiałby się wychylić, żeby ją uderzyć.

Nauczycielu Shen, pojechałabym z tobą twoim wozem pełnym chmielu dla browaru. To był zawsze mój ulubiony sposób podróżowania do miasta. Ty, ja i Suloi wstajemy wcześnie, jest czwarta nad ranem, śpiewają głośno wszystkie lubiące tę porę ptaki. Świt wydobywa z mroku wasze przyjazne twarze, a ty opowiadasz nam różne stare wioskowe historie.

– Żona mówiła mi, że piszesz listy. Że robisz wszystko, żebym odzyskał pracę. – Jego twarz zadrżała, lód pękł, popłynęły łzy. – Nie oddadzą mi mojej pracy! – Poskarżył się głosem małego chłopca. Twarz miał skrzywioną, jak wyżęta stara ścierka. Wpatrywał się w stół, oddychał ciężko, próbował przełknąć ślinę. – Nie jestem farmerem. Mam bardzo mało ziemi. Jak będę zarabiał na życie?

Poklepał się po kieszeniach. Szukał papierosów, ale przypomniał sobie, że ich nie ma, że nie stać go na papierosy. Mae pochyliła się w jego stronę.

– Tak ciężko studiowałeś, żeby dostać tę pracę. To nie w porządku, że ci ją odebrali.

– A jednak odebrali.

– Kwan próbuje przeprowadzić zbiórkę. Zdobyć w wiosce tyle pieniędzy, żebyś mógł...

Shen kręcił głową. Kto ma tu jakieś pieniądze, w zimie? Kto zostaje nauczycielem, żeby żyć z lokalnej dobroczynności?

– Pomogłabym jej, ale... – próbowała wyjaśnić Mae.

Westchnął. Skinął głową.

– Ale z tobą nikt nie rozmawia. Ciężko jest stracić pracę, prawda? – Uniósł głowę, spojrzał Mae w oczy. – A ty swoją straciłaś przeze mnie.

Mae wzruszyła ramionami.

– Znalazłam sobie coś innego. Wszyscy będziemy musieli znaleźć sobie coś innego. Świat nie pozwoli nikomu z nas pozostać niezmiennym.

Shen pociągnął nosem. Wyprostował się na krześle.

– Przyszło mi do głowy – oznajmił – że jest coś, co mógłbym zrobić, żeby pomóc samemu sobie. – Westchnął, jeszcze raz pociągnął nosem i poprawił swój wizerunek mężczyzny, wycierając mokre od łez policzki. – Mógłbym nauczyć się sterowania potworem. – Wciągnął powietrze w płuca tak głęboko, jakby palił naprawdę dobrego papierosa. – Jeśli zacnę jej używać, powiedzą: „Och, on już nie wstrzymuje postępu”.

Mae zastanawiała się chwilę, jej odpowiedź musiała być sformułowana bardzo delikatnie.

– Jesteś mądrym człowiekiem, nauczycielu Shen...

– Jak mam to zrobić? – przerwał jej ostro.

– To zajmie dużo czasu, nauczycielu Shen, a wioska potrzebuje cię jako nauczyciela. – Pora rozłożyć matę, tylko jak? – Musimy pokazać, że już dobrze wiesz, jak posługiwać się Info. I jesteś skłonny uczyć tego innych.

Shen aż się zachwiał. Wyglądał jak zwierzę w pułapce. Obejrzał się gwałtownie, jakby rozpaczliwie szukał miejsca, w które mógłby wydmuchnąć kłęb papierosowego dymu.

– W porządku – zgodził się.

– Powiem ci, co musisz powiedzieć maszynie, żeby założyć sobie konto e-mail. Jeśli zrobisz to głosowo, maszyna zarejestruje, że to ty osobiście wydawałaś jej komendy. Tak będzie lepiej, prawda? Biuro Dyscypliny i Edukacji zobaczy, że to ty nadałaś wiadomość. Potem wyślemy wideomail. Żeby zobaczyli, że potrafisz nie tylko

wysłać wiadomości, ale jesteś prawdziwym panem sieciowej TV. Więc musimy cię doprowadzić do porządku.

– Ekspertka modowa! – Shen omal się nie roześmiał.

– Już nie. Ale nadal potrafię sprzedawać różne rzeczy i jestem w tym dobra. Niech pan nie popełni błędu, nauczycielu – teraz sprzedajemy ciebie, prawda? Bardzo przepraszam, ale musimy powiedzieć sobie jasno, czego chcemy.

Nauczyciel był przestraszony, był bezradny, a cały jego obraz świata okazał się fałszywy. Nieśmiało skinął głową.

– Po Joem zostało mi parę rzeczy. – Mae wstała. – Och, herbata!

Szybko przelała wodę do dzbanka, postawiła dzbanek przed gościem, siedzącym nieruchomo, piastującym w dłoniach filiżankę. Chciał, żeby ktoś go pocieszył i pomógł mu otrzeźwieć.

Przy zlewie leżały rzeczy Joego, męskie rzeczy: brzytwa, grzebień. Opuszczając dom, Joe porozrzucił, czego nie wziął, oboje z Tsang zostawili po sobie straszny bałagan. Musieli być pijani. Albo bardzo szczęśliwi.

– Proszę. Musisz się ogolić. I musisz umyć głowę.

Shen siedział jak skamieniały. Oczywiście będzie musiał zdjąć koszulę. Cóż to byłby za skandal, gdyby któraś z pań z Kręgu zastała go tu z Panią Sową i bez koszuli.

– Sprawdź maszynę i wróć – oznajmiła Mae.

Bardzo dobrze szło jej już zbieganie i wbieganie po drabinie. Odczepiła telewizor od belki sufitowej. Operowanie wielokrążkiem i opuszczenie go na podłogę kuchni nie wymagało wiele wysiłku.

– Powiedz mi, kiedy skończysz, nauczycielu Shen! – zawołała.

Wyjrzała przez świetlik. Dom tykał nieustannie jak uderzające o siebie druty do robótek, to woda skapywała z parapetów. Beczki na deszczówkę już się przelewały. Czuła chłód, oddech wydobywał się z jej ust jako para, ale tylko dlatego, że nasycone wodą powietrze nie mogło wchłonąć jej więcej. Była to para mgły, nie przejmującego chłodu.

Za ciepło, za ciepło, za ciepło.

Nie chciała o tym myśleć. Przywołała panią Tung. Wystąpimy w telewizji, przywrócimy pracę nauczycielowi Shenowi. Maszyna

tkacka robi mnóstwo różnych rzeczy, nowych rzeczy, przedtem nieistniejących. Damy z Kalifornii zamawiają torebki, damy z Japonii haftowane kapelusze. Czyż Info nie jest świetne? A robienie interesów zabawne?

– Jestem gotów! – zawołał pan Shen.

Mae zeszła po drabinie. Jej serce wrywało się do tego człowieka. Stał wyprostowany, z dumnie uniesioną głową, jakby stawił czoło falom trudnego egzaminu. Za uszami miał jeszcze mydliny, pozostałość po goleniu, a na policzkach czerwone ślady pozostawione przez starą brzytwę. Ale odświeżył się i siedział prosto.

– Ach, wyglądasz tak profesjonalnie – zachwyciła się Mae.

Krok po kroku przeprowadziła gościa przez procedurę zakładania konta e-mail na swojej maszynie. Wymawiał właściwe komendy powoli, z wyraźnym wahaniem, z kamienną twarzą, w której jego wargi poruszały się z największym trudem. Ale ekran wykonywał taniec z wachlarzem kolejnych stron, potwierdzając i informując.

Kocham tę pracę, pomyślała Mae. Mój umysł nigdy nie jest tak czysty jak przy niej. I nigdy stara pani Tung nie jest dalej ode mnie, nie gubi się za mną, jest bardziej bezradna. Radość wzmacnia radość.

Jej piękny telewizor był jak skarbnica, jak fontanna z wodą czystą, skrzącą się i bardzo smaczną.

Shen mogło być imieniem w dwóch językach. Jeśli ten Shen był Karzem, a istniały w tej kwestii bardzo poważne wątpliwości, mogło oznaczać „Szczęście”. Jeśli nosił chińskie imię, było zbyt starożytne, by znaczyć cokolwiek. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że Shen pochodzi od Eloi, Shueng. Jakiej narodowości był ich nauczyciel?

Ktoś imieniem Shen pochodził z ludu mającego nazbyt wiele historii. Można by ich zabić z powodu samej historii, zamkniętej w imieniu, przez co żyli w strachu, niosąc na barkach ciężar swego losu. Byli wieśniakami, chcieli tylko, by zostawić ich w spokoju. Żeby nie musieli martwić się, który kontynent jest ich kontynentem i do którego plemienia należą. Shen marzył tylko o



tym, by zostawiono go w spokoju.

– Doskonale. A teraz musisz wyglądać, jakbyś szedł na promocję córki. – Mae ściągnęła z niego jego starą kurtkę. Była wdzięczna losowi, że włożył czarną koszulę. Pogniecioną wprawdzie, odbarwioną, ale w telewizji będzie idealnie czarna. Wytarła mu mydliny za uszami. – Wybacz mi, ale masz wysypkę na twarzy. Muszę zrobić ci drobny makijaż.

Shen wreszcie się uśmiechnął.

– Jestem Talentem. – Zaszurał stopami i usiadł.

Mae wtarła mu w brodę odrobinę własnego podkładu.

– Czy będę rozmawiał z Sekretarzem? – spytał. Widać było, jak bardzo przestraszył się tej myśli.

– Ależ nie, skąd. Będziesz tylko mówił do telewizora. Nagranie zostanie wysłane jak list, który zawsze mogą otworzyć sobie później. Zobaczą, że jesteś dobrym człowiekiem, poważnym człowiekiem i doskonale radzisz sobie z Info. Zobaczą, że popełnili błąd. Rozumiesz? – Spojrzała mu w oczy. Wioska nienawidziła rządu. Nie ufała mu. Shen może spłoszyć się w każdej chwili. – Wiesz co? Traktuj ten wielki ekran jak lustro. Pokaże ci, jak wyglądasz. To ci pomoże.

Shen jakby wiał w oczach.

– Nie powinienem robić tego teraz. Mowę najpierw trzeba napisać. Co będzie, jeśli popełnię błąd?

– Jeśli to będzie poważny błąd, zaczniemy od nowa, rozumiesz? Ale posłuchaj mnie, Shen, nie czytaj zapisanej przemowy. Jesteś nauczycielem, a to znaczy, że umiesz przemawiać do grupy ludzi choćby przez cały dzień. Jesteś inteligentnym człowiekiem. Obiecuję ci, że doskonale sobie poradzisz. W porządku? Wszystko w porządku.

Ty biedny dobry człowieku.

Mae włączyła kamerę, ustawiła ją na „nagraj”. Wywołała ekran ukazujący to, co widzi. Shena zaskoczyło, gdy nagle w telewizji zobaczył samego siebie, rozdziawił usta, wybałuszył oczy. Po twarzy pociekł mu pot jak topniejący śnieg.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Wpadł w panikę.

– Stop. Skasuj – poleciła Mae telewizorowi. Otarła nauczycielowi

twarz. – Przecież wiesz, co chcesz osiągnąć – powiedziała stanowczo. – Sekretarz wie, jaki jest potężny, nie musisz więc marnować jego czasu i płaszczyć się przed nim. Oczekuje, że o coś go poprosisz. Proś od razu. Ale też nie zapomnij powiedzieć tego, co powinieneś powiedzieć.

Zaczął od nowa. I obudził się w nim nauczyciel.

– Sekretarzu Goongoormush. – Przerwał. Przełknął. – Jestem nauczyciel Shen Yoh z wioski Kizulдах w Yeshibozkent Vilayet. Niedawno odebrano mi posadę nauczyciela. – Odchrząknął. – Rozumiem, dlaczego to zrobiono. Moją pracą jest nauczanie Info. I prawdą jest, że powstrzymałem panią Chung od nauczania go. Jednakże w tej chwili wioska w ogóle nie ma nauczyciela. Jest zima. Oznacza to, że dzieci nie mają szkoły. Proszę o przywrócenie mnie do obowiązków. Jak pan widzi, zacząłem się uczyć Info od samej pani Chung. – Shen przerwał, a potem dodał jeszcze: – Zawsze byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Jestem pewien, że uczyni ze mnie dobrego nauczyciela. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas. – Odetchnął chrapliwie. – Wiadomość w kolejce.

Kiedy się tego nauczył?!

– Bardzo dobrze – dodała mu odwagi. – Dokonałeś tego!

– Dokonałem. Dziękuję ci bardzo. – Shen patrzył na nią poważnie. Wstał ciężko, jakby na barkach dźwigał worek kamieni.

Najwyższy czas, by postawić sprawę uczciwie. Mae także wstała.

– To, co mi zrobiłeś, było bardzo, bardzo złe – powiedziała.

– Tak – przyznał Shen. Ale nadal nie potrafił, nie był w stanie przeprosić. Ruszył powoli ku drzwiom.

Mae poszła za nim.

– Ja tylko staram się pomóc. Pomóc nam wszystkim.

Po co to mówiła? Chciała czegoś w zamian?

Nauczyciel wiedział, że jest ścigany. Przyśpieszył kroku, już był przy drzwiach. Chwycił brudną kurtkę, owinął szyję szalikiem przez cały czas odwrócony tyłem do Mae. Otworzył drzwi, wyszedł i znikł. Nie padło ani jedno słowo więcej.

Nawet nie podziękował? Mae podeszła do okna. Shen szedł

przygarbiony. Podniósł rękę, zmierzwił porządnie przyczesane włosy. Nie od razu udało mu się otworzyć drżącą dłonią starą zapadkę furtki. Potem, jakby z wściekłością, szarpnął nią. Odbiła się od kamiennego progu i zamknęła za nim, powoli, ale, nim się zamknęła, Mae widziała jeszcze, że kryje twarz w dłoniach.

Spojrzała w drugą stronę. Zobaczyła Kena. Odprowadzał Shena wściekłym wzrokiem, był gotów do bójki. Widziała, jak odwraca wzrok i patrzy na jej dom, na okno, przez które wyglądała, więc szybko ukryła się w cieniu.

### PARTIA POSTĘPU: PROGRAM NA DZIŚ

Pani Sunni omawia aktualną modę dla prawdziwie eleganckich kobiet. Sprawdźcie, jak Info pomaga dobrać suknię z waszego ulubionego materiału i w waszym ulubionym kolorze. Pokaz w domu pani Sunni. Zapraszamy na herbatę o 9:30, po zakończeniu porannych obowiązków.

### KRĄG OKO PATRZĄCEGO

Rozpoczyna każdy dzień pracy o godzinie 8:00. Zobaczcie nasze szczęśliwe członkini przy pracy, podczas gdy maszyna pracuje, tkając na specjalne zamówienie naszych klientów. Panie tkają także ręcznie wyjątkowe dzieła dla naszych przyjaciółek z Ameryki, warte wiele dolarów. Jeśli przyjdziecie o 10:30, pani Chung Mae z przyjemnością zademonstruje wam Info, zaprojektowane i stworzone specjalnie dla interesów prowadzonych przez jej sąsiadów. Opowie wam, JAK ZARABIAĆ MNÓSTWO DOLARÓW NA INFO.

### SZCZĘŚLIWE RODZINY

Oba pracujące w Kizulдах telewizory są dostępne dla wszystkich każdego wieczoru. Zapraszamy z przyjacielską wizytą, na ciasteczka, herbatę i przyjacielską rozmowę z panią Sunni lub z panem Wingiem i Kwan w ich domu, przy ich własnych maszynach.

Zdarzyły się nam bardzo dobre rzeczy: tak twierdzi rząd i tak twierdzi „New York Times”.

6:00 po południu do 9:30 wieczorem codziennie, chyba że śnieg jest zbyt głęboki.

### PRZYJĘCIE UBEZPIECZENIOWE

Dziesięć gospodarstw naszej Szczęśliwej Doliny jest jeszcze szczęśliwszych, bezpiecznych, bo wiedzą, że jeśli zdarzy się im nieszczęście, znajdą przed nim ochronę. Pan Wang Ju-mei, ubezpieczyciel naszej wsi, będzie gospodarzem kolejnego zimowego zlotu. Zapraszamy na rozgrzewające wino, dania z domowej kuchni starszej pani Wang i darmowy pokaz telewizyjny, ale całkiem inny od tych, które znacie. Wy będziecie jego gwiazdami... ten pokaz będzie o was!

7:30 w piątki wieczorem. Współczesna muzyka naszej współczesnej dziewczyny, Sezen!

*Plik audio od: pani Chung Mae  
10 stycznia*

Droga Soo, wzięłam do serca pani uprzejmą radę sprzed kilku miesięcy. Rozmyślałam o tym tak głęboko, jak tylko jestem zdolna, i teraz widzę, jak bardzo jest pani mądra. Jeśli Balshang naśladowe nasze lokalne stroje, odbierze mi biznes, bo Amerykanie nie potrafią i nie zechcą rozpoznać, że my jesteśmy autentyczne, a Balshang nie jest. I myślę sobie, że nasi ludzie tutaj oglądają Amerykę w telewizji, więc będą chcieli wyglądać jak Amerykanie. Twój zakład musi być przygotowany do sprzedaży wysokiej jakości, lecz przede wszystkim tanich ubrań dla rodzin. Panie z mojego Kręgu są dobre i tanie. Jesteśmy w stanie dostarczyć w dużej ilości duplikaty amerykańskich ubrań dla całej rodziny. Być może pani zakład, lub nawet pani sama będzie tym zainteresowana?

Pani przyjaciółka.  
Chung Mae.

*E-mail od: Biuro Badań Meteorologicznych*  
*14 stycznia*

Droga pani Chung,

z radością przyjęliśmy pani niezwykle ofertę dokonywania dla nas pomiarów w sektorze Kizuldah Yeshibozkent Vilayet. Jest prawdą, że nie mamy systematycznych zapisów z miejsca pani zamieszkania. Jednakże stosowane przez nas rygory obserwacyjne są bardzo ścisłe. Zebrane dane należy następnie zinterpretować przy użyciu równań dla n-stałych. Dopiero wówczas nasza baza danych będzie w stanie wykorzystać informacje.

Bardzo dziękujemy za pani ofertę, nie widzimy jednak pożytku z jej przyjęcia. Ani dla pani, ani dla nas.

Bedri Eyoobogloo.

*E-mail od: Biuro Rozwoju Rolnictwa*  
*18 stycznia*

Droga pani Chung,

jesteśmy szczęśliwi, mogąc ofiarować pani nasz system lokalnego prognozowania pogody. Wraz z pakietem modelującym stworzonym przez naszego partnera, Biuro Geologiczne, jest on całościowym rozwiązaniem dla każdego, kto pragnie przewidzieć pogodę i jej skutki w określonej lokalizacji geograficznej. Opłata licencyjna wynosi sto rielsów rocznie. Wliczone są w nią coroczne aktualizacje, pomoc online i plik instalacyjny Mądry Pomocnik. Ponieważ reprezentuje pani Centrum Postępu Inicjatywy „Rozpostrzeć Skrzydła”, możemy pani zaoferować dziesięcioprocentowy upust.

Oczekujemy odpowiedzi.

Goksel Kartal.

*Plik audio od: Pan Goksel Kartal, Biuro Rozwoju Rolnictwa  
20 stycznia*

To prawda, że system nie oferuje interpretacji n-stałych, lecz to niezwykle, by w normalnym użyciu w rolnictwie stosować tak skomplikowany sposób prognozowania. Do czego potrzebne jest Szczęśliwej Prowincji uzgadnianie danych z Balshang i z Pekinu?

*Plik audio od: pan Bedri Eyoobogloo, Biuro Geodezyjne  
22 stycznia*

Pani Chung, ma pani całkowitą rację. Proces, który pani opisuje, jest zgodny z naszymi rygorystycznymi zasadami zbierania informacji, lecz czy jest pani pewna, że chce pani to robić? Oceniam, że zajmie to pani dwie godziny dziennie. Proszę zrozumieć, że moim zdaniem może pani mieć złe pojęcie o tej sprawie. Rząd nie może zapłacić pani za wykonywanie tej pracy. Nie możemy też dać pani w darze oprogramowania do n-zmiennych. Opłatę licencyjną wnosi się raz, lecz wynosi ona tysiąc rielsów! Dlaczego tak pani na tym zależy?

*Plik audio od: pani Chung Mae  
22 stycznia*

Drogi panie Eyoobogloo, chcę wiedzieć wszystko o pogodzie. My, tutejsi ludzie, żyjemy z ziemi, wody, słońca. N-stała oznacza teorię chaosu, prawda? Co z kolei oznacza, że jeśli znam wzory w Balshang, wiem, jaki mają na nas wpływ, nie mylę się? Jest to ważne, ponieważ tej zimy mamy wyjątkowo duży opad śniegu przy wysokich temperaturach. W 1959 roku w takich warunkach doszło do gwałtownej powodzi. Wiał przy tym Erjdha Nefsi, Oddech Smoka, gorący wiatr z Pustyni Północnej, czyli z Balshang. Teraz pan rozumie?

*Plik audio od panna Soo Ling*  
24 stycznia

Pani wiadomość dotarła do mnie w najważniejszej chwili, jako że zamierzam założyć własną firmę. Odpowiadam w pośpiechu i napiszę więcej później, kiedy znajdę wolny czas. Pani przyjaciółka Ling.

*Plik audio od: pani Chung Mae*  
24 stycznia

Panie Tunch, mój wierny stróżu, znalazłam wreszcie chwilę, by telewizor przeczytał mi pański artykuł. Dla jasności: nie umiem czytać. Co daje mi wielką przewagę nad innymi ludźmi: działam w oparciu o instynkt, a nie głowę. Ale Info nauczyło mnie, że mam bardzo dobrą głowę wspieraną przez bardzo dobry instynkt. Czerpię wielką, sekretną radość ze świadomości, że nikt z was nie rozumie Tlenu. Ani pan, ani pański Sistemlar, ani ONZ, ani Format Gatesa, ani wszyscy wasi naukowcy i Talenty, i politycy. Wiem coś, czego wy nie wiecie. Coś, co podejrzewałam, ale wcale przed panem nie ukrywałam. Na naszej umowie skorzystałam ja. Proponuję więc panu następną, panie Tunch. Powiem panu, jaka jest ta wielka rzecz, o której wiem, w zamian za najlepsze, najpotężniejsze, najdokładniejsze oprogramowanie do przepowiadania pogody, z interpretacją n-stałych. Kiedy je od pana otrzymam, powiem panu, czym jest Tlen, a to dosłownie rozniesie pański mózg na wszystkie strony. Pańska z najgłębszym uczuciem przyjaźni, Mae.

*Plik dźwiękowy od: pan Hikmet Tunch*  
25 stycznia

Mae, Mae, moja droga dziewczynko, sędzę, że za wiele czasu

spędzasz tam, u siebie, w górach. Oszalałaś jak stary traper. Wiem, co czujesz się w obowiązku mi wyznać. W Tlenie grawitacja i myśl są tym samym. Wiesz o tym, bo kiedy postanowiłaś porzucić mą gościnność i wrócić do domu, sięgnęłaś po broń grawitacji-jako-myśli, by rozedrzeć na strzępy metalowe ogrodzenie. I chcesz mi jeszcze powiedzieć, że byłaby to wspianała broń, że można używać myśli-jako-grawitacji do burzenia całych miast. Mogę ci tylko powiedzieć, że już nad tym pracujemy. Jesteś bystrą, bardzo bystrą dziewczynką. Przykro mi z tą umową, ale nie ma umowy.

Twój mądry rywal, Hikmet.

*Plik audio od pani Chung Mae*

*25 stycznia*

Ha, ha, ha. He, he, he. To są słowa mego śmiechu. Śmieję się z ciebie. Jesteś Głupim Gangsterem. Pod tak wieloma względami! Wszechświat jest diamentem miłości, a gdy tylko zechce obdarzyć nas swym światłem, wy, Głupi Gangsterzy, zawsze, ale to zawsze, próbujecie zmienić blask, który oświetla, w ogień, który spala. Bierzecie diamenty i czynicie z nich ostre, tnące noże. Ale tobie się nie udało, prawda, Aroganckie Dziecko? Nie działa ta nowa wspianała broń uruchamiana przez myśl? Wiedziałam, że zawiedzie i że będzie zawodzić. A ponieważ jestem Mądrą Matką, pocieszającą Aroganckie Dziecko, część mojej tajemnicy oddam ci za darmo. W końcu zajmuję się sprzedażą Info. Jest coś, co nazywa się Kwan Tom, prawda? Widzisz? Nie jesteś moim jedynym źródłem informacji. O jedenastu wymiarach wiedziałam, nim jeszcze się poznaliśmy. Kwan Tom twierdzi, że otaczający nas świat i wszystkie rzeczy na tym świecie są tylko prawdopodobne. Atomy poruszają się w dwóch kierunkach naraz, a potem, nagle, podejmują decyzję. Wiele rzeczywistości istnieje jako prawdopodobieństwa, chociaż bardzo, bardzo małe. No cóż, rozdarcie ogrodzenia nie jest prawdopodobieństwem. Jest cudem. Cuda zawsze się zdarzały, panie Tunch. I zawsze były małe, ponieważ nie są prawdopodobne. Pan próbuje uczynić



swoje straszne cuda wielkimi, więc prawdopodobieństwo zamyka się nad panem jak woda w stawie, do którego wrzuca się kamyki. Pańskie myśli tworzą zmarszczki na wodzie. Coś niemal się dzieje. A potem powierzchnia prawdopodobieństwa się wygładza. Pańska broń nigdy nie będzie działała. Nie znam odpowiednich słów, nie mam wykształcenia. Nie potrzebuję ich. Obracam te braki w wolność, mogę latać wyżej i nurkować głębiej, niż wy to robicie w rzeczywistości. Mogę zniszczyć świat Głupich Gangsterów i zastąpić go lepszym. Daj mi oprogramowanie do n-stałych, albo nie przestanę się z ciebie śmiać. Ha, ha, ha. He, he, he. Ha, ha, ha...

*Plik audio od: Hikmet Tunch*

*26 stycznia*

W porządku, śmiej się. Koszty najlepszego oprogramowania n-stałej i prognozy pogody są dla mnie niczym. Wiem, że chcesz tylko przewidywać pogodę, moja Talent-Pogodynko. Kod dołączony jest do pliku pełnej licencji z pozwoleniem na użycie przez właściciela i podręcznikiem Pomocy. A teraz, proszę, rozwal mi świat na kawałki.

Twój sceptyczny, bardzo bogaty przyjaciel, Hikmet.

**PRZEPOWIADACZ POGODY BIURA ROZWOJU ROLNICTWA**

Odczyt audio, 26 stycznia 17:57

Miejsce: Szkoła Ridge Drop

Prędkość wiatru: 3,7 km/h

Kierunek północno-północno-wschodni

Temperatura powietrza: 7°C, może 7,03

W porządku, podłącz bezpośrednio. Och, jak marzną mi nogi!

Temperatura powietrza: 7,0298°C

Temperatura powietrza, uwzględniając czynnik chłodzenia:  
5,25°C

Temperatura powierzchniowa śniegu: 2,7°C

Temperatura podstawy śnieżnej -1,8°C

Temperatura spływu: 2,9°C

Wioska jest cała niebieska, jak wspomnienie. Co rano, kiedy się budzę, słyszę głosy: krzyk dzieci, płacz dzieci. To Powódź. Jeśli nie jestem ostrożna, wpadam w Tlen i jestem w nim. Więc dobrze jest stąd wyjść, Talent-Pogodynka na moim nocnym patrolu. Zimno trzyma mnie w Teraz. Powódź nadejdzie, jeśli nie w tym roku, to w następnym. Ach!

To najgorsza część tej pracy, trzeba grzebać wprost w błocie. Może znajdę porzuconą cebulę? Coś, co da się włożyć do garnka?

Temperatura ziemi:  $-1,7^{\circ}\text{C}$

Ja naprawdę czuję te skały, te terasy. Chcą się stoczyć, stoczyć się i zmiążyć nas. Przynajmniej to jest pewne. Info trzyma mnie przy zdrowych zmysłach.

Zawsze była Powódź zmiatająca nas wszystkich.

To racja, pani Tung, moja droga. To racja.

## POWÓDŹ

Popatrz na drugą stronę doliny. Na górze Lustro zobaczysz to, co pozostało z wioski Aynalar – Lustra. To lustro dla ciebie.

W 1959 roku gwałtowna powódź, spowodowana zbyt szybkim topnieniem śniegów, zmyła całe zbocze góry. Terasy Aynalar były niegdyś żyzne, bogate. Zajmowały nasłonecznione zbocze, a Kizuldah, po przeciwnej stronie, kryła się w cieniu jak ubogi krewny. Teraz Aynalar jest tylko stosem kamieni. Zdarzyło się to w zimie z dużymi opadami śniegu i wysokimi temperaturami. Ta zima też jest lustrem, lustrem tamtej zimy.

Widziałeś mnie. Każdego ranka i każdego wieczoru wychodzę i mierzę śnieg. Trzy razy dziennie mierzę wiele rzeczy: temperaturę, prędkość wiatru, siłę słonecznego światła przedzierającego się przez warstwę chmur. Jestem w kontakcie z wieloma biurami rządowymi. Obliczamy Info. Na razie wszystko jest w porządku. Żeby przyszła Powódź, musi być nawet cieplej niż w 1959 roku. Będziesz wiedzieć, że nadchodzi Powódź, gdy w zimie zawieje Oddech Smoka.

Widzicie te obrazki? Tak będzie wyglądała nasza wioska, kiedy stopnieją śniegi. Tak głęboka będzie woda, a tam powinniście udać się jak najszybciej.

Nie idźcie do szkoły. Tam z teras stoczą się wielkie głazy, mogą ją pogrzebać. Wszyscy powinni pójść do domu pana Winga. Stoi najwyżej, na solidnej skale. A ci z doliny, jak pan, panie Han, niech przeniosą ziarno siewne teraz, bo kiedy nadejdzie Powódź, nie będzie już na to czasu. Przenieście rzeczy na strychy. Jeśli nic więcej nie zdołacie zrobić, gdy przyjdzie Powódź, wejdźcie na dachy domów.

Codziennie będę informowała was, jak wygląda sytuacja.

Pani Mae Chung.

*Plik audio od: pani Chung Mae*

*28 stycznia*

Uuuuufffff... panie Tunch. To głos mojego westchnienia zdmuchującego pana ze sceny. W Tlenie wszystko jest wieczne, czyż nie tak? Zadaję sobie więc pytanie: jak to możliwe, że zostawiamy w nim swój imprint? Jak możemy zmienić coś, co jest wieczne? Tam nie może się przecież zdarzyć nic nowego. Zatem myślę sobie, że jeśli w ogóle jesteśmy w Tlenie, to zawsze tam byliśmy. Nasze imprints, teraz robione, zawsze tam były. A potem myślę sobie: jak weszłam w życie pani Tung? Kiedy zobaczyłam Powódź niszczącą wioskę Aynalar, naprawdę tam byłam. Łykałam błoto, czułam lodowatą wodę i czułam też, jak zabiera mi dziecko, dziecko pani Tung. Byłam w jej życiu. Czasami patrzę na Kizuldah, widzę wielkie, latające balony albo nieistniejące hotele, a jednak nie jestem szalona. Po prostu widzę przyszłość przez siebie w Tlenie. Wychyłam się i chowam, jak roztocz żyjący w gąbce. Przechodzę przez otwory.

A teraz – ach! – proszę się domyślić, czego jeszcze się dowiedziałem, tak wskakując i wyskakując? Wszystko żyje w Tlenie, panie Tunch. Wszystko jest w naszym balonowym świecie i w Tlenie jednocześnie. Kamienie, kwiaty, ptaki... a także powódzie i pogrzeby. Co oznacza, że wszystko jest wieczne, panie Tunch. Co oznacza, że zawsze mieliśmy siebie w Tlenie. Jeśli w

ogóle żyliśmy w Tlenie, to zawsze żyliśmy w Tlenie, od samego początku. Zawsze byliśmy zdolni widzieć coś z przeszłości i coś z przyszłości. Zawsze mogliśmy dokonywać pomniejszych, drobnych cudów. Każde dziecko to wie. Wiele kobiet to wie. Wygląda na to, że tylko wielcy gangsterzy nie wiedzą. Wszystko zawsze było i zawsze zdarzało się naraz. Co oznacza, że nic nie powoduje niczego. Co oznacza, że opowieści zdarzają się tylko w tym naszym biednym balonowym świecie. Opowieści nie mają sensu. Niczego nie można zinterpretować. Wszystko po prostu jest, pozbawione znaczenia, niepotrzebujące waszej filozofii, waszej nauki czy wszystkich naszych nieszczęść, mitów, historii i wyjaśnień. Wszystko jest jednym wielkim, uśmiechniętym Teraz. Wiiiiuuuu... to dźwięk Tlenu. Wieje Tlen.

Mae wróciła z porannego patrolu Talent-Pogodynki. Przy stole w jej kuchni siedziały Kwan i Sunni. Dom był zimny, piecyk wygasł. Siao wyszedł, by sprzedawać usługi Info.

– Dzień dobry paniom. – Mae ucieszyła się na widok przyjaciółek.

– Dzień dobry, Mae – powiedziała Kwan. Złożone na stole dłonie miała mocno splecione.

Sunni tylko skinęła głową. Patrzyła w bok.

– Jak długo cię nie było? – spytała Kwan.

– Mijają chyba dwie godziny.

– O której poszłaś spać?

– Och, miałam mnóstwo e-maili. Rozumiesz, Kwan, wysyłamy do wszystkich klientów prośbę o cierpliwość, z informacją, że zasypał nas śnieg i że towar będziemy rozsyłać dopiero z końcem marca. Dla niektórych jest to bardzo interesujące, zadają pytania, a ja próbuję odpowiedzieć.

Kwan pokazała jej wczorajszą broszurę.

– Napisałaś też prognozę pogody?

Mae właśnie odwijała chustę.

– Och! Nie, prognozy piszę teraz rankami, przed spotkaniami Kręgu. Zaproponowałabym herbatę, ale wypiłam cały zimowy zapas.

Mae przysiadła się do stołu. Zaczynała się zastanawiać, jaki cel mają te odwiedziny.

– Naprawdę powiedziałaś pani Pin, że wiesz o Powodzi, bo byłaś w przyszłości? – Twarz Kwan była jak polerowane drewno, twarda i nieruchoma.

– Nie tymi słowami, ale tak. Tak.

Kwan i Sunni wymieniły spojrzenia.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytała Sunni.

Niemal nieświadomie Mae przyjęła pozycję obronną. Mocno oparła stopy na klepisku.

– Gdybyście byli w Tlenie, choćby krótko, jak ja, wiedziałybyście, że to prawda. Tlen jest na zawsze, w obu kierunkach: do przodu i do tyłu.

Kwan odetchnęła głęboko.

– A więc twierdzisz, że naprawdę byłaś w przyszłości i widziałaś Powódź? Stałaś w wodzie tu, w Kizuldah?

– Byłam w moim przyszłym życiu. Znalazłam się w nim nagle. Kiedyś jest w nim i Powódź. Będziemy mieli Powódź i dlatego wszystkich ostrzegam.

Kwan wygładziła pogniecioną ulotkę. Przeczytała ją jeszcze raz.

– Mae – powiedziała stanowczo – chcemy, żebyś przestała straszyć wieś.

Pałeczkę przejęła od niej Sunni.

– To głupie. Ludzie mają dość. Mówią: „Jeśli tak się kończy praca z Info, to niech Mae wariuje, zostawmy ją w spokoju”.

– Szkodzisz postępowi – dokończyła Kwan.

– Jako przyjaciółki prosimy, byś się od tego powstrzymała – dodała Sunni z westchnieniem.

Nie, nie, nie! To są przyjaciółki, to proste nieporozumienie. Mae rozpoczęła wyjaśnienia. Powódź. 1959 rok. Temperatura i śnieg. Wstała, przyniosła wydruki: warstwice, przepływy wody. Fakty. Twarde fakty.

Kwan roześmiała się, ale nie kryła ogarniającej jej złości.

– Mae, naprawdę, jeśli jeszcze raz mi to zrobisz, zacznę krzyczeć. Słyszałam już przecież, co masz do powiedzenia na temat Powodzi. Chcesz wiedzieć, jak to brzmi? Brzmi tak, jakbyś się bała, i to nie Powodzi, tylko przyszłości. Opowieści o tym, że woda zmyje wszystko! Tlen tego dokona, nie Powódź. Teraz wszyscy widzą w tobie kobietę przestraszoną, lecz niezdolną się do tego przyznać.

– Kobietę doprowadzającą do szaleństwa siebie i wszystkich, którzy z nią trzymają – dodała Sunni.

Kwan westchnęła.

– I to wszystko przypomina ludziom, że nosisz w sobie panią

Tung. Przypomina im pierwszą katastrofę, ten Test. Każe im myśleć o postępie jako o szaleństwie.

A ja jestem szaloną niewierną kobietą przynoszącą wam wstyd. Nie sądziłam, że nią jestem, lecz jednak okazało się, że tak.

Wymiana spojrzeń. Coś zostało właśnie ustalone.

– Mae – powiedziała Kwan – chcę, żebyś przestała pracować.

– Weź sobie wolne. Jedz, pij, odpręż się.

– Krąg zostaw nam. Niech ktoś inny zrobi nowe screeny na stronę.

– Przestań chodzić po górach, udając, że jesteś synoptyczką.

– I jeszcze – dodała Kwan – jest w Yeshiboz Sistemlar pewna dziewczyna imieniem Fatimah. Powiedziała nam o twojej ciąży.

Sunni pochyliła się ku Mae zatroskana.

– Na niebiosa, Mae, pozbądź się jej! Wiesz, o czym mówię.

– Fatimah twierdzi, że ta ciąża cię zabije.

Pokój zaczął brzęczeć, jakby w jego ścianach zagnieździły się szerszenie. Mae poczuła, że robi się coraz bardziej mglista i stara. Była samotna, była przerażona.

Cały dzień na piętrze, za słaba, by chodzić, pragnąca porozmawiać, pragnąca, by ktoś jej wysłuchał, a słysząca tylko: „Jesteś zbyt słaba, babciu, nie przemęczaj się, leż spokojnie, bo coś ci się stanie”. Wkrótce umrzesz, będziesz jeszcze cichsza.

– Nie róbcie mi tego – powiedziała stłumionym, pełnym strachu głosem, na pół jej własnym, na pół należącym do pani Tung. – Nie zostawiajcie mnie samej.

Kwan pochyliła się, ujęła jej dłoń.

– Właśnie tego nigdy nie zrobimy, Mae. Jesteśmy twoimi przyjaciółkami. Zawsze będziemy trwać przy twoim boku.

Sunni ścisnęła jej drugą rękę.

– To prawda, Mae. W przeszłości były między nami różnice, ale przecież je pokonałyśmy. Posłuchaj przyjaciółek. Robimy to dla ciebie.

Kwan patrzyła na nią stanowczym spojrzeniem.

– Naszym zdaniem będzie dla ciebie najlepiej, jeśli oderwiesz się od telewizora.

– Na jakiś czas – dodała szybko Sunni. – Póki nie odpoczniesz,

póki choć trochę ci się nie poprawi.

– Mae! Powinnaś teraz widzieć samą siebie. Wyglądasz jak duch. Twarz masz chudą, wytrzeszczone oczy, włosy zmierzwione jak czarownica.

– A przecież... przecież byłaś najelegantszą kobietą w wiosce – uzalała się nad nią Sunni.

– Potrzebujesz pomocy – orzekła Kwan. Nieodwołalnie.

– No i – Sunni zachichotała – lepiej zostaw tę rzecz w spokoju.

– Potrzebujesz odpoczynku od telewizora. – Ta kolejna opinia Kwan była, jak poprzednia, nieodwołalna.

– Nie róbcie mi tego – powtórzyła Mae.

Przyjaciółki... przyjaciółki, które zawsze miała przy boku, które nigdy jej nie opuściły... dlaczego postanowiły zrobić to teraz?

– Niech Siao robi screeny dla pana Pina i innych.

– Może mogłabyś pojechać do Balshang, zatrzymać się u syna? Wypić herbatę z tą twoją nową przyjaciółką, panną Soo. Byłaś kiedyś w stolicy?

– Nie – odparła Mae, krzyżując ramiona.

– No i widzisz! – Sunni rozłożyła ręce, jakby wszystko zostało już uzgodnione. – Może pojedziemy wszystkie razem? Bardzo chętnie zobaczyłabym wielkie miasto.

– Tu mam pracę – powiedziała Mae. – A drogi są nieprzejezdne. Od kiedy to wasz interes, co robie, a czego nie?

– Wróć do mnie. Pomieszkaj u mnie przez jakiś czas, Mae. Proszę – powiedziała Kwan błagalnym tonem.

– Nie. Jestem szczęśliwa tu, z rodziną.

Kwan pochylił się ku niej. Jej głos brzmiał bardzo stanowczo.

– Mae, chodź z nami.

– Jestem szczęśliwa tutaj.

Przez dobry kwadrans przyjaciółki próbowały jeszcze zmienić jej decyzję. Przymilały się, ciągnęły ją za ramię, proponowały herbatę, powtarzały, że pracowała ciężiej od wszystkich znanych im ludzi, że odniosła sukces, zwyciężyła, że teraz uczy się cała wioska. Bo czyż wioska nie jest Centrum Postępu? Wszyscy wiedzą, że to dzięki niej.

– Ale nawet najsilniejsze gałęzie łamią się pod zbyt wielkim



ciężarem – ostrzegła Sunni.

Nie odniosły sukcesu. Nie namawiały jej dłużej, by przestała pracować albo pozbyła się dziecka, a przecież o to im głównie chodziło. I w końcu złe, pokonane, z kwaśnymi minami, Kwan i Sunni wyszły.

Mae siedziała nieruchomo, póki nie nabrała pewności, że się oddaliły, a potem zamknęła drzwi domu na zamek. Pomyślała o tym, co może zrobić Kwan, wystarczająco zdeterminowana.

Odbyła rozmowę z panem Ozem.

– Halo? Tak, tak, witam, to wielka przyjemność, jak zawsze. Proszę posłuchać, potrzebuję własnego bezprzewodowego konta dla mojego telewizora.

Głos pana Oza, wesoły i swobodny, świadczył, że nie jest on w drodze.

– To nie powinno być trudne. Zadzwoń do firmy telefonicznej.

– Sprawa jest pilna. Musi być załatwiona dzisiaj.

– Dzisiaj? No, nie wiem. Miałaś kiedyś telefon komórkowy, prawda? Możesz spróbować do nich zadzwonić. A co? Jakies problemy ze Swallow Communications?

– Może ujmę to tak: nabrałam podejrzeń, że Kwan może mieć problemy z kontem.

Że Kwan może ją po prostu odciąć.

Pan Oz jęknął. Czemu się tak denerwuje. Przecież to nie on ma problem.

– Masz w banku elastyczny kredyt. Upewnij się, że oni o tym wiedzą. Miej gotowe wszystkie dane bankowe, dopilnuj, żeby mieli numer twojego konta telefonicznego i wiedzieli wszystko o telewizorze. To Hitachi 7700 PDTV. Zapamiętasz? I jeszcze, Mae... co się stało?

Mae myślała chwilę o przyszłości i o przeszłości, a potem powiedziała:

– Zbyttno je wyprzedziłam.

Następnie odbyła konferencję ze Sloopem siedzącym przy swym biurku w firmie telefonicznej. Jego okrągła twarz lśniła. Zaśmiał się.

– Nie ma problemu – oznajmił. – Bardzo lubimy nowe biznesy.

- Chcę, żeby to było załatwione dzisiaj.
- Dzisiaj? – powtórzył Sloop, mrugając szybko.

To już było bardziej skomplikowane. Przede wszystkim Mae musiała odebrać z ich serwera swe nowe ID. Sloop obiecał, że udzieli jej instrukcji.

Gdy Kwan i Sunni wróciły, zastały ją pogrążoną w pracy. Zaczęły walić w drzwi.

- Mae! Mae? Nie bądź śmieszna. Otwórz drzwi! Mae, dlaczego porzucasz Swallow Communications?

Mae wyrzała przez świetlik swego strychu. Widziała, jak przestępują z nogi na nogę przed zamkniętymi drzwiami. Był z nimi pan Wing.

- Mae! – krzyknęła Sunni wysokim, przeraźliwym głosem. – Jesteśmy twoimi przyjaciółkami! Chcemy ci pomóc!

Pan Wing roześmiał się nieprzyjemnie.

- Mae, gdybyśmy chcieli cię odciąć, moglibyśmy po prostu odciąć ci dopływ prądu!

Kwan uciszyła go gniewnie, głosem ostrym jak nóż.

Mae otworzyła okno.

- Mam swoje własne konto. Mam własne jedzenie i własną rodzinę. Będę nadal prowadziła interesy i nadal będę mówiła ludziom o Powodzi.

Kwan prychnęła, wypuszczając w powietrze chmurkę pary.

- Skończy się na tym, że zniszczysz to, co próbujesz ocalić.

Sunni postąpiła krok do przodu.

- Mae! Przynajmniej idź do lekarza. Poradź się w sprawie dziecka!

- Dziękuję, że wykrzykujesz moje prywatne sprawy na całą dolinę! – odrzknęła Mae. Zamknęła świetlik i wróciła do pracy.

- Mae, przecież nikt nie chce cię skrzywdzić! – zawołała jeszcze Sunni, po czym rozległ się cichy, ale słyszalny głos Kwan: „Moim zdaniem tylko pogarszamy sytuację”.

Mae cała swą uwagę skupiła na pięknych screenach i wiadomościach docierających do niej, jakby niosły je ptaki.

Po czym znów rozległo się pukanie do drzwi.

- Szanowna pani Chung! – krzyknął ktoś. Sezen.

Mae zareagowała, pytając siebie: „Co teraz?”. Podeszła do kłapy w podłodze. Droga na dół, do kuchni, wydała się jej nagle bardzo długa. Nie miała ochoty schodzić. Wolała zostać na strychu, nad poziomem fali powodziowej, ze swą maszyną.

– Proszę mnie wpuścić! – zawołała Sezen.

Przez Mae przepłynęła myśl starej pani Tung, jak westchnienie. Wszyscy kończymy samotni, nikt nas nie rozumie. Wróciła do telewizora. Patrzyła, jak poranne dane pogodowe płyną do Balshang.

Usłyszała kroki na dachu, buty poślizgnęły się na kamiennych dachówkach.

– Mae, to ja, Sezen! – Głos dobiegał z góry.

– Wynoś się, głupia dziewczyno, bo spadniesz i jeszcze się zabijesz! – krzyknęła Mae.

– Nie jestem jedną z nich, Mae. Tego bym tobie nie zrobiła. Co powiedziały? – Głos, dobiegający przez kamienne płytki, brzmiał tak jasno i czysto, jakby Sezen stała obok niej, w pokoju.

– Chcą, żebym przestała pracować. Chcą mi wszystko zabrać i nazywają to pomocą.

– Phi! Typowe. Jesteś niegrzeczną kobietą. Nie czekasz, aż wyrażą aprobatę dla tego, co robisz. Idziesz dla nich za szybko i idziesz za daleko.

– Chcą zabić moje dziecko. – Głos Mae stał się ochrypliwy z wściekłości. – Ta przekłeta kobieta z miasta cały czas próbuje je zabić i jeszcze pisała do Kwan.

– Nie bój się, Mae, Sezen nigdy cię nie zawiedzie. Bo wiesz, obie jesteśmy niegruczne. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Zejdź z dachu, nim się zabijesz!

Sezen roześmiała się wesoło.

– Ale stąd jest taki piękny widok, rozumiesz? Trzymam się krawędzi, więc spokojnie, nie spadnę. Pytam zatem jeszcze raz: co mogę dla ciebie zrobić.

Mae zastanawiała się przez chwilę. Rozważała, jak to jest być zaczepianą na polach, otoczoną przez tak zwane przyjaciółki. Myślała o długich, spędzonych przy pracy godzinach i o noszonym w brzuchu dziecku, płomieniu. To prawda, pracuje

zbyt wiele. Ale przede wszystkim chodziło jej o wioskę.

– Potrzebuję cię do zbierania Info – powiedziała. – Info o śniegu.

– Mae! – rozległ się męski głos. – Co tu się dzieje?

Sezen zachichotała wesoło.

– Siao nie może wejść do domu!

– Zaczekaj chwilę! Powiedz, jest ktoś z tobą? – Przez chwilę Mae wyobrażała sobie, że jej przyjaciółki mogą towarzyszyć szwagrowi, a przez jedną krótką chwilę nawet to, że on sam do nich dołączył.

– Jestem głodny!

Mae zeszła na dół i wpuściła go do domu. Sezen dołączyła do nich, z uśmiechem przyglądała się Mae, chodzącej po kuchni i raz po raz wybuchającej gniewem. Wymieniła z Siao znaczące spojrzenie, oboje udali, że uchylają się przed uderzeniem.

– No więc mam nowe konto bezprzewodowe, a maszyna stoi u mnie na strychu. Nie potrzebuję ich.

– To świetnie! – Siao uśmiechnął się łagodnie. – Dobrze ci zrobi niezależność od Kwan, przynajmniej na pewien czas. Nie przejmuj się, dobrze? Jeśli odetną elektryczność, wiem, jak ją podłączyć. Wsunę wydruki pod drzwi, cokolwiek.

Mae przytuliła go z wdzięczności, pocałowała w czubek głowy. Stali tak, przytuleni, jakby wisieli w przestrzeni kosmicznej, a potem przypomnieli sobie o Sezen. A Sezen zrobiła tajemniczy gest, jakby coś wiedziała: uniosła ręce i rozłożyła na boki.

\*\*\*

Wieczorem przyszedł e-mail od pana Kena. Wpisany z klawiatury, nie nagrany głosowo, co oznaczało, że nadawca nie chce, by ktoś go podsłuchał. Wysłała go maszyna Sunni.

Jeśli masz kłopoty, pomogę. O czym dobrze wiesz. Proszę, tylko daj znać. Ale proszę też, byś mi powiedziała, o co chodzi z tym dzieckiem.

Na wszystkie gwiazdy na niebie, nie powiedziała mu! Nie powiedziała Kuei o jego dziecku! W pokoju zrobiło się nagle chłodniej. Policzki jej płonęły. Słyszała Siao krzątającego się w kuchni, przygotowującego jej obiad. Metalowa łyżka uderzył w

bok woka. Zabrzęczało. Siao nucił przy gotowaniu.  
Mae! Co ty wyprawiasz?

Chiński Nowy Rok Mae świętowała sama. Kwan wydała przyjęcie, ale po tym, co zaszło, Mae postanowiła nie brać w nim udziału. Po co? Żeby mieli się z kim kłócić, kogo kusić i błagać?

Coś się działo z Siao. Wrócił z herbaciarni dziwnie niespokojny. Obgryzł paznokciec kciuka, pocałował ją w policzek, zapewnił, że nie musi się niczym przejmować, po czym pojechał gdzieś samochodem młodego pana Pina. Stary pan Chung chodził, powłócząc nogami, wrzussał ramionami i w końcu też wyszedł wcześniej, na spotkanie podobnych mu, starych wioskowych drani.

Mae miała nadzieję, że w Nowy Rok co najmniej napije się ciepłego ryżowego wina z rodziną, z Siao. Ilekroć z nim rozmawiała, nabierała dystansu. Znów czuła się bezpiecznie. No cóż, nie był jej własnością. Chce się zabawić, ma prawo. Nie jest żonaty, z pewnością potrzebuje kobiety, być może ma nadzieję, że jakąś sobie znajdzie?

Ach, Mae, przecież to jest właśnie to. To dlatego załamujesz ręce, nie możesz usiedzieć w miejscu. Widzisz, jak jakaś kobieta wchodzi do domu, i to cię niepokoi, ale jeszcze bardziej niepokoi cię, kiedy widzisz inną kobietę z Siao.

Mae? Co się stało, Mae? Usiądź, popatrz na swoje ręce. Co ci mówią?

Mówią ci, że chcesz spojrzeć w jego spokojne, uczciwe niebieskoszare oczy. Chcesz spojrzeć na jego gładkie, smukła ramiona o jedwabistej skórze, owocu mieszanki krwi Karz i chińskiej. Chcesz usłyszeć jego głęboki, nieśpieszny głos. Żałujesz, że go tu nie ma. Żałujesz, że nie jesteś z nim.

Mae złożyła głowę w dłoniach. Och... co się dzieje?

Wstała od kuchennego stołu. Chcę, żeby ze mną pracował. Dobrze się nam razem pracuje. Rozumie to, co i ja rozumiem. Jest

lepszy nawet ode mnie w sprzedaży, lepiej ode mnie rozumie, po co są te wszystkie nowe rzeczy...

Oczywiście, Mae. I co jeszcze?

Chcę go przytulić, chcę dać mu dom, chcę okazać szacunek, którego nigdy nie okazywał mu jego głupi brat. Chcę, żeby wiedział, że ktoś doskonale widzi, jaki jest sprytny, a także łagodny i cierpliwy. Jaki mądry.

Och, Mae, zakochałaś się w bracie swojego męża!

Cóż, tradycja zobowiązuje. Kiedy umiera mąż, brat zajmuje jego miejsce. Co jednak, gdy mąż odchodzi? Odchodzi, bo żona zdradziła go z najbliższym sąsiadem? I niedługo ma urodzić dziecko tego sąsiada?

Och, Mae, jakież węzły potrafisz wiązać! Jeśli przedtem wywołałaś skandal, jak nazwać to, co będzie potem? I biedny Siao, założmy, że czuje do ciebie wyłącznie sympatię? Co poczuje, kiedy wyznasz mu swe uczucia? Zatrzaśnie się wokół was pułapka domu, niemal co dzień widzicie się na pół nadszy, musi myśleć o bracie, musi utrzymywać dobre stosunki z sąsiadem, panem Kenem... och, Mae, to akurat nie jest przecież nikomu potrzebne.

Mae, jeśli zaczniesz polować na brata męża, naprawdę stracisz wszystko. Może rzeczywiście oszalałaś?

Ale, raz nazwane właściwym imieniem, uczucie nie chciało odejść.

Kocham jego krótką brodę. Kocham, kiedy białe zęby błyskają mu w uśmiechu. Lubię jego powolny sposób poruszania się. Lubię, jak przewraca wszystko na nice, stawia na głowie i nagle to wszystko nabiera sensu. Więcej sensu, niż miało. Mój Boże, kocham jego ciało i kocham jego umysł.

Kiedy wszystko się zmieniło? Kiedy, nie przywiązując do tego większej wagi, zauważyłam, że jest także przystojny? Kiedy przebudził się i zaczął mówić? Albo raczej, kiedy zaczęłaś go słuchać?

Mae, zostaw to. Nie lubisz być sama, nic więcej. Samotność w Nowy Rok czyni cię zazdrosną. Nie lubisz być szaloną niegrzeczną kobietą wioski. Nie lubisz być tu, gdzie jesteś.

Nie jestem Panią Sową, nie jestem Panią Zamętą, chciałabym, żeby to wszystko się skończyło. Pragnę ciszy. Pragnę spokoju.

Mae poszła popracować na strychu. Gdy tylko obudziła telewizor, został zaatakowany. Ekran oczyścił się, a potem pojawiła się na nim Kwan.

– Mae... – Za plecami Kwan widać było pokój dzienny jej domu, niewyraźnie, upiornie.

Mae wyciągnęła rękę, żeby zrestartować maszynę.

– Nie rób tego. Musimy porozmawiać w czasie rzeczywistym. Otwórz inny kanał.

Obraz rozpadł się na dwie części i tu, na jej maszynie, pojawiła się, nieproszona, lecz bardzo zatroskana Fatimah z Yeshiboz Sistemlar.

– Witaj, Mae – powiedziała.

Mae poczuła, jak robi się jej zimno.

– Fatimah, powiedziałam ci kiedyś, że nadejdzie taka chwila, kiedy nie będziesz mogła postąpić właściwie – powiedziała Mae.

– Nie ma to nic wspólnego z twoją osobą. Taka praca.

– Mae, posłuchaj – poprosiła ją Kwan. – Ta kobieta jest doktorem...

– Pielęgniarką. Trzymała mnie w niewoli.

Fatimah wyglądała tak słodko, elegancko ubrana, w makijażu. Och, nosi biały fartuch, to daje jej prawo zabijać dzieci.

– Pani Chung, nie ma szans, by donosiła pani dziecko. Ono może panią zabić.

– Ach! Więc jest całkowicie pewne, że umrę?

Fatimah westchnęła.

– Nie, jeśli umieścimy panią w szpitalu.

Kwan siedziała z założonymi rękami. Przyjmowała tę pozycję, ilekroć przychodziło jej sprzeciwiać się ludzkiej głupocie.

– Ona próbuje ocalić was oboje, Mae.

– Mae... – Głos Fatimah brzmiał pojednawczo. – Przyjedź do nas, do szpitala. Zostań u nas.

– W porządku. Możliwe, że przyjadę do szpitala. W maju. Może nawet na cały miesiąc. Czy to ci wystarczy? Do widzenia.

Mae odłączyła maszynę i wyjęła baterię. Obraz na ekranie



zapadł się jak przekłuty balon. Komunikacja została przerwana, a program atakujący zablokowany. Włożyła baterię, pojawił się czysty ekran. Ściągnęła pisane e-maile.

Atak powtórzył się natychmiast. Obraz splatał się powoli.

– To niegrzeczne napadać na mnie w ten sposób – powiedziała Mae.

– Nadal rozsyłasz ulotkę. – Kwan patrzyła jej w oczy. – Nadal tłumaczysz ludziom: „Na razie jeszcze nie ma Powodzi, ale jeśli spadnie więcej śniegu, to będzie”. Wczoraj odwiedziła mnie stara pani Nan. Pytała, czy na moim strychu może umieścić kozy.

– To dla nich najbezpieczniejsze miejsce – przytaknęła Mae. – Skoro nikt nie robi nic, żeby ratować ludzi, może chociaż kozy przeżyją.

– Dlaczego chcesz mieć dziecko?

– A dlaczego ty miałaś swoje?

– Myślisz, że to jakiś magiczny znak? – Kwan nadal była piękna, choć pod jej zaciśniętymi ustami pojawiły się już oznaki wieku, woreczki luźnego ciała.

Mae wojowniczo wysunęła szczękę.

– Owszem – przyznała. – Skoro chcesz to tak ująć? – Oczy Kwan na moment rozszerzyły się w zdumieniu. – Posłuchaj mnie, Kwan. Zajmuję się synoptyką. Zjawiska pogodowe wszystkie są ze sobą powiązane. Ale nie w taki sposób, jak jesteśmy skłonni sądzić. Myślimy, że wszystko, co się dzieje, ma jakąś swoją przyczynę. Że jak zatnę się nożem, to leci krew. Ale czasami krew leci także gdzie indziej, bez przyczyny. Czasami rzeczy się zdarzają, bo świat łączy w całość pewne wzory. Coś, co jest podobne. Więc owszem, są znaki i zapowiedzi.

Kwan bardzo ostrożnie dobierała słowa.

– Wierzysz, że twoje dziecko jest znakiem?

– Tak jak Powódź – odparła Mae.

Jej przyjaciółka przez chwilę sprawiała wrażenie pokonanej. Przygarbiła się, przesunęła dłońią po czole.

– Naprawdę pracowałaś zbyt ciężko – powiedziała.

– Mam dziecko w żołądku. Urodzi się przez usta. Wiesz, dlaczego pan Tunch chce je zabić? Bo on też uważa moje dziecko

za znak.

– Mae – Kwan wypowiedziała to słowo niemal z rozpaczą – posłuchaj, co mówisz. Proszę! Bo mówisz jak jakaś przesądna stara baba sprzed stu lat!

– Przecież nią jestem. – Kwan tylko potrząsnęła głową. – Wszystko się zmienia, a moje dziecko jest częścią tych zmian. Wiesz, czym zajmuje się Fatimah? Pomaga robić inteligentne, mówiące psy. To dzięki takiemu psu zdołałam uciec. Na imię miał Ling. Jak to się ma do ludu Karz, co? Oni zawsze nadawali psom chińskie imiona. Mówiący inteligentny pies prosi... prosił!... by zmienili go z powrotem w normalnego psa.

Kwan kręciła głową, nieznacznie i powoli.

– Z tobą naprawdę jest źle – powiedziała.

– Z kim jest naprawdę źle? Groziecie mi, włamujecie się do mojej maszyny, zamierzacie może wyłamać drzwi domu? Wyciągnąć mnie z niego? W nocy?

Kwan nie odpowiedziała słowami, ale jej twarz mówiła wyraźnie: „Zrobimy wszystko, co będzie konieczne, żeby ci pomóc”. Słowa brzmiały inaczej.

– Mae, możesz wierzyć w każdy nonsens, w który chcesz wierzyć. Ale musisz przestać mówić, bo nonsensy, które wygadujesz, hamują to, na czym ci najbardziej zależy. Postęp. Nie mogę przecież tłumaczyć ludziom, że to dobra rzecz, kiedy najwyraźniej doprowadza cię do szaleństwa!

– Ach! Więc tak naprawdę wcale nie chodzi ci o mnie?

Kwan delikatnie podrapała się po głowie.

– Martwi mnie bardzo wiele rzeczy, ty też – powiedziała.

– A więc? Jak masz zamiar powstrzymać mnie przed mówieniem? Shen nie daje rady. Martwisz się o postęp? Czy to jest postęp: mówienie ludziom, co mają robić, a czego nie? Jak rząd? Rząd myśli, że mówisz nonsensy, Kwan. A kto cię uratował?

– Ty.

– No to zostaw mnie w spokoju.

Kwan sprawiała wrażenie zdeterminowanej.

– Mam zamiar odwdziżyć ci się, Mae. Nie porzuca się przyjaciół w potrzebie.

Tym razem to Kwan przerwała połączenie. Mae aż trzęsła się z wściekłości. Za kogo ona się ma? Jakim prawem dyktuje ci, co masz robić? Pozbyć się dziecka! Kwan, za długo byłaś ważną osobą w wiosce. Zaczęłaś uważać się za Pierwszą Kobietę wioski. Odczytała pocztę.

*E-mail od: pan Ken Kuei*  
*20 lutego*

Droga Mae,

Szczęśliwego Nowego Roku. E-maile przychodzą mi coraz łatwiej. Przypomina mi to czasy, kiedy uczyłem się jeździć na rowerze. Nagle, z jakiegoś powodu, po prostu umiesz. Żałuję tylko, że nie nauczyłem się ich pisać od ciebie.

Skoro te wiadomości potrafią wędrować przez cały świat, pomyślałem, że swój wyślę na jeszcze większą odległość. Przez podwórko.

*Plik audio od: porucznik Chung Lung*  
*20 lutego*

Tsang zostawiła tatę. Kiedy zaczęła chudnąć, ubierać się na czarno i dbać o wygląd nawet bardziej niż zazwyczaj, wiedziałem, że zbliżają się kłopoty. Przyjęła pracę dla jakiegoś oszusta inwestującego w nieruchomości. Przy tacie mówiła o tych wszystkich możliwościach, które przed nią otwiera. Kolacje z klientami. Myślała chyba, że stała się Pięknością Balshangu. Zawsze była bardzo głupią kobietą. Udawała, że zależy jej na tacie, ale przynajmniej chwaliła go przed innymi oficerami. I nagle to się skończyło. Zaczęła mówić różne rzeczy, robić z niego głupca, a on tylko siedział z tym swoim nieprzytomnym uśmiechem na ustach i wyglądał naprawdę głupio. Moją siostrę, Ying, doprowadzał wręcz do szału. Powiedziała, że nie wytrzyma w jednym pokoju z Tsang.

O mnie też mówiła bardzo nieprzyjemnie: „Och, Azjatki nie są już dla ciebie wystarczająco dobre, chcesz opuścić Kizulda,

wyjechać gdzieś bardzo daleko". Odpowiedziałem jej na to: „Jak ty? Czy twój szef jest żonaty?”. W końcu odeszła z tym swoim gangsterem, a tata pozostał sam. Chce przeprowadzić się do mnie na stałe, a to przecież niemożliwe, mam. Przecież muszę przyjmować oficerów, a z tatą to wykluczone. Przyszedł dwa dni temu, kiedy akurat mieliśmy na kolacji pułkownika. Był pijany, płakał, przeklinał Tsang, przeklinał też ciebie i życie i wyglądał na prawdziwego wieśniaka. Próbowałem doprowadzić go jakoś do przytomności, powiedziałem, że może zostać na noc, jeśli chce. Sarah chciała zaprowadzić go do kuchni, ale się jej wyrwał. Krzyczał na nią „ty zachodnia kurwo”. A potem do mnie powiedział, że miałem się za dużego mężczyznę, ale to się zmieniło, kiedy moja zachodnia żona odkryła, że mam małego penisa. A to wszystko na oczach mojego pułkownika. Okropne, naprawdę okropne. Wiem, że był zdenerwowany, ale doprawdy, nie może zachowywać się w ten sposób. Ani ja, ani Ying nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości już przez dwa dni. Pójdę do niego dziś, kiedy już będę wolny. Dam ci znać, czego się dowiedziałem.

*E-mail od: pan Bedri Eyoobogloo  
20 lutego*

Mae,

dziękuję ci za dane. Załączony plik, gdy porównać go z tym, co dzieje się tutaj, wskazuje, co się stało. Macie więcej śniegu właśnie dlatego, że jest cieplej. Zwiększone parowanie osiada śniegiem na wyższych zboczach.

Z Oddechem Smoka mamy do czynienia, kiedy inwersja nad pustynią zostanie nagle zepchnięta na południe przez zimny front nadchodzący z północy. Zazwyczaj dzieje się tak latem, przy bardzo gorącym powietrzu. Mamy na ogół do czynienia z potężnymi pojedynczymi ruchami.

W tej chwili mamy inwersję, w Balshang temperatura wynosi 32°C. I małe Smoki, Mustafa od nas nazywa je „Kichnięciami Smoka”: wiry zimna schodzące w dół po spirali, przynoszące

bardzo gorące powiewy, ściśle zlokalizowane. Sam front nie porusza się, podobnie jak inwersja. Jednakże jest to sytuacja bazowa.

Dane stają się mniej dokładne, co jest dla nas wielkim rozczarowaniem. Twoja asystentka Sezen nie zastępuje cię we właściwy sposób.

Mae otworzyła załączony plik. Wprowadziła dane do swej własnej bazy danych, a potem wstała i wyrzała przez świetlik. Padał gęsty śnieg, a powietrze było tak ciepłe, że płatki zbierały się w grudy, niemal jakby ktoś rzucał z nieba śnieżynkami lub zbitą pianką.

– Oblicz szanse powodzi – poleciła maszynie.

SZANSE POWODZI: 50-50

\*\*\*

To jest ostatnie ostrzeżenie, które mogę wydrukować. Brakuje mi papieru. Proszę o przedsięwzięcie środków ostrożności. Ta mapa to mapa Kizuldah. Pokazuje, gdzie najprawdopodobniej spadną lawiny i spłynie woda.

Jeśli zrobi się gorąco, jeśli poczujecie na plecach Oddech Smoka, opuśćcie zachodnią część wioski. Udajcie się na wschód i w górę. Najbezpieczniej jest wokół domu Kwan. Teraz jest najważniejsza pora, by przenieść ziarno siewne na sąsiadki, nie czekajcie z tym, aż zacznie się Powódź. Pani Tung mówi, że gdy nadejdzie, jest wesoła. Woda się śmieje, a kamienie biją jej brawo.

Jeśli usłyszycie ten dźwięk, uciekajcie przed nim, uciekajcie przed nim wszyscy, na miłość Boga.

Wasza przyjazna szalona kobieta,  
Chung Mae

\*\*\*

Mae pobiegła z ulotkami do domu pana Kena. Zapukała do drzwi. Otworzyła je jego matka. Stara pani Ken spojrzała na nią gniewnie. Była to tęga, przepracowana kobieta powyżej sześćdziesiątki, spocona w tej chwili i potargana. Nim zdążyła

otworzyć usta, Mae już mówiła szybko:

– Rząd uważa, że istnieje duża szansa na Powódź, w Rosji jest zimno i jeśli to zimno się ruszy, wszystko złoży się w całość, Smok przebudzi się ze snu, śnieg stopnieje. Tak może być. Dobrze. Kiedy zrobi się naprawdę gorąco, idźcie do Kwan. Tu, w tym krańcu wioski, może być naprawdę źle. Rozumie pani?

Stara pani Kwan nie spuszczała z niej spojrzenia nieruchomego jak głaz. Wzięła ulotkę. Trzymała ją z dala od ciała, podczas gdy Mae wskazywała mapę. A potem, nadal w milczeniu, rozdarła papier, schludnie i spokojnie.

– Znajdę na to właściwe miejsce – oznajmiła.

– Noszę pani wnuka – powiedziała Mae, odwróciła się i odeszła.

Nie mogła sobie pozwolić na marnowanie czasu. Walczyła z zasuwką furtki, kiedy usłyszała kroki.

– Nie przejmuj się matką, nadal jest zdenerwowana – powiedział pan Ken. Twarz miał jak fosforyzującą od odbijanego przez śnieg światła, niebieskawą, obrysowaną złotem.

– Jestem do tego przyzwyczajona. – Mae miała wrażenie, że Ken Kuei był częścią jej życia przed wielu, wielu laty.

– Mogę w czymś pomóc?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Tak – zdecydowała. Podzieliła ulotki, wręczyła mu połowę. – Rozdaj je na Lower Street, bardzo mi tym pomożesz. Ja zajmę się Upper, a Sezen poproszę, żeby ostrzegła mieszkańców Marsh. Jeśli przyjdzie Powódź, zabierz matkę do Kwan.

– A ty gdzie będziesz?

– Pójdę do meczetu. Wykorzystam głośniki Mueraina. Tak zrobimy... i dziękuję za pomoc. Ty idziesz tam, a ja tam.

Ken nie ruszył się z miejsca.

– Czy dziecko jest moje?

Mam za swoje za to, że nie wyjaśniłam mu wszystkiego, zatrzymuje mnie w najgorszej możliwej chwili.

– Oczywiście. A czyje może być?

– Czy wyjdiesz za mnie za męża? Kiedy nadejdzie Tlen?

Padał śnieg, jak odwrotność utraty przytomności. Z boków, widziane kątem oka, napierały na Mae białe płatki, nie ciemność.

Niebieskie i złote światło odbijało się od policzków tego pięknego, wiernego mężczyzny.

– Tak – powiedziała i natychmiast otworzyła sobie wyjście bezpieczeństwa. – Prawdopodobnie.

– Prawdopodobnie – powtórzył pan Ken zawiedziony.

– Czy możemy już zacząć? Proszę? – powiedziała błagalnie. W jej spojrzeniu też było błaganie. Oczywiście, że potrzebuję pomocy. Pomóż mi.

Pan Ken skinął głową, poważny człowiek, na którym można polegać, może nieprzesadnie inteligentny, lecz bardzo dobry. Wyszedł przez furtkę, skręcił w Lower Street. Mae ze zdziwieniem stwierdziła, że nadal stoi w miejscu, przyglądając się jego szerokim ramionom. O Boże, pomyślała, jego też kocham.

Ruszyła w przeciwną stronę. Wspięła się po zboczu do domu Sezen.

– Seizi! Seizi? To ja, Mae! – krzyknęła, waląc w drzwi.

Otworzyła jej Hatijah. Wyglądała na zdenerwowaną, a jednocześnie uradowaną, że jej dobrodziejka odwiedziła ją w Nowy Rok. Koza na podwórku zaczęła meczeć zirytowana zamieszaniem.

– Witaj, Hatijah. Mamy zagrożenie Powodzią pół na pół, więc to ostatnia z moich ulotek.

Pojawiła się Sezen. Skakała na jednej nodze, na drugą wkładała but.

– Szanowna pani Chung, wybiera się pani na przyjęcie do Kwan?

– Nie. I ty też się nie wybierasz, a przynajmniej nie teraz. Zabierzesz ulotki na Lower Marsh, zgoda? Rodziny Mack, Chu, Han...

Dziewczyna skrzywiła wargi w pogardliwym grymasie.

– Nie mogłybyśmy przynajmniej dać się utopić An?

– Nie pora na żarty. Chcę wrócić do maszyny, nim Wingowie zorientują się, że mnie przy niej nie ma.

– Och, Mae, jedna zdrajczyni do utopienia, proszę. – Sezen udała, że błaga niczym rozkapryszone dziecko.

Jego chłopak, nic dobrego, też pojawił się, na pół śpiący. Nie miał koszuli. Jego pokaźny, bezwłosy brzusek kołysał się na boki i

podskakiwał.

– Powiedz swojemu chłopakowi, że jest chodzącą reklamą diety i że ma się ubrać.

– Właśnie się pieprzyliśmy. – Sezen zachichotała.

– To nie żart, Sezen. – Mae podniosła głos. Ostrzegają. – Pamiętaj, że niegrzeczną dziewczynką warto być tylko wówczas, gdy to dodaje stylu kobiecie, a nie ujmuje.

Sezen spoważniała natychmiast, nawet się zawstydziała. Mae miała, oczywiście, rację.

– A czego możesz się spodziewać po kimś wychowanym w tym domu? – spytała.

– To już lepiej. Ruszamy.

Mokry śnieg zdążył wypełnić ślady jej stóp. Mae poszła, z wysiłkiem, dalej w górę zbrocza do szkoły, gdzie mieszkał nauczyciel Shen. Tu też zaczęła od walenia w drzwi. Dlaczego, ach, dlaczego, nikt nie otwiera na czas? Uderzyła w nie jeszcze kilka razy.

– Tak? – usłyszała głos Suloi.

– Suloi, proszę, otwórz, tylko na chwilę. Przepraszam, że tak się do ciebie wdzieram.

W małym pokoiku przy szkole jasno było od płonących świec, a powietrze przesycił zapach wina. Suloi uśmiechała się szeroko, ale zasłona była porządnie zaciągnięta, a za nią chrapał jej mąż.

– Witaj, Mae! Szczęśliwego Nowego Roku. Idziesz na przyjęcie? – Jakże chciała, by wszystko było normalnie, by wszyscy mogli być przyjaciółmi.

Mae w milczeniu podała jej ulotkę.

– Och! – westchnęła Suloi, rozczarowana i zawstydzona. Wyglądała jak złapana w potrzask.

– Nie mówię, że na pewno, tylko że jest pięćdziesiąt procent szans.

Suloi posmutniała.

– Chodzisz z tym po całej wiosce?

– Oczywiście! A co myślisz, że zostawiłabym kogoś samemu sobie?

– Wiem, że chcesz dobrze. – Suloi westchnęła. – Przecież wiesz,



co się mówi o takich dziwnych kobietach, prawda?

– Zostają wypędzone.

– Na śnieg.

– Chyba że mówią prawdę – powiedziała Mae. – Muszę już iść.

– Szczęśliwego Nowego Roku – pożegnała ją Suloi cicho i wróciła do chrapiącego męża.

Mae pomaszerowała w dół z boczka do pierwszego domu na Upper Street.

Państwo Okan byli starym małżeństwem. Ich dzieci i wnuki przeniosły się do miasta. Towarzystwo ich uszczęśliwiło.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedzieli chórem. Przykuśtykali do niej z grzonym winem, którego nie mieli z kim wypić.

– Jest pani taka uprzejma – wymamlała pani Okan bezzębnymi ustami. Głowę przykryła swą najlepszą chustą.

Mae nie miała serca zostawić ich tak samotnych w Nowy Rok, usiadła więc, przyjęła grzane wino i siedziała sztywno w reprezentacyjnym pokoju, marząc tylko o tym, by ruszyć w dalszą drogę.

– Ona siedzi tak ładnie – rozczuliła się pani Okan.

– Nie denerwuj się, rozluźnij, wypij z nami – poprosił pan Okan.

– W tym dniu Allach wybacza, a poza tym to coś nie jest przecież z winogron. – Puścił do gościa oczko, twarz miał jak obciągniętą poplamioną starą skórą mocno przylegającą do czaszki.

Zaczęli rozmowę o dzieciach, wnukach, nawet prawnukach. Fotografie, kłębawisko dzieci i dzieci, które teraz sadzały na kolanach własne dzieci.

– Jeśli... – Mae zawahała się – ...jeśli usłyszycie tej nocy jakieś dziwne dźwięki...

– Och, Nowy Rok! W Nowy Rok hałas nam nie przeszkadza.

– Może przyjdzie Powódź – powiedziała Mae. – Jeśli nadejdzie Powódź, będziecie musieli przenieść się do Kwan.

Uśmiechy starsuszków przybladły. Wyglądali na zdezorientowanych. Mae próbowała wyjaśnić, o co jej chodzi. Duch pani Okan upadł. Mae nie przyszła z grzecznościową wizytą, przyszła, bo zapowiadają się jakieś kłopoty. Oczywiście to

dobrze, że ludzie przychodzą ostrzegać przed kłopotami, ale znacznie milej, kiedy chcą miło spędzić czas. Ci starzy ludzie kiwali głowami, próbowali się uśmiechać, ale opuścili małe szklaneczki. Mae poczuła się okropnie. Skrzywdziła ich.

– A jak mamy dojść do pana Winga? – Pan Okan wzruszył ramionami, nadal z uśmiechem. – Przecież ledwie pociągam nogami.

Zaszurał kapciami po podłodze, a jego żona zachichotała i położyła mu dłoń na ramieniu.

Rzeczywiście, jak?

– Muszę już iść – powiedziała Mae.

Przy drzwiach państwo Okan pożegnali ją chórem: „Bardzo miło było nam cię widzieć, Szczęśliwego Nowego Roku”. Powodowana impulsem Mae pochyliła się i pocałowała ich oboje.

– Oho! – zażartował pan Okan. – Mam nową dziewczynę.

Następny dom należał do pana i pani Ali. Drzwi otworzyła pani Ali. Miała kwaśną minę.

– Wiesz, po co przyszłam – powiedziała Mae, wręczając jej ulotkę.

– Obawiam się, że rzeczywiście wiem. – Pani Ali zawsze była wierną sojuszniczką Sunni. – Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Szczęśliwego Nowego Roku. I pozdrów ode mnie Sunni.

Ali popędzi do sąsiadów szybko jak błyskawica. Wiem o tym, a jednak nie powinno się wykluczać nikogo. To by było złe.

Następni z kolei Dohowie wyprawili przyjęcie.

– Ach, pani Sowa! – zawołała pani Doh, zarumieniona i przyjacielska. – Witaj. – Chwyciła Mae za rękę, wciągnęła do domu.

Bawiło się w nim mnóstwo ludzi: jej wielka rodzina, Lingowie, Soongowie i Pingowie.

– Nasza ulubiona szalona kobieta – przedstawiła ją gospodyni, po czym wcisnęła gościowi na głowę pognieciony papierowy kapelusz. – Popatrzcie, nowy kawałek papieru od naszej Mae!

– Proszę przestać pracować i upić się jak my – zaproponował młody pan Doh, wręczając jej ryżowe wino.

Młodzi uczestnicy zabawy tańczyli do muzyki z radiomagnetofonu. Młoda pani Doh przerwała na chwilę, zabrała jej ulotki i wciągnęła Mae w krąg zabawy.

Mae tańczyła i liczyła. To przyjęcie oszczędziło jej odwiedzin w trzech domach. Do młodej pani Doh, jej sąsiadki w Kręgu, mocno do niej przytulonej, powiedziała:

– Głównym niebezpieczeństwem na Upper Street będą lawiny kamieni spadające z teras. Domy takie jak wasz przyjmą na siebie ich pełną siłę. Musicie zostawić wszystko.

– Przestań – przerwała jej młoda pani Doh. – Baw się! Życie jest krótkie.

Mae pozwoliła sobie na jeden taniec, a następnie pożegnała wszystkich krótkim skinieniem głowy, zabrała ulotki i opuściła przyjęcie. Poszła jeszcze wyżej, przekroczyła ostry łuk mostu. Pora na Hasana Muhammeda. Przełknęła z wysiłkiem i zapukała do drzwi.

Otworzyły się natychmiast. Mąż porzucony przez Tsang stał w progu czysty, schludny i dumny. W ramionach trzymał małego synka.

– Tak? – spytał. Odchyłał głowę, jakby czuł jakiś brzydki zapach.

– Szanowny panie Muhammed, bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Na wszelki wypadek. – Mae podała mu ulotkę.

Ale pan Muhammed jej nie wziął. Przyglądał się gościowi przez długą chwilę, a potem przełożył dziecko na drugie ramię.

– Już wszystko mam w sąsieku – oznajmił z powagą. – Kiedy przyjdzie fala, pójdziemy prosto do domu Wingów, ja i moje dzieci.

A jednak ktoś jej uwierzył!

– Jest pan dobrze przygotowany. – Mae złapała małego chłopca za piętę, przytrzymała ją.

– Nieszczęścia się zdarzają. O czym oboje dobrze wiemy.

– Proszę nasłuchiwać bardzo uważnie. Szczęśliwego Nowego Roku.

Pan Muhammed pożegnał ją skinieniem i zamknął drzwi.

– Dziękuję panu – powiedziała Mae, choć nie miała do kogo.

Została jej jeszcze rodzina Atakooloo, lecz kiedy wyszła zza rogu

domu brata, zobaczyła wspinającą się i zbliżającą do niej grupę ludzi.

– To ona – powiedziała Kwan.

Po twarzy Mae prześlizgnął się promień światła latarki, zmuszając ją do zmruczenia oczu. Wingowie, Sunni i pan Haseem byli coraz bliżej.

– Mae – powiedział pan Wing – to się musi skończyć. – Wszyscy mieli na sobie płaszcze przeciwdeszczowe, wszyscy trzymali w dłoniach ulotki. Kwan: schludna, smukła, w czerni, wyprzedzała grupę. – Nie żartujemy.

– Czy to moje ulotki? – spytała Mae. Kwan była już niemal na wyciągnięcie ręki. – Moje czy nie moje?

– Nie będziesz robiła z siebie idiotki w Nowy Rok. A teraz oddaj mi resztę.

Mae już czuła zbliżający się atak furii.

– Wy mi oddajcie resztę! Kto powiedział, że możecie je zabierać?

– Sezen je miała. Jeśli musisz wiedzieć, opluła nas, ale czego innego można się spodziewać po kimś takim? Oddaj ulotki.

– Nie są wasze, są moje!

Kwan obejrzała się przez ramię i skinęła głową.

– Bardzo mi przykro, Mae, ale nie możesz chodzić tak sobie po wiosce, psując wszystkim noworoczną zabawę.

Sunni, ukryta za plecami przyjaciółki, wychyliła głowę.

– Mae, te głupstwa robią z ciebie zdrajczynię. Zdrajczynię własnych ideałów.

Wing i Haseem stali tuż obok nich.

– Trzymajcie ręce przy sobie – ostrzegła ich Mae.

Kwan potrząsnęła głową.

– Bardzo mi przykro, że do tego doszło, ale twoje szaleństwo trzeba koniecznie powstrzymać.

– Nie jesteśmy już przyjaciółkami! – ostrzegła ją Mae.

– Skoro tak twierdzisz?

Mae tuliła resztkę ulotek do piersi. Wing już zdołał chwycić je za róg.

– Puść, Mae, nie pogarszaj sytuacji.

– Wasza przyjazna szalona kobieta. – Pan Haseem zachichotał.

– Mae, proszę – jęknęła Sunni.

– Nie mam przyjaciół – powiedziała Mae cicho, próbując odsunąć się od pana Winga.

Pan Haseem chwycił ją za ramiona. Mae schyliła się, by osłonić ulotki całym ciałem. W jej brzuchu wybuchł ogień. Wing sięgnął po nie nad jej ramieniem.

– To nas do niczego nie prowadzi – powiedział nadal taki schludny i nadal uśmiechnięty.

Mae zaczęła krzyczeć.

– Ratunku! Złodzieje! Chcą mnie okraść! Złodzieje! Na pomoc!

Na lśniącym papierze słowa można było tanio wypalić. Ale lśniący oznacza śliski. Ulotki zaczęły wyslizgiwać się jej z rąk.

– Sezen! Ju-mei! Siao! Na pomoc! Ju-mei!

Wypłynął z niej ogień, ogień jak Oddech Smoka. Odwróciła się i dała im go posmakować. Ogniste soki trysnęły z jej płonącego żołądka wprost w twarz pana Haseema.

– Ach! – Krzyknął pan Haseem i cofnął się o krok. – Boże! Opluła mnie!

– Mae. – Kwan przewróciła oczami, pokręciła głową. Spojrzała na Sunni. – Znowu się jej pogorszyło.

– Jej i Sezen. – Sunni wzruszyła ramionami.

– Parzy! To parzy! – krzyczał jej mąż. Kwasy przeżerały mu skórę.

A Mae zamarła, bo naprawdę zaczynała wierzyć w magię sympatyczną.

Oddech Smoka.

O Boże, a jeśli ona sama jest jedną z przyczyn tego, co się dzieje?

Pan Wang nagle potrząsnął nią mocno.

– Mae! Wystarczy! – Wyszarpnął jej ulotki.

– Szansa wynosi pół na pół – powiedziała Mae słabym głosem. – Nie twierdzą, że Powódź musi nadejść, tylko że może nadejść. I jeszcze, że powinniśmy być przygotowani.

Kwan przyglądała się jej z czymś w rodzaju sympatii.

– Bardzo mi przykro, Mae. Jeśli zechcesz później przyjść na przyjęcie, będziesz mile widzianym gościem.

– Ona ma w środku piec atomowy! – powiedział pan Haseem,

wycierając sobie twarz chusteczką.

– Próbuję tylko strawić dziecko – powiedziała Mae ogłupiona tym, co się stało.

Zostawili ją samą.

Słuchała padającego śniegu.

Otworzyły się frontowe drzwi domu Wangów. Stanął w nich jej brat, Ju-mei, oświetlony ciepłym światłem.

– Mae, co się dzieje? – spytał.

– Och, Ju-mei, zabrali mi wszystkie ulotki. Jest duża szansa Powodzi.

– Wejdz. Wejdz i ogrzej się.

Ju-mei dał jej ryżowe wino. Miał nowy, mały zegar, z którego był bardzo dumny. Mae poddała się. Wypiła zdrowie Nowego Roku. Mały zegar jej prosperującego starszego brata wygrywał melodyjkę. Ignorowała odgłosy zabawy dobiegające z domu Kwan. Tylko nieco pijana wróciła Lower Street do siebie. Może nic się nie zdarzy. Jest duża szansa, że nic się nie zdarzy, myślała.

Wreszcie znalazła się w domu. Siao jeszcze nie wrócił. Powoli, z wysiłkiem, weszła na strych. Zaciągnęła ciężki kufer na klapę w podłodze. Nawiązała połączenie.

Dostała e-maila.

*Plik audio od: porucznik Chung Lung*

*21 lutego*

To, co nastąpiło teraz, jest jeszcze gorsze. Zdaje się, że tata wraca do ciebie. Poszedłem do pokoju, który wynajmuje, ale go tam nie było. Mamo, Balshang to jeden wielki bałagan i zamieszanie, ma drogi i kanalizację dla miliona mieszkańców. Nikt nie wie, ilu ich tu przyjechało, między dziewięcioma a szesnastoma milionami. Nigdy przedtem nie widziałem, jak mieszka. Mamo, zobaczyłem jezioro ścieków. Wszystkie rzeczy taty znikły. Ani śladu, by jadł śniadanie, został tylko jeden talerz z zaschniętym jedzeniem. Może to oznaczać, że wyjechał przed kilkoma dniami. Nie ma pieniędzy, musi korzystać z okazji.

Pewnie myśli, że zdoła wrócić mimo śniegu. Rozpacz czyni go szalonym. Nie sędzę, by choćby pomyślał o śniegu. Myślę, że w tej chwili chce po prostu umrzeć. Pomyślałem, że dobrze będzie cię ostrzec. Jeśli pokaże się u mnie lub u mojej siostry, natychmiast dam ci znać. Mimo tych okoliczności spróbuj cieszyć się Nowym Rokiem.

Co jeszcze? – pomyślała Mae. Poczowała na sercu ciężar, od którego aż się zgarbiła. Co jeszcze może się zdarzyć? Wyłączyła maszynę. Wyjęła materac, rozłożyła go na arkuszu sklejki przykrywającym szerokie szczeliny w podłodze. Dach był najcieńszą częścią domu. Jeśli nadejdzie Powódź, usłyszysz ją. A jeśli nie nadejdzie, podziękuj Bogu.

Wyłączyła światło.

Mae obudził pot.

Usiadła w ciemności przebudzona, przytomna, walcząca o oddech. Śniła się jej Powódź, słyszała ją, coraz donośniejszy dźwięk spadającej wody i kamieni.

Nasłuchiwała. Świat był cichy, nieruchomy. Całe jej ciało dosłownie oblane było potem.

Powietrze! Powietrze było gorące jak w lecie, gorące jak w te noce, kiedy trzeba spać na dworze. Słyszała szmer za oknem, to szeleściły okapy i wydawało się nawet, że oddychają.

Erdha Nefsi.

Odrzuciła przykrycie, wstała, nadstawiła uszu. Bardzo cichy, niemal zagłuszony szumem poruszającego się powietrza, dobiegł ją dźwięk podrażnionych gór.

Włączyła światło.

Czterdzieści pięć stopni Celsjusza.

– Włącz się – poleciała telewizorowi.

Włożyła stare dzinsy, gumowe buty i lekką kurtkę. Zapięła torbę z kocami i puszkowanym jedzeniem. Wyrwała klapę z zawiasów, rzuciła torbę na podłogę kuchni.

– Siao! – zawołała. – Siao, jesteś tu?

Żadnej odpowiedzi. Jeśli Siao zszedł do domu albo kawiarni, być może nic mu się nie stanie. Jeśli fala dogoni go na drodze... Mae nie miała teraz czasu na uruchamianie wyobraźni. Wysłała plik audio.

„Bedri. Mamy czterdzieści pięć stopni Celsjusza, Erdha oddycha, słyszę topniejący śnieg. Nie wiem, czy to Powódź, czy nie, ale proszę zawiadom ludzi: jeśli stanie się najgorsze, będziemy potrzebowali pomocy. Jest czwarta trzydzieści nad ranem, muszę oszczędzać baterie, wysyłam więc ten plik i wyłączam się. Nie odpowiadaj, mnie już tu nie będzie. Jeśli zrobi



się naprawdę źle, szukaj mnie u Kwan”.

Mae wyłączyła maszynę, zeszła na dół, mocno drapiąc się w przedramię. Własny oddech słyszała jak grzechotanie kości w dłoni gracza. Zeskoczyła na podłogę. Odsunęła zastonę wnęki należącej do Siao.

Stary pan Chung spał łagodnie uśmiechnięty. Było od niego czuć ryżowe wino. Mae potrząsnęła nim, zawołała go po imieniu.

– Panie Chung! Szanowny panie Chung! – Zdołała wyrwać go z objęć słodkich snów. – Panie Chung, już tu jest. Powódź.

Pan Chung zasnął w ubraniu. Przyklękła, pomogła mu wsunąć stopy w sznurowane buty.

– Idziemy, panie Chung – ponagliła staruszka.

Wyprowadziła go z domu na podwórko, pod usiane gwiazdami niebo oczyszczone przez gorący wiatr. Wy tłumaczyła panu Chungowi, że Siao jest gdzieś na dole i że muszą dotrzeć do Wielkiego Domu pana Winga.

Następnie zabębniła w drzwi domu Kena.

– Kuei! Kuei! Stara pani Ken! Wstawajcie! Wstawajcie! Erjdha Nefsi.

Otworzyła się górna część okna, drewno uderzyło o ścianę. Widoczna jako sylwetka na tle białej ściany matka pana Kena syknęła:

– Odejdź, szalona. Mój syn śpi! Odejdź razem ze swoimi humorami!

– Poczuj wiatr! Poczuj powietrze! Jest gorące, niemal tak gorące jak ogień. Jest... tuż... tuż! – Mae pomyślała: nie mam teraz na to czasu. Na ciebie nie mam czasu. – Panie Ken! – krzyknęła. – Ken Kuei! Obudź się!

Nadeszła, powiedział głos. Tak to właśnie wygląda.

Mae wpadała w panikę, powoli, lecz nieuchronnie.

– Ken Kuei! Obiecałeś, że mi pomożesz!

Powietrze jest jak ogień, a woda porusza ziemię.

– Zaraz wracam – odezwał się nagle pan Chung. Szybkim, choć chwiejnym krokiem poszedł w stronę stodoły.

– Panie Chung, musimy iść.

Głos starca zabrzmiał nieoczekiwanie ostro.

– Nie mogę zostawić moich narzędzi.

No nie! Mae złapała się za głowę. Krzyknęła do wszystkich w zasięgu głosu.

– Musimy wszyscy stąd uciekać! Jak najszybciej! Jesteśmy tu w bardzo złej pozycji, zagrożeni i przez skały, i przez wodę. Nikt nie może zostać!

Stara pani Tung przemówiła nagle, nazywając panią Ken jej dzieciennym mianem.

– Ting! Rób, co ci kazano! Dość tych bzdur! Już jako mała dziewczynka najbardziej lubiłaś siedzieć w domu. Mówiłam ci nie raz, nie dwa, co się zdarzyło ostatnim razem. Przyszła Powódź. Kochana córko, masz... opuścić ten dom... w tej chwili!

Widoczna w oknie twarz starej pani Ken obwisła. Gorący wiatr szarpał okiennicami.

Ktoś dotknął ramienia Mae, przywołując ją do rzeczywistości.

– Tu jestem – powiedział pan Ken.

Mae westchnęła głośno. Znów była sobą.

– Ona jest we mnie. Używa mojego głosu!

Pan Ken objął ją mocno, pocałował w czubek głowy.

– Zajmę się twoim teściem. Będzie bezpieczny – obiecał.

– I matką się zajmij. I rodziną Okan. – Mae poprawiła plecak na ramionach.

Pan Ken uśmiechnął się rozbawiony.

– Jeszcze coś? – Poszli razem do furtki.

– Tak. Zaczynj krzyczeć.

– Szczęśliwego Nowego Roku?

Mae zobaczyła, że się uśmiecha. Światło księżyca czyniło go młodym i wesołym. W porządku, przyznała sama przed sobą, kocham go.

Stary pan Chung powrócił z torbą z narzędziami. Przywitał pana Kena uprzejmym: „Szczęśliwego Nowego Roku”.

Ken otworzył furtkę przed Mae. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i ile sił w płucach ryknął: „Szczęśliwego Nowego Roku! Powódź! Idzie Powódź!”.

Mae dołączyła do niego natychmiast:

– To nie żarty! Śnieg topnieje!

Spojrzał jej w twarz.

– Ty wiesz, prawda?

Wiesz, że cię kocham.

– Tak – przyznała Mae. – Tak, wiem. A teraz idź już. – Poszła Down Street w lewo. Zaczęła biec. Przez ramię krzyknęła jeszcze do obu mężczyzn: – Niech wszyscy idą do państwa Wing.

Powietrze falowało, jakby plecy owiewał jej oddech czegoś wielkiego, gorącego i żywego. Biegając, krzyczała co chwila: „Budźcie się! Smok oddycha! Budźcie się!”.

Po brukowanej Lower Street woda już płynęła strumieniem. Każdemu krokowi towarzyszył plusk, a grube buty uderzały o nierówne kamienie. Mae potknęła się, boleśnie uderzyła nadgarstkiem w ścianę domu pana Kemala. Miała plan: chciała dotrzeć do meczetu, ostrzec wszystkich przez jego system nagłaśniający. Poszła w górę zbocza, do domu Sezen.

– Inszallah – sapnęła. W palącym świetle gwiazd dostrzegła, że śnieg zdążył już spłynąć z niższych partii zbocza.

Biegła pod górę, ślizgając się na błocie i mchu jak na lodzie. Ziemia pękała od wody, była jak przepełniona beczka. Gdy tylko udało się jej postawić nogę bez poślizgu, stopa natychmiast grzęzła w mazi.

Przesunęła się w bok, w stronę jednego z tych koryt, którymi zawsze spływał nadmiar wody. Miała nadzieję, że jego dno jest czyste i usłane drobnymi kamykami. Tak było rzeczywiście, lecz płynąca nim woda sięgała jej kostek. Z wysiłkiem brnęła przeciwko porywistemu nurtowi.

– Sezen – krzyknęła. – Sezen, Powódź!

Nad jej głową, na zboczach, zapaliło się światło. Pokryte wodą zbocze odbijało jego elektryczny blask, wyglądając jak pole pokryte okruskami szkła z rozbitych lusterek.

Drwi się otworzyły.

– Pani Chung? – spytała Hatijah niepewnie, wychylając się zza progu. Za nią widać było sylwetkę jej męża.

Mae zatrzymała się. Wywijała ramionami, by utrzymać równowagę w szybko płynącej wodzie.

– Sezen już wyszła! – krzyknęła Hatijah. – Ma zamiar pobudzić

ludzi z Marsh.

– Och! Dobra z niej dziewczyna.

– Ostatnio wydobrzała.

– A wy? – zirytowała się Mae. – Co wy tu jeszcze robicie? Idźcie do Kwan. I to natychmiast, bez ociągania. Terasy wypełnią się wodą, murki nie wytrzymają.

– Czekaliśmy na córkę.

Mae poczuła znajome ukłucie rozpaczy. Jakoś udało się jej wygrzebać z rowu.

– Hatijah, na niebiosa, Sezen nie jest twoją matką! Masz inne dzieci, wyprowadź je stąd, i to już, już, natychmiast. Sezen spakowała wam torby, wiem o tym, bierz je i uciekajcie!

Hatijah się rozplakała.

– Nie możemy przecież zostawić kozy!

Inszallah. Mae poddała się.

– Oczywiście, że nie, to całe bogactwo waszego domu. Ale Edrem, proszę, powiedz jej, że życie jest ważniejsze od pieniędzy. Kozę puśćcie na wolność, może się uratuje.

Sylwetka Edrema, wysokiego, chudego i powolnego poruszyła się.

– Musimy iść.

Mae ruszyła pod górę, jeszcze wyżej, do Shenów. Po drodze krzyczała:

– Edrem, polegam na tobie! Ty się zajmij dziećmi, a Hatijah niech weźmie torby, rozumiesz? Rozumiesz? Zostaw włączone światła. Światło przyda się nam wszystkim.

Parła przed siebie, pomagając sobie rękami. Całe zbocze wzgórza przykrywała zasłona wody, całkiem gruba, pomarszczona, z dodatkiem drobnych, ostrych krzemyków. Kamyki przesuwały się jej między palcami jak tłuszcz na piecyku. Boże, całe zbocze było w ruchu! A ją otaczał ze wszystkich stron dźwięk przypominający westchnienie, szum szybko płynącej tysiącami strumieni wody. Był to straszny dźwięk, jednocześnie potężny i delikatny, wielki jak cały świat. Mae czuła się tak, jakby usłyszała ten świat po raz pierwszy.

To jest to. To jest ten dźwięk.

Ziemia pod jej nogami wyprostowała się nagle. Mae potknęła się, poleciała w przód. Dotarła do budynku szkoły. Piaszczyste podwórko już zmieniło się w gładkie jezioro, w którym odbijały się huśtawki dla dzieci. Zza jednego z rogów budynku woda płynęła jak z dzióbka dzbanka.

Mae dobrodziła do drzwi.

– Nauczycielu Shen! – krzyknęła, uderzając je pięścią. – Nauczycielu Shen!

Drzwi nie tyle otworzyły się, ile odskoczyły. Mae poczuła jeszcze jeden gorący oddech, tym razem nie smoczy, lecz wilgotny od łez. Twarz Suloi aż się od nich lepiła.

– On nie wyjdzie. – Ciało jej siostry z Kręgu zadrżało od szlochu.

Mae przytuliła ją mocno.

– Jak to? – spytała.

Z ciemności dobiegł głos, równie czarny jak ciemność i równie groźny:

– Nie będzie żadnej Powodzi. To głupota.

– Och, Shen, możesz nie wierzyć mi, ale musisz uwierzyć wodzie. Spójrz w dół. Proszę, chodź.

Coś w mroku drgnęło, beznogie, zwinięte jak do ataku.

– Nie będzie Powodzi.

Suloi cofnęła się o krok.

– On nie wyjdzie – powtórzyła.

– Shen – powiedziała Mae błagalnie. – Chodź. Przecież słyszysz. Śnieg topnieje.

– I śnieg spłynie, jak spływał od dwóch tysięcy lat. Myślisz, że te twoje maszyny mogą zmienić świat?

– A ty, czy myślisz, że potrafisz powstrzymać Powódź? Ucząc ją arytmetyki? – Głos Mae załamał się z niekontrolowanego gniewu.

Ukryty w cieniach kształt rozwinął się, Shen wstał. Odwiódł kurek. Rozległ się trzask.

– Nie pozwolę, by gorszący wszystkich śmieć jak ty mówił mojej rodzinie, co ma robić – powiedziała Rozpacz, która kiedyś była Szczęściem.

– Idź, Mae – szepnęła Suloi. Popchnęła ją niewidocznym, drobnym, pełnym miłości gestem.

– Zostaniemy tu, gdzie nasze miejsce – warknął Shen.

Mae przyciągnęła Suloi do siebie, przytuliła ją i przy tej okazji wyszeptła jej do ucha: „Uciekajcie w ciemności”. Potem odepchnęła ją, odbiegła i, odwracając się przez ramię, krzyknęła: „Żyćcie!”.

Słyszała chichot, tysiąc pojedynczych chichotów, woda przeciskała się między kamieniami, spływała rowami. Przeskakiwała już po kamiennych murkach teras.

Mae ześlizgnęła się na dół, do przysadzistego czworościennego meczetu wyposażonego w umieszczony pod szczytem dachu system głośników. Podeszła do drzwi, potrząsnęła nimi. Sądząc po dźwięku, w środku było pusto. A drzwi zaryglowano.

Kto zamyka meczet? Meczetu nikt nigdy nie zamykał! Mae próbowała obliczyć czas, ale z góry wiedziała, że zawiadomienie rodzin we wszystkich domach zajmie jej trzy godziny. Omal się nie popłakała. Zaplanowała wszystko, na każdą okazję, ale do głowy jej nie przyszło, że meczet może być zamknięty. Teraz musi biec do pana Shenyalara, Mueraina. On będzie miał klucze. No, przynajmniej droga do niego prowadzi w dół. Odwróciła się i pozwoliła nieść się wodzie oraz grawitacji.

Po zboczu częściowo schodziła, a częściowo się ślizgała. Przebiegła najszybciej, jak mogła, między domami rodzin Alis i Doh. Zaplątała się w starą, rdzewiejącą ramę łóżka, którą ktoś tu po prostu wyrzucił. Wyrwała stopy ze sprężyn, usłyszała melodyjne „bąąąą”. Omal nie upadła na bruk Upper Street. Podbiegła do drzwi we wklęsłej ścianie frontowej domu Dohów.

– Stara pani Doh! Państwo Doh! – krzyknęła do zamkniętych okiennic. – Obudźcie się! Idzie Powódź! Idzie Powódź! – Tańczyła z nimi zaledwie kilka godzin wcześniej. – Proszę, obudźcie się!

Jest Nowy Rok. Oni wszyscy przecież mocno śpią, pijani, zmęczeni i szczęśliwi.

Wbiegła na most. Mała rzeczka ryczała teraz wielką falą, rozpylona woda sięgała łuku drogi, otoczyła ją delikatną mgiełką, natychmiast dostała się do płuc wraz z oddechem. Przez kamienną balustradę widać było oświetlone blaskiem księżycy białe niczym rozżarzone, spienione wodospady spływające za

wąskim korytem. Mae przypomniała sobie kaczki i gęsi, teraz były już tylko wspomnieniem. Placyk pośrodku wioski wyglądał jak ocean pokryty lśniąco odbitym światłem falami.

Po drugiej stronie mostu wyrosła wielka kałuża. Nawet tu, na Upper Street, część drogi już została zalana. Mae zeszła z mostu, woda przelała się przez wierzch jej butów. I nawet teraz wioska spała. Nie zapaliło się ani jedno światło.

– Powódź! Powódź! – krzyknęła.

Nagle, za domem rodziny Haj błysnęła latarka. Ktoś wyszedł zza jego rogu.

– Mae? Tędy – powiedział jej brat. – Matka jest już u państwa Wing. Ja właśnie wracam z Lower Street.

– Ju-mei! Muszę jak najszybciej dostać się do Shenyalara!

– Świetnie. Tędy do niego dojdiesz.

Mae podeszła do niego, brodząc w wodzie sięgającej kolan. Ju-mei wyciągnął rękę, złapał ją mocno za ramię. Razem, z wysiłkiem, wysoko podnosząc nogi, przebyli kamienistą przestrzeń dzielącą dom rodziny Haj od domu ich sąsiadów. Alejka wyglądała jak ogród na wodzie: paprocie i wodospady. Na Lower Street wypadli oboje, jakby wskakiwali do rzeki.

Siła prądu niemal ich przewróciła. Omijał narożnik domu Ju-mei, pomięty niczym pościel na łóżku przykrytym białym prześcieradłem.

Po przeciwnej stronie ulicy stał wysoki kamienny dom Mueraina z jego tablicą z brązu. Podtrzymując się nawzajem, Mae i Ju-mei przekroczyli drogę. Gdy potykali się znoszeni przez prąd, mogło się wydawać, że tańczą. Dopiero ganek domu rodziny Gama, do którego przycisnęła ich woda, pozwolił im się zatrzymać. Chwytając się nierówności ścian, popęzli pod prąd, jakby wspinali się na skałę.

Cos trzasnęło. Mae odwróciła się i zobaczyła słomiany wychodek z gospodarstwa rodziny Haj wypływający na placyk... na jezioro, którym był teraz. Jedyna uliczna lampa wioski oblewała złotym blaskiem fale uderzające o ściany domów rodzin Kosal i Masud. Dach wychodka, do złudzenia przypominający słomiany kapelusz, wirował powoli. Zmącona powierzchnia wody

sprawiła wrażenie, jakby tuż pod nią kotłowały się węże.

Ju-mei dosłownie wepchnął Mae na próg domu Mueraina. On walił w drzwi, a ona krzyczała.

– Muerain! Muerain Shenýalar! Och proszę, proszę, otwórz! Obudź się! Muerain! Muerain!

Dlaczego, dlaczego w środku jest tak cicho! To przecież religijni Karzowie, nie piją, nie świętują Nowego Roku... więc dlaczego nic nie słyszą?

– Powódź! Powódź! Muerain!

Gdzieś, z końca doliny dobiegł przeraźliwy trzask, jakby ktoś przewrócił kredens pełen porcelany. Przepłynął obok nich, zabrzmiał echem, umilkł. To małe terasy poniżej wioski, podmyte, spadały do wody.

Domy rodzin Pin i Chu. Gdzie Sezen?!

Mae zamarła ze strachu.

– Shenýalar! Obudź się! Och, błagam, obudź się!

Jedna z okiennic drgnęła.

– Kto to?

– Pani Shenýalar, to Chung Mae. Proszę posłuchać, słyszy pani ten hałas?

– A tak, owszem, słyszę.

– To Powódź! Pani Shenýalar, czy mąż może pójść ze mną, otworzyć meczet, żebym mogła użyć jego nagłośnienia?

– Proszę zaczekać, pani Chung.

Ju-mei zaczął krzyczeć do innych domów.

– Panie Al Gamal! Szanowny panie Haj! Pani Nan!

Drzwi Shenýalarów znów się otworzyły.

– Och, Muerain! – krzyknęła Mae z ulgą.

– Inszallah. – Muerain westchnął głośno. Ten głupi człowiek stracił czas na przebranie się w szaty duchownego! Zobaczył rzekę, zobaczył jej szybki nurt i nowe jezioro u stóp latarni. Usłyszał ryk. Odwrócił się, spojrział na Mae, a wyraz jego delikatnej, szczupłej twarzy powiedział wyraźnie: „Miałaś rację”.

– Musimy zawiadomić wszystkich – powiedziała Mae.

Muerain nieśpiesznie wrócił do domu.

– Żono! – krzyknął. – Zbierz dzieci, zbierz jedzenie i idź do pani



Kwan. Natychmiast.

– Z pewnością jeszcze za wcześnie, żeby się martwić! – odkrzyknęła jego żona.

– Jest za późno, żeby się martwić. Rozkazuję ci, żono: masz opuścić dom i natychmiast udać się do Wingów.

– A ty co robisz?

Rozległ się szybki tupot kroków na schodach.

– Spełniam mój obowiązek!

W tym momencie wioska pogrążyła się w ciemności. Linie elektryczne zostały przerwane.

– Inszallah!

– Mężu!

– Idź do domu rodziny Wing. Ja idę! – krzyknął pan Shenyalar.

Mae walczyła z plecakiem. Wsunęta do środka ręka trafiła na gumowany uchwyt wodoodpornej latarki.

– Mam dwie – oznajmiła, wręczając jedną z nich Muerainowi.

Promień światła sięgnął mokrego muru. Tańczące elfy poprzedzane przez jasny blask.

Mae podeszła do brata, pocałowała go w policzek.

– Dziękuję ci – powiedziała z uczuciem. – Nie idź na dół, Lower Street już straciliśmy. Idź raczej do rodzin Soong, Ping i pana Atakoloo, dobrze?

– Moje miejsce jest przy tobie – oznajmił Ju-mei.

– Zawsze było przy mnie, bracie. Ale masz żonę, masz sąsiadów. Proszę, idź.

Ju-mei stał przez chwilę nieruchomo, a potem powoli, uroczyście, skłonił się siostrze z wielkim szacunkiem. Następnie odwrócił się i krzyknął:

– Idźcie do rodziny Wing! Nie idźcie na Lower Street!

Mae też zaczęła krzyczeć, bo Muerainowi nie wolno stracić godności, nie do tego stopnia.

– Budźcie się, ludzie! Powódź! Powódź!

Oboje razem przebrnęli pod prąd między domami rodzin Haj i Nan. Na niebie nad ich głowami gwiazdy pobłyskiwały wesoło, góry ryczały śmiechem, to, co się działo, było po prostu komiczne. Mali ludzie właśnie dowiadawali się, kto jest ich

panem. Najwyższy czas.

Nurt strumienia płynącego Upper Street nabrał mocy. Dźwięk sugerował raczej wodospady, a małe jezioro rozlało się aż pod dom pana Pinga. Jego powierzchnia marszczyła się tam, gdzie prąd przepływał między domami. Muerain podciągnął swe religijne szaty, ukazując długie, bezwłose nogi. Wyciągnął rękę za siebie, chwycił Mae i pobiegł, unosząc swą szatę niczym kobieta w tańcu. Gwiazdy śmiały się głośno. O stopy ocierały się im niesione prądem kamienie, odłamki potłuczonej ceramiki.

Muerain przebiegł po bruku mostku. W dole, pomiędzy przęsłami, rzeka wydawała odgłos smarkającego dziecka. Dotarli na szczyt łuku. Bardziej przypominając teraz ogiera, siwego ogiera, Muerain skoczył w kaskady wody opływające z dwóch stron antyczny dom rodziny Doh. Natychmiast stracił porwane przez prąd sandały. Podskakiwał, drobił, przestępował szybko z nogi na nogę, za każdy razem lądując na kamieniach delikatnymi bosymi stopami. „Łał, uch, oj!”

Gwiazdy boki zrywały ze śmiechu. Ich maleńkie oczka zwięzły się, kapały z nich łzy radości.

Jakiś ruch przed nimi. Mae zapaliła latarkę.

Pan Ken niósł na barana panią Okan otaczającą rękami jego szyję, zupełnie jak na zabawie. Za nimi szedł, pociągając nogami, pan Okan. Trzymał się sukienki żony i coś do niej mówił cicho. Za nimi szły dwie siostry Sezen, Edrem niósł swego najmłodszego, a ostatnia, Hatijah, kozę. Oczy mieli okrągłe, różowe z przerażenia.

– Śpieszcie do Kwan – poradził im Muerain. – Most nie wytrzyma.

– Prąd jest istotnie straszny – zgodził się z nim pan Ken. – Mae, chodź z nami.

– Jeszcze nie.

– Nie bądź taka lekkomyślna. Proszę!

– Pożycz Muerainowi buty.

Chwila przerwy, wrażenie, że kiedyś już się to widziało, pan Ken energicznie skopujący z nóg kalosze.

– Twoja matka? – spytała Mae.

Kuei pokręcił głową.

– Matka się pakuje – wyjaśnił.

Muerain podskakiwał na jednej nodze, na drugą pracowicie wciągał kalosz.

– Pakuje się? A co ona sobie myśli, że to piknik?

– Przecież wiem. – Pan Ken pobiegł, nabierał rozpędu przed stromym łukiem mostu, który musiał pokonać z panią Okan na plecach. – Będę musiał po nią wrócić! – krzyknął.

Koza w ramionach Hatijah kopała i przewracała oczami ze strachu. Wbiegli na ramię łóżka wyniesionego przez wodę na drogę. Na oślep przebiegli po nim, depcząc uginające się sprężyny. Dom Sunni, stojący po oświetlonej księżycem stronie zbrocza, był cichy i ciemny.

Wydostali się na nagie zbrocze, na którym nie było żadnych ścieżek. Lustro wody lśniło odbitym światłem gwiazd. Przed nimi pojawiła się biała ściana meczetu. Dotarli na miejsce, do drzwi. Mae czekała zdyszana. Muerain nagle klepnął się w czoło nasadą dłoni.

– Nie wziąłem kluczy!

– Co? – Mae poczuła się jak woda: rozdarta, poszarpana, odpływająca.

Tymczasem Muerain cofnął się, podniósł nogę i kopnął w drzwi na wysokości zamka. Był wysokim, silnym mężczyzną, pasterzem. Drewno zadrżało, rozległ się ostry trzask. Drzwi stanęły otworem.

Podłoga już była zalana. Mężczyzna chwycił za balustradę kazalnicy, Przebiegł, chlapiąc, do schodów prowadzących na wieżę. Mae pośpieszyła za nim. Światło latarki przesunęło się niecierpliwie po tylnych ścianach głośników, aż do zasilających je akumulatorów. Pan Shenylar pochylił się. Dotknął akumulatorów wargami, bo po ich smaku poznawał, czy są wystarczająco naładowane. Pstryknął włącznikiem, rozległ się donośny trzask. Zaczął śpiewać cicho, groźnie.

Mae chwyciła go za ramię.

– Muerain. Proszę. – Latarka oświetliła ją natychmiast, a jej blask wydawał się gniewny. – Bardzo mi przykro, szanowny Muerainie, ale większość z nas przesypia twe wezwanie do

modlitwy. – Cisza. – Przewracają się w łózkach z boku na bok.

Cisza.

I nagle rozległ się głęboki, donośny, dźwięczny głos:

– Nadeszła Powódź. Za nasze grzechy, za naszą bezbożność, pokarani zostaliśmy Powodzią. – Dziwne to było wrażenie: Mae słyszała głos rozlegający się tak blisko niej, ogarniający falami całą dolinę. – Idźcie za radą pani Chung. Zabierzcie jedzenie, zabierzcie koce i przejdźcie do pana Winga. Nie idźcie na Lower Street. Lower Street już nie uda się wam przekroczyć. Idźcie na Upper Street. Uwaga! Uwaga! Powódź!

Pan Shenyalar odwrócił się do Mae.

– Niech pani idzie – powiedział.

Mae nie poruszyła się. Z jakiegoś powodu wyobrażała sobie, że to ona wzywa wiernych.

– Musi pani pójść budzić ludzi. Ja mogę tu zostać.

– Byle nie za długo – ostrzegła.

– Mam swoje obowiązki – powiedział pan Shenyalar. – Proszę już iść. – Oddał jej drugą latarkę.

Odwróciła się, zrobiła kilka kroków, po czym ogarnął ją głos, wznoszący się ponad dźwięki szalejącej wody.

– Nadeszła Powódź!

Mae zeszła po schodach. Nagle pochyliła się, nie mogła inaczej, z jej ust wystrzeliła struga kwasu jak groźny jad. Jego pary dusiły, przez chwilę nie mogła zaczerpnąć tchu. Gardło bolało ją jak obdarte ze skóry. Przykłękała, zagarnęła wodę ręką, wypita kilka łyków.

Gdzie najbardziej przyda się teraz? Sezen pobudziła mieszkańców równiny, z domów stojących nisko na południu. Sunni miała najdalej, mieszkała wysoko, ale prawie na brzegu rzeki. Musi zejść w dół, do mostu. Mae odnalazła wzrokiem jej dom, wyniosły i samotny. Zamrugnęła. Wydało się jej, że u jego fundamentów widzi ruch.

Pobiegła na ratunek.

Woda odłoniła już zbocze góry oddzielające wysoko położony meczet od wysoko położonego domu. Spływało po nim błoto, wirowało wokół jej nóg jak owsianka, ale zębata owsianka, bo

było w nim też mnóstwo drobnych okruchów skalnych. Wkrótce będą musiała zrezygnować, pomyślała, Mae, przecież muszę się oszczędzać.

I już.

Odezwał się inny, nieproszony głos.

Zbocza rozpuszczają się jak cukier w herbacie. Runą podmyte terasy. Domy wypełnią się błotem lub zostaną zmiażdżone przez głazy.

Rzeka już wyskakiwała ponad koryto, spieniona, groźnie warcząca. Zmieniła się w rodzaj smoka wspinającego się na tylne łapy, atakującego, wyzywającego, rozwierającego groźne szczęki.

Mae pomyślała o Sunni, o ich wytwornych rozmowach w lodziarni, o tym, jak nawzajem poprawiały sobie fryzury. Kamienie boleśnie obijały się jej o kostki, błoto pociągało ją jak w zabawie. Zerwało jej z nogi but. Ale parła przed siebie, przedzierając się przez falę błota.

Wysoki, kamienny ostatni stopień schodów prowadzących do wejścia do domu Sunni był już tylko wyspą. Zaczęła walić w drzwi. Krzyczała, ale rzeka była od niej głośniejsza.

Okazało się, że drzwi są otwarte. Mae wbiegła do środka, w ciemność. Było tu tak przytulnie, spokojnie i bezpiecznie: suszarka zastawiona naczyniami, nowy stół bilardowy w pokoju dziennym.

– Sunni! Sunni! Panie Haseem! Obudźcie się.

Wbiegła na piętro po wąskich, nowych dla niej schodach, mocno uderzyła głową w belkę sufitową. Było tu wiele drzwi, które są te właściwe? Weszła do sypialni wypełnionej zapachem alkoholu i głośnym chrapaniem. Przez okno wpadało światło gwiazd rysujące na łóżku wzór szachownicy.

– Obudźcie się! – krzyknęła Mae.

Sunni drgnęła, usiadła w łóżku, krzyknęła nagle, przeraźliwie. Okryła się kołdrą. Na twarzy miała wyraz przerażenia.

– Co ty tu robisz? Wynoś się! – krzyknęła.

Jej mąż chrapał, całkowicie ubrany, nawet w butach.

– Sunni, nadeszła Powódź.

– Wyjdź z mojej sypialni!

– Błagam cię, posłuchaj. Śnieg stopił się i spływa. Słyszysz rzekę?

– Jesteś szalona!

Sunni była wściekła. Próbowwała zapalić światło, ale w sieci nie było prądu. Wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok, podbiegła do Mae i spróbowała wypchnąć ją za próg.

– Oszalałaś! Wyjdź z mojej sypialni!

Mae nie pozwoliła ruszyć się z miejsca. Odepchnęła ją.

– Auuu! – krzyknęła Sunni, zgorzozona. – Mężu, obudź się, ona zabije nas oboje!

– Głupia krowo, nie wiem doprawdy, czemu troszczę się o kobietę z krowim gównem zamiast mózgu! – nie wytrzymała Mae. W gniewie złapała ją za nadgarstek, pociągnęła do okna.

– Mężu! Napadli mnie, mężu! Ratunku!

Siła Mae, zrodzona z paniki i gniewu, zwyciężyła. Sunni stanęła przed oknem na korytarzu.

– Popatrz tylko!

Rzeka była biała, spieniona. Wypełniała koryto, przelewała się przez most. Wlewała się przez wysokie murki wzdłuż Lower Street i spadała wraz z drogą jak wodospad. W świetle srebrzystych księżycowych promieni widać było całą dolinę odbijającą ich blask niczym powierzchnia morza.

– Mój Boże – szepnęła Sunni.

– Widzisz? Sama widzisz? – Mae gotowała się z gniewu. – I kto tu jest szalony?

– Jakie to straszne.

– Już niemal nie żyjesz. Ruszyło zbocze wzgórze tuż przy twoim domu. Obsuwa się, całe.

Mae usłyszała sapnięcie, głośny wdech. Sunni odwróciła się gwałtownie, zawirowała biel szlafroka. Wbiegła do sypialni.

– Mężu! Obudź się! Obudź! – Chwyciła jego głowę za uszy, potrząsała nią, jaskrawoczerwona twarz obracała się na boki. Spojrzała na Mae. – Przecież wiem, że kiedy jest w tym stanie, przenigdy się nie obudzi – powiedziała.

– Zostaw go.

– Och, oczywiście, że ty to mówisz, zawsze go nienawidziłaś.

Mae podeszła do Sunni, utykając.

– To nieprawda, ale jest już za późno na wszystko, oprócz spraw ostatecznych. Chcesz umrzeć razem z nim?

Sunni spojrzała na nią tępo.

– Bo tylko o to chodzi. Jeśli nie obudzi się teraz, to albo kochasz go aż tak, że chcesz z nim umrzeć, albo idziesz ze mną. I musisz zdecydować teraz.

– Słyszałeś ją? Słyszałeś? – Sunni uderzyła Faysala w twarz, mocno. Odpowiedzią było głośniejsze chrapnięcie. Odwróciła się i powiedziała do Mae: – W porządku, idziemy.

Mae pobiegła i już na schodach usłyszała: „Uważaj na głowę!”. Za późno. Łzy napłynęły jej do oczu po raz drugi.

Przebiegając przez kuchnię Sunni, zdążyła złapać dwie puszki jedzenia. I już były za drzwiami, pod światłem księżyca.

– W porządku, tkwimy w tym razem – odezwała się Sunni. – Jeśli coś się stanie jednej, druga próbuje jej pomóc, ale do pewnej granicy. Obiecujemy to sobie, dobrze? Dbamy o siebie, ale najpierw jedna próbuje zadbać o drugą.

– Jasne – przytaknęła Mae. – Ale ja idę jeszcze na Lower Street.

– Szalona – powtórzyła Sunni kolejny raz.

– Muszę sprawdzić, czy Siao wrócił, czy pan Chung się wydostał, czy z Sezen wszystko w porządku.

– Jasne! Ale ja z tobą nie idę.

– Wreszcie zaczynasz mówić z sensem.

– Rzeczywiście, muszę to przyznać.

Ziemia nie była już całkiem stabilna. Obie upadły w błoto. Udało im się podnieść, ale musiały przy tym pomóc sobie nawzajem.

– Latarka! – zaniepokoiła się Sunni.

– Mam ją, tylko cała jest w błocie – Mae wytarła latarkę o kurtkę, znów pojawiło się blade światło. Skierowała je przed siebie.

Po jednej stronie domu Dohów rzeka wyraźnie się podniosła. Z drugiej strony napierało na niego błoto, jak niechciany kochanek. Będą musiały przejść między domami rodzin Doh i Ali, innej drogi nie mają. Błoto i woda wyniosły je na Upper Street.

W którymś momencie ucichły wezwania Mueraina.

– Zeynap – wydyszała Sunni. Miała na myśli swą przyjaciółkę, Zeynap Ali.

Stały chwiejnie pośrodku ulicy. Mae włączyła latarkę. Drzwi domu rodziny Ali okazały się otwarte.

– Uciekli – westchnęła.

Ale z domu rodziny Doh dobiegły ich rozpaczliwe okrzyki.

– Mam latarkę! – krzyknęła Mae.

Wbiegła do środka. W kuchni młoda pani Doh pakowała jedzenie do toreb. Wszędzie wały się brudne naczynia i resztki jedzenia.

– Pędź na górę i sprowadź tu rodziców – syknęła panna Doh z wściekłością, jakby miała do czynienia z głupią, nieruchomą lalką.

Mae odwróciła się na pięcie. Pobiegła po schodach. W korytarzu na piętrze, w świetle latarki zobaczyła starą panią Doh, wymachującą rękami, jakby zaplątała się w pajęczynę.

– Tędy! – krzyknęła.

– Kto to? – przestraszyła się stara pani Doh.

– Chung Mae.

– Czego tu chcesz?

– Chcę pomóc. Niech pani idzie za mną. Uwaga, schody.

Pani Doh była jak luźna wiązka chrustu na silnym wietrze. Drżała nieopanowanie.

– Co – powiedziała, ale nie było to nawet pytanie. U stóp schodów trafiła w ręce Sunni.

– Ach, jesteś, kochanie – powiedziała Sunni, jakby witała gościa na zabawie.

Mae wróciła i przebiegła po kolei przez wszystkie pokoje. Cały czas towarzyszył jej ryk rzeki. A także trzeszczenie drewnianych ścian i belek konstrukcyjnych. Całym ciałem czuła ciężar napierającego błota.

– Ten dom się zawali! – krzyknęła głośno, do każdego, kto mógł ją usłyszeć.

Przechodziła z pokoju do pokoju. Dobry elf latarki błogosławił każdy z nich, po kolei. Dopiero w ostatnim znalazła starego pana Doha, szlochającego, usiłującego zapiąć koszulę.



– Och, mój dobry panie Doh – powiedziała, naśladując Sunni. – To ja, Mae Chung. Najwyższy czas się zbierać.

Mężczyzna machnął ręką, niecierpliwym, zapłakany, nadal zmagający się z najlepszą koszulą.

– Ach nie, nie – uspokoiła go i roześmiała się. – Wygląda pan bardzo elegancko. Zejdźmy na dół.

– Moja żona... – przerwał oszołomiony.

– Już na pana czeka.

Dom zajęczał i pochylił się do przodu.

– Mae! – krzyknęła Sunni. Zdażyła wyjść na ulicę.

Mae po prostu pchnęła pana Doha.

– Och, och... – usłyszała.

Pan Doh próbował się jej oprzeć. Pociągnęła go ku schodom. Ściany zaczęły kłaść się i pękać, a w miejscu, gdzie łączyły się z nimi deski podłogi, w powietrze wleciały kłęбки kurzu. Cała konstrukcja wydała się nagle... luźniejsza. Mae popchnęła pana Doha, a on potknął się i oboje toczyli się uderzani mocno przez drewniane schody, aż zakończyli tę jazdę w kuchni.

– Zostaw mnie – powiedział pan Doh. Próbował szarpać się z Mae, promień latarki skakał po ścianach.

Ktoś wszedł do środka, złapał go, pociągnął. Wydostali się na dwór, wpadając po drodze na krzesła, ślizgając się na oleju wyciekającym z butelek, jakby cały dom stanął na głowie.

Na ulicy już czekała na nich rodzina Doh.

– Mówiłam wam, że nie wyszedł! – wrzeszczała wściekła panna Doh. – Mae Chung musiała zrobić wszystko sama, jak zawsze. – Popchnęła starszego pana, odwróciła się w ciemności, przytuliła do Mae i wepchnęła język głęboko w jej usta. – To na wypadek, gdyby któraś z nas zginęła – dodała jeszcze i odbiegła.

Cały świat szalał jak światło latarki, nawet gwiazdy groziły, że lada chwila spadną z nieba. A nad ryk wody wzniosły się niski zgrzyt i warkot. Mae odwróciła się, spojrzała na drogę, zobaczyła przesuwane się powoli reflektory samochodowe. Widać w nich było rozpryskiwaną przez opony wodę.

Siao, pomyślała. To może być Siao.

– Idźcie – powiedziała do Sunni.

- A ty dokąd, głupia?
- Wracam do domu.
- Jasne. - Sunni nagle pojawiła się tuż przy Mae. - Posłuchaj - powiedziała z naciskiem. - Miałaś rację. - Przytrzymała ją. - Słyszysz, że ci to mówię, prawda? Miałaś rację!
- Tak, tak, słyszę. Idźcie.
- Ty też. I wracaj szybko.

Tylko to miały sobie do powiedzenia.

Mae przebiegła wzdłuż tylnych ścian domów rodzin Ho, Matbahsuluk i Kemal. By skrócić i wydostać się na Lower Street, musiała przytrzymać się narożnika domu pana Kemala.

Dźwięk jak okłaski. Jeśli usłyszysz go z góry, jesteś martwa.

To już, pomyślała Mae. Tylko sprawdzisz dom i... uciekaj!

Jej stary dom lśnił bielą, jak ciasto w blasku gwiazd. Przy frontowej ścianie stała jedna ze starych furgonetek pana Pina, pusta, z wygaszonymi światłami. Brama była otwarta. Mae zaczęła biec.

Na jej podwórku zalegało błoto po kolana.

- Siao? Siao?

Włączyła latarkę. Drzwi do stodoły były zamknięte i zablokowane błotem, po jego powierzchni ściekały strużki wody. Jeśli nikogo tu nie ma, ucieknie.

W domu pana Kena ktoś krzyczał głośno: „Nie mogę wyjść!”. Stara pani Ken.

Wysoko nad jej głową rozległ się syk, jak wody na rozgrzanej patelni.

- Terasy się zapadają! - krzyknęła przeraźliwie.

Poczuła kliknięcie. Już tu kiedyś byłam, pomyślała.

Pani Ken uderzała od środka w kuchenne drzwi zablokowane ciężarem błota.

- Okno! Wybijcie okno! - krzyknęła Mae. Brodziła w błocie, gęstym i złym. Błoto przytrzymywało jej stopy niczym klej. Tkwiła w miejscu. - Nie podejdę!

Posypało się wybite krzesłem szkło, lśniące niczym śnieg w powietrzu i na nasiąkniętej wodą ziemi.

- Mae! - krzyknął ktoś od bramy. Odwróciła się. Krzyczał Kuei.

Próbował przebić się przez błoto sięgające mu pasa. – Mamo! Mamo! – Szarpał się, rzucał, kołysał na boki, parł przed siebie z uporem, choć bez skutku. Błoto przesunęło się nagle, zbijając go z nóg.

Po raz pierwszy tej nocy Mae pomyślała: „Spóźniliśmy się. Możemy zginąć”.

W wybitym oknie pojawiły się najpierw ramiona, a potem nogi.

– Kuei, och, Kuei. Pomóż mi!

Błoto unieruchomiło także jej syna. Nie był w stanie sięgnąć matki.

– Kuei! – rozległ się inny męski głos. – Przejdź po tym!

Siao? Mae odwróciła głowę. Trzech mężczyzn trzymało pokrywę pojemnika na węgiel.

Siao!

I jego pomocnik... Joe! Joe? Skąd on się tu wziął. Jakim cudem?!

We trzech udało się im rzucić płytę sklejki na błoto pod oknem.

– Wskakuj. Może wytrzyma twoją wagę wystarczająco długo. Spróbuj się dostać do nas.

– Matko – powiedział Kuei. – Musisz tylko skoczyć. Ja cię złapię.

Stara pani Ken już bez słowa wychyliła się z najeżonej odłamkami szkła ramy, a potem wypadła z niej, wprost na zaimprovizowaną tratwę. Tratwa przechyliła się i podpłynęła w ręce Kuei, który złapał ją i szarpnął ku sobie. Siao i Joe pomogli mu. Przytulił matkę, czuł, jak zadrżała i zaszlochała, tylko jeden raz.

– Mae! Co ty tu robisz? – prawie krzyknął Siao.

– Próbowałam cię znaleźć.

Strumień błota odsunął ich od bramy. Był jak coś żywego, jak jakiś nagi oślizgły robal.

– Jak mamy się przez to przedostać? – spytał Joe z rozpaczą.

Mae przypomniała sobie linkę do suszenia prania rozciągniętą na podwórku.

– Tędy! – Zapaliła latarkę, swoje dobre elfie światełko. Chwyciła sznurek. Z jego pomocą można już było się przesuwac, choć powoli.

– W porządku, mamo. Ciągnij. Ciągnij jak Mae – powiedział pan

Ken.

Ze sznurka skorzystali wszyscy. Mae pierwsza zatrzymała się przy bramie. Oświetliła ich latarką. Miała przed sobą swoich trzech mężczyzn: męża, kochanka i Siao. Spojrzała na jego nieruchomą twarz.

– Dostałem wiadomość w herbaciarni. Joe był w Wyschniętej Wiosce.

Joe obrzucił żonę szybkim spojrzeniem, a potem opuścił wzrok zawstydzony.

Czyżby rozległy się dźwięki braw?

Mae spojrzała na otwartą bramę, a potem, nie śmiać oddychać, dalej, przed siebie.

Tak, słyszała brawa, huczne brawa dobiegające ze wschodnich zboczy. Ten dźwięk miał kształt, kształt noża, ostrego na czubku, a potem coraz szerszego. Kliny murków runęły.

– To już! – krzyknęła głośno, cienko, przenikliwie. Przez łzy.

Szszszszz... – powiedziały głązy. Płynęły w dół jak woda, wydawały dźwięki jak woda, własny ciężar niósł je w dół po zboczu, aż spadały na niższe terasy i obrywały je własnym ciężarem. Mae wydostała się jakoś na ulicę. Zobaczyła je w blasku księżyca, nurt kamieni po wschodniej stronie wielkiej misy.

Nurt kamiennej rzeki.

– Ruszcie się! – krzyknęła znowu, jak poprzednio, piskliwie.

Obejrzała się za siebie, w panice. Ken i Joe stali w błocie po kostki. Podeszła do nich i też zaczęła ciągnąć.

Brawa rozległy się bezpośrednio nad ich głowami.

Taki był powolny, ten upadek kamieni. Bezpośrednio nad ich głowami murek terasy przesunął się niechętnie zmuszony napierającym nań ciężarem, a potem ruina tego, co było, potoczyła się na szkołę i dom Sezen.

Nie wydadzą się z powrotem na Upper Street.

– Musimy iść tą drogą – powiedziała Mae.

Pobiegli, wszyscy. Mae świeciła latarką. Niektóre drzwi domów stały otworem, inne były zamknięte, ale w tej chwili było jej już wszystko jedno, kto zdołał się ocalić. Miała straszne uczucie, że ktoś wbija jej igły w sam środek uszu, to drżała ziemia i drżało

same powietrze, nie wydając jednak słyszalnego dźwięku. Wszystko działo się w środku jej głowy.

Rozległo się kolejne westchnienie, tym razem przed nimi. Góry stękały z ulgi, mogły wreszcie opróżnić pęcherze i kiszki. Jeszcze trzy domy i znajdują się na placyku.

Światło latarki oszukiwało, ukazując zaledwie drobne fragmenty Powodzi. Wioskowy placyk znikł. Dom rodziny Kosal zawalił się niemal w całości. Zachodni narożnik wprawdzie jeszcze stał, ale reszta rozsypała się w gruzy, wysepki na nowo powstałym jeziorze. Na jednej z nich stało krzesło. A dalej huczał już wodospad.

- Nie przejdziemy - orzekł pan Ken.
- Możemy spróbować po szczątkach - powiedział Joe.
- Tam dalej jest koryto rzeki. Znikniemy w nim i tyle.
- No to wracajmy - poprosiła stara pani Ken.
- Wasz dom zasypie - uświadomiła ją Mae.

Rozległ się przeraźliwy zgrzyt, jakby olbrzymie żarna miały same niebo, jakby góry były ziarnkami pieprzu. Światło księżyca i gwiazd ukazało, że górujący nad grupką ludzi most woda wysadziła z fundamentów. Uniósł się i drżąc, przesunął z prądem, a potem ześlizgnął po zboczu, w dół Upper Street, w lawinie ziemi i kamieni. Woda dosłownie eksplodowała ogromnymi, silnymi strumieniami. Wyrzucone w powietrze belki unosiły się w nim, wirując. W powietrze wleciała także płatanina korzeni, rozdarła się i runęła do wody - to upadło To Drzewo.

Most przesunął się w dół i zatrzymał, w pozycji pionowej. Tyle tylko, że teraz prowadził znikąd donikąd.

Kolejny trzask, tuż obok i nad grupą ludzi, to runął wreszcie dom rodziny Doh.

Jeden z jej mężczyzn szarpnął Mae. Który? Oni wszyscy wkroczyli w kurtynę rozpylonej wody. Woda biła ich po głowach. Próbowano znieść ich wprost na ruiny domu rodziny Kosal. Musieli wspinać się po pokruszonej skalnej ścianie. Ktoś idący nad Mae wyciągnął do niej rękę. Uniosła wzrok, spojrzała mu wprost w twarz. W twarz Joego: zmęczoną, smutną, przystojną. Ale nie powolnego, tępego Joego - była ożywiona, szczupła i

świadczyła o przytomności umysłu takiej, jakiej dawał dowody, gdy przewodził młodym mężczyznom. Wciągnął ją na górę bez wysiłku.

Najpierw wspięli się po Tym Drzewie. Deptali jego prastary dębowy pień, cały pokryty głębokimi bruzdami. Następnie przeszli przez stary most stojący jak gdyby nigdy nic. Tuż obok nich huczał wodospad. Czuć go było ziemią i mineralnym zapachem świeżo stopionego śniegu. Przepiękna rzeka, ogromna, zielona przepływała pod nimi i uchodziła w dolinę, która stała się morzem. Dom rodziny Tui górował nad jego powierzchnią, ale widać było tylko górne piętro. Poza nim całe południowe skrzydło wioski zostało zalane i znikło. Kizuldah wyglądało jak nadmorski kurort, wyglądało, jakby zawsze nim było, łącznie z kamiennym falochronem.

Lower Street ciągnęła się daleko na zachód. Przepływało nią zboczne góry. Poruszało się wszystko: głazy, krzaki, ziemia, wielka migracja. Ziemia wyglądała jak stado wołów idących do jeziora – wodopoju.

– Och! Och! – zaszlochała pani Ken. – Wszystko stracone.

Musieli zeskoczyć z mostu, z podwójnej wysokości dwóch mężczyzn wprost do szybko płynącej wody. Prąd uderzył Mae, wypierając jej oddech z płuc, odbierając siły. Jeden z jej mężczyzn zdołał ją uchwycić, ona chwyciła jego, oboje chwycili panią Ken i tego, kto się jej trzymał. Wspólnie wydostali się na drogę, koryto bystrej rzeki ze spienionymi wodospadami spadającymi z bruku. Bruk pod nogami wydawał się im stabilny.

Mieli przeżyć. Pobiegli pod górę, do Kwan.

Wing włączył generator. Podwórko było pełne ludzi i świateł. Przy bramie stał Haj, ich pielgrzym do Mekki. Na głowie miał śmieszny kapelusz z pyskiem pluszowego niedźwiadka. Być może chciał w ten sposób pocieszyć ludzi. W ręku trzymał listę.

– Chung Mae! – zawołał. Ludzie zaczęli się tłoczyć wokół nich. – Ho, ho, ho! Cały ród Chung... stara pani Ken i... – przerwał, wybałuszył oczy – ...pan Ken! – Odkasznął i mruknął: – Ładna rodzinka.

Pani Shenylar narzuciła koc na ramiona Mae.

– Pani Chung była pierwsza! – krzyknęła żona Mueraina do zebranych mieszkańców wioski. – Obudziła mojego męża!

Matka Sunni, stara pani al Gama, wzięła Mae za rękę. Sunni przytuliła ją mocno.

– Wszystko w porządku, kochanie? – spytała.

Mae natychmiast odwróciła się, spojrzała na Haja.

– Szanowny panie Haj, gdzie Sezen? Panna Ozdemir... czy już tu jest?

Haj uśmiechał się, ale jego oczy wyraźnie się zwężyły. I nie odpowiedział.

– Kwan ma gorące jedzenie dla wszystkich. – Sunni pociągnęła ją za ramię.

– Haj! To ty liczysz ludzi! Kto już tu jest? Kogo nie ma?

Haj spojrzał na nią aksamitnymi oczami, słodkimi jak u krowy. Wzruszył ramionami. Zamrugnął szybko.

– Tak wielu uratowano – powiedział, wpatrując się w listę.

– Gdzie Sezen?

Haj tylko westchnął. Wyciągnął tłusciutką rękę.

– Jeszcze do nas nie dotarła.

– Kto jeszcze?

– Rodziny Shen i Chu...

Mae wystarczyły te dwa nazwiska.

– Ludzie z południowego brzegu!

Haj pokręcił głową.

– Rodziny Mack i Pin są bezpieczne. – Westchnął. – Posłuchali cię.

Mae ze zdziwieniem stwierdziła, że płacze.

– Kto jeszcze?

Sunni zrezygnowała. Zaprzestała szarpania, przytuliła ją.

– A Han Kai-hui? Jej córka?

– Inszallah. – Haj znów pokręcił głową.

– Prawie wszyscy inni są w porządku – pocieszyła ją Sunni. – Zrobiłaś dosłownie wszystko.

Mae pozwoliła przeprowadzić się przez tłum. Rodzina Soong ocalała, jej członkowie siedzieli teraz w kącie podwórka mocno do siebie przytuleni. Grupa małych dzieci bawiła się jakimiś zabawkami. Pan i pani Okan podeszli do niej, obsypali ją podziękowaniami.

Sezen odeszła. Zginęła, ratując An. Zdrajczynię. Han An, ostatnia osoba na świecie, za którą Sezen skłonna byłaby oddać życie. Niewyobrażalne. Mae pomyślała o niej i jej podkładkach do pisania. Pamiętała twarz Kai-hui, gdy obie były młode, obie biedne. Łapały żółwie w trzcinach.

Gdzieś rozległ się dźwięk przypominający grzmot. Albo może fajerwerki. Trzask i huk. Zawalił się czyjś dom. Zgromadzeni jęknęli odruchowo. Teraz wokół Mae zgromadziła się część rodziny Doh. Ściskali jej dłoń, dziękowali. Czy ich dom nadal stał?

– Widzieliście pana i panią Ozdemir? – zdołała zapytać Mae.

Pan Doh zagapił się na nią, jakby była osobą o wiele ważniejszą od zwykłych dzierżawców.

– Niegrzeczna dziewczynka – powiedziała Mae i nogi nagle się pod nią ugięły.

Upadła na ziemię. Siao, Joe i Ken Kuei otaczali ją z trzech stron i tego też było dla niej za wiele. W jej mózgu rozbrzmiało bzyczenie. Ktoś inny używał jej ust.

Wszyscy odejdziemy, wszystkich nas zmyje tam, w ciemność i nikt nas nigdy nie znajdzie.



Sunni pomagała jej usiąść.

– Sezen jest pewnie gdzieś, odcięta – mówiła. – Przecież ją znasz. Jutro pojawi się tu na ryczącym motocyklu razem z tym swoim chłopakiem.

Faktycznie, to byłoby bardzo do niej podobne. Mae próbowała się nawet uśmiechnąć. Joe i Ken wspólnie pomogli jej wstać. Nie miała czucia w łydkach.

Jakoś, nie wiadomo jak, znalazła się na kamiennych schodach. Pomagano jej zejść do kuchni Kwan. Wydawało się jej, że otaczające ich dźwięki Powodzi idą powoli spać. Ciii... ciii... – powtarzała woda – najgorsze już się stało. Z naciętej rany już wylewa się ropa. Ciii... malcy, śpijcie, śpijcie.

W kuchni trwała gorączkowa działalność, kobiety trudziły się w pomarańczowym świetle jednej żarówki, przy gorących piecach.

Na szyję Mae rzuciło się coś twardego i kościstego. Odbiło się jej jadowymi sokami, czuła tylko łokcie. Kwan kurczowo się do niej tuliła, a potem cofnęła się, spojrzała na nią, skóra na jej policzkach obwisła.

Mae nie czuła nic. Kim jest ta osoba?

Kwan wzięła ją za rękę, podprowadziła do stołu. Pani Pin skoczyła jak podcięta ostrogą. Niesamowicie, cudownie szybko przed nią na stole pojawiły się wiejski chleb i miska. Wing i pan Atakooloo oderwali wzrok od swoich talerzy. Obaj ukłonili się, głęboko, w milczeniu. Pani Pin napełniła miskę zupą. Mae zacisnęła palce na łyżce, lecz jej łyżka okazała się zbyt ciężka. Nie mogła jej podnieść.

Wybuchła płaczem. Siedziała nieruchomo, bez nadziei. Kwan natychmiast pojawiła się obok niej. Mae odepchnęła ją gniewnie.

– Próbowałam wam powiedzieć! – krzyknęła. – Ale nikt mi nie wierzył. Nikt nic nie zrobił.

W kuchni zaległa pełna zażenowania cisza. Z zewnątrz dobiegał dźwięk płynącej szybko wody.

Kwan, Wing, Sunni, młoda panna Doh – oni wszyscy patrzyli na nią wielkimi, okrągłymi oczami, w których była tylko bezradność. Na co czekali? Powinna teraz powiedzieć „wybaczam”?

– To wszystko, co mam do powiedzenia – zakończyła. Oderwała

kawałek świeżo namoczonego wiejskiego chleba.

Jedyną osobą, o którą się w tej chwili martwiła, była Sezen. Nie obchodzili jej ani Joe, ani Ken, ani Ju-mei, ani Kwan, żadne z nich. To nagłe odkrycie wydało się jej dziwne. Historia ich wszystkich... nie, to by jej nie poruszyło. Tylko życie Sezen miało jakieś znaczenie. Życie Sezen kochającej Tlen.

– Gdzie pani Ozdemir? – spytała gniewnie, dobitnie wymawiając słowa. – O to pytam wszystkich, których mogę spytać. Matka Sezen. A może nie jest wystarczająco ważna, by wpuścić ją do kuchni?

Kwan spojrzała na nią pytająco.

– Jest gdzieś na podwórku.

Mae wstała bez słowa i wyszła.

– Mae?! – krzyknął ktoś za nią.

Przyśpieszyła kroku. Pobiegła. Uciekała przed nimi. Zostawcie mnie w spokoju! Słyszała dźwięk stóp na mokrym kamieniu, jakby Powódź nadal ją ścigała. Powódź nigdy nie odchodzi. Powódź napiera... napiera i zmywa wszystko.

Zebrana w sobie jak zaciśnięta pięść Mae przedzierała się przez tłum ludzi zbyt zajętych własnymi stratami, by zwrócić na nią uwagę. Niebo srebrzało. Z dachu stodoły Kwan dobiegło pianie koguta.

Hatijah siedziała w kącie stodoły skulona w ciemności. Zakryła głowę, kołysała się lekko w przód i w tył. Śpiewała coś słabym głosem, tylko dla siebie.

– Szanowna pani Ozdemir? Hatijah? – Mae pogładziła ją lekko po ramieniu.

Rodzinną koza, wyswobodzona z objęć, grzebała w sianie. Edrem siedział obrócony plecami do wszystkiego.

– Hatijah, nie trać nadziei. Powiedzmy, że uratowała tych wszystkich zaginionych i wyprowadziła ich wysoko w góry? Jakąż będzie bohaterką! Pomyśl, jaką będzie radością, gdy wreszcie do nas wróci. Hatijah?

Kobieta nadal śpiewała, cienko, żałośnie – lament bez słów. Nie mrugała, oczy miała suche, nie zwracała uwagi na dziecko trzymane w objęciach. Mae szarpała swą czerwoną chustę,

myśląc o pchłach, o podupadłym gospodarstwie i o tym, jak walczyła Sezen. Walczyła ze wszystkim. I wygrała. Wygrała bez żadnych wątpliwości.

– Hatijah, może chcesz porozmawiać?

Śpiewała nadal, bezdźwięcznie. Kołysała się w przód i w tył. Starsza córka też szarpała chustę, nachmurzona, ignorowana. Jej beużyteczny mąż odwrócił się beużytecznymi plecami.

– Możesz mówić?

Milczenie. Tylko Edrem miał coś do powiedzenia.

– Udało się nam uratować kozę – warknął. Zasłaniał oczy dłońmi, a jego szloch był jak skrzywienie starego skózanego krzesła.

Urodzeni w biedzie umrą w biedzie. Urodzeni po szyję w gównie umrą po szyję w gównie, bez nadziei. Och, żyją z nadzieją, o tak, a potem widzą tę nadzieję zniszczoną, wdeptaną w ziemię. Co w zamian? Ochota, by poderżnąć szyję biednemu zwierzęciu tylko dlatego, że żyje, a twoja córka nie?

Harować z przygiętym grzbietem, zwilżać ziemię łzami, dawać się torturować słońcu... po co? By czasami usłyszeć śpiew skowronka? Raz na rok, nie częściej? Mieć, czasem, pełny żołądek, a zawsze pusty? Miłość? Kiedy to przez miłość cierpisz, gdy coś, zniszczone, ginie na zawsze?

Edrem rozpląkał się – męski szloch, wielki, łamiący serce, beznadziejny i beużyteczny. Jego chude, przygarbione ciało, jego szerokie, płaskie ramiona napięły się i drżały. Mae przytuliła także i jego. Poczowała zapach potu, starych skór, dymu, chleba i jogurtu. Jednakże tak jak dla jego żony, dla niego ten uścisk nie znaczył już nic.

Mae też nic dla niego nie znaczyła.

Zatem wyprostowała się i odeszła. Spojrzała w jaśniejące niebo. Ciągłe widoczne na nim gwiazdy były takie doskonałe, takie białe, takie zimne. Oddech Smoka pozostał mocny i gorący. Ludzie nadal stali w milczących kręgach, nadal stopami kopali ziemię. Haj stał na posterunku, opowiadał Dawn i jej przyjaciółkom jakąś historię, ale nadal patrzył, patrzył na wschodzące słońce, wypatrywał tych, którzy mogli nadejść drogą.

Kogut zapiał: „Praca, praca, czas zacząć pracę”.

Mae wspięła się na schody przyjaciółki. Schody te należały nie tylko do niej, lecz także do tysiącletniej rodziny. Mae miała wrażenie, że jej nogi to worki mokrej ziemi. Ogień płonął jej w brzuchu. Kwan siedziała wyczerpana na krześle w pokoju reprezentacyjnym, z dłonią wplątaną we włosy. Nawet jej nie zauważyła.

Mae szła jeszcze wyżej.

Za sobą usłyszała kroki.

Na półpiętrze przystanąła. Odwróciła się. Z dołu przyglądało się jej trzech mężczyzn. Udało się jej zidentyfikować grupę. Joe i pan Ken stali z przodu, Siao za ich plecami. I to jego oczy przemawiały najdobitniej. Były pełne jej.

Piękni mężczyźni, tak bardzo do siebie podobni.

Bezużyteczni. Bezużyteczni mimo pięknych piwnych oczu, wielkich męskich rąk, szczupłych nóg.

– Mae – odezwał się jeden z nich. – Rozmawialiśmy, ja i Joe...

– O pogodzie? – przerwała mu Mae, uśmiechając się krzywo. – Bo teraz wszyscy rozmawiają o pogodzie.

– Postanowiliśmy, że nie będziemy walczyli – oznajmił Joe. – Spodziewasz się dziecka?

– Dziecko spodziewa się mnie. – Mae musiała usiąść na schodach.

Joe zrobił krok w jej stronę. Znowu wydał się jej piękny. Być może stajesz się piękny dopiero wtedy, kiedy jesteś naprawdę potrzebny. Może jest gdzieś w tobie to miejsce, w którym zawsze jesteś piękny. Może gdybyś urodził się bogaty...

– To ja wyjechałem. I znowu wyjadę. – Joe pochylił się, pocałował żonę. Ujął jej twarz w dłonie. – Moja mała Mae.

Jego przygarbione ramiona mówiły: „Nie potrzebujesz idioty takiego jak ja. Wszystko popsułem. Straciłem ojcowiznę. Chcę przemierzać świat... ze wstydem”.

– Nie czuj się bezużyteczny – poprosiła go Mae. – Wszyscy jesteśmy bezużyteczni. My możemy tylko robić swoje i mieć nadzieję.

– Lung ma mnie za głupca. Tu jestem duchem.

Młodziutki chłopak odkrył nagle zmarszczki na swej twarzy. Kto chce pięćdziesięcioletniego wioskowego bohatera? Co mógłby robić? Nic. Zostać dzierżawcą.

– Mogę ci kupić trochę ziemi – powiedziała Mae.

– Nienawidzę gospodarowania. – Jej mąż uśmiechnął się. – Natomiast zawsze chciałem prowadzić ciężarówkę.

– To tak jak ja – przypomniał sobie pan Ken.

Owszem, pomyślała Mae. Ale ty z tego wyrosteś.

A więc... nadal kocham męża. I zamierzam pozwolić mu odejść.

Wstała. Wszystko zrobiło się raptem jasne i czyste, jakby wyprane falą Powodzi. Spojrzała na starego, odchodzącego od niej męża, na wiernego, prostego pana Kena, który dał jej dziecko w ostatniej chwili, i wreszcie na Siao, który był mądry.

– Mam zamiar żyć z Siao – oznajmiła. – Bardzo was wszystkich przepraszam.

Nawet nie spojrzała na pana Kena. Poszła po schodach. Wspomniała swój pierwszy dzień w szkole, starszych chłopców grających w piłkę. Kapitan jednej z drużyn przerwał mecz, rozpoczął bójkę. „To nie w porządku!” – krzyczał. Mniejszy, w jej wieku, podszedł i stanął obok. Było to pierwsze dziecko, które przemówiło do niej w szkole.

– To mój brat – powiedział Siao dumnie, choć cicho i zaraz spytał: – Masz zamiar tu mieszkać?

– Póki nie dorosnę – odparła.

Teraz Mae weszła na swój stary, zimny strych. Naprzeciw okna stała maszyna. Mae wyjrzała na podwórze. Niebo nad zrujnowanymi dachami i misą gór było już raczej szaroniebieskie niż srebrne. Gdzieś dalej, w dolinie, w przyszłości, jasno świeciło słońce, ale Kizuldah nadal leżało w cieniu. Kogut piał raz za razem, wyczuł wreszcie, że stało się coś bardzo złego.

– Chung Mae. Włącz. Audio, wideo, bez kolejkowania, wyślij w czasie rzeczywistym, zachowaj dla Bugs w Nouvelles. Także dla Bedri w Meteo.

Trzask. Brzęczenie. Małe widzące odłączane oko. Mae wzięła je w palce.

– Witaj, Bedri, witaj, Bugsy, tu Chung Mae. Mieliśmy nagłą

powódź. To nasza wioska teraz, o siódmej piętnaście rano.

Misa nadal pogrążonych w półmroku gór nie miała już swego regularnego kształtu. Na zboczach widać było białe głązy układające się na kształt klinów. Spoczywały w błocie pod zwariowanymi kątami, jak jajka. Ceniona jak złoto, nawożona ziemia uciekła, zmarnowała się, staczając się w dół.

– Dla was nie wygląda to zapewne inaczej – mówiła dalej Mae – ale wczoraj wszystko, co widzicie, pokryte było śniegiem. Śnieg był wysoko w górach, a dziś, kiedy spojrzeć na nie przez dolinę, nie widzi się go ani odrobiny. Po raz pierwszy w życiu jestem świadkiem takiego zjawiska.

Mae przerwała. Przełknęła. Przesunęła wzrokiem po dwóch równoległych ulicach Kizuldał.

– Dla was to bez różnicy, ale woda przeniosła nasz kamienny most z Upper Street na Lower Street. Pamiętam...

Musiała znów przerwać, znów przełknąć. Czuła, jak jej oczy rosna, jak wypełniają się czymś bardzo gorącym. Ale „w czasie rzeczywistym” oznaczało przecież, że nie może sobie pozwolić na pomyłki.

– ...pamiętam te czasy, kiedy przyjechali do nas Chińczycy, ochotnicy chcący zbudować ten most. Przywieźli ze sobą kielnie i cement, bo my w Kizuldał ich nie mieliśmy. Byliśmy zbyt biedni.

Jej głos był mocno wytarty, jak dywan. Skręcał tu i tam niczym zerwana nić wzoru. Mae przełknęła i mówiła dalej:

– Kochaliśmy Chińczyków, bo ostrzeżono ich, żeby nie okazywali nam wyższości, żeby włączyli się w nasze życie, a oni to właśnie zrobili. Ciężko pracowali. Zostawili po sobie most. Ci z nas, którzy są Chińczykami, myśleli o nich za każdym razem, kiedy przechodzili na drugą stronę rzeki. Potężni przystojni mężczyźni, szczęśliwe kobiety. Mieszkali w naszych domach, chwalili nasze jedzenie. Jak podziwialiśmy ich samych i ich most! A widzieliście dom obok mostu? Och!

Mae znów przerwała. Odsunęła od siebie łzy i smutek. Musiała mówić dalej.

– To był dom pana i pani Kosalów, ale także dom na placu. Spędzaliśmy życie, siedząc tam, na ławkach. Starzy mężczyźni

grali w domino, nasz Haj opowiadał o swoich wędrówkach, a stara pani Kosal, która już nie żyje, wychodziła czasami i rozdawała dzieciom cukierki. Na placu obchodziliśmy dożynki. Znosiliśmy jutowe worki ryżu, rozpalaliśmy ogniska, piekliśmy na nich coś do jedzenia. Rok w rok rozkładaliśmy maty, najmowaliśmy zespół i wszyscy: stare kobiety, chłopcy, dziewczęta, tańczyliśmy i jedliśmy do syta słodkie pieczone ziemniaki i tegoroczny ryż. Siedzieliśmy pod drzewem. Nazywaliśmy je po prostu Tym Drzewem. Zasadzono je bardzo dawno temu, wyrosło ogromne, było przyjacielem, traktowaliśmy je tak, jakby to nasi ojcowie zapuścili tu korzenie. Je też zmyła Powódź. Była na nim huśtawka. Wszystkie nasze dzieci, z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych... wszyscy się na niej huściliśmy. Wzlatywaliśmy tak wysoko! Tak groźnie wysoko. Myślę, że niektórzy z nas wyrzucali w powietrze dusze. I te dusze bawiących się dzieci nadal tam są.

Mae przetarła zapłakane oczy.

- Rzeka... tam trzymaliśmy kaczki i gęsi. Być może niektóre przeżyły. A ten dom, który zawalił się w poprzek Upper Street, należał do moich przyjaciół, do rodziny Doh, a oni mieszkali w nim tysiąc lat. Byli chińskimi wojownikami. Osiedlili się w wiosce, postawili dom starszy od Tego Drzewa. A tuż nad nim, to był nasz nowy meczet. Jego Muerain śpiewał co rano, a wczesnymi rankami był tak niezwykle uprzejmy, że śpiewał cicho, niskim głosem, smutnie. Jakby żał mu było nas budzić, jakby chciał dać nam spokojnie spać, jakby było mu nas żal, że budzimy się z pustymi brzuchami, w chłodzie lub w palącym słońcu. My wszyscy zbudowaliśmy meczet. Wszyscy za niego płaciliśmy, nawet ci z nas, którzy nie są muzułmanami, wszystkie dzieci przybiegały pomóc wbijać gwoździe, a psy szczekały jak wtedy, kiedy ciężarówki przyjeżdżają po plony.

Mae załamała się. Nie była w stanie skończyć. Jej twarz nie należała do niej. Była jak pranie, które widziała w rękach starej pani Tung, wyżęte do sucha.

Wytrzeła oczy i policzki. Przełknęła. Miała coś jeszcze do

powiedzenia.

– A to dach meczetu wbity w to, co pozostało z domu pana i pani Ali. To bardzo miłe starsze małżeństwo należące do naszej Partii Postępu. A to dom rodziny Okan, starej jak te góry. Jestem taka szczęśliwa, bo ich dom ocalał, stoi nienaruszony, a wraz z nim ocalały też okrągłe dywaniki, które pani Okan tkąta nocami, przy świecach, swymi starymi dłońmi – one też ocalały. Możemy je uprać. Możemy je uprać i rozłożyć na podłodze jej domu, i wtedy wszystko będzie, jak było. Obok zaś... obok...

Mae zaczerpnęła powietrza. Jej głos stał się bardzo ponury.

– Obok stoi dom mojej drogiej przyjaciółki, pani Ozdemir. Nie możecie go widzieć, ale ja mogę. Widzę go, jakby nadal stał i jakby w środku rysowała przy stole dziewczyna imieniem Sezen. Rysowała i złościła się na matkę za to, że jest smutna i przestraszona. Jakby w środku nadal pełno było kaczanów kukurydzy, których rodzina używała zamiast mebli, bo była za biedna, żeby pozwolić sobie na coś więcej oprócz pięknych nagich dzieci i słów Koranu wypisanych kredkami na ścianach. Ja widzę to nadal, ale ta dziewczyna zginęła, a rodzina straciła dach nad głową. Pani Ozdemir ma złamane serce, a od serca i głowę, tylko siedzi, kołysze się i płacze. A tu jest mój dom. Mój na wiele sposobów, bo jest to dom mojego męża, w którym urodziłam trójkę dzieci. Cała jego jedna ściana została zniszczona przez Powódź. Widzę środek, tak doskonale mi znajomy, nawet zalany słońcem. Widzę moje łóżko i kuchnię. Wydaje mi się, że widzę nawet swój własny telewizor, stojący w ocalałej części strychu, suszący się na słońcu. Stodołę wypełnia jednak błoto, obawiam się więc, że moja cudowna maszyna tkacka jest stracona. A teraz... popatrzcie, jakie piękne jest to nowe morze. Patrzcie, jak jego wody lśnią. Jest takie pełne nadziei, patrzcie, ma nawet swoje mewy, któż mógłby znienawidzić piękne morze? Nawet jeśli pokryło domy – domy, w których bawiłaś się jako dziecko – i nawet, jeśli w środku pozostali uwięzieni przyjaciele z ustami wypełnionymi błotem. Nawet krajobrazy umierają. I rodzą się nowe krajobrazy. Wschodzi słońce. Widzicie je? Wychyla się zza gór. Terasy... teras też już nie ma. Każdej wiosny, po żniwach,



szliśmy w góry: mężczyźni, kobiety i dzieci, z dźwigniami, kołkami i blokami, i wszyscy, nawet ci, którzy się nienawidzili, razem, zgodnie, wciągaliśmy kamienie i wbijaliśmy kołki. Reperowaliśmy terasy. Żeby utrzymały ziemię. Ziemia? Co było w tej ziemi? Nasza krew, nasz pot, nasze odchody, dzieci tych z nas, które poroniły, wszystko, co mogło ją wzbogacić i utrzymać, bogatą. To, co widzicie rozlane, nie, to nie jest błoto. To nasza krew. Nasza krew od dwóch tysięcy lat, to dlatego jest taka czerwona. I dlatego ciągle mam wrażenie, że słyszę jej krzyk. Bo jej już nie ma i nie będzie. Jak pięknego dziecka, które samo naraziło się na niebezpieczeństwo. Powódź wymyła ją, zaniosiła w głąb doliny, a z nią także tak wiele tego, kim jesteśmy.

Narożnik pokoju był ciemny. Mae chwiała się, przeżerał ją ciągły płomień palący się w jej trzewiach. Wysoko na zboczu stała szkoła, zalana błotem.

Widziała jej otwarte drzwi.

A nieco niżej, potykający się właśnie w ruinach domu rodziny Doh, szli ludzie.

– To Shen! – krzyknęła. – Och, ci ludzie, ci, których widzicie idących, no przecież... przecież to nasz nauczyciel, pan Shen! Byliśmy pewni, że nie żyje, że musiał zginąć, popatrzcie tylko na ruinę szkoły, ale – nie do wiary – idzie! Och, powiedzcie Hajowi, powiedzcie naszemu pielgrzymowi, że ktoś jeszcze przeżył, i kochana Suloi przeżyła! Ona też żyje, piękna Suloi wraz z córkami.

Shen włókł się, zataczał, trząsł się cały, drżały mu ręce i nogi, ale głowę niósł wysoko, głupio wysoko, z idiotyczną dumą, jakby rzeczywistość udowodniła, że to on ma rację, jakby udało mu się pokonać historię.

Najmłodsze dziecko, za młode, żeby zrozumieć, mogło się tylko dziwić, miało otwarte usta. W jasnym blasku słońca wyciągnęło ręce na boki, zawirowało.

– Ona tańczy – szepnęła Mae. – Córka tańczy..

Odwróciła się, by powiedzieć komuś, że Shen ocalał. Odwróciła się i zobaczyła, że stłoczeni nieruchomo, na progu stoją Kwan i Wing, i Sunni, i Kuei, i Joe, i pan Pin, i pan Ali i wielu innych, a

jeszcze inni ludzie przyglądają się scenie zza ich pleców.

W pokoju robiło się coraz ciemniej. Mae słyszała dobiegające z podwórka odgłosy dziecięcych zabaw. Słyszała Mueraina, rok po roku, święto plonów i zimową zabawę, i wiosenne nasadzenia, przy których zawsze śpiewano, i nocne poszczekiwanie utopionych psów.

I wówczas to wkroczyło do pokoju. Mae widziała je wcześniej, ciemna całość, nieco podobna do psa, w pewnym sensie tego słowa nawet lojalna, cierpliwa, wyczekująca. Tylko że oznaczała kres wszystkiego, co знаła ona i co kochała.

Czarny pies usiadł w kącie. Oblizywał się raz za razem.

Mae usiadła na łóżku. Upuściła kamerę. Kwan podeszła, podniosła ją z podłogi.

– Drogę zmyło w całości – powiedziała do maszyny. – Jesteśmy odcięci, mamy ograniczone zapasy żywności.

– Zaczekajcie! Słuchajcie! – powiedział przystojny mężczyzna, którego Mae kiedyś znała. Dobiegł ją dźwięk przypominający trzaskanie suszących się czystych prześcieradeł na wietrze. – To helikopter! – Przystojny mężczyzna zakręcił się w kółko z radości. – Już wysłali helikopter!

– Mae, czy nocą nadawałaś jakieś wiadomości?

Mae beknęła. Nie czuła się dobrze.

Pan Ali podszedł do niej, trzymając kapelusz w dłoni. Za nim szedł pan Atakoloo i nawet pan Masud.

– A więc – powiedział pan Ali – teraz będziesz musiała nauczyć nas wszystkich. Nauczyć nas, jak tego używać.

– Bo wszystkim nam potrzeba jest ta wiedza. – Pan Atakoloo próbował się uśmiechnąć.

Ale świat powoli ogarniała ciemność. Świat się zamykał. I tańczył ktoś jeszcze.

Stara pani Tung wygrała.

Postęp przeszedł w ręce zwyczajowych przywódców społeczności: pana Wing i jego żony, Mueraina i pana Atakoloo. To oni zajęli się odbudową. Jako kowal pan Atakoloo nalegał na stworzenie schronień z prefabrykowanego metalu. Pan Wing wiedział, że najlepszy jest kamień. Kamień trzyma ciepło.

– Ale buduje się z niego za długo! – protestował pan Atakoloo, gestykulując zamasyżście i szarpiąc swe imponujące siwe wąsy.

– Owszem, gdybyśmy mieli do pracy dwie albo trzy osoby. Ale mamy setkę mężczyzn niemających nic do roboty.

– Phi! Większość z nich nic nie umie! – Pan Atakoloo zgarnął okruchy wiejskiego chleba na dłoń.

Okazało się w końcu, że muszą budować i z kamienia, i z metalu. Powróciły chłody. Do zburzonych domów, jak dom Mae czy rodziny Doh, przy tych ścianach, które jakoś się trzymały, dobudowano schronienia. Do nich kamienie ze zniesionych przez Powódź teras i zburzonych budynków okazały się wygodniejsze od równo przyciętych arkuszy aluminium. Transportowali je i mężczyźni, i kobiety, na taczkach lub w chronionych rękawiczkami dłoniach. Z aluminium robiono dachy. Wylewano na nie cement, by metal nie wypromieniowywał całego ciepła ognia.

Ubezpieczenia pana Wanga wykupiło piętnaście rodzin. Ju-mei, którego miejskie ubranie zabrała Powódź, osobiście wręczył im należne odszkodowania. Zwitki banknotów zastąpiły domy, pola i stada. Ludzie gapili się na niego zdumieni.

I stało się tak, że komputer Mae uznano także za dostarczyciela pieniędzy. Mieszkańcy wioski byli spokrewnieni między sobą i solidarni. Zademonstrowali tę solidarność, dzieląc się otrzymanymi z ubezpieczenia pieniędzmi. Wioska miała pieniądze na odbudowę.

Telewizor przyniósł także inne korzyści. Na przykład informację, że Biuro Dyscypliny i Edukacji przywróciło pana Shena na stanowisko nauczyciela. W e-mailu życiono mu owocnej współpracy z panią Chung. Biuro najwyraźniej nie miało pojęcia, że wioska padła ofiarą Powodzi.

Na razie kilka rodzin mieszkało w jednym domu. Rodziny Kemal i Ozdemir znalazły gościnę u Ju-mei. Pan Wing przyjął całe plemię Pin. Ali dach nad głową zawdzięczali panu Haseemowi – dom jego i Sunni częściowo ocalał.

Faysal Haseem obudził się w dzień po Nowym Roku, późno, by stwierdzić, że większości jego domu już nie ma. Powiedział, że obraz ten bardzo pasował do jego samopoczucia: czaszka roztrzaskana i wyczyszczona od środka do zera. Garaż, biała furgonetka, narzędzia... to wszystko znikło. Najpierw pomyślał, że został okradziony. Pomyślał też, że pewnie Chung Mae zwariowała do końca i wjechała mu traktorem w dom. Było jednak w tym zdarzeniu coś zabawnego: przespać klęskę żywiołową i obudzić się ze strasznym kacem. Po prostu musiał się śmiać. Opowiadał tę historię ciągle od nowa, ale kiedy wybuchał śmiechem, nie patrzył na żonę, a Sunni siedziała z wzrokiem utkwionym w dłoniach.

Jedzenie rzucano im z powietrza: worki mąki lub ryżu, za które płacono pieniędzmi z darowizn, przede wszystkim Srok Nouvelles. W chłodne, pogodnie dni we wsi słychać było dobiegający z doliny hałas maszyn. Naprawiały prowadzącą do wioski drogę.

Kwan podziękowała Bugsy i światu. Poczta głosową ciągle otrzymywała prośby o odtworzenie ostatniego narrowcastingu Mae. Kierowała je do Nouvelles. Brakowało jej sił na wysłuchanie go choćby jeden raz więcej. Często przystawała przy tym samym oknie i patrzyła przez nie, jak odbudowuje się wioska. Myślała o Mae.

Wiatr wydawał teraz inny dźwięk, Kwan była pewna, że to nie jest dzieło jej wyobraźni. Niektóre duchy wiatru opuściły ich, przepędził je wichur – najeźdźca. Część z nich nigdy nie wróci. Wiatr już zawsze będzie śpiewał inaczej. W każdym razie tak

powiedziałyby jej matka. Istnieją cztery główne duchy: Ziemia, Powietrze, Woda i Ogień. Istnieje czas zmian, kiedy zachwiana zostaje ich wzajemna równowaga. Eloi pogardzali Chińczykami za ich nędzny podział na przeciwstawne ying i yang. U nich istniało wiele poziomów walki i syntezy.

Ziemia jest kobieca, twarda, żywiąca, ciemna i płodna jak kobiece łono. To najniższy poziom.

Woda jest siłą czasu niosącego w sobie wszystko. Pływie, sprawiając, że Ziemia się kręci, a Powietrze wiruje. Jest siłą napędową świata. Oznacza zmianę.

Powietrze jest duchem wysoko w niebie. Między Ziemią i Powietrzem jest Ogień.

Ogień to ludzie. Ogień to ich pożądanie, to siła popychająca ich do działania. Ogień i Woda są zmianą, Powietrze i Ziemia są kontynuacją. Och, pani Kowoloia nie miałyby żadnego problemu z wytłumaczeniem im, co się stało. Powietrze chciało zawłaszczyć sobie miejsce czasu i pożądania. Świat duchów zszedł na ziemię, duchy przyjęły formę upiorów, a demon ognia, Erjdha, tchnął oddechem na góry.

Stara pani Kowoloia bez problemu rozpoznałaby także, kim jest Chung Mae.

Są tacy ludzie, którzy dźwigają ciężar świata. Nie jest to ich wina. Nie ponoszą za nic odpowiedzialności. Powietrze, Ogień, Ziemia i Woda kotłują się w nich tak, jak kotłują się w świecie. Dokonują niezwykłych czynów i należy ich unikać, bo są jak wielkie wiry. Należy ich także obserwować, to bowiem, co dzieje się z nimi, dzieje się też ze światem.

Tacy ludzie stają się wyroczniami, które czyta się jak płatki krwawnika.

Tak więc Kwan zagłębiła się w czytaniu znaczenia proroctwa wyroczni. To, co od niej usłyszała, było proste i zrozumiałe. Mae od samego początku mówiła tylko to. Ich stary, ukochany świat umarł. Należało go opłakać, to było właściwe, ale opierać się zmianom nie należało. Woda, wzburzona przez powietrze, zmieniła bieg. Woda to czas. Czas ruszył naprzód, bardzo szybko. Musieli za nim nadążyć.

A stara pani Kowoloia, tak dawno spalona na stosie, część świata duchów, powiedziałyby także i to: „Nie martwcie się o przyjaciółkę. Woda w Mae zareagowała na uzurpację ognia”. Woda poniosła ją w swym biegu.

Mae żyje w przyszłości.

Snując te myśli i przyglądając się pogrążonej w mroku wiosce, Kwan pozwoliła popłynąć z oczu gorącym łzom. Jej matka powiedziałyby córce: „Płacz. Łzy dobrze robią ludziom pogrążonym w żalu. Łzy to czas. Łzy bezpiecznie przeprowadzają przez żałobę”.

Dlaczego to działa, matko? Jest przecież takie stare. Dlaczego działa. Skoro mówisz, że jest martwe. Dlaczego pomaga mi zrozumieć?

Kwan chciała mieć syna współczesnego i otwartego na naukę. Eloi muszą być tacy, by przeżyć na tym świecie i móc walczyć z Karzami, jeśli czas walki powróci. Ale syn nie znał już mądrości swego ludu. W swoim czasie odejdzie, jak syn Mae. I wróci jako obcy człowiek.

Słuchaj wyroczni, one żyją w przyszłości.

Kwan otarła oczy. Zeszła do pokoju reprezentacyjnego nadal zatłoczonego ludźmi. Jej syn miał na imię Luk. Potężny, łagodny i spokojny, był raczej członkiem grupy niż jej przywódcą. Czy nadszedł już właściwy czas? Spojrzała mu w twarz. Była to twarz uniwersytecka, nie wojskowa. Być może nie zostanie żołnierzem, lecz czymś gorszym od żołnierza. Znacznie gorszym.

Widzisz wodę? Widzisz łzy? Widzisz świeczkę płonącą w naszej małej łódce życzeń? Moja córko, on odpływa, to jego ostatnia wiosna w Kizuldah.

Kwan zmusiła się do uśmiechu, zebrała kamienne kubki, a z przyjaciółmi rozmawiała cicho, nie chcąc przeszkadzać tym, którzy oglądali program o rozwijaniu maty. Wśród nich z radością dostrzegła Suloi. Suloi zrozumie. Czworo oczu dwóch Eloi wymieniło spojrzenia.

– Pamiętasz Mae? – spytała Kwan. – Przez cały czas mówiła o swojej macie.

Suloi skinęła głową, raz, głęboko, bardzo poważnie. Pamiętam.

Mae była naszą wyrocznią.

Następnie Kwan podeszła do syna.

– Luk? – poprosiła. – Luk, czy kiedy to się skończy, moglibyśmy pójść na spacer?

Jej syn spojrzął na przyjaciół, dwóch braci Pin. Obaj mieli wystające zęby i byli bardzo uprzejmi. Należało się tylko cieszyć, że wybrał sobie takich przyjaciół. Kwan nie miała zwyczaju pytać, więc, zdziwiony, upewniwszy się, że bracia Pin nie protestują, jej syn powiedział:

– Mogę iść nawet teraz, jeśli chcesz.

Być może rozwijanie maty po prostu go nudziło.

Kwan uważała, by ani słowem nie mówić mu o tym, jak powinien się ubrać, nie chciał słyszeć upomnień, że może mu być za zimno. Wkładając buty, obiecała sobie, że nie ujawni obaw. Nie wspomni o studiach, o wydatkach, nie poprosi, by często pisał. I tak nie dokona przecież niczego mogącego zasypać przepaść, jaka rozdzieli ich zaraz po rozstaniu. Musi nauczyć się latać o własnych siłach, a ona mu w tym nie pomoże.

Musimy rozmawiać, jakbyśmy byli sobie równi, postanowiła.

Wyszli więc razem, ale Luk najpierw włożył kożuszek, szalik i rękawiczki. Ubrał się niemal zbyt starannie. Kwan pomyślała nawet: a gdzie w nim młodzieńcza arogancja? Czy nie jest zbyt cichy, nawet zbyt tępy?

Nie masz się o co martwić, Kwan.

Szli przez podwórko.

– Co myślisz o Chung Mae? – spytała syna Kwan.

Zaskoczyła go tym pytaniem. Jeśli obawiał się matczynych pouczeń, to mógł już przestać się martwić.

– Nie wiem, co o niej myśleć – odparł szczerze. – Jest twoją dobrą przyjaciółką. Przykro mi, że źle się czuje.

– To tak jak ja, oczywiście. Ale chodzi mi raczej o to, za kogo ją uważasz.

Luk spojrzął na nią przez ramię, nieufnie. Czyżby miało to być podchwytliwe pytanie? Dorośli zadają pytania, na które znają odpowiedzi.

Kwan nie zamierzała bawić się w słowne gierki.

– Eloi we mnie uważa ją za coś bardzo tajemniczego. – Z zaskoczeniem stwierdziła, że uśmiecha się przy tych słowach, unosi brwi, zupełnie jakby uważała je za żartobliwe.

Oboje przystanęli na podwórku, w plamie światła. Luk skrzywił twarz w szerokim uśmiechu. Zrozumiał.

– Jest trochę niesamowita – przyznał.

– Twoja babka nazwałaby ją „oiya”. Co oznacza „niezrównowazona”. Fragmenty jej samej nie uzupełniają się nawzajem.

– Wielu ludzi nazywało ją niezrównowazoną – zauważył Luk – a jednak okazało się, że ma rację.

Kwan wyszła z podwórka na ulicę. Szła w górę, poza granice wioski. Było tak zimno, że same gwiazdy wydawały się zrobione z lodu, jakby to jej oddech, zamieniony w biały obłok, niczym wieniec wlatywał w niebo, by w nim zamarznąć. Gwiazdy i oddech, pomyślała, to za wiele. Nie da się wtłoczyć całego świata Eloi w jedną osobę, w jednej chwili.

– Eloi mówią, że gwiazdy to zestalone miejsca w powietrzu, na których odpoczywają duchy – powiedziała. – Są jak zamarznięte powietrze.

– Tak naprawdę są ogniem – zauważył Luk.

– Zdarza ci się myśleć o Eloi?

Usłyszała szelest kozucha. Luk wzruszył ramionami.

– Tylko że jestem półkrwi Eloi. Moje pierwsze imię pochodzi z ich języka... tak sędzę. Ale nie ma to chyba żadnego wpływu na moje życie. Ludzie traktują mnie normalnie.

– Nie doświadczasz nagłej ochoty, by pójść wysoko w góry, paść owce?

Uśmiech.

– Nie. I nie doświadczam nagłej ochoty wytatuowania sobie nóg.

– Powinieneś spróbować. Wyglądają przepięknie.

– Może? Ale chyba jednak są za bardzo włochate. – Żartował, ale też mówił prawdę. Nogi miał chińskie.

– No i w wojsku nie pozwalają na tatuaże.

Syn westchnął.

– To może być dobry powód, żeby jakiś jednak sobie zrobić. No



dobrze, opowiedz mi o Eloi.

Powietrze było doskonale nieruchome.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Nie aż tak, jak ty chcesz powiedzieć. Ale niewiele wiem.

Dobrze, powiedziały gwiazdy.

– W porządku. Będę mówić, ale jeśli odezwie się lelek, wrócimy do domu, bo ptaki potrafią rozmawiać z powietrzem. Wołanie lelka jest ostrzeżeniem dla ciebie.

– Ostrzeżeniem przed czym?

– Ostrzeżeniem, że zdradzasz sekrety duchów. Albo że duch w ciele, do którego mówisz, nie jest jeszcze gotów, by cię wysłuchać. Coś w tym rodzaju.

– Mamo, czy ty w to wierzysz? Tak naprawdę?

Kwan musiała się nad tym zastanowić.

– Tak naprawdę? Nie. Świadomy umysł w to nie wierzy. Ale to stara wiara podsuwa właściwe słowa. Mówisz coś, co powiedzieliby starzy ludzie, i mówiąc to, coś wyjaśniasz. Z jakiegoś powodu łatwiej to znieść.

Nawet teraz było słycać ciurkającą po zboczu wodę.

– Słyszałem – powiedział Luk – coś o Ziemi spoczywającej w dole, będącej jak fundament. Powietrze jest na górze, a Ogień i Woda wypełniają kanapkę, czy coś.

– No tak, ale to są złe słowa.

– Ach, ale ja jestem współczesnym facetem.

– Są dwa rodzaje czasu – powiedziała Kwan. – Ten ruchu, mierzony zegarami, i „Czas”. „Czas” jest tym, w czym żyjesz. Ty go tworzysz, świat go tworzy, jest trochę jak cios, którego siłę osłabiasz ruchem. Podejmujesz decyzje, nie żałujesz ich, czekasz, aż chwila minie. A chwila ta jest dziełem czterech żywiołów, z których każdy ma swoją charakterystykę, swoją moc. Można powiedzieć, że bezustannie się ze sobą mieszają.

To też są złe słowa, Kwan.

O, matko Kowoloia, o, duchy Powietrza, Wody i Ziemi, przemówcie za mnie!

Lelek odzywa się także wówczas, kiedy nie jesteś gotów przemówić. Śpi na drodze, ogłupiają go światła, tylko dlatego, że

asfalt ciągle jest ciepły.

– W Mae gromadzą się wszystkie te siły. Wszystkie razem. Dlatego jest „Czasem”. Rozumiesz? Mae jest jak obraz Czasu. Twoja babka powiedziałaaby, że jest Czasem zestalonym. Jak woda zestalająca się w lód. A lód pęka... pęka, gdy nadchodzi zmiana pór roku. Teraz rozumiesz?

Jeszcze nie. Luk czekał.

Kwan mówiła dalej.

– Mae jest Ziemią, jak wszystkie kobiety. Czerpie swą moc z kobiet, z Kręgu, od Bugsy. Rozumiesz, jak to działa? Stare słowa? Masz więc Mae, z charakteru najbardziej przypominającą Ziemię. Będącą z Ziemi, zakorzenioną, niepragnącą ruchu najbardziej ze wszystkich ludzi. Ale jej głowa... jej głowę wypełnił Tlen, wypełniło ją Powietrze, mamy porę roku Powietrza. Brak jej równowagi. Duch zmieszany z Ziemią, zgarnięty gniewnymi wodami będącymi zmianą, wywołującymi zmiany.

– Mae jest Ziemią poruszana przez Powietrze? Przez Powietrze i Wodę?

– Tak. – Kwan odczuła wielką przyjemność. Luk zrozumiał.

– A Ogień?

Nadal pamiętała go jako pięciolatka, niewinnego małego golasa. Pamiętała go, kiedy miał szesnaście lat. Pamiętała, jaki był niepewny, jaki zakłopotany, gdy uwodziła go Tsang.

– Nie wiesz? – Szturchnęła syna. – Pomyśl. Bo przecież wiesz. Jest niepokojem – czymś, co zostało pozbawione spokoju.

Luk wyraźnie się zawstydził.

– Och! No... jej mąż i w ogóle...

– Ogień jest pożądaniem. Ogień zapłonął. Twoja babka powiedziałaaby, że tego należało się spodziewać. Ale Ogień to nie tylko seks, to także pragnienie doznania wszystkiego teraz, tutaj, na Ziemi. Ogień sprawia, że mamy dzieci, że je kochamy, że kochamy przyjaciół. Woda nas niesie, lecz Ogień sprawia, że płoniemy.

Na niebie płonęły gwiazdy z ognia.

Duży, dorosły syn raczej niezgrabnie objął matkę ramieniem w grubym kożuchu. Wyczuła, że musi wydawać mu się taka drobna,

taka krucha. Wskazała gwiazdy.

– Widzisz? W świecie Powietrza nie ma czasu. Nawet ogień jest nieruchomy. Nawet ogień jest stały.

Dlaczego płakała?

– Ogień staje się miłością. W powietrzu.

Luk stał tuż obok niej. Nie była pewna, co czuje.

– Rozumiesz? Rozumiesz? Rozumiesz? – Nawet w jej uszach głos, którym zadawała to pytanie, był bardzo podobny do głosu ptaka.

\*\*\*

Drogę skończono w marcu. Jednym z pierwszych samochodów, które z niej skorzystały, przyjechała Fatimah z Yeshiboz Sistemlar.

Fatimah przede wszystkim zapytała o Mae. Sunni i Kwan przywitały ją uśmiechami jak maski.

– Mae odeszła – powiedziała Kwan.

Mogło się wydawać, że gość przyjął te słowa jednocześnie podejrzliwie i z rozczarowaniem. Kwan była przecież jego sojuszniczką.

– Dokąd? Czy mogę się z nią zobaczyć?

– Nie, raczej nie. Nie sądzę – powiedziała Sunni.

– Nie. – Kwan pokręciła głową. – Nie. Poszła wysoko w góry zamieszkać ze starą ciotką. Bardzo o siebie dba.

– Tak, oczywiście – przytaknęła Sunni. – Jakże szczęśliwa jest kobieta mająca rodzinę. A my nic o tej ciotce nie wiedziałyśmy.

– Gdzie leży ta wioska? – Fatimah skinieniem głowy wskazała ogólny kierunek: w górę.

– Nie ma tam żadnej drogi – odparła Kwan.

Fatimah stała niemal przytulona do samochodu, na pół skryta przed mieszkańcami wioski za jego otwartymi drzwiczkami. Nad jej głową wisały ruiny teras, bezładne stosy kamieni.

– Prosta uprzejmość wymaga wspomnienia, że dla ciebie nigdy nie będzie tam drogi – powiedziała Sunni.

Fatimah zbladła. Jej twarz zmieniała się, niezmienny pozostał tylko wyraz beznadziejności, rezygnacji. Bez słowa wsiadła do

samochoду.

Maszynę tkacką Kręgu odkupiono za pieniądze z ubezpieczenia, a gdy przyjechała, zorganizowano uroczyste przyjęcie. Fundusz Nouvelles Chung Mae zamówił cztery tysiące kołnierzyków – wystarczająco wiele, by nawet maszynę zmusić do ciągłej pracy. Każdy z Kołnierzyków Katastrofy miał wplecioną dedykację: „Ku czci Chung Mae”. Do produktu dołączano napisany po angielsku przepis na ciasto – podziękowanie. Duże sumy zarobione na sprzedaży dzielono nie tylko w Kręgu, lecz i poza nim.

Mężczyźni naprawili część teras, drobną część, zaledwie kilka. Tyle, by zasadzić trochę ryżu, mieć co jeść i zgromadzić trochę nowego ziarna. Wynajęty buldożer zrównał z ziemią ruiny gospodarstw Chu, Koi i Han. Na powierzchnię wypłynęły dywany, naczynia kuchenne, ubrania, lecz nie zaginione ciała. Aż wreszcie, w połowie doliny, znaleziono jedno, z pewnością Han Kai-hui. Kwan uznała, że Powódź zniosła Sezen dalej w przyszłość niż nawet Mae. Że nigdy nie zostanie odnaleziona, chyba że, być może, znajdzie ją rakieta kosmiczna, lecąca na Księżyc.

Wysoko na zboczu, tam gdzie stał kiedyś ich meczet, mieszkańcy wioski zgromadzili się na kolejny pogrzeb. Na ten pogrzeb przyprowadzono też Chung Mae. Był z nią Chung Siao, trzymał ją za rękę, uciszał. Po jej drugiej stronie pan Ken robił dokładnie to samo.

– Kto to? Kto to? – pytała Mae zbyt natarczywie, za głośno.

– Han Kai-hui, babciu – wyjaśnił jej pan Ken. – Pamiętasz ją. W szkolnych czasach była wielką przyjaciółką Chung Mae.

Wyraz twarzy Mae świadczył o jej wielkim gniewie.

– Musiała umrzeć nagle! Czy to był wypadek?

Milczenie.

– Tak, babciu – przytaknął Ken.

Walczył ze sobą, by utrzymać silne ręce nieruchome. Twarz miał zmęczoną, lecz spokojną. Kwan nie potrafiła zrozumieć, jak on to znosi.

– Och! Ludzie powinni być ostrożniejsi. – Mae wyrzuciła z siebie to ostrzeżenie wraz z energicznym gestem głowy. Stara pani Tung nie była w stanie niczego się nauczyć. Rozejrzała się dookoła,

patrzyła na ludzi wściekle, oczami rozzłoszczonej jaszczurki. – A dzieci mają okazywać szacunek! Gdzie Han An, skoro nie ma jej na pogrzebie własnej matki? Gdzie Chung Mae, skoro były przyjaciółkami? Mae powinna być tutaj!

Wyglądało na to, że popełniły błąd. Kwan przeciskała się przez tłum. Ludzie stali nieruchomo w swych anorakach i kożuchach, wszystkie głowy przykryte były chustami. Ogień podsycono połamanymi meblami i naftą. Ciało było owinięte w dywan.

Być może Kuei znosi swój los ze względu na dziecko w ciele kobiety? A może znosi go z pomocą Siao? Przez to, że jest ich dwóch?

Dziwne to, dwaj mężczyźni i ona. Kto wie, jak to naprawdę działa?

Pewna jest miłość. Ogień i Powietrze.

Kwan skinęła głową im obu. Ich spojrzenia się skrzyżowały, a potem spojrzała głęboko w oczy kobiety, której towarzyszyli. Kobiety, która nie była już Chung Mae.

Głośno powiedziała prawdę.

– Straszna stara kobieto, ty też nie żyjesz. Upiorze, jesteś martwy. Kochaliśmy cię za życia, ale teraz powinnaś być duchem i żyć w Powietrzu. Jesteś jak choroba. Pozwól przynajmniej Mae opłakać przyjaciółkę.

Oczy kobiety zwilgotniały, pojawił się w nich wyraz zmieszania. Młode usta drżały jak stare.

Kwan miała wrażenie, że przez chwilę widzi Mae.

– Posłuchaj – powiedziała do niej. – Wygrywamy. Wszyscy używają telewizji. Kochamy ją. Mae, chcemy, żebyś do nas wróciła.

– Fuj! – wybełkotała szamocząca się pani Tung, mocno odpychając od siebie Kwan. Toczącą się walkę można było poznać po malującym się na twarzy kobiety wyrazie zagubienia i bezradności, po tym, jak szarpała się, drżała, jak walczyła.

– Ona tam jest. I walczy – oznajmiła Kwan. Ścisnęła dłoń pani Tung, nie przestała przemawiać do Mae. – Wróć do nas. Przecież potrafisz. Stara wiedźma opanowała tylko część twojego ducha, a ty władasz jego resztą. Wracaj do nas, Mae.

\*\*\*

Kwan odwiedzała Mae prawie codziennie. Siao i Ken Kuei mieszkali z nią w ruinach swych domów. Wioska postanowiła nie uważać tego za skandal. Skoro obaj mężczyźni ją kochali, to naturalne, że pozostają z nią także w chwili nieszczęścia.

Z zabudowań całe pozostały tylko tylny narożnik domu i stodoła. Ranę zablizniono, zasypując ją stosem kamieni, zabandażowano plastikową folią. Przebijało przez nią światło dnia, ale w środku było przynajmniej ciepło. I wystarczyło miejsca na wnękę z łóżkiem, piecyk oraz stół. Część strychu też nadawała się do użytku, ale z niej nie korzystano. Kwan przechodziła, pochylona, przez niskie odrzwia. Z szacunkiem kłaniała się staremu panu Chungowi siedzącemu w jedynym ocalałym narożniku swego starego domu. Wykładała na stół przyniesione jedzenie: wiejski chleb, jakieś suszone warzywa, a od czasu do czasu nawet butelkę ryżowego wina ocalałego z Powodzi. Siao i pan Ken zabierali się do gotowania. Bardzo uprzejmie podawali sobie noże i soję. Kwan zapytała kiedyś Kena Kuei, jak to jest żyć tak we trójkę.

– Och – powiedział wówczas Ken – nie mamy z tym żadnego problemu. Całe życie byliśmy z Siao sąsiadami. I zawsze się przyjaźniliśmy.

Kwan poczuła wówczas cichą dumę. Pomyślała, że takie zachowanie możliwe jest tylko wśród ludzi prawdziwie cywilizowanych.

Dla Mae najlepsze było spanie we własnym łóżku, mogło to sprowadzić ją z powrotem. Z pewnością nie podobało się starej pani Tung. Stara wiedźma dopytywała się: „Dlaczego tutaj? Co my tu robimy?”. Rozpoznawała prosty fakt: to nie było jej miejsce.

Maleńką wnękę sypialną utrzymywał w idealnym porządku pan Ken. Stara pani Tung siedziała przy oknie, manifestując niezadowolenie. Wyłączała elektryczne światło, nienawidziła go. Zapalała świece. Pan Ken je gasił, świece w miejscu tak zatłoczonym były niebezpieczne.

– Witaj – przywitała Siao Kwan. – Mae je? – spytała.

Siao pokręcił głową. Nie, nie je.

– Mówi, że pali ją w brzuchu.

Brzuch Mae miała wydęty aż pod klatką piersiową, jak pierś gołębia. Wystarczyło na niego popatrzeć, by się zorientować, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Stara pani Tung nie była w stanie nauczyć się niczego nowego, więc nie pamiętała ani tego, że jest w ciąży, ani tego, gdzie ciąża ta jest umiejscowiona. Czuła się najedzona, więc nie jadła. Twarz Mae stawiała się coraz chudsza i coraz delikatniejsza. Coraz bardziej upodabniała się do twarzy pani Tung.

– Mae nie walczy – powiedziała Kwan.

Być może nie było już Mae zdolnej walczyć.

– W starych zapasach znalazłam cebulę. A pani Ozdemir, niech będzie błogosławiona, ciągle daje mi dla niej kawałki koziego mięsa.

Było to wędzone podgardle. Siao poszedł po tasak.

– To ten słynny – powiedział. Dodał cebuli i chili zabijających zapach nie dość świeżego mięsa.

Usiedli. Rozmawiali o wiejskich sprawach, a mężczyźni, raz jeden, raz drugi, mieszały smażące się danie.

Kwan przyglądała się pięknym starym sukniom Mae wiszącym teraz porządnie w rzędzie.

– To był długi rok – powiedziała.

– Aha. Długi jak stulecie – przytaknął pan Ken.

– Pamiętasz zeszyły kwiecień? Już zaczynała rozmawiać z ludźmi o maturalnych strojach, prezentowała materiały, była taka zajęta. Zawsze wkładała wtedy pantofle na wysokich obcasach, pamiętasz?

– Och, oczywiście. – Kuei przewrócił oczami, jakby w życiu nie widział niczego równie pięknego. – I włosy zawsze zaczesywała do góry. Wyglądałem przez okno, a zobaczyć ją to było tak, jakby sen stał się nagle rzeczywistością. Jakby do naszej wioski wpadło przypadkiem coś wprost z telewizora.

Kwan uśmiechnęła się cierpko.

– Właśnie taki efekt chciała osiągnąć.

– To była inna Mae.

Którą Mae kochasz? – pomyślała Kwan.

Stara pani Tung poruszyła się niecierpliwie, było jej niewygodnie, czuła się sfrustrowana.

– Gdzie Mae? – spytała gniewnie. – A ty, Kuei, powiedz mi, dlaczego jemy starą kozę? Nie potrafisz znaleźć niczego lepszego?

Siao przesunął się, dając panu Kenowi miejsce na zwilżenie wiejskiego chleba. Stojący w kącie telewizor Mae nadal odbierał pocztę głosową. Kwan zastanowiła się i doszła do wniosku, że to zapewne Siao kocha Mae taką, jaką się stała: rozwijanie maty i ekrany telewizyjne.

– Niedługo muszę wrócić do dziewczynek – poinformował Siao pan Ken. Jego córki mieszkały z kuzynostwem w Hebaciarni.

Siao skinął głową. Dwóch mężczyzn stworzyło gospodarstwo domowe.

Kwan pomyślała jeszcze, że to prawdopodobnie dzięki Siao ich gospodarstwo jeszcze się nie rozpadło.

Gdy tylko kawałki koziego mięsa zostały ugotowane, podano je na stół. Kwan pochyliła się ku Mae.

– Zjedz coś, proszę – powiedziała.

– Nie jestem głodna – odparła stara pani Tung. – Kuei, zabierz mnie do domu. Siedzimy tu już wystarczająco długo. Mae i Joe nie wrócą, to jasne.

– To dla dziecka. Musisz jeść – nalegała Kwan.

– Co... co... co...? – Pani Tung pokręciła głową. „Nie, nie, nie”, raz za razem. – O czym ty mówisz, kobieto! – spytała z gniewem. – Nie chcę twojego jedzenia. Chcę wrócić do domu! Dlaczego nie możemy wrócić do domu?

– Ciii, babciu. – Kuei podszedł do niej z miejsca przy piecyku.

– Siedzimy tu całe godziny. – Stara pani Tung aż się popłakała, bo nie mogła postawić na swoim.

– Ciii... babciu. Nasz dom został zniszczony. Zabrała go Powódź.

– Co? – Pani Tung podniosła na niego oczy pełne przerażenia. Ta nowa wiadomość doprowadziła ją do rozpacz.

Stara pani Tung mogła żyć wyłącznie w przeszłości.



Mae, zafascynowana nim, żyła w powietrzu i żyła w Tlenie. Tlen był prawdziwym życiem, całością życia w jednej chwili, bo czynił wszystkie czasy jednym czasem. Był dla niej stołem zastawionym do śniadania, stołem, na którym wszystko znajdowało się w zasięgu ręki. Sięgała w nieskończoność i czuła, jak rośnie, jak wyłania się z Tlenu w każdej chwili swego życia. Szła do szkoły z bratem, Ju-mei, trzymając go za rękę. Rzuciła w brata żołędziami. Biegali ze śmiechem, gonili się wokół Tego Drzewa. Joe zabrał ją na randkę do Kurulmushkoy. Ich Herbaciarnia obsługiwała młodych ludzi, mieli w niej nawet radio. Szesnastoletnia, oszołomiona, siedziała w boksie, słuchając U2. Komuniści odeszli zaledwie przed dwoma laty, pojawiło się tyle nowości! Joe wydaje się królem tego nowego świata.

– U2 są z Ir Lang Do. To nie Anglicy, nie Amerykanie. Urządzili taki koncert, wszystkie wielkie gwiazdy śpiewały dla biednych. Przenosili się z miejsca na miejsce, po całym świecie. A tak! – Joe zapatrzył się w swą herbatę. Włosy ma krótko przycięte, nosi chromowany naszyjnik. Joe jest przyszłością. Ale oczy ma smutne. – Nie widzieliśmy go.

Oczarował ją. Mae porusza się niespokojnie.

– Następnym razem zobaczymy, Joe – mówi. Zbiera się na odwagę, przykrywa jego dłoń swoją dłonią. Okazuje się to proste, bo przecież myśli to samo. – Następnym razem będziemy częścią przyszłości.

– Możemy się o to założyć! – Joe wciska rękę do kieszeni obcisłych dżinsów. Wyciąga ćwierć rielsa. Z rozmachem kładzie go na stole.

– To zakład! – Szesnastoletnia Mae chichocze. Przykrywa usta dłonią, bo uważa, że ma za duże zęby i kiedy się śmieje, nabiera podobieństwa do konia. Cały czas wpatruje się w Joego.

A potem czas kurczy się i składa. Jest pokój, są w nim ludzie, czuć zapach gotującej się wody i papierosów, i to ten pokój się zapada, a nie ona. Mae tu jest, zawsze.

Mae potrafi robić rzeczy przerażające. Przenosi się do początku, w łono matki, przed narodziny. Czuje strach i cierpienia matki, kipiące wokół niej i w niej samej. Słyszy pompowanie krwi,

słyszysz stłumione głosy. Widzi łagodne światło. To jak umieranie, łagodne umieranie, wcale, ale to wcale, niestraszne, bo przecież wiadomo jest, że od tego wszystko się zaczyna. Nienarodzone dziecko też to wie. Tlen łączy je z jego własną przyszłością.

Żyjemy i umieramy w wieczności. Nasze fizyczne ciała zajmują świat, który jest jak balon. Będąc balonem, ten świat zajmuje miejsce, a my jesteśmy uwięzieni w jakiejś jego części. Balon nadyma się, a my rośniemy wraz z nim, w naszej pułapce. To jest czas.

– Lecz, och, Tlen!

Tlen nie zna czasu.

Tlen jest wszystkim, co było, i wszystkim, co będzie. Czekającym na swą kolej, by z własnej maleńkiej przestrzeni przenieść się w nasz momentalny świat.

A życie Mae obraca się wokół innego życia.

\*\*\*

Jest pierwszy dzień jesieni. Pani Kowoloia przychodzi do niej ze swą małą córeczką Kwan. Pani Tung myśli: ojej, jakie to poważne dziecko! Niemal ulatuje w powietrze... i tyle na nim tych haftów!

– Pani Kowoloia, jest pani piękna jak motyl – pohukuje Tung, ściskając dłonie gościa z wdzięcznością, bo jest pierwszym w nowym roku szkolnym.

Podwórko wkrótce wypełni się dziećmi.

– Pani Tung – pyta pani Kowoloia – czy wolno mi powiedzieć, jak wielką odnosimy korzyść z tego, że prowadzi nam pani szkołę rok po roku? Wszyscy wiemy, jak bardzo jest pani wykształcona.

– Ach! Ale straciłam wszystkie moje książki. – Pani Tung uniosła dłonie. Śmiała się w intencji zmarłych.

Dziewczynka była poważna, chętna do pracy i rozczarowana, bo żadnej pracy jeszcze nie dostała.

– Kwan, kochanie, mam papier i farby...

Dziewczynka się skrzywiła.

– Nie potrzeba, mam swoje książki.

Za każdym razem, gdy chłopcy grają w piłkę w białym pyłe mojego podwórka, mówię: „Ahmet by z nimi grał”. Za każdym

razem, kiedy małe dziewczynki śpiewają albo skaczą przez sznurek, zamykam oczy i wyobrażam sobie, że moja Lily śpiewa wraz z nimi. Lily, którą upuściłam, która utonęła.

Dwie dziewczynki przechodzą przez uchyloną bramę, same. Jedna z nich jest wysoka, chuda i rozgniewana, druga drobna, tak mała, że kiedy chce spojrzeć na kogoś spode łba, uderza się brodą w pierś.

Wiem, kto to, myśli pani Tung. Wychodzi im naprzeciw zgięta w pasie.

– To wy, dziewczynki, straciłyście ojca, prawda? – pyta.

Najstarsza patrzy na nią przerażająco bezpośrednio.

– Zastrzelili go komuniści – mówi.

– Jak masz na imię? – Pani Tung ma nadzieję, choć niewielką, że usłyszy „Lily”.

– Lubię, kiedy nazywa się mnie Missy – mówi starsza – więc wszyscy tak mnie nazywają. – Opuszcza wzrok na młodszą siostrę, patrzy na nią z matczyną dumą. – A to jest Mae – mówi w sposób sprawiający, że pani Tung chce się płakać, tak pełny jest miłości i troski.

Mała dziewczynka jest wstydliva. Trzyma w ręku jesienny liść.

– Jest czerwony – mówi. – Znalazłam go na ziemi.

– Liście opadają. To dlatego, że nadchodzi jesień. Ja jestem pani Tung.

– Jest piękny. Wygląda jak poduszka. Cały czerwony.

– Gdzie wasza mama? – pyta pani Tung.

– Nigdzie – odpowiada chłodno Missy. Kaszle. Z głębi jej płuc dobiega dźwięk prawdziwej, niefałszowanej gruźlicy. Kaszle jeszcze raz, po czym przekazuje Mae pani Tung. – Jest bardzo bystra – oznajmia. Obejmuje ją za ramiona, popycha przed siebie. Spojrzenie jej poważnych oczu krzyżuje się ze spojrzeniem pani Tung, wywołując dreszcze, bo odbywa się to tak, jakby mała została jej przekazana w opiekę wieczną.

Missy znów kaszle. Pani Tung pozbywa się resztek wątpliwości.

Pani Tung czuje smak Tlenu.

– Chodź, Mae. Jest tu pewna bystra dziewczynka, którą z pewnością chciałabyś poznać. Ma na imię Kwan. – Pani Tung

prowadzi obie siostry razem. Starsza, chuda, już jest szara jak duch.

Przygląda się twarzyczce młodszej siostry. W jej oczach wygląda jak jajko, z którego coś wykluje się lada chwila. Już prawie widzi, kim będzie Mae – och, jest bystra, to oczywiste, ale nie w sposób, który mogłaby wykorzystała szkoła. Sama uczyni z siebie drugą Missy, by ją w ten sposób uhonorować, okazać miłość i pamiętać.

Dzieci biegną wokół nich, ruchliwe, wirujące jak pył. Pani Tung widzi, co wykluje się z każdego z tych dzieciaków: Shen, Joe, Kan-hui. Jej pracą jest ogrzewać je, miłością sprowadzić na świat.

\*\*\*

Pani Tung siedzi w swej wielkiej kuchni. Ceruje mokre skarpetki. Skarpetki ceruje się na mokro, a kiedy schną, ich rana się zasklepia. Jej cuchnący, przyjemnie wiekowy mąż pracuje w polu. Jej młody człowiek poszedł wysoko w góry. Ona sama czuje się ciężka, cięższa niż normalnie, jakby jechała w górę szybką windą. Jest w ciąży. Wie, że to dziecko nie jest dzieckiem pana Tunga. Uświadamia sobie, że słyszy karabinowe strzały. Czyżby wojna powróciła w okolice?

Strzały nagle stają się tak głośne, jakby walkę prowadzono tu, w jej kuchni. Aż podskakuje. Słyszy krzyk dobiegający znikąd. A potem znów zapada spokój i tylko pył wiruje w promieniach słońca. I nagle pani Tung ma już pewność.

Kalaf nie żyje. Coś, co unosiło się w powietrzu, już się w powietrzu nie unosi, jakby ktoś nagle wyłączył muzykę. Jakby skądś wziął się zapach przypalonego na patelni mięsa. Nie żyje, myśli pani Tung. Wkrótce dostanę telegram.

Odkłada skarpetę na stół. Zaczyna się zastanawiać. Niedobrze będzie, jeśli jej mąż zobaczy jakikolwiek telegram o jakimkolwiek mężczyźnie. Zastanawia się jeszcze chwilę i dziwi, dlaczego nie płacze, skoro nie ma przecież żadnych wątpliwości. Pani Tung idzie do Herbaciarni na Lower Street. Wślizguje się bokiem do sali pełnej mężczyzn i papierosowego dymu. Mężczyźni w płóciennych czapkach podnoszą na nią wzrok. Patrzą nieprzyjaźnie. Jest kobietą i co z tego, że na głowie ma chustę?

Tylko dziwki siedzą w kawiarniach z mężczyznami. Pani Tung siada przy stoliku. Zaczyna cerować skarpetkę. Skupia się na niciach. Mija ranek. Odpowiada skinieniem głowy na pytanie o filiżankę herbaty, ale gdy ją przed nią stawiają, nie pije.

Jej kuzyn, pan Tui, podchodzi i sugeruje, że powinna wyjść. Pani Tung tylko kręci głową, nie ufa sobie na tyle, by coś powiedzieć. Cały czas wpatruje się w skarpetkę.

Nagle przemawia maszyna w kącie sali. Pani Tung widzi, jak cień pana Tui się odwraca. Składa ręce na podolku i czeka.

Cień wraca.

– To do ciebie – mówi, pochylając się ku niej, tak że pani Tung widzi jego twarz i sumiaste wąsy. Twarz pana Tui jest smutna. – Powinnaś była powiedzieć, że czekasz.

Pani Tung wie, że jeśli teraz coś powie, zacznie płakać. Kuzyn Tui prostuje się.

– Czekala na to. – Macha telegramem do mężczyzn przy barze, a potem składa go płasko i wtyka w jej bezwładne dłonie.

„Droga przyjaciółko, ukochany kuzyn Kalaf nie żyje...”

– Był dla mnie dobry, gdy byłam młoda – mówi pani Tung.

Ścisła telegram, jakby to była jej twarz. Jej twarz zaś upodabnia się do szmaty, którą trzeba wyżąć. Czuje jej wilgoć. Wstaje, jakoś się trzyma, szybko wychodzi z kawiarni. Głowę trzyma wysoko, wraca do siebie przez wąski korytarz domów, nie może nikomu powiedzieć, że ojciec jej dziecka nie żyje. W końcu zamyka drzwi kuchni. Ukrywa twarz w mokrych skarpetkach męża.

Pani Tung wie, nim powinna wiedzieć.

Pani Tung podróżowała w Tlenie. Nim nastał Tlen.

Zatem Mae udała się na poszukiwania.

\*\*\*

Mae powróciła do dnia Testu. Zapуściła korzenie w swym poprzednim życiu.

W kociołku wrze woda. Joe zjadł swój ryż. Kuei wprowadza starą panią Tung chichoczącą do siebie. Pomaga jej, ślepy na własną przyszłość, tak ślepy jak skępowana przez czas i pracę Mae.

DLA CHUNG MAE WANG  
Z PODZIĘKOWANIEM OD ROCZNIKA 2019  
DOWÓD UKOŃCZENIA SZKOŁY  
W SPECJALNOŚCI „STUDIA MODOWE”.

Zewsząd otaczają ich pola magnetyczne, łuki bijące z ognia w sercu ziemi. Niezauważone i bezużyteczne dla Kizuldah przez dwa tysiące lat.

Aż do dziś.

Błysk, brzęczenie, mózg się rozdyma. Wszystkie ścieżki przewodzenia nerwowego wzbudzają się jednocześnie. To rodzaj Mapy Pytań własnego ja. Każde pytanie ma odpowiedź. Kompletną odpowiedź.

Wzbudzona, złączona i w jednej chwili naniesiona na wieczność, na zawsze, w Tlen. Kompletna, niezmienna, Mapa bez śladu uczucia. Nienaturalna.

I, och, cichy pomruk, oto nadchodzi Format.

Mae musiała się roześmiać. Taka to była tania, tandetna rzecz, ten Format. Jak plastikowa zabawka, „hełm kosmiczny” na głowie dziecka. Kilka linii kodu z wrzuconą w mieszankę odrobiną informacji.

– Czekolada. Czuję zapach czekolady – zagruchała stara pani Tung.

Oto nadchodzi, myśl Mae-w-Tlenie. Oto nadchodzi.

Przewraca się potrącony kocioł. Będzie spadał wieczność. Biała parująca płachta przylgnie do starego, cienkiego ciała jak całun, będzie je parzyć przez wieczność. Mae kieruje teraz litość. Skacze przed siebie, jej mózg niepokoi, a jednocześnie przyćmiewa nieznaną jej immanentność całego czasu w jednym czasie. Szarpie i odrzuca parzącą płachtę.

– Pani Tung – mówi inna Mae niesiona przez jej stare życie. – Gdzie pani jest, pani Tung?

Mae-w-Tlenie szuka wiecznej duszy.

We właściwym czasie pani Tung ujmuje drugą rękę Mae. Na twarzy ma lepkie ślady, jakby pełzły po niej ślimaki. Dłonie ma

sine, gruzłowate.

– Widzę – szepcze. Spogląda to tu, to tam, jej wzrok przeskakuje z przedmiotu na przedmiot, ale oczy poruszają się doskonale, jednocześnie.

Pani Tung, to ja! Mae!

Tlen mówi: „By wysłać wiadomość, udaj się na obszar nazwany »Poczta błyskawiczna«...”.

Mae obserwowała swą wcześniejszą ja wędrującą niezdarnie przez wirtualne podwórko. Przestrzeliła grafikę. Osadziła się w niebieskim kamieniu. Z wystarczająco dużej odległości wszystko jest śmieszne.

Tlen mówi: „W przypadku konieczności dokonania konfiguracji awaryjnej wystarczy kilka razy powtórzyć swe imię...”.

Mae-w-Tlenie słyszy swe inne ja powtarzające raz za razem: „Mae, Mae, Mae...!”.

Pani Tung krzyczy z nią unisono: „Mae, Mae, Mae...!”.

Klik.

To wszystko. Załatwione tu i teraz.

Taka prosta rzecz, adres skrzynki pocztowej. Nie trzeba powoływać się na dusze, rozważać, jak połączyły się imprinty. Nie ma to nic wspólnego z Formatem, ONZ czy Gatesa. Wystarczy krzyknąć imię unisono podczas konfigurowania skrzynki pocztowej.

Mae wybucha śmiechem. Ich skrzynki pocztowe nazywają się identycznie. W tym cały problem. Miały mieć tę samą nazwę przez całą wieczność, wieczność przeszłą i przyszłą. To imprint posiada adres, ale imprint powiązany jest zawsze z prawdziwym ja, prawdziwą osobą sterującą.

Uświadamia sobie, że musi tylko porozmawiać z prawdziwą panią Tung.

„Woda” – mówi babcia Tung, jakby wygłaszała prorocstwo. Powódź 1959 roku wraca z donośnym bulgotem, lecz Mae znika.

\*\*\*

Przebija igłą powietrze raz za razem, szukając prawdziwej duszy pani Tung.

Sama siebie niesie na wszystkie kolejne poranne wizyty na jej stryszku.

Oto dziewięćdziesięcioletnia pani Tung, siedzi na krześle, wiatr wieje jej w twarz jakby świeżo nawiany od ognisk kozackiego obozu. Patrzy na wspomnienia gór.

– Czy to ty, kochana Mae? – pyta. Pani Tung będzie się z nią przekomarzać, a potem roześmieje się, z głębi złamanego serca. – Ależ chodź, chodź i usiądź obok mnie, dziecko. Opowiadaj, bardzo proszę, opowiadaj, ho, ho, ho.

Mae zapadnie się w siebie.

– Och! Nie, nic, babciu, to tylko pranie.

– Och, och. Och, jakże ja kochałam pranie. Kochałam patrzeć, jak schnie na słońcu... tyle różnych kolorów! Wiesz, kochałam nawet jego zapach.

To dlatego, że kochałaś ludzi noszących te ubrania, babciu.

Mae-w-Tlenie, niesiona przez samą siebie, szepnie: „Babciu, babciu Tung, czy ty mnie słyszysz?”.

I czasami wydaje się, że stara, kocia twarz nieruchomieje w zasłuchaniu, jakby do uszu babci Tung dobiegł najcichszy szept.

Babciu, babciu, jestem tutaj.

– Ho, ho, ho, jakie dziwne żarty płata czasem człowiekowi jego umysł. Przypomniałam sobie, sama nie wiem czemu, coś, co zdarzyło się na długi przed twoim urodzeniem.

Mae-w-czasie, ledwo oderwana od prania i klusek Joego, i dolatującego ze strychu zapachu Siao, pochyli się, głodna nowości, spragniona piękna.

– Co sobie przypomniałaś, babciu?

– Och! – Pani Tung macha ręką lekceważąco. – Pamiętam... dlaczego właśnie to?... pamiętam rok, kiedy na polach ryżowych rozpleniły się maki. Bez żadnego powodu. Zostawiliśmy je wszystkie, bo umarło tylu młodych mężczyzn! – Biedne duszyczki. – Stare ślepe oczy błyszczą z radości. Jakby już widziały rozciągającą się dalej wieczność.

Mae wstawiała i wychodziła. Mae-w-Tlenie zapadała się w siebie. A potem, sapiąc i dysząc, nadymała się do następnego dnia i następnej wizyty. Tropiła się, wręcz się prześladowała, musiała



przecież zorientować się jakoś, kiedy Mae jest w pobliżu starej pani Tung. Uznała, że musi gdzieś być jakieś bliższe powiązanie, tym bliższe, im bliżej będzie ich ostatecznego związku, stanu końcowego.

Aż wreszcie wróciła do dnia przed Testem.

Mae-w-czasie wspięła się po schodach do pokoiku pani Tung. Te odwiedziny podyktował jej obowiązek. Myślała o sukienkach i o tym, że zdoła dostarczyć je na czas, jeśli zrezygnuje z koronkowych kołnierzyków. Brakowało jej cierpliwości. Opadła na krzesło, które pani Tung trzymała dla gości, ale zaraz podskoczyła nerwowo. Rozmawiały o łódkach życzeń i nasionach dyni. Mae poza czasem widziała, że stara pani Tung jest teraz w dziwnym nastroju.

– Pamiętam, kiedy przyszedł do mnie po raz pierwszy – powiedziała w pewnej chwili takim tonem, jakby mówiła o rzeczach ostatecznych. Bo i rzeczywiście tak było. – Pomyślałam: czy to ta dziewczynka, której zabito ojca? Jest taka śliczna. Pamiętam, jak patrzyłaś na moje sukienki suszące się na sznurku.

Pla, pla, pla – wspomnienia starej kobiety, pomyślała Mae. I odpowiedziała niemal całkiem bezmyślnie:

– Spytała pani, która z nich najbardziej mi się podoba.

Inna Mae pomyślała: uważaj, Mae. Ta chwila jest ważna. Dzieje się to po raz ostatni.

Pani Tung zachichotała.

– O tak! I powiedziałaś o motylach. – Wyprostowała się w fotelu, jakby zamierzała przyjrzeć się całemu swemu życiu z wysokiego zbrocza. Powietrze z otwartego okna rozwiewało jej włosy. – Mieliszmy kort tenisowy, wiesz? Tutaj, w Kizuldah.

– Doprawdy? – Mae udała, że nie słyszała wcześniej tej historii.

– O, tak. O, tak! Kiedy byli tu Chińczycy, tuż przed nadejściem komunistów. Stacjonowała tu część ich armii i to oni je wybudowali. Wszyscy graliśmy w tenisa, w szkolnych mundurkach. Och! Tacy byli przystojni, wszyscy, że wszystkie dziewczęta ze wsi natychmiast się w nich zakochały. – Pani Tung zachichotała. – Pamiętam, miałam nie więcej niż dziesięć lat, kiedy jeden z nich mnie adoptował. Powiedział, że przypominam

jego córkę. Po wojnie przysłał mi pluszowego misia. – Znowu zachichotała, pokręciła głową. – Ale wtedy byłam już za stara na pluszowe misie. Mówiłam wszystkim, że to znaczy, że weźmiemy ślub. Och, jak żałuję, że za niego nie wyszłam!

Stara pani Tung żałowała, że nie wyszła za tyłu mężczyzn: od Kozaków po chłopców z sąsiedniej wioski, nie wspominając nawet jej Kalefa. Potrafiła nawet kochać tych, za których wyszła.

Jakie cenne jest to wszystko, pomyślała Mae-w-Tlenie, i jakie piękne, musimy to ignorować, zajmować się praniem.

Poczula powiew wiatru, poruszenie w Tlenie. Stara pani Tung drgnęła lekko, odwróciła głowę, spróbowała się roześmiać.

– Och! Ho, ho, ho! Ktoś właśnie przeszedł po moim grobie – powiedziała po chwili milczenia.

A poza czasem, słabe, zdezorientowane, coś zafalowało niczym głos: „Mae?”.

Umierający mówią, że powracają do nich ojcowie. Martwi siadają przy nich, oferują im pocieszenie. Całują ich w snach. Missy umierała w lecie, w pokoju na strychu, zawsze upalnym, przesiąkniętym zapachem zastarzałego potu i ubrań. Mama nie pozwalała Mae odwiedzać siostry, ze strachu, że się zarazi, ale Mae skradała się na górę i z zafascynowanym przerażeniem przyglądała się ciemnym sińcom wokół oczu, pokrywającej ciało rosie potu. A Missy powiedziała jej raz: „Czy to nie słodkie, że tata leży tak spokojnie koło mnie?”.

I znów: „Mae?”. Był to zaledwie szept. Niewyraźny, niesformatowany, wir, kołowy ruch z miejsca, gdzie nic nie ma prawa się poruszać.

Mae-w-Tlenie sięgnęła po to coś nad śniadaniowym stołem czasu.

Nagle, niespodziewanie, jak coś niedokończonego – bo było niedokończone – pokój, przestrzeń, którą w sobie zawierał, i zajmujące tę przestrzeń ciała zapadły się jak domek z kart, rozleciały się, sfrunęły... a potem były warstwy, kolejne warstwy, idące w głąb, idące ku powierzchni, niemowlę, dziecko, kobieta, babcia... pani Tung.

Pani Tung była mglistą tkaniną otaczającą krajobraz trzech

wiosek zaginionych w zapomnianych górach. Pani Tung była wijącym się niczym wąż wzorem czyjegoś całego życia, giętki dziki kształt sięgający przez czas, zwinięty w spiralę.

Zwinięty na Mae.

Mae nie nazwała go imieniem, lecz wszystkimi imionami: młoda panna Hu, Ai-ling, pani Yuksel, pani Tung, babcia. Te imiona też układały się w niewyraźne węzowe zwoje. A wieczność jakby się ocknęła, jakby coś rozpoznała. Powstała niczym duch.

Nie sposób było z nią dyskutować. Na głowie nie zainstalowano jej niczego, co mogłoby tłumaczyć, kolejkować przyjmowane wiadomości. Powstała, a potem osiadła, przyjmując najbardziej prawdopodobny kształt. Ale można było sprowadzić ją, powoli, podstępem, do stóp góry. Do dwóch czekających tam imprintów.

– Pomóż mi – szepnęła Mae.

Wieczność uniosła swą starą, młodą, piękną siebie, zebrała swe oddzielne części jak setki powiewających szyfonowych chust, złożyła się w całość. Próbowała rozpoznać świat, uczyć się w świecie, gdzie czas i nauka są kompletne. Zakończone, znaczące, osiągnięte.

Mae wskakiwała w to życie i wyskakiwała z niego jak mysz korzystająca ze szczelin w deskach podłogi. Mae wzywała ją, a wieczność próbowała unieść głowę, a pani Tung spała.

Mae szeptała do pani Tung w jej śnie.

W wiosce o nazwie Lustra młoda żona rzucała się niespokojnie w łóżku. Mae próbowała doprowadzić ją do tej chwili, gdy zachwiał się kocioł, gdy ogień przeszył Tlen.

Pani Hu zadrzała we śnie. Spała na trawie przy ognisku handlarzy końmi. Mae zawołała i do niej.

Babcia kręciła głową. Siedziała, obolała, na drewnianym krześle, pogrążona we śnie, w Tlenie.

Sny to sposób dla kompletnych ja, by w Tlenie mogły znowu żyć, by mieć przed i po, w których można myśleć. W snach uczymy się przez całą wieczność.

I tak też było z panią Tung. Sen powtarzał się przez całe jej życie.

Był to straszny sen, zawsze ten sam. Przyjaciel jej potrzebował.

Potrzebowała jej córka, być może nawet Lily. Ona, pani Tung, zrobiła coś złego. Nie zamierzała tego zrobić, nie wiedziała, że to robi, ale coś zrobiła. Kiedyś, esencja koszmaru, skradła jakoś ciało przyjaciółki.

Odpowiedź zawsze była taka sama.

Stara pani Tung uniosła całą siebie jak tysiacy obdartych duchów. Miłość niosła ją do jednej szczególnej chwili w czasie.

Mae Mae Mae Mae Mae...

Spotkała przyjaciółkę, i ta przyjaciółka jakby się prześlizgiwała, niczym gładkie jedwabne szale, zlewając się w jedną szczególną rzecz.

Ta rzecz była częścią życia pani Tung. Jedna chwila życia, wyjęta z życia, zatrzymana w nim, zamrożona. Niczym ofiara poparzeń, zbyt ciężko ranna, niezdolna się poruszyć, zatruta, niekompletna. Niekompletna i gniewna, bo piękny wzór powinien zostać dokończony. Pani Tung sięgnęła po tę ideę całą sobą. Ogarnęła ją, powitała z radością, uciszyła. Ponownie zjednoczyła się z drobną, twardą i gorzką, złą częścią swego życia. Wplotła ją w piękny dywan.

A potem wypowiedziała, bardzo wyraźnie, słowa poety wypowiediane przez całe jej życie:

- Posłuchaj trzciniowego fletu, jego opowieści, skargi rozdzielania.

\*\*\*

Gdzieś w czasie powieki Mae zatrzepotały, a potem się uniosły. Siedziała w kuchni i znów była sobą.

- Wróciłam - wyszeptała z wysiłkiem.

Zaszurały odsuwane krzesła, dwaj mężczyźni poderwali się na równe nogi.

A gdzieś, gdzie indziej, dwa duchy siedziały obok siebie, jak na strychu, wymieniając się wspomnieniami, na zawsze razem, pamiętając poetę.

Ciało nie jest ukryte przed duszą ni dusza przed ciałem, a jednak nikomu nie wolno widzieć duszy. W przyszłości każdy będzie mógł rozmawiać ze swymi martwymi.

Mae, Siao, pan Ken i jego dzieci, wszyscy razem szli na uroczystość.

Byli rodziną nowego rodzaju. Pan Ken szedł na jej czele, przypochlebiając się córeczkom i uspokajając je. Dziewczynki wrecz wychodziły z siebie, nie mogąc się doczekać, kiedy dołączą do przyjaciółek. W złożonych ramionach niósł papierowe łódki, każdą ze świeczką z tortu urodzinowego w środku. Dziewczynki podskakiwały, starały się wyrwać mu którąś, zupełnie jakby były wypełnione cukierkami.

– Ostrożnie, ostrożnie – powtarzał pan Ken. – Świece trzymają się na odrobinie wosku. A łódki są też dla cioci Mae i Siao.

– Chcę moją – powiedziała najstarsza córka udająca bardzo dorosłą. Wzięła swoją łódkę bardzo ostrożnie. Obejrzała ją oczami eksperta. – A co, jeśli świeca się przewróci i łódka spłonie?

– Och, to bardzo wielkie szczęście. Bo twoje życzenie trafi do Nieba jeszcze szybciej.

Moim zdaniem Kuei wymyślił to przed chwilą, pomyślała Mae. Ale – och! – jaki był przystojny: porządnie uczesany, z szerokimi barami przykrytymi nową koszulą i krągłymi nogami w eleganckich spodniach.

Mae i Siao szli krok za nim, trzymając się za ręce. Ich spojrzenia spotkały się. Siao zareagował uśmiechem.

– Odkryłem twoją tajemnicę – postanowił się z nią podroczyć. – Wiem, że masz kochanka. Ale nie jestem pewien, kto może być tym kochankiem.

– Ach, więc jestem zgubiona. – Mae podjęła jego grę, choć nadal zaskakiwała ją zręczność, z jaką Siao obracał w żart to, co najboleśniejse.

– Ludzie mówią nawet, że kiedyś miałaś słabość do mojego

brata, Joego.

– Joego? Nie bądź głupi. No może, kiedy był młodszy, bardziej modny.

– Ach! – westchnął Siao, który nawet w ten uroczysty dzień miał na sobie szarą bluzę murarza. – Więc to ci się we mnie spodobało.

Uśmiechał się, miał taką piękną, kocią twarz. Tak piękna była twarzą z tej wsi, jak u pani Tung. Kocham obu moich mężczyzn, pomyślała Mae.

Szła powoli, godna w swym zadowoleniu i ciąży. Czuję się jak na pastwisku, w przeddzień kocenia się owiec.

– Szanowna pani Chung! – zawołał ktoś. Pani Hoiyoo, siostra Kwan, machała do niej z okna na piętrze. – Pani specjalna sukienka jest taka piękna!

Była to sukienka lekka, haftowana.

– Shen Suloi ją dla mnie zrobiła! – odrzyknęła Mae.

– Dziewczynki są chyba bardzo podekscytowane?

– Dosłownie wychodzą z siebie. Do zobaczenia na miejscu.

Wiejski plac był już wypełniony ludźmi. Córki pana Kena zobaczyły przyjaciół, zapiszczały radośnie i pobiegły do nich, ostrożnie niosąc swe łądki życzeń.

Placyk niedawno wybrukowano kamieniami w kolorze miodu. Płynąca niegdyś dziko rzeczka spływała teraz malowniczym, krętym kanałem. Most, tak dogodnie przeniesiony z Upper na Lower Street, zabetonowano starannie, a dziś obwieszono światłami. Kiedyś światła ozdobiłyby To Drzewo, a dzieci wzlatywałyby w huśtawkach coraz wyżej i wyżej. Dziś już nawet za nim nie tęskniły.

– Tato! Potrzebujemy więcej taśmy klejącej! – krzyknął z rusztowania na krawędzi zbocza Gengiz Atakoloo.

Tu miały stanąć wszystkie telewizory w wiosce, tak by każdy mógł ich używać. Jego ojciec, Enver Atakoloo, zjeżył siwego wąsa. Mae pamiętała, że po raz pierwszy, tak na poważnie, zakochała się właśnie w panu Atakoloo, w tamtych czasach silnym, potężnym mężczyźnie z czarnym zarostem. Tego strasznego dnia, kiedy zabił pana Pina i poszedł do więzienia, Mae płakała. Joe podszedł do niej znienacka, od tyłu. Powiedział, że musi się

przyzwyczaić, bo kiedyś on też pójdzie do więzienia.

– Brakuje mi Joego – powiedziała do Siao.

– Wiem. – Siao uściśnął jej dłoń.

Mae wykasła żółć. Wytarła usta chusteczką.

Podbiegła do nich Dawn, ciągnąc za sobą matkę, panią Ling.

– Moja matka mówi, że pani nie jest już ładna – powiedziała dziewczynka i zachichotała.

– Och! – speszyła się jej matka.

– Mówi, że jesteś imamem. – Dawn chichotała nieopanowanie. – Gdzie twój turban?

– Mae – jęknęła pani Ling przepraszająco.

Mae wzruszyła ramionami.

– Miło jest być nazywaną imamem.

Nagle obok niej pojawiły się Kwan i Sunni. Kobiety przytuliły się krótko na powitanie. Po czym przytuleni zostali kolejno: Ken, Siao i dziewczynki.

– Och! – westchnęła Kwan. – A więc jesteśmy wszyscy.

– Nie wszyscy – sprostowała Mae.

Myślała o Sezen, Kai-hui, pani Tung, starej pani Kowoloia. Z czyjegoś radia samochodowego dolatywało Balshang Lectro.

– Ach, oczywiście – przyznała Kwan.

Piosenka umilkła, ustąpiła miejsca Talentowi głoszącemu radośnie, że Tlen nadchodzi, Tlen nadchodzi, mamy dzień Tlenu, powietrze ma temperaturę 17 stopni Tlenu.

Jedzenie przybyło na nóżkach – dzieci Pinów przyniosły Mae pełne talerze. Ludzie nawet wyprostowali jej kołnierzyk. Podeszła też panienka Doh, bardzo spragniona miłości.

– To pani dzień – powiedziała do Mae.

– Wszyscy mamy wielkie szczęście – odparła Mae.

– Szczęście? W Kizuldah? – zdziwiła się panienka Doh.

– Mieszkamy wysoko, gdzie padają deszcze, a nie na pustyni. Nasi ludzie walczyli o prawo pozostania tu, gdzie teraz jesteśmy, wiesz? To było najwartościowsze miejsce. – Mae spojrzała na zbocza gór zrujnowane po Powodzi. – Byliśmy odcięci od całego tego szaleństwa, aż do ostatniej chwili.

Przeniosła spojrzenie na panienkę Doh. Panienka Doh czuła się

chyba szczęśliwa odcięta od świata, wysoko w górach, ale ważne, by przyznała, że się myli.

– Jesteśmy ostatni, rozumiesz? – mówiła dalej. – Jesteśmy ostatnimi ludźmi. Od jutra będziemy inni. Wszędzie.

Herbaciarnia miała nową markizę, stoliki i krzesła stały na nowych płytach chodnika. Mężczyźni grali w karty lub w domino, niektóre kobiety robiły na drutach. Mae czuła, jak żołądek nieustannie podchodzi jej do gardła, jakby cierpiała na niestrawność. Nagle poczuła mdłości. Skuliła się.

– Może usiądziemy? – zaproponowała Sunni.

Pan Ali wstał. Mae usiadła na jego krzesło, nie przestając ścisnąć dłoni Siao. Kwan jakby zabłysła, niczym ostrzony nóż. Jedno jej spojrzenie wystarczyło, by Sunni udała się na poszukiwanie kogoś lub czegoś.

– Zastanawiam się... – zaczęła Mae.

Za dużo było rzeczy, nad którymi należało się koniecznie zastanowić. Gdzie jest teraz Joe? Co robi? Jak Sezen wykorzystaby Tlen, gdyby przeżyła? Co stanie się z wioską, po Tlenie?

Suloi przysunęła się z krzesłem, po niej zrobiły to samo pani Pin i pani Doh. Wśród szurania przesuwanych krzesel nagle zebrał się cały Krąg. Jakby znikąd pojawiły się gliniane fajki i tytoń. Siao odchylił się, poczęstował Kuei papierosem.

Rozmowa była lekka, niezobowiązująca, o Soon Chang, która miała wyjść za mąż za jednego z Pinów. Pani Pin musi być tym bardzo podekscytowana. Czy wszystko układa się zgodnie z planem? Siao wstał, wyciągnął szyję. Próbował zwrócić na siebie czyjąś uwagę.

– Nie powinnam jeść – poskarżyła się Mae. Odłożyła talerz. Jedzenie było dla niej jak ogień przeżerający owrzodzony żołądek. – Ooooch... – Wszystko przez to podniecenie.

Wróciła Sunni, prowadząc panią Kosal.

– Nowa toaleta w moim domu już funkcjonuje, Mae, więc gdybyś chciała jej użyć...

Siao, Kuei i Kwan poderwali się na równe nogi jak na rozkaz.

– Chodź, Mae, kochanie, zobaczysz, jak pani Kosal



wyremontowała dom.

– Ja tylko chcę skorzystać z toalety – zachichotała Mae.

Nagle pojawiła się wśród nich także pani Hoiyoo. Siostra Kwan w noc Powodzi stała się znacznie lepszą jej przyjaciółką. Z jakiegoś powodu przyniosła ze sobą ręcznik.

– Wszyscy chcemy zobaczyć nowy dom – oznajmiła Sunni. – Lepsze to niż siedzieć tak i czekać do jedenastej.

W rozstawionych wokół radiach grzmiała piosenka Yulduza, ta o losie, o losie narodów identycznym z ludzkim losem.

A więc wszyscy po kolei obejrzeni z podziwem farbę na ścianach domu pani Kosal, zgodzili się, że nigdzie nie widać śladów zniszczeń, a Kwan zaprowadziła Mae do toalety.

– Jest dziesiąta czterdzieści – ostrzegła je pani Kosal. Uśmiechała się, lecz jej wargi drżały.

– Proszę się nie bać – powiedziała do niej Mae.

Kwan i Sunni aż wzdychały, udając bezgraniczny podziw dla nowoczesnej toalety.

– Och, co za wspaniały pomysł! Tylko popatrz!

– Jakie to poręczne! I higieniczne!

– Gorąca woda – pochwaliła Sunni.

– Zwymiotuję – oznajmiła Mae. Bardzo chciała, żeby wyszły.

– Biedactwo – użaliła się nad nią Kwan, ale nie ruszyła się z miejsca. Poklepała ją lekko po ramieniu. Spojrzała na Sunni, a ją jakby wymiotło z toalety, tak szybko znikła.

– Nic mi nie jest – zapewniła ją Mae.

– Rusza się? – spytała pani Kosal.

Mae pochyliła się nagle. Przepyszna sałatka rybna pani Pin wystrzeliła z jej ust lśniącą i nienaruszoną.

– No i już – powiedziała Mae. – Już po wszystkim.

Sunni zajrzała do środka. Uśmiechała się.

– Możemy wejść? – spytała.

Rozsunęła kobiety. Ken Kuei wpadł do środka, ale widząc Mae całą i zdrową, natychmiast się uspokoił. Siao okazał szacunek, stał skromnie za nim.

– Ech, wy – westchnęła Mae. – Nowa toaleta pani Kosal wcale nie jest bardziej fascynująca od Tlenu. Idziemy. Albo ominie nas

całe przedstawienie. – Spojrzała na Kwan. – Czuję się lepiej, naprawdę – zapewniła.

Tym razem obaj mężczyźni wzięli ją pod ramiona.

– Co z dziewczynkami, Kuei? – spytała.

– Nic im nie będzie. Bawią się z kuzynkami. Przynajmniej raz pomyśl o sobie, dobrze?

Przed domem zgromadziły się tłumy ludzi. Stali w milczeniu obróceniu plecami do ekranów, świateł samochodowych, odbiorników radiowych i jedzenia. Stali przodem do domu rodziny Kosal. Czekali na Mae.

– Nic jej nie jest – oznajmiła Kwan dźwięcznym głosem.

– A toaleta pani Kosal jest bardzo nowoczesna – dodała Mae. Reakcją był cichy śmiech.

Podeszła do niej Hatijah trzymająca w ręku papierową łódkę. Zaczęła nosić czarne spodnie, jak jej córka.

– Szanowna pani Chung, czy wypowiedziała już pani życzenie? – spytała.

– Och, całkiem zapomniałam. – Mae ścisnęła z wdzięczności ramię pani Ozdemir.

– Pośpiesz się – powiedziała Kwan.

Mogło się wydawać, że tłum dosłownie niesie Mae w stronę ich małej rzeczki. Od dnia Powodzi jej koryto było znacznie bardziej strome. Uregulowano ją na całej długości, a na wysokości wiejskiego placyku opadała wodospadem. Z ludzką pomocą Mae przyklekła na brzegu. Ogień w jej brzuchu poruszył się znowu.

– Poproszę jeszcze jedną łódkę! – krzyknęła. – Dla dziecka.

Obejrzała się. Stali za nią wszyscy mieszkańcy wioski. Shen podszedł do żony. Dzieci Pinów skupiły się w ciasną grupkę.

– Proszę wziąć moją – powiedziała Ling Dawn.

Dwie papierowe łódki ze świeczkami z urodzinowego tortu.

– Nim łódka odpłynie, trzeba zapalić świeczki – powiedziała Dawn.

Kwan wsunęła jej do ręki zapalniczkę. Mae zapaliła pierwszą świeczkę, puściła na wodę pierwszą łódkę. Zrobioną w tradycyjny sposób, nienasiąkającą wodą, stabilną. Łódka odpłynęła, niosąc w sobie ogień. Obróciła się. Mae zapaliła drugą świeczkę.

Krępowano ją trochę, że wszyscy ją obserwują.

Druga łódka życzeń odpłynęła osobno.

– I już. Koniec przedstawienia – powiedziała, wstając. Obejrzała się. Łódki właśnie znikwały u progu wodospadu.

A potem – ruch. Brzuch podszedł jej do gardła wypchany jak twarda poduszka. Szarpnął wnętrznościami, rozdzierał je. Parcie. Gardło zacisnęło się jej, rozluźniło, znów zacisnęło, było to jak ruchy węża. Coś się złapało, jej wnętrzności szarpały się nieznośnie.

– To już – sapnęła. Na nic więcej nie było jej stać.

Stojący na rusztowaniu telewizor pani Kwan pokazywał twarz drapieżnego Talentu.

– To już prawie czas – entuzjazmował się Talent. Jeszcze dwie minuty i Tlen przyjdzie do nas po raz drugi. Odliczacie? Odliczajcie!

Cienki, ostry głos liczy:

– Minuta pięćdziesiąt siedem sekund...

Na ekranie pojawiły się tłumy przed budynkiem Zgromadzenia Narodowego w Balshang. Odliczał prezydent.

Mae wymiotowała. Wymiotowała, choć nic się nie poruszało. Oddychała ciężko.

W Singapurze między tłumami przesuwały się tańczące węże.

Przyj!

Stara pani Tung walczyła wraz z nią.

Smok w jej wnętrzu poruszał się, poruszał. Guz podszedł jej do gardła.

Mae nie była w stanie oddychać. Całe jej ciało unosiło się, opadało, walczyło. Kwan krzyczała coś, Mae czuła zaciskające się na jej nadgarstkach dłonie, cała była śliska od potu, nikt nie był w stanie jej przytrzymać, była gorąca, była mokra mimo wyżymania.

– Minuta trzydzieści pięć sekund.

W Nowym Jorku ludzie trzymali się za ręce. Śpiewali Beatlesów: „Słyszałem dziś wiadomość, eeec...”

W Kizuldach wystrzeliły fajerwerki pana Winga. Wybuchwały nad bardzo starymi polami. W powietrzu tańczyły błękit i biel,

ciągnęły ogony dymu, krople światła spadały jak kolorowe płatki śniegu. Światło tańczyło także na powierzchni wody. Po nawodnionych polach pływały małe łódki zrobione z płomieni. Odtwarzały szlaki dawnych kanałów.

Mae kurczowo chwyciła powietrze. Przepływało jej do płuc z cichym trzaskiem, przeciskając się między ściankami gardła a tym, co je blokowało. Znowu stęknęła, jakby zamierzała wymiotować. Pochyliła się.

Czterdzieści dziewięć sekund.

W Japonii wybudowano nowych gmach z drewna specjalnie na te uroczystości. Balony kołysały się niecierpliwie, lada chwila miały wzlecieć w powietrze.

Ogień płonął nawet w jej nozdrzach. Całe ciało miała napięte, całe ciało parło – pusty już żołądek, obolały przełyk. Coś znów się w niej przesunęło, coś utknęło tuż przy jej ustach, jakby było tym, co zawsze chciała powiedzieć.

Kocham cię, Kuei. Kocham cię, Siao.

Kwan, jesteś prawdziwą przyjaciółką.

Sunni, bardzo mi przykro, ale teraz jesteśmy już przyjaciółkami, prawda?

Sezen, jestem twoją matką.

Joe, zawsze będziesz mym mężem.

Coś pękło jak bąbel powietrza.

Dziesięć sekund.

Pod Mae ugięły się kolana. Coś poruszyło się w przód, coś zamknięte w czymś. Czowała ten ruch, własny ruch tego czegoś, pokrycie rozdarło się, przed siebie parło dalej coś twardego, słodkiego jak cukier.

Kwan przekrzykiwała hałas podniesionych głosów. Gładziła gardło przyjaciółki.

– Ona rodzi! – krzyczała. – Ona rodzi przez usta!

A potem przyszła Powódź.

Błysk światła. Uczucie, że upada na plecy. Wodospad wrażeń dźwięków/smaków/obrazów. Wypływały z ziemi, wznosiły się, rozpały. Powódź Tlenu ryczącego wewnątrz jej głowy, dźwięk jak bicie dzwonów, wymywające ruiny dawnego Formatu.

Mae pomyślała, że tym razem wszystko będzie dobrze, że tym razem nie ma niebezpieczeństwa.

I znów imprintowano ludzi.

To przez Mae nadal stosowano Format ONZ. To nie Format ONZ wpędził ją w chorobę, lecz program pocztowy. Nie było potrzeby zastosowania innego formatu. Napisała o tym do Bugsy, a Bugsy napisała kolejny artykuł. Bardzo mocny artykuł: „Czy naprawdę chcemy, by prywatna firma zawłaszczyła nasze dusze?”

W powietrzu unosiły się dźwięki jak ptasie trele. Głosiły we wszystkich językach: „Witaj! Witaj! Witaj!”

Mae rozumiała je. Rozumiała wszystkie języki, cierpki żargon Nowego Jorku, oszczędny, dumny żargon Japonii, fale soli języka jej własnego ludu.

I, oczywiście Beee-to-wan.

„O, radości, iskro bogów...”

Tlen rozkwitał delikatnie jak wiedza, kawałek po kawałku, fragment po fragmencie. Ignorancja leczyła się niczym ropiejąca rana. Samochody, telefony, brytyjscy królowie, japoński jen, euro, prom kosmiczny, żelazne cząsteczki na starych dyskietkach.

I radosne duchy. Zbiegły się do niej, kiedy Mae zadławiła się, zacisnęły zęby ostatni raz.

bugsy@nouvelles: Mała! Skarbie! Udało ci się?

Dziecko! Właśnie urodziłam dziecko!

Beee-to-wan grzmiał donośnie. Bugsy zatańczyła w powietrzu wirtualny taniec. Mae spojrzała w dół, pod powierzchnię trzeszczącego świata.

tunch@kn: No cóż, Mae, wygrałaś. Pobiłaś nawet mnie. Wszyscy wygraliśmy.

chung@arm: Cześć, mamó, pokaż nam Kizuldah. Możemy patrzeć twoimi oczami, mamó!

Mae patrzyła w dół, na to, co zwisało jej z ust. Sunni trzymała ją za rękę, Kwan za drugą rękę, Kuei obejmował ją za ramiona.

Nowo narodzone dziecko było małe, wielkości dłoni. Jak mogło

tak się skurczyć. I było całe czarne, spalone kwasami. Maleńkie palce wydawały się stopione w jedno. Maleńkie genitalia wyglądały jak rana rozdartego ciała. Przypalone oczy miało szczelnie zamknięte.

Ale to dziecko promieniowało radością, choć oszołomione, uśmiechało się wesoło.

Dziecko zostało Sformatowane.

Było pełne Beethovena. Było pełne Karzistanu. I historycznych okrzyków radości z Pekinu, nowej ściany muzyki Collab przetaczającej się nad nowojorskim krajobrazem. Gwałtownym gestem sięgnęła w nią ciepła fala miłości.

Mae przemówiła do dziecka przez Tlen.

– Moja mała przyszłości. Jesteś ślepa, lecz nie będziesz musiała widzieć, bo my wszyscy możemy widzieć za ciebie. Obrazy i dźwięki dotrą do ciebie przez nas. Nie masz rąk, lecz nie będziesz potrzebować rąk, bo umysłem będziesz kontrolować maszyny, a one przejmą funkcję rąk. Uszy także ci się spaliły, ale w godzinę usłyszysz nimi więcej, niż my usłyszeliśmy przez całe życie.

Nazywają mnie twoją matką.

A potem Mae podniosła wzrok.

– Żyjesz – ucieszyła się Kwan.

Wszyscy żyjemy.

Mae chwyciła zwisające jej z ust dziecko. Jego ojciec przejął je, przytulił.

– Pali. – Kuei zachichotał. – To dziecko pali.

Mimo to przytulił je do piersi.

Światło błysnęło i trzasnęło po raz ostatni, sztuczne ognie Kizuldah dopaliły się. Kwan pociągnęła ją. Mae, Sunni, Siao, Kuei i ich nowo narodzony syn, a także stara pani Tung, oni wszyscy odwrócili się i odeszli razem w przyszłość.

## UCZTA WYOBRAŹNI

Jest rok 2020. Na całym świecie, a więc i w Karzistanie, małym kraiku leżącym gdzieś w środkowej Azji, przeprowadzony zostaje test „Tlenu”: globalnej sieci obywatelkiej się bez komputerów i interfejsów. Wykorzystującej bezpośrednio specjalnie sformatowane fragmenty mózgu.

Test kończy się źle, są ofiary śmiertelne. A w małej, zagubionej w karzistańskich górach wiosce spaja on w jedno dwie osobowości: głównej bohaterki, kobiety w średnim wieku, Mai Chung, i zmarłej w jego trakcie ślepej staruszki pamiętającej bardzo dawne czasy. „Tlen” ma powrócić za rok, po poprawkach, obie kobiety istnieją w nim jednak już teraz. Jako jedna osobowość. Istnieją jednocześnie w „Tlenie”, gdzie ludzie nie mają ciał, i w ciele Mai.

Mai Chung, choć analfabетка, jest inteligentna, sprytna i mądra. Stara się przygotować konserwatywną wiejską społeczność na nieuniknione zmiany. Rozwija biznes w dotychczasowej, klasycznej sieci, bogaci się, uczy nowego świata siebie i innych, choć los nie szczędzi jej osobistych dramatów. Drugie „ja” Mai, obrócone w przeszłość, sprzeciwia się wszelkim zmianom. Do końca nie wiemy, które zwycięży. Do końca nie wiemy nawet, czym jest zwycięstwo: zwyciężeniem tradycji czy jej zagładą?

Mai Chung to chyba najpiękniej kobieca bohaterka współczesnej fantastyki naukowej. A „Tlen” jest zaskakującą i piękną opowieścią o tym, jak przeżyć między młotem nowego, które nie chce odejść, i kowadłem starożytności, które nie chce odejść.



WYŁĄCZNY  
DYSTRYBUTOR



Wydawnictwo  
**MAG**

Więcej informacji o publikacjach Wydawnictwa MAG w Internecie na stronie: [www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)